

W matni

Haig Brian



calibre 0.9.27

W matni

Z angielskiego przełożył ZBIGNIEW KOŚCIUK
Lisie, Brianowi, Pat, Donnie i Annie

Od autora

Podobnie jak inne powieści, w których występuje Sean Drummond, *W matni* nie jest książką o wojnie, lecz kryminałem - thrillerem prawniczym - przypadkowo osadzonym w wojskowych realiach i ukazany na tle wydarzeń w Iraku.

Długo i mozolnie dumalem nad tym, czy powinienem napisać powieść nawiązującą do nadal trwającego konfliktu. Żaden autor - a przynajmniej żaden autor pragnący odnieść sukces komercyjny - nie powinien uczestniczyć w bieżącej dyskusji na tematy polityczne.

Atmosfera polityczna panująca w Ameryce jest silnie, niekiedy wręcz histerycznie podzielona, co moim zdaniem jest zjawiskiem pozytywnym. W zdrowej, sprawnie działającej demokracji obywatele powinni okazywać troskę, przejawiać zaangażowanie, wyrażać opinie - a wojna z pewnością winna wzbudzać ich zainteresowanie.

Kiedy wstępowałem do wojska, przechodziliśmy od dużej armii opartej na powszechnym poborze do mniejszej liczebnie, w której służyli wyłącznie ochotnicy.

Abstrahując od innych kwestii, podobnie jak wielu ludzi martwiło mnie, że amerykańska armia przestanie odzwierciedlać złożoną naturę naszego narodu, a obywatele przestaną postrzegać nas jako żołnierzy obywateli, uznając za zwyczajnych najemników. Na szczęście, część moich obaw się nie spełniła. Amerykanie ciągle darzą ludzi w mundurach sympatią i wyjątkową troską, a władze w Waszyngtonie nie czuły pokusy, aby traktować żołnierzy jak mięso armatnie, siłę najemną - ponure określenie, które sugeruje spisanie na straty.

Większość autorów pragnie, aby ich książki sprawiały przyjemność czytelnikom, były czytane i kupowane - niekoniecznie we wspomnianej kolejności. Jest to podwójnie prawdziwe, gdy autor ma czwórkę wspaniałych dzieciaków, którym trzeba zapewnić jedzenie, ubranie, nocleg i w niezbyt odległej przyszłości studia. Nie chciałem napisać powieści zawierającej polityczne uprzedzenia i mam nadzieję, że moja książka nie zostanie w ten sposób odebrana.

Dlaczego zaryzykowałem napisanie powieści o Iraku? To proste: toczymy wojnę w kraju - i regionie - o którym większość Amerykanów wie zdumiewająco niewiele. Spotkałem wielu Amerykanów, którzy byli w Paryżu, Hongkongu, a nawet w Kenii - nie udało mi się jednak spotkać nikogo, kto wspominałby o cudownych plażach w Jemenie (szczerze mówiąc, jemeńskie plaże wcale nie są takie cudowne).

W 1983 roku, będąc kapitanem armii amerykańskiej, pracowałem dla Połączonego Kolegium Szefów Sztabów jako oficer łącznikowy do spraw Libanu. Po katastrofalnej inwazji izraelskiej umieściliśmy tam korpus ekspedycyjny piechoty morskiej w charakterze sił

pokojowych. Liban, niegdyś perła regionu, bardzo się wówczas różnił od kraju, którym był kiedyś - to skutek dziesięciu lat brutalnej wojny domowej. Długo przed naszym przyjazdem kraj był wewnątrz rozdarty, wstrząsany konfliktami religijnymi, rywalizacją klanową, krwawymi waściami rodowymi i niszczone przez sąsiadów, którzy wykorzystywali przemoc i podsycali nienawiść, często za pomocą terrorystycznych metod. Sytuacja była bardzo różna od tej, która panuje w dzisiejszym Iraku. Z drugiej strony jednak okazała się niezwykle podobna.

Z powodu obsesji na punkcie zimnej wojny każdy oficer z tamtej epoki był ekspertem od zagrożenia sowieckiego - a przynajmniej za takiego uchodził. Ale gdyby ktoś poprosił

mnie o wymienienie jednej rzeczy odróżniającej sunnitów od szyitów - głównego źródła napięć i konfliktów w świecie arabskim - w przeszłości, przyszłości i przypuszczalnie w przewidywalnej przyszłości, zapadłaby martwa cisza. Gdy pewnego ranka zamachowiec-samobójca wjechał

ciężarówką wyładowaną materiałami wybuchowymi w budynek, w którym stacjonowali marines, okazało się, że kapitan Haig nie jest osamotniony w niewiedzy -

wielu przywódców cywilnych i wojskowych miało bardzo mgliste wyobrażenie, w co się wpakowaliśmy. Początkowo było to przerażające i dezorientujące, w końcu okazało się tragiczne. Do dzisiaj jestem przekonany, że dwustu osiemdziesięciu czterech żołnierzy piechoty morskiej zginęło z powodu naszej ignorancji.

Dziś ponownie znaleźliśmy się w kraju, o którym wiemy zdumiewająco niewiele, ponownie też spory jego mieszkańców, ich właśnie rodowe i konflikty stały się naszymi.

Sekretarz stanu Colin Powell tak sparafrazował słowa, które prezydent wypowiedział przed inwazją: „Jeśli potłuczysz porcelanę, staniesz się jej właścicielem”. I rzeczywiście, my, większość Amerykanów - większość wyborców - wiemy bardzo mało o rozbitych skorupach, które nasi żołnierze próbują skleić własną krwią, ofiarą i odwagą, aby uczynić z nich sprawnie działającą demokrację.

W ten sposób powstała książka *W matni*. Mam nadzieję, że uznacie ją za intrygującą, zajmującą i prowokującą do myślenia. Jak już wspomniałem, jest to powieść kryminalna, która porusza pewne drażliwe tematy związane z Irakiem. Mam nadzieję, że jej lektura poszerzy waszą wiedzę i wzmocni zainteresowanie tą problematyką.

Podkreślam, że postacie występujące na kartach tej książki są fikcyjne, chociaż wielu czytelników z pewnością dopatrzy się pewnych historycznych odniesień i zagadek, do których nawiązuje intryga.

W tym miejscu najwyższa pora wyrazić wdzięczność kilku osobom. Po pierwsze, dziękuję za użyczenie godnego nazwiska podpułkownikowi Kempowi Chesterowi, mojemu wielkiemu przyjacielowi, pierwszorzędnemu oficerowi wywiadu wojskowego, który był na dwóch zmianach w Iraku. Dziękuję innemu przyjacielowi, którego nazwisko wykorzystałem, Christopherowi Yuknisowi, który służył krajowi przez niemal trzydzieści lat i był jednym z najinteligentniejszych oficerów, jakich spotkałem. Dziękuję Jimowi Tireyowi, bliskiemu przyjacielowi, który uczestniczył w wielu niebezpiecznych misjach i zawsze był dla mnie przykładem. Użyłem również nazwiska kolegi z West Point, Roberta Enzenauera, który naprawdę jest znakomitym lekarzem, oficerem rezerwy, i który z wielkim poświęceniem służył osiemnaście miesięcy w Afganistanie i Iraku.

Składam podziękowania Claudii Foster. Prawdziwa Claudia Foster znajdowała się w wieżowcu World Trade Center pamiętnego 11 września 2001 roku. Była wspaniałą młodą damą, inteligentną, uroczą i wesołą. Zginęła jak wielu innych, pozostawiając pogrążoną w smutku rodzinę, która poprosiła mnie o znalezienie godnego miejsca dla niej w tej książce.

Mam nadzieję, że to mi się udało.

Na koniec dziękuję Donniemu Workmanowi. Prawdziwy Donnie Workman pochodził z rocznika 1966 West Point, był kapitanem akademickiej drużyny Lacrosse - bramkarzem o niezwykłym refleksie i stalowych nerwach. Bramkarze wszystkich dyscyplin to wyjątkowa grupa ludzi, jednak bramkarze Lacrosse stanowią klasę sami dla siebie. Donnie ciągle bywał

w naszym domu, gdy mój ojciec wykladał w West Point. Był wzorem dla młodych graczy ze szkół średnich, dostarczał nam również inspiracji pod wieloma innymi względami. Niecały rok po ukończeniu studiów wszedł na minę przeciwpiechotną w Wietnamie. Człowiek, którego uważaliśmy za silniejszego niż życie, który pewnego dnia miał zostać generałem i wielkim człowiekiem, zginął w ułamku sekundy - nigdy nie został jednak zapomniany.

Dziękuję wszystkim pracownikom Warner Books, którzy wygładzają mój kiepski styl, lansują i sprzedają moje powieści. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem im wdzięczny i jak bardzo ich

podziwiam. Dziękuję mojemu redaktorowi, Colinowi Foksowi, którego wszyscy autorzy uważają za czarującego, zabawnego i niezwykle utalentowanego człowieka. Dziękuję Mari Okuda, która wykonuje niewdzięczną pracę adiustacji tekstu, czyniąc ją zajmującą na przekór wszystkiemu. Składałam podziękowania Rolandowi Ottewellowi, który za sprawą literackiej alchemii przekształcał moje rękopisy w tekst nadający się do czytania. Dziękuję Jamie Raab i Larry'emu Kirschbaumowi, wydawcy i byłemu dyrektorowi naczelnemu, oraz Rickowi Horganowi, poprzedniemu redaktorowi, który zachęcał mnie do pisania i uczynił

wydawnictwo Warner pożądanym przez każdego autora.

Szczególne podziękowania przesyłam Geraldowi Posnerowi, gdyż przeprowadził rozległe badania, które okazały się niezwykle przydatne podczas pisania tej książki.

Największe wyrazy wdzięczności przesyłam Luke'owi Janklowowi, mojemu agentowi literackiemu i przyjacielowi, który nie ma sobie równego w żadnej ze wspomnianych kategorii.

Rozdział pierwszy

Niepunktualność czasami bywa cnotą, niekiedy jednak grzechem.

Na przykład spóźnienie się na przyjęcie jest w dobrym tonie. Jeśli człowiek spóźni się na własny pogrzeb, inni będą mu zazdrościli szczęścia. Z drugiej strony, jeśli zjawisz się spóźniony na miejscu zbrodni, możesz mieć poważne problemy zawodowe.

Na szczęście niemal każdy problem ma jakieś rozwiązanie. Odwróciłem się do atrakcyjnej młodej damy w jasnobrązowym kostiumie i zapytałem:

- Często tu pani bywa?

- Bardzo zabawne - odparła, chociaż nie roześmiała się ani nie uśmiechnęła.

- To moje najlepsze zagajenie.

- Doprawdy?

- Byłaby pani zaskoczona, gdybym powiedział, ile razy okazało się skuteczne.

- Racja - przytaknęła. - Byłabym zaskoczona. - Zasłoniła usta dłonią i cicho się roześmiała, a może ziewnęła.

Wyciągnąłem rękę z kieszeni i przedstawiłem się.

- Sean Drummond. - Po chwili dodałem nieco mniej prawdziwą informację: - Agent specjalny Drummond. FBI.

- Bian Tran. - Zignorowała wyciągniętą dłoń, udając, że mnie nie dostrzega.

- Ładne imię.

- Naprawdę?

- Podoba mi się twój kostium.

- Jestem teraz zajęta. Czy nie mógłby się pan też czymś zająć? Nasza znajomość kiepsko się zaczęła, lecz szczerze mówiąc, przebywanie w małym pomieszczeniu z uroczą damą i świeżymi zwłokami powoduje, że mój osobisty czar i inteligencja wznoszą się na prawdziwe wyżyny.

- To interesujące, prawda? - zapytałem, wskazując ciało spoczywające na łóżku.

- Użyłabym innego przymiotnika.

- Jestem ciekaw, czy udałoby się nam dojść do zgody w kwestii rzeczowników.

Sądziś, że to samobójstwo czy morderstwo?

Przyglądała się zwłokom od chwili, gdy wszedłem do pokoju. Teraz po raz pierwszy odwróciła się i uważnie przyjrzała mnie.

- A co ty o tym sądzisz?

- Wygląda na samobójstwo.

- Właśnie, tylko kto to wszystko zainscenizował... on sam czy ktoś inny?

Zabawne, właśnie o to ją chciałem zapytać.

Odwrociłem się, aby ponownie obejrzeć zwłoki, lecz wysoki, pulchny facet z zespołu kryminalistycznego pochylił się nad denatem, szukając śladów. Mogłem dostrzec jedynie głowę ofiary i średniej wielkości stopy. Obszar rozciągający się pomiędzy wyżej wspomnianymi częściami ciała był w dużej mierze zasłonięty.

Mimo to udało mi się coś dostrzec: ofiarą był pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna o przeciętnej urodzie, przeciętnym wzroście i przeciętnej wadze ciała. Typowy Joe. Facet o bezbarwnych rysach, siwych, krótko przyciętych włosach - inaczej mówiąc, gość o zwyczajnym wyglądzie, który nie zapadał w pamięć.

Pomyślałem, że gdybym minął go na ulicy lub usiadł przy nim w metrze, spoglądałbym obok lub poprzez niego.

Uznałem, że śmiertelnie nudna anonimowość mogłaby być uzasadnionym powodem wpadnięcia w szal zabijania lub popełnienia samobójstwa.

- Jak długo tu jesteś? - zapytałem Tran.

- Mniej więcej pół godziny - odparła, zapisując coś w małym notatniku. Obróciła się i w wyraźnie niezamierzony sposób zasłoniła kajecik ramieniem. - A ty? - zapytała.

- Przyjechałem przed chwilą. Możesz mi wyjaśnić, co tu się stało? - Oczywiście, zapomniałem wspomnieć, dlaczego się tu znalazłem. Powód mojego przybycia łączył się z telefonem ofiary nagrany przez kolegów z FBI współpracujących z moimi kumplami z CIA, którzy podsłuchali rozmowę pewnej przerażonej damy, gdy ta zawiadamiała miejscową policję o znalezieniu ciała.

Mówiąc w żargonie wywiadowczym, denat jest, a właściwie był, „przedmiotem zainteresowania”. Teraz stał się „przedmiotem tajemnicy”, a jak wiadomo każda tajemnica wymaga udzielenia odpowiedzi na pięć podstawowych pytań. Odpowiedź na pierwsze i drugie - kto zginął i gdzie - była oczywista, dlatego moim zadaniem było ustalenie odpowiedzi na trzy kolejne - kiedy, jak i, jeśli szczęście dopisze, dlaczego.

Nie poinformowano mnie, dlaczego otrzymałem tę robotę, lecz w naszej branży człowiek nie zadaje takich pytań. Jeśli jest to konieczne, przełożeni sami o tym mówią.

Przyznaję, że to irytujące. Wspomniana zasada postępowania opiera się na ważnych, głęboko uzasadnionych przesłankach. Od jej przestrzegania może zależeć los naszego narodu, więc trzeba powściągnąć ciekawość, zaniechać spekulacji i dać sobie spokój.

Przypuszczam, że kryje się za tym obawa przed działalnością szpiegowską. Wiecie, FBI i CIA nie ufają nawet sobie nawzajem. Jeden to Pan Wewnętrzny, a drugi Pan Zewnętrzny, chyba że chodzi o sprawy, w których gównem ląduje na progu jednych i drugich.

W takich sytuacjach dwie primadonny muszą się dzielić jedną małą sceną, a wszyscy wiemy, do czego to prowadzi.

Warto również nadmienić, że od kiedy nasz kraj uczestniczy w działaniach wojennych

- w Afganistanie i Iraku - aktywność szpiegowska stała się znacznie ważniejszą sprawą niż w okresie zimnej wojny, kiedy jedni szpiegowie likwidowali innych, dopuszczając się czegoś w rodzaju morderczego kazirodztwa. Czerpiąc dane ze szpiegowskich dreszczowców i hollywoodzkich filmów, można by pomyśleć, że do tego właśnie sprowadzała się cała zimna wojna. Rzeczywiście, ówczesni szpiegowie przypominali frajerów okładających się po tyłkach rękami na meczu zawodowych drużyn futbolowych. Z pewnością zabawne, lecz koniec końców sukcesy nigdy nie były tak wielkie, jak się wydawały, a porażki tak dramatyczne.

Bardziej niebezpieczne zadanie miały do wykonania miliony uzbrojonych po zęby żołnierzy spoglądających na siebie przez granicę oddzielającą RFN i NRD. Najbardziej niebezpieczna rzecz

znajdowała się w walizkach dwóch dżentelmenów, którzy mogli wyłączyć światło wszystkim pozostałym.

Po jedenastym wrześniu nastał nowy świat. Czasy się zmieniły - dzisiaj działalność szpiegowska kojarzy się z wieżami World Trade Center, niszczonej narodami i życiem żołnierzy.

Ostatnia sprawa bardzo leżała mi na sercu.

W ten sposób docieramy do mojej skromnej osoby - świeżo awansowanego podpułkownika armii Stanów Zjednoczonych, z zawodu prawnika Wojskowego Biura Śledczego - JAG, tymczasowo oddelegowanego do CIA. Oczywiście, ani pani Tran, ani lokalne gliny nie powinni o tym wiedzieć. CIA lubuje się w zakulisowych działaniach, w wymyślnych przykrywkach i tajemnicach. Na terytorium Stanów Zjednoczonych oznacza to zwykle podszywanie się pod inne agencje federalne, bo pozostali działają otwarcie.

Pracownicy CIA są zwykle inteligentni, sprytni, złośliwi i arogancy, i muszą w sobie tłumić wspomniane cechy. Z kolei federalni zawsze opowiadają się po stronie „słusznej” sprawy, są moralnie nieposzlakowani, wścibscy, nachalni i okropni. Jestem rad, że mam tylko trzy z pięciu wspomnianych cech, i wiem, że z łatwością odgadniecie które.

Ponieważ Tran w dalszym ciągu mnie ignorowała, zapytałem:

- Pomożesz mi, czy nie?

- A powinnam?

- Dopilnuję, aby ci się to opłaciło.

- Naprawdę? W jaki sposób? Uśmiechnąłem się.

- Kiedy to wszystko się skończy, będziesz mogła zaprosić mnie na lunch, obiad, na Bermudy, gdziekolwiek.

- Muszę się nad tym zastanowić - odparła bez wyraźnego entuzjazmu. Najwyraźniej zainteresowała ją coś w drugiej części pokoju, bo się oddaliła.

Powinienem wspomnieć, że zostałem przydzielony do małej komórki CIA określanej mianem Biura do Zadań Specjalnych, w skrócie OSP. Jedyną specjalną rzeczą, którą w tym dostrzegłem, było to, iż otrzymywaliśmy sprawy, którymi inni nie chcieli się zajmować - na przykład tę robotę. Moim skromnym zdaniem nasz wydział powinien nosić nazwę wydziału spraw gównianych, lecz szpiegzy żyją wśród dymu i luster, więc nic nie jest takie, na jakie wygląda, a moi koledzy chcą, aby tak pozostało.

W każdym razie nasze biuro podlega bezpośrednio dyrektorowi CIA, co ma swoje plusy, ponieważ człowiek ma mniej papierkowej roboty, i jeden wielki minus, bo nie ma kogo obarczyć własnymi błędami, przez co cała nasza działalność przypomina balansowanie na linie.

Istnieją również ogromne, znaczące różnice w kulturze funkcjonowania tajnych służb i armii. Szczerze mówiąc, miałem pewne problemy z przystosowaniem się do nowej sytuacji.

Ostrzegano mnie nawet, że jeśli jeszcze raz zdejmę buty i zacznę wydawać rozkazy, wyślą mnie w długą podróż zagraniczną do jakiegoś kraju, w którym nie chciałbym się znaleźć.

Sami widzicie, że ci ludzie naprawdę potrzebują oświecenia.

Nie jest niczym niezwykłym, że armia wypożycza swoich oficerów - w żargonie wojskowym „oddelegowuje” - różnym agencjom rządowym. Wyjaśniono mi, że w ten sposób każdy wnosi własny niepowtarzalny wkład - mamy różne specjalności, odmienny sposób myślenia i ubiór - tworząc całość, która jest większa od sumy elementów składowych. W

teorii organizacji zjawisko to określa się mianem synergii, a w wymiarze indywidualnym - zaburzeniem osobowości wielorakiej. Nie jestem do końca pewien, co to za różnica, lecz dokładnie tak jest.

Z powodów, których jeszcze nie zgłębiłem, Agencja poprosiła właśnie o mnie, a z innych powodów, których również w pełni nie pojmowałem, mój ówczesny przełożony chętnie się mnie pozbył. Można powiedzieć, że wszyscy byli zadowoleni oprócz mnie.

Moja szefowa w CIA, Phyllis Carney, lubiła powtarzać, że szuka jednostek „nieprzystosowanych, indywidualistów i dziwaków”, gdyż mają „skłonność do poszukiwania nietypowych rozwiązań typowych problemów”. Interesująca teoria zarządzania. Myślę, że od chwili mojego przybycia zaczęła poszukiwać innej.

Zauważyłem, że Tran wetknęła głowę do szafy denata, więc stanąłem z tyłu i zapytałem:

- Znalazłaś coś interesującego? Odwróciła się i spojrzała mi prosto w oczy.
- Jest tu trzech policjantów, kryminalistyk i czterech detektywów. Dlaczego akurat ja?
- Proszę powiedzieć, o co tu chodzi, a będziesz mnie miała z głowy do końca życia.

Po raz pierwszy zainteresowały ją moje słowa.

- Czy dlatego, że jestem atrakcyjną kobietą?

- Zdecydowanie nie - odpowiedziałem, jakby to była absolutna prawda. - Wyglądasz na inteligentną i robisz notatki. Tak jak dziewczyna, obok której siedziałem w drugiej klasie.

- Kiedy to było? Rok temu? - uśmiechnęła się, rozbawiona własnym żartem.

Jej słowa sprawiły, że przeniosłem się do tego, co „tutaj i teraz”.

Była dziesiąta trzydzieści rano, poniedziałek, dwudziesty piąty października.

Apartament 1209 w olbrzymim kompleksie czynszowym - obiekcie składającym się z ciasnych mieszkań z jedną lub dwiema sypialniami - przy South Glebę Road. Chociaż na budynku nie było napisu „Wolne łóżka dla singli swingersów”, ostrzeżono mnie, że taką ma reputację.

Mieszkanie było maleńkie, z jedną sypialnią, otwartą kuchnią, salonem wielkości szafy i przylegającą do niego jadalnią. W prospekcie agenta nieruchomości określono je pewnie jako „przytulne i zaciszne”, czytaj „ciasne i nienadające się do zamieszkania”. W

pomieszczeniach było kilka mebli, które wyglądały na nowe i tanie - z rodzaju tych, które można wynająć za miesięczną opłatę lub nabyć w magazynie meblowym handlującym przecenionym towarami.

Zauważyłem

niewiele

akcentów

osobistych,

żadnych

indywidualnych śladów, żadnych książek, dzieł sztuki - jedynie garść tandetnych ozdób, za pomocą których ludzie nadają indywidualny charakter miejscu swojego zamieszkania.

Zwykle można wiele powiedzieć o człowieku na podstawie domu, w którym mieszka.

Szczególnie o kobietach, które ozdabiają i dekorują swoje mieszkanie tak, aby stanowiło odzwierciedlenie ich wewnętrznego ja. Detale te często informują raczej o tym, jakie chciałyby być, chociaż kontrast pomiędzy marzeniem a rzeczywistością często bywa znamieny. Faceci nie są tak skomplikowani czy interesujący. Zwykle są do dupy lub mieszkają jak wieprze - płytkie wieprze. Lokatora tego mieszkania uznałem za człowieka schludnego, skromnego, dobrze zorganizowanego i oszczędnego. Lub za osobnika o osobowości i wewnętrznej złożoności porównywalnej do pustego kartonu po mleku.

Wiedziałem, że denat to Clifford Daniels, urzędnik państwowy zatrudniony w Pentagonie, w biurze podsekretarza obrony jako jeden z jego cywilnych pracowników.

Wiedziałem, że był to bardzo ważny urząd w zawiłym labiryncie Pentagonu stanowiącego

wojskowy odpowiednik Departamentu Stanu. Oprócz innych nikczemnych knozań formułowano tam strategię zdobycia panowania nad światem i snuto inne plany przedstawiane później do akceptacji władzom cywilnym.

Wiedziałem również, że Clifford miał zaszeregowanie GS-12 - tym samym pozycją odpowiadał pułkownikowi w armii amerykańskiej - i dostęp do dokumentów opatrzonej klauzulą „ściśle tajne”. Biorąc pod uwagę wszystkie wspomniane fakty, uznałem za znamienne, że mężczyzna w średnim wieku, zajmujący tak poważne stanowisko we wrażliwym i prestiżowym urzędzie, zamieszkał w kompleksie mieszkalnym określanym mianem „Pałacu Pieprzenia”.

Powinienem wspomnieć także o jednym interesującym szczególnie osobistym, który spostrzegłem, przechodząc przez salon: srebrnej ramce z pozowaną, wykonaną w atelier fotografią atrakcyjnej kobiety w średnim wieku, uśmiechniętego małego chłopaka i nachmurzonej nastolatki.

Szczegół ten nie pasował tutaj i sugerował, że natknęliśmy się na potajemną garsonierę lub facet był rozwiedziony, lub jakąś sytuację pośrednią.

Na koniec dodam, że znajdowaliśmy się w granicach hrabstwa Arlington, co tłumaczyło obecność lokalnych gliniarzy, śledczych z wydziału zabójstw i kryminalistów, którzy starali się rozwikłać zagadkę.

Gdyby okazało się, że mamy do czynienia z samobójstwem, wszyscy mogliby zwinąć manatki i pojechać na wczesny lunch. Morderstwo oznaczało, że ich dzień dopiero się zaczyna.

Jak już wspomniałem, w mieszkaniu cuchnęło. Byłem jedynym z obecnych, który nie trzymał przy nosie chusteczki z substancją dezynfekcyjną neutralizującą obrzydliwy odór - albo jedynym, który jeszcze oddychał.

W każdym razie wyglądałem jak prawdziwy facet i byłem wyluzowany, podczas gdy pozostali przypominali statystów z kiepskiej reklamy mleka. Mimo krótkiego czasu, jaki spędziłem w Agencji, nauczyłem się, że wizerunek jest rzeczą najważniejszą: wizerunek stwarza iluzję, a ta z kolei tworzy rzeczywistość. A może na odwrót. Agencja ma szkołę, w której uczą takich rzeczy, lecz ja sam szybko załapałem, o co chodzi.

W końcu Bian Tran spojrzała na zegarek, ziewnęła i powiedziała:

- W porządku, załatwmy to szybko. - Zerknęła na mnie i kontynuowała: - Po przybyciu na miejsce rozmawiałam z detektywem prowadzącym dochodzenie. Do zdarzenia doszło ostatniej nocy. Około dwudziestej czwartej. Myślę, że twój nos już ci to powiedział, prawda?

Po pięciu lub sześciu godzinach leżenia w temperaturze pokojowej ciało zaczyna wypuszczać gazy, dlatego w małym, zamkniętym pomieszczeniu panował gorszy smród niż w męskiej toalecie meksykańskiej restauracji. Nie wiem, co Cliff jadł wczoraj na obiad, lecz musiało to być coś odrażającego.

- Statystycznie rzecz biorąc, to przysłowiowa godzina duchów dla samobójców - zauważyła. - Nie mam na myśli dokładnej pory, lecz późne godziny nocne.

- Nie wiedziałem.

- W tym czasie dochodzi do siedemdziesięciu procent samobójstw.

- Rozumiem. - Spojrzałem na okno. Niestety, znajdowaliśmy się na dwunastym piętrze nowoczesnego budynku, w którym okna się nie otwierały. Miałem do wyboru wolniej oddychać lub skłonić ją do szybszego mówienia.

- Zastanów się. Stan wyczerpania, osłabienie psychicznych mechanizmów obronnych, mrok kojarzący się z ponurą atmosferą, wkradający się nastrój depresji i izolacji. - Musiałem sprawiać wrażenie zainteresowanego tym podręcznikowym wykładem, bo kontynuowała. -

Wiosna. To częsta pora samobójstw. Innym równie popularnym okresem są święta, takie jak

Boże Narodzenie, Dzień Dziękczynienia i Nowy Rok.

- Dziwne.

- Prawda? Większości ludzi nastrój się poprawia, a ich ulega niebezpiecznemu pogorszeniu.

- Mówisz, jakbyś się na tym znała.

- Nie jestem ekspertem. Brałam udział w siedmiu lub ośmiu dochodzeniach w sprawie samobójstwa. A ty?

- Wyłącznie morderstwa. Trochę spraw o nękanie w miejscu pracy, kilka tragicznie zakończonych przypadków porwań. Tego rodzaju rzeczy. Czy kiedykolwiek zajmowałaś się samobójstwem podobnym do tego?

- Nawet o takim nie słyszałam.

- Zostawił list? Pokręciła głową.

- Z drugiej strony nie można niczego przesądzać. Słyszałam o wypadkach, gdy samobójca zostawiał list w biurze, a nawet wysłał pocztą.

Podeszła do komody, oglądając rzeczy, które na niej leżały - grzebień i szczotkę, małą drewnianą kasetkę na biżuterię, niewielkie zwierciadło, kilka męskich ozdób. Ruszyłem za nią i zapytałem:

- Jak znaleziono ciało?

- Denat korzysta... korzystał z pomocy służącej. Kobieta miała własny klucz. O dziewiątej weszła do mieszkania i odkryła zwłoki.

- Oznacza to, że kiedy przyszła, drzwi do mieszkania były zamknięte, prawda?

- Miały automatyczny zamek - odparła. - Nie... nie zauważono żadnych śladów włamania.

- Czy policja już to sprawdziła? - Wiedziałem, że zadadzą mi później to pytanie, więc musiałem to ustalić.

- Tak. W mieszkaniu są jedynie drzwi wejściowe i przesuwane szklane drzwi prowadzące na balkon. Jeśli jesteś ciekaw, także one były zamknięte. Nie ma to większego znaczenia, bo jesteśmy na dwunastym piętrze.

- Kto zawiadomił policję?

- Służąca. Zadzwoiła pod dziewięćset jedenaście i operator połączył ją z posterunkiem.

Już o tym wiedziałem, lecz kiedy nie zadajesz oczywistych pytań, ludzie stają się podejrzliwi i sami zaczynają cię wypytywać. Moja legitymacja FBI wyglądała wystarczająco autentycznie, aby przepuścić mnie policjant stojący w drzwiach. Teraz musiałem za wszelką cenę uniknąć poważniejszej rozmowy, która mogłaby ujawnić moją całkowicie fałszywą tożsamość. Jestem dobry w takich gierkach.

Odhaczyłem ten punkt i zapytałem:

- Gdzie jest służąca?

- W kuchni. Nazywa się Juanita Perez. To młoda, może dwudziestoletnia kobieta.

Latynoska. Bardzo religijna. Przymuszczałnie przyjechała tu nielegalnie. Jest bardzo przestraszona.

- Domyślam się. - Wicie, przyjechałem tu, spodziewając się zwłok, a mimo to okropny odór i widok, który ujrzałem, spowodowały, że poczułem się przerażony. Juanita spodziewała się co najwyżej bałaganu, a już z pewnością nie martwego gospodarza, do tego w dwuznacznej, wulgarnej sytuacji. Nie sądziła też, że ktoś będzie ją pytał o zieloną kartę.

Próbowałem sobie wyobrazić, jak wchodzi do sypialni, zaintrygowana przykrą wonią, niosąc wiadro, ścierkę i inne przybory niezbędne w jej fachu. Otwiera drzwi sypialni, wchodzi do środka i bingo - widzi nagiego mężczyznę leżącego na plecach, całkowicie odsłoniętego, z prześcieradłem

skręconym pod nogami. Na stoliku nocnym stała szklanka wody, na podłodze piętrzyła się sterta bezładnie rzuconych ubrań: czarne skarpety, białe bokserki, podniszczone brązowe półbuty, szary tani dwuczęściowy garnitur, biała koszula z poliestru i naprawdę koszmarny krawat - z małymi ptaszkami na zielono-brązowych prążkach. Wyglądało na to, że poprzedniego dnia włożył ten strój do biura. I to dostarcza pewnej wskazówki uważnemu obserwatorowi.

Spod łóżka wystawał róg zużytej, porysowanej skórzanej teczki, która zwróciła moją uwagę z powodów, jakie za chwilę wymienię.

Rzeczywiście, przysunąłem się w jej stronę, ostrożnie umieściłem na niej stopę i nacisnąłem. W środku było coś twardego i płaskiego - gruby notatnik albo laptop.

Wepchnąłem teczkę głębiej pod łóżko i chcąc odwrócić uwagę pani Tran, wskazałem na stertę ubrań.

- Rozbierał się w pośpiechu - zauważyłem.

- Cóż... bałagan to najmniejsze z jego zmartwień. Skinąłem głową. Z behawioralnego punktu widzenia było to po części spójne z hipotezą samobójstwa, po części jej przeczyło.

Ludzie, którzy mają zamiar rzucić się z urwiska, koncentrują uwagę na tym, co tutaj-i-teraz, być może na wieczności, zdradzając całkowitą obojętność na dzień jutrzejszy, którego przecież nie będzie.

Z drugiej strony samobójcy zwykle nie działają w bezmyślnym pośpiechu. Choć raz są panami własnego losu, własnego przeznaczenia. Jedni walczą z pokusą, inni poddają się chwili. Niezależnie od tego, jakie nieszczęścia doprowadziły ich do krawędzi, wkrótce zostaną wymazane i usunięte raz na zawsze. Pojawia się spokój, być może chwila refleksji.

Niektórzy kreślą pożegnalny list utrzymany w informacyjnym, gniewnym lub apologetycznym tonie. Wielu jest obojętnych, metodycznych lub wykonuje jakieś rytualne czynności.

Wszystko to wyjaśnił mi zaprzyjaźniony psychiatra, dodał też, że metoda popełnienia samobójstwa zwykle mówi bardzo wiele o nastroju i nastawieniu ofiary.

Umarli nie snują opowieści, jak mawiali piraci, często jednak pozostawiają mapy.

Powszechnym i jak sądzę rozsądnym impulsem jest zaplanowanie w miarę bezbolesnego, a przynajmniej szybkiego zakończenia, liczy się jednak to, w jaki sposób człowiek postanawia dokonać żywota.

Okaleczenie, oparzenie lub uszkodzenie własnego ciała jest zwykle *verboten*, stąd duża popularność przedawkowania leku, trucizny, tlenku węgla lub plastikowej torby nakładanej na głowę - metod samobójstwa, które pozostawiają opuszczone naczynie w stanie nienaruszonym, co z pewnych względów ma znaczenie. Niektórzy czynią ze swojego ostatniego aktu publiczne widowisko, rzucając się z wieżowca na ruchliwą ulicę lub gromadząc widzów, wcześniej powiadomiwszy policję. Inni przyjmują odmienny sposób postępowania, znajdując ustronne miejsce, aby wymazać wszelkie dowody swojego istnienia przez wykonanie anonimowego skoku z wysokiego mostu w wodną otchłań lub wzniesienie ognia, który unicestwi ich ciało.

Niestety, znajdowaliśmy się wówczas w barze, psychiatrą była kobietą, ja czułem senność i bardziej interesowała mnie jej figura niż doktorat. Chociaż często wstydzę się swojej natury satyra, rozumiałem, że samobójstwo przypomina spektakl. Dla śledczego, który potrafi odczytać znaki, stanowi wiadomość od zmarłego. Ofiara próbuje zakomunikować coś w ten sposób.

Jeszcze raz spróbowałem zajrzeć śledczemu przez ramię, zadając sobie pytanie, jaką wiadomość celowo lub przypadkiem przesłał ten facet?

Głowa denata spoczywała na poduszce przesiąkniętej zastygłą krwią i fragmentami mózgu. W odległości około dziesięciu centymetrów od lewego ucha znajdowała się lewa dłoń, w której tkwił

glock kalibru dziewięć milimetrów. Palec wskazujący tkwił na spuście, a na lufę nakręcono tłumik, co uznałem za interesujący szczegół. Nie dostrzegłem śladów wskazujących na uduszenie lub walkę, co dodatkowo uwiarygodniało hipotezę samobójstwa.

Oczywiście, trzeba unikać pochopnych wniosków, gdy w grę wchodzi możliwość zabójstwa. Są rzeczy, które widzisz - te, które morderca chce, abyś zobaczył - i to, co powinieneś być dostrzec.

- Zauważyłeś? - zapytała Tran.

- Czyżbym... czyżbym coś przeoczył?

Moje pytanie z jakiegoś powodu wywołało w niej uśmiezek wyższości.

- Tak, pewnie tak.

Odczytałem to jako sugestię i zacząłem oględziny od tułowia, a następnie przesunąłem wzrok w górę i w dół.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem, było zsinienie w okolicy pośladków i górnej części ramion, czego można się było spodziewać kilka godzin po ustaniu pracy serca i spłynięciu krwi w te części ciała wywołanym przez siłę grawitacji. Brzuch denata zdążył już napęcznieć od gazu, na ciele nie było żadnych siniaków ani ran ciętych. Oczy miał otwarte, a wyraz twarzy sugerował całkowite zaskoczenie lub szok, lub obydwa stany jednocześnie.

Pomyślałem nad tym przez chwilę.

Około dziesięciu centymetrów nad lewym uchem znajdowała się mała, czarna dziura po dziewięćmilimetrowej kuli, co sugerowało, że znajdujący się w lewej ręce glock był

bronią, którą zmarły dokonał tego haniebnego czynu. Poświęciłem chwilę na uważne zbadanie pistoletu. Jak wspomniałem, na lufę nakręcono tłumik. Wspomniałem również, że był to glock, a dokładnie model 17 Pro, drogi i zwykle sprowadzany z zagranicy.

Pocisk przeszedł prosto, powodując, że część prawego ucha, połowa mózgu i kawałki czaszki utworzyły kompozycję w stylu Jacksona Pollocka na przeciwległej, niegdyś białej ścianie.

Brak obrączki lub pierścionka zaręczynowego wskazywał, że Cliff Daniels nie był żonaty lub, wnioskując po fotografii w salonie, chciał zachować ten fakt w sekrecie.

Co intrygujące, jak na człowieka, który nie lubił zwracać na siebie uwagi, Clifford Daniels pod jednym bardzo znamienym względem był... wiecie, jestem zadowolony ze swojej męskości, lecz nie chciałbym mieć szafki obok Cliffa.

Broń znajdowała się także w jego prawej ręce, wydaje się, że w chwili śmierci Daniels znajdował się w stanie pobudzenia seksualnego. Dobry Boże.

Wróciłem do pani Tran. Spojrzała na mnie i powiedziała:

- Widziałeś to?

- To? Milczenie.

Ktoś musiał coś powiedzieć, więc w końcu to zdefiniowała.

- Ma takiego... dużego.

- Och... to? Nie nazwałbym go dużym. Uśmiechnęła się.

- Wielkość się nie liczy - dodałem.

- Nieprawda.

- Prawda.

Stąpaliśmy po kruchym lodzie. Dwoje obcych profesjonalistów, mężczyzna i kobieta, w małym pokoju z denatem mającym członka w pełnym wzwodzie.

- Będziemy musieli zająć się jego... jego stanem... - zasugerowała.

- Jego czym?

- Wiesz... jego...

- Powiedz wprost.
- Dość tego, Drummond - zachnęła się. - Oboje jesteśmy dorośli.
- Doprawdy? Powinnaś zapytać o to mojego szefa.
- Słuchaj... denat ma... miał erekcję. Czy tak? Podejźmy do tego w sposób kliniczny. Jak profesjoniści. Z pewnością damy radę.

- Świetny pomysł. W końcu nie można ignorować obecności słonia w pokoju.

Zasłoniła usta dłonią i uśmiechnęła się, a może zmarszczyła brwi.

- Może tak funkcjonuje męski organizm.

- Wykluczone.

- Cóż... w takim razie mamy dobrą nowinę. Myślę, że jako przyczynę samobójstwa możemy wykluczyć zaburzenia erekcji lub poczucie niepewności z tym związane.

Roześmialiśmy się.

Oboje byliśmy głęboko poruszeni śmiercią tego człowieka, współczuliśmy mu z powodu niedoli, która doprowadziła do tragicznego finału, i jako profesjoniści pragnęliśmy wyjaśnić sprawę.

Eros i Tanatos - miłość i śmierć. Kiedy starożytni Grecy chcieli pisać o miłości, tworzyli komedie, gdy rozprawiali o śmierci, powstawały tragedie. Scena, którą mieliśmy przed oczami, stanowiła połączenie elementów smutnych, przyprawiających o mdłości i śmiesznych. Każdy gлина wie, że żart jest sposobem radzenia z trudną sytuacją, metodą oderwania się od rzeczywistości, bez której można zapomnieć o schwytności złych facetów.

W każdym razie taka była jej hipoteza. O mojej nie warto wspominać.

Odchrząknąłem, próbując pozbierać myśli, a następnie zapytałem:

- To morderstwo czy samobójstwo?

- Słuchaj... detektyw wspominał o kilku innych rzeczach, o których powinieneś wiedzieć.

- Tak?

- Kiedy służąca weszła do mieszkania, telewizor był włączony... a odtwarzacz DVD znajdował się w trybie oczekiwania.

- Czyżby oglądał telewizję przed pociągnięciem za spust? Może nie spodobał mu się program?

Zamiast wstać i zmienić kanał, nacisnął własny przycisk „stop”. - Przypomniałem sobie, jak moja przyjaciółka zmusiła mnie do obejrzenia całego odcinka serialu *General Hospital*. Byłem tym tak przybity, że omal nie popełniłem samobójstwa.

- W odtwarzaczu znaleźliśmy płytę z filmem porno. Wymieniliśmy spojrzenia.

- Nigdy nie widziałam ani nie słyszałam o czymś takim. A ty?

- Czytałem o doprowadzeniu do śmierci w wyniku dewiacji seksualnych. Na przykład asfiksja lub stan graniczny z asfiksją wyraźnie zwiększają pobudzenie seksualne.

- Też o tym słyszałam, jednak w obydwu wypadkach śmierć jest niezamierzonym niepożądanym skutkiem ubocznym. To nie wchodzi w grę.

- Może wstrzymał oddech, gdy strzelał sobie w łeb. Przez chwilę pomyślałem, że pośle mnie za karę do kąta.

- Seksualna asfiksja... to kliniczne określenie dewiacji, o której wspominałeś.

Towarzyszy mu zaduszenie, nagłe zahamowanie dopływu krwi, a zatem tlenu do mózgu.

Tutaj do tego nie doszło, prawda? Facet oglądał pornosa, przystawił sobie pistolet do głowy i pociągnął za spust.

Miałem na końcu języka naprawdę zabawną odpowiedź, że przypadkowo rozwalił

sobie niewłaściwą półkulę, czasami jednak słucham swojego dobrego anioła, więc zamiast tego

zasugerowałem:

- Może użył filmu, aby oderwać myśli od przykrego zadania. Takie odwrócenie uwagi... rodzaj psychicznego znieczulenia. - Przypomniałem sobie rozmowę z zaprzyjaźnioną psycholożką i dodałem: - Jest jeszcze jedna rzecz, którą należy rozważyć. Poprzez sposób śmierci samobójcy często komunikują, o czym myśleli, jakie były ich ostatnie myśli.

- Rozumiem... Rozpoznam, kiedy coś takiego zachodzi. - Spojrzała w zamyśleniu na ciało Clifforda Danielsa i zapytała: - Jak sądzisz, o czym myślał w ostatniej chwili swojego życia?

- O kuli kalibru dziewięć milimetrów.

Pewnie moje kiepskie dowcipy wystawiły na szwank jej cierpliwość, bo powiedziała:

- Spróbuj jeszcze raz.

- To, co widzisz, nie musiało być wynikiem świadomych lub celowych działań ofiary.

Może był to efekt ostatniego impulsu narcystycznego. Czegoś w rodzaju podprogowego ekshibicjonizmu uwolnionego z wszelkich ograniczeń.

- Tak sądzisz?

- Sądzę, że Clifford miał jedną cechę, która odróżniała go od pozostałych. Nie uważasz? Może chciał, aby właśnie takiego go zapamiętano.

Nie powiedziała, co sądzi na temat mojej hipotezy, lecz zauważyła:

- Faceci są naprawdę dziwni.

- Rzuć okiem na pierwszy lepszy stojak z magazynami, a przekonasz się, że mężczyźni nie mają monopolu na seksualny ekshibicjonizm... narządy o wybujałej wielkości lub erotyczne dziwactwa.

- Kto twoim zdaniem kupuje te pisma? I dlaczego? Zwróciłeś uwagę na interesujący szczegół. Skonsultuję się z psychiatrą w tej sprawie.

Jej słowa stworzyły okazję, na którą czekałem.

- Dlaczego tu jesteś? Bierzesz udział w dochodzeniu?

- A ty?

- Panie pierwsze.

- Och... czyżbyś był dżentelmenem? - Roześmiała się, chociaż jej uwaga wcale nie była zabawna.

Powinienem wyjaśnić, dlaczego zadałem to pytanie. Jasnobrązowy kostium Bian Tran nie był typowym kobiecym strojem, lecz mundurem polowym z pustynnym kamuflażem i godłem armii Wuja Sama wyszytym nad jej prawą piersią.

Wojskowy mundur ma wymiar ilustracyjny i informacyjny. Na przykład emblemat na prawym kołnierzyku - skrzyżowane pojedynkowe pistolety - oznaczał, że Tran służy w żandarmerii wojskowej, co mogło tłumaczyć jej obecność w tym miejscu. Złoty liść na drugim kołnierzyku informował, że była majorem, a wojskowe naszywki wskazywały, iż zdobyła wszechstronne doświadczenie i wykonała swój obowiązek obrony zachodniej cywilizacji.

Powinienem dodać kilka słów na temat osoby, która ten mundur nosiła. Tran miała gęste, proste czarne włosy rozczesane na środku głowy i sięgające ramion - zgodnie z wojskowymi przepisami, których nie przestrzegają wszystkie panie. Duże czarne oczy miały w sobie coś azjatyckiego, a łukowato wygięte brwi nadawały jej twarzy przebiegły wyraz.

Oceeniłem jej wiek na jakieś trzydzieści lat, co oznaczało, że była młoda jak na swój stopień.

Przypuszczalnie doskonale się znała na swojej robocie. W jej oczach dostrzegłem przenikliwą inteligencję.

- Zapytałam, dlaczego tu jesteś - powtórzyła.

Jej nazwisko i powierzchowność wskazywały, że była Wietnamką, chociaż mówiła bez obcego

akcentu, wręcz idealnie - używała właściwych idiomów, tonu głosu i fleksji Amerykanina. Miała dyskretny makijaż i jeśli zaciekawili was to tak, jak zaciekawilo mnie, nie nosila obrączki. Na nadgarstku zauważyłem praktyczny sportowy zegarek z czarnym plastikowym paskiem, mały złoty sygnet West Point oraz pokryty plastikiem wojskowy identyfikator na szyi.

W sumie Bian Tran była imponującym okazem żołnierskich cnót - wysportowana, zdrowa i świeża, gotowa w każdej chwili zagrać w siatkówkę plażową lub ruszyć do szturmowania wioski nieprzyjaciela, zależnie od okoliczności.

Teraz sprawiała wrażenie lekko zagniewanej.

- Pamiętasz dziecianną zabawę „pokażę ci, jeśli pokażesz mi pierwszy”?

- Czy nie za wcześnie na to? Prawie cię nie znam.

- Powiesz mi, dlaczego tu jesteś?

Dodam, że była atrakcyjną kobietą, chociaż w naszej nowej armii nie zwracamy uwagi na takie rzeczy. Żołnierz to żołnierz, a pożądanie to nic innego jak słabość, na którą mają monopol hedoniści przebywający za bramami koszar.

Nie wspomniałem, że pod jej polowym mundurem kryło się piękne ciało. Smukłe, muskularne i zmysłowe.

Wiedziałem, że jej cierpliwość się wyczerpała, więc ochoczo przedstawiłem swoje idealne alibi.

- FBI ma oficera łącznikowego na posterunku policji w Arlington. Ponieważ denat jest

- a raczej był - pracownikiem Departamentu Obrony, nasz człowiek uznał, że powinniśmy się temu przyjrzeć.

- Co to oznacza?

- Gdyby okazało się, że doszło do popełnienia morderstwa, moglibyśmy przejąć dochodzenie. Samobójstwo leży poniżej godności i zainteresowań FBI, więc pozwolilibyśmy, aby sprawą zajęli się miejscowi.

- To bardzo wspaniałomyślne. - Przyjrzała mi się uważnie. - Dlaczego FBI miałyby się tym zainteresować, gdyby w grę wchodziło morderstwo?

- Nie powiedziałem, że musimy wziąć tę sprawę. Moim obowiązkiem jest jedynie złożenie raportu. Decyzję podejmują ważniacy na górze.

Skinęła głową.

- A ty? Dlaczego armia interesuje się śmiercią cywila pracującego w Departamencie Obrony?

- Nie pracuję dla armii. Przydzielono mnie do specjalnej jednostki śledczej podlegającej sekretarzowi obrony. Policja w Arlington powiadomiła biuro Cliffa Danielsa o jego śmierci. Zadzwonili do nas i w ten sposób się tu znalazłam.

- Prowadzisz dochodzenie czy gromadzisz fakty?

- Podobnie jak ty mam sporządzić raport w sprawie okoliczności śmierci Danielsa. Nic ponad to.

- Znałaś denata?

- Nie.

- Kto otrzyma raport?

- Adresatem będzie biuro sekretarza obrony. Zostanie przeczytany przez jednego z jego asystentów i przypuszczalnie trafi do kosza.

- Po chwili dodała: - Chyba że pan Daniels został zamordowany.

- A wówczas?

- Byłaby to moja pierwsza sprawa tego rodzaju. Zwykle nie zajmujemy się przestępstwami z

użyciem przemocy. Naszym chlebem powszednim są oszustwa, kradzieże i przypadki molestowania seksualnego. Przypuszczam, że biuro sekretarza obrony przesłałoby wówczas pismo do policji w Arlington z prośbą o informowanie nas o przebiegu śledztwa.

Uśmiechnąłem się.

- Trudno w to uwierzyć, prawda? Śmierć... generuje lawinę dokumentów.

- Fakt - odparła z uśmiechem. - Posłuchaj, muszę porozmawiać z detektywem prowadzącym śledztwo. Możesz mi wyświadczyć przysługę?

- Z przyjemnością.

- Nie potrzebuję ani nie chcę od ciebie wiele, Drummond. Wystarczy, że zwrócisz uwagę na teczkę.

- Teczkę? Nie widzę tu żadnej...

- Tę. - Wskazała palcem. - Tę, którą przypadkiem wsunąłeś pod łóżko.

- Ach... skądże...

Dotknęła palcem mojej klatki piersiowej.

- Chcę, aby pobrano z niej odciski palców. Wolałabym nie znaleźć na niej twoich.

Rozdział drugi

W chwili gdy Bian Tran wyszła z sypialni, zmieniłem pozycję - podszedłem do łóżka i stanąłem za plecami śledczego, który pochylony nad ciałem zbierał pincetą próbki z pościeli.

Odchrząknąłem i zapytałem:

- Co pan znalazł?

- Opiszę wszystko w raporcie - odpowiedział.

- Rozumiem, czy mógłbym jednak...

- Nie słucha pan, co mówię? Powiedziałem, że napiszę o tym w raporcie.

Zrobiłem krótką przerwę, a następnie wyjąłem z kieszeni długopis i mały zielony notatnik.

- Jak się pan nazywa?

- Co?

- Pana nazwisko? Słucham. Wyprostował się.

- O co chodzi?

- Potrzebuję tego do mojego raportu.

- Co do jasnej...

- FBI potrafi toczyć monumentalne zmagania o takie idiotyczne drobiazgi jak niewłaściwy rzeczownik w funkcji atrybutowej czy bezokolicznik nieciągły. Literówki potrafią ich doprowadzić do szaleństwa - dodałem. - To pewnie dlatego, że zatrudniają zbyt wielu prawników i księgowych. Wie pan, to całkowicie do dupy.

- Nie wiem, o czym pan...

- To proste. Potrafię napisać „utrudnia dochodzenie federalne”, muszę się tylko upewnić, że właściwie zapisałem pańskie nazwisko, panie...?

- Reynolds... Timothy Reynolds. - Odwrócił się w moją stronę i nosowym piskliwym głosem powiedział: - Staram się jedynie wykonywać swoją pracę.

- Tak jak my wszyscy, Tim. - Mignąłem mu przed nosem swoją fałszywą legitymacją FBI. - Co pan tu znalazł?

Timothy zawahał się przez chwilę, nie wiedząc, czy wykonywać dalej swoją robotę, czy udobruchać niecierpliwego dupka z federalną odznaką.

- Nic rozstrzygającego. Na pierwszy rzut oka wygląda, że denat popełnił samobójstwo.

- A jakby pogrzebać głębiej?
- Nie mogę udzielić rozstrzygającej odpowiedzi, dopóki nie przeprowadzimy badań laboratoryjnych.
- Oczywiście.
- Nie pobraliśmy odcisków z broni.
- Rozumiem.
- To bardzo ważne, oprócz tego...
- Odnotowałem to.
- Oprócz tego trzeba będzie przeprowadzić pełne badania toksykologiczne i serologiczne. Jeśli ofiara znajdowała się pod wpływem narkotyków lub alkoholu, może to oznaczać...

Jasna cholera.

- Zamknij się, Tim. - Wzięłem głęboki oddech, próbując przypomnieć sobie swoje pytanie. - Czy są jakieś dowody materialne, na które powinniśmy zwrócić szczególną uwagę w obecnej fazie śledztwa?

Można przyprowadzić konia do wody, lecz nie można go zmusić, aby pił. Tim spojrzał na ciało przez ramię i odpowiedział:

- To interesujące. Myślę, że...
- Tim, czy pytałem cię, co myślisz? Podaj mi fakty.
- Tak... w porządku. Na początek, prześcieradła zmieniano i prano raz na tydzień. Tak powiedziała sprzątaczką. To ważna informacja, bo określa ramy czasowe. Ślady i cząstki na prześcieradle pochodzą z ostatnich siedmiu dni.

Otworzyłem notatnik, coś w nim nagryzmoliłem i powiedziałem:

- Ramy czasowe... tak, tak, to ważne... - W rzeczywistości zacząłem szkicować sylwetkę Tima stojącego w pozycji wyprostowanej, opierającego się na poręczy krzesła i oglądającego za siebie, z rękami wyciągniętymi ku...

- Na poduszce jest wiele włosów ofiary - ciągnął Tim. - Są też siady potu. Tego można było oczekiwać. Wszyscy tracimy włosy i pocimy się w trakcie snu. Oprócz nich są też inne włosy i kosmyki.

Zmazałem krzesło i Tim zaczął gwałtownie kopać nogami. Podniosłem głowę.

- Włosy kogoś innego?
- Cóż... zmarły ma siwe włosy, szorstkie i krótko przystrzyżone. W pościeli znalazłem kilka rudych włosów oraz bardzo cienkich włosów blond. Jedne i drugie są całkiem długie, co wskazywałoby, że należały do kobiety... - Ponownie przybrał hipotetyczny ton i dodał: - To tylko moje domysły. Przed sformułowaniem ostatecznych wniosków trzeba będzie przeprowadzić analizę chromosomów.

- Więcej niż jednej kobiety?

- Cóż... na obecnym etapie...

- Tak czy nie.

- Hm... tak.

Dobry Boże. Mimo chorobliwej awersji Tima do zdań oznajmujących, nasza rozmowa przybrała interesujący obrót.

- Zbadaliście łazienkę?

- Od niej zaczęliśmy. Łazienka jest zwykle prawdziwą kopalnią złota.

- Co znaleźliście?

- Więcej włosów. Czarnych i rudych oraz trochę włosów denata w umywalce.

Przypuszczalnie po goleniu. Oprócz tego typowe ślady włosów łonowych na sedesie.

- Dodatkowo potwierdzających, że w mieszkaniu przebywały inne kobiety?

- Na to wygląda... tak, może nawet trzy. - Domyślił się następnego pytania i szybko dodał: -

Zbadałem prześcieradło w podczerwieni. Natrafiłem na interesujące ślady...

przypuszczalnie spermy. Nie wiem, czy te ślady są nowe, czy stare.

Cliff Daniels z przeciętnego faceta w szarym bawełnianym garniturze przeistoczył się w znacznie bardziej skomplikowaną i tajemniczą postać. Wzbudziło to kilka sugestywnych pytań, nie wspominając o mrocznych i ponurych wątpliwościach.

Mężczyzna, który w ciągu jednego tygodnia idzie do łóżka z dwiema kobietami, lubi życie na krawędzi. Ten facet nie musiał sztucznie się podniecać - wystarczyło zadzwonić po dwie lub więcej kobiet, aby się o to zatroszczyły.

Właśnie do czegoś takiego tu zapewne doszło. Spojrzałem na leżące na łóżku ciało i zadałem sobie oczywiste pytanie: Co robił Clifford w godzinie poprzedzającej śmiertelny strzał? Czy zginął samotnie, czy ktoś mu towarzyszył?

- Czy cokolwiek wskazuje, że uprawiał seks w chwili śmierci lub na krótko przed nią?

- Wydaje się to oczywiste, prawda? Mam zamiar pobrać ślady z naskórka członka i zbadać je w laboratorium. Z tego, co widzę... lub czego nie widzę... nie ma wyraźnych śladów spermy lub płynu pochwowego na członku. Możliwe, że ofiara sama się pobudzała.

Spojrzał na mnie wyczekująco, gdy zastanawiałem się, czy zadać mu kolejne pytanie, czy zwyczajnie się zabić. Kiedy nic nie odpowiedziałem, zapytał:

- Mogę wrócić do pracy?

- Jasne. Co cię powstrzymuje?

- Cóż... pan.

- Nonsens.

- Och... żartowałem - odpowiedział, wybuchając piskliwym śmiechem.

Spojrzałem na niego.

- Jeśli znajdziesz coś interesującego, zawołaj mnie natychmiast. Będę w salonie. -

Odwrociłem i zacząłem iść w kierunku drzwi, gdy nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. -

Słuchaj...

Spojrzał na mnie uważnie.

- Z iloma samobójstwami miałeś do czynienia?

- Nie mam pojęcia. Sporo tego było. W tej części kraju poziom stresu bywa niebezpiecznie wysoki. W naszym hrabstwie mamy więcej samobójstw niż zabójstw.

- Ilu z nich dokonano z użyciem broni?

- Niewielu. W minionym roku nie więcej niż trzy. Najbardziej typowe jest przedawkowanie leków i podcięcie żył. Większość samobójców to nastolatki, których nie stać...

- Rozumiem... dziękuję. Zauważyłeś ślady krwi na broni?

- Tak, kilka. Strzał oddano z bliskiej odległości. Pistolet odrzuciło do tyłu. Oprócz tego nawet gołym okiem widać drobiny prochu na skroni ofiary. Oznacza to...

- Wiem, co to oznacza. Czy potwierdzono, że broń była własnością denata? - zapytałem.

- Jeszcze nie. Numer seryjny jest niewidoczny. Trzeba odwrócić pistolet. Nie zmieniamy ułożenia przedmiotów do czasu zakończenia badania miejsca zdarzenia.

Wskazałem na tłumik umieszczony na lufie.

- Czy słyszałeś kiedykolwiek o tym, aby samobójca użył tłumika?

- Hm..

Tak czy nie? - przypomniałem sobie, że należy wyraźnie określić, o co chodzi.

- Nie.

Czy nie uderzyło cię, że tłumik nie pasuje do sytuacji?

- Wyciąganie wniosków pozostawiam detektywom.

- Tak powinno być, chyba że zapytam cię, co o tym sądzisz.

- Tak. To niezwykle. - Byłem pewny, że Tim uważał to za bardziej niż niezwykle, wręcz podejrzane, lecz został nieubłaganie wciągnięty w orbitę wyrazów określających i rzeczowników atrybutywnych, dodał bowiem: - Przypuszczam, że można by pomyśleć, iż ofiara nie chciała zakłócać snu sąsiadom. Taki ostatni gest uprzejmości. Może nie chciał, aby znaleziono jego ciało. Czasami samobójcy podejmują duże starania, aby nie zwrócić na siebie uwagi.

- Rozumiem. - Niekiedy chodzi o drobiazgi. W istocie niemal pod każdym względem śmierć Danielsa wyglądała na samobójstwo. Pod każdym z wyjątkiem dwóch. Zacznę od wyrazu twarzy denata - szeroko otwartych oczu, skrzywionych ust, zastygłego wyrazu szoku i zdumienia. Mam wrażenie, że większość samobójców w ułamku sekundy poprzedzającym wpakowanie sobie kulki w głowę odruchowo zamyka oczy, ściąga usta i napina mięśnie twarzy - to, co się za chwilę wydarzy, będzie bardzo bolesne, a umysł i ciało instynktownie, wręcz odruchowo, wyprzedzają ból.

Ergo, szok i zaskoczenie wydały mi się czymś nie na miejscu. W końcu popełnienie samobójstwa było jego pomysłem. Na pośmiertnej masce Danielsa spodziewałbym się wyrazu ulgi, gniewu, smutku i cierpienia lub jakiejś wypadkowej tych uczuć.

Drugą dziwną rzeczą był tłumik. Nawet jeśli pistolet należał do Clifforda, tłumik był rzeczą trudno dostępną, drogą i niezwykłą nawet u kolekcjonera broni. Wiecie, miłośnicy broni palnej lubią głośne wystrzały. Nie, tłumik to narzędzie zabójcy.

Żadna ze wspomnianych niespójności nie wykluczała samobójstwa ani sama w sobie nie sugerowała morderstwa, łącznie budziły jednak wątpliwości, a wątpliwości są niczym termity - jeśli je ignorujesz, czynisz to na własne ryzyko.

Właśnie miałem zamiar zadać Timowi kolejne pytanie, gdy usłyszałem dźwięk kroków. Odwróciłem się w samą porę, aby zobaczyć major Bian Tran wchodzącą do sypialni w towarzystwie wysokiego, szczupłego czarnoskórego mężczyzny w tweedowej marynarce.

Dżentelmen ów był zdumiewająco podobny do aktora grającego Aleksa Crossa w filmie *W sieci pająka*. Gość miał blizny po trądziku na twarzy, włosy w kolorze soli i pieprzu oraz zamyślane brązowe oczy. Pomyślałem, że to dziwne.

Dżentelmen ów spojrzał na mnie tak, jakby był czymś wkurzony. Major Tran przyglądała mi się z wyrazem rozbawienia w oczach.

Rozdział trzeci

Czarnoskóry mężczyzna podszedł do mnie i zadał dwa bezpośrednie pytania:

- Kim, do diabła, jesteś? I co, do jasnej cholery, robisz w miejscu popełnienia przestępstwa, którym się zajmuję?

Wyciągnąłem legitymację i mignąłem mu ją przed oczami.

- Agent specjalny Drummond.

Wyrwał dokument i przyglądał mu się przez chwilę.

- Kim pan jest? - zapytałem.

- Sierżant Barry Enders. To moje śledztwo.

Spojrzałem na major Tran. Była najwyraźniej czymś zajęta, bo unikała mojego wzroku.

Enders włożył moją legitymację do kieszeni i powiedział:

- Słuchaj, Drummond... jeśli to twoje prawdziwe nazwisko... wszedłeś na miejsce popełnienia przestępstwa, posługując się sfałszowaną legitymacją federalną. Wtargnąłeś na teren prywatny i okłamałeś moich ludzi. Co my tu mamy... - zaczął wyliczać na palcach -

podszywanie się pod agenta federalnego... wtargnięcie... utrudnianie śledztwa policji... daj mi minutę, a znajdę trzy lub cztery dodatkowe przestępstwa.

Sięgnął do pasa i wyciągnął kajdanki. Kiepska sprawa. Spojrzałem na Tran. Tym razem odpowiedziała na moje spojrzenie, a właściwie uśmiechnęła się.

- Co tu się dzieje?

- Żaden doświadczony agent nie wchodzi do domu, w którym Popołniono morderstwo, bez środka dezynfekującego. Nowicjusze Popołniają ten błąd, lecz czynią to tylko raz. To wzbudza podejrzenia, prawda? Wysłałam i zapytałam Barry'ego, co o tobie wie.

- Zgadnij, czego się dowiedziała, sprytny dupku - wtrącił się Enders. - FBI nie ma oficera łącznikowego na posterunku policji w Arlington.

- Jesteś bardziej inteligentna, niż na to wyglądasz - rzekłem do Tran.

- O tobie nie można tego powiedzieć. - Po chwili dodała: - Zadzwoniliśmy do kwatery głównej FBI i spytaliśmy, czy pracuje dla nich agent specjalny Sean Drummond. Wiesz, co odpowiedzieli?

Nie musiałem zgadywać, bo Enders wtrącił się ponownie:

- Zaczniemy od twoich praw. Masz prawo...

- Mam prawo nie wysłuchiwać moich praw.

- Do diabła... zabawny gość. Kim jesteś? Reporterem? Zignorowałem obelgę.

- Zapiszcie ten numer.

- Dlaczego?

- Zróbcie, co wam powiedziałem, detektywie. Natychmiast. Spojrzał zdziwiony.

Toczyliśmy ze sobą samcze zmagania o to, kto kogo bardziej wkurzy. Patrzylibyśmy sobie w oczy przez całą wieczność, gdyby któryś z nas nie ustąpił. Kobiety są lepsze w te klocki -

uśmiechają się, mówią coś miłego i pojednawczego, a mszczą się później.

Na szczęście Tran wyciągnęła z kieszeni ołówek i notes, mówiąc:

- Podaj mi go.

- Numer miejscowy pięćset pięćdziesiąt pięć-czterdzieści dwa dziewięćdziesiąt.

Zadzwoń i zapytaj, co macie ze mną zrobić. - Tran notowała, gdy mówiłem.

Enders zrobił kolejny groźny krok w moją stronę.

- Następnym telefonem, który wykona ktoś z obecnych w tym pokoju, będziesz ty. Z pudła. Wyciągnij ręce, abym mógł cię skuć.

- Proszę zadzwonić, detektywie.

Tran, która już wcześniej wykazała się sprytem i czujnością, położyła dłoń na ramieniu Endersa i doradziła:

- Czemu mielibyśmy tego nie zrobić?

Sierżant cofnął się niechętnie o krok, wyciągnął komórkę i wprowadził numer, który mu podyktowała.

Obserwowałem cierpliwie, jak słucha dzwonek. Kiedy z drugiej strony podniesiono słuchawkę, przedstawił się i wyjaśnił swój - a właściwie mój - problem. Po dłuższej chwili powiedział:

- Skąd mam wiedzieć, że jest pani tym, za kogo się podaje... Uhm... W porządku...

Tak, proszę pani... Uhm. - Spojrzał na mnie i słuchał przez dłuższą chwilę. - Nie, nie trzeba, proszę pani... Taak, to wystarczy... Właściwie stoi tu przede mną. Podał mi telefon i potarł ucho.

- Facet pracuje dla CIA - powiedział z irytacją i podziwem w głosie. - Rozmawiałem z asystentką jego szefa. - Następnie zwrócił się do mnie i dodał: - Chce z tobą rozmawiać.

Jasna cholera. Wziąłem telefon od Endersa, przez chwilę zastanawiając się, czy go nie upuścić.

Dama po drugiej stronie, Phyllis Carney, była moim przełożonym - starszą panią o wyglądzie i sposobie bycia bajkowej babci oraz dobrotliwym temperamencie dużego złego wilka. Miała około osiemdziesiątki, a zatem już dawno powinna była przejść na emeryturę, co wskazywało, że albo była niezastąpiona, albo znała numer pokoju, w którym członek podkomisji nadzoru nad wywiadem widuje się ze swoją kochanką. Przypuszczalnie w grę wchodziło jedno i drugie, Phyllis bowiem nie lubiła zostawiać niczego przypadkowi.

Oficjalnie była specjalną asystentką dyrektora CIA, co było mglistym określeniem i jako takie najwyraźniej świetnie jej odpowiadało. Chociaż pracowałem dla Phyllis od sześciu miesięcy, nie wiedziałem dokładnie, czym się zajmuje ani kim właściwie jest. Człowiek miał

poczucie, że ją zna i na zewnątrz faktycznie tak było. Jednocześnie było w niej coś ulotnego -

budząca obłąd tajemniczość, jak mógłby powiedzieć jeden z moich przyjaciół pisarzy. Do jej obowiązków należało asekurowanie dyrektora, co było syzyfową robotą w takim demokratycznym kraju jak nasz, w którym szpiegzy wzbudzają nieufność prezydenta, są pogardzani przez dziennikarzy, zakuwani w dyby przez lewicę i demonizowani przez prawicę, a na dodatek w każdej chwili w ich sprawie toczy się nie mniej niż trzydzieści dochodzeń przed Kongresem.

To, że szef wybrał ją do tego przykrego i niewdzięcznego zadania, mówił coś o Phyllis. Właściwie mówił coś więcej, bo przyjęła to wyzwanie, gdy jej koleżanki z ogólniaka leżały dwa metry pod ziemią lub toczyły bój z rakiem i huraganami na amerykańskim cmentarzysku słońi.

Musiała dobrze wykonywać swoją pracę, bo jej szef był drugim najdłużej urzędującym dyrektorem Agencji w robocie, którą tylko nieliczni wykonywali wystarczająco długo, aby przetrzymać książki w bibliotece.

Drummond... telefon. Twój szef - przypomniał mi Enders. Właściwie to lubiłem Phyllis. Była uprzejma i dobrze wychowana w miłym staromodnym stylu, na dodatek rzeczowa i inteligentna. Czasami odnosiłem wrażenie, że ona także darzy mnie sympatią.

Szpiegów i żołnierzy łączy jednak związek, oględnie mówiąc, skomplikowany. Jest to częściowo spowodowane faktem, że wojskowi, kiedy nie asekurowają własnego tyłka, kierują się kodeksem wojskowym - kodeksem, który nakazuje pogardę dla takich pokrętnych działań jak zdrada, oszustwo, podstęp i naginanie zasad moralnych. Tyle że wspomniane cechy powodują, że CIA jest światowej klasy agencją wywiadowczą. Ogólnie sędzę, że jedni i drudzy po prostu sobie nie ufają.

- Drummond - warknął Enders. - Marnujesz cenne minuty mojego hrabstwa.

Odchrząknąłem i przyłożyłem telefon do ucha.

- Przepraszam, że musiała pani czekać. Zabijałem właśnie międzynarodowego terrorystę. - Przerwałem na chwilę. - Udusiłem drania gołymi rękami. Naprawdę cierpiał.

Wiem, że to by się pani spodobało.

Nie odpowiedziała, lecz słyszałem, że ciężko dyszy. Nienawidzę, gdy kobiety to robią.

- Może mógłbym przeprowadzić tę rozmowę z samym sobą? - zasugerowałem po dłuższej chwili. - Na pewno spodobałyby mi się odpowiedzi.

- Nie ma w tym nic śmiesznego, Drummond - odpowiedziała cierpkim tonem. -

Wiesz, jaki jest kardynalny błąd w naszym fachu?

Wiedziałem, że sama chce odpowiedzieć na swoje pytanie, więc nie zareagowałem.

- Zostałeś zdemaskowany - powiedziała. - Chyba nie powinnam ci przypominać, że CIA nie może prowadzić dochodzenia w sprawie morderstwa popełnionego na terenie Stanów. Jeśli ten

detektyw zechce, narobi nam niezłego smrodu...

- Dziękuję. Jestem prawnikiem. Rozumiem.

- Doprawdy? Cóż... *Cucullus non facit monachum*.

Po naszymu oznacza to, że kaptur nie czyni mnicha. Naprawdę mnie to zabolalo.

- Słuchaj, Phyllis...

- Nie, to ty posłuchaj. Przepraszam tego detektywa. Pocałuj go w tyłek... ile razy będzie trzeba, i znikaj. Obiecałam, że natychmiast opuścisz to miejsce.

Spojrzałem na teczkę pod łóżkiem. Bian Tran podążyła za moim wzrokiem i uśmiechnęła się. Musiałem wyrównać rachunki i wiedziałem, jak to zrobić.

Poinformowałem Phyllis, a zatem również Endersa i Tran, którzy zachowywali się niegrzecznie, podsłuchując naszą rozmowę.

- Oczywiście, powiem Endersowi, że zmieniła pani decyzję.

- Co?

- Problemy? Skądże... detektyw Enders wygląda na inteligentnego faceta z poczuciem humoru...

- Niczego nie będziesz wyjaśniał. Powiedziałam ci...

- Komplikacje? Tylko jedna. Proszę zadzwonić do biura sekretarza obrony.

- Drummond! Jesteś głuchy?

- Dokładnie... proszę ich zapytać, co oficer żandarmerii wojskowej robi w cywilnym budynku poza obszarem wojskowej jurysdykcji? Jakim prawem wściubia nos w tę sprawę?

Enders zrozumiał, że coś nie jest w porządku, i rzucił Tran poirytowane spojrzenie. Ta z jakiegoś powodu przestała się uśmiechać i zaczęła sprawiać wrażenie wkurzonej.

- Drummond, chyba postradałeś rozum. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę... - zaczęła równie poirytowana Phyllis.

- Powiedz Jimowi... szefowi... powiedz mu, że porozmawiamy, gdy wrócę. - Po tych słowach rozłączyłem się i oddałem telefon Endersowi, który spojrzał na mnie z prawdziwym szacunkiem.

Patrzyła na mnie także major Tran, przypuszczalnie zastanawiając się, jak spędzić resztę dnia. Po chwili zasugerowała z lekką nutką uznania:

- Musimy zamienić słówko. Na osobności.

- Co jest grane? - zdziwił się Enders. Odwróciłem się w jego stronę i powiedziałem:

- Denat pracował w Pentagonie. Zajmował się bardzo wrażliwymi zagadnieniami, a w jego tezcze są przypuszczalnie ściśle tajne dokumenty. Podejrzewam, że właśnie dlatego znalazła się tu pani major. - Spojrzałem znacząco na Tran i dodałem: - W każdym razie ja przyszedłem właśnie z tego powodu.

- Dlaczego od razu pan tego nie powiedział?

- Pracuję dla CIA. CIA kłamie. Popatrzył na mnie jak na wariata.

- Dopóki nie wyjaśnimy sobie kilku rzeczy z panią Tran, proszę nie dotykać teczki - pouczyłem faceta.

Po tych słowach przeszliśmy przez salon, odsunęliśmy szklane drzwi i stanęliśmy na balkonie. Była to wąska, licząca nie więcej niż metr pięćdziesiąt długości przestrzeń. W dole biegła zakorkowana o tej porze Glebę Road. Wyobraziłem sobie Cliffa Danielsa stojącego w tym samym miejscu co my, z koktajlem w dłoni, przypatrującego się morzu pojazdów i rozmyślającego nad paskudnymi okolicznościami, które miały go skłonić do odebrania sobie życia. Samobójstwo bardzo rzadko bywa aktem spontanicznym, dlatego zastanawiałem się, jakie pasmo nieszczęść i bolączek skłoniło Cliffa do usunięcia własnej osoby z ogólnoludzkiej puli genów.

Z drugiej strony Cliff wcale nie musiał odbywać ze sobą takiej rozmowy - może przeprowadził

ją z nim ktoś inny.

Milczeliśmy dłuższą chwilę. Tran skrzyżowała ręce i spoglądała na wiszące w oddali gąbczaste cumulusy, które nie wydawały się szczególnie interesujące. Typowa babka.

- Zmusiłaś mnie do tego - odezwałem się pierwszy, aby zacząć wszystko od nowa jak należy.

- Cóż... co mam powiedzieć?

- Przepraszam?

- Odpieprz się.

- To prawie to samo - odparłem z uśmiechem. Pokręciła głową.

- W porządku... przepraszam. Słuchaj, Sean...

- Dla ciebie pułkownik Drummond, siostrze.

- Jesteś...? - Początkowe zdziwienie ustąpiło miejsca powątpiewaniu. - Czeka! Już raz mnie okłamałeś. Dlaczego miałabym ci uwierzyć?

Wyciągnąłem portfel i pokazałem jej swoją legitymację wojskową, którą, zgodnie z regulaminem, otrzymałem zaledwie tydzień wcześniej jako dowód nowego stopnia i, miejmy nadzieję, nowego wynagrodzenia. Pozwoliłem, aby uważnie ją obejrzała, obserwując, jak wyraz jej twarzy zmienia się od sceptycyzmu do poirytowania.

Kiedy wsunąłem legitymację do portfela, powiedziała:

- Usłyszałam, jak powiedziałeś kobiecie, z którą rozmawiałeś, iż jesteś prawnikiem.

Co robi w Agencji prawnik pracujący dla armii?

- Nie prosiłem się o ten zaszczyt.

- To dziwaczne.

- Słuszna uwaga. - Ponieważ wyższy stopień oznacza licencję na ciemnienie podwładnych, nie tracąc czasu powiedziałem: - Majorze, macie trzy sekundy, aby wyjaśnić mi, co tu się dzieje?

- Przecież powiedziałam.

- Proszę powtórzyć. Masz moje pozwolenie na zmianę wersji.

- Dlaczego miałabym to robić?

- W porządku. Jestem pewny, że nie będziesz miała nic przeciwk temu, jeśli opuszczę to miejsce z teczką pana Danielsa.

- Szczerze mówiąc, będę bardzo niezadowolona.

- Rozumiem.

Wyglądała na wkurzoną.

- Pułkowniku, proszę pozwolić, że przypomnę, iż Clifford Daniels był pracownikiem Pentagonu. Zawartość tej teczki jest przypuszczalnie własnością armii. Moim zadaniem i obowiązkiem jest jej zabezpieczenie.

- Skądże! Jej zawartość jest własnością rządu Stanów Zjednoczonych. Sąd Najwyższy dawno temu rozstrzygnął tę kwestię.

- O czym ty mówisz?

- O sprawie „Duży Pies kontra Mała Psina”. To znany precedens. Jestem zaskoczony, że o nim nie słyszałaś. - Spojrzała na mnie z brakiem zrozumienia, więc dostarczyłem jej krótkiego technicznego podsumowania sądowego orzeczenia. - Kiedy duży pies obsika drzewo, staje się jego własnością.

Najwyraźniej nie uznała mojej uwagi za zabawną. Przymknęła powieki i oznajmiła:

- W przeciwieństwie do ciebie jestem funkcjonariuszem stojącym na straży przestrzegania prawa. Teczka opuści to miejsce razem ze mną.

- Nie poza obszarem wojskowym, pani major. Jest pani tutaj jedynie damą, która nie ma na

sobie obowiązkowego stroju.

Odchrząknęła.

- Stawiasz mnie w niezręcznej sytuacji.

- Sama się w niej postawiłaś.

- Nie wykręcisz się cywilnymi ciuchami, pułkowniku - powiedziała, patrząc na mnie twardo. -

Nadal jesteś oficerem. Źle by się stało, gdybyś zapomniał, komu jesteś winien lojalność.

- Co to ma znaczyć?

- Sam się zastanów.

Wychyliłem się na zewnątrz, rozmyślając o jej słowach. Chociaż twarz Tran komunikowała inne emocje, wyczułem, że działa pod silną presją i musi wrócić z teczką Daniela. Podobnie jak ja mogła nie wiedzieć, dlaczego to takie ważne, i przypuszczać, że w środku musi być coś cennego. Szczerze mówiąc, miałem zgoła inne przypuszczenia.

- Udam, że nie usłyszałem ostatnich słów.

- Udaj, że przyjąłeś je do wiadomości.

- Czy masz powód, aby podejrzewać, że w rękach Cliffa Daniela znajdowały się jakieś drażliwe lub kompromitujące materiały?

- Skąd miałabym o tym wiedzieć?

- To nie jest właściwa odpowiedź, majorze.

Zawahała się, przypuszczalnie walcząc z pokusą powiedzenia „wal się”, jednak w końcu odparła:

- Pułkowniku, załatwmy to po przyjacielsku. Okej?

- To ty popsulaś przyjacielską atmosferę.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Popeliłam poważny błąd - oświadczyła z ciepłym uśmiechem. -

Jestem w wystarczającym stopniu kobietą, aby się do tego przyznać. -

Wyciągnęła rękę. - Przepraszam. Daj spokój. Zaczniemy wszystko od nowa.

- Obecna sytuacja całkowicie mi odpowiada - odparłem, ignorując jej dłoń.

- W przeciwieństwie do mnie. Jestem pewna, że uda się nam osiągnąć rozsądny kompromis.

Straciłam właściwą perspektywę. Źle znoszę apodyktycznych facetów.

- A co znosisz dobrze?

- To samo co ty. Obowiązek, honor, ojczyznę... wyższe potrzeby tego kraju, którego oboje przysięgaliśmy bronić.

- Nie żartuj... mówiłem poważnie. Roześmialiśmy się.

Intrygująca dama. Oczywiście nigdy nie należy lekceważyć konkurencji. Bian Tran była fascynującą i zaskakująco złożoną kobietą - pewną siebie, energiczną, odważną, a z drugiej strony przebiegłą, bezczelną, sprośną i lekko cyniczną. Pod powierzchnią chłodnej inteligencji i żołnierskiej powierzchowności wyczułem ogromną pasję, tłumioną spontaniczność i niezależność - cechy, które każda bystra dziewczyna służąca w armii trzyma pod kontrolą, a niejednokrotnie tłumi, jeśli pragnie zrobić karierę.

Pomyślałem, że to dziwne. Miałem przed sobą kobietę o egzotycznej urodzie Azjatki, która powinna zachowywać się zgodnie z obyczajami panującymi w dawnej ojczyźnie, być nieprzeniknioną, skromną, poddaną mężczyznom i mieć całą resztę idiotycznie mizogicznych przymiotów, które faceci z kultury zachodniej przypisują kobietom Wschodu.

Właśnie dlatego w ogromnym tyglu Ameryki stereotypy są tak niebezpieczne - ograniczają horyzonty myślowe, kształtując nasz punkt widzenia i sposób postępowania. Człowiek, którego postrzegasz w stereotypowy sposób, może ci nieźle dokopać.

W każdym razie uznałem, że czas najwyższy wyłożyć karty na stół.

- Cliff Daniels był inwigilowany przez FBI i CIA. Spojrzała na mnie osłupiała.

Udałem, że tego nie zauważyłem:

- Sądzę, że o tym wiedziałaś.

- Skąd wiesz?

- Ty mi to powiedz. Wyglądała na poirytowaną.

- Nie miałam zielonego pojęcia. Może nasza rozmowa posuwałaby się w szybszym tempie, gdybyś mnie oświecił.

- Być może, jednak ty tego nie uczyniłaś. - Nie wiedziałeś... Musiałeś coś podejrzewać.

- Miałem więcej niż podejrzenia. W jakich sprawach dwie siostrzane agencje działają ręką w rękę?

- Och... - Wydawała się autentycznie zaskoczona moimi nowinami. - Naprawdę nie miałam pojęcia.

- Teraz już wiesz. Jako glina zdajesz sobie sprawę, że w razie podejrzenia o szpiegostwo Departament Obrony ustępuje pola FBI i CIA. Walizka pojedzie ze mną.

Przez chwilę zastanawiała się, jakie ma pole manewru. Chociaż nie miała wyboru, podjęła ostatnią próbę.

- Pod jednym warunkiem.

- Czyżbym zasugerował, że proszę cię o pozwolenie?

- Tylko mnie wysłuchaj, dobrze? Zawrzyjmy układ.

- Nie potrzebuję ani nie chcę żadnego układu.

- Zapewniam cię, że chcesz. Opuścimy to miejsce z walizką i wspólnie ją przeszukamy. - Mówiąc to położyła dłoń na moim ramieniu. - To uczciwy układ. Jestem oficerem żandarmerii wojskowej przydzielonym do specjalnej jednostki śledczej. Jeśli coś znajdziemy, szybciej się w tym połapię od ciebie.

Po dłuższej chwili milczenia, dodała:

- Moja jednostka podlega bezpośrednio sekretarzowi obrony, gramy na własny rachunek. Kiedy o coś pytamy, ludzie udzielają odpowiedzi.

- Przypominacie gestapo. Spojrzała mi prosto w oczy.

- Nie jesteśmy tacy mili jak oni. - Po chwili wręczyła mi komórkę, mówiąc: -

Zadzwoń do swojego szefa i poproś, aby skontaktował się z Pentagonem.

- Chwileczkę, moim szefem jest babka - wyjaśniłem, biorąc do ręki aparat. -

Wścieknie się.

- Wygląda na to, że jest twardzielem. - Spojrzała na mnie ze współczuciem. -

Przepraszam raz jeszcze. Nie chciałam cię wpakować w kłopoty.

Odsunęła szklane drzwi i weszła do środka, a następnie stanęła w przeciwległym kącie salonu, zakładając ręce i udając, że wpatruje się w dywan. W rzeczywistości bacznie mnie obserwowała.

Otworzyłem klapkę telefonu i zadzwoniłem do Phyllis. Odebrała panna Teri Jung, jej urocza i bardzo życzliwie nastawiona sekretarka, i kazała mi czekać. Wyczułem, że szefowa nie jest w pogodnym nastroju, ponieważ rozpoczęła naszą rozmowę słowami:

- Drummond, jestem z ciebie bardzo niezadowolona.

- Rozumiem.

- Lepiej, żebyś zadzwonił do mnie z samochodu.

- Rozumiem.

- Oczekuję dobrego wyjaśnienia idiotycznego zachowania podczas ostatniej rozmowy.

- Rozumiem.

- Jeśli jeszcze raz powiesz „rozumieć”...

- Czy jesteś gotowa, żeby mnie wysłuchać? Usłyszałem głębokie westchnienie.

Staram się nie wydobywać z szefowej jej najlepszych cech. Wspomniała o czymś, co już wiedziałem, że oczekuje dobrego wyjaśnienia.

Zwięźle przedstawiłem swoje obserwacje i wnioski, dodając, że ktoś mógł pomóc Cliffowi w rozstaniu się ze światem, że major Tran przejawia podejrzaną skłonność terytorialną wobec jego teczek, i że może ona zawierać jakieś obciążające lub jeszcze gorsze materiały. Phyllis jest dobrym słuchaczem - nie można jej zarzucić braku cierpliwości -

dlatego nie przerywała mi ani nie dodawała żadnych komentarzy, dopóki nie skończyłem.

- To interesujące - zauważyła, kiedy przestałem mówić.

- Wiem, dlaczego uważam tę sprawę za interesującą. Dlaczego jesteś podobnego zdania?

- Cóż...

Dzisiejszego dnia mieliśmy kiepski start.

- Zaczynaj od początku. Milczenie.

- Phyllis, jestem w to zaangażowany. Powiedz mi, co jest grane, bo pozwolę Tran zabrać teczkę.

- Zbyt ciekawość może ci zaszkodzić.

Chyba chodziło jej o to, że może zaszkodzić jej samej, co mogło oznaczać jedno i to samo.

- Mam trzy pytania - powiedziałem. - Kim jest Cliff Daniels? Dlaczego CIA i FBI się nim interesuje? I na koniec: Dlaczego ja się tu znalazłem?

- Sytuacja jest niezręczna... Trudno mi o tym mówić na otwartej linii. - Po krótkiej chwili dodała: - Gdybyś czytał gazety, zauważyłbyś, że w numerze „Washington Post” z ubiegłego tygodnia napisano o wezwaniu Clifforda Danielsa do złożenia zeznań przed Podkomisją Nadzoru nad Wywiadem.

- Dlaczego?

- Pewnie dlatego, że Cliff Daniels współpracował z Mahmudem Charabim.

W najnowszych wiadomościach pojawiają się nazwiska wielu Arabów, znałem jednak to, które wymieniła. Dwadzieścia lat temu Mahmud Charabi uciekł z Iraku, w ostatniej chwili wymykając się z rąk zbirów Saddama Husajna, który nie bez powodu deptał mu po piętach.

Później przeprowadzono kilka nieudanych zamachów na życie Charabiego - płatny zabójca próbował go sprzątnąć w londyńskim hotelu, a w Paryżu ostrzelano go przed wejściem do nocnego klubu. Później Saddam odwołał swoje psy, ponieważ inni irakijscy uchodźcy stali się ważniejszym celem lub uznano, że nie jest już dłużej wart wysiłku. Charabi stał się wiecznym tułaczem, człowiekiem bez korzeni. Szukał schronienia najpierw w Szwajcarii, a później w Londynie i Paryżu, by w końcu zamieszkać w Waszyngtonie. Podobnie jak wielu uchodźców, którymi kierowała nienasycona ambicja i dawne urazy, założył organizację, której celem było wyzwolenie ojczyzny - Iracką Konferencją Narodową.

Wiele grup opozycyjnych i wyzwoleniczych to nic innego jak kluby towarzyskie stworzone przez pogrążonych w nostalgii expatriantów - stowarzyszenia na rzecz groteskowej przegranej sprawy lub zwyczajny przekręt mający na celu wyłudzenie pieniędzy od łatwowiernych głupców. Świat jest nikczemnym miejscem, pełnym paskudnych tyranów, nienawistnych przesądów, dawnych nieodpokutowanych win, głodu, chorób, ludobójstwa i bratobójstwa. Oczywiście wszystkiemu jest winna puszka Pandory, chociaż podejrzewam, że może mieć z tym coś wspólnego ludzka natura. Na każde zło przypada przynajmniej jedna osoba, która chce je naprawić.

W Waszyngtonie są tysiące rewolucjonistów-expatriantów, którzy rywalizują o to, aby ich

marzenia i cele znalazły się na liście pilnych spraw Wuja Sama. Kilku szczęśliwców znalazło nawet bogatego i/lub wpływowego mecenasa finansującego lobbującego w ich sprawie. Musi być coś romantycznego i awanturniczego w cudzoziemcach głoszących wniosłe hasła, ponieważ są bardzo poszukiwani przez hollywoodzkie gwiazdy pragnące zabrać głos w doniosłej sprawie podczas koktajli organizowanych w Dystrykcie Columbii oraz bardziej znanych salonach Georgetown. Właściwie czemu nie? Xian rozprawiający o wyzwoleniu udręczonego Tybetu wydaje się bardziej wzniósłszy od mężulków plotkujących przy stole o opłatach za pole golfowe w ekskluzywnym ośrodku rekreacyjno-sportowym należącym do Kongresu. Osobiście wolę proste towarzystwo, gdy jem, a już z pewnością, gdy piję.

Nie mam wątpliwości, co przyciąga entuzjastycznych uchodźców do brzegów Ameryki - nasza potężna siła, której są tak dotkliwie pozbawieni; nasza mentalność „światła na błyszczącym wzgórzu” i ich palce wskazujące mroczne miejsca; amerykańska wiara we własne siły i gotowość współczucia oraz ich pragnienie, aby to wykorzystać.

Ameryka ma w swoich dziejach niechlubną kartę ujarzmiania innych narodów, co nie przekreśla faktu, że w ostatnim czasie próby narzucenia trwałej dominacji nie zawsze były udane. Na dodatek trudno dzisiaj znaleźć światową potęgę, która byłaby skłonna występować przeciwko małym państwom w sprawiedliwej sprawie. Europejczycy już tego próbowali. W

rezultacie stracili ochotę na cudzoziemskie terytoria, knucie intryg i ryzykowne eskapady, które zwykle kończyły się fatalnie. Z kolei Rosjanie i Chińczycy są zupełnie pozbawieni skłonności do działań charytatywnych. Wyzwalają narody tak, jak mafia pożyczka pieniądze -

na lichwiarski procent. W odróżnieniu od nich Amerykanie są hojni, jeśli nie naiwni, a na dodatek przekonani o swoim mesjańskim powołaniu oraz tym, że rozwiązania, które są skuteczne w ich kraju, okażą się takie gdzie indziej. Ameryka to Nowy Świat, inne państwa to Stary Świat, a jak wiadomo nowe jest zawsze lepsze od starego. Prawda?

Jak wcześniej wspomniałem, Waszyngton przyciąga wielu zelotów pragnących pożyczka pieniądze od Wuja Sama oraz legiony innych, którzy chcieliby nam poprzestawiać dekoracje. Niektórzy są prawdziwi, a ich opowieści o ucisku i niedoli oraz ponury optymizm naprawdę rozdzierają serce. Inni to szarlatani, oszuści, pozerzy i dranie. Niestety, trudno odróżnić jednych od drugich, a człowiek, który popełni błąd, otrzyma w prezencie długą listę zabitych i krótką listę wymówek. Kilku szczęśliwcom, takim jak szach Pahlawi lub Aristide, udało się spełnić swoje marzenie, chociaż dwaj wymienieni nie są przypuszczalnie najszcześniejszym przykładem.

Sprawa jest naprawdę interesująca. Moje irlandzkie pochodzenie sprawia, że dostrzegam w tym pewną ironię. Zamiast przekonać obcych, aby toczyli ich wojny, moi przodkowie mieli niepokojący; nawyk migrowania w ogromnych piegowatych gromadach, aby staczać bitwy za innych.

Dowodzi tego żenująco długa tradycja w dziejach rodu Drummondów. W roku 1862 mój prapradziadek, Alfonso, uciekł z Irlandii, rzekomo przed głodem ziemniaczanym. Pewna brzemienna dama i jej poirytowany ojciec z dubeltówką mogliby dodać do tej opowieści kilka interesujących, pikantnych szczegółów. Wałęsając się po dokach w zatoce Nowego Jorku, Alfonso z ochotą przyjął sto dolców od zamożnego mieszkańca tego miasta w zamian za wyruszenie zamiast niego na wojnę secesyjną. W rezultacie Alfonso odsłużył trzy lata w piechocie, uczestnicząc w wojnie, o której przyczynach nie miał zielonego pojęcia, zabijając ludzi, do których nie odczuwał żadnej nienawiści, na rozkaz kogoś, kto zasługiwał, by tam być, i twierdził, że Ameryka to prawdziwa Ziemia Obiecana.

Mój pradziadek, Seamon, spędził niemal rok w okopach wojny, która miała być ostatnią z wojen - później nazwaną pierwszą wojną światową, gdy pierwotna nazwa okazała się myląca. Do końca

życia utrzymywał, że wyruszył do Europy, nie mając zielonego pojęcia, iż Niemcy, wobec których nie żywił żadnych negatywnych uczuć, zabijali szczerze przez niego pogardzanych Anglików i Francuzów, których uważał za zadzierających nosa błaznów i którym przydałby się buciór Hunów na gardle. Nauczony tym doświadczeniem do końca życia czytał gazety od deski do deski.

Dziadek Erasmus wylądował na plaży w Normandii, zabłądził w lesie Huertegen i spędził ostatnie lata drugiej wojny światowej, tkwiąc beczynnym w stalagu XVIII. Później zaklinał się na Boga, że były to najspokojniejsze i najprzyjemniejsze lata jego życia. Aby mu uwierzyć, musielibyście poznać moją babkę Mary.

Mój ojciec został zawodowym wojskowym, piął się po szczeblach kariery wojskowej, walcząc w górzystych i zalesionych rejonach o nieznanymi nazwami, których człowiek nie potrafi wymówić. Bił się z komunistami w Korei i odsłużył niemal dwie zmiany w Wietnamie

- w wojnie kiedyś nazywaną „wojną zapomnianą”, a później, „wojną, o której wszyscy chcieliby zapomnieć”.

Wertując karty rodzinnej kroniki, odkryłem, że Drummondowie byli dobrymi piechurami - przynajmniej udało im się przeżyć - chociaż, jak uprzedzają menedżerowie funduszy inwestycyjnych, dawne sukcesy nie gwarantują zysku w przyszłości.

Oprócz tego należy dodać, że wojny, w których walczyło pięć pokoleń Drummondów, stawały się coraz mniej popularne i modne, za to coraz bardziej wątpliwe moralnie. Zanim zostałem prawnikiem, sam służyłem w piechocie, uczestnicząc w operacji w Panamie, w pierwszej wojnie w Zatoce Perskiej oraz w działaniach w Bośni i Mogadiszu - w brudnej wojnie, wojnie w słusznej sprawie, w zupełnie poplątanej wojnie i wojnie, która okazała się kompletną klapą.

Gdy dorosłem, zacząłem z mniejszą tolerancją podchodzić do ludzi wskazujących uzasadnione powody, dla których Sean Drummond Powinien stanąć do walki. Phyllis musiała umieć czytać w moich myślach.

- A zatem słyszałeś o panu Charabim, prawda? Przez chwilę milczałem, aby w końcu odpowiedzieć:

- Jaki związek łączył... lub łączy Agencję z tym panem?

- Żaden. Zwrócił się do nas wiele lat temu. Sprawdziliśmy gościa i nie spodobało nam się to, co odkryliśmy.

- Znam oficjalną wersję. Spróbuj powiedzieć mi prawdę.

- Właśnie to robię. Spasowaliśmy - powiedziała z naciskiem. - Charabi był i jest dziełem Pentagonu. Od początku do końca.

- W jaki sposób zmarły nawiązał kontakt z Charabim... jako jego kto?

- Z formalnego punktu widzenia Daniels go nadzorował, lecz w rzeczywistości sytuacja jest znacznie bardziej złożona... Przed przeniesieniem do Pentagonu Cliff Daniels był

urzędnikiem w Agencji Wywiadu Obronnego. Jakies dziesięć lat temu zaprzyjaźnił się z Mahmudem Charabim lub na odwrót. - Po chwili przerwy dodała: - Tyle mogę powiedzieć na otwartej linii.

Jej słowa dały mi do myślenia. Z komunikatów prasowych wiedziałem, że Charabi poświęcił blisko dwadzieścia lat życia na knucie intryg i zabieganie o wyzwolenie Iraku.

Myślę, że gdy prezydent postanowił, że Saddam zostanie odsunięty, gdy tylko ktoś dostarczy mu do tego pretekstu, Charabi uznał, iż nadszedł jego czas.

Nie byłem pewny, dlaczego ani jak Charabi stał się właściwym facetem, najwyraźniej jednak do tego doszło, a zmarły odegrał w tym istotną rolę. Przypomniałem sobie również, że gazety donosiły, iż Charabi miał być kandydatem Pentagonu na przyszłego przywódcę kraju po inwazji, chociaż nie

udało się zrealizować tego planu, gdyż obecnie w Iraku nikt nie rządzi, a przynajmniej ci, którzy dzierżą ster, nie są Irakijczykami ani amerykańskimi dowódcami wojskowymi.

Później z jakiegoś powodu Daniels sam stał się obiektem zainteresowania wywiadu, poproszono go też o złożenie wyjaśnień przed podkomisją Kongresu. Interesujące.

Phyllis powtórzyła ostatnie zdanie:

- Nie mogę powiedzieć nic więcej przez ten telefon. - Po chwili" dodała: - I tak powiedziałam ci więcej, niż powinieneś wiedzieć chyba że weźmiesz udział w dochodzeniu.

- Nie miałem pojęcia, że toczy się jakieś dochodzenie.

- Teraz, gdy Daniels nie żyje, musimy ustalić, jak do tego doszło. Zwykle dowiadujemy się takich rzeczy, prowadząc śledztwo.

- Nie można wykluczyć samobójstwa. To, co widziałem, z pewnością wygląda na samobójstwo.

- Może tak właśnie było. Zważywszy jednak na twoją obecną wiedzę, alternatywa wydaje się nieco bardziej prawdopodobna... nie sądzisz? - Dała mi chwilę do namysłu, a następnie oznajmiła: - Przekonaj policję w Arlington, że było to samobójstwo, i wróc z teczką.

- Sugerujesz, abym wprowadził w błąd policję? Chcę mieć jasność w tej sprawie.

- Czy powiedziałam coś takiego?

- W wielu słowach... tak. Wyczułem, że się uśmiechnęła.

- Przecież jesteś prawnikiem, Drummond. Powinieneś wiedzieć, jak to załatwić.

- Biorę udział w dochodzeniu?

- Chcesz tego?

- Nie.

- W takim razie bierzesz. Czy to jasne?

- Nie do końca. Dla kogo mam pracować?

- Będziesz mnie informował o postępach śledztwa.

- A ty komu przekażesz te informacje? Zignorowała moje pytanie.

- Agencja i FBI już prowadzą dochodzenie w sprawie Danielsa. Potraktujemy to jako działanie równoległe. Nasze dochodzenie będzie odrębne, poufne i niezależne.

Interesująca sprawa.

- Czy lewica będzie wiedzieć, co czyni prawica?

- Otrzymuję na bieżąco raporty o postępach tamtego śledztwa.

- Nie o to pytałem.

- Sam zgadnij.

Zgadłem. Phyllis będzie trzymać w ręku wszystkie atuty.

- Co ma być przedmiotem dochodzenia? - zapytałem.

- Ustalenie, czy Daniels został zamordowany, czy popełnił samobójstwo. Zobaczymy, do czego nas to doprowadzi.

- A major Tran?

- Tak... cieszę się, że o niej wspomniałeś. Sądzisz, że można jej zaufać?

- W takim samym stopniu, w jakim mogę zaufać tobie. Teraz byłem pewny, że się śmieje.

- Ważniejsze jest to, czy major Tran ufa tobie. Całkowicie. Przypatruje się naszej rozmowie zza szklanych drzwi, próbując z ruchu moich warg odgadnąć, o czym mówimy.

Phyllis roześmiała się.

Możesz z nią współpracować? - zapytała.

- Skoro mogę współpracować z tobą, mogę i z nią. Odniosłem wrażenie, że prychnęła poirytowana. Moja bezczelność przebrała miarę. Jednym z zabawnych elementów tej roboty było

sprawdzanie, jak daleko mogę się posunąć. Dziwna instytucja, jaką jest armia, ma osobliwie sztywny stosunek do takich rzeczy jak niesubordynacja i brak szacunku dla przełożonych. Dopuszcza, a nawet zachęca się do szczerości pod warunkiem, że nie kłóci się to z poszanowaniem starszych stopniem. Oczywiście sposób pojmowania szacunku bywa różny, więc trzeba się stale pilnować. CIA, chociaż w równym stopniu zhierarchizowana, znajduje się gdzieś pomiędzy kulturą wojskową a cywilną, dlatego człowiek ma nieco szersze pole manewru.

Wróćmy do Phyllis.

- Sądzę, że w tej sprawie warto współpracować z członkiem specjalnej jednostki śledczej sekretarza stanu. Koniec końców Pentagon przypomina twierdzę. Powinieneś... traktować ją jak partnera.

- Ma być moim koniem trojańskim?

- Przecież wiesz, że nie cierpię takich analogii. Nie powinieneś nadmiernie upraszczać złożonych sytuacji. - Po dłuższej chwili dodała: - W sumie masz rację. Ta analogia tu pasuje.

Abyście nie pomyśleli sobie, że jestem kompletnym idiotą, dodam, że to Phyllis wysłała mnie na miejsce przestępstwa, a ona nie robi niczego bez zastanowienia. Wiedziała o mojej wścibskiej, upartej naturze, skłonności do uników i... innych przymiotach. Co najistotniejsze, byłem jedynym wojskowym w jej biurze, a pan Daniels pracował w Pentagonie, stało się więc jasne, dlaczego właśnie mnie wybrała.

- Wykorzystywała jednego konia trojańskiego do zdobycia drugiego... przerażający przykład jej sposobu myślenia.

Prawdę powiedziawszy, nasza relacja była równie skomplikowana jak związek myszy z kotem. Jestem zwinny i szybki, podobnie jak ona, z tą różnicą, że Phyllis ma przenikliwy umysł i ostre pazurki. Zabawne, a jednocześnie przerażające i niebezpieczne porównanie. W gruncie rzeczy, chciałem uczestniczyć w tym dochodzeniu.

Zakończyła naszą rozmowę słowami:

- Nawiasem mówiąc, *bis dat qui cito dat*.

Dwa razy daje, kto szybko daje. Zrozumiałem, o co jej chodzi i dlaczego to powiedziała. Kiedy zostanie ustalona tożsamość Clifforda Daniela na podstawie zeznań świadków, dokumentów, karty dentystycznej i/lub odcisków palców, pracownik wydziału policji w Arlington odpowiedzialny za public relations wyda standardowy komunikat.

Przy odrobinie szczęścia lokalna prasa nie połąpie się do czasu wydania popołudniowego numeru. Brak szczęścia spowoduje, że jakiś spostrzegawczy reporter wpisze nazwisko Clifforda do wyszukiwarki Lexis, Google lub Yahoo! i wszystko stanie się jasne.

Tak czy siak do rana czubki i ćpuny będą wirować nad tą sprawą jak muchy nad padliną.

W Waszyngtonie nigdy nie można narzekać na brak pikantnych plotek i teorii spiskowych głoszonych przez wielbicieli Olivera Stone'a - ludzi o ponurym światopoglądzie i nadmiernie rozpalonej wyobraźni, którym należałoby zdrowo przykręcić śruby umysłu. Z

kolei mnogość informacyjnych kanałów telewizji kablowej, programów z telefonicznym udziałem radiosłuchaczy i internetowych blogów zamieniła czas spędzany na obwodnicy w ogólnonarodowe szaleństwo. Pojawiły się nawet oferty pracy dla prezenterów prowadzących takie programy.

- To nie mój problem - poinformowałem Phyllis.

- Teraz już tak. Lepiej się pospiesz, Drummond. Załatw to szybko. - Dobrze powiedziane.

Zgodziła się zadzwonić do biura major Tran, aby wypracować jakieś biurokratyczne porozumienie, a ja powiedziałem jej, czego potrzebuję, gdy wrócę... po rozpoczęciu nowego

śledztwa.

Zamknąłem klapkę telefonu, wszedłem do środka i przyłączyłem się do major Tran, która udawała, że ogląda fałszywe dzieło sztuki wiszące na ścianie.

Skinąłem głową, na co odpowiedziała skinieniem.

- Kiedy mnie rozszyfrowałaś? - zapytałem.

- Sama nie wiem. Chyba... w chwili gdy podałeś się za agenta FBI.

- Naprawdę? Przecież byłem okropnie apodyktycznym dupkiem. Co mnie zdradziło?

- Fakt, miałeś te wszystkie cechy. Chyba nie pasowałeś do wizerunku agenta federalnego.

- Jestem... zdruzgotany.

- Wyjdiesz z tego.

- Włożyłem nawet świeżą bieliznę.

- Dobrze, że mi powiedziałeś. - Uśmiechnęła się. - Chyba zapomniałeś o świętoszkowatej minie.

Po tych słowach oboje przeszliśmy do sypialni, aby dołączyć do sierżanta Endersa.

Rozdział czwarty

Odór panujący w sypialni musiał się wzmóc, ponieważ po powrocie Bian Tran zmieniała chusteczkę ze środkiem dezynfekcyjnym. Nasze nowe partnerstwo miało widać granice, bo mnie jej nie zaproponowała.

Tim Reynolds w dalszym ciągu skrupulatnie zbierał włosy i inne ślady z prześcieradła, umieszczając je w oznakowanych plastikowych torebkach.

Enders rozmawiał z jakimś facetem, nie spuszczać teczki z oczu. Tamten miał na sobie tanią sportową marynarkę i kiepski krawat w zielono-żółte groszki. W trakcie rozmowy co chwila zaglądał do notatnika, co oznaczało, że również był detektywem.

Clifford Daniels pozostał nagi... i martwy.

Gdy weszliśmy, detektyw informował Endersa:

- To samobójstwo. Taak, osobiście nie mam z tym problemu. Pewnie czułbym się lepiej, gdybym wiedział coś o jego życiu, mógł się upewnić, że pasuje to do psychologicznego profilu samobójcy. Spójrz... trzyma w dłoni pistolet, nie znaleźliśmy żadnych śladów włamania, ogólne ułożenie przedmiotów... wszystko wydaje się jasne.

- Taak... ale...

Przerwałem mu, zanim zdążył dokończyć zdanie:

- Major Tran i ja doszliśmy do wniosku, że mamy do czynienia z samobójstwem.

Enders spojrzał w moją stronę.

- Czy pytałem pana o opinię?

- To coś więcej niż opinia.

W pokoju zapanowała odrobinę lodowata atmosfera.

- Co pan przez to rozumie?

- Ponieważ nie ma powodu, aby podejrzewać, że doszło do popełnienia przestępstwa, major Tran i ja zabieramy teczkę Daniela jako własność rządu. Wspomniany przedmiot nie ma znaczenia dla prowadzonego śledztwa, dlatego skorzystamy z prawa przysługującego wyższej władzy.

- Z czego? O czym pan, do cholery, mówi?

- To skomplikowana teoria prawnicza. Ma coś wspólnego z dużymi i małymi psami, i... jeśli dobrze pamiętam... obsikiwaniem drzew - wyjaśniła Bian.

Enders popatrzył na mnie, jakbym był czubkiem.

- Teczka należy do mnie - powiedziałem, robiąc krok w kierunku łóżka i wspomnianego

przedmiotu.

Enders położył mi dłoń na ramieniu i oznajmił:

- Witaj w hrabstwie Arlington, koleś. Wyższa władza - to mój tyłek, mój rewir i moja teczka.

Sam zdecyduję, czy ma istotne znaczenie dla śledztwa.

- Nie tym razem.

- Teraz i zawsze. - Kiedy zrobiłem kolejny krok w kierunku łóżka, poinformował grzecznie: - Zrób jeszcze jeden krok, a cię skuję.

Wymieniliśmy spojrzenia z Bian, doświadczając tej samej niepokojącej myśli. Jedno z nas musiało udawać dobrego glinę. Mogłem wziąć na siebie tę rolę, chociaż zwykle mnie w niej nie obsadzano, na dodatek spod mojego owczego przebrania wystawała już wilcza skóra.

Oprócz tego, abstrahując od różnic w umundurowaniu, glina to glina, a Bian była gliną, więc to ona powinna zabrać głos.

- Barry, czyżbyś miał wątpliwości, że to samobójstwo?

- Wiesz... ja... ech... - Wyszło na to, że Enders nie miał wątpliwości lub że nie dojrzał jeszcze do tego, by je wyrazić.

- Doszliśmy w tej kwestii do zgody z panem Drummondem - kontynuowała Bian - podobnie jak twój detektyw. Powiedział, że sprawa jest jasna i miał rację. Ten człowiek popełnił samobójstwo.

- Nie mogę niczego przesądzać, dopóki nie otrzymam wyników badań kryminalistycznych i nie dowiem się czegoś na temat ofiary... nie poznam faktów, które utwierdzą mnie w tym przekonaniu. Jesteś gliną. Powinnaś o tym wiedzieć.

- Znam procedury, Barry. Z drugiej strony jestem świadoma, że masz szerokie pole manewru ze względu na niecodzienne okoliczności.

Spojrzał na nią.

- Prowadzimy dochodzenie. Ta teczka może zawierać ważne dowody i dopóki nie zbadam jej zawartości, pozostanie pod moją opieką.

Jeśli coś znajdziemy, natychmiast zadzwonię. Przyrzekam.

- Daj spokój. Mam ci przypominać o odpowiednim zabezpieczeniu dowodów?

- Słuchaj... - Bian przerwała, patrząc na mnie wymownie. Żeby glina robił takie rzeczy glinie? Obrzucał koleżankę błotem?

Pomyślałem, że to dobra okazja na drobną poradę prawną - niejasną, wybiórczą i myłą. Odwróciłem się do Bian i zapytałem:

- Twoja jednostka to komórka dochodzeniowa czy formacja stojąca na straży przestrzegania prawa?

- Pełnimy obie funkcje. Mogę dokonać aresztowania oraz wnioskować o postawienie w stan oskarżenia.

- W takim razie mamy rozwiązanie - powiedziałem, zwracając się do Endersa. -

Proszę wystawić pokwitowanie przekazania dowodu pani Tran. To powinno wystarczyć, prawda?

- Jeśli sąd odrzuci dowód, zostanę z pustą torbą. Prokuratorzy w naszym hrabstwie to prawdziwi... Słuchaj, zostały mi dwa lata do emerytury. Nie chcę żadnych kłopotów.

- Jestem rządowym prawnikiem. Możesz mi zaufać. Pewnie źle dobrałem słowa, bo odpowiedział:

- Nie mam pojęcia, kim, do diabła, jesteś. Najpierw podałeś się za agenta FBI, później za pracownika CIA, a teraz jesteś prawnikiem? Lepiej dobrze się zastanów, kim jesteś, zanim zaczniesz

udzielać ludziom rad.

- On jest prawnikiem, Barry - zapewniła go Bian. - A także podpułkownikiem...
oficerem Wojskowego Biura Śledczego.

Moje oblicza i funkcje zmieniały się tak szybko, że nieszczęsny Enders wyglądał na człowieka, który potrzebuje diagramu, aby się w tym wszystkim połapać.

- Niech pan posłucha, detektywie. To tak, jakby przesłał pan próbki do stanowego laboratorium kryminalistyki lub laboratorium FBI. Major Bian ma uprawnienia śledcze -

prawo dostępu do informacji tajnych - co daje jej prawo zbadania i zinterpretowania dowodów, którego nie ma pan ani pański wydział.

Oczywiście, wszystko zmyśliłem. To, co powiedziałem, brzmiało jednak bardzo fachowo, a Enders był pod dużym wrażeniem mojego prawniczego wyrobienia lub zmyślnych bredni, co w tym wypadku było jednym i tym samym. Mimo to obstawał przy swoim:

- Muszę zobaczyć, co jest w tej teczce.

Bian zamierzała się temu sprzeciwić, lecz jej przerwałem:

- W porządku. Facet wykonuje swoją robotę. Upewnijmy się tylko, że w środku nie ma niczego z nadrukiem „ściśle tajne”.

Podszedłem do łóżka, schyliłem się i sięgnąłem po teczkę. Jak już wspomniałem, była to teczka przypominająca walizkę - pozbawiona zamka, z mosiężnym zapięciem, które bez trudu otworzyłem. Zajrzałem do środka.

W środku nie było żadnych luźnych kartek i niczego, co miałoby nadruk „ściśle tajne”. Nie znalazłem też żadnego pomocnego i oświecającego listu pożegnalnego, a jedynie cienki, szary laptop marki Gateway oraz gruby, kupiony w księgarni notes na adresy.

Pokazałem teczkę Endersowi i pozwoliłem mu sprawdzić jej zawartość.

Bian spojrzała mu przez lewe ramię.

- Wygląda dość niewinnie - oznajmiła zgodnie z moimi oczekiwaniami.

- Czy to komputer prywatny, czy biurowy? - zapytał Enders.

- Musiałabym go uruchomić, aby odpowiedzieć na to pytanie - odparła Bian. -

Oczywiście, nie w twojej obecności.

Sięgnęła do kieszeni, wyjęła wizytówkę i podała ją Endersowi.

- Jeśli ktoś będzie ci robił problemy, Barry, odeślij go do mnie.

- Zadzwońcie, gdy otrzymacie wyniki badań kryminalistycznych - poprosiłem Endersa. -
Chciałbym również wiedzieć, czy broń była własnością Daniela, czy kogoś innego.

Spojrzał na mnie.

- Nawet nie wiesz, jaki jestem szczęśliwy, że mogę ci służyć pomocą - powiedział.

- Nawiasem mówiąc, nie widziałeś nas tutaj.

- Wiesz, chciałbym, aby to była prawda - odparł.

Na parkingu uzgodniliśmy, że skoro ona przyjechała prywatnym samochodem, a ja rządowym sedanem, powinniśmy odjechać moim wozem. Wniosek: Żadne z nas nie ufało drugiemu na tyle, aby zostawić mu teczkę. Oprócz tego moje auto, ogromna granatowa crown victoria, jeździło na benzynie, za którą płacili podatnicy. Na tym polega współpraca agencji rządowych.

Kiedy wsiedliśmy i zapięliśmy pasy, powiedziała:

- Nie zrozum mnie źle... pojedziemy do ciebie czy do mnie?

- Ja prowadzę. Pojedziemy do mnie.

- Wiedziałaś, że masz jakiś ukryty motyw.

- A czego się spodziewałaś? Pracuję w CIA. Uruchomiłem silnik, wyjechałem z parkingu i

ruszyłem na wschód w kierunku dzielnicy Crystal City, gdzie stał duży wzniesiony z cegły magazyn, w którym znajdowało się nasze biuro.

Powiniem dodać, że Biuro do Zadań Specjalnych nie miało siedziby w przestronnej kwaterze głównej w Langley, lecz we wspomnianym wyżej magazynie. Nie pytajcie dlaczego.

Chociaż byłem nowy, wiedziałem, że OSP zajmuje się ważnymi sprawami na bezpośrednie zlecenie dyrektora Agencji - sprawami, które mają bardzo wrażliwy i poufny charakter. Agenci CIA, z racji odbytego szkolenia i wrodzonego instynktu, są ciekawscy, przebiegli i wścibscy - a przynajmniej najlepsi z nich. Geograficzne oddzielenie naszej komórki miało zmniejszyć prawdopodobieństwo przecieku, kradzieży czy sabotażu ze strony konkurencji. Domyślałem się, że nie zdradzę żadnego sekretu, mówiąc, że CIA nie ufa innym rządów, a nawet własnemu. Nieco zaskakujące jest jednak to, że nie darzy zaufaniem nawet siebie samej.

- Muszę ci coś wyznać - odezwała się Bian po dłuższej chwili życzliwego milczenia.

- Jeśli ta informacja dotyczy twojego bogatego życia seksualnego, zachowaj ją dla siebie, majorze.

Spojrzała na mnie.

- Czeka nas długi dzień, prawda?

- Zapewniam cię, że zapracujesz na swoje wynagrodzenie.

- Słuchaj... chodzi o Cliffa Danielsa... Nie byłem z tobą całkowicie szczerą.

Kiedy nie odpowiedziałem na to odważne wyznanie, dodała:

- Wysłano mnie dlatego, że Daniels nadzorował niejakiego Charabiego. Słyszałeś o kimś takim?

- Kogo?

Najwyraźniej zaczęła mnie już rozumieć, bo powiedziała:

- Zakładam, że było to potwierdzenie. - Po krótkiej przerwie dodała: - Z powodu związku z Charabim wezwano Danielsa do złożenia wyjaśnień przed podkomisją. Miał stanąć przed jej członkami w przyszłym tygodniu.

- Pewnie mu się to nie uda.

- I ja tak sądzę. W każdym razie członkowie podkomisji zechcą poznać kulisy jego śmierci.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- Skoro mamy razem pracować... - Przerwała na chwilę, zastanawiając się nad swoimi słowami. - Współpraca polega na wymianie doświadczeń - powiedziała, dotykając mojego ramienia.

- Mam nadzieję, że się odwzajemnisz. Jesteśmy partnerami, prawda?

Wyciągnęła dłoń i wymieniliśmy uścisk.

Była dobrym kłamcą, lecz nie aż tak, aby mnie przechytrzyć. Dawała do zrozumienia, że jej zdaniem Phyllis zdradziła mi już ten sekret. Zamiast rozwiać fałszywą atmosferę przyjaźni, zapytałem:

- Skąd masz te naszywki?

- Z Iraku. Byłam tam podczas inwazji i rok później.

- Powinnaś zrezygnować z usług swojego biura podróży. Uśmiechnęła się.

- Korzystamy z tego samego. W okresie inwazji byłam oficerem w batalionie żandarmerii. Później, w pierwszym roku okupacji, służyłam w wywiadzie wojskowym.

Jestem specjalistą od wywiadu wojskowego i mówię płynnie po arabsku. W Iraku zajmowałam się głównie przesłuchiwaniami jeńców i współpracą z policją iracką w naszym sektorze.

- Jestem pewny, że Irakijczycy byli tym podekscytowani.

- Czym?

- Atrakcyjna Amerykanka azjatyckiego pochodzenia płynnie władająca ich językiem.

Słyszałem, że nie są tacy cywilizowani jak my.

Wzruszyła ramionami.

- To było dziwne doświadczenie. Nie chodzi o język, lecz o to, że kobieta się tym zajmowała. Arabowie mają średniowieczny stosunek do kobiet. Nie mam na myśli fundamentalistycznego społeczeństwa - w krajach arabskich wyższość mężczyzn ma podłoże raczej kulturowe niż religijne.

- Żartujesz? Słuchaj, mogłoby mi się tam spodobać. Zignorowała mój wstrętny męski szowinizm.

- Musiałam się nauczyć różnych sztuczek.

- Na przykład?

- Pokazywać broń i przemawiać władcym tonem. Jeśli w dalszym ciągu spoglądali poządlwym wzrokiem, trzeba było wymierzyć kopa w jaja. Przyzwyczaili się do tego za rządów Saddama. To im pomaga zapanować nad sobą.

- Zabawne, nie pamiętam, aby pisali o tym w podręczniku.

- Użyłam przenośni. Irak naprawdę jest inny. Podręcznikowe wskazówki po prostu tam nie działają. Trzeba wprowadzić pewne... modyfikacje.

- Każda wojna jest inna.

- Miałam na myśli coś innego. Uśmiechają się do ciebie i przyjaźnie machają ręką, a chwilę później... gdy nie widzisz, umieszczają przy drodze pociski artyleryjskie i miny, które rozrywają cię na strzępy.

Może źle odczytałaś ich gesty. Może chcieli powiedzieć: „Zegnaj, dupku”.

- To nie jest zabawne.

- Wcale nie miało takie być.

Wzięła głęboki oddech, spojrzała mi w oczy i powiedziała: Pewnego dnia byłam świadkiem, jak do posterunku kontrolnego podjechał samochód.

Prowadząca go kobieta w czarnej zasłonie na twarzy krzyczała przez okno, prosząc o pomoc.

Obok niej siedziało małe dziecko. Dwóch moich ludzi wyszło z kryjówki i ruszyło w jej stronę... to, co się później stało, było straszne. Wybuch rozrzucił wokół fragmenty ciała. -

Przez chwilę patrzyła mi w oczy, a następnie dodała: - Oni nie walczą zgodnie z regułami.

Nie dają ci żadnego wyboru. Co za ludzie wysadzają w powietrze własne dzieci? Możesz zapomnieć o podręczniku z zasadami.

- Zrobiłaś to?

- Och... zapomniałam. Przecież jesteś prawnikiem.

- Co z tego?

- Dobrze wiesz.

- Nie wiem. Wyjaśnij mi.

- Nic. Zapomnij o tym. - Spojrzałem na nią pytająco, więc dodała: - Nie próbowałam... nie sugerowałam...

- Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że Irakijczycy mogą być wkurzeni, bo najechaliśmy ich kraj, a teraz postrzegają nas jako niepożądanych okupantów? Wiem, że to niemądre, lecz być może właśnie dlatego próbują nas zabić.

Najwyraźniej nadepnałem jej na odcisk, bo odparła:

- Oszczędź mi tego pustego moralizatorstwa. Oglądamy wiadomości o ludziach, którzy zostali ścięci lub rozerwani przez bombę, i myślimy sobie: Dobry Boże, jakie to straszne. Tam nie możesz zasnąć w nocy, bo zastanawiasz się, czy będziesz następny.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, lecz najwyraźniej zmieniła zdanie.

- Kiedy zapomnisz o zasadach, Bian, stanie się to, co w więzieniu w Abu Ghraib. Jeśli będziesz postępowała w taki sposób, przegrają oni i ty.

Najwyraźniej postanowiła zmienić temat, bo zapytała:

- Jak trafiłeś do Agencji?

- Pewnego dnia przyszedłem do roboty, lecz wszyscy gdzieś wyszli. Zniknęły wszystkie meble z wyjątkiem biurka z moją tabliczką.

Roześmiała się.

- Państwa, rządy, biurowce... w taki sposób działają. Nie są to ludzie zepsuci do szpiku kości. Muszę ich poprosić o miejsce parkingowe.

- Poważnie?

- Poważnie... nie mam pojęcia, gdzie zaparkować. Ponownie zmieniła temat.

- Co o tym sądzisz? - zapytała. - Co sądzisz o Danielsie? Popułnił samobójstwo czy został zamordowany?

- A ty?

- Szczerze mówiąc, kilka szczegółów wyraźnie nie pasuje do samobójstwa. Z pewnością zauważyłeś tłumik. Na dodatek jego nagość... nie daje mi to spokoju.

- Nie ma się czego wstydzić. Miał całkiem sporego. Trąciła mnie ramieniem.

- Wiesz, co mam na myśli. Te fakty są sprzeczne.

- Dlaczego?

- Facet używa tłumika, aby nie przeszkadzać sąsiadom. A zatem gdy zastanawiał się nad popełnieniem samobójstwa, zależało mu na tym, jak zostanie zapamiętany przez sąsiadów. Mimo to urządził taką wulgarną scenę. Czy ma to dla ciebie jakiś sens?

Nie pomyślałem o tym w taki sposób. Moim zdaniem każdy, kto myśli o samobójstwie, z definicji wymaga leczenia.

- Brak zgodności jest wskazówką.

- Masz rację. Zwróciłaś uwagę na wyraz jego twarzy?

- Wiem, o co ci chodzi. Lęk, wręcz przerażenie... z drugiej strony kompletne zaskoczenie. Ten szczegół również nie pasuje do sytuacji.

- Był żonaty?

- Powiedziano mi, że rozwiódł się z żoną.

- Co jeszcze ci powiedziano?

- Spieszyłam się. Nie było czasu na poznanie wszystkich szczegółów.

- W porządku. Wkrótce lepiej go poznamy i ustalimy, co nim kierowało.

- Może dowiemy się więcej, niż chcielibyśmy wiedzieć - rzekła po dłuższej przerwie.

Patrząc wstecz, widzę, że jej słowa okazały się koszmarną przepowiednią.

Wjechaliśmy na parking Ferguson Home Security Electronics - firmy zajmującej się elektronicznymi systemami zabezpieczeń mieszkań.

Rozdział piąty

Budynek Ferguson Home Security Electronics miał od frontu sklep, który wywarłby wrażenie na najbardziej paranoicznym obywatelu naszego kraju. Półki ugięły się od nowoczesnych urządzeń technicznych mogących skutecznie powstrzymać włamywacza lub niepożądanego męża zależnie od tego, który ci bardziej dokuczył.

Na wypadek gdyby kogoś to nie zmyliło, mieliśmy uprzejmą recepcjonistkę, Lilę Moore, która doskonale znała się na zabezpieczeniach mieszkań. W wolnym czasie dorabiała w ochronie Agencji, trzymała pistolet pod biurkiem i miała licencję na zabijanie, co stanowiło jeden z powodów, dla

których byłem wobec niej miły. Jako drugi powód wymienię to, że była naprawdę ładna.

Gdy wchodziliśmy, Lila podniosła głowę i przywitała nas bezmyślnym uśmiechem.

- Czym mogę panu służyć, sir? - zapytała. - Prowadzimy wyprzedaż doskonałych alarmów okiennych. Byłby pan zainteresowany?

Bian rozejrzała się wokół, nie wiedząc, czy trafiliśmy w dobre miejsce.

- Jestem zainteresowany tobą - poinformowałem Lilę. Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Trzymaj ręce na widoku. Pieniądze albo życie. Lila uniosła dłonie, udając przerażenie.

- Błagam, sir... Ja tu tylko pracuję. Proszę nie robić mi krzywdy. - Po chwili zmarszczyła brwi i dodała: - Nie ma pieniędzy. Interes kiepsko idzie.

- Cóż... o tym już wiedziałem. Co tam macie?

- Niech pomyślę... - odparła z uśmiechem. - Co pan powie na wkurzonego starszego obywatela oczekującego na faceta nazwiskiem Drummond?

- Och...

Lila roześmiała się i wyłożyła na biurko książkę wejść i wyjść.

- Znasz zasady.

Napisałem nazwisko Bian na kartce, a Lila wręczyła jej białą przepustkę dla gościa.

Nasze biuro to pilnie strzeżony obiekt, system bezpieczeństwa ma jednak wyraźne luki, skoro wpuszczono mnie do środka.

- Jakiś ważniak z Pentagonu przybył kilka minut temu. Phyllis go wpisała.

Spojrzałem na nazwisko w księdze i pokazałem je Bian.

- Mark Waterbury to mój szef - wyjaśniła. - SES jeden. Lepiej z nim nie zadzierać. -

Spojrzała na mnie znacząco. - Powinieneś trochę pohamować język...

- Możesz mi to przeliterować? - Oczywiście wiedziałem, że SES 1 oznacza dyrektora wykonawczego pierwszego stopnia - urzędnika z politycznej nominacji o randze z grubsza odpowiadającego generałowi brygady. - Tędy - wskazałem drogę Bian, prowadząc ją w kierunku drzwi w tylnej części sklepu. Otworzyłem je i znaleźliśmy się w przepastnej hali pełniącej niegdyś funkcję magazynu.

Nasz rząd nie wierzy w rozpieszczanie pracowników, czego wymownym przykładem jest siedziba Biura do Zadań Specjalnych. Nie było wątpliwości, że pomieszczenia umeblował

ten, kto zaproponował najniższą cenę, a słabe oświetlenie budziło w człowieku samobójcze myśli. Rzecz jasna, było tam kilka eleganckich gabinetów dla funkcjonariuszy wyższego szczebla, lecz na żadnym z nich nie widniała tabliczka z napisem „Drummond”. Przestrzeń wypełniały ściśnięte boksy. Brak ścianek działowych i prywatności miał zachęcać do zespołowego wysiłku i poczucia jedności, a niewiele wspólnego miejsca - sprzyjać proletariackiej solidarności. Tak było w teorii, w rzeczywistości bowiem hangar wibrował od szeptów i potajemnych knozań.

Nieliczni powiedzieli „cześć”, gdy razem z Bian torowaliśmy sobie drogę do gabinetu Phyllis znajdującego się w tylnej części sali. Zapukałem dwukrotnie i szefowa zaprosiła nas do środka.

Phyllis siedziała za biurkiem. Na krześle przed nią dostrzegłem mężczyznę w średnim wieku, o wydatnej łysinie, pełnych skupienia brązowych oczach, najwyraźniej pogrążonego w nieprzyjemnych myślach. Phyllis wstała i oznajmiła:

- Panie Waterbury, to Sean Drummond. - Po tych słowach wyciągnęła dłoń do Bian i powiedziała: - Domyślam się, że pani to major Tran.

Pan Waterbury nie podniósł się, aby uścisnąć mi rękę, co było bardzo interesujące i pouczające. Teraz, gdy już się poznaliśmy, Bian i ja usiedliśmy na krzesłach stojących przy przeciwległej ścianie.

Ostentacyjnie położyłem teczkę Clifforda Danielsana kolanach i niczym dobry pracownik, którego czasami udaję, pozwoliłem, aby szefowa zrobiła pierwszy krok.

Phyllis wróciła na miejsce, co zwykle czyniła, gdy potrzebowała fizycznej bariery, aby oddzielić się od jakiegoś dupka. Spojrzała na mnie i oznajmiła:

- Pan Waterbury jest szefem specjalnej jednostki śledczej. Skinąłem głową facetowi, który uważnie mi się przyglądał.

- Pan Waterbury nie jest przekonany, że wspólne dochodzenie jest najlepszym rozwiązaniem.

- Dlaczego nie? - zapytałem.

- Uważa, że ta sprawa podlega jego jurysdykcji. Wskazał, całkiem słusznie, że CIA nie ma powodu interesować się śmiercią Danielsa niezależnie od tego, czy było to samobójstwo, czy morderstwo.

- Bardzo trafny argument - zauważyłem dyplomatycznie, nie kryjąc braku szczerości.

Przez chwilę przyglądałem się Markowi Waterbury'emu, który nie przestawał mnie obserwować. Po jego wyprostowanej, sztywnej postawie, szczupłej sylwetce, schludnym ubiorze i surowym wyrazie twarzy wywnioskowałem, że kiedyś był wojskowym.

Bardzo szczególnego rodzaju. Niektórzy podejmują służbę wojskową z pobudek patriotycznych, inni z chęci zdobycia sławy, jeszcze inni, aby uratować świat. Są też tacy, którzy wstępują do armii, aby móc ukończyć college. Ja zostałem żołnierzem, ponieważ naprawdę dobrze wyglądałem w mundurze. Nielicznych pociąga wojskowy styl życia -

specyficzne wojskowe poczucie ładu, dyscypliny i sztywnej hierarchii, w której wszystko ma wyraźnie określone miejsce. Karykatury, którymi raczy nas Hollywood, są oparte na wymienionych stereotypach i chociaż żadną miarą ostatni z wymienionych nie stanowią większości w armii, są w niej obecni i wyraźnie odróżniają się od pozostałych. Chociaż nie są szczególnie inteligentni ani zaradni, musisz chodzić wokół nich na palcach.

Tyle wywnioskowałem na podstawie pobieżnej obserwacji. Wszystko zdradzały jego oczy - dwie wąskie szparki z niewielką gałką, w której znajdowały się tęczęwki.

- Nie miał pan prawa wchodzić do mieszkania Danielsa - brzmiały pierwsze słowa, które wypowiedział pod moim adresem.

- Nonsens.

- Doprawdy? Agencja nie ma prawa wtykać nosa w sprawy wewnętrzne.

- Powiadomiono nas o śmierci człowieka. Poszedłem popatrzeć. Prawo federalne nie zakazuje patrzenia pracownikom CIA - odparłem z uśmiechem.

Wymieniliśmy przyjazne spojrzenia, mówiące: „odpieprz się”. Nie był to jeden z moich lepszych momentów, o których wspomina Dale Carnegie, po co jednak tracić czas na grzeczności i przyjacielskie gesty, skoro z góry wiadomo, jak wszystko się skończy?

Wskazał na teczkę i ze złośliwym uśmiechem powiedział:

- Widzę, że zabrał pan dowód z miejsca, w którym mogło dojść do popełnienia morderstwa. To poważne naruszenie prawa federalnego, Drummond.

Uwielbiam, gdy idioci udają znawców prawa. Takie chwile stanowią esencję mojego życia. Uniosłem teczkę Danielsa.

- Dowody? Powiedział pan, że tateczka zawiera dowody?

- Ja... Co takiego?

- Dowody, panie Waterbury. Utrzymuje pan, że tateczka zawiera dowody?

- Nie powiedziałem...

- Jestem pewien, że pan powiedział. - Spojrzałem na Phyllis, która sprawiała wrażenie

wyraźnie rozbawionej. - Czy nie to powiedział pan Waterbury?

- Dał to wyraźnie do zrozumienia.

Odwrociłem się do Marka Waterbury'ego, który poczerwieniał na twarzy.

- Wnioskuje, że dysponował pan uprzednią wiedzą o tym, co się w niej znajduje. -

Patrzył na mnie bez słowa, zatem kontynuowałem: - Czyli coś, co znajduje się w tej teczce, ma związek ze śmiercią Cliffa Danielsa. To dla mnie coś nowego. Będę musiał oddać ją właściwym organom.

- Nie pogrywaj ze mną, Drummond. Oddasz ją mnie.

- Nie sędzę.

Najwyraźniej Mark Waterbury nie był przyzwyczajony do kwestionowania jego rozkazów i miał problem z zachowaniem spokoju. Jego twarz stała się karmazynowa, zacisnął palce i sapnął wyraźnie zdenerwowany.

Jest pan urzędnikiem z politycznego mianowania, a nie funkcjonariuszem stojącym na straży przestrzegania prawa - ciągnąłem. - Skoro ruszył pan kwestię jurysdykcji, musi być pan świadomy, że jego urząd nie ma uprawnień do prowadzenia śledztwa poza terenem wojskowym - oznajmiłem z uśmiechem. - Gdybym oddał panu tę teczkę, dopuściłbym się ciężkiego przestępstwa.

Waterbury przybrał kamienny wyraz twarzy, udając że nie ma pojęcia, o czym mówię.

Wiedziałem, jak temu zaradzić.

Spojrzałem ponownie na Phyllis.

- Musimy oddać tę teczkę FBI. Oczywiście, będę musiał poinformować naszych przyjaciół, że pan Waterbury już wcześniej wiedział, co się w niej znajduje. Federalni bardzo się cieszą, gdy otrzymują dowody wraz z kimś, kto może wyjaśnić ich znaczenie - zwróciłem się do pana Waterbury'ego. - Mogą w ten sposób zaoszczędzić sporo czasu.

Wstałem, lecz nie wyszedłem z pokoju.

- Czy wspomniałam, że Drummond jest prawnikiem? - zapytała mimochodem Phyllis, zwracając się do Waterbury'ego.

Nasz gość wymamrotał coś pod nosem - coś bardzo krótkiego, składającego się z dwóch sylab. Jestem pewien, że wyraził w ten sposób uznanie dla moich kwalifikacji prawnych.

- Pozwoli pani - powiedziałem do Phyllis.

Na czerwonej twarzy Waterbury'ego pojawił się wyraz zmartwienia.

- Siadać.

- Nie muszę słuchać twoich rozkazów, kolego.

- Musisz słuchać moich - wtrąciła się Phyllis. - Usiądź proszę. Musimy rozwiązać tę kwestię.

Phyllis zrozumiała moją sugestię i zwróciła się w kierunku Marka Waterbury'ego.

- Co jest na dysku tego laptopa? - zapytała.

- Nie mam pojęcia.

- Może nie zna pan szczegółów, lecz z pewnością ma wyobrażenie, co może się tam znajdować.

W przeciwnym razie nie byłoby pana tutaj.

- To nie wasz interes. - Spojrzał na Phyllis. - Proszę powiedzieć Drummondowi, aby przekazał mi teczkę.

Phyllis zignorowała jego prośbę, a Waterbury wyglądał na coraz bardziej zakłopotanego. Jak wspomniałem, ten facet nie grzeszył inteligencją i najwyraźniej nie wiedział, co robić w środowisku, w którym granice władzy pozostawały nieokreślone, a rozwiązania nie można było znaleźć w podręczniku.

Waterbury potrzebował dodatkowego małego kuksańca, więc pochyliłem się i doradziłem

Phyllis:

- Lepiej, aby nie wiedziała pani, co jest w tej teczce. Kiedy będzie pani wiedziała to co on, mogą oskarżyć panią o udział w przestępczym spisku. - Spojrzałem na Waterbury'ego. -

To jego problem. Proszę nie pozwolić, aby stał się również pani.

Zapadło milczenie. Wypowiedziałem czarodziejskie słowa - przestępczy spisek - nasuwające brzydkie skojarzenia z Teapot Dome, Watergate i Iran-contras. Nic nie budzi większego lęku w sercu rządowego biurokraty, a ze zmienionego wyrazu twarzy Waterbury'ego wywnioskowałem, że strzał był celny. Phyllis zasłoniła usta, dlatego nie wiedziałem, czy się śmieje, czy zaciska wargi. Mimo braku inteligencji Waterbury miał dość zwierzęcego sprytu, aby zrozumieć to, co przed chwilą usłyszał. Na wodę spuszczone ostatnią szalupę.

- No dobrze... w porządku - wymamrotał niechętnie. - Możliwe, że znajduje się w niej korespondencja Danielsa z jego irakijskimi przyjaciółmi. Prywatna. Niezwiązana z jego pracą zawodową. Możliwe, że jej część ma ściśle tajny charakter.

- Pan to wie czy jedynie podejrzewa? - zapytała Phyllis.

- Mamy takie przypuszczenia.

- To możliwe, prawdopodobne czy pewne?

- Proszę nie wywierać na mnie presji, Drummond.

- Niech pan posłucha, Waterbury. Mam w Iraku przyjaciół. W ostatnim miesiącu byłem na dwóch pogrzebach porządnych ludzi, którzy przedwcześnie odeszli z tego świata.

Jeśli ktoś prowadzi tu jakąś grę, narażając ich życie, wpakuję pana w takie gówno, że nie sięgnie pan dna. Czy to jasne?

- Pewnie będzie pan zaskoczony, gdy powiem, że takie gierki wkurzyłyby i mnie.

- Faktycznie, byłbym zaskoczony. - Najwyraźniej obaj działaliśmy sobie na nerwy.

Różnica polegała na tym, że mnie sprawiało to przyjemność.

Na szczęście Phyllis przerwała naszą rywalizację o to, kto kogo bardziej wkurzy, i powiedziała oschle do Waterbury'ego: Co pan rozumie przez „korespondencję”?

- Naprawdę nie wiemy, co tam jest. Daniels był urzędnikiem wyższego szczebla. Miał dużą swobodę działania.

Phyllis dała mu chwilę, żeby rozważył swoje stanowisko, a następnie sprytnie zasugerowała:

- Mark, myślę, że w naszym najlepiej pojętym interesie będzie Połączenie wysiłków i rozwikłanie tej sprawy do końca. Zgadzasz się?

- Czy mam wybór? - odpowiedział, nie spuszczać mnie z oczu.

- Drummond przedstawił możliwości. Oczywiście facet musiał mieć ostatnie słowo:

- Pod jednym warunkiem. Wszystko, co znajdziemy, zostanie przekazane do dyspozycji sekretarza obrony. Trwa wojna. Jeśli Daniels w jakiś sposób zaszkodził... naszym wysiłkom... trzeba to ocenić w kontekście bezpieczeństwa narodowego. Jeśli się nie zgadzacie, nie ma o czym mówić.

Spojrzał gniewnie na Phyllis i na mnie, jakby nam groził. Chociaż nie mam przesadnie idealistycznego stanowiska w kwestii prawa obywateli do poznania faktów, żadne ze słów, które do niego wypowiedziałem, nie zostało rzucone na wiatr. Wiedziałem, że w zależności od tego, co odkryję, podejmę własną decyzję w sprawie wykorzystania zdobytej wiedzy.

Odwrociłem się do Waterbury'ego i oznajmiłem:

- Osobiście nie mam nic przeciwko temu. Phyllis okazała nieco większą uczciwość.

- Wyniki śledztwa prześlemy również dyrektorowi CIA - rzekła. - Zastosujemy się do jego poleceń.

Waterbury przez chwilę przyglądał się uważnie jej twarzy, a następnie, z wyraźnym oporem,

skinął głową na znak zgody.

- Znakomicie. Pozwólcie, że porozmawiam chwilę z Drummondem.

Waterbury i Bian wstali i wyszli z pokoju, trzaskając drzwiami. Phyllis uśmiechnęła się do mnie i powiedziała:

- Dobrze to rozegrałeś.

- Ten facet to głupek.

- Nie lekceważ go - odpowiedziała ostro. - Nie poszłoby nam tak łatwo, gdybyś go nie przycisnął. Zrobię, co w mojej mocy, aby cię chronić, lecz uważaj na to, co robisz.

Albo tak jak ja zaczęła się posługiwać żołnierską mową, albo uczyniła to, by mieć pewność, że zrozumiałem. W taki sposób działałem na ludzi. Wiedziałem, że moje przyszłe kontakty z panem Waterburym będą burzliwe, a może nawet niebezpieczne.

Nadal czegoś jednak nie rozumiałem.

- Co tu jest grane? Czemu Waterbury tak się zdenerwował?

- Nie wiesz?

Najwyraźniej nie miałem pojęcia.

- Powiedziałaś, że Daniels pracował w DIA - Agencji Wywiadu Obronnego, o czymś ci jednak nie wspomniałam. W przededniu wybuchu wojny gazety poinformowały, że biuro podsekretarza obrony do spraw polityki wydało oświadczenie, iż odnosi się z rezerwą, a nawet nieufnością do danych wywiadowczych, które CIA dostarcza Białemu Domowi. Z tego powodu utworzyli własną małą komórkę wywiadowczą, aby... mówiąc ich słowami, prześwietlić i sprawdzić operacje wywiadowcze prowadzone w Iraku.

- Daniels do niej należał?

- Tak. Był wśród ludzi, którzy ją zakładali - kontynuowała Phyllis. - Kongres chce się dowiedzieć, kto sfabrykował fałszywe dowody, które pchnęły nasz kraj do wojny. Okazało się, że Irak nie prowadził prac nad bronią jądrową. Nie znaleziono magazynów broni chemicznej. Nie potwierdziły się również pogłoski o związkach Iraku z organizacjami terrorystycznymi. Prasa otrzymywała przecieki z Białego Domu i Pentagonu, sugerujące, że to nasza wina.

- Prawda was wyzwoli.

- Nie tym razem. - Przez chwilę spoglądała w dal, zastanawiając się, ile może mi powiedzieć. - Pamiętaj, Bóg jeden wie, co Daniels robił od czasu wybuchu wojny. Przy odrobinie szczęścia ty też się tego dowiesz.

- Mam to uznać za szczęście czy pech?

- Dowiesz się, gdy poznasz prawdę.

- Phyllis, źle znoszę takie sytuacje.

- Proś, o co chcesz.

- Chodzi o działalność szpiegowską? Czy Cliff Daniels zdradził ojczyznę?

Nie odpowiedziała, więc dodałem:

- Powiedz mi to jasno.

- Nie mogę wyrazić tego dobitniej.

- Tak czy nie?

Uśmiechnęła się. Jeśli w wojsku zadasz dowódcy niegrzeczne pytanie, zostaniesz zbesztany. Usłyszysz: „Dość tego, Drummond” lub bardziej dosadne słowa w rodzaju: „Byłeś kiedyś w więzieniu w Leavenworth? To naprawdę paskudne miejsce”. Wyżsi funkcjonariusze CIA są bardziej sprytni, ascetyczni i ogładzeni. Udzielają niewerbalnych odpowiedzi, jakby wiedzieli, że w pokoju zainstalowano podsłuch. Patrzą na ciebie lodowato, lekko marszczą brwi lub chłodno się uśmiechają.

Trzeba umieć słuchać oczami, ponieważ zignorowanie jakiegoś sygnału mieszczącego się pomiędzy uprzejmym skinieniem i lekkim drżeniem lewego nozdrza może spowodować przykre konsekwencje.

Co mam zrobić, jeśli się czegoś dowiem? - zadałem kolejne Pytanie.

Będiesz wiedział, gdy to odkryjesz.

- Taka odpowiedź mnie nie satysfakcjonuje. Czy może to wyrządzić szkodę mojej karierze, czy mojemu życiu?

Kiedy spojrzeliśmy na siebie, od razu wiedziałem, że sprawa sięga bardzo wysoko.

- Daniels współpracował z Irakijczykami od dwudziestu lat - oznajmiła Phyllis. -

Wiedział, gdzie zakopano wiele ciał. Sądzę, że odciski palców Daniela można by znaleźć na wielu sprawach, które były groźne dla jego zdrowia. - Na koniec dodała: - Nie pozwól, aby zaszkodziły twojemu.

Nagle zrozumiałem, dlaczego wielu ludzi mogłoby pragnąć, aby Daniels zginął, został cichcem pogrzebany, a pamięć o nim umarła.

Kiedy wyszedłem z gabinetu Phyllis, Waterbury'ego już nie było, a Bian Tran stała obok chłodziarki do wody, uprzejmie się uśmiechając.

Rozdział szósty

Zanieśliśmy teczkę Daniela do małego pomieszczenia w bocznej części sali. Jego lokatorowi kazano na chwilę opuścić to miejsce, aby technicy mogli przeprowadzić wstępne kryminalistyczne oględziny komputera Clifforda. Bian i ja weszliśmy do pomieszczenia i przedstawiliśmy się. Technicy nosili imiona Will i John, chociaż wyglądali jak Delbert i Elbert.

Will nosił grubsze szkła od Johna, umieszczone w szerszych czarnych oprawkach, miał też więcej długopisów i ołówków w kieszonkowym piórniku. Ocenivszy, który z nich jest większym maniakiem komputerowym, wręczyłem laptop Willowi, a ten natychmiast go otworzył i zachichotał razem z kolegą.

Sądząc, że mnie to cokolwiek obchodzi, Will i John podjęli próbę wyjaśnienia swoich zamiarów - chcieli złamać hasło Daniela, przedrzeć się przez firewalle, a następnie zbadać zawartość twardego dysku, na którym mogły się znajdować naprawdę interesujące rzeczy.

Z mojego doświadczenia wynika, że spędzanie zbyt dużo czasu przed komputerem zmienia wygląd zewnętrzny oraz sposób myślenia człowieka. Na przykład Will był niezwykle błydy, miał duży, płaski tyłek, wystraszone spojrzenie krótkowidza i sprawiał wrażenie człowieka, który nie wie, jak postępować z ludźmi niepodłączonymi do joysticka. John był

typem człowieka, który uważał, że wszystkie życiowe problemy można rozwiązać lub usunąć za pomocą oprogramowania wykrywającego wirusy. Obaj jednak byli przypuszczalnie Porządnyimi i kompetentnymi facetami. Wielu ludzi niemających zielonego pojęcia o sprawach technicznych czuje się niezręcznie w towarzystwie geniuszy komputerowych.

Jestem jednym z nich. Po prostu wstyd mi z powodu mojej ograniczonej inteligencji.

W każdym razie to, czym się zajmowali, było bardzo interesujące. Kiedy John dostarczył nam wyczerpujących i błyskotliwych wyjaśnień na temat protokołów stosowanych w firewallach, wyjąłem pistolet i sprzątnąłem ich obu. Oczywiście, żartuję.

W rzeczywistości nie byłem uzbrojony, więc sięgnąłem po następne najlepsze rozwiązanie - uciekłem.

Nawet Bian, która orientowała się w temacie na tyle, aby zadać kilka inteligentnie brzmiących pytań, odetchnęła z ulgą, gdy wyszliśmy z pokoju.

Przystanęliśmy obok ekspresu z kawą, nalaliśmy sobie po kubku i ruszyliśmy do ciasnej klitki pełniacej funkcję mojego gabinetu.

- Dlaczego zadawałaś pytania? - zapytałem, kiedy usiedliśmy. - Tylko ich sprowokowałaś.

- Było warto, choćby po to, aby zobaczyć wyraz twojej twarzy, gdy zapytałam o mapowanie kodu.

Musiałem szybko zmienić temat, więc rzuciłem:

- Nawiasem mówiąc, twój szef wywarł na mnie naprawdę pozytywne wrażenie. Czy kiedykolwiek wyjmujesz głowę z tyłka?

- Zauważyłam, że przypadliście sobie do gustu. Czyżby był to początek wspaniałej przyjaźni?

- Lubię faceta. Naprawdę. Zrobię, co w mojej mocy, aby nawiązać z nim serdeczny i przyjacielski związek.

- Chrzaniisz.

- Fakt. Kim on jest?

- Dawnym wojskowym. Emerytowanym pułkownikiem żandarmerii. Słuchaj, wiem, że facet jest bardzo zasadniczy, trochę sztywny... lecz dobrze wykonuje swoją robotę.

Postępuje w bardzo przemyślany sposób. Zgodnie z regulaminem.

- Jak Adolf Eichmann.

- Dobre porównanie, ale... - Starła się powiedzieć coś miłego. - W każdym razie zawsze wie, o co mu chodzi.

- Słusznie. O co mu chodzi w sprawie Clifforda Danielsa?

- Skąd mam, u diabła, wiedzieć? - Roześmiała się.

- On wie. - Po chwili zapytałem: - Jaki sposób postępowania powinniśmy obrać?

Bian dobrze wiedziała, o co i dlaczego pytam. Punktem wyjścia dochodzenia w sprawie morderstwa są zwykle zwłoki, a jeśli człowiek ma szczęście, także narzędzie zbrodni

- całej reszty trzeba się domyślić. Trzeba odkryć motyw, określić krąg podejrzanych, spisać zeznania, dotrzeć do naocznych świadków i zdobyć dowody wystarczające, aby posadzić złego faceta na ciepłym krzeselku. Czasami - właściwie zdarza się to bardzo często - zabójca jest idiotą, który pozostawia mnóstwo śladów i poszlak pozwalających połączyć z nim ofiarę: odciski palców, ślady spermy, DNA, świadków zdarzenia, a w naszych

„kinematograficznych” czasach również taśmę wideo, na której utrwalono zbrodniczy czyn.

Zabójcy, a przynajmniej większość, wcale nie są sprytni ani przebiegli.

Ta sytuacja była inna. Podejrzewałem, że mamy do czynienia z wyjątkowym przestępcą, który funkcjonuje na wyższej płaszczyźnie, dlatego od tego, gdzie i jak zaczniemy, zależało, jak szybko będziemy się poruszali i w ile ślepych uliczek zabrnjemy.

Bian pociągnęła łyk kawy.

- W porządku. Przypuśćmy, że mamy do czynienia z morderstwem - rzekła. - Myślę, że oboje skłaniamy się do tego wniosku. Od strony proceduralnej potraktujmy to dochodzenie jak typowe śledztwo w sprawie morderstwa.

- Dobry pomysł.

- Dlaczego nie mielibyśmy zacząć od określenia kręgu podejrzanych?

- Okej. Myślę, że wielu osobom mogło zależeć na zamknięciu ust Danielsowi. Ludzie w tym kraju, być może Amerykanie, obawiali się, że jeśli facet puści farbę przed podkomisją Kongresu, będą ich czekały polityczne konsekwencje, być może przekreślające kilka karier.

W tym kręgu są jego współpracownicy i ludzie, dla których pracował, aż do sekretarza obrony i prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Skinęła głową.

- Może jego śmierci pragnęli także jacyś Irakijczycy - kontynuowałem.

- Nie możesz być konkretniejszy?

- Cóż... niektórzy mogli chować urazę za to, że przekonał prezydenta do najazdu na ich kraj.

Mam na myśli małodusznych ludzi... wiesz, człowiek bywa czasami taki małostkowy. Charabi lub któryś z jego współpracowników mógł zapobiec ujawnieniu kompromitujących ich sekretów.

- To bardzo szeroki krąg, prawda?

- Nie koniec na tym. Mamy jedynie trzydzieści milionów podejrzanych. Nie wykluczaj wrogów, którzy mogli mieć bardziej osobiste motywy... wściekłych przyjaciółek, rozgniewanych mężów, których żony mógł uwieść, zazdrosną eks, chciwego brata, który chciał odziedziczyć cały rodzinny majątek, lub...

W porządku. Dziękuję. Myślę, że teraz mamy już wszystkich.

- Nie sądzę. W kręgu podejrzanych mieszczą się wszyscy, których się spodziewasz, i ci, których nie spodziewałabyś się tam znaleźć. - Kiedyś prowadziłem dochodzenie w sprawie o zabójstwo, które jak się później okazało, popełniono z powodu butów do biegania.

Morderstwo z premedytacją. Nigdy nie zapomnę wyrazu rozpaczki rodziców ofiary, którzy na sali rozpraw dowiedzieli się, że ich syn dostał trzy kulki w brzuch z powodu sportowego obuwia wartego sto dolarów, które za sześć miesięcy stałoby się niemodnym, zużytym śmieciem. Powody, dla których ludzie zabijają bliźnich, są nieograniczone, często trywialne, a nawet śmieszne. Spojrzałem na Bian.

- Wyobraźnia zabójców nie zna granic. Nie zawężaj swojej - poradziłem.

- Zrozumiałam - odpowiedziała. - Zapomnijmy o kręgu podejrzanych. Spróbujmy dokonać rekonstrukcji zdarzeń.

- Słuszna decyzja.

- Przypomnę fakty, a ty sformułujesz hipotezy.

- Błędna decyzja. To ja powinienem zadawać pytania - ty jesteś gliną.

- To był mój pomysł. - Trąciła mnie w ramię. - Oprócz tego prawnicy są bardziej pomysłowymi gnojkami.

Trafna obserwacja.

- Nie znaleźliśmy żadnych śladów włamania - powiedziała po chwili. - Na co to może wskazywać?

- Że Daniels wpuścił mordercę do swojego mieszkania, a zatem go znał. Morderca mógł mieć również klucz, co sugerowałoby, że znali się jeszcze lepiej. Albo że zamek w mieszkaniu Daniela nie działał jak należy.

- Zamek był w porządku. Sprawdziłam go, gdy zostawiłam cię w sypialni.

- Przed wystawieniem mnie znalazłaś czas, aby sprawdzić zamek?

- Och, zapomnij o tym.

- Już zapomniałem. Dzięki tobie.

- Jak to?

- Mogłaś poinformować Waterbury'ego, że wszedłem do mieszkania Daniela, używając sfalszowanej legitymacji. Nie uczyniłaś tego. Mogłaś mi zaprzeczyć, mówiąc, że sam podejrzewałem, że teczka Daniela zawiera dowody. Nie uczyniłaś również tego.

Skinęła głową w milczeniu. Spojrzałem jej w oczy.

- Dlaczego?

- Jakie to ma znaczenie?

- Właśnie o to cię zapytałem. Dlaczego? Odpowiedziała pytaniem na pytanie:

- A jak ci się wydaje?

- Sądzę, że nie lubisz swojego szefa lub mu nie ufasz.
- Ma... trudny charakter... niełatwo się z nim współpracuje.
- To dupek.

- Fakt - odparła, śmiejąc się. Nie było mi do śmiechu.
- Przypuszczalnie obawiasz się, że twój wydział spróbuje zatuszować sprawę.

Niekoniecznie otwarcie... oboje wiemy, że wewnętrzne śledztwo może się ciągnąć latami, zmierzając w nieokreślonym kierunku, i że w końcu tylko mały krąg przyjaciół pozna jego wyniki.

- Dlaczego miałyby mnie to obchodzić?
- Chcesz, abym uwierzył, że kierowały tobą wyższe motywacje. Kodeks West Point.

Bóg, honor i ojczyzna. - Spojrzałem jej prosto w oczy i wyznałem: - Szczerze mówiąc, wierzę, że te motywacje tobą kierują.

- Podejrzewasz jednak, że oprócz nich są inne, prawda? Prawda. Spojrzałem na nią uważnie.
- Jeśli mamy ze sobą współpracować, chciałbym je znać.

- Nie ufasz mi?

Nie ufałem, lecz powiedzenie tego byłoby bezcelowe.

- Możemy odkryć rzeczy, które będą bardzo kłopotliwe, a nawet szkodliwe dla naszych przełożonych. Muszę wiedzieć, jakie stanowisko zajmujesz i jak zareagujesz.

- Przesadnie komplikujesz sytuację. - Popatrzyła na mnie. - Myślę, że jesteś bardzo inteligentny i spostrzegawczy. Mam wrażenie, że wiesz, jak poprowadzić śledztwo. Chcę rozwiązać tę sprawę i wiem, że będziesz dobrym partnerem. To motyw zawodowy. - Po chwili dodała: - Może cię lubię. Wiem, że to, co powiem, zabrzmiało jak frazes, lecz... kogoś mi przypominasz.

- Masz rację. To brzmi jak frazes.

- A jednak to prawda. Przypominasz mojego narzeczonego. Służy w Iraku w Pierwszej Dywizji Pancerniej. - Przez chwilę przyglądała mi się z sympatią. - Chociaż inaczej wyglądasz, macie wiele podobnych dziwactw i nawyków. To niezwykle.

Nie umknęło mojej uwadze, że zmieniła temat, lecz jej słowa brzmiały intrygująco i z pewnością wolałem ich słuchać, niż omawiać sprawę morderstwa.

- Podaj przykład.

Mark... tak ma na imię... Mark ma charakterystyczny sposób poruszania się.

Zmysłowy. Wyrażający pewność siebie. Obaj macie ten sam irytujący nawyk deptania ludzi, gdy wydaje się wam, że macie rację, a ktoś stanął wam na drodze.

- Zareczyłaś się z takim gościem?

- Pewne przymioty Marka wymagają wygładzenia. - Roześmiała się. - Zajmę się nimi po ślubie.

Kocham tę cechę u kobiet. Spojrzała na mnie.

- Podobnie jak ty nie wie, kiedy siedzieć cicho, jest pozbawiony instynktu samozachowawczego i...

- Wybacz, czy nie mieliśmy rozmawiać o rekonstrukcji zdarzeń? Uśmiechnęła się nieznacznie.

Nawiązując do śmierci Daniela, powiedziałam:

- Fakt numer dwa. Facet leżał martwy we własnym łóżku z pistoletem w dłoni.

- Tak. Dlaczego o tym wspominasz?

- Albo sam się do niego położył, albo go w nim umieszczono. Gdybyśmy odtwarzali w myślach sekwencję zdarzeń, każdej z możliwości trzeba by przypisać pięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo.

- W porządku. Fakt trzeci. Był nagi i podniecony. Jakie wnioski można wysnuć na tej podstawie?

Spojrzałem na nią.

- Mam to powiedzieć inaczej? - zapytała.

- Nie trzeba. Najbardziej niewinne wytłumaczenie brzmi: przed śmiercią pobudził się seksualnie - zasugerowałem. - Już o tym rozmawialiśmy.

Nie poprosiła o powtórzenie naszej dyskusji, lecz mądrze zasugerowała:

- Są też inne, mniej niewinne wyjaśnienia, prawda?

- Oczywiście. Mógł mieć towarzysza, który nie zachował się zgodnie z oczekiwaniami.

- Towarzyszkę.

- Cóż... nie wykluczam, że pan Daniels miał odmienne upodobania lub że był biseksualny. Przyjmijmy twoją hipotezę, dopóki nie poznamy faktów, które by ją podważyły.

W tym miejscu pojawia się pewien interesujący szczegół. Dlaczego miałyby umieszczać w odtwarzaczu taśmę z pornosem.

- Sam mi to powiedz.

- To przekracza moje doświadczenie i wyobraźnię.

- Myślisz, że mogę coś wiedzieć na ten temat?

Uśmiechnąłem się.

Odpowiedziała chłodnym uśmiechem, jednak postanowiła przyjąć porażkę i oznajmiła:

- W porządku, spróbuję. Niektórzy ludzie używają materiałów pornograficznych, aby stworzyć romantyczny lub zmysłowy nastrój, wstęp do prawdziwego zbliżenia. Nie jest to niezdrowe... ani nienormalne. Takie postępowanie zaleca wielu terapeutów seksualnych. -

Spojrzała na mnie. - Oglądanie filmu wideo mogło być jego lub jej pomysłem.

- Zgoda. Jego lub jej. Z drugiej strony trudno uznać, aby coś takiego robiono na pierwszej randce. Niektórzy ludzie uważają takie zachowanie za dziwaczne i negatywnie reagują.

- Osobiście też tak bym pomyślała.

- Taśma wideo dowodzi, że Daniels był w towarzystwie osoby, którą dobrze znał. Nie było to ich pierwsze spotkanie, prawda? - Skinęła głową, więc kontynuowałem: - Mamy zatem kobietę, osobę, którą znał... z którą utrzymywał intymne stosunki.

- Ładnie to ująłeś.

- Pracuję nad sobą.

- Mów dalej.

- Teraz mam coś ważnego. Nie zapominaj, że do mieszkania mógł wejść człowiek, którego Daniels nie znał. Zastrzelono go podczas snu i włożono mu pistolet do ręki. Nie trzymaj się zbyt kurczowo wstępnych założeń.

- Nie czynię tego. Trzeba jednak od czegoś zacząć. - Bian założyła nogę na nogę i pociągnęła kolejny łyk kawy. Położyłem na kolanach notatnik z adresami Danielsa i zacząłem wertować strony.

Notatnik był gruby, z alfabetycznie uporządkowanymi hasłami. Zauważyłem, że Cliff miał niezwykle staranny charakter pisma, delikatnie naciskał długopis i kreślił precyzyjne litery. Nie jestem grafologiem, lecz mężczyźni, którzy piszą tak starannie, często są absolwentami katolickich szkół lub placówek zdominowanych przez apodyktyczne kobiety przywiązujące wagę do takich szczegółów. Mojego charakteru pisma nigdy nie uważano za elegancki.

Przyjrzała mi się uważnie.

- Wiesz co? Jeszcze nigdy nie słyszałam, aby ktoś rozwiązał zagadkę morderstwa, przeglądając notes z adresami.

Nie zareagowałem na tę uwagę.

To dziwne - kontynuowała. - Około pięćdziesięciu Procent zabójstw dokonali ludzie znani

ofierze.

- Znam te dane.

- To dobrze. Nie sądzisz, że notes z adresami mógłby być mapą drogową prowadzącą od ofiary do zabójcy? - zapytała. - Zabójca często figuruje w książce adresowej denata...

niestety, nie można tego stwierdzić, dopóki nie określi się jego tożsamości za pomocą innych środków. Niewiele spraw rozwiązano dzięki notesowi z adresami.

- Czyżbym tracił czas?

- Cóż... sądziłam, że to wiesz.

- Teraz tak. Dzięki.

- Dane statystyczne mogą być użytecznym narzędziem kryminologicznym.

Popatrzyłem na nią.

- Nie lubisz krytyki? - zapytała.

- Ja?... Skądże. Chcesz pięścią w nos? - Po chwili wyjaśniłem: - Nie szukam zabójcy, Bian. Próbuję ustalić, z kim facet się kontaktował, jak wyglądało jego życie.

- Rozumiem. - Wskazała na jakieś nazwisko i zapytała: - Czy to nazwisko coś ci mówi?

Albert Tigerman.

- Z danych statystycznych wynika, że tylko jedna dziesięciotysięczna procentu zabójców ma na imię Albert, a jeszcze mniej nosi nazwisko Tigerman. Stąd wniosek, że Albert powinien znaleźć się na końcu listy podejrzanych - rzekłem z uśmiechem. - Uwielbiam statystykę.

Zareagowała cierpkim uśmiechem.

- Spróbuj jeszcze raz.

- Powinienem znać tego Alberta?

- Gdybyś pracował w Pentagonie... od razu wiedziałbyś, o kogo chodzi.

- Właśnie po to mam ciebie.

- Tigerman był przełożonym Daniela. To potężna i wpływowa postać. Jest zastępcą podsekretarza obrony do spraw politycznych, Thomasa Hirschfielda. To trzecia osoba w Pentagonie.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Szybko się uczysz. Pozwól, że przekartkuję notes z adresami, a ty będziesz patrzył przez ramię. Może rozpoznam niektóre z wymienionych osób.

Rzuciłem jej notes. Zaczęła od litery „A”, szybko przesuwając palec do litery „B” i dalej. Czasami używała długopisu, zaznaczając jakieś nazwisko lub stawiając obok znak „X”.

Nie miałem pojęcia, jakie znaczenie im przypisuje ani co oznaczają używane przez nią symbole.

Jak można było oczekiwać, większość nazwisk w notatniku Cliffa należała do mężczyzn. Niektóre były poprzedzone stopniami wojskowymi, lecz większość ich nie miała.

Na pierwszy rzut oka świat Cliffa wydawał się całkiem typowy - tworzyli go koledzy z pracy, fachowcy różnych specjalności oraz ludzie, z którymi łączyły go związki natury osobistej.

Kobiety stanowiły mniej niż jedną trzecią. Przy jednej trzeciej wymienionych umieszczono adresy, lecz przy większości figurował jedynie numer telefonu z numerem kierunkowym „202” - rejonu Waszyngtonu, i „703” - północnej Wirginii.

Sam rozpoznałem część nazwisk - między innymi kilku członków Rady Bezpieczeństwa Narodowego, paru wyższych funkcjonariuszy CIA, kilku ważniaków z Pentagonu i generała Nicholasa Westfalia, szefa Agencji Wywiadu Obronnego. Jak na urzędnika średniego szczebla, Clifford miał zaskakująco dobre koneksje i najwyraźniej należał do wewnętrznego kręgu władzy.

Bian dotarła do litery „T”, a następnie powróciła do „D”, do osób o nazwisku Daniels, obok których umieściła „X” - Theresy, z numerem kierunkowym północnej Wirginii i adresem w

południowej części hrabstwa Arlington, oraz Marilyn - z Piano w Teksasie.

Umieściła palec wskazujący prawej ręki pod Theresą z południowej części Arlington i zapytała:

- Chcesz się założyć, że to jego była? Mieszka zaledwie kilka przecznic od Daniela.

Dwie pozostałe osoby mogą być jego rodzicami, rodzeństwem lub kuzynami.

Kiedy to mówiła, do środka zajrzał Will. Piskliwym, podnieconym głosem oznajmił:

- Odkryliśmy hasło i penetrujemy zawartość twardego dysku. Chociaż zabrzmiało to nieco wulgarnie lub śmiesznie, Bian zapytała dyplomatycznie:

- Znaleźliście coś?

- To... bardzo interesujące. Daniels przechowywał na komputerze wiele osobistych danych. Informacje finansowe. Książeczkę czekową. Na komputerze obliczał podatki. Dużo tam prywatnej korespondencji - - Po chwili dodał z uznaniem: - Facet świetnie znał się na komputerach... to naprawdę dziwne.

Naprawdę dziwny był Will. Zachowałem tę uwagę dla siebie i zapytałem życzliwie:

- Co takiego uważasz za dziwne?

- Trzy zaszyfrowane katalogi.

- Katalogi?

Taaak... katalogi... - Spojrzał na mnie przez swoje grube okulary i doszedł do słusznego wniosku, że jego rozmówca jest technicznym debilem. - Katalog przypomina szufladę na skarpety i bieliznę... szufladę na twardej dysku, w której można przechowywać różne dokumenty... Sądząc po ilości miejsca, które zajmują, muszą zawierać dużo plików. Jak powiedziałem, są zaszyfrowane. Nie do odczytania.

- Masz na myśli skarpety czy bieliznę? - zapytałem. Szczerze mówiąc, wcale nie jestem takim debilem, na jakiego wyglądam. Wiem, co to jest katalog, lecz zachowałem się w ten sposób, aby dać mu do zrozumienia, by przestał posługiwać się informatycznym żargonem. Spojrzał na mnie wymownie, jakby życzył sobie, aby jeden z nas znajdował się gdzie indziej, lecz z pewnością zrozumiał, o co mi chodzi.

Bian postanowiła na coś się przydać.

- Co to za szyfr? - zapytała Willa.

- Cóż... wygląda to na jakąś wersję komercyjną. FBI i CIA bezskutecznie próbowały skłonić Kongres do wydania zakazu posługiwania się szyframi komercyjnymi. W rezultacie na rynku występuje kilka programów tego typu.

Bian i ja spojrzeliśmy na siebie znacząco. Nasuwało się oczywiste pytanie: Dlaczego urzędnik Departamentu Obrony, podejrzewany o szpiegostwo, miałby zainstalować komercyjny program szyfrujący na swoim laptopie? Czasami rzeczy oczywiste są nieprzyjacielem prawdy.

- Fantastycznie... uwielbiam łamać szyfry - oznajmił ochoczo Will.

- W takim razie dlaczego tego nie zrobiłeś? - zapytałem jak idiota.

- Cóż, może to potrwać kilka miesięcy, szczególnie jeśli okaże się, że mamy do czynienia z prywatną siecią wirtualną VPN. Protokół ISP jest bardzo... wszystkie szyfry symetryczne... - Potrząsnął głową. - Mielibyśmy szczęście, gdyby okazało się, że to SSL.

Bian kiwała głową. Nie miałem zielonego pojęcia, o czym ten facet gada, nie zamierzałem też zadawać kolejnych głupich pytań i ryzykować wyjaśnień w technicznym żargonie przypominającym alfabetyczną biegunkę.

- Dzięki - odpowiedziała jak zawsze dyplomatycznie Bian. - Czy nie byłoby wskazane przekazanie zaszyfrowanych plików do Agencji Bezpieczeństwa Narodowego? Mają duże doświadczenie w szyfrowaniu i łamaniu szyfrów.

Will miał najwyraźniej ochotę usłyszeć co innego, bo smutno pokiwał głową.

- Ile wam to zajmie? - zapytał Willa.

- Może już rozpracowaliśmy ten szyfr. Jeśli trzeba będzie zacząć wszystko od początku, w zależności od stopnia złożoności... jeden dzień... dwa dni... trzy miesiące. Jak szybko tego potrzebujecie?

- Wygląda, że na wczoraj. Zapytaj Phyllis. Ona będzie wiedziała, kogo pocałować albo kopnąć w tyłek.

- W porządku. - Zaczął wychodzić z pokoju, gdy nagle uderzył się w czoło i odwrócił na pięcie. - Na śmierć zapomniałem... John znalazł kilka listów, które jego zdaniem powinniście zobaczyć.

Wzięliśmy kubki z kawą i poszliśmy za Willem na tył biura, gdzie siedział John z nosem przyklejonym do komputerowego monitora.

- Will wspomniał o jakichś listach - zagałem.

- Aaa... taak. Pomyślałem, że powinniście je zobaczyć. Poczekajcie. - Nie podnosząc wzroku, zaczął przesuwac małym kursorem, który sprawiał wrażenie połączanego z jego koniuszkami palców. Po chwili na ekranie pojawił się dokument sporządzony w programie Microsoft Word. - Jest ich kilka. Ten jest najbardziej obcesowy... lecz ogólnie można go uznać za reprezentatywny dla pozostałych.

Pochyliliśmy się z Bian nad jego lewym ramieniem, a ja odczytałem na głos: *Ty suko.*

Twój pieprzony prawnik zadzwonił do mnie ponownie. Do pracy!

Coś takiego! Przerwałem i każde z nas zaczęło czytać po cichu.

Przestań mi grozić sądem. Mam NAPRAWDĘ dość twoich prób zniszczenia mojej kariery. Nie puszczę tego płazem. Powiedz temu dupkowi, którego zatrudniasz, aby więcej nie wydzwaniał do mnie do biura, bo tego pożałuje. Zajmę się nim osobiście.

Wbij to sobie do tej pustej pieprzonej mózgownicy, suko: Nie mam pieniędzy, które mógłbym ci dać. Wysłałaś ze mnie wszystko, nędzna pijawko. Trzeba zapłacić za college Lizzie? To twój problem. Powiedz jej, aby ruszyła tyłek i znalazła sobie jakąś robotę. Muszę jeść, gdzieś mieszkać i dalej żyć.

Sprzedaj ten cholerny dom, który i tak jest dla ciebie za duży. Nawiasem mówiąc, któregoś dnia przejeżdżałem obok niego. Trawnik wyglądał okropnie, podobnie jak samochód. Co się stało z pieniędzmi, które ci dałem na naprawienie dachu? Pewnie wydałaś je na coś innego, zdziw. Ciekawe na co? Mam prawo wiedzieć. To była MOJA forsa.

Mógłbym poprosić, abys przekazała pozdrowienia dzieciakom... ale ty, oczywiście, tego nie zrobisz. Zatrulaś im serce i umysł, zwracając je przeciwko mnie. Żałują dnia, w którym cię poznałem. O czym, do diabła, myślałem, gdy żeniłem się z tobą? Nie zapomnij, że jeśli twój prawnik zadzwoni ponownie do mojego biura, sprawię, iż tego pożałuje. A ty razem z nim. Nie lekceważ mnie. Cliff.

Podniosłem oczy znad ekranu i spojrzałem znacząco na Bian. Najwyraźniej Cliff nie rozstał się z żoną w przyjaźni.

Na szczęście oficerowie Wojskowego Biura Śledczego nie zajmują się rozwodami - przedmiotem ich zainteresowań są sprawy związane z działaniami wojennymi. Chociaż zwykle bywają paskudne, mają jednak tę zaletę, że gdy się skończą, to na dobre.

Bian odwróciła się do Johna.

- Macie więcej takich listów? - zapytała.

- Taak. Nadal sprawdzam dysk... z tytułów nie można wywnioskować, że są to obraźliwe listy

do byłej żony.

- Coś oprócz tego? - zapytałem.

- Jest pewna interesująca rzecz. Domyślam się, że pan Daniels należał do kilku internetowych klubów randkowych i forów.

- Powiedz nam coś na ten temat.

- Cóż... facet próbował usunąć wpisy i adresy e-mailowe. Oczywiście, można odzyskać wszystko, co znajdowało się na twardym dysku. Wiecie, jak można poznawać nowych ludzi za pośrednictwem Internetu?

Pewnie wyglądałem na zagubionego, bo wyjaśnił:

- To łatwe i naprawdę skuteczne.

- Co?

- Poznanie kobiety za pośrednictwem komputera. Nie trzeba łązić po barach i wymyślać inteligentnych kwestii, aby zagadać do prawdziwej kobiety.

Zrozumiałem, że dla Johna mogło to stanowić pewien problem. Bian spojrzała na mnie.

- Słyszałam najlepszą kwestię Drummonda. - Po chwili zasugerowała: - Mógłbyś wyświadczyć mu wielką przysługę i wyjaśnić, jak to działa?

Uśmiechnąłem się szeroko. Suka.

- Są serwisy internetowe, w których wystarczy wnieść opłatę i wypełnić kwestionariusz. To bardzo wygodne. Odpowiadasz na kilka pytań dotyczących własnych upodobań, rzeczy, których nie znosisz, zainteresowań oraz rodzaju osoby, z którą chciałbyś się umówić na randkę. Program analizuje podobne kwestionariusze wypełnione przez kobiety, szuka cech wspólnych i łączy was elektronicznie. Fora dyskusyjne są dostępne dla wszystkich. Wystarczy się zarejestrować i zabrać głos w dyskusji. Inny członek forum może polubić twój styl i zainteresować się twoją osobą.

- Chcesz powiedzieć, że mój komputer jest stręczycielem?

- Nie... ja...

- A jeśli jedno i drugie skłamię?

- Może tak się stać, ale...

- Spotkają się i odkrywają, że każde jest głupsze i brzydsze, niż powiedziało?

Bian stłumiła śmiech.

John patrzył na mnie jak na idiotę. Nie kryję, że był to dla mnie całkiem nowy świat.

Należę do starego i nie lubię, gdy mi się o tym przypomina.

- Odwaliłeś kawał dobrej roboty. Dzięki - pochwaliłem Johna. Po chwili zwróciłem się do

Bian: - Kto ma zawiadomić byłą żonę o jego śmierci?

- Policja w Arlington.

- Jesteś pewna?

- Tak. Sprawdziłam przed wyjściem z biura. Wojsko zawiadamia wyłącznie o śmierci żołnierzy.

- Tym razem będzie inaczej. Zadzwoń do swojego kumpla, detektywa Endersa.

Powiedz mu, że jest wolny.

- Sądzisz, że to dobry pomysł?

- Czy obserwowanie reakcji podejrzanego na wiadomość o odnalezieniu ciała może być złym pomysłem?

Zastanowiła się przez chwilę, a następnie powiedziała:

- Powinnaś była o tym pomyśleć.

- Faktycznie.

Kiedy dzwoniła do Endersa, stałem za plecami Johna, czytając kolejne listy Cliffa do i od jego

byłej. Wszystkie, napisane najwyraźniej po rozwodzie, były pełne goryczy, gniewu, obelg, a często również grózb. Nie podnosząc się znad komputera, rzuciłem do Bian, która w dalszym ciągu rozmawiała z Endersem:

- Poproś go, aby przejrzał raporty o przypadkach przemocy w rodzinie. Zakazy zbliżania się, prośby o udzielenie ochrony. Rzeczy tego rodzaju.

To, że Cliff korespondował ze swoją eks za pośrednictwem poczty elektronicznej, sugerowało istnienie zakazu zbliżania się, a może nawet dzwonienia. Z drugiej strony fizyczna ekskomunikacja mogła być środkiem, który sami sobie narzucili. W sprawach rozwodowych zwykle nic nie ma sensu i nigdy nie wiadomo, z czym można mieć do czynienia. Było stanowczo za wcześnie, aby przechodzić do konkluzji, lecz sądząc po tonie listu, nie zdziwiłbym się, gdyby chciała strzelić mu w łeb.

Moglibyśmy bez trudu przyjąć, że Cliff został sprzątnięty przez wkurzoną eksmałżonkę. Szczerze mówiąc, nie poczułbym się rozczarowany - wręcz przeciwnie, doświadczyłbym sporej ulgi.

Cóż, wkrótce mieliśmy się o wszystkim przekonać.

Rozdział siódmy

Posesja Theresy Daniels znajdowała się przy południowej Dwudziestej Ósmej Ulicy, w krętym szeregu małych, piętrowych domków z czerwonej cegły utrzymanych w stylu kolonialnym - szeregu przypominającym długi korowód żołnierzy w czerwonych kurtkach.

Działki ze starymi dębami i wiązami liczyły nie więcej niż ćwierć akra. Okolica sprawiała wrażenie schludnej i dobrze utrzymanej. Ulicę charakteryzował staromodny urok - wszystkie domy były zbudowane w końcu lat czterdziestych i na początku pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Typowa enklawa klasy średniej stworzona dla mężczyzn, którzy przeżyli wojnę i wrócili do domu szczęśliwi, że pozostali w jednym kawałku, gotowi podjąć pokojową pracę, założyć rodzinę i dalej żyć. To miejsce w dalszym ciągu dobrze wyglądało, chociaż w każdej chwili spodziewałem się ujrzeć Wally'ego Cleavera uganiającego się za Beav.

Zaparkowałem crown victorię przed domem Theresy i wysiadłem, idąc za przykładem Bian. Cliff miał słuszość. Trawnik Theresy był zaniedbany i zarośnięty chwastami, a na dachu brakowało kilku dachówek. Minivan chrysler stojący na podjeździe dawno powinien był odwiedzić lakiernika. Pomyślałem, że przypuszczalnie warto byłoby wymienić w nim olej, przełożyć opony, a jeszcze lepiej, sprawić sobie nowy wóz.

Ruszyliśmy w kierunku frontowego wejścia. Nacisnąłem dzwonek kilka sekund później drzwi otworzyła kobieta ubrana w czarne dresowe spodnie i podniszczony podkoszulek ozdobiony buldogiem maskotką Uniwersytetu Georgetown oraz napisem:

„Odwal się”. Bian przedstawiła nas, rozmyślnie nie ujawniając celu wizyty i uprzejmie pytając, czy mogliśmy wejść do środka.

Chociaż trzeba było posłużyć się wyobraźnią, rozpoznałem w niej kobietę z fotografii w mieszkaniu Clifforda. Od czasu jej powstania wyraźnie się postarzała lub, wyrażając się bardziej elegancko, jej twarz zyskała więcej charakteru. Winston Churchill mawiał, że około pięćdziesiątki opowieść o życiu człowieka jest wypisana na jego twarzy. Najwyraźniej nie zawsze tak było, bo śmiejąca się Theresa Daniels z fotografii, którą widziałem, miała wówczas około pięćdziesiątki. W ciągu kilku lat, które upłynęły od tego czasu, na jej twarzy pojawiła się zupełnie inna historia.

Pomyślałem, że kiedyś musiała być całkiem atrakcyjna - niekoniecznie piękna ani nawet zmysłowa, lecz o uderzającym typie urody. Jak już wspomniałem, Cliff miał bardzo pospolity wygląd, zatem, przynajmniej w sensie fizycznym, poślubił osobę stojącą wyżej od siebie.

Pani Daniels była średniego wzrostu, miała wąską twarz o regularnych rysach, wysokie, wystające kości policzkowe, ładne niebieskie oczy, szczupłą figurę o wąskich biodrach i szerokich

ramionach. Jednak, podobnie jak dom i samochód, Theresa Daniels sprawiała wrażenie zaniedbanej. Zniszczona skóra i chropowaty głos sugerowały, że dużo pali i przypuszczalnie nadużywa alkoholu. Zwróciliśmy uwagę na brak makijażu, co z wyżej wspomnianych powodów było poważnym błędem. Ciemne włosy, na zdjęciu ostrzyżone na ładnego pazia, teraz sięgały ramion, posiwiałe, zaniedbane i skudłone - nie był to dzień, w którym włosy źle się układają, lecz raczej cała dekada.

W jej postawie i sposobie poruszania się dostrzegłem jakąś chaotyczność, jakby osłabł duch zamieszkujący ciało.

Przyglądała się nam nieufnie - Bian w mundurze wojskowym, mnie elegancko ubranemu, niczym przedsiębiorca, w niebieskim garniturze od Brooks Brothers.

- Moglibyście mi powiedzieć, o co chodzi?

- Myślę, że byłoby lepiej, abyśmy porozmawiali w środku. Pani Daniels wykonała omdlewający gest dłonią, zapraszając do holu, a następnie do małego i ciasnego salonu. Po lewej stronie para balkonowych drzwi wiodła do miniaturowej jadalni, a z tyłu dostrzegłem wąskie schody prowadzące na piętro. Pomyślałem, że zaprojektowano ten dom w taki sposób, aby wywołać atak klaustrofobii.

Abstrahując od wspomnianych cech, wewnątrz było ładnie udekorowane - właściwie nawet z pewną przesadą. Utrzymane w stylu kolonialnym meble były całkiem ładne i sprawiałały wrażenie stosunkowo drogich. W powietrzu dawało się wyczuć lekką woń stęchlizny - dom, a pewnie także życie jego mieszkańców, wymagał solidnego przewietrzenia.

Theresa opadła na stojący obok kominka fotel z wysokim oparciem w zielono-czerwone paski, wskazując, abyśmy spoczęli na brązowej pluszowej kanapie przy ścianie.

Założyła nogę na nogę i odchyliła głowę do tyłu, unosząc brodę. Nie zaproponowała nam niczego do picia, co oznaczało, że albo uznała naszą wizytę za oficjalną, albo że jej gościnność, podobnie jak dom, potrzebowała naprawy.

Bez zbędnych ceregieli zapytała:

- Jaki jest cel waszej wizyty?

Kilka razy powiadamiałem rodzinę o śmierci najbliższych i zawsze był to przykry obowiązek. Nigdy nie wiedziałem, jak przyjmą tę wiadomość, dlatego trzeba było zachować najwyższą czujność. Zwykle ludzie reagują smutkiem, czasami przeżywają szok, często okazują gniew lub wyrażają wszystkie wspomniane emocje.

Szpeciallynie nieprzewidywalni są byli małżonkowie. Jeden z kolegów wyznał, że była żona zmarłego zaciągnęła go do łóżka na trzy godziny namiętnego seksu, inny dostał kolaniem w jaja.

Pamiętając o obydwu wspomnianych przypadkach, zasłoniłem krocze i poinformowałem panią Daniels:

- Mam smutną wiadomość. Pani były mąż, Clifford, zmarł ostatniej nocy.

Okoliczności śmierci pozostają niejasne.

Spojrzała na dywan z miną, która nie wyrażała żadnych uczuć. Po krótkim namyśle zapytała:

- Niejasne? Co to znaczy?

- To znaczy, pani Daniels, że pani były małżonek został znaleziony w łóżku z pistoletem w dłoni i dziurą w głowie. - Przyglądałem się uważnie jej twarzy, aby ustalić, czy jest to dla niej nowa wiadomość, czy stara. - Okoliczności wskazują, że mogło to być samobójstwo... jednak wstrzymujemy się przed formułowaniem ostatecznych wniosków.

Do rozmowy włączyła się Bian, jakby chciała usprawiedliwić swoją obecność.

- Składamy pani kondolencje. Jestem pewna, że pomimo rozwodu doświadcza pani bardzo skomplikowanych uczuć.

Szczerze powiedziawszy, jej uczucia wcale nie sprawiały wrażenia skomplikowanych.

Theresa wstała i odwróciła się do nas plecami. Bian i ja zauważyliśmy, że na gzymsie kominka stało zdjęcie ślubne w ładnej srebrnej ramce, na którym widniał młody, promieniujący szczęściem Clifford w mundurze sierżanta, obejmujący ramieniem piękną narzeczoną, ukazującą zęby w szerokim uśmiechu.

Ponad połowa małżeństw zawieranych w Ameryce kończy się rozwodem, a jedna czwarta jest bardzo niezadowolona ze swojego związku, lecz pozostaje w nim z różnych powodów - dzieci, kwestii finansowych, nawyku lub zwykłej małżeńskiej przyjemności, jakiej dostarcza im dręczenie partnera. Na każde małżeństwo - udane, zakończone rozwodem lub inne - przypada taka fotografia ukazująca młodą, naiwną, optymistycznie patrzącą w przyszłość parę, zupełnie nieświadomą tego, jakie piekło lub szczęście sobie zgotuje.

Theresa spoglądała przez kilka sekund na fotografię, a następnie odłożyła ją na gzyms kominka zdjęciem do dołu.

- Nie rozumiem, dlaczego informuje mnie o tym oficer żandarmerii wojskowej.
- Rozpoznała pani mój mundur?
- Mam nadzieję. Ojciec był zawodowym żołnierzem. Wychowywałam się na terenie baz wojskowych.

Bian spojrzała na mnie.

- Major Tran i ja próbujemy ustalić przyczyny śmierci Clifforda. Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań. - Po chwili dodałem: - Oczywiście, jeśli chwila jest nieodpowiednia...

Oczekiwałem, że wywali nas na zbity pysk, lecz zamiast tego zapytała:

- Chcielibyście czegoś się napić? Kawa, herbata...? Zważywszy na wiadomość, którą przed chwilą przekazaliśmy, jej zachowanie było co najmniej dziwne. Jak powiedziałem, nigdy nie wiadomo, czego się można spodziewać. Ścisnąłem nogę Bian i powiedziałem:

- Dziękuję, nie chcę niczego.

Bian zawtórowała przeczącym ruchem głowy. Theresa Daniels przyglądała się nam przez chwilę.

- Sprawia pan wrażenie rozczarowanego, panie Drummond - rzekła. - Spodziewał się pan, że padnę na ziemię, zanosząc się szlochem? Zacznę wyrywać sobie włosy i ronić łzy?

- Nie spodziewaliśmy się żadnej konkretnej reakcji, pani Daniels. Badała przez chwilę moją twarz.

- Ciekawi pana, jakich uczuć doświadczam? - Kiedy milczałem, dodała: - Szczerze mówiąc, nic nie czuję. Clifford Daniels, którego znałam... mężczyzna, którego poślubiłam, umarł wiele lat temu.

- Może w pani sercu, jednak w sensie klinicznym jego serce przestało bić wczoraj około północy. Naszym zadaniem jest ustalenie, czy było to samobójstwo... czy coś innego.

- Dlaczego nie powie pan zwyczajnie „morderstwo”? Przecież właśnie to ma pan na myśli, prawda?

- Tak... morderstwo. - Spojrzałem jej w oczy. - Nie sprawia pani wrażenia zaskoczonej tym podejrzeniem.

Wzruszyła ramionami.

- Czy Clifford miał broń?

- Tak. Pistolet.

- Jakiego rodzaju...

- Proszę mnie nie pytać o rodzaj. Nienawidzę broni. Błagałam go, aby wyniósł to z domu.

- Pistolet?

- Potrafię odróżnić pistolet od karabinu, panie Drummond.

- Czy miał ten pistolet, gdy byliście jeszcze małżeństwem?
- Tak. Kupił go rok lub dwa przed separacją. Zapewnił mnie, że broń jest zarejestrowana.
- Miał tłumik? - zapytałem, a po chwili wyjaśniłem: - Małą rurkę, którą wkręca się na lufę.
- Nie jestem pewna. Dysponował zestawem akcesoriów do pistoletu. Siadywał tutaj - mówiąc to, wskazała na stół w jadalni - wieczorem po pracy. Czyścił go i oliwił. Dbał bardziej o broń niż o mnie. To nie miało żadnego sensu - nie sądzę, aby kiedykolwiek z niej korzystał.

- Zabrał ją ze sobą, gdy zdecydowaliście się na separację?

- Żeby pan wiedział.

- Po co cywilnemu urzędnikowi potrzebna broń?

- Była potwierdzeniem... wybujałego przekonania o własnej ważności. Bez żadnego konkretnego powodu... niebezpieczeństwa lub czegoś w tym rodzaju, jeśli o to panu chodzi.

- Sam nie wiem, o co mi chodzi.

- To proste, panie Drummond. Clifford uważał, że jest tak ważny, iż ktoś mógłby chcieć go zranić lub zabić. Był dumny z tego powodu. Ta... broń... była dla niego wyrazem afirmacji. Mężczyźni traktują broń jak penisa.

Abstrahując od obrazy pod adresem mojej płci - w której pobrzmiwała kłopotliwa odrobina prawdy - jej słowa otworzyły ciekawy kierunek rozmowy.

- Jak długo byli państwo małżeństwem, pani Daniels? - zapytała Bian.

- Trzydzieści lat.

- To bardzo długo. Kiedy się rozwiedliście?

- Byliśmy w separacji od czterech lat. Sprawa rozwodowa zakończyła się rok temu.

- Mają państwo dzieci?

- Dwoje. Córkę, Elizabeth... i syna, Jacka.

- Gdzie mieszkają obecnie? - Chociaż początkowo byłem poirytowany odejściem od obiecującego tematu, nagle zrozumiałem, dlaczego Bian o to wypytuje. Dzieci także były podejrzane.

- Jeśli nie jestem zbyt ciekawska...

- Elizabeth studiuje na ostatnim roku Uniwersytetu Georgetown - i poinformowała ją Theresa. - Mieszka tutaj. Dojeżdża na zajęcia. Oszczędza.

- A Jack?

- Jack rzucił szkołę dwa lata temu. Przebywa na Florydzie. Ma... powiedzmy, że ma problemy osobiste.

Bian spojrzała na mnie znacząco.

- Czy nie będzie z mojej strony nietaktem, jeśli zapytam jakie?

- No cóż... nasz rozwód... proszę pamiętać, że Jack jest o trzy lata młodszy od siostry.

To chłopiec. Traktował ojca jako wzór, a okoliczności były... - Zrozumiała, że powiedziała więcej, niż musieliśmy lub chcieliśmy wiedzieć, więc szybko zakończyła: - Miał problemy w szkole... narkotyki, kilka konfliktów z prawem. Teraz jest w specjalnym ośrodku w okolicy Tampy.

- To czysta formalność, muszę panią jednak o coś zapytać - powiedziałem. Nawiasem mówiąc, w dochodzeniu kryminalnym nie ma czegoś takiego jak czysta formalność.

Spojrzała na mnie w milczeniu.

- Czy może pani wskazać kogoś, komu mogłoby zależeć na śmierci Cliffa lub kto odniósłby korzyść z tego tytułu?

- Jasne. - Spojrzała mi prosto w oczy. - Ja. Chciałam, aby ten drań był bardziej martwy niż gałka u drzwi. Czy płacił raty swojej polisy ubezpieczeniowej? Beneficjentami są dzieci.

Ta forsa bardzo by się nam przydała.

Bian odchrząknęła.

Minęła dłuższa chwila, przez którą Theresa i ja nie odrywaliśmy od siebie wzroku.

- Wspomniała pani o kawie - przerwałem milczenie. Moja uwaga najwyraźniej ją rozbawiła, bo zachichotała.

- Właśnie przygotowałam świeży dzbanek. Proszę ze mną do kuchni. Powinniście dopilnować, aby główny podejrzany nie wyskoczył przez okno.

- Nie jest pani podejrzana, pani Daniels. - Jeszcze nie.

- Proszę nie być takim pewnym siebie - rzekła po dłuższej chwili milczenia Theresa Daniels.

Rozdział ósmy

Po tych obiecujących słowach wstaliśmy i ruszyliśmy przez jadalnię do kuchni -

pomieszczenia długości około dwóch metrów i szerokości metra osiemdziesięciu. Posadzkę tworzyły ułożone w szachownicę winylowe czarno-białe płytki. Błaty wykonano z jakiejś paskudnej cytrynowozielonej płyty. Gdyby nie urządzenia i osoby znajdujące się w pomieszczeniu, kuchnia przypominałaby zatrzymaną w czasie kuchnię z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku.

Cała nasza trójka zdołała się jakoś zmieścić w ciasnym pomieszczeniu. Theresa stała przy zlewie, gdzie astmatyczny ekspres do kawy wypluwał ostatnie krople napoju do brudnego szklanego dzbanka. Doliczyłem się trzech roślin - wszystkie uschły i przypominały sękaty brązowy papirus, który uznałem za odpowiednią dekorację dla tego domu i jej właścicielki.

- Chcecie mleczko czy cukier? - zapytała Theresa.

- Poproszę jedno i drugie - odparłem, wymieniając z Bian niepewne spojrzenie.

Wicie, ta kobieta została przed chwilą powiadomiona, że mężczyzna, z którym przez trzydzieści trzy lata dzieliła życie - z którym sypiała, spółdziła i wychowała dwójkę dzieci -

teraz leży w kostnicy. Nie oczekiwałem, że będzie jęczała, wrywała sobie włosy z głowy czy coś w tym stylu. Ale nie spodziewałem się takiej lodowatej obojętności i zastanawiałem, czy jej reakcja nie była przesadzona - nie stanowił swoistego mechanizmu obronnego czy czegoś w tym rodzaju.

To, co zniszczyło ich związek, musiało mieć wymiar katastrofy, czy jednak wystarczyło, aby skłonić ją do wpakowania kulki w głowę Clifforda? Odniosłem wrażenie, jakby chciała, abyśmy w to uwierzyli, czy była to jednak prawda, czy reakcja na wiadomość o jego śmierci?

Theresa otworzyła lodówkę i wyjęła karton z mlekiem, a następnie otworzyła kredens i wyciągnęła cukiernicę, w której kryształki zbiły się w biały granit. Napełniła dwa kubki i podała je Bian i mnie.

Kiedy dolałem mleka i nabałaganiałem, próbując odłupać trochę cukru, Theresa spojrzała w bok.

- Potrzebuję odrobiny sherry na żołądek - oznajmiła. Zostawiła nas samych, aby wrócić po chwili z wysoką szklanką koktajlową w dłoni wypełnioną kostkami lodu i dziwnie bezbarwną sherry.

- Jestem pewna, że nie będzie wam przeszkadzało, jeśli zapalę. Miała już w ustach papierosa, który wypełniał dymem małe pomieszczenie.

- Moglibyśmy porozmawiać z panią o Cliffie? - zapytałem, mieszając kawę. -

Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o życiu ofiary.

- Może powinien pan zacząć od tego, co robiłam wczoraj około północy? - Uznałem jej pytanie za wyraz zgody.

Zapytałem.

- A gdzie jestem każdego wieczoru? - Roześmiała się. - Moim alibi jest David Letterman. Może mnie pan przepytac, używając jego dziesięciu najlepszych pytań.

Uśmiechnąłem się. Sytuacja zaczęła przybierać dziwny obrót.

- Nie wiedziałabym, o co zapytać - odezwała się po chwili Bian.

- Proszę to zwyczajnie zrobić. - Wzruszyła ramionami i dodała: - Jeśli pytanie mi się nie spodoba, poproszę o kolejne.

- W porządku. Dlaczego wasze małżeństwo się rozpadło? Na fotografii ślubnej stojącej na gzymsie kominka... sprawiacie wrażenie zakochanych.

- Oficjalnym powodem wykorzystanym przez mojego prawnika była niewierność małżeńska. Miałam tego dosyć. Moja cierpliwość się skończyła. Jednak był to tylko zewnętrzny powód.

Nie lubię rozpoczynać opowieści od końca, więc zapytałem:

- Jak się poznaliście?

- W Fort Meade pod koniec lat sześćdziesiątych. Mój ojciec był pułkownikiem i pracował w kwaterze głównej. Cliff służył jako zwyczajny sierżant. Znał język arabski i farsi.

Byłam młoda, miałam osiemnaście lat i spędzałam wiele czasu w kantine. Dzieci oficerów nie powinny przebywać w towarzystwie zwyczajnych żołnierzy, byłam jednak za młoda dla oficerów i... chciałam... zagrać ojcu na nosie. W końcu mieliśmy lata sześćdziesiąte. Wszyscy brali LSD i uprawiali seks z nieznajomymi. Flirtowałam z żołnierzami. - Zaniósł się suchym kaszlem i pociągnęła spory łyk „sherry”. Chodziliśmy na randki. Po kilku miesiącach zapytał, czy za niego wyjdę.

- Wygląda na to, że zrobił na pani piorunujące wrażenie - skomentowała Bian.

- Tak. Sądzę, że tak. Kochałam Cliffa... wtedy... był inteligentny, uprzejmy, ambitny...

może niezbyt przystojny, lecz kiedy się go lepiej poznało, potrafił być bardzo czarujący... -

Nie wspomniała, że z pomocą swojej „trzeciej nogi” mógłby skakać o tyczce ponad wysokimi wieżowcami i ja również tego nie uczyniłem.

Przez następnych dwadzieścia minut Theresa opisywała idealny początek, idealne małżeństwo i idealne życie.

Cliff zakończył służbę i został zwolniony do cywila. Z powodu doświadczenia zdobytego w wywiadzie wojskowym i znajomości języków obcych złożył podanie do DIA -

Agencji Wywiadu Obronnego, i natychmiast został przyjęty. Theresa pracowała w biurze przez blisko dziesięć lat, aby wspomóc budżet rodzinny. Później kupili ten dom i biologiczny zegar zaczął tykać. Na świecie pojawiła się dwójka wspaniałych dzieci, Theresa przestała pracować i została pełnoetatową mamą. Na pierwszy rzut oka typowy amerykański sen.

Jako pracownik Cliff odznaczał się inteligencją, pracowitością i pilnością, dzięki czemu cieszył się dużym uznaniem przełożonych. W początkowym okresie kariery zawodowej często awansował i dostawał podwyżki. Niestety, rola DIA polega na wspieraniu naszych żołnierzy, a w okresie zimnej wojny pełne ręce roboty mieli przede wszystkim sowietolodzy i specjaliści od Kremla. Bliski Wschód uważano za strategiczny zaścianek, dlatego arabiści zwykle funkcjonowali na drugim planie. Kiedy Cliff odkrył, że ma poważny problem, był już czterdziestokilkuletnim mężczyzną, za starym na zmianę specjalności lub kierunku kariery zawodowej.

Co jakiś czas przerywaliśmy jej opowieść, prosząc o wyjaśnienie jakiegoś punktu lub powrót do tematu. Theresa stała się gadatliwa. Wiedzieliśmy, że chce porozmawiać, nie w celu wewnętrznego oczyszczenia, lecz jak człowiek, który snuje opowieść, znając jej pozytywne zakończenie.

Czasami jej narracja była chronologiczna i uporządkowana, kiedy indziej swobodna i pełna dygresji. Często przerywała, aby zapalić kolejnego papierosa, i dwa razy wyszła z kuchni, aby dolać sobie „sherry”. Było późne popołudnie. Sądząc po tempie, w jakim dolewała sobie trunku, mogła się

upić jeszcze przed obiadem.

Nawiasem mówiąc, nigdy nie przerywam byłym żonom - są wspaniałymi świadkami.

Oczywiście, nie potrafią obiektywnie opisać przeszłości - wiedzą, że sir Galahad na lśniącym białym rumaku okazał się pozbawionym umiaru draniem dosiadającym cuchnącej świni.

Słuchałem jej uważnie, tworząc w myślach wizerunek mężczyzny, który wczorajszej nocy zmarł we własnym łóżku w dziwnych okolicznościach.

Cliff wychował się w małym miasteczku w północnej części stanu Nowy Jork. Jego ojciec był mechanikiem samochodowym. Clifford miał dwójkę rodzeństwa - brata i siostrę.

Proboszcz dostrzegł w chłopcu energię i inteligencję i posłał go do miejscowej szkoły parafialnej. Jako jedyny w rodzinie Cliff skończył szkołę średnią, a później college Colgate.

Dokonał tego dzięki wielu wyrzeczeniom - zdolnościom umysłu, nieprzespanym nocom, podejmowaniu prac dorywczych i wewnętrznej determinacji. Podobnie jak liczne grono młodych mężczyzn w tamtym okresie zaraz po ukończeniu studiów o kilka lat jego życia upominał się Wuj Sam. Cliffa posłano najpierw do Instytutu Językowego przy Departamencie Obrony w Monterey, gdzie poznał język arabski, a później farsi. Po zakończeniu nauki został

wysłany do ośrodka wywiadu wojskowego w Fort Meade w Marylandzie, co z pewnością było znacznie lepsze od tego, co spotkało wielu jego nieszczęsnych rówieśników -

taszczących ważący czterdzieści pięć kilogramów plecak po wertepach Azji Południowo-Wschodniej.

Z opowieści Theresy wyłaniał się wizerunek dzielnego i zdeterminowanego mężczyzny. Pomimo biedy facet ukończył college, został wybrany przez armię do odbycia podyplomowego szkolenia, a następnie skierowany do pracy w wywiadzie wojskowym. Na dodatek zdobył serce córki pułkownika. W wojskowych realiach było to tak, jakby człowiek z gminu otrzymał rękę księżniczki, zatem oznaczało dla Cliffa ogromny awans społeczny. Wraz z przyjęciem do Agencji Wywiadu Obronnego stał się profesjonalistą w białym kołnierzyku, wykształconym człowiekiem pełniącym zaszczytną misję, co - przy odrobinie szczęścia, umiejętności i odpowiednich koneksji - mogło prowadzić do jeszcze większych rzeczy.

W końcu, jak mawiają zwolennicy Freuda, o wszystkim decyduje ego, a moje doświadczenie potwierdza, że ludzie, którzy samym sobie zawdzięczają sukces, mają szczególnie nienasycone poczucie własnej wartości.

Theresa wspominała ich pierwsze lata, małżeństwo, kupno domu i narodziny dzieci, mamrocząc i chichocząc w zupełnie nieodpowiednich momentach po czwartej kolejce ginu.

W latach siedemdziesiątych Cliff zajmował się Iranem - kontynuowała. - W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku przeniesiono go do sekcji Iraku, co oznaczało odsunięcie na drugi plan. Myślał, że to koniec świata. Nikogo nie obchodził jakiś Irak. W tym czasie, aby zrobić karierę, trzeba było zajmować się Iranem, a przecież Cliff znał farsi.

Skarżył się przełożonym, lecz ci utrzymywali, że właśnie tam jest im potrzebny.

Nawiasem mówiąc, pytania Bian łączyły się bardziej z małżeństwem i życiem rodzinnym Danielsów, co moim zdaniem wynika z różnic w układzie chromosomów X i Y.

Jako mężczyzna jestem przekonany, że wszystkie zagadki i tajemnice życia mają źródło w pieniądzu, władzy i pożądaniu. Podczas śledztwa mężczyźni i kobiety wnoszą odmienny wkład, wzajemnie się uzupełniając.

Jak można było oczekiwać, Bian zapytała:

- W jaki sposób wpłynęło to na wasze małżeństwo?

- W niewielkim stopniu. Cliff stał się jeszcze troskliwszym mężem i ojcem. Chociaż zawsze

dużo pracował... w tym okresie doprowadził do lepszej równowagi w sferze zawodowej. Był trenerem drużyny małej ligi, nauczył się grać w golfa, spędzał więcej czasu z dziećmi.

Zapaliła kolejnego papierosa i głęboko się zaciągnęła.

- Lata osiemdziesiąte były dobrym okresem dla naszego małżeństwa. Zapamiętałam je jako szczęśliwe lata. Cliff czuł się rozczarowany pracą, lecz nasz związek był zdrowy.

Żadnych kłótni, żadnych stresów... Aż do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku.

- Kiedy Irak napadł na Kuwejt - odgadłem.

- Właśnie.

- Co się wówczas stało? - zapytała Bian.

- To był początek końca... a może koniec początku. To jedno i to samo, nie sądzicie?

Jestem odmiennego zdania, jednak uznałem za pouczające, iż tak uważa.

- Na czym polegały wasze problemy? - dążyła Bian.

- Składało się na to wiele czynników. Kryzys wieku średniego... niezadowolenie z pracy... sama nie wiem. W Cliffie coś pękło.

Wypiła kolejny łyk.

- Był jednym z nielicznych ludzi w Waszyngtonie, którzy wiedzieli coś o Saddampie i Iraku. Jeśli głębiej się zastanowić, kryła się w tym pewna ironia. To, co zepchnęło go na ruchome piaski, nagle sprawiło, że stał się pożądanym. Doradzał Schwarzkopfowi, Powellowi i Cheneyowi. Kilka razy był nawet w Białym Domu.

Zgasiała niedopałek i natychmiast zapaliła kolejnego papierosa.

- W ciągu jednej nocy awansował na doradcę Połączonego Kolegium Szefów Sztabów, jadał lunch w Białym Domu i latał rządowymi odrzutowcami do Tamy i Kuwejtu.

Reporterzy dzwonili do niego w środku nocy, żebrząc o wskazówki i obserwacje.

Przypomniałem sobie odpowiedni cytat i powiedziałem:

- Nasze cnoty to często nic innego jak ukryte przywary. Moja obserwacja okazała się nieco zbyt głęboka dla damy po czwartej kolejce ginu. Theresa spojrzała na mnie z wyrazem frustracji, a może poirytowania.

- Powiedziałam jedynie, że nie był do tego przygotowany. Przez dziewięć miesięcy znajdował się w oku cyklonu... jak to nazywał. Później równie nagle wszystko ucichło.

- Wojna się skończyła - zasugerowałem.

- Czy mógł być inny powód?

- Czuł się rozczarowany?

- Rozczarowany? - Zastanawiała się nad tym przez chwilę, a następnie zapytała: - Czy jest pan ambitny, panie Drummond?

- To skomplikowane pytanie.

- Doprawdy? - Wypuściła długą smugę dymu w moją stronę

- Jest facetem i prawnikiem - wtrąciła się Bian. - Czego pani oczekiwała? Pytania wymagające introspekcji wprawiają go w zakłopotanie.

Roześmiały się. Co w tym zabawnego? Theresa uspokoiła się.

- Założę się, że nie jest żonaty - rzekła Theresa do Bian. - Oczywiście, nie ma w tym nic złego. Mężczyzna powinien poznać swoje ambicje przed ślubem. - Spojrzała na mnie. -

Rozumie pan, o czym mówię, panie Drummond?

- Cóż... - Szczerze mówiąc, nie rozumiałem jej i wcale mnie to nie obchodziło.

Odwróciła się do Bian.

- Na Boga, mieliśmy dzieci, dom, udane małżeństwo. Czy tego było mało?... - Gadała tak przez kolejną minutę.

Nagle poczułem się tak, jakbym oglądał dłuższy odcinek serialu *General Hospital*.

Rzuciłem pani Daniels życzliwy uśmiech i zacząłem się rozglądać za wyjściem.

Na szczęście Bian zmieniła kanał i zaczęliśmy ponownie oglądać przyzwoity program.

- Chce nam pani powiedzieć, że zakosztował władzy i nie miał zamiaru zrezygnować?

- Mówił, że nie chce zniknąć ponownie w anonimowym tłumie. Miał wielkie pomysły, wielkie ambicje... nowych wpływowych przyjaciół.

Bian najwyraźniej domyśliła się, o kogo chodzi.

- Alberta Tigermana i Thomasa Hirschfielda, prawda? Theresa skinęła głową.

- Hirschfield i Tigerman zajmowali wysoką pozycję w Pentagonie w okresie pierwszej wojny w Zatoce - wyjaśniła mi Bian. - Po przyjeździe nowej ekipy Hirschfield dołączył do zespołu doradców w Waszyngtonie, a Tigerman wrócił do firmy prawniczej.

- Przez większą część lat dziewięćdziesiątych byli jednak pozbawieni władzy - zauważyłem.

- Pewnie chodzi ci o to, że nie mieli dostępu do nowego prezydenta - powiedziała Bian. - Nadal jednak mieli republikanów na Kapitolu, Partię Republikańską i zespół jej doradców... fundację Heritage i tak dalej. W tamtych czasach brak wpływów był czystą iluzją.

Wiedziałem, o co jej chodzi. Podobnie jak w grze w krzesła, zwycięzca zajmuje budynki rządowe, a przegrani przesuwają się o kilka przecznic dalej do przestrzeni biurowej niedawno opuszczonej przez pierwszych, aby wykorzystać sławę, znajomości i wpływy do robienia pieniędzy. Zgarniali ogromne sumy, zmawiali się i knuli spiski, aby powrócić do władzy, ponownie zając nędzne budynki rządowe, zarabiać grosze i tyrać całymi dniami. Czy można głosować na ludzi, którzy myślą w taki sposób?

Bian odwróciła się do Theresy i zadała jej bardzo dobre pytanie:

- W jaki sposób Cliff pozostał związany z tymi ludźmi?

- Cóż... jak pewnie pamiętacie, Irak stale powracał w wiadomościach z tamtego okresu. Była nieudana próba zamachu na życie prezydenta Busha w Kuwejcie, sankcje ONZ, ciągłe ostrzeliwanie naszych samolotów... Mam wam przypomnieć całą historię? Te sprawy dominowały w mediach przez całą dekadę.

Zapewniłem ją, że sami damy sobie radę i podziękowałem za propozycję.

- Kiedy wracał do domu, miał przede mną śmieszne tajemnice - kontynuowała. -

Dawniej było inaczej. Często wydzwaniał do nas Albert Tigerman.

- Wie pani, o czym rozmawiali? - zapytała Bian.

Jak już wspomniałam, Cliff nigdy mi o tym nie mówił. - Zatoczyła ręką krąg po ciasnej kuchni i domu. - Czy mogłam nie słyszeć, o czym rozmawiali?

Przerwała, aby zapalić następnego papierosa, a Bian i ja zamarliśmy w oczekiwaniu.

- Gadali o jakichś chorych intrygach. Uważali, że Saddam powinien zostać obalony.

Jako urzędnik państwowy Cliff znał sytuację od podszewki, mógł wpływać na sposób postrzegania wydarzeń i inicjować pewne działania administracji rządowej. Tigerman i Hirschfield byli mózgiem, a Cliff narzędziem. Wykorzystywali go.

- Oni wykorzystywali jego czy on ich? - zapytałem. Spojrzała na mnie tak, jakbym zadał głupie pytanie.

- Ci dwaj należeli do znacznie wyższej ligi.

- Jak to?

- Cóż... nie znam szczegółów. Skąd miałabym je znać, prawda? Mogę wam jedynie powiedzieć, że po takich rozmowach bardzo często wyjeżdżał w długie podróże zagraniczne.

- Dokąd?

- Czasami do Europy, czasami na Bliski Wschód.

- Co robił w ich trakcie?

- Myślę, że kontaktowali go z różnymi Arabami. Pewnie Irakijczykami... ludźmi pragnącymi obalić Saddama.

- Działał niezależnie, czy miał zgodę przełożonych?

- Wiem tylko, że nam za to nie płacono. Sądzę, że DIA z jakiegoś powodu akceptowała i finansowała te podróże.

Chociaż było to dziwne, domyślałem się powodów takiego postępowania.

Przypominałem sobie, że w drugiej połowie lat pięćdziesiątych poprzednia administracja zleciła wywiadowi opracowanie planu usunięcia Saddama. Niestety, moja wiedza w tej materii była fragmentaryczna. Na dodatek, znając moich przyjaciół z CIA, wiedziałem, że u wszystkich wystąpiły pierwsze oznaki amnezji. W Langley zdawano sobie sprawę, że coś jest na rzeczy. Ci ludzie nie pamiętali nawet koloru skarpet, które mieli na nogach.

Z serwisów informacyjnych zapamiętałem, że w połowie lat pięćdziesiątych pojawiły się próby przekupienia wysokich dowódców armii irackiej i nakłonienia ich do obalenia Saddama. Husajn jakoś się o wszystkim dowiedział i zaprosił generałów do swojego domu na grilla i przyjęcie przy basenie - połowa generałów została upieczona na grillu, a drugiej pozwolono popluskąć się w wodzie z aligatorami Saddama.

Niejasno przypomniałem sobie o innych próbach - idiotycznych intrygach z użyciem Kurdów lub irackich uchodźców. Wszystkie zakończyły się fiaskiem i zostały szybko potajemnie przerwane.

Zwykle pracownicy Agencji są bardzo dobrzy w te klocki - jak powiadają, ćwiczenia czynią mistrza - jednak przez paranoję Saddama tym razem nie wystarczyło być dobrym.

Wspomniałem o tym Theresie.

- Czy Cliff uczestniczył w przygotowywaniu tych akcji? - spytałem.

- Z pewnością.

- A Hirschfield i Tigerman? Też byli w to zamieszani?

- Pomagali mu... czekali w pogotowiu, doradzali... myślę, że pomogli mu obmyślić plan i nawiązać kontakt z różnymi Irakijczykami, którzy mogli być użyteczni.

- Dlaczego? Dlaczego mieliby maczać w tym palce? To nie była ich sprawa.

- Proszę ich zapytać.

- Jakie motywy kierowały Cliffem? - Po chwili, tytułem wyjaśnienia, dodałem: - Nie mogę go o to zapytać.

- Czy to nie jest oczywiste?

Było, lecz chciałem to od niej usłyszeć.

- Proszę mi powiedzieć.

- Znowu wracamy do sprawy ambicji, panie Drummond.

- Czy to znaczy, że otrzymał coś w zamian od Hirschfielda i Tigermana? - zapytała Bian.

Theresa skinęła głową.

- Ujmę to tak: kiedy nowa administracja przejęła władzę, Cliff opuścił Agencję Wywiadu Obronnego, dostał awans, a następnie zaczął dla nich pracować w Pentagonie.

- Co to była za praca?

- Żyliśmy już wówczas w separacji. Rozmawialiśmy wyłącznie za pośrednictwem prawników.

Nie mam pojęcia.

Ocieraliśmy się o plotki, które są często bardzo pouczające i pikantne, chociaż niekoniecznie prawdziwe. Rzuciłem okiem na zegarek - była szesnasta trzydzieści.

Gdybyśmy się pospieszyli, moglibyśmy spotkać się z Hirschfeldem lub Tigermanem, lub jednym i drugim. Nadal pozostawało jedno palące pytanie.

- Czy sądzi pani, że Cliff mógł popełnić samobójstwo? Zastanawiała się nad tym przez dłuższą chwilę. W końcu odpowiedziała:

- Jak pan pamięta, na początku naszej rozmowy wspomniałam, że Cliff był już martwy.

Skinąłem głową.

Jakieś pięć, może sześć lat temu zaczął... niszczyć samego siebie. Stopniowo się zmieniał.

- Jak?

- Sądzę... jak pan wie, był biurokratycznym chojrakiem z DIA. Jediną przygodą, jaką przeżywał, był powrót do domu miejską obwodnicą. Wiem, że zabrzmiało to śmiesznie...

idiotycznie... ale Cliff zaczął się uważać za bohatera filmu sensacyjnego. Kogoś w stylu Jamesa Bonda.

Miała rację, że zabrzmiało to śmiesznie i idiotycznie, co potwierdził pewnie wyraz mojej twarzy.

- Oczywiście, nie w sensie dosłownym, panie Drummond - dodała natychmiast.

- A niedosłownie?

- Działania pod przykrywką, podróże, udział w operacjach szpiegowskich, potajemne spotkania w Kasbah... domyśla się pan, o czym mówię?

Patrzyła na mnie tak, jakbym z racji bycia mężczyzną dysponował ugruntowaną w chromosomach zdolnością wglądu w te enigmatyczne oskarżenia. W gruncie rzeczy jej nie miałem, więc odrzekłem:

- Dał się zwieść emocjom i przygodzie.

- Zwieść? Powiedziabym raczej, pochłonać. Zmienił się, zaczął miewać nastroje, był podejrzliwy. Pytał mnie pan o pistolet. - Spojrzała na szklanekę. - Kiedy przyniósł go do domu i mi pokazał... wiedziałam, że już go to nie interesuje.

- Co?

- Dom. Dzieci. Był bardzo dumny z tej cholernej broni. - Popatrzyła na Bian. - Kiedy wracał z podróży, wiedziałam... od razu domyśliłam się...

- Miał romans? - zainteresowała się Bian.

- Romans? - Zaśmiała się z goryczą. Dałem jej chwilę na odzyskanie równowagi.

- Czy zna pani nazwiska kobiet, z którymi sypiał? - spytałem.

- Potrzebowałby pan grubszego notatnika - odpowiedziała z uśmiechem. - Spółkował ze wszystkim, co poruszało się wolniej niż on.

Żadne z nas nie skomentowało tej wulgarnej uwagi. Zdrada małżeństwa jest najczęstszą przyczyną rozwodów, a Theresa wyznała, że podstawą prawną wykorzystaną przez jej adwokata była niewierność. Mężowie oszukują żony z wielu powodów, podobnie jak żony mężów - wszystko niemal zawsze sprowadza się do nudy, osłabionego libido, chęci zemsty lub narcystycznego pożądanego. Jedyne wyjątki stanowią Francuzi, dla których wyłącznym powodem małżeństwa jest nawiązywanie niedozwolonych romansów. W świecie anglojęzycznym mamy znacznie więcej zahamowań w dziedzinie seksu.

Odniosłem wrażenie, że w tym wypadku chodzi o coś więcej - coś znacznie głębszego i bardziej pokrętnego. Tim, jeden z kryminalistów, wspominał o włosach dwóch lub trzech kobiet. Jeśli

dodać do tego aranżację miejsca zbrodni w stylu feng shui, wszystko wskazywało na jakąś seksualną dewiację.

Wycofałem się dyskretnie, a Theresa zwierzyła się Bian:

- Wiedziałam o wszystkim. Pewnej nocy pojechałam za nim do pobliskiego motelu i zrobiłam mu zdjęcia z jakąś kobietą. Wiecie, co mnie najbardziej zabolalo? Nawet nie była ładna. Szczerze mówiąc, miała wielki, tłusty tyłek.

- Przykro mi - powiedziałem, chociaż nie chodziło mi o tłustą pupę.

Nie chcę być nieuprzejmy, lecz gdy przyjrzałem się temu dusznemu domostwu, Theresie pijącej piątą szklankę ginu i nudnemu sąsiedztwu, a następnie dodałem do tego pograżoną w stagnacji, frustrującą karierę zawodową, zrozumiałem Cliffa Daniela.

Mężczyzna, który utkwiał w zawodowym i małżeńskim grzędawisku, mógł popełnić samobójstwo. Z drugiej strony nie potrafiłem pojąć, by na własne życie targnął się człowiek, który zrobił radykalny krok i rozpoczął nowe życie, pozostawiając wszystko za sobą.

W większym lub mniejszym stopniu wszyscy żyjemy w cichej rozpacz. W sensie metafizycznym, a często całkiem dosłownie, czekamy w kolejce do kasy, modląc się o to, aby szczęśliwy los na loterii odmienił nasze życie. Oczywiście, mężczyźni zadowoliliby się urocą nimfomanką, która jest zagorzałym kibicem futbolu i ma własny browar. Faceci to świnię.

- Nawiasem mówiąc, Cliff był lewo - czy praworęczny? - zapytałem panią Daniels.

- Praworęczny. Dlaczego pan pyta?

- To jedna z tych idiotycznych statystyk na temat ludzkich skłonności, które musimy prowadzić - odparłem z uśmiechem. - Wie pani, jakie są władze federalne. Starają się stworzyć doskonałe społeczeństwo, przeprowadzając jedno badanie po drugim. Może będzie nam pani mogła pomóc także w innym badaniu. Wiem... wiem, że to trochę niezręczne... Czy Cliff kiedykolwiek zdradzał skłonności homoseksualne?

- Nie słuchał pan tego, co mówię, Drummond? Ten człowiek był niewyżytym heteroseksualistą.

- Oczywiście.

Spojrzałem na Bian, która skinęła głową, dając do zrozumienia, że wie, o co mi chodzi. Gdyby w grę wchodziło morderstwo, ograniczylibyśmy liczbę podejrzanych o połowę.

Po chwili zapytałem ponownie:

- Czy Cliff mógł popełnić samobójstwo?

- Zadał pan złe pytanie. - Oparła się plecami o zlew i odetchnęła głęboko. - Trzeba było zapytać, dlaczego miałby się nie zabić.

Rozdział dziewiąty

Uruchomiłem samochód, podczas gdy Bian stała na chodniku i rozmawiała przez komórkę ze swoim szefem, oberstem Waterburym, prosząc, aby skłonił Hirschfielda lub Tigermana - a jeszcze lepiej obydwu - by znaleźli dla nas trochę czasu.

Usiadła na fotelu pasażera i oznajmiła:

- Zajmie się wszystkim. - Spojrzała na mnie. - Co o tym sądzisz?

- Potrzebuję świeżego powietrza.

- Tak jak jej życie. Zaczniemy od Theresy - zasugerowała.

- Uważasz, że jest podejrzana?

- Nie. Oboje to wiemy, prawda? Dzisiaj będzie śniła piękny sen, wyobrażając sobie, że to zrobiła. Odnoszę wrażenie, że usunęła go ze swojego życia. - Zastanowiła się nad własnymi słowami. - Może nie do końca. Facet był jej koszmarem. Źródłem wszystkich niedoli i nieszczęść. Teraz będzie za nim tęskniła, wiesz?

- Wiem.
- Sądzisz, że jest wiarygodna? Zgorzkniali ludzie są kiepskimi świadkami.
- W sprawach, o których mówi, jest bardzo wiarygodna, a jej rozgoryczenie jest uzasadnione.
- Myślisz, że zasługuje na sympatię?
- Oczywiście. Na związku z nim zbudowała własne życie i rodzinę, a facet okazał się dupkiem.
- Bardzo oryginalna elegia. Mogę wykorzystać te słowa w moim raporcie?
- Powinnaś posłuchać moich mów sądowych. Musisz przyjść bardzo wcześnie.

Ustawiają się długie kolejki, a koniki zbierają żniwo.

- Bez wątpienia jesteś bardzo... zabawny. - Zastanowiła się chwilę. - Poznaliśmy tylko jej punkt widzenia. W każdym rozwodzie są dwie strony.

- Słuszna uwaga. Daj mi znać, jeśli przyjdzie ci do głowy, jak poznać jego wersję.

Pokręciła głową. Potrafię być wkurzający.

- To stara opowieść, która występuje pod wieloma tytułami - powiedziałem. -

Pierwsza żona, syndrom pierwszej żony, zidiocenie wieku średniego. Cliff nie był

skomplikowaną postacią, którą trudno pojąć. Chciał być kimś, kim nie był - szykownym, groźnym, tajemniczym, pociągającym seksualnie. Theresa i dzieci były częścią dawnego życia, które go rozczarowało.

- Przedstawiasz go jako bardzo płytkiego faceta.

- Wielu mężczyzn marzy potajemnie, aby być jak James Bond, lecz budzą się i widzą w lustrze George'a Smileya. - Po chwili dodałem: - Nasze dwie półkule toczą ze sobą ustawiczną walkę o dostawę krwi. Kiedy jedna wygrywa, druga całkowicie się wyłącza.

- To takie proste?

- Bardzo.

- Rozumiem.

- Pomyślał, że nadpłynął jego statek i wyrzucił ją za burtę. - Spojrzałem na Bian. - Nie byłbym zaskoczony, gdyby okazało się, że Cliff od lat potajemnie marzył o rozwodzie.

- No cóż, kobieta musi wziąć się w garść. Zostawić przeszłość za sobą.

- Nie można wywołać amnezji na życzenie.

- Stare wietnamskie przysłowie mówi: „Kiedy płatki opadną, sadzi się nową różę”.

- Rosną u was róże?

- No... nie. - Roześmiała się. - Sama to wymyśliłam. Chodziło mi o to, że babka żyje przeszłością. Może to on zniszczył jej małżeństwo, lecz teraz sama niszczy siebie.

- Czy dobrze zrozumiałem, że jesteś zaręczona?

- Przecież powiedziałam.

- Skąd wiesz, że... jak on ma na imię?

- Mark Kemble.

- Dzięki. Skąd wiesz, że Mark Kemble nie okaże się idiotą?

- Jestem tego pewna.

- Skąd to wiesz, Bian? Mężowie to nieprzewidywalne istoty.

Niektórzy mają ukryte wady, sekretne defekty. Facet budzi się rano, widzi łysiejący plac na głowie, indyche korale pod szyją i przeistacza się w płytkiego idiotę. Czasami wystarczy kupić nowy drogi wóz, kiedy indziej wystarczy nowa elegancka blondynka. Czy naprawdę muszę ci to tłumaczyć?

Nie odpowiedziała.

- Powiem ci wprost, po żołniersku - niekiedy człowiek wdepnie w gówno.

- To wykluczone. Nie między nami. - Popatrzyła na mnie i powiedziała z całkowitym

przekonaniem. - Słowo „kochać” nie występuje w czasie przeszłym.

- To czasownik. W języku angielskim wystarczy umieścić na końcu literkę „d”.

- Słuchaj, znam Marka od czasu, gdy byliśmy kadetami. Może się to wydać wyświechtane, lecz zakochałam się w nim od pierwszej chwili... - Odwróciła wzrok. - On się nie zmieni. Nigdy. Jestem tego pewna.

- Chodzisz z tym samym chłopakiem od dziesięciu lat? O czym to świadczy?

- Wiesz... to nie tak. Marzyłam o nim, gdy byliśmy kadetami. On był dwa lata wyżej.

Przepisy West Point zabraniają umawiania się na randki z facetami z wyższego rocznika.

Poza tym miał wtedy dziewczynę i poważnie myślał o tym związku.

- Co się z nią stało?

- Ona... zginęła. Tajemniczy pożar... właściwie podpalenie. Niefortunne i bardzo tajemnicze.

Nie udało się schwytać podpalacza.

Uśmiechnęła się, kiedy na nią spojrzałam.

- To żart.

Odpowiedziałam uśmiechem.

- Pochodziła z zamożnej rodziny mieszkającej w Connecticut, New Canaan lub Westport. Kiedy Mark skończył szkołę, mogła porównać życie w armii z życiem kadeta. Myśl o utrzymywaniu się z pensji porucznika w Luizjanie lub Georgii okazała się dla niej zbyt dużym wyzwaniem. Dała mu kosza i zaczęła chodzić z nowym chłopakiem studiującym w Harvardzkiej Szkole Biznesu. Później się pobrali.

- Czekająś w odwodzie?

- Niezupełnie. Zaczęliśmy ze sobą chodzić znacznie później, jakieś trzy lata temu.

- Trzy lata. Jeśli jesteś taka pewna, dlaczego się nie pobraliście?

- Postanowiliśmy... postanowiliśmy poczekać, aż sytuacja ulegnie poprawie. - Moje pytanie wytrąciło ją z równowagi. - Życie w armii... jesteś kawalerem, nie zrozumiesz tego.

Wiedziałem, o co jej chodzi. W dawnej armii powiadano, że gdyby dowództwo chciało, abyś miał żonę, toby ci ją wydało. Dzisiaj takie gadanie uważa się za niemodne i za niepoprawne politycznie. W nowym wojsku służą głównie ludzie żonaci, jednak filozofia leżąca u podstawy systemu nie uległa najmniejszej zmianie. Globalna wojna z terroryzmem, czy jak to tam nazwać, nie sprzyja wojskowym romansom, chyba że twój *amore* jest terrorystą.

Po chwili dodała:

- W ciągu trzech lat była Bośnia, Kosowo, jedenasty września, Afganistan, a teraz Irak...

- Kto wpadł na pomysł, aby poczekać?

- Może oboje doszliśmy do takiego wniosku?

- Takich pomysłów nie miewa się wspólnie. - Próbowała spojrzeć w bok, lecz popatrzyłem jej w oczy i zapytałem bardziej zdecydowanie: - Ty czy on?

- W porządku... on. Był w Kosowie, a później w Afganistanie. Ja służyłam w Afganistanie, gdy jego zmiana dobiegła końca, a później w Iraku. Po rocznym przeszkoleniu w Akademii Sztabu Generalnego w Leavenworth został przydzielony do Pierwszej Dywizji Pancerniej i odesłany do Iraku na kolejną zmianę. Nie chciał, abym została wdową lub spędziła resztę życia, opiekując się kaleką. Nie dyskutowałam z nim. Oprócz tego, jakie miałyoby to znaczenie? I tak nie bylibyśmy razem.

Nie miałem wątpliwości, że głowa i serce Marka Kemble'a były pełne trzeźwych i praktycznych myśli - wszystkie argumenty wydawały się logiczne, przekonujące, a nawet nieodparte. Uważam jednak, że facet mający taką kobietę jak Bian Tran powinien się kierować całkiem inną logiką. Nawet na chwilę nie spuściłbym takiej babki z oczu bez umieszczenia na jej palcu dużego pierścionka

zaręczynowego, założenia solidnego pasa cnoty i karteczki na szyi z napisem: „Tylko ją tknij, a każę ci zjeść własne jaja”.

Cóż, jak wspomniałem, Bian była bardzo atrakcyjną kobietą i sympatyczną towarzyszką. Nie potrafiłem wyobrazić sobie mężczyzny, który byłby odmiennego zdania.

- Masz jego zdjęcie?

Pewnie, że miała. Sięgnęła do bocznej kieszeni wojskowych spodn wyciągnęła portfel i podała mi małą fotografię. Rzuciłem na nią wzrokiem i oddałem.

Fotografia była kolorowa, wykonana podczas jakiegoś wojskowego balu. Mark Kemble miał na sobie galowy mundur z dystynkcjami majora na rękawie i żółtą naszywką czołgisty na klapach, upstrzony tyłoma odznakami i medalami, że mógłby zawstydzić drzewko bożonarodzeniowe. Patrzył prosto w obiektyw, wykrzywiając usta w szerokim, przyjaznym uśmiechu. Był szczupły i szeroki w barach. Miał czarne włosy i ciemne oczy, silnie zarysowaną szczękę i podbródek z dołkiem. Zrozumiałem, dlaczego niektórym kobietom mogło się robić ciepło w jego obecności. Był przystojny. Elegancki.

- Będziecie mieli piękne dzieci - zawyrokowałem. Nie odpowiedziała.

Kiedy na nią spojrzałem, wyglądała przez okno z nadąsaną miną. Pomyślałem, że było tego dla niej odrobinę za wiele - mężczyzna jej życia przebywający w strefie działań wojennych, śledztwo w sprawie morderstwa mogące wywołać nieprzyjemne polityczne reperkusje, a na dodatek ja. Potrafię być denerwujący.

- Nic ci nie jest?

W dalszym ciągu patrzyła przez okno.

Ponieważ nie lubię mówić do siebie, przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu. Była prawie osiemnasta, niebo pociemniało i wiatr poruszał konarami drzew. Nadciągała porywista, mroczna burza - typowa dla ostatnich dni października w ponurym, wietrznym Waszyngtonie.

- Naprawdę zależy mi na rozwiązaniu tej sprawy - oznajmiła nieoczekiwanie.

- Zachowuj się jak rasowy glina, Bian. Nie traktuj tego tak osobiście. Miejmy nadzieję, że to śledztwo nie zaszkodzi twojej karierze.

- Co przez to rozumiesz?

- Przypomnij sobie Olivera Northa i Buda McFarlane'a.

- Kogo?

- Ile masz lat?

- Trzydzieści jeden. O co ci chodzi?

- Słyszałaś o aferze Iran-Contras?

- Nie, co to takiego?

- A o Ronaldzie Reaganiu?

- Chodzi ci o faceta, który rządził przed Lincolnem czy zaraz po nim? - Wymierzyła mi kuksańca w zębra. - W porządku, opowiedz mi o tych dwóch pierwszych... Jak się nazywali?

- Ollie i Bud. Bud był podpułkownikiem, który objął urząd doradcy prezydenta Reagana do spraw bezpieczeństwa narodowego, a Ollie - podpułkownikiem należącym do jego zespołu.

- Trzeba bacznie obserwować wszystkich podpułkowników.

- Kilka dni temu dostałem awans.

- Och. W takim razie... moje gratulacje. Co to za uczucie?

- Całkiem niezłe. Podobno potrzeba roku, aby się przyzwyczaić, że więcej ci płacą za głupsze postępowanie. Nadal nie mogę w to uwierzyć.

- Wiesz... mam wrażenie, że dobrze zaczęłaś - rzekła ze śmiechem. - Wróćmy do twojej

opowieści.

- To nie opowieść. W Dystrykcie Columbii to baśń o wielkich namiętnościach. Ollie i Bud - porządni goście, pełni dobrych intencji, patriotycznych uczuć, prawdziwa sól tej ziemi.

W tym czasie obowiązywało prawo zakazujące administracji wysyłania pieniędzy lub broni dla nikaraguańskich kontras walczących z komunistycznym rządem. Na drugim końcu świata Irańczycy i libański Hezbollah porywali, torturowali i zabijali amerykańskich urzędników.

- Paskudna sprawa. Skinąłem głową.

- Wśród jeńców znajdował się agent CIA i oficer piechoty morskiej. Odpowiedź naszej dyplomacji można by podsumować w słowach: problem jest zbyt poważny, a to pech!

- Jaki związek łączył te dwa wydarzenia?

- Nie było żadnego, dopóki Ollie nie przekonał Buda, że można by upiec dwie pieczenie na jednym ogniu. Potajemnie sprzedawali broń i amunicję z magazynów wojskowych Iranowi, który toczył wówczas wojnę z Irakiem. Amunicję przekazywano po bardzo atrakcyjnych cenach, aby wizerunek Wielkiego Szatana zyskał nieco na atrakcyjności... zakładając, że w zamian Iran uwolni przetrzymywanych jeńców. Tytułem uzupełnienia dodam, że forsa uzyskana ze sprzedaży broni wędrowała do kontras, którzy kupowali za nią sprzęt i uzbrojenie, aby zabić więcej komuchów. Symetryczny plan, prawda?

Spojrzałem na nią, aby upewnić się, że rozumiała. Najwyraźniej tak właśnie było, bo skomentowała:

- Idiotyczny pomysł.

- Dlaczego?

- Od czego zacząć? Po pierwsze, nie można ufać Irańczykom. Jeśli się nad tym zastanowić, takie postępowanie zachęcało ich do brania kolejnych zakładników, aby drogą szantazu wydębić od nas więcej broni. Po drugie, odniosłam wrażenie, że chodziło o wiele ton sprzętu i setki milionów dolarów. To oznacza skomplikowaną operację logistyczną, udział pośredników i pranie brudnych pieniędzy.

- Racja. Coś jeszcze?

- Taką operację bardzo trudno ukryć lub przeprowadzić potajemnie. O ile w ogóle jest to możliwe. Mnóstwo wątków, zaangażowanie wielu ludzi, dużo zmiennych, które mogą stać się źródłem przecieku.

- Z drugiej strony, gdyby się udało, byłoby to genialne rozwiązanie. Jeńcy zostaliby uwolnieni, a kontras uśmierciliby więcej komuchów. Nieźle, prawda?

- Złamano prawo.

- W sensie formalnym - tak.

- Odnoszę wrażenie, że chodzi o kradzież własności Stanów Zjednoczonych i spisek przestępczy. Za to grozi od dziesięciu do dwudziestu lat pułki.

- Bardzo dobrze. Miałaś rację, doszło do przecieku i wybuchł skandal, który omal nie zakończył prezydentury Reagana.

- Przepraszam, że pytam, ale jaki to ma związek z Danielsem, Hirschfieltem lub Tigermanem?

- Okaż odrobinę cierpliwości.

- Spróbuję. - Po chwili dodała: - Jesteś strasznie męczący.

- Fakt. - Aby ją udobruchać, wyjaśniłem: - Ollie i Bud byli ambitnymi chłopakami, wierzącymi bez reszty, że ich cele są szlachetne, a podjęte środki uzasadnione. Kiedy zostali zdemaskowani, musieli ustąpić. Później składali zeznania przed Komisją Śledczą Kongresu.

- Czy tutaj pojawiają się podobieństwa do sprawy Daniela?

- Gdybyś uważnie słuchała...

- Wiesz... powiedz mi to wyraźnie.

- Bud i Ollie byli dwoma przeciętnymi facetami, którym zlecono bardzo ważne zadanie w cholernie skomplikowanym i zdradzieckim świecie.

- Rozumiem.

- W sprawę było zamieszanych wielu wyższych urzędników, między innymi sekretarz obrony i sekretarz stanu. Kilku zmuszono do rezygnacji. Kilku innych wyprowadzono w kajdankach.

Odwróciła się w moją stronę.

- Sugerujesz, że tamten skandal jest podobny do tej sprawy? Nie odpowiedziałem.

- Myślisz, że ta sprawa sięga tak wysoko? Zatacza tak szeroki krąg?

- Nie mam pojęcia. Przynajmniej na razie.

- Co w takim razie sugerujesz?

- Pomyśl, co zdaniem Theresy Daniels Cliff robił w ciągu ostatniej dekady i z kim współpracował. Mógł działać za zgodą, a nawet na polecenie swoich przełożonych... i ich przełożonych... między innymi ludźmi z Białego Domu. Takie sprawy mają zwykle niepozorny początek... jak wówczas, gdy ochroniarz Watergate podczas nocnego obchodu zauważył na zamku kawałek taśmy używanej przez włamywaczy. Nie miał pojęcia, że złapał za jaja prezydenta Stanów Zjednoczonych. - Spojrzałem jej w oczy. - Wiemy, że Clifford był

podejrzany w sprawie o szpiegostwo, wiemy też, że przez wiele lat był związany z dwoma wpływowymi urzędnikami biura sekretarza obrony. Instykt mi podpowiada, że był w to zaangażowany ktoś jeszcze, a sprawa ma znacznie szerszy zasięg.

- Przecież nie mamy informacji, że złamał prawo.

- Zrobił to.

- Skąd możesz wiedzieć? Popatrzyłem na nią.

- Chcę, abyś rozumiała, w co się pakujesz.

- Zdaję sobie sprawę.

- Doprawdy? Mogą być w to zamieszani inni ludzie, a gdy wejdziemy do gabinetu Hirschfelda lub Tigermana i gównem trafi w wentylator, nie będzie odwrotu.

- Słuchaj... ile ci zostało do emerytury?

- Masz poważniejszy problem ode mnie. Ja mam szefa, który może się za mną wstawić. - Albo nie.

- Jestem kobietą pochodzenia azjatyckiego, która ukończyła uczelnię wojskową i biegle włada trzema językami. Łowcy głów szukają takich ludzi jak ja. Ty natomiast jesteś przeciętnym białym mężczyzną z dyplomem prawnika. - Uśmiechnęła się. - Martw się o siebie.

- Kocham Amerykę.

Po tych słowach zapadło głębokie milczenie. Wjechałem na północny parking w pobliżu Pentagonu. Była osiemnasta piętnaście, dobrze po fajrancie, dlatego nie miałem żadnego problemu ze znalezieniem wolnego miejsca w pobliżu budynku. Wyłączyłem silnik, wysiedliśmy i zaczęliśmy iść długim pasażem.

- Wracając do twojej opowieści - zagaiła Bian w trakcie drogi. - Co się stało z Olliem i Budem?

- Ollie był sprytny i wykorzystał sytuację do tego, aby stać się bohaterem konserwatystów. Został kanonizowany jako żołnierz piechoty morskiej, który gotów jest zrobić wszystko dla ukochanej ojczyzny. Pomógł mu fakt, że działał z czystych pobudek.

Złożono mu standardową propozycję adresowaną do urzędników, którzy popadli w niełaskę:

udział w programach radiowych i zbiecie fortuny na książkach i odczytach.

- A Bud?

- Bud? Pewnego dnia wrócił do domu i połknął całą butelkę prochów. - Dałem jej chwilę do zastanowienia, a następnie dodałem: - Na szczęście wszystko dobrze się skończyło.

Znaleziono go, zanim było za późno. Chodzi o to, że w Waszyngtonie nawet ludzie mający dobre intencje robią czasem złe rzeczy.

- Z tej opowiadki płynie szerszy morał, prawda? Skinąłem głową.

- Użyłeś tej historii jako przypowieści. Cliff jest jednym z nich. Miała rację.

- Sugerujesz, że był w coś zamieszany - kontynuowała. - W coś, co go przerastało, okazało się bardziej zawiłe, niż oczekiwałem.

- Osiem punktów. Brakuje ci dwóch do pełnej dziesiątki. Przez kilka minut szliśmy w milczeniu. W końcu Bian zrozumiała, o co naprawdę chodzi.

- Jak zareagował Cliff? Jak Ollie czy Bud? To najważniejsze pytanie, prawda?

- Doskonale. Za dodatkowy wysiłek czeka cię duża nagroda.

- Z tego, co wiemy, Cliff nie był takim człowiekiem jak Bud. Historia jego życia wskazuje, że był wytrzymałym, odpornym i twardym człowiekiem. Bardziej przypominał

Olliego niż Buda, nie sądzisz?

Skinąłem głową.

- Uważasz, że został zamordowany?

- Masz broń? - zapytałem.

- Jaki to ma...

- Masz broń?

- Tak... w sejfie. W swoim gabinecie.

- Zaczynij ją nosić.

Rozdział dziesiąty

Bian machnęła swoją legitymacją Departamentu Obrony i przeprowadziła nas szybko przez posterunek kontrolny do rozjarzonych fluorescencyjnym światłem wnętrzości bestii.

Za każdym razem, gdy wchodzę do tego budynku, czuję łaskotanie w żołądku. Typowy objaw paniki. W życiu cywila pewne są jedynie dwie rzeczy: śmierć i podatki. Wojskowi muszą stawić czoło trzeciemu, znacznie gorszemu pewnikowi - oddelegowaniu do pracy w tym gmachu. Do tej pory udało mi się uniknąć tego losu. Do dziś. Mimo to wiedziałem, że na pewno gdzieś w Pentagonie jest biurko z moim nazwiskiem.

- Mamy biuro na górze. Na czwartym piętrze - poinformowała Bian. - Waterbury prosił, abym zameldowała się przed odbyciem rozmowy.

- Zapomnijmy o tym i powiedzmy, że już to zrobiliśmy.

- Połapie się. Jest sprytniejszy, niż sądzisz.

- Wyprowadził mnie w pole. Zachichotała, nie zatrzymując się ani na chwilę.

W oczach wielkiego amerykańskiego społeczeństwa Pentagon jest ogromnym, zawiłym labiryntem, przez który co roku przepływa czterysta miliardów dolarów podatków.

Gmaszysko jest zaiste zdumiewające pod dwoma względami. Organizuje się po nim wycieczki, a przewodnicy informują zwiedzających, że jest to największe biuro na świecie o powierzchni przekraczającej sześćset dwadzieścia tysięcy metrów kwadratowych, zajmujące ponad dziesięć hektarów i zdolne pomieścić dwadzieścia trzy tysiące pracowników w komfortowych i mniej komfortowych warunkach.

Krótko mówiąc, to gigantyczny pomnik wyższości względów praktycznych nad formą. Choć

może się to wydać niewiarygodne, cały budynek został wzniesiony w ciągu szesnastu miesięcy wypełnionych szaleńczą pracą, w okresie największego nasilenia działań drugiej wojny światowej, za zdumiewającą cenę niecałych pięćdziesięciu milionów dolarów.

Kiedyś przytoczyłem te dane facetowi budującemu dla Departamentu Obrony.

Roześmiał się i skomentował: „Dumie. Dostajemy dziesięć razy więcej za odnowienie piwnicy, a roboty ciągną się latami”.

Podam kilka innych okruchów wiedzy tajemnej. Gmaszysko Pentagonu chlubi się dwustu osiemdziesięcioma czterema toaletami - największą kolekcją białych porcelanowych misek zgromadzonych pod jednym dachem: ponad dwoma tysiącami muszli i tysiącem pisuarów. Ograniczę się do tylko jednej praktycznej obserwacji na temat przytoczonych liczb: trzeba być kompletnym idiotą, aby kupić dom leżący poniżej szacownego gmachu.

Tutaj mają bowiem swoje kwatery główne trzy z czterech rodzajów sił zbrojnych.

Nieco wyżej, w niewielkiej odległości od Pentagonu, ma swoją siedzibę piechota morska.

Powodem tego przymusowego sąsiedztwa jest przeświadczenie, że niewielka odległość skłoni poszczególne formacje do współpracy w duchu powszechnej harmonii. Oficjalnie używa się terminu unifikacja, co ma sens, gdyż koniec końców cztery formacje wojskowe mają tę samą misję, jeden podstawowy cel - obrócić w perzynę kraje, które nas wkurzą. Te same powody, które uzasadniają wspomniane posunięcie, sprawiają, że okazuje się ono nieskuteczne.

Wszyscy zabiegają o te same pieniądze podatnika, o ludzkie talenty i okazję udowodnienia swoich umiejętności.

Szliśmy obok ściany, na której w schludnym szeregu wisiały oficjalne pieczęcie armii Stanów Zjednoczonych: wojsk lądowych, lotnictwa, marynarki i piechoty morskiej. Motto brzmiało: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. *E pluribus unum*.

Może wierzą w to goście zwiedzający Pentagon.

Moja formacja, wojska lądowe, jest najstarszą, największą i najbardziej inteligentną, przy czym jej elitę stanowi Wojskowe Biuro Śledcze. Równie znakomici są żołnierze piechoty morskiej, głównie dlatego, że postępują i myślą jak ich koledzy z wojsk lądowych, z tą różnicą, że mają znacznie więcej hormonów i niezwykle dar dokopania człowiekowi.

Wojska lotnicze, najnowsza formacja zbrojna, przypominają osieroconego nastolatka, który dysponuje pokaźnym funduszem powierniczym - jest bardzo arogancki i ma zupełnego bzika na punkcie zabawek, które może sobie kupić. Nikt nie lubi żołnierzy wojsk lotniczych, chociaż wszyscy im zazdroszczą.

No i są jeszcze nasi kamraci żeglujący po morzach, wystrojeni członkowie klubu jachtowego, których głównym wkładem w zapewnienie bezpieczeństwa narodowego jest zaludnianie barów i burdeli w dziwnych i egzotycznych portach.

Oczywiście inne siły mogłyby mieć odmienne zdanie w wyżej wspomnianych kwestiach - powszechnie wiadomo, że nasz sposób postrzegania rzeczywistości jest wypaczony przez małostkowe przesady.

Sposób, w jaki każda z formacji wykonuje swoje zadanie, nadaje charakterystycznego kolorytu jej kulturze, tradycjom, światopoglądowi i strategicznej perspektywie.

Na przykład marynarka postrzega ziemię jako planetę złożoną w trzech czwartych z wody, z kilkoma pozbawionymi większego znaczenia obszarami lądu nazywanymi kontynentami, zaludnionymi przez kłótliwych mieszkańców, którzy nie wiedzieć czemu zaczynają robić w portki, gdy w ich kierunku płynie lotniskowiec.

Z kolei wojska powietrzne traktują świat jak fantastyczną tarczę strzelniczą, poznaczoną

kropkami miast i miasteczek, na które można zrzucić rozmaite cholerstwo - oczywiście w godzinach pracy.

Dla wojsk lądowych walka nie jest błogim rejssem ani przelotnym obrazem widzianym z okna kokpitu, lecz miejscem docelowym - burzliwym epizodem wymagającym ogromnego poświęcenia, z którego do domu wiodą tylko dwie drogi: jedna o nazwie „zwycięstwo”, druga - „porażka”. Można wrócić z tarczą lub na tarczy.

Jak już wspomniałem, piechota morska zajmuje się w zasadzie tym samym co wojska lądowe i myśli tak jak one, ponieważ jednak jest dowodzona przez ptasie mózdzki, kwacze jak kaczka. Wystarczy pozbawić żołnierza marines dowódcy z marynarki, wlać w niego lub nią kilka drinków, aby dowiedzieć się, co sądzi o siłach morskich. Moim wodnym przyjaciołom powiem: piechota morska was nie lubi.

Podsumowując, Pentagon jest ogromnym tygłem pełnym namiętności, zazdrości i sprzecznych wizji strategicznych, dlatego do skoordynowania działań powołano połączony sztab sił zbrojnych, w skład którego wchodzi oficerowie należący do czterech wspomnianych formacji. Ich nowym obiektem lojalności i celem w karierze wojskowej ma być kierowanie siłami zbrojnymi w taki sposób, aby ze sobą współdziałały racjonalnie i skutecznie. To tak jakbyś zatrudnił terapeutę małżeńskiego, aby sypiał z twoją żoną w celu uratowania związku.

Jakby tego było mało, powołano jeszcze jedną służbę - Biuro Sekretarza Obrony, w skrócie OSD, składające się głównie z cywilnych pracowników, zbieraniny urzędników publicznych i ludzi z politycznego mianowania oraz garstki mundurowych potrafiących zaparzyć kawę i obsłużyć kserokopiarkę. Celem tej dziwacznej instytucji jest wypełnianie konstytucyjnego zapisu cywilnej kontroli nad wojskiem. Wszystko sprowadza się do tego, że Amerykanie nie chcą pewnego dnia obudzić się w republice bananowej rządzonej przez facetów w dziwacznych ubrankach.

Abstrahując od tego wszystkiego, co powiedziałem, tam gdzie to się liczy, na polu walki, piechurzy, marynarze, lotnicy i piechota morska nie zajmują się tym, kto kogo wyroluje na korytarzach Pentagonu - są gotowi oddać życie za drugiego i często to robią.

Długą klatką schodową weszliśmy na czwarte piętro przypominające poddasze Pentagonu. Byłem pewny, że na tym poziomie nie pracuje siostrzeniec sekretarza obrony.

Bian zatrzymała się przed stalowymi drzwiami i zaczęła wprowadzać kod na elektronicznej klawiaturze. Obok drzwi zauważyłem tabliczkę z napisem: „Specjalna Jednostka Śledcza”. Pomieszczenie to przypominało duży sejf.

Usłyszeliśmy charakterystyczne kliknięcie i Bian otworzyła drzwi. Weszliśmy do dobrze oświetlonego, pozbawionego okien biura pełnego boksów, w których około dwudziestu ludzi wykonywało rozmaite prace, od pisania na komputerze po gadanie przez telefon. Kilku szczęśliwców miało na sobie płaszcze i szykowało się do wyjścia.

Niektórzy podnieśli głowę i pomachali lub pozdrowili Bian. Odniosłem wrażenie, że koledzy ją lubią, co jest zawsze dobrym znakiem. Przeszliśmy na tył sali, gdzie znajdowały się drzwi prowadzące do gabinetu. Zapukała i wkroczyliśmy do środka.

Waterbury siedział pochylony za biurkiem, wypełniając jakiś formularz. Zignorował nas, chociaż staliśmy, czekając. Nie podnosząc głowy, wyciągnął kilka następnych formularzy z przegródki na korespondencję przychodzącą.

Kiepsko toleruję dupków przekonanych o swojej ważności, więc po trzydziestu sekundach tego nonsensu powiedziałem Bian.

- Mam coś do zrobienia. Chodźmy stąd.

Waterbury podniósł głowę i spojrzał na mnie ze zdumieniem.

- Co do jasnej...? Och... Drummond, Tran... to wy.

- Spodziewał się pan kogoś innego?

- Jestem zajęty. To ważne biuro.

- Prosił pan, abyśmy wpadli, więc jesteśmy. Czego pan sobie życzy? Facet był przyzwyczajony do zastraszania innych, toteż moja bezpośrednia postawa zbiła go z pantafelku.

Przez chwilę sprawiał wrażenie zagubionego.

Biuro Waterbury'ego było małe. Pomieszczenie i blat jego biurka - podobnie jak umysł i osobowość tego gościa - były schludne i jałowe, pozbawione jakichkolwiek oznak ludzkiej bytności. Jediną ozdobą była fotografia sekretarza stanu umieszczona w widocznym miejscu na środku ściany. Po bliższych oględzinach stwierdziłem, że widnieje na niej schludny autograf i krótki napis, który z całą pewnością brzmiał: „Dla największego sztywniaka w budynku - tak trzymać”. Jest to klasyczny przykład biurokratycznej pornografii okazywanej w celu wywarcia wrażenia na gościach i podwładnych. Podejrzywałem, że Waterbury uczynił to na wypadek, gdyby sekretarz zajrzał tu na filiżankę kawy, co wydawało się bardzo mało prawdopodobne. Ludzie zawdzięczający stanowisko cudzej protekcji zawsze są lekko niepewni i podnoszą wazeliniarstwo do rangi sztuki.

Oprócz biurka dostrzegłem trzy stojące przy ścianie sejfy z oznaczeniem „ściśle tajne” na szufladach, a za plecami Waterbury'ego, duży, mahoniowy regał z blisko setką starannie ustawionych podręczników i regulaminów. O takich pokojach i ludziach musiał marzyć Geroge Orwell.

Waterbury przyjrzał się uważnie Bian, a następnie mnie.

- Zaproponowałbym wam krzesła, lecz nie wierzę w ich przydatność - wyjaśnił brak wspomnianych sprzętów.

- Jakim cudem pański tyłek lewituje w powietrzu?

- Chodziło mi o to, że nie zachęcam podwładnych, aby czuli się swobodnie w moim biurze.

Wiedziałem, co ma na myśli.

- Nie sądzę, aby ktokolwiek czuł się swobodnie w pana obecności, Waterbury - zauważyłem z uśmiechem.

Najwyraźniej zrozumiał przesłanie, które kryło się w moich słowach, i nie przypadło mu ono do gustu, ponieważ nie odwzajemnił uśmiechu. Abyście nie pomyśleli, że zwracałem się tak do niego dla przyjemności, dodam, że przemawiał do mnie naprawdę protekcyjnym tonem. Skorzystam z cudzej metafory i powiem, facet był jak lew we własnym rewirze, informujący intruza, kto jest panem tej dżungli. Gdybym miał nieco rozszerzyć tę metaforę, porównałbym siebie do hieny - grzebię, gdzie chcę, jestem szybki, a mój głos jest bardzo irytujący. Sytuacja była zabawna.

Waterbury przeszedł do rzeczy i zapytał:

- Czego dowiedzieliście się od pani Daniels? Bian chciała odpowiedzieć, lecz się wtrąciłem.

- O co konkretnie pan pyta?

- Proszę odpowiedzieć na pytanie, Drummond.

- Cóż... pali camele. Ze trzy paczki dziennie. Pija tani gin. Jej samochód i twarz wymagają malowania, a dom...

- To mnie nie interesuje. Dowiedzieliście się czegoś, co ma związek ze śmiercią Danielsa?

Spojrzałem na niego z góry.

- Przedstawię to w moim raporcie. Kiedy będę miał czas, aby się do tego zabrać, dowie się pan o wszystkim.

Przymrużył oczy.

- Majorze, pani pracuje dla mnie, prawda?

- Tak, sir...

- W takim razie proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

- Nie dowiedzieliśmy się niczego istotnego w sprawie śmierci Daniela. Nie wiedziała, dlaczego i jak zmarł jej mąż.

Przyjrzał się jej twarzy, a następnie mojej.

- Sądzę, że było to samobójstwo - oznajmił.

- Wykluczone - odpowiedziałem.

- Taki jest pański pogląd. Zadzwoiłem na posterunek policji w Arlington i odbyłem długą rozmowę z sierżantem Endersem. Otrzymali wyniki testów balistycznych. Pistolet był własnością Daniela.

- Założyliśmy, że...

- Wykonano również wstępne porównanie plam krwi na broni z grupą krwi Daniela.

- My również to założyliśmy - poinformowałem go. - Jeśli łaska, proszę nie wtykać nosa w to śledztwo.

- Dochodzenie jest w połowie moje. Będę zaangażowany w stopniu, który uznam za właściwy.

Spojrzałem na niego i powiedziałem:

- Major Tran poinformowała mnie, że wcześniej służył pan w żandarmerii wojskowej.

- To prawda. Dwadzieścia pięć lat służby. Cholerny szmat czasu. Mój zespół zawsze przodował pod względem liczby rozwiązanych spraw.

Jak się pewnie domyślacie, często współpracowałem z żandarmerią wojskową i ludźmi z wojskowego wydziału dochodzeń kryminalnych. Jako gliniarze są bez zarzutu. Z

jakiegoś powodu wojskowa koncepcja dyscypliny i posłuszeństwa oraz społeczne wyobrażenia o prawie i porządku przypominają małżeństwo wyswatane w piekle. Oprócz tego, w przeciwieństwie do zwyczajnych policjantów, żandarmi wojskowi nie funkcjonują w innym świecie i nie doświadczają dezorientującego dystansu oddzielającego ich od własnej społeczności, nie natrafiają też na ścianę milczenia, gdy gówno trafi w wentylator. W armii stopień to stopień, a policjant wojskowy nie powinien o tym zapominać. To prawda, że można wlepić mandat za przekroczenie prędkości sekretarzowi obrony, znam nawet szeregowca żandarmerii wojskowej, który to uczynił. Lepiej jednak, aby na posterunku znajdował się aktualny dokument potwierdzający wyskalowanie radaru, ponieważ gdy mój klient stawał

przed sądem, był jeszcze sierżantem.

Czasami można spotkać jednostki przekraczające wspomniane granice i tradycje.

Podejrzewałem, że do tej grupy zaliczał się Waterbury i byłem pewny, że nie zapisał się miło w pamięci swoich podwładnych z żandarmerii.

- Ingerowałem w przebieg śledztwa zawsze, gdy uznawałem to za słuszne - oznajmił. -

Moi ludzie to doceniali.

- Ja nie mam takiego zamiaru. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę.

Usatysfakcjonowany swoją małostkową uwagą, kontynuował:

- Jak wspominałem, Enders i jego ludzie skłaniają się ku hipotezie samobójstwa.

- To znakomicie. Chcemy, aby właśnie na tym zakończyli obecną fazę dochodzenia.

Przez chwilę patrzył na mnie w zamyśleniu, a następnie pochylił się w moją stronę.

- Departament Obrony podpisze się pod ustaleniami policji i właściwych służb cywilnych niezależnie od tego, co postanowią.

- Dlaczego czuję, że ma pan coś do dodania?

- Masz rację, Drummond. Ty i Tran musicie ograniczyć wasze dochodzenie ze względu na możliwe zagrożenie bezpieczeństwa narodowego. To, jak doszło do śmierci Daniela, nie jest celem

tego śledztwa ani pańską sprawą, w przeciwnym razie będzie pan ingerował lub dublował pracę służb cywilnych. - W końcu dotarł do prawdziwego celu naszego spotkania i oznajmił: - Podczas rozmowy z panem Ti germanem proszę ograniczyć swoje pytania do spraw związanych ze śledztwem.

- Pytania o śmierć Danielsa i zagrożenie bezpieczeństwa narodowego mogą być ze sobą związane. Zdaje pan sobie z tego sprawę.

- To czysta spekulacja. Zdaniem detektywa prowadzącego policyjne dochodzenie, mamy do czynienia z samobójstwem, a nie zabójstwem. Daniels pasuje do portretu samobójcy... nieudane małżeństwo, kariera, która utkwiała w martwym punkcie... Kto wie, co jeszcze popsulo się w jego życiu lub głowie?

Odniosłem wrażenie, że Waterbury przeprowadził małe dochodzenie w czasie, który upłynął od naszej ostatniej rozmowy. A może od dawna znał fakty z życia Clifforda Danielsa, a teraz on i chłopaki na górze - a właściwie na dole - wykombinowali, jak poradzić sobie z zaistniałą sytuacją i Seanem Drummondem.

- Chciałbym panu przypomnieć, że Daniels miał zeznawać przed podkomisją Kongresu.

- To bez znaczenia. Powtórzę, śledztwo nie dotyczy jego śmierci.

- Bzdura. Zmrużył oczy.

- Chciałbym panu przypomnieć, Drummond, że Albert Tigerman nie jest podejrzanym. Nie będzie też w taki sposób traktowany. To ważna osoba, człowiek zajęty.

Zgodził się z wami spotkać przez grzeczność. Macie pięć minut.

- Pięć minut, sir? - zaprotestowała Tran.

- To aż nadto. Zastanówcie się nad pytaniami. Pójdę z wami. Jeśli przekroczycie granicę, zakończę przesłuchanie.

- Czego się pan obawia, Waterbury? - zapytałem.

- Będziesz musiał się z tym pogodzić, Drummond. - Wstał. - Proszę za mną.

Rozdział jedenasty

Gabinet Alberta Tigermana znajdował się na drugim piętrze pierścienia E - zewnętrznego, który w gmachu Pentagonu odpowiada domom przy plaży na Lazurowym Wybrzeżu.

W Waszyngtonie szumny tytuł to rzecz powszednia, szczególnie w kręgu osób sprawujących urząd z politycznego mianowania, które często zapłaciły za niego fortunę, więc musi przynajmniej brzmieć imponująco. Człowiek czuje się zagubiony, a nawet poirytowany na widok zdumiewającego korowodu zastępców i asystentów z tytułami złożonymi z dwóch lub więcej przedrostków i równie dużej liczby przyrostków informujących o tym, czym dana osoba się zajmuje. W rezultacie mamy takie kwiatki jak „zastępca asystenta podsekretarza obrony do spraw zarządzania i renowacji budynku”, czytaj: dozorca.

Liczbę tytułów ograniczyłbym do jednego przedrostka i jednego przyrostka, usuwając wszystkie pozostałe. Jeśli do opisu czyjejś pracy potrzeba więcej niż czterech sylab, jego robota jest fikcją. Koniec kropka.

Niebezpieczeństwo polega na tym, że gdy człowiek spotka jednego z tych pajaców o wielosylabowym tytule, nie wie, czy ma do czynienia ze zbędnym pasożytem utrzymującym się z pieniędzy podatnika czy gościem, który potrafi nieźle nadszarpnąć budżet federalny.

Ogólnie rzecz biorąc, im więcej przedrostków zawiera dany tytuł, tym mniejszą szkodę może wyrządzić człowiek, który go nosi.

W każdym razie biuro Alberta Tigermana, zastępcy podsekretarza obrony do spraw politycznych, znajdowało się w najbardziej prestiżowym skrzydle, na najbardziej prestiżowym

piętrze, w odległości zaledwie sześciu drzwi od gabinetu jego wysokości sekretarza obrony.

Jeśli bliskość oznacza wpływ, ten facet cieszył się dużym posłuchem u szefa.

Waterbury delikatnie uchylił drzwi i weszliśmy do przedpokoju, w którym sprawiająca wrażenie skutecznej, zadziorna młoda sekretarka chowała się za dużym drewnianym biurkiem zastawionym komputerami i telefonami.

Kiedy podniosła głowę, Waterbury oznajmił:

- Proszę powiedzieć Alowi, że byliśmy umówieni na szóstą trzydzieści. Oczekuje nas.

- Wiem. - Podniosła telefon i wystukała kilka cyfr. - Mam tu ludzi ze specjalnej jednostki śledczej. - Wysłuchała odpowiedzi i odłożyła słuchawkę. - Przyjmie was za kilka minut. Proszę usiąść.

- Kurczę... tu są krzesła - zwróciłem uwagę Waterbury'emu. - Ten gość nie ma pojęcia o zarządzaniu.

Udał, że mnie nie słyszy.

Zauważyłem, że Bian pokornie milczy. Uznałem, że nie jest to w jej stylu, chociaż wiedziałem, co się za tym kryje. Wykorzystywała mnie w charakterze osłony przed idiotą, dla którego pracowała, co politycznie rzecz biorąc, było sprytnym posunięciem i mogło dostarczyć jej rozrywki, chociaż z mojego punktu widzenia było niebezpieczne.

Niezależnie od przyczyny najwyraźniej nie miała nastroju do rozmowy, a mnie nie płacono wystarczająco dużo, abym prowadził pogaduszki z Waterburym. O czym zresztą moglibyśmy ze sobą gadać? O tym, ilu ludzi może się zmieścić w krytym wagonie towarowym?

Usiedliśmy niezgrabnie na twardej skórzanej kanapie, przed którą stał niski stolik. Na blacie dostrzegłem grubą stertę starannie uporządkowanych magazynów, które szybko przejrzałem, próbując zabić czas. Wszystkie nosiły intrygujące tytuły w rodzaju „Foreign Affairs”, „New Republic”, „Orbis”, „Economist” itd. Byłem ciekaw, czy facet za drzwiami faktycznie je czyta. Przypuszczalnie tak. Pomyślałem, że Albert spędza weekendy, oglądając program stacji C-SAPN i uprawiając ogródek, podczas gdy jego dzieci jeżdżą konno i grają w squasha, a żona jest po imieniu ze wszystkimi ważniejszymi ekspedientkami u Bloomingdale'a. Odkładając na bok moje uprzedzenia przedstawiciela dolnej warstwy średniej, nie sądziłem, aby panowie Tigerman i Drummond pijali ten sam rodzaj piwa.

Nie mając nic lepszego do roboty, zacząłem analizować to, co wiem o człowieku, z którym za chwilę mieliśmy się spotkać. Przed opuszczeniem mojego biura i udaniem się na spotkanie z Theresą Daniels, Bian poszła do toalety, a ja zanurzyłem się w otchłani Internetu, szukając czegoś na temat naszego gospodarza. Znalazłem jego oficjalny życiorys umieszczony na witrynie Departamentu Obrony i, kilka stron dalej, pouczający artykuł w

„Washington Insider” ukazujący bardziej pikantne, osobiste szczegóły.

Tigerman przyszedł na świat w 1946 roku w lepszej części Bostonu w zamożnej rodzinie. To, co później następowało, można by określić jako typowy scenariusz przejścia do dorosłości bogatego chłopca z północnego wschodu: prywatne liceum św. Pawła, Yale, wydział prawa Yale, a następnie posada wspólnika jednej z czołowych nowojorskich kancelarii. Nie była to opowieść w stylu Horatia Algera, który z nędzy wydzwignął się do bogactwa, lecz bardziej archetypiczne, amerykańskie zmagania, których bohater urodził się bogaty i taki pozostał. Kocham ten kraj.

Jako trzydziestoletni mężczyzna Albert obejmował posadę w Waszyngtonie, gdy u władzy byli republikanie, i wracał do swojej nowojorskiej fabryki pieniędzy, gdy panowali demokraci. W tym czasie zyskał sobie reputację intelektualisty specjalizującego się w problematyce obronnej.

Nie rozpoznałbym „intelektualisty specjalizującego się w problematyce obronnej”, nawet gdyby

zaczął przemawiać na moich kolanach lub szepnął mi błyskotliwą uwagę do ucha. Pewnie dlatego, że wojnę trudno uznać za ćwiczenie intelektualne - walka ma charakter instynktowny, nieprzemysłany, jest zmaganiem woli polegającym na obrzuceniu nieprzyjaciela taką ilością gówna, aby skapitulował.

O ile wiem, człowiek zyskuje miano „intelektualisty specjalizującego się w problematyce obronnej”, gdy uczestniczy w przegadanych konferencjach i pisuje uczone artykuły pełne abstrakcyjnych terminów i wielkich teorii na temat małych spraw.

Laboratoryjną robotę związaną z polem walki pozostawia się zwykle komu innemu.

Cóż... powinienem się wstydzić własnej małoduszności wobec naszego gospodarza.

Byłem pewny, że serce Alberta znajduje się po właściwej stronie. Miałbym o nim bardziej pochlebną opinię, gdyby potrafił odróżnić czołg M1 A1 od modelu M1A2 po śladzie gąsienic pozostawionych na jego lśniącej limuzynie stojącej na parkingu Pentagonu.

Z kilku artykułów, które przeczytałem, wynikało, że Albert Tigerman i jego szef, Thomas Hirschfield, znaleźli się ostatnio w tarapatkach, ponieważ opinia publiczna uważała ich za intelektualnych i biurokratycznych twórców wojny, która przeciągała się dłużej, niż sądzili, była bardziej zmatwana i pociągnęła za sobą wiele ofiar. Na dodatek nie zanosilo się na to, aby wkrótce się skończyła.

Jak wspomniała Bian, była to druga posada Alberta w Pentagonie i w obydwu wcieleniach pracował pod kierownictwem długoletniego mentora, Thomasa Hirschfieldda.

Otworzyły się drzwi gabinetu Tigermana. Podniosłem głowę i ujrzałem dwóch generałów lotnictwa wchodzących do poczekalni z grubymi teczkami pod pachą. Zignorowali nas w typowy sposób, w jaki wojskowi traktują cywilów, chociaż, mimo ubioru, cywilem nie byłem. Sekretarka odczekała chwilę i oznajmiła:

- Możecie wejść.

Wkroczyliśmy do gabinetu Tigermana za Waterburym. Albert Tigerman stał wyczekująco w odległości metra od drzwi niczym ptak na grzędzie, z ręką wyciągniętą w kierunku Waterbury'ego.

Przez chwilę przyglądałem się naszemu gospodarzowi i z lekkim zdumieniem odkryłem, że jego wyglądu żadną miarą nie można by uznać za imponujący. Facet był niski, nieco pulchniutki, o siwych włosach, miał grube rogowe okulary, nalaną, pozbawioną wyrazu twarz oraz małe, ściągnięte usta. Muszę z zakłopotaniem przyznać, że wyglądał jak prawnik.

Po wymienieniu uścisku dłoni z Waterburym powiedział:

- Mark... jestem rad, że cię widzę. Słyszałem, że odwalasz tu kawał dobrej roboty.

Wystarczyło spojrzeć na ich twarze, aby wiedzieć, że to wierutna bzdura. Nie spotkali się tego dnia po raz pierwszy.

Waterbury, nienawykły do przebiegłości, wahał się przez dłuższą chwilę, zanim odparł:

- Spotkanie z tobą zawsze sprawia mi przyjemność, Al. Przykro mi... że powód jest taki przykry.

- Cóż można poradzić, prawda? - Po tych słowach zwrócił się do nas. - Jesteście Drummond i Tran?

Kim innym mogliśmy być?

- Dziękuję, że mimo wypełnionego zajęćmi rozkładu znalazł pan dla nas czas - zaczęła Bian.

Nie chcąc, aby odniósł mylne wrażenie, że uważam to za wielki zaszczyt, natychmiast przeszedłem do rzeczy.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, sir, chcielibyśmy od razu zacząć. Wiem, że jest pan bardzo zajęty. Waterbury poinformował nas, że mamy tylko pięć minut.

Miałem nadzieję, że odpowie: „Co takiego powiedział ten dupek Waterbury?... W tajemniczych okolicznościach zginął porządny człowiek, długoletni urzędnik państwowy.

Możecie zostać, ile zechcecie". Niestety, takie słowa nie padły, a Tigerman wskazał krótki stół konferencyjny w pobliżu okna.

- Czy to miejsce będzie odpowiednie?

Uznaliśmy, że tak, i ruszyliśmy w tamtą stronę. Tigerman usiadł na szczycie stołu, Waterbury po prawej stronie, a ja i Bian naprzeciw niego.

Tigerman wiercił się przez chwilę na krześle, a następnie pochylił w naszą stronę.

- Mark poinformował mnie o śmierci jednego z naszych ludzi. To bardzo niefortunne zdarzenie.

- Pracownik, o którego chodzi, nazywał się Clifford Daniels. Był GS-dwanaście i przez ostatnie trzy lata pracował w pańskim biurze. Założyliśmy, że pan go zna.

- Tak... tak, przypominam sobie nazwisko. Jestem pewien, że rozpoznałbym go, gdybym zobaczył twarz. - Zdjął okulary i zaczął przecierać szkła chusteczką, którą wyjął z kieszeni na piersiach. - To bardzo niefortunne, naprawdę...

Po chwili Bian zapytała:

- Co jest niefortunne, sir?

- Ten urząd... biuro podsekretarza...

- Jaki to ma związek?

- Zatrudniamy około dziewięciuset osób. Chciałbym znać tych wszystkich porządnym ludzi... - Uniósł okulary w pedantycznym geście wyrażającym bezradność. -

Cóż... w jaki sposób ten... hm, pan Daniels... jak... wiecie, o co mi chodzi?

- Śledztwo jeszcze tego nie wykazało.

- Samobójstwo - odpowiedział Waterbury. - Strzelił sobie w głowę.

- Rozumiem. - Tigerman zaczął bębnić palcami po stole. - Panie Drummond, jak mogę pomóc?

- Mamy kilka pytań. Chodzi o garść informacji na jego temat - odparłem z uśmiechem. - Major Tran nie będzie odczytywała panu praw.

Odpowiedział uśmiechem.

- A więc to całkiem nieszkodliwe?

- Czemu miałyby być inaczej? Spojrzeliśmy sobie w oczy.

- Dwa tygodnie temu Daniels otrzymał wezwanie do stawienia się przed Podkomisją Nadzoru nad Wywiadem. Czy pan... o tym wiedział?

- Cóż... niech pomyślę... - Przez chwilę udawał, że się zastanawia. - Tak... chyba sobie przypominam. Wezwano kilku naszych ludzi. To bardzo niefortunne...

- Niefortunne?

- Wie pan... - Podniósł wzrok, próbując ustalić, jakimi bzdurami może mnie uraczyć. -

Waszyngton to miasto, w którym stale dochodzi do przepychanek... zawsze tak było...

Jesteśmy w stanie wojny, w Kongresie nastąpiła polaryzacja stanowisk, nadciągają wybory.

Liberalne media obrzucają nas błotem...

Zacząłem podejrzewać, że Albert Tigerman cierpi na jakieś dziwne zaburzenie umysłowe przejawiające się niemożnością dokończenia zdania.

- Czy może nam pan wyjaśnić, dlaczego podkomisja nadzoru nad wywiadem chciała rozmawiać z Danielsem?

- Żałuję, ale nie potrafię.

- Nie ma pan pojęcia?

- Nie mówią mi o niczym.

- Cóż... musi pan przynajmniej wiedzieć, czym zajmował się Daniels? - wskazałem gładkie przejście.

Odwrócił się do Waterbury'ego:

- Przypomnij mi, Mark. Czym on się u nas zajmował?

- Bliski Wschód i Azja. Był kierownikiem działu.

- Ach... tak... w takim razie... pewnie zajmował się czymś, co ma związek z wojną w Iraku.

- Nie umie pan powiedzieć, czym konkretnie zajmował się Daniels?

- Niech pomyślę... mam do czynienia z mnóstwem spraw... - Na jego twarzy pojawił się wyraz zadumy, a następnie cierpienia. - Nie potrafię odpowiedzieć dokładnie.

Na chwilę zbił mnie z pantałyku.

- A niedokładnie?

Wzruszył ramionami. Wywierałem na niego wyraźny nacisk. Spojrzałem na Bian, która uporczywie wpatrywała się w twarz Tigermana.

- Daniels pracował wcześniej w DIA. Znał go pan z tamtego okresu?

- Jakie to były lata, majorze?

- Koniec lat osiemdziesiątych i lata dziewięćdziesiąte.

- Cóż... nie powiedziałbym... z drugiej strony miałem kontakt z wieloma ludźmi z DIA. To dawne czasy.

- Oczywiście, sir. Z drugiej strony to niezwykle, by pracownik DIA - specjalista od wywiadu - wylądował na politycznej posadzie, prawda?

- Nie jest to aż tak niezwykle. Może dużo wiedział o tamtym regionie.

- Fakt. Podczas swojej pracy w Agencji Wywiadu Obronnego zajmował się Irakiem.

- Tak? No to ma pani odpowiedź. W ciągu kilku ostatnich lat Irak stał się w tym gmachu... jeśli wolno mi użyć eufemistycznego wyrażenia z zakresu biznesu... kwitnącą gałęzią przemysłu. - Uśmiechnął się. - Mogłem nawet osobiście aprobować jego przeniesienie.

- Lecz nie przypomina pan sobie tego? Wzruszył ramionami.

- Może któryś z zastępców sekretarza lub szefów działów znał go i poprosił o jego zatrudnienie.

- Ponownie wskazał na segregator z korespondencją przychodzącą wypełniony mnóstwem teczek i notatek służbowych. - Nie pamiętam... powiem szczerze, nie pamiętam wszystkiego, co podpisałem. Czy to możliwe?

Postanowiłem przejąć pałeczkę.

- Dziś po południu odbyliśmy rozmowę z jego byłą żoną.

- Och. Biedna kobieta. Musi być zrozpaczona.

- Pokazała nam gest zwycięstwa.

- Doprawdy...

- Szczerze mówiąc, jestem nieco zaskoczony pańską reakcją na tę tragiczną wiadomość.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Pani Daniels poinformowała nas, że pan i Cliff spędzaliście ze sobą dużo czasu w okresie pierwszej wojny w Zatoce Perskiej. Utrzymywała, że później pozostawaliście w niemal stałym kontakcie. Mówiąc jej słowami, byliście bliskimi przyjaciółmi.

Spojrzał na mnie zdumiony.

- Przyjaciółmi?

Zapomniałem, że jesteśmy w Waszyngtonie. Pomyślałem, że pomogę mu zrozumieć to obce słowo.

- Przyjaciele to ludzie, którzy ze sobą przebywają i pamiętają o sobie. Śmierć przyjaciela budzi

w nich ból.

Moja uwaga rozdrażniła go, o co mi chodziło, lecz zachował zimną krew.

- Czy wspominała, abym kiedykolwiek odwiedził go w domu? A może przyszła do nas i poznała moją żonę...?

Nie odpowiedziałem.

- W tym mieście nie jest rzeczą niezwykłą, że urzędnicy niższego szczebla... wie pan...

upiększają swoją karierę w oczach małżonka. Zony przesadnie podkreślają znaczenie męża. -

Mrugnął do mnie porozumiewawczo. - Moja żona sądzi, że jestem sekretarzem obrony, proszę obiecać, że nie wyprowadzi jej pan z błędu.

Uśmiechnął się, a ja odpowiedziałem uśmiechem. Kurczę, mieliśmy niezłą zabawę.

- Wzbudził pan moją ciekawość, Drummond. Nad czym pańskim zdaniem ten człowiek pracował i jaki mogło to mieć związek z jego śmiercią? Lub z moją osobą?

Bingo. Chociaż może się to wydać wyświechtanym sloganem, winni zawsze próbują cię wybadać. Chcą poznać, ile wiesz, a konkretnie, czy i jak możesz ich w coś zamieszać. Ten facet czymś się martwił i byłem ciekaw czym. Oczywiście mogliśmy poprosić o wykaz połączeń z telefonem Danielsów, sprawdzić, jak często rozmawiali i jak długo się znali.

Mogliśmy też ustalić, w jaki sposób Clifford Daniels został przeniesiony z DIA do tego biura.

Tylko co by nam to dało? Moglibyśmy wykazać, że Tigerman wprowadził nas w błąd, że robił uniki, lecz w Waszyngtonie uchylanie się od prawdy trudno uznać za przestępstwo, gdyż stanowi przepustkę do awansu.

Spojrzałem na Tigermana.

- Obawiam się, że pięć minut dobiegło końca. - Wstałem. - Dziękuję za pański czas, sir. Wrócimy do pana, jeśli okaże się to konieczne.

Nie zabrzmiało to jak groźba, było jednak uczciwą przestrogą, a Tigerman to zrozumiał. Wstał, a za nim poszedł Waterbury i Tran. Tigerman przez chwilę przyglądał się mojej twarzy.

- Udzielę panu darmowej rady, panie Drummond - rzekł. Nie mogłem się oprzeć, aby nie powiedzieć:

- W porządku, dlaczego nie powie mi pan, kto zamordował Clifforda Danielsa?

Waterbury w końcu dał upust swojemu kompleksowi prokuratora.

- Dość tego, Drummond - warknął. Spojrzał na Tigermana, aby upewnić się, że ten dostrzegł jego służalcze zachowanie. - Policja jest przekonana, że Daniels popełnił samobójstwo. Drummond upiera się przy swojej idiotycznej hipotezie, że mógł zostać zamordowany. Nakazałem mu, aby nie poruszał tej kwestii w pańskim gabinecie.

- W porządku, Mark. - Na twarzy Tigermana pojawił się wymuszony uśmiech.

Zwrócił się w moją stronę i zapytał: - Sądzi pan, że Daniels został zamordowany? Dlaczego?

- Wierzę w stare przysłowie.

Uniósł brwi.

- Jakie?

- Jedyнным sposobem uniknięcia składania zeznań jest samobójstwo, lecz nawet ono stanowi zeznanie.

Tigerman zaczął ponownie bębnić po stole.

- Bardzo zabawna obserwacja, panie Drummond. Ten cytat odnosi się do samobójstwa, a nie morderstwa.

- To prawda. Jestem pewny, że jeśli uda się nam ustalić, co mógł zeznać Daniels, znajdziemy jego mordercę.

Nie odniosłem wrażenia, aby go to ubawiło.

- Możecie odkryć, że Daniels zajmował się bardzo delikatnymi działaniami wspierającymi nasz wysiłek wojenny. Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego... popełnił samobójstwo. Liczę, że uda się wam odpowiedzieć na to pytanie. Mam też nadzieję, że to, co znajdziecie, potraktujecie z taką dyskrecją, na jaką zasługuje.

Spojrzałem na niego, a następnie na Waterbury'ego.

- Skoro udzielamy sobie tutaj darmowych rad... jutro rano komunikat o śmierci Clifforda Danielsa zostanie przekazany do mediów. Z pewnością wzbudzi to zainteresowanie dziennikarzy, którzy zaczną badać okoliczności zdarzenia. Ci ludzie to potrafią i jestem pewien, że będą drążyć głęboko. W administracji jest sporo ludzi, którzy chętnie podzielą się swoimi przypuszczeniami i podejrzeniami. Jest pan na to przygotowany?

Dałem mu chwilę, aby się nad tym zastanowił.

- Czy jest inne ostrzeżenie, którego chciałby pan nam udzielić? Odwrócił się i wrócił za biurko. Kiedy wychodziliśmy z gabinetu, usłyszałem, jak mówi:

- Bądźcie ostrożni.

Rozdział dwunasty

Waterbury wrócił do swojego gabinetu, a Bian i ja ruszyliśmy długim korytarzem prowadzącym do wyjścia na parking północny.

- Nie uważam tej rozmowy za udaną - zauważyła po dłuższej chwili milczenia.

- Oczekiwałaś, że przyzna się do winy?

- Nie, chociaż drobna rysa na jego wizerunku mogłaby się okazać bardzo pomocna.

- To prawnik i urzędnik pracujący dla rządu. Gdyby powiedział prawdę, odpadłby mu język. Co sądzisz o nim jako człowieku?

- Jest sprytniejszy, niż sądziłam. Bardzo arogancki, przesadnie pewny siebie, o wysokim ilorazie inteligencji... Nie należy do strachliwych. Niczego nie powie... do samego końca. - Zauważyła, że jestem zdumiony jej słowami i zapytała: - Dlaczego winni zawsze próbują cię wybadać?

- Bądź ostrożna. Może chciał jedynie zaspokoić ciekawość, był zmartwiony śmiercią pracownika lub zastanawiał, jak rozegrać sprawę z mediami.

- Naprawdę w to wierzysz? Uśmiechnąłem się.

- Czy udało się nam coś osiągnąć? - zapytała.

- Mówiąc prywatnie, jego swoboda mnie uspokaja.

- Dlaczego?

- Z punktu widzenia myśliwego najlepsza jest taka zwierzyna, która lekceważy zagrożenie.

Skinęła głową i zastanowiła się nad moimi słowami.

- Dobre. To chińskie przysłowie?

- Moja babka była Irlandką. - Uśmiechnęła się. - Najważniejsze jest to, że pan Tigerman potwierdził, iż coś ukrywa. Trzeba założyć, że tajemnicę znają także jego przełożeni. - Spojrzałem na nią. - Na przykład, on i twój szef mogą tkwić w tym razem.

- Tak sądzisz? - Skrzywiła się i podrapała w głowę. - Kurczę... nigdy o tym nie pomyślałam.

- To tylko przypuszczenie, uważaj jednak, co przekazujesz Waterbury'emu. Facet jest lojalny wobec tych, którzy dali mu tę robotę.

- Wiem. Co teraz?

- Nie wiem jak ty, ale ja jestem głodny.

- Miałam nadzieję, że to powiesz. Umieram z głodu. - Co zwykle jadasz? Surowe mięso? -

Roześmiała się, sądząc najwyraźniej, że to, co powiedziała, jest zabawne.

Odpowiedziałem uśmiechem.

- Niech zgadnę. Jesteś jednym z tych facetów, którzy jadają mięso, ziemniaki i popijają piwem?

- Wymieniłaś właściwie, lecz kolejność nie jest prawidłowa.

- Wspaniale. Znam świetne miejsce. Podwieź mnie do mojego samochodu, a później pojedź za mną. Restauracja znajduje się w odległości niecałych czterech kilometrów od mieszkania Daniela.

Podczas jazdy zadzwoniłem z komórki do Phyllis, aby wymienić się informacjami.

Powiedziała mi, że cały zespół techników z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego uparczywie pracuje nad rozszyfrowaniem plików Daniela. Poradziłem jej, aby dzwoniła co trzydzieści minut i nieustannie ich nękała. Podziękowała mi serdecznie za wyjaśnienie, jak ma wykonywać swoją pracę, a następnie zapytała o nasze spotkanie z Tigermanem. Chciała, to jej opowiedziałem. Roześmiała się, przypomniała, abym nie przestawał oglądać się za siebie, i zakończyła rozmowę. Phyllis nie stosowała ręcznego sterowania - i to w niej lubiłem

- chociaż zdawała sobie sprawę, iż ta sprawa może wkurzyć wielu wpływowych ludzi.

Pomyślałem, że jej ostrzeżenie, abym „ogłądał się za siebie”, oznaczało, iż jeśli nadepnę na odcisk niewłaściwej osoby, będę zdany wyłącznie na siebie.

Wkrótce odnaleźliśmy wóz Bian. Uruchomiła pojazd i ruszyła, a ja za nią. Po przejechaniu jakichś czterech kilometrów skręciliśmy na wąski parking małego podniszczonego centrum handlowego przy Columbia Pike. Zaparkowała, a ja ustawiłem się obok niej. Kiedy wysiadłem, podeszła i oznajmiła:

- Mam nadzieję, że lubisz wietnamską kuchnię.

Zacząłem pakować się z powrotem do samochodu, gdy złapała drzwi. Roześmiała się.

- Nie wygłupiaj się. Na pewno ci się spodoba. Obiecuję. -

Chwyciła mnie za ramię i wyciągnęła z samochodu. Cholera, była naprawdę silna.

- Nienawidzę ryb.

- Ja też. Ryby są wstrętne. Zaufaj mi.

Byłem naprawdę głodny, na szczęście kątem oka w odległości dwóch przecznic dostrzegłem złoty łuk symbolizujący ocalenie. Ruszyłem w tamtą stronę, lecz Bian chwyciła moje ramię.

- Daj spokój. Znam właścicielkę restauracji. Potrzebuje klientów. Przyniosę ci ciasteczko z wróżbą.

- Sądziłem, że podają je w chińskich restauracjach.

- Racja. Odczytam przyszłość z twojej dłoni.

Czerwone litery nad wejściem układały się w nielogiczną całość: „Radosna kuchnia wietnamska”.

- Czy żarcie może być radosne? - zapytałem.

- Jakie?

- Radosne... „Radosna kuchnia wietnamska”.

- Bądź cicho.

Wkroczyliśmy do środka szklanymi drzwiami, na których wypisano jakieś azjatyckie litery. Sala okazała się ciasna i mała, przypominająca lichą pizzerię, z plastikowymi stołami i krzesłami oraz obrusami w szachownicę. Dla osób poszukujących prawdziwego azjatyckiego klimatu na ścianach umieszczono kilka tanich malowideł przedstawiających sampany i małych ludzi zbierających ryż na mokradłach pokrytych mgłą.

Zaśmiała się.

- Poczęstuję cię sosem z ryby. To wielki przysmak. Przypomina wietnamski sos pieczeniowy.

Wyciskasz tłuszcz z ryby, przechowujesz w zamkniętej kadzi, a następnie gotujesz na wolnym ogniu przez kilka tygodni. Ma bardzo kwaśny smak.

- I równie paskudny zapach.

- Czy to ten sam twardeł, który był zbyt męski, aby używać chusteczki z substancją dezynfekującą w pomieszczeniu, gdzie popełniono morderstwo?

- Tam chodziło o rozkładające się zwłoki. Spojrzała na mnie.

- Bądź grzeczny, w przeciwnym razie pojawią się kolejne. - Pani, która prowadziła restaurację, spostrzegła Bian i podeszła drobnym kołyszącym krokiem. Przytuliły się, ucałowały w policzek i zaczęły rozmawiać po wietnamsku. Potrzebowałem chwili, aby przyzwyczaić się do tego, że Bian trajkocze w tym dziwnym języku o trudnych spółgłoskach i starodawnej melodii. Czuję się tak, jakbym nagle zmienił prędkość, z jaką obraca się płyta.

Jestem ciekaw, czy Wietnamczycy podobnie odbierają nasz język.

Po chwili kobieta zaprowadziła nas do stolika z tyłu sali, pod dużym obrazem przedstawiającym domki na palach z dachem pokrytym strzechą, w których mieszkali mali ludzie w słomkowych spodkach na głowach. Gdyby człowiek wysilił nieco wyobraźnię, poczułby kropelki potu na szyi.

Wietnamka słabo znała angielski.

- Wy usiąść... usiąść... usiąść... - zapraszała, patrząc na mnie. Usiadłem, usiadłem, usiadłem.

- To właścicielka - oznajmiła Bian, a następnie zagadała coś do tamtej i obie zaczęły się śmiać. Właścicielka miała sześćdziesiąt kilka, siedemdziesiąt lat. Nośła szkarłatną jedwabną suknię *ao dai* - tradycyjną kobiecą szatę - i kiedyś była dziewczyną, którą dziadek Erasmus nazwałby niezłą laską. Nadal była szczupła i bardzo atrakcyjna, jednak upływ czasu odcisnął na niej swoje piętno - dowodziły tego zmęczone oczy, głębokie zmarszczki na twarzy oraz pochylone ramiona.

- Wyjaśniłam jej, że nie lubisz ryb - poinformowała mnie Bian.

- Obecnie nienawidzę ryb.

- Nazwała cię typowym Amerykaninem. Całkowity zanik kubeczków smakowych.

Uśmiechnąłem się do starszej pani.

- Moi przodkowie byli Irlandczykami - powiedziałem. Oczywiście, ten fakt tłumaczy całe mnóstwo ludzkich ułomności i nieprawidłowości.

Bian przetłumaczyła moje słowa, a Wietnamka skinęła ze zrozumieniem głową i coś odpowiedziała. Bian roześmiała się:

- Twierdzi, że zna Irlandczyków. To żadne krwi dzikusy, pijacy i łzawi poeci.

- Co jej powiedziałaś?

- Że nie jesteś poetą.

Wymieniły kilka słów i Bian ponownie zachichotała. Kiedy właścicielka nalała wodę do naszych szklanek, Bian poinformowała mnie:

- Powiedziała, że jesteś bardzo przystojny i masz kaukaski typ urody. - Po chwili dodała: - Jest ciekawa, czy masz żonę.

- Ach...

- Powiedziała jej, że prosiłeś o rękę wiele kobiet, lecz wszystkie odmówiły.

Wybuchły głośnym śmiechem. Kobiety mają dziwne poczucie humoru.

Bian wyjaśniła coś tamtej, stara Wietnamka spojrzała na mnie i powiedziała:

- Zapewniam cię, że może... może... - Następnie zaterkotała coś Bian, która skinęła głową.

Właścicielka zniknęła w pomieszczeniu, które pełniło funkcję kuchni, gdzie wyciskano soki z wszystkich tych nieszczęsnych ryb, aby otrzymać wstrętny olej.

Spojrzałem na Bian i zapytałem:

- Gdzie nauczyłaś się wietnamskiego?

- Która szkoła jest najlepsza?

- Berlitz?

Na jej twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

- W Sajgonie. Tam się urodziłam. - Rozwinęła serwetkę i położyła ją na kolanach. -

Byłeś w Wietnamie?

Potrząsnąłem głową.

- Mój ojciec bawił tam na wakacjach. Dwa razy. Wracał z niesamowitymi, niepięknymi opowieściami o ludziach, którzy do siebie strzelają, podkładają miny i zasypują bombami. - Po krótkiej przerwie dodałem: - Za drugim razem wrócił z opowieścią o człowieku, który strzelał do niego.

- Rozumiem.

- Jak się tam znalazłaś?

- To długa i bardzo nudna historia.

- Nic, co ma związek z twoją osobą, nie jest nudne. Spojrzała na mnie.

- To komplement?

- Uznaj to za zwyczajną obserwację.

- Cóż... ojciec był oficerem w armii południowowietnamskiej. Służył w oddziałach rangersów w stopniu majora. Jego sytuacja różniła się od sytuacji amerykańskich oficerów, którzy przyjeżdżali na dwunastomiesięczne zmiany. Walczył przez cały czas trwania wojny.

Dwanaście lat.

- To był jego kraj. Skinęła znacząco głową.

- Myślę, że ten fakt miał z tym coś wspólnego.

- Nie wyglądasz na wystarczająco starą, aby pamiętać tamte czasy.

- To prawda. Ojciec ożenił się z moją matką w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku. Ciągle czekali i czekali... nie chcieli, aby dziecko wychowywało się w tak nędznych warunkach. Urodziłam się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim.

- Rok przed zakończeniem wojny.

- Chodzi ci pewnie o rok, w którym wycofali się Amerykanie. Dla nas nie był to koniec. Ojciec przeczuwał, że to wszystko nie skończy się dobrze. Tak długo zwlekał z dzieckiem... że gdyby dalej to odkładał... - Bian zaczęła się bawić pałeczkami. - To dziwne, zawsze miałam poczucie, że zostałam poczęta w jakimś fatalistycznym akcie.

Nic nie odpowiedziałem.

- Pochodzę z katolickiej rodziny. Co gorsza, rodzina mojej matki należała do warstwy dekadentkich właścicieli ziemskich. Z fizycznej konieczności i politycznych przekonań byliśmy zagorzałymi antykomunistami i wiedzieliśmy, co oznacza porażka. Mój ojciec walczył do końca, aż do tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku.

- Później wyjechał?

- Nie... okazało się to niemożliwe.

- Dlaczego? W tym czasie wielu Wietnamczyków przyjechało do Stanów. Wystarczy pojechać do San Diego. Władze myślą o zmianie nazwy tego miasta na Nha Diego.

- To byli ci, którym się udało.

- Co stało się z ludźmi, którzy nie mieli tyle szczęścia?

- Ci z Północy mieli dość czasu, aby przygotować plan podboju. W okresie wojny, z pomocą szpiegów działających na Południu, sporządzili długą listę południowowietnamskich oficerów i

polityków, którzy ich zdaniem byli skorumpowani. Mój ojciec znalazł się na liście osób, którym przydałaby się... jak to mówili, „reforma i reedukacja”. Dwa dni po kapitulacji został zabrany do specjalnego obozu, w którym mieli go nauczyć, jak myśleć w nowym Wietnamie.

- Bardzo mi przykro.

- Nie przejmuj się. To było dawno temu - powiedziała nazbyt swobodnie.

- Wiesz, jaka jest definicja określenia „dawno temu”? - Ponieważ odniosłem wrażenie, że jej nie zna, dodałem: - Za życia kogoś innego.

Nie przytaknęła, tylko spokojnie piła wodę.

- Mama... została w Sajgonie jeszcze przez trzy lata. Czekwała. Jako żona zdrajcy nie mogła liczyć na pracę w nowym państwie. Nikt jej już nie zatrudniał, bo nie chciał się narazić nowym władzom. Nie pytaj, co musiała robić, aby przeżyć.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie.

- Pamiętaj, że początkowo nikt nie wiedział, co to za obozy... jak działają...

Powiedziano nam, że nie są to obozy karne, lecz ośrodki wychowawcze mające pomóc Wietnamczykom w stworzeniu nowego społeczeństwa. Była to tak idiotyczna komunistyczna propaganda, że początkowo wszyscy w nią wierzyli.

- Mieliście jakieś wiadomości od ojca?

- Utrzymywanie kontaktów ze światem zewnętrznym było zakazane. Ponoć przeszkodziłoby to w procesie jego reedukacji.

- Ile miałaś wtedy lat? Trzy... cztery?

- Trzy, kiedy zabrali ojca do obozu. Sześć, kiedy jego kolega przyjechał do Sajgonu i nas odnalazł. Siedział razem z nim. Powiedział, że ojciec nie żyje od dwóch lat. Jako prowadzący krnąbrnych więźniów publicznie zatłuczono go na śmierć.

- Rozumiem.

- Wtedy opuściliśmy kraj. Przybyliśmy w ostatniej wielkiej fali uchodźców, którzy uciekli na łódkach - powiedziała tak, jakby był to koniec jej opowieści zamiast początek.

Nie wiedziałem, jak zareagować. Podobnie jak inni Amerykanie nie miałem żadnego punktu odniesienia, który pomógłby mi zrozumieć przeżycia Bian i jej cierpienia. Pamiętałem jedynie lata, w których mój ojciec był na wojnie. Pierwszy okres przypadał na wczesne lata sześćdziesiąte, kiedy byłem zbyt mały, aby się o niego obawiać, przejmować się tym, co jego strata mogłaby oznaczać dla małego Seana.

Druga zmiana rozpoczęła się w 1971 roku. Miałem wówczas dziesięć lat i przyjaciół, którzy stracili ojców lub których ojcowie przyjechali z wojny jako kaleki. Inni wracali odmienieni pod względem psychicznym. Wiedziałem, co się dzieje. Nigdy nie zapomnę dnia, w którym odwoziliśmy ojca na międzynarodowe lotnisko Dullesa, skąd miał lecieć do San Francisco, aby zdążyć na „ekspres” do Azji Południowo-Wschodniej. Twarz mamy była napięta. Tata uściskał mnie mocno na pożegnanie i udzielił przyjaznej rady: „Bądź grzeczny.

Rób, co każe mama, w przeciwnym razie zabiję, gdy wrócę”.

Po jego wyjeździe nastąpił rok długich dni i ciągnących się bez końca nocy. Każdego wieczoru składałem Bogu oklepaną propozycję, tak jak wielu chłopców znajdujących się w podobnym położeniu: „Dobry Boże, spraw, aby tata wrócił zdrowy do domu, a już nigdy nie popełnię żadnego grzechu”.

Jak już wspominałem, ojciec wrócił żywy, chociaż na noszach. Gdybym w umowie z Panem Bogiem zamiast „zdrowy” umieścił inne określenie w rodzaju „żywy” lub „w jednym kawałku”, straciłbym najlepszą część okresu dojrzewania.

Jako Amerykanie wysyłaliśmy naszych ojców na wojnę, z której wracali po upływie określonego czasu, a gdy ich nie było, rodziny żyły w ciągłym lęku i względnym spokoju.

Przypominało to długą podróż służbową, z tą różnicą, że mogli z niej nigdy nie wrócić.

- A twoja matka? - zapytałem.

- Nadal żyje. Nasza łódź została przechwycona w odległości około stu pięćdziesięciu kilometrów od wybrzeża Filipin. Podróż... podróż nie była przyjemna. - Spojrzała w bok. -

Spędziliśmy kilka tygodni w szpitalu, a później w obozie przejściowym na przedmieściach Manili, zanim ambasada amerykańska załatwiła nam wizę i bilety do Stanów. Wielu Wietnamczyków przyjechało przed nami. Osiedlili się głównie w południowej Kalifornii, Luizjanie i tutaj, w Dystrykcie Columbii. Departament Stanu dał nam wybór. W ten sposób znaleźliśmy się w Ameryce.

Stara kobieta wyłoniła się z kuchni w towarzystwie chudego nastolatka o fioletowych włosach, kolczyku w nosie, stroju punka i drżących rękach, w których dzwigał dużą tacę.

Jego starzy mieli przypuszczalnie podobne koleje życia jak rodzice Bian. Przyłączyli się do diaspory, uciekając przed koszmarem i przybywając tutaj, aby zapewnić chłopcu lepsze życie, dobre wykształcenie i wielkie możliwości. Gdyby go zobaczyli, poważnie zastanowiliby się nad tą decyzją.

Chłopak ustawił tacę na składanym stoliku i razem z właścicielką zaczął rozkładać talerze na stole. Były to głównie gotowane warzywa i bogaty w skrobię ryż. Dwa półmiski wypełniały cuchnące kawałki mięsa z dziwną łuską. Spojrzałem z wyrzutem na Bian.

- Powiedziałaś, że nienawidzisz ryb.

- Kłamałam - odpowiedziała ze śmiechem. - Jestem Wietnamka. Uwielbiam ryby.

Na szczęście ryż sprawiał wrażenie jadalnego i ładnie pachniał. Właścicielka zagadała do Bian, która jej coś odrzekła.

- Powiedziała, że w menu nie ma piwa, ponieważ nie ma licencji na sprzedaż alkoholu

- wyjaśniła Bian. - W lodówce na zapleczu trzyma jednak coś w zapasie dla specjalnych gości. Zaraz przyniesie.

Sytuacja zaczęła wyglądać coraz lepiej.

Uśmiechnąłem się do starszej pani, a następnie do Bian.

- Powiedz, że dziękuję jej z całego serca za wielką gościnność. Jest bardzo uprzejma.

Kiedy Bian przetłumaczyła moje słowa, starsza pani się ukloniła.

- Powiedz jej też, że ma bardzo uroczą i sprytną córkę. Bian na chwilę odwróciła oczy, a następnie spojrzała na mnie.

- Jesteś bardziej inteligentny, niż na to wyglądasz.

- Masz urodę matki.

- Cóż... dziękuję.

Mama zagadała coś do niej, a Bian poklepała ją po ramieniu i coś odpowiedziała.

Matka przyglądała mi się przez chwilę, a następnie wróciła do kuchni.

- O co chodzi?

- Uważa, że jesteś dobrym człowiekiem, więc ma dla ciebie specjalną niespodziankę.

Powiedziałam jej, że nie zna się na męczyznach. Powinna dodać trucizny do twojego jedzenia.

Mama Bian wróciła po chwili, niosąc talerz z dwoma ciepłymi big macami oraz dwie puszki wody święconej pobłogosławionej przez papieża Budweisera.

Wstałem i uściskałem ją. Zachichotała, mówiąc do córki coś w rodzaju: „Powiedz temu idiocie, aby zszedł mi z oczu, bo dam mu kopa w jaja”.

Kiedy usiadłem, mama Bian odeszła. Bian odkroiła kawałek ryby i nadziała go na widelec.

- Spróbuj kawałek. Jest doskonała.

- Czyżby pływała w szkockiej? Roześmiała się.

Przez chwilę jedliśmy w milczeniu.

- Co pamiętasz o Wietnamie? Nie o kraju, o wojnie.

- Dla mnie była to telewizyjna wojna. Wiesz, co mam na myśli, prawda?

- Nie. Wy tłumacz.

- Była to pierwsza wojna, którą Amerykanie mogli oglądać na żywo w swoim salonie.

Ktoś powiedział, że czuł się tak, jakby oglądał hologram wojny. Przez jeden rok życia - rok, w którym ojciec został wysłany na drugą zmianę - nie odchodziłem od telewizora. Chciałem go zobaczyć na ekranie, niestety nie miałem szczęścia. Rozumiesz?

- Sama nie wiem. Gdybym chciała zobaczyć wybuchy pocisków armatnich, wystarczyło wyjść na podwórko.

- Miałem kumpla, który pewnej nocy oglądał wiadomości CBS. Widział, jak jego ojciec został postrzelony.

- Zginął?

- Został ranny. Jedli akurat obiad. Jego matka zwymiotowała. Dla większości Amerykanów... podobnie jak podczas obecnej wojny... był to fragment wiadomości pomiędzy relacją z procesu miesiąca a prognozą pogody.

- Czy telewizja i media spowodowały, że wojna w Wietnamie stała się niepopularna?

- Wojny nigdy nie były popularne.

- Wiesz, o czym mówię. W podręczniku do historii przeczytałam, że Walter Cronkite w jedną noc wyrządził więcej szkód niż cała ofensywa Tet.

- Myślę, że media i telewizja ujawniają prawdę... niechcianą, przykrą, a jednocześnie ważną. Wiadomości pod wieloma względami są stronnicze i pełne uprzedzeń... sądzę jednak, że przynoszą więcej pożytku niż szkody, przekazują więcej prawdy niż kłamstw. Odsłoniły przed nami wielką prawdę.

- Jaką?

- Przystąpiliśmy do wojny, której nie mieliśmy zamiaru wygrać. To jak uprawianie seksu mimo świadomości, że żaden z partnerów nie osiągnie orgazmu. W końcu ktoś musi dać sobie spokój.

- To bardzo... niezwykle wytłumaczenie.

- Zastanawiam się nad napisaniem podręcznika politologii.

- Takiego, który zawija się w brązowy papier pakowy? - Wzięła do ust kawałek ryby, a następnie sięgnęła po moje piwo i pociągnęła spory łyk.

- Mogę ci załatwić puszkę. Właścicielka na mnie leci. Roześmiała się, a później zaczęliśmy patrzeć sobie w oczy. Musiałem spojrzeć w bok - ktoś musiał to zrobić, zanim sytuacja się skomplikuje.

Połączyła nas intymna więź. Ta dziewczyna miała naturalną zmysłowość, podświadomą seksualność, na którą jestem bardzo wyczulony.

Wyjątkowa instytucja, jaką jest armia, za pomocą urzędowych nakazów i brutalnego przymusu prawnego zdołała poskromić lub stłumić niemal wszystkie skażone ludzkie popędy i przypadłości - od nierówności społecznych po rasową i religijną nietolerancję, wrodzoną Amerykanom skłonność do braku dyscypliny, lenistwa i nieposłuszeństwa. Wyślijcie nam swoich bigotów, snobów i niechlujnych punków, a zrobimy im porządek w tych pokręconych łbach i zwrócimy jako wzorowych obywateli pełnych tolerancji, cnót obywatelskich i samodyscypliny albo oszustów, którzy świetnie udają, że mają te cechy.

Przyciągania płci nie udało się jednak ujarzmić nawet najbardziej Orwellowskim

programom i grom umysłowym uprawianym przez armię. Chociaż od uchwały Kongresu nakazującej integrację płci minęło trzydzieści lat, okres rui nie ustał - w dalszym ciągu dochodzi do zdrady w wojskowych małżeństwach, do faworyzowania ze względu na płeć, do seksualnego szantażu, podglądactwa, gwałtów i innych czynów, których może się dopuścić dwoje lub więcej podnieconych seksualnie ludzi. Chociaż współczesny mundur polowy jest workowaty i bezkształtny, i jest takim afrodyzjakiem jak cios kolanem w krocze, rozpalona męska wyobraźnia wypełnia puste miejsca i do głosu dochodzą prymitywne instynkty.

Mówiąc wprost, wiedziałem, że odczuwam do niej pociąg. Zdawałem sobie również sprawę, że z jakiegoś powodu mogłem być dla niej atrakcyjny. Oczywiście nie lubię podrywać dziewczyn, które są już z kimś związane. Związki międzyludzkie są trudne bez dodatkowych komplikacji. Przyznam jednak szczerze - nie jest to moja żelazna zasada.

Postanowiłem wykreślić wyraźną granicę, bo jej kawaler służył krajowi w mundurze, za morzem, gromiąc naszych wrogów na obszarze działań wojennych. Ot, taki patriotyczny gest. W końcu na froncie domowym można przynajmniej trzymać łapy z daleka od bielizny ich kobiet. Na dodatek jej narzeczony miał broń i wiedział, jak się nią posługiwać.

Najwyraźniej także Bian zrozumiała, że znaleźliśmy się na niepewnym gruncie, ponieważ natychmiast zmieniła temat rozmowy na bezpieczniejszy. Na chwilę odwróciła wzrok.

- Dlaczego Ameryka utraciła wolę dalszego zaangażowania w Wietnamie? Zginęło pięćdziesiąt osiem tysięcy żołnierzy. Setki tysięcy odniosło poważne rany.

- Ponieważ ktoś w końcu zapytał: „Dlaczego mielibyśmy mieć pięćdziesiąt dziewięć tysięcy ofiar?”.

- Mimo to... ponieśliście ogromne koszty. Jak mogliście zrezygnować?

- To pytanie, na które w dalszym ciągu szukamy odpowiedzi. Myślę, że o tym wiesz.

- Odpowiedź jest bardzo ważna.

- Może dla ciebie. Dla większości z nas wojna skończyła się trzydzieści lat temu.

Zmarli zostali pogrzebani i oplakani. Tym, którzy przeżyli, postawiono pomniki. Dla większości Amerykanów to krótki i kłopotliwy rozdział w długich dziejach.

- Płytką odpowiedź.

- Zgoda. Jestem płytkim facetem. Odłożyła widelec i spojrzała mi w oczy.

- Nieprawda. Chociaż znam cię tylko jeden dzień, wiem, że... jesteś bardziej głęboki i spostrzegawczy, niż się wydajesz.

- Zjedz swoją rybę. Uśmiechnęła się.

- Hej, przecież nie powiedziałam, że jesteś wrażliwy.

- Tylko dlatego jeszcze żyjesz.

Dokończyła moje piwo, więc otworzyłem drugą puszkę.

- Byłam wśród tych, którzy doświadczyli konsekwencji tej decyzji. Z jej powodu straciłam ojca. Omal nie utraciłam matki. Rozejrzyj się wokół... widzisz, jaką przyszłość jej zgotowała?

- Czy twoja matka jest szczęśliwa?

Powtórzyła moje pytanie, a następnie pomyślała przez chwilę.

- Otworzyła wietnamską restaurację i po trzydziestu latach ledwie mówi po angielsku.

Co to oznacza?

- Nie chce tu umrzeć.

- Tęskni za ojczyzną. Jej siostra prowadzi dom dziecka niedaleko miasta Ho Chi Minh. Razem z matką wysyłamy jej każdego zaoszczędzonego centa. Ten chłopak, który jej pomaga... przyjechał stamtąd.

- Jesteś rozgoryczona?

- Ja... nie. Moje życie to historia ze szczęśliwym zakończeniem. Przystosowałam się do Ameryki, a Ameryka do mnie. - Najwyraźniej miała już dość tego tematu, bo zapytała: - A Irak. Sądziś, że historia się powtórzy?

- A powinna?

- Cóż, można wskazać oczywiste podobieństwa... historyczne analogie.

Wyjąłem puszkę z jej ręki.

- Każda wojna jest inna. Jediną cechą wspólną jest to, że każda jest do dupy i że giną dobrzy ludzie.

- To zbyt uproszczenie.

- Nie, jeśli wśród zabitych znajdziesz się ty lub osoba, którą kochałaś.

- Wiem, o czym mówię. Wielu ludzi uważa, że wojnę w Iraku rozpoczęto z niesłusznych powodów, że rząd nas okłamał. Ta wojna ciągnie się zbyt długo, spowodowała zbyt wiele ofiar... nie jest tak, jak się spodziewano lub przepowiadano. Sprzedawano nam ją jako krótkotrwałą i prostą, a okazała się skomplikowana i krwawa. Nie sądziś, że bardzo przypomina Wietnam?

- Wietnam był dawno temu. Teraz są inne czasy, inny świat. Ameryka się zmieniła.

Wtedy kraj był wewnętrznie rozbity - czarni walczyli z białymi, młodzi ze starymi, przedstawiciele establishmentu z liderami nowego porządku. Zagmatwana wojna poza granicami kraju przelała kielich goryczy.

Odniosłem wrażenie, że było to coś więcej od przypadkowego przekomarzania. Bian potwierdziła moje przeczucia.

- A jeśli odkryjemy, że Clifford Daniels zrobił coś naprawdę złego? Lub piramidalnie głupiego?
- spytała.

- Na przykład?

- Nie mam pojęcia. Pomyśl, w co był zaangażowany. Gdzie i z kim pracował. -

Zabrała mi piwo i wypić do końca, oddając pustą puszkę. - Ta sprawa działa mi na nerwy.

- Ta sprawa denerwuje wielu ludzi. Dowiemy się, czego trzeba, i na tym koniec.

Nasze zadanie nie polega na kalkulowaniu lub ograniczaniu politycznych skutków afery.

- Jesteś tego pewny?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo zadzwoniła moja komórka. Wyciągnąłem aparat z kieszeni i otworzyłem klapkę. Phyllis bez zbędnych wstępów oznajmiła:

- Przyjeżdżaj natychmiast.

- Dokąd?

- Do mojego biura. Rozszyfrowali pliki. - Westchnęła głęboko i dodała: - Jest... jest gorzej, niż sądziliśmy.

Rozdział trzynasty

Bian jechała za mną w swojej uroczej mazdzie miata - maserati biednych dziewczyn.

Włączyłem radio, aby wysłuchać wiadomości o dwudziestej.

Prezenter przedstawił wyniki ostatniego sondażu poparcia dla kandydatów startujących w najbliższych wyborach prezydenckich. Kampania szybko nabierała tempa.

Sondaż, podobnie jak dziesięć poprzednich, wskazywał, że naród jest niemal równo podzielony, a wybory odbędą się zbyt szybko, by przepowiedzieć wynik.

Zadowolony rzecznik prezydenta scharakteryzował wyniki jako druzgocące zwycięstwo swojego obozu, ponieważ po blisko czterech lata panowania jego szef zdołał wkurzyć jedynie połowę elektoratu.

Równie pewny siebie rzecznik głównego kontrkandydata wykorzystał przysługujący mu czas antenowy, aby obwieścić bliski triumf swojego przełożonego, ponieważ nawet po dwóch latach energicznie prowadzonej kampanii połowa elektoratu nadal nie zdawała sobie sprawy, jakim ten jest śmierdzeniem.

Istnieje jednak możliwość, że źle zrozumiałem ich słowa.

Różnica pomiędzy dwoma głównymi kandydatami była tak nieznaczna, że do zwycięstwa wystarczyłby najmniejszy polityczny błąd przeciwnika. Zastanawiałem się, czy wielki człowiek zasiadający w Gabinetcie Owalnym został już powiadomiony o śmierci Clifforda Daniela. Przypuszczalnie tak. Pomyślałem też, że pewnie gdzieś w piwnicy Białego Domu jacyś smutni faceci ślęczą po nocach.

Następna wiadomość była bardziej zwięzła i pobieżna: w mieście rządzone przez szyitów, w położonej na południe od Bagdadu Karbali, wybuchł samochód-pułapka, zabijając sześćdziesiąt osób i raniąc ponad trzydzieści. W innym miejscu na północ od Bagdadu zginęli trzej żołnierze piechoty morskiej zabici przez bombę ukrytą przy drodze. Później pospiesznie przedstawiono prognozę pogody - w najbliższych dniach miało być chłodno i deszczowo - co potwierdzał obraz oglądany przez przednią szybę i mój nastrój.

Analizując niedawną rozmowę z Bian, doszedłem do wniosku, że ja również przywykłem do powtarzających się wiadomości o śmierci i zniszczeniu w Iraku, a nawet na nie zobojętniałem. Trochę przypominało to chińską torturę wodną - albo zignorujesz nieprzerwane kapanie, albo doprowadzi cię do szaleństwa.

Jeśli chodzi o Bian, która służyła w Iraku, straciła kilku swoich ludzi i miała tam narzeczonego, zaangażowanie emocjonalne było znacznie większe. Dla niej obojętny stosunek do wiadomości z frontu nie wchodził w grę. Nie wchodził też w grę dla kilkuset tysięcy innych rodzin i narzeczonych, którzy przez kilka następnych dni będą drżeli ze strachu na dźwięk dzwonka do drzwi, obawiając się, że ujrzą na progu oficera piechoty morskiej z tragiczną wiadomością, że jeden z zabitych marines był im bardzo bliski.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, Will i John rozgościli się już wygodnie w gabinecie Phyllis. Podobnie jak trzeci facet, którego mama musiała znać tatusia Willa - ich podobieństwo było przerażające.

Phyllis przedstawiła nas nieznanemu, którym okazał się Samuel Elkins z Biura Zewnętrznego Wsparcia Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, cokolwiek mogłoby to oznaczać.

Samuel - nie Sam, co wyraźnie podkreślił - poświęcił kilka chwil, aby wyjaśnić Bian i mnie, w jaki sposób zarabia na życie. Kogo to obchodzi? W końcu zasugerował:

- Proponuję, abyśmy usiedli. Przedstawię, co odkryliśmy. Uczyniliśmy, jak kazał.

Na środku stołu konferencyjnego dostrzegłem dwie imponujące sterty papieru, każda grubości około siedmiu centymetrów. Trzecia sterta piętrzyła się przed Phyllis i sądząc po pozaginanych i krzywo ułożonych krawędziach, została już przejrzana i przeanalizowana.

Zanim Bian i ja zdążyliśmy zaspokoić ciekawość, musieliśmy wysłuchać obowiązkowej mowy-trawy pełnej pochwał pod własnym adresem.

Samuel podsumował odkrycie, oznajmiając:

- Mieliśmy dużo szczęścia. Znamy szyfr, którym posługiwał się Daniels. Patent należy do NEMOD - małej firmy z rejonu San Francisco.

Najwyraźniej rozmawiał już z Timem, ponieważ spojrzał w moją stronę.

- Oszczędzę wam szczegółów technicznych z wyjątkiem kilku najważniejszych.

- Moje ręce to śmiertelna broń. Ogranicz się do rzeczywiście niezbędnych.

Wszyscy zachichotali. Czasami bywam naprawdę zabawny.

- NEMOD tworzy i prowadzi bezpieczne konta dla swoich klientów - kontynuował

Samuel. - W zamian za sporą opłatę miesięczną wskazuje się innych członków grupy, a oni wysyłają im program szyfrujący i deszyfrujący. Wiadomości są przesyłane za pośrednictwem serwerów NEMOD wprost do abonentów sieci. System jest całkowicie niezawodny.

- To system zamknięty, prawda? - zapytała Bian. Samuel skinął głową.

- Właśnie dlatego możemy mówić o szczęściu z powodu tego laptopa. Nie ma innego sposobu wykrycia i odczytania jego e-maili. - Spojrzał na mnie. - Człowiek, który był właścicielem komputera, mógł pracować w kontrwywiadzie.

Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, kolego. Phyllis szybko przerwała tę linię dociekań.

- NEMOD świadczy usługi głównie dla sektora prywatnego. Nawiasem mówiąc, firma jest zobowiązana do zachowania tajemnicy na mocy umowy z klientami. Dyrektor naczelny zachował się rozsądnie po tym, jak odbyłam z nim krótką, przyjacielską rozmowę.

Samuel musiał być jej świadkiem, bo się roześmiał. Skinął głową:

- Kiedy Phyllis zrobiła facetowi nalot... kiedy odbyła z nim rozmowę, przestaliśmy im pliki NEMOD, a oni natychmiast je rozszyfrowali i odesłali nam drogą e-mailową.

Zniecierpliwiona podobnie jak ja Bian sięgnęła po leżące na stole dokumenty.

- Możemy to przejrzeć? - spytała.

Samuel skinął głową. Zaczęliśmy wertować całe mnóstwo wiadomości napisanych w języku angielskim, krótkich i rozwlekłych.

Czytając nagłówki, zauważyłem, że była to głównie korespondencja pomiędzy dwoma osobami: Krzyżowcem Pierwszym i Krzyżowcem Drugim.

Badająca drugą stertę dokumentów Bian, zauważyła:

- Z nagłówek wynika, że ich autorzy uważali się za spiskowców walczących o wolny Irak.

- Odnoszę podobne wrażenie.

Przeczytałem kilka listów. Każdy rozpoczynał się serdecznym pozdrowieniem, po którym następowała przyjacielska wymiana zdań, a następnie sprawy zasadnicze. Notatki miały charakter nieformalny, ich ton zaś wskazywał, że korespondujące osoby się znały, a nawet były dobrymi kumplami. Zwróciłem uwagę na dużą liczbę arabskich imion i nazw organizacji, co przypomniało mi zupę z makaronem „literki”.

- Znasz niektórych z nich? - zapytałem Bian.

- Tak, wielu. Większość odgrywa ważną rolę w życiu politycznym i religijnym Iraku.

W tym momencie Phyllis odwróciła się do Tima, Johna i Samuela.

- Jestem pewna, że wy trzej możecie znaleźć sobie coś lepszego do roboty.

Tim, John i Samuel nie sprawiali wrażenia urażonych, lecz zabrali swoje rzeczy i niezwłocznie wyszli. W gruncie rzeczy Phyllis wyświadczyła im przysługę i sędzę, że dobrze o tym wiedzieli. Gdyby ich później wezwano do sądu, mogliby uczciwie powiedzieć, że opuścili pokój, zanim dotarliśmy do prawdziwego łajna. Sean Drummond poszedłby razem z nimi, gdyby miał głowę na karku. Zgubiła mnie ciekawość. Tak jak nas wszystkich.

Czytałem dalej. Sądząc po języku i wyrażeniach idiomatycznych, listy Krzyżowca Pierwszego do Krzyżowca Drugiego zostały napisane przez Amerykanina - przypuszczalnie Cliffa Danielsa.

Krzyżowiec Drugi posługiwał się przyzwoitą angielszczyzną i miał bogaty zasób słów, jednak niekiedy mylił czasy - w każdym języku czasy to istne pole minowe - lub mieszał czasowniki z rzeczownikami, przeinaczył też kilka znanych zwrotów idiomatycznych.

Ergo, Krzyżowiec Drugi nie był rodowitym Amerykaninem, lecz człowiekiem, dla którego

angielski był drugim językiem.

Chociaż listy nie miały daty ani tematu, na podstawie ich treści można było wywnioskować, że pierwszych trzydzieści dotyczy tego samego okresu.

Pierwsze listy od Krzyżowca Pierwszego informowały Krzyżowca Drugiego o wydarzeniach i nastrojach w biurze sekretarza obrony, a czasami także w Białym Domu.

Kilka osób wymieniono z nazwiska - najbardziej znane rozpoznałem od razu. Najczęściej pojawiały się Hirschfielda i Tigermana.

Wzmianki miały zwykle formę prośby lub polecenia od Tigermana i/lub Hirschfielda - o konkretne informacje i opinie - lub zawierały instrukcje dla Krzyżowca Drugiego. Na przykład w jednym z pism autor przekazywał polecenie Hirschfielda, aby Krzyżowiec Drugi spotkał się z dwoma urzędnikami Tymczasowych Władz Koalicyjnych w Bagdadzie oraz skontaktował ich z różnymi szyickimi przywódcami z Karbali. W innym piśmie Tigerman nakazywał przelanie dziesięciu milionów dolarów z konta Krzyżowca Drugiego na konto podane w tekście. I tak dalej.

Najstarsze listy od Krzyżowca Drugiego zawierały bieżące doniesienia na temat sytuacji w Iraku, między innymi o jego działaniach zmierzających do zorganizowania oddziałów milicji - rekrutacji, zaopatrzenia, uzbrojenia, wyszkolenia i tak dalej - oraz postępach w tworzeniu własnego zaplecza politycznego.

Bian spojrzała na Phyllis.

- Domyślasz się, kim może być Krzyżowiec Drugi?

- Tak, to Mahmud Charabi - odparła lekko zniecierpliwiona. - Czytaj dalej.

Podzieliłem swoje kartki na dwie schludne części dotyczące Pierwszego i Drugiego Krzyżowca. Szczerze mówiąc, ich przekaz wydał mi się bardzo zagmatwany. Miałem wystarczająco wiele problemów z amerykańskimi nazwiskami. Nazwiska Arabów i członków wewnętrznego kręgu władzy w Waszyngtonie i Bagdadzie wirowały mi w głowie. Na dodatek większość notatek stanowiła odpowiedź na inne pisma, dlatego zyskiwały więcej sensu, gdy porównałem je ze sobą. Nie oznacza to, że stały się w pełni zrozumiałe, jedynie nieco bardziej sensowne.

Sytuację dodatkowo komplikował fakt, że zmianie ulegał ton, nastrój i postawa ukryta za słowami. Początkowo listy były utrzymane w lekkim tonie, lecz w miarę upływu czasu zaczynały wyrażać gniew i poczucie zdrady. Pomyślałem, że korespondencja pochodzi z drugiej połowy pierwszego roku okupacji Iraku. Posługujący się coraz bardziej soczystym językiem Daniels oskarżał Charabiego o przekazywanie wskazówek, obietnic i danych wywiadowczych, które okazały się nieprawdziwe. Zauważyłem kilka wzmianek na temat irackich magazynów i fabryk broni, które Charabi i jego kumple mieli zlokalizować przed inwazją. Wojska amerykańskie, które później przeszukały te miejsca, nie natrafiły na żadne ślady broni biologicznej, gazów bojowych lub napromieniowanych przedmiotów, które świeciły w ciemności. Kłopotliwa sprawa.

Charabi początkowo blefował, stanowczo zapewniając, że trzeba kontynuować poszukiwania, że dowody na pewno się znajdą. Ameryka i cały świat już niebawem poznają mordercze eliksiry i techniczne paskudztwa, których obecność przepowiadał wraz ze swoimi przyjaciółmi. W jednym z listów wypowiedział intrygujący aforyzm: "Wytrwałość jest matką wynalazku". Po pewnym czasie zmienił taktykę i zaczął

podkreślać, że działając w dobrej wierze, przekazywał jedynie to, co inni podawali mu za fakty.

Gdy dotarłem do połowy sterty, zaufanie i serdeczność, jaką dwaj mężczyźni początkowo się darzyli, uległa wyraźnemu osłabieniu. Wstępne pozdrowienia stały się zdawkowe, sarkastyczne i chłodne, a ton listów - znacznie bardziej formalny i rzeczowy, odbiegający od tonu swobodnej rozmowy. Głównym tematem korespondencji były trudne negocjacje, groźby i ostre odpowiedzi.

Charabi przypominał Danielsowi o osobistej roli, którą ten odegrał w amerykańskiej okupacji Iraku. Z kolei Daniels podkreślał, że bez amerykańskiej ochrony, pieniędzy i wsparcia Charabi byłby trupem.

Uderzył mnie jeszcze jeden fakt. Okres, z którego pochodziła wspomniana korespondencja, z grubsza odpowiadał zapisanym na twardym dysku listom Daniela do jego byłej żony, Teresy. Było oczywiste, że facet zaczął się szamotać niczym Ikar, rozpaczliwie poruszając topiącymi się w słońcu skrzydłami, aby pozostać w powietrzu. Czuł się zdradzony, wściekły, przytłoczony obrotami wydarzeń, rozgoryczony i agresywny.

Spojrzałem na zegarek. Była dziesiąta wieczór. Wstałem i rozprostowałem kości.

Phyllis sprawiała wrażenie zdumiewająco przytomnej, chociaż była dwukrotnie starsza ode mnie. Nienagannie ubrana, ze starannie ułożonymi włosami, wyglądała tak, jakby przed chwilą wypita filiżankę napoju czekoladowego.

Także Bian sprawiała wrażenie zdumiewająco świeżej i energicznie wertowała swoją część dokumentów. Skoncentrowana przeglądała strony niczym prawdziwy łakomczuch.

Może był to skutek rybnej diety. Może także Phyllis odżywiła się rybami.

Widząc, że wstałem, Phyllis zapytała:

- Co o tym sądzisz?

- Daniels pisze jak facet, który odkrył, że brat posuwa mu żonę? Zignorowała moje nieco szorstkie porównanie i ponowiła pytanie:

- Czy rozumiesz to, co czytasz?

- Czy chcę zrozumieć? - odpowiedziałem półzartem. Przyglądała mi się uważnie przez dłuższą chwilę:

- Później będzie czas na wyjaśnienia. Koniec przerwy. Usiądź i skończ lekturę.

Nawiasem mówiąc, Phyllis ma hiobową wytrwałość i cierpliwość. Moi rodzice w miarę upływu czasu coraz mniej się hamują. Nie oznacza to, że noszą pieluchy, ślinią się lub coś w tym rodzaju - po prostu paplają, co im ślina na język przyniesie. Niekiedy bywa to bardzo irytujące. Na przykład moja matka zawsze, gdy do mnie dzwoni, pyta: „Czy nadal nie mam wnuków?”, na co nieodmiennie odpowiadam: „Na pewno nie masz takich, które nosiłyby twoje nazwisko”. Ojciec uważa, że to bunt z mojej strony, a mama sprawdza, czy mają jeszcze szansę na adopcję.

W każdym razie Phyllis sprawiała wrażenie dziwnie spiętej, może trochę wzburzonej, a jej cierpliwość wyraźnie się kończyła.

Jakieś pięć minut później Bian westchnęła.

- Jasna cholera.

- Cóż... mamy przynajmniej tyle - skwitowała Phyllis.

Bian trzymała przed sobą kartkę, wpatrując się w nią oczami szeroko otwartymi ze zdumienia.

Przysunęła japo stołowi w moim kierunku. Autorem listu był Charabi. Pismo rozpoczynało się od jednego ze stale powracających tematów - narzekania na nieudolność amerykańskich wojsk okupacyjnych. W połowie natrafiłem na następujący fragment.

Jak widzisz, moja sytuacja stała się bardzo niepewna i niebezpieczna. Szyccy bracia przestali mi ufać. Sadr i Sistani odsunęli mnie od władzy jako tchórzliwego ekspatrianta, który uciekł z kraju w najgorszym okresie rządów Saddama, a teraz pracuje dla Amerykanów i nie jest lojalny wobec własnego kraju. Ludzie, których spotykam na ulicach, nazywają mnie amerykańską marionetką, wazeliniarzem, który podlizuje się Pentagonowi. Inne określenia są zbyt obrzydliwe, aby o nich wspominać. Wszystko to jest godne ubolewania i niestychanie uwłaczające. Zaistniała sytuacja stanowi dla mnie poważny problem, musisz też zdawać sobie sprawę, że jest to wielki

problem dla ciebie, mój bracie. Ameryka jest krajem, który zajmuje drugie miejsce w moim sercu, jestem również pewny, że nie moglibyście wymarzyć sobie lepszego przywódcy dla Iraku. Kiedyś byłeś o tym przekonany, dlatego modłę się, abyś nadal tak uważał. Wiem, że tracę twoje zaufanie, jeśli jednak spojrzysz w głąb własnego serca, stwierdzisz, iż nadal jestem dobrym przyjacielem.

Porozumiałem się z przyjaciółmi, o których ci wcześniej wspomniałem - Irańczykami z Teheranu, którzy nie lubią Sistaniego i Sadra. Mają kontakty w irańskim wywiadzie i obiecali, że mogą się wymienić informacjami, które mają ogromne znaczenie dla mnie, dla ciebie i dla nich. Pragnę ponownie zdobyć twoje zaufanie, dlatego wiem, że muszę ci przekazać coś, dzięki czemu odzyskasz przychyłność Thomasa i Alberta.

Przykro mi z powodu kłopotów, których ci przysporzyłem. Powinieneś pamiętać, że to nie ja doprowadziłem do bardzo niezręcznej sytuacji, która wynikła z powodu fałszywych informacji wywiadowczych i niespełnionych obietnic. Winni są ludzie, którym ufałem - ludzie, których niejednokrotnie znałeś osobiście i darzyłeś zaufaniem.

Przyjaciele w Teheranie zapewniają mnie, że dysponują informacjami, które będą miały dla ciebie ogromną wartość - okażą się cenne dla waszych żołnierzy, a także dla ciebie, mojego długoletniego przyjaciela.

Niestety nalegają, abym przekazał im coś w zamian - informacje o równie doniosłym znaczeniu. W końcu ten świat przypomina bazar - aby coś otrzymać, trzeba dać coś w zamian.

Pozostawiam tobie i twojej błyskotliwej inteligencji zdecydowanie, co możemy zaoferować moim irańskim przyjaciołom. Szkoda, że nie możemy o tym swobodnie porozmawiać przez telefon, nie będąc podsłuchiwanymi przez wasz rząd. Uwierz mi, że to, co mają nam do zaoferowania, znacznie przekracza twoje najśmielsze wyobrażenia.

Bian podała mi kilka innych kartek zawierających pytania i odpowiedzi zmierzające do uzgodnienia warunków wymiany. Listy Daniela były pełne gniewnych narzekań, że Charabi oszukał go w przeszłości, zniszczył mu zawodową reputację i sprawił, że przełożeni, Tigerman i Hirschfield, go zwolnią, jeśli nie rozwiąże zaistniałej sytuacji. Argumentację Daniela można by podsumować w następujący sposób: to Charabi wpakował go w tarapaty, dlatego powinien mu wyświadczyć cenną przysługę, dostarczyć czegoś, co radykalnie zmieni jego położenie. Powinien spłacić zaciągnięty dług, nie stawiając żadnych warunków.

Pomyślałem, że Daniels niepotrzebnie zdradził, jak rozpaczliwe jest jego położenie, a Charabi to wyczuł i sprytnie wykorzystał. W kolejnych listach Irakijczyk uparcie twierdził, że musi dojść do wymiany informacji, coraz głębiej zarzucając sieć. Obiecywał, że przekaże dane wywiadowcze, które uczynią z Daniela wielkiego bohatera, że dostarczy mu złotą kulę, która pozwoli osiągnąć wielki sukces amerykańskiemu wywiadowi i przywróci Daniela do łask.

Spojrzałem na Bian.

- Znasz sytuację panującą w Iraku. Kiedy to napisano? - spytałem.

- Kiedy? Mogę jedynie zgadywać. - Odniosłem wrażenie, że przez chwilę się zastanawia. - Pięć... może sześć miesięcy temu. Na wiosnę, podczas powstania szyitów.

Phyllis wstała i ruszyła w kierunku swojego biurka.

- Prawie zgadłaś - powiedziała. - Czy zdajecie sobie sprawę z wagi tego listu? -

Ponieważ daliśmy do zrozumienia, że nie, podniosła ze stołu kartkę i oznajmiła: - Nie znajdziecie tego w swoich papierach. - Sekundę później dodała: - Usunięto z nich także kilka innych notatek. W jednej z nich Charabi ujawnia Danielsowi zawartość swojej oferty. -

Zrobiła teatralną pauzę, po czym kontynuowała: - Utrzymywał, że wywiad irański ma informacje na temat miejsca pobytu czołowych przywódców najbardziej groźnego, radykalnego skrzydła

sunnitów. Dane miały zostać przekazane dopiero po ujawnieniu przez Daniela, co ma do zaoferowania Irańczykom. Za chwilę pokażę wam ostateczną propozycję Daniela.

Po tych słowach podała Bian kartkę. Ta zapoznała się z jej treścią i przysunęła ją w moim kierunku. Był to wydruk wieloznacznego e-maila, który Daniels wysłał do Charabiego: *Powiem bez ogródek, jeśli mnie wystawisz, jesteś martwy. Nie jest to pusta groźba.*

Postawiłem wszystko na jedną kartę. Jeśli mnie oszukasz, nie żyjesz. Sprawa jest prosta.

Chciałeś czegoś ważnego, czegoś, co może mieć ogromne znaczenie dla Irańczyków.

Mam coś takiego. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego złamała szyfr, którym posługuje się irański wywiad. Od początku wojny znamy ich największe sekrety.

Jestem pewny, że zdajesz sobie sprawę, jak ważna jest dla nich ta informacja. Wiem też, że rozumiesz, co by się stało z tobą i ze mną, gdyby ktoś się dowiedział, że otrzymali tę informację ode mnie.

Zauważyłem, że ktoś wyciągnął czarodziejski marker i zamalował lub, posługując się językiem Agencji, zredagował dziesięć kolejnych linijek. Byłem ciekaw, co zawiera niewidoczny fragment. Czasami robi się to w celu ochrony ważnego źródła informacji, częściej dla ochrony jakiejś rządowej instytucji, aby oszczędzić jej wstydu lub ukryć, że coś spieprzyła. Żałuję, że nie mogę postąpić podobnie z pewnymi fragmentami własnego życia.

Bian wpatrywała się w drugi koniec konferencyjnego stołu.

- Czy zdajecie sobie sprawę, co zrobił ten drań? - wymamrotała, siedząc jak skamieniała.

Phyllis najwyraźniej nie miała co do tego żadnych wątpliwości, podobnie jak my wszyscy. Daniels dopuścił się zdrady. Aby ratować swoją podupadającą karierę, Cliff zdradził

wrogiemu krajowi pilnie strzeżoną tajemnicę, wyrządzając ogromną szkodę ojczyźnie. Nie byłem pewny, czy wszystko zrozumiałem, nie wiedziałem też zbyt wiele na temat tego regionu, aby dokonać pełnej analizy przekazanej informacji. Jednak stało czarno na białym, że w zamian za nazwiska terrorystów Clifford Daniels zdradził Charabiemu, a zatem również Irańczykom, informację o tym, że potrafimy rozszyfrować i odczytać ich najbardziej drażliwą korespondencję. Na dodatek trudno było to uznać za dobry interes. Według mnie Cliff Daniels był nie tylko zdrajcą, lecz skończonym głupcem.

Zamiast odpowiedzieć na pytanie Bian, Phyllis zwróciła się do mnie:

- Oddaj mi tę kartkę.

Uczyliem to w przekonaniu, że nigdy nie ujrzy dziennego światła.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Przypuszczam, że byliśmy zbyt zaszokowani i zamyśleni.

Nie wiedziałem, co chodzi po głowie Phyllis, miałem jednak przecucie, a raczej, zważywszy na okoliczności, spóźnioną refleksję, że gdy tego ranka wysyłała mnie do mieszkania Daniela, oczekiwała, iż sprawy przybiorą taki obrót.

Może niedokładnie tak było, lecz z pewnością wiele się nie myliłem.

Jeśli chodzi o Bian, byłem pewny, że myśli o tym samym co ja. Clifford Daniels miał szczęście - ktoś dopadł go przed nami. Kiedy byśmy z nim skończyli, uznaliby kulkę w łeb za gest miłosierdzia.

Phyllis wstała i podeszła do drzwi.

- Jest tu ktoś, kto wam wszystko wyjaśni - rzekła złowieszczym tonem.

W normalnych warunkach skrupulatna praca detektywistyczna oraz cuda współczesnej kryminalistyki i medycyny sądowej pozwalają cofnąć się od skutków przestępstwa do samego przestępstwa. Można zrekonstruować przebieg wydarzeń, przeanalizować okoliczności i połączyć ze sobą poszczególne ślady, aby z części powstała całość - całość będąca człowiekiem o konkretnym

nazwisku, osobą, której palce pozostawiły wymowne ślady, w której skórę zagłębiły się paznokcie ofiary zrzuconej z balkonu na chodnik leżący dwadzieścia pięter niżej.

Jeśli przestępstwo jest biurokratycznym przekrętem, mamy do czynienia z zupełnie innym rodzajem dowodów. Aby przejść od A do Z, trzeba podążyć innym torem - bardziej zakrzywionym - najpierw od M do Z, a następnie od A do M, aby w końcu zatoczyć pełne koło. Zamiast zwłok i śladów kryminalistycznych mamy długi ciąg dokumentów, słów, myśli i wyrażeń, które łącznie odsłaniają uczynek - przestępstwo.

Bian i ja wiedzieliśmy już, jaki charakter ma popełnione przestępstwo, znaleźliśmy tożsamość sprawcy, a nawet dysponowaliśmy wstępnym motywem: Clifford Daniels dopuścił się zdrady z czystej głupoty podsyconej niepohamowaną ambicją. Trzeba było jeszcze rozwiązać zagadkę jego morderstwa, które nagle stało się najmniejszym z naszych problemów, chociaż przypuszczalnie było z nimi związane.

Pewne grzechy wydają się cięższe od innych, chociaż stanowią naruszenie tego samego przykazania. „Nie zabijaj”. Zdefiniowaliśmy wszystkie odcienie i niuanse tego morderczego czynu: morderstwo pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia, nieumyślne spowodowanie śmierci i tak dalej. Kiedy zabójstwo stanowi element rzezi, kiedy jest fragmentem większej całości, jedną tysięczną lub jedną milionową, żadne z określeń nie wydaje się właściwe - wszystkie stają się zbyt tolerancyjne, zbyt płytkie moralnie, zbyt nieprzystające do rzeczywistości.

Tak było w tym wypadku. Wiedzieliśmy to oboje. Niczym Alicja zaglądnąca do króliczej nory ujrzeliśmy głupca w śmiesznym kapeluszu, walących w bęben Tweedleduma, Tweedledee i kota z Cheshire. Spojrzałem na puste krzesło Phyllis, zastanawiając się, jaka rola przypadła w udziale zwariowanej królowej.

Bian przekręciła się na krześle.

- Jeszcze chwila, a nabawię się paranoi - oznajmiła.

- Chcesz wyjść?

- Nie, a ty?

- Tak, tylko że teraz jest już za późno. Po chwili zapytała szeptem:

- Phyllis... czy mogę jej zaufać?

- To wykluczone. Spojrzała na mnie.

- Ufasz jej? Zadała trudne pytanie.

- Czasami.

- Czy ufasz jej tym razem?

- Tym razem nasze cele mogą być rozbieżne.

- Dlaczego?

- Ponieważ pomiędzy administracją rządową i CIA jest zła chemia. Jestem pewny, że czytałaś w gazetach pogłoski i plotki.

- Czytałam. - Przerwała na chwilę, aby się nad tym zastanowić.

Dałem jej kilka sekund do namysłu, a następnie powiedziałem:

- Słyszałaś o polowaniu na winnych, poszukiwaniu tych, którzy nie zapobiegli jedenastemu wrześniu. Wiesz, że Biały Dom i Pentagon obarczyły winą Agencję. Teraz ci z Kapitolu prowadzą śledztwo, aby ustalić, w jaki sposób irackie służby wywiadowcze zdołały przeniknąć naszą sieć. Administracja już wskazuje winowajców. Podobnie jak Pentagon. Ci z Langley są wkurzeni.

- Chyba nie chodzi o jakąś biurokratyczną wendetę?

- Myślę, że wszystko, co widzieliśmy, jest autentyczne. Teraz musimy się jedynie zastanowić, dlaczego pozwolono nam to zobaczyć.

Spojrzała na mnie w milczeniu.

- Myślę, że od tego, co w tej sprawie zrobimy... jaki sposób podejścia obierzemy... -

W tym momencie otworzyły się drzwi i musiałem przerwać w pół zdania.

Rozdział czternasty

Do pokoju weszła Phyllis, prowadząc za sobą nieznanego mężczyznę.

- To Don - poinformowała Bian i mnie. Odniosłem wrażenie, że Don zapodział gdzieś swoje nazwisko.

Facet przeszedł na drugą stronę pokoju i uściśnął mi dłoń, a następnie wymienił uścisk dłoni z Bian. Zauważyłem, że jej rękę trzymał kilka sekund dłużej.

Miał około metra dziewięćdziesięciu i poruszał się sprężystym krokiem. Liczył z grubsza tyle samo lat co ja, miał gęste, zaczesane do tyłu czarne włosy i był całkiem przystojnym gościem, jeśli ktoś lubi ten typ.

Oczywiście, wcale nie nazywał się Don.

- Gdzie pracujesz? - zapytałem Dona. Uśmiechnął się i odrzekł:

- Tam gdzie ty. W Agencji. To wszystko, co musisz wiedzieć. Abstrahując od urzędasów i funkcjonariuszy z politycznej nominacji spełniających funkcję kontrolną, ludzie CIA są analitykami lub agentami operacyjnymi. Ogólnie rzecz biorąc, analitycy mają niepozorny wygląd - przypominają mole książkowe, wyglądają inteligentnie i, bez urazy, noszą się na modłę profesorów uniwersyteckich. Oprócz tego mają zwykle jakieś nazwisko.

Don miał na sobie niebieski garnitur z wełny i kaszmiru skrojony przez krawców z londyńskiego Savile Row, czarne lśniące włoskie mokasyny i gruby, po mistrzowsku zawiązany różowy krawat z jedwabiu z dopasowaną różową chusteczką w kieszonce.

Wiadomość dla Dona: Prawdziwy facet nie musi nosić różowego krawata.

To, że wydawał dużo forsy na ciuchy, było drugą wskazówką.

Ubiór zdradzał jego ogólną postawę - pełną pewności siebie i wyrachowania. Na dodatek brązowe oczy tego gościa spoglądały lodowato.

Wielu agentów operacyjnych sądzi, że wywiera nieodparty wpływ na kobiety, chociaż przypuszczalnie poczułem się lekko dotknięty sposobem, w jaki ujął dłoń Bian. Wiecie, narzeczony biednej dziewczyny walczył wręcz z bandą żądnych krwi bojowników dżihadu w jakimś mrocznym zaułku Bagdadu, a Napalony Don próbował dobrać się jej do majtek.

Dupek.

W każdym razie Don usiadł u szczytu stołu, a Phyllis powróciła na fotel za biurkiem.

Moja szefowa wymieniła garść faktów na temat Dona: studiował arabistykę na jednym z uniwersytetów Ivy League, zrobił oszałamiającą karierę, mógł z niewielką pomocą przeskoczyć wysoki wieżowiec i tak dalej.

Krótką prezentację zakończyła słowami:

- Don ma bogate doświadczenie związane z Irakiem, sięgające pierwszej wojny w Zatoce Perskiej. Jest cenionym ekspertem, który zna osobiście Mahmuda Charabiego. - Po krótkiej przerwie dodała: - Sporadycznie współpracował z Cliffordem Danielssem.

Don zbył tę prezentację szelmowskim, obojętnym uśmiechem. Gdyby Phyllis poinformowała nas, że jest pozbawionym jaj idiotą o mózgu wielkości ziarnka grochu, prawdopodobnie zareagowałby podobnie.

Kiedy przyszła jego kolej, spojrzał na Bian i na mnie, a następnie oznajmił:

- Byłem przeciwny tej rozmowie. Czy to jasne? Dyrektor wydał takie polecenie...

więc... - Pozwolił, aby upłynęła dłuższa chwila, a następnie ciągnął: - Powiem wam tyle, ile

uznam, że musicie wiedzieć.

- Po czym poznasz, ile musimy wiedzieć, Don? - zapytałem przytomnie.

- Będę to wiedział. Uśmiechnąłem się do gościa.

- Jeśli poruszymy jakąś sprawę kłopotliwą dla Agencji, nie poinformujesz nas o niej?

Oczywiście Don nie odpowiedział ani słowa. Spojrzał na mnie pozbawionym wyrazu wzrokiem i zasugerował:

- Moglibyśmy od razu przejść do pytań?

- Dobrze. Czy mamy do czynienia z jakąś cholerną rozgrywką pomiędzy Agencją i Pentagonem związaną z wojną w Iraku?

- Istnieją różnice zdań między Agencją i Pentagonem w różnych kwestiach. Kto ma sprawować kontrolę nad wywiadem? Ile wysiłku Agencja powinna wkładać we wspieranie żołnierzy, a ile w popieranie polityków? Od tego się zaczyna. - Na jego twarzy pojawiła się zgrabna replika uśmiechu.

- To się nigdy nie kończy.

- Zapomniałeś wspomnieć o Iraku. Uśmiech zniknął.

- Musisz być bardziej konkretny.

- W porządku. Czy istnieją różnice zdań pomiędzy CIA a Departamentem Obrony w sprawie inwazji na Irak?

- Tak.

- Czy mógłbyś je scharakteryzować?

Uśmiechnął się ponownie, dając do zrozumienia: „Odpieprz się”. Odpowiedziałem uśmiechem i zadałem inne pytanie:

- Czy istnieją różnice zdań w kwestii magazynów broni chemicznej, które miały się znajdować w rękach Saddama?

- W tej kwestii, nawet w samej Agencji... tak, istniały... różnice zdań. Ogólnie panowała zgodność, że w Iraku może znajdować się zakazana broń, z zastrzeżeniem, iż nie jest to pewne.

- Możesz powtórzyć.

- Kupujący powinien mieć się na baczności. Tyle to oznacza, panie Drummond.

- Nie podcinasz gałęzi, na której siedzimy, Don? Prasa doniosła, że dyrektor osobiście zapewnił prezydenta, że Saddam ma broń chemiczną.

- Może tak, a może nie. Dyrektor nie jest Agencją. To jedynie jej tymczasowy symboliczny przywódca.

- Nadal czuję się zagubiony.

- Podobnie jak on - odparł, śmiejąc się. Najwyraźniej bawiło go własne poczucie humoru.

Nie odpowiedziałem śmiechem.

- Czy Agencję oskarżano o nieudolne działania wywiadowcze?

- Tak, w pewnych kręgach.

- Pewnych kręgach? Masz na myśli amerykańską opinię publiczną?

- Cóż... nasi przyjaciele z mediów stworzyli niefortunne wrażenie, że wina za to, co się stało, spada na Agencję. Dziennikarze mają własne problemy z wiarygodnością, nieprawdaż?

- W jaki sposób dziennikarze wpadli na ten pomysł? Nie odpowiedział.

- Mieli informatorów w Białym Domu? W Departamencie Obrony?

Także to pytanie pozostało bez odpowiedzi. Waszyngton stanowił prawdziwy róg obfitości z ponad tuzinem różnych organizacji wywiadowczych. Dla kogoś z zewnątrz mogłoby się to wydać przesadą lub absurdem - człowiek z wewnątrz wiedział, że to chore.

Wszystkie wspomniane agencje są rzekomo niezbędne z uwagi na to, że każda zajmuje się czym

innym, stosuje inne metody, przyjmuje odmienny punkt widzenia lub służy różnym panom mającym różne potrzeby.

Sytuacja przypominała średniowieczną Wenecję, w której spokrewnione rody żyły stłoczone na małej przestrzeni, nieufnie ze sobą koegzystując, wrażliwe na zniewagę, cierpiące na paranoiczną obsesję na punkcie własnej ziemi, prestiżu i istnienia. W takim miejscu nigdy nie można było wykluczyć politycznego zabójstwa lub otrucia.

Pomimo obfitości bogactw nagromadzonych przed wojną Tigerman i Hirschfield postanowili jeszcze je powiększyć, tworząc własną wewnętrzną służbę wywiadowczą. W tym celu sprowadzili Clifforda Danielsa z Agencji Wywiadu Obronnego jako członka założyciela.

Oficjalnym celem działania małej komórki było przetwarzanie danych wywiadowczych dostarczanych przez inne agencje, kwestionowanie, ponowne interpretowanie i badanie, czy nie pominięto czegoś istotnego, czy błędnie czegoś nie odczytano lub nie przeoczone.

Krytycy utrzymywali, że powołano ją w celu preparowania, modyfikowania i upowszechniania przetworzonych danych wywiadowczych, co miało usprawiedliwić inwazję i okupację.

Don o tym wiedział, a teraz wiedziałem o tym również ja. Polityczni stratedzy Pentagonu wpychali się na siłę do świata wywiadu. Wokół nas toczyła się zażarta biurokratyczna wojna - walka o dolary z podatków, o wpływy i reputację, a także o to, kogo obarczyć winą. Musiałem wiedzieć, po czyjej stronie opowiada się nasz rozmówca.

Właściwie już to wiedziałem, lecz chciałem jedynie, aby sam to przyznał. Kiedy wszyscy zaczną wygadywać bzdury, będziemy wiedzieli, skąd przyszedł.

Spojrzałem na Dona.

- Wszyscy wiemy, że Agencję uczyniono kozłem ofiarnym. Czy to cię nie wkurza?

- Osobiście? Dlaczego miałoby mnie to irytować, Drummond? To czysty interes.

Pieprzenie.

- W jaki sposób Charabi został człowiekiem Pentagonu?

- To długa i skomplikowana historia.

- Jesteś inteligentnym facetem. Przedstaw nam uproszczoną wersję.

- W porządku. - Uśmiechnął się dziwnie, jakby odmierzał w myślach rozmiar mojej trumny.

Jak już wspominałem, Don miał obsesję na własnym punkcie - właściwie był arogancki, a to niemal zawsze idzie w parze z nadwrażliwością. Wiedziałem, że przedstawi nam wersję, którą uzna za właściwą, chyba że wkurzę go na tyle, aby coś z niego wydobyć.

Uznałem go za chłodnego gościa, mistrza w prawieniu banałów, który zawsze zachowuje niewzruszony dystans. Miałem wrażenie, że nasza gra w kotka i myszkę sprawia mu przyjemność i że lubi pozostawać w centrum uwagi.

Przestał się uśmiechać.

- Charabi zgłosił się do nas po zakończeniu pierwszej wojny w zatoce. - Przerwał na chwilę, udając, że się zastanawia. - W końcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego... lub na początku dziewięćdziesiątego czwartego roku. Spotkałem się z nim osobiście.

- W jakim celu?

- Był to rodzaj negocjacji.

- Proszę mówić dalej.

- Zaproponował nam informacje wywiadowcze na temat sytuacji wewnętrznej Iraku.

Brzmiało to bardzo atrakcyjnie. Szczerze mówiąc, wspaniale. Zdobycie i utrzymanie wiarygodnych źródeł informacji w Iraku było... trudne. Wielu informatorów trafiło do piachu, co nie pomagało nam w pozyskiwaniu nowych współpracowników.

Przerwał na chwilę i spojrzął na Bian.

- Jego propozycja wydawała się obiecująca. Co się stało później? - zapytała.

- Oferta Charabiego była obwarowana warunkami. Na przykład musieliśmy obiecać, że wyzwolimy jego naród z niewoli tyrana.

- Sądziłam, że to nam na tym zależało.

- To prawda. Później. Wówczas, a nawet później, byliśmy... zaniepokojeni dodatkowymi warunkami Charabiego.

- Chciał, aby przekazać mu władzę? - spytała Bian. Don skinął głową.

- Chciał być królem. Utrzymywał, że cieszy się poparciem setek Irakijczyków, uchodźców i ludzi, którzy pozostali w kraju. Na dodatek chodziło o Irakijczyków... ludzi bardzo koteryjnych, klanowych. Pozyskasz jednego, a będziesz miał tuzin jego krewnych i współplemieńców. Wszyscy mieli gromadzić dane wywiadowcze, a po odejściu Saddama stać się jego zapleczem politycznym. Oprócz tego Charabi był szytą, podobnie jak sześćdziesiąt procent Irakijczyków.

Co więcej, był zeświecczonym szytą, a zatem człowiekiem, którego mogliby zaakceptować Kurdowie, a może nawet sunnici.

- Zważywszy na sytuację, taki życiorys musiał się wydać bardzo atrakcyjny.

- Wręcz doskonały. Dlatego... tak, wyraziłem zgodę na spotkanie - Po chwili dodał: -

Zabrałem ze sobą psychiatrę pracującego dla Agencji, który specjalizuje się w sporządzaniu szybkiego profilu psychologicznego zagranicznych przywódców. Facet jest w tym naprawdę dobry. Chcielibyście poznać jego ocenę?

- Jasne - mruknąłem.

- Charabi ma typową osobowość narcystyczną z silnymi skłonnościami do manipulacji.

Spojrzałem na Bian i wzruszyłem ramionami. Odpowiedziała tym samym.

Don, wyraźnie ubawiony naszą ignorancją, oznajmił z uśmiechem wyższości:

- Przetłumaczę ci to na zrozumiały język, Drummond. To egoistyczny dupek o gładkim języku, który sprzedałby cię za pięć centów.

- Masz na myśli siebie czy Charabiego? A może was obu? Rzucił mi przeciągłe twarde spojrzenie, a następnie zapytał Phyllis:

- Czy naprawdę muszę to znosić?

- Drummond chce z ciebie zadrwić. Nie zwracaj na niego uwagi, to przestanie - odparła nie bez racji.

Uśmiechnąłem się do Phyllis. Zignorowała mnie, więc przybrałem poważny wyraz twarzy, aby jej sprawić przyjemność.

- Nie mam pojęcia, jak to robicie - zagadnęła Bian. - Pewnie wcześniej prześwieciliście faceta, a błyskawiczna analiza psychologiczna stanowiła część całego procesu. Mam rację?

Don skinął głową.

- Czy wasz psychiatra odradzał układ z Charabim?

- Działamy nieco inaczej. On dzieli się ze mną swoimi spostrzeżeniami, a ja podejmuję decyzję. Przyznaję, że uznał Charabiego za kontakt wysokiego ryzyka. Mówiąc wprost, wyraził pogląd, że Charabi będzie realizował własne cele i postępował według własnych zasad, które uznał za szczątkowe i bardzo elastyczne.

Nawiasem mówiąc, kiedy Don zabierał głos, nie odrywał wzroku od Bian. Było jasne, że do głowy przychodzi mu różne kosmate myśli. Nawet psy w rui bardziej nad sobą panują i zachowują się z większym taktem niż ten facet.

Bian udawała, że jest tego zupełnie nieświadoma lub błędnie odczytywała zainteresowanie

Dona jako rodzaj intelektualnego pochlebstwa. Komunikat dla Bian -

facetowi nie chodzi o zgłębienie twojego umysłu.

Znam kobiety, które pragną tego rodzaju uwagi, inne nie robią nic, aby ją wzbudzić i są zatrważająco ślepe na takie sygnały. Nie chcę przez to powiedzieć, że Bian była naiwna lub niedoświadczona, spędziła jednak cztery lata w West Point, gdzie stosunek liczbowy mężczyzn do kobiet wynosi dziesięć do jednego. W takim środowisku zdominowanym przez facetów dziewczyna musi podnieść próg wrażliwości lub stać się seksualną hipochondryczką.

Chcąc skierować na siebie spojrzenie Bian, powiedziałem:

- Nie obaliłem żadnego obcego rządu, dlatego to, co usłyszałem, przerasta moje możliwości pojmowania. Czy nie była to rozsądna propozycja w zamian za obalenie Saddama?

- Na pierwszy rzut oka, tak... oczywiście... W pełni się z tobą zgadzam, Drummond.

Dwulicowy kłamca w zamian za psychopatę dokonującego mordów na masową skalę. Jasne.

Czemu nie?

- Właśnie o to cię zapytałem. Czemu nie?

- Zapoznałem się z jego życiorysem i uznałem, że facet nie jest... wiarygodny.

Dla większości ludzi wiarygodność kojarzy się z prawością charakteru i spolegliwością. Faceci z CIA kierują się zgoła innymi zasadami - przez wiarygodność bardzo często rozumieją to, czy będą gościa mieć w garści.

Ponieważ Bian nie miała doświadczenia w kontaktach z facetami z Agencji, uznała jego słowa za niejasne i zapytała:

- Możesz to wyjaśnić?

- Cóż... jak sądzisz, dlaczego Charabi uciekł z Iraku?

- W gazetach napisano...

- Wiem, co pisano w gazetach. Charabi popadł w polityczny konflikt z Saddamem i był zmuszony uciekać, aby ratować życie. Jak pani sądzi, majorze, od kogo się o tym dowiedzieli?

- Rozumiem. O czym Charabi zapomniał wspomnieć?

- W tamtym okresie Charabi pracował w bankowości. Był zwykłym referentem w Narodowym Banku Iraku. Nikim. - Don wypowiedział te słowa z uśmiechem. - Taki gość był

dla Saddama kompletnym zerem. Charabi i jego poglądy nie miały żadnego znaczenia.

- Jednak w późniejszym okresie Saddam podejmował wiele prób jego zamordowania.

Musiał mieć jakiś powód.

- W okresie rządów Saddama z Iraku wyjechały ponad trzy miliony ludzi. Wielu z nich było politycznymi przeciwnikami dyktatora. Nie starczyłoby mu kul do zgładzenia wszystkich. - Przerwał i spojrzał na Bian. - Jeśli podejmował taki trud, zawsze kierowały nim względy osobiste.

- Rozumiem.

- W dalszym ciągu się nie domyślacie, prawda? - Rzucił nam triumfujące spojrzenie i z uśmiechem wyższości komunikującym wiem coś, o czym wy nie wiecie" oznajmił: -

Charabi był malwersantem. Przelał blisko dwadzieścia milionów dolarów z osobistych kont Saddama na własny rachunek w Szwajcarii. Nie miało to nic wspólnego z polityką. Dla Saddama była to sprawa honoru, zasad.

- Zasad głoszących, że może rabować własny naród, wyprowadzając z kraju miliardy dolarów, lecz nikt nie może pozbawić go części łupu - zauważyła Bian.

Don roześmiał się i nagroził ją mrugnięciem.

- Trafna obserwacja. - Po chwili kontynuował swoją opowieść: - Oto inna obserwacja, którą z pewnością uznacie za interesującą. Po inwazji w pałacach Saddama znaleźliśmy kilkanaście taśm

wideo z filmem *Ojciec chrzestny*. - Przerwał na moment, po czym dodał: -

Można by odnieść wrażenie, że Saddam identyfikował się z tym bohaterem. Film Coppoli wywarł wpływ na jego obraz własnej osoby, zainspirował jego styl sprawowania władzy. To żalosne, prawda? Życie to sztuka naśladowania.

Interesująca uwaga, chociaż pozbawiona znaczenia.

- Powiedzieliście Charabicmu, że nie jesteście zainteresowani. Co się stało później? - zapytałem, powracając do tematu.

- W naszej branży nigdy nie mówi się „nie”. Pozostawiłem otwarte drzwi. -

Przypatrywał mi się przez chwilę. - W spotkaniu uczestniczył także Cliff Daniels, wówczas pracujący w dziale Iraku w DIA.

- Domyślam się. Dlaczego?

- Nasze agencje rywalizują o dobre źródła. Jako pierwsi wśród równych mamy zwykle pierwszeństwo wyboru. Czasami informatorzy, z których rezygnujemy, trafiają w ramiona przyjaciół z drugiej strony rzeki. Wystarczy chwila nieuwagi.

Kierując się przeczuciem, zapytałem:

- Czy twój spec od czubków dokonał przy okazji oceny osobowości Daniela?

Don zawahał się przez chwilę.

- Faktycznie, zrobił to. - Odniosłem wrażenie, że bawi go, iż poruszyłem ten temat.

Spojrzał na Bian. - Proszę wybaczyć słownictwo, lecz był to dla niego pieprzony ubaw. Nie ma pani pojęcia, jacy dziwni są ci goście.

Mrugnął do Bian, po czym ponownie zwrócił się w moją stronę i zapytał:

- Jak sądzisz, co o nim powiedział?

Pomyślałem, że facet zasługuje na to, aby wpompować mu pięć kilogramów saletry potasowej do cewnika. Na szczęście wiedziałem co nieco na temat Daniela - znałem historię jego życia z opisów Theresy, treść e-maili, które przysyłał jej po rozwodzie, i notatek do Charabiego.

- Typowa osobowość bierno-agresywna, prawda? - zapytałem. Początkowo pomyślałem, że poczuł się poirytowany moim przypuszczeniem.

- Facet nie był szczególnie trudny do rozszyfrowania. - Goń się, Don. - Szczerze powiedziawszy, należał do ludzi, od których na odległość czuć było ambicję i frustrację.

Próbował wyrzeć wrażenie na Charabim, podkreślał swoje znaczenie, błyskotliwość, umiejętność załatwienia różnych spraw.

Ponownie odwrócił się do Bian i zapytał:

- Jak pani sądzi, czym może się skończyć umieszczenie w jednym pokoju faceta o osobowości bierno-agresywnej z narcystycznym typem o silnej skłonności do manipulacji?

- To jak małżeństwo skojarzone w piekle - odparła Bian. Don roześmiał się po raz kolejny, najwyraźniej wolał jednak własne metafory, bo dodał:

- Miałem wrażenie, że obserwuję pijawkę poszukującą żywiciela. Daniels przypominał chodzącą ofiarę, a Charabi ogromny karambol na ruchliwej ulicy.

Wolałem porównanie Bian - nie składało się z tylu słów. Przypomniałem sobie o listach Krzyżowca Drugiego - zawierających mieszaninę cukierkowej serdeczności i sztucznych pochlebstw - pomyślałem, że oba porównania są trafne. Powiadają, że najbardziej niebezpieczny jest człowiek, który pragnie deprawować innych. Takim facetem był z pewnością zastawiający pułapkę Charabi. Daniels był tak pochłonięty własnymi ambicjami oraz zawodowymi i osobistymi frustracjami, że jego zdaniem różnica pomiędzy dobrem i złem sprowadzała się do tego, co było dobre dla niego.

- W jaki sposób zaaranżowano spotkanie? - zapytała Bian. Don odpowiedział

pytaniem na pytanie:

- Jak sądzisz, dlaczego uczestniczył w nim pracownik Agencji Wywiadu Obronnego?

- Dał nam chwilę do namysłu. - Kilka miesięcy wcześniej Albert Tigerman poznał

Charabiego na koktajlu w Georgetown. Możliwości, które zarysował Charabi, wywarły na nim ogromne wrażenie. Pomyślał, że warto nawiązać z nim kontakt. - Spojrzał na mnie znacząco. - Tak się dzieje, gdy do wywiadowczej roboty zabierają się amatorzy.

Duszną atmosfera wyższości, którą Don wytwarzał wokół siebie, zaczęła mnie wkurzać. W końcu rozmawialiśmy o tym, w jaki sposób kłamca i manipulant wkręcił się do naszej siatki wywiadowczej, jak wyprowadził nas w pole, podsunął fałszywe dane wywiadowcze i spowodował trudne do oszacowania straty.

Don powinien był odczuwać wyrzuty sumienia, a przynajmniej głębokie zakłopotanie z tego powodu. Niestety, w mniemaniu Dona był to jeszcze jeden dowód jego wirtuozerii.

Don był bystry, Cliff był idiotą. Mieliśmy do czynienia z grą o sumie zerowej, w której cała wygrana przypadła Donowi.

Chociaż wiedziałem, że nie powinienem tego robić, powiedziałem:

- Wiesz co? Nie mogę uwierzyć, że jeszcze tu pracujesz.

- Co to ma...

- Brałeś w tym udział od początku, Don. Czy interweniowałeś? Czy podjąłeś próbę rozdzielenia Charabiego i Danielsa?

- Co ty...

- Wyszedłeś z pokoju, wiedząc, że Clifford Daniels stanowi łatwą zdobycz dla tego krętacza. Pozwoliłeś, aby do tego doszło.

Don sprawiał wrażenie lekko zdezorientowanego tym oskarżeniem i gapił się na mnie tymi swoimi martwymi brązowymi oczami.

- Gadasz bzdury, Drummond. Nie jestem w najmniejszym stopniu odpowiedzialny za to, co się stało.

- Brednie. Po tym spotkaniu Daniels stał się zabawką Charabiego. Przez następną dekadę wysysał pieniądze z Pentagonu i korzystał z instytucjonalnego wsparcia Waszyngtonu. Co gorsza, powstał kanał, przez który mógł pompować swoje kłamstwa i oszustwa wprost do Gabinetu Ovalnego.

- Zapomniałeś o jednej rzeczy. Agencja nie kryła, że uważa Charabiego za niewiarygodne źródło. Przy wielu okazjach komunikowaliśmy to Białemu Domowi.

Zdecydowaliśmy się nawet na nietypowy krok, aranżując przeciek do prasy.

- Chroniliście własny tyłek, zamiast zapobiec katastrofie. Zapomnieliście o ochronie tyłka tego kraju.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. - Don spoglądał na mnie skupiony, żałując, że nie ma przy sobie broni.

- Dość tego - prychnęła Phyllis. - Celem naszego spotkania nie jest szukanie winowajców. Musimy ocenić poniesione straty i zastanowić się, jak je naprawić. - Po chwili namysłu poprawiła się: - Jeśli można jeszcze cokolwiek naprawić.

Phyllis miała rację. Popatrzyliśmy z Donem na siebie. Myślę, że było nam wstyd za ten pokaz złych manier, nie wspominając o tym, iż zapomnieliśmy o głównym temacie rozmowy. W końcu Don rzekł przepaszająco:

- Pieprz się.

- Ty też.

Właśnie pomyślałem, że naszemu spotkaniu przydałaby się mała przerwa na reklamy, gdy zadzwonił telefon Bian. Pani major ustawiła jedną z tych irytujących melodyjek.

Otworzyła klapkę i powiedziała: - Major Tran... ach, to ty, Barry. Pracujesz do późna...

Mam... poczekaj chwilę... - Spojrzała na mnie. - To detektyw Enders. - Popatrzyła na Phyllis i Dona: - Przepraszam na chwilę. - Ponownie rzuciła spojrzenie w moją stronę. - To ważne.

Musimy wyjść na chwilę.

Przypomniałem sobie, że oprócz śledztwa w sprawie przestępstw popełnionych przez Danielaś prowadzimy również dochodzenie w sprawie jego zabójstwa. Wstałem i ponownie przeszedłem w tryb postępowania od A do Z.

Rozdział piętnasty

Po wyjściu udaliśmy się wprost do kawiarni, gdzie znaleźliśmy dzbanek z kawą wypełniony do połowy brejowatym czarnym płynem. Kawa wyglądała tak, jakby zaparzone ją tydzień temu.

- Chcesz filiżankę? - zapytałem Bian.

- Chyba żartujesz - odpowiedziała, patrząc na mnie z przerażeniem. - Wygląda jak trucizna.

Poczułem, że ogarnia mnie senność, i wiedziałem, że bez zastrzyku kofeiny za chwilę odpłynę. Nalałem sobie tej cieczy do papierowego kubka, a gdy okazało się, że go nie przepaliła, pociągnąłem spory łyk.

- Hm... całkiem niezła.

- Dlaczego faceci robią takie głupie rzeczy, aby dowieść swojej męskości?

- Prawdziwi faceci nie...

- Ależ tak - przerwała mi ze śmiechem. - Jesteś naprawdę zabawny.

Szczerze mówiąc, kawa smakowała gorzej, niż wyglądała. Mamusia zawsze powtarzała małemu Seanowi: kto nie marnuje, temu nie brakuje. Odstawiłem kubek, tłumacząc sobie, że wypiję go później.

- Możemy rozmawiać, Barry - powiedziała do telefonu, a następnie słuchała uważnie przez dwie minuty. Kilka razy potwierdziła, że rozumie, i raz lub dwa poprosiła Endersa, aby wyjaśnił coś dokładniej. Nie miałem zielonego pojęcia, o czym rozmawiali. W końcu pani major powiedziała: - Okej... tak, rozumiem... - Przerwała na chwilę: - Tak... pułkownik Drummond jest tutaj. - Spojrzała na mnie. - Możesz mu to powiedzieć osobiście.

Podawała mi aparat.

- Mam nadzieję, że pracujecie do późna, zamiast się pieprzyć.

- Ma pan włochate myśli, detektywie. Bian przyglądała mi się badawczo.

- Daj spokój, Drummond. Nie mów mi, że o tym nie pomyślałeś. Spojrzałem na Bian.

- Mój Boże, masz rację. W tym mundurze jest kobieta.

- Kogo próbujesz oszukać? Taka kobieta mogłaby sprawić, że zeszywniałoby ugotowane spaghetti.

Odniosłem wrażenie, że Bian próbuje zwrócić na siebie uwagę, bo kiwała w moją stronę środkowym palcem.

Pomyślałem, że wystarczy już tej męskiej solidarności. Z wyrazu twarzy Bian wyczytałem, że jej cierpliwość się skończyła.

- Gdzie jesteś? - zapytałem.

- W laboratorium. Sekcja zakończyła się godzinę temu.

- Szkoda, że tak krótko nie trwa moje pranie.

- Mieliśmy długi dzień. - Po chwili dodał: - Na czym to skończyłem? Sekcja... -

Odniosłem wrażenie, że czyta tekst zapisany na kartce. - Zawartość żołądka: dobrze wypieczony

stek, ziemniaki i sałatka ze szpinaku. Przypuszczalnie obiad. Wyniki badania krwi: zawartość alkoholu dziewiętnaście setnych promila. W sensie prawnym Daniels był

pijany. Nawiasem mówiąc, nie jest to czymś wyjątkowym wśród samobójców. Przyczyna śmierci: postrzał w głowę. Strzał oddano z odległości od pięciu do siedmiu centymetrów.

Zgon nastąpił natychmiast. Pomiędzy dwunastą i pierwszą w nocy.

- Okej, tak to właśnie wyglądało.

- Naprawdę? W mieszkaniu Danielsa nie było otwartych butelek ani pustych szklanek.

- Może wyszedł z domu i urznął się wcześniej? Czy to ważne, gdzie się upił?

- Pewnie nie. A teraz zgadnij, co widziałeś, lecz na co nie zwróciłeś uwagi?

- Niech się zastanowię... - Wiedziałem, że wspomni o tej sprzeczności, dlatego odparłem rzeczowo: - Cliff Daniels był praworęczny, a rana wlotowa znajduje się w lewej skroni.

Enders milczał przez chwilę, lekko dotknięty tym, że zepsułem mu niespodziankę.

- Draniu. Wiedziałeś... lecz o tym nie wspomniałeś.

- O ile pamiętam, oznajmiłeś, że nie masz ochoty słuchać tego, co mam do powiedzenia. - Oczywiście była to prawda, pomyślałem jednak, że przywołanie tego faktu było przejawem małostkowości z mojej strony. - Tak czy siak przypuszczalnie nie ma to większego znaczenia. - Po chwili dodałem: - To mylny trop.

- Jak cholera. To dowodzi, że zabójca był osobą praworęczną. Aby ukryć ten fakt, umieścił pistolet w lewej ręce ofiary. - Po chwili, jakby trzeba było o tym wspominać, dodał: -

Innymi słowy, nie było to samobójstwo, lecz morderstwo.

Pozwoliłem mu ochłonać.

- Masz broń? - spytałem po chwili.

- Oczywiście.

- Świetnie. Rób, co ci powiem - pouczyłem go. - Wyciągnij pistolet z kabury.

- W porządku... wyciągnąłem.

- Jesteś prawo - czy leworęczny?

- Normalny. Praworęczny.

- Tak jak Daniels. Przełóż broń do lewej ręki.

- Okej.

- Teraz podnieś pistolet... i przyłóż lufę do skroni... powyżej lewego ucha.

- Słuchaj, Drummond, lepiej nie żartuj. Ludzie na mnie patrzą...

- Masz ten pistolet?

- Taak... w porządku, trzymam go przy...

- A teraz szybko pociągnij za spust.

- Cholernie śmieszne - powiedział po dłuższej chwili.

- Nie słyszałem wystrzału. Wiedziałem, że jesteś bystry.

- Gdybyś stał obok, z pewnością byś go usłyszał. Usłyszałbyś go jak cholera.

- Czy byłby głośny?

- Zrozumiałem, o co ci chodzi. To nienaturalne, a nienaturalne rzeczy zawsze wzbudzają podejrzenia.

- Nie zawsze. Czasami wymagają jedynie innego wyjaśnienia.

- Umieram z ciekawości.

- Pomyśl o tym, co znalazłeś w sypialni Danielsa. Włączony telewizor, pornograficzny film w odtwarzaczu wideo. Denat miał erekcję. Trzymał prawą rękę zaciśniętą na fiucie. - Po krótkiej przerwie dodałem: - Wiesz, jak to się nazywa? Wieloczynnościowość.

Nie odpowiedział.

- Jeśli Cliff Daniels nie był oburęczny, stanął przed wyborem. Co wymaga większej siły?

Większej zręczności? Trzepanie konia czy pociągnięcie za spust?

- Skąd mam wiedzieć? - odparł po chwili.

Roześmiał się wbrew sobie, tak jak ja. Właściwie to lubiłem tego Endersa. Żaden dobry glina nie lekceważy przeczucia. Instykt podpowiadał mu, że było w tym coś niewłaściwego i facet podążał za tym głosem. Faktycznie tak było, chociaż Enders nie wiedział dlaczego. Nie wiedział tego, co ja i Bian - na temat zawodowych i prywatnych zainteresowań Daniela, a także jak wielu ludzi pragnęło jego śmierci i co mogło nimi kierować.

Szczerze mówiąc, czułem się trochę winny. Enders należał do dobrych facetów - był sumiennym, uczciwym, porządnym gliną. Stał na straży poszanowania prawa w swoim hrabstwie, podczas gdy mnie leżało na sercu bezpieczeństwo i pokój całego kraju. Wniosek: określeniem „dobro kraju” można uzasadnić dosłownie wszystko. To śliska ścieżka, na której łatwo przekroczyć dozwoloną granicę.

- Wróćmy do wyników sekcji - powiedział po chwili. - Daniels miał wycięte migdałki, dwie blizny na lewym kolanie i...

- Czy na lewej dłoni denata znaleziono ślady krwi?

- Cóż... taak. Niedużo. Były też ślady prochu. Cofnięcie zamka podczas strzału.

- Sprawdzono krew? Czy była to krew Daniela?

- Grupa krwi pasuje. A Rh plus. Oczywiście przeprowadzenie badania DNA wymaga więcej czasu.

Z jakiegoś powodu nie byłem tym zaskoczony.

- Jeszcze jedna obserwacja. Facet miał początki marskości wątroby. Daniels lubił wypić.

- To rodzinne hobby.

- Nie mów. Pani Daniels też pije? Jak się dowiedziałeś?

- W nieco inny sposób. Uczciła jego śmierć, otwierając nową butelkę ginu.

- Pragnęła jego śmierci?

- Taak... i nie. Będzie go jej brakowało. Dokuczanie facetowi było jedyną radością jej życia.

Enders pomyślał nad tym przez chwilę.

- Czy Tim... ten kryminalistyk, z którym rozmawiałeś... wspominał ci o włosach znalezionych w jego mieszkaniu?

- Mówił o przynajmniej trzech różnych rodzajach. Dlaczego pytasz? Było ich więcej?

- A trzy to mało? Powiem ci prywatnie, że nigdy bym go o to nie podejrzewał.

Spojrzałem na Bian.

- Moja partnerka twierdzi, że najważniejszy jest rozmiar.

- Naprawdę? - zdziwił się. - Żona ciągle mi powtarza, że najważniejsza jest czułość i pomaganie w pracach domowych. Brednie. Twierdzisz, że wystarczy mieć większego fiuta?

Roześmiałem się.

- Jego była żona powiedziała, że Clifford miał słabość do kobiet - poinformowałem go. - To zniszczyło ich małżeństwo.

- Cóż... zdarza się. - Po krótkiej przerwie oznajmił: - Tak czy owak dwa włosy okazały się organiczne. Rudy i brązowy.

- Organiczne? Co to...

- Pochodziły z czyjejś głowy. Tyle to znaczy. Mieszki wyszły razem z włosem. W ten sposób

można to stwierdzić.

- A trzeci... jasny?

- Faktycznie... jasny. Włos okazał się naturalny, został jednak obcięty i zawiązany na końcu.

Wiesz, co to oznacza.

- Peruka.

- Wiedziałem, że w CIA pracują bystrzy faceci. Tańsze peruki są wykonane ze sztucznych włosów. Lepsze wytwarza się z prawdziwych włosów pochodzących od prawdziwych ludzi. Takie włosy są przymocowane do peruki. Co o tym sądzisz?

- Poczekaj... próbuję sobie wyobrazić Danielsa w jasnej peruce na głowie... Słuchaj, przypominam sobie... Boże...

- Co?

- Byłem z nią... z nim na randce.

- Bardzo zabawne.

- Co mam o tym sądzić, detektywie? Może jego kochanka przedwcześnie wyłysiała.

Może powiedział rudej lub brunetce, że ma ochotę na blondynkę i jedna lub obie poczuły się tym zobligowane. Może Daniels poszedł na przyjęcie kostiumowe przebrany za Marilyn Monroe. Możliwości jest mnóstwo.

- O jednej zapomniałeś - zauważył.

- Doprawdy?

- Nie udawaj. - Następnie wyjaśnił mi, o czym nie wspomniałem. - Może miał gościa, który przyszedł w przebraniu, bo nie chciał zostać rozpoznany przez sąsiadów. Może ta osoba nie chciała pozostawić śladów DNA. Jeśli dodać to wszystko, człowiek ponownie dochodzi do wniosku, że być może Daniels nie popełnił samobójstwa.

- Nie chciałem urazić twojej inteligencji. Co z odciskami palców?

- Mamy cztery lub pięć próbek. Pobraliśmy odciski palców od służącej oraz odciski Danielsa.

Jutro zakończy się proces eliminacji i wyodrębniania.

Byłem pewny, że nic nam to nie da, lecz taktownie o tym nie wspomniałem.

- Jakie masz przypuszczenia na tym etapie śledztwa?

- Słuchaj, początkowo myślałem, że to samobójstwo. Wszystko na to wskazywało.

Jakiś facet z Departamentu Obrony dzwonił do mnie dzisiaj ze sześć razy. Waterbury?

- Znam gościa.

- Czy to taki dupek, na jakiego wygląda?

- Wsadź mu ćwierć dolara w dupę, a dostaniesz dziesiątaka. Roześmiał się.

- Co to za jeden?

- Szef Bian.

- Pewnie ludzie zabijają się o to, by z nim pracować. - Najwyraźniej wymieniliśmy już dość ślapstickowych gagów i zniewag, bo jego ton spoważniał. - Mamy trupa i kto się zjawia?

Kto zaczyna węszyć? Facet z CIA, babka z żandarmerii wojskowej, a teraz jakiś cymbał z Pentagonu. Rozumiesz, na czym polega mój problem?

Szczerze mówiąc, dostrzegłem go w chwili, gdy Bian poinformowała mnie, kto dzwoni. Pora była późna, a detektywi nie pracują tak długo po godzinach, chyba że coś poczują, a to, co poczuł Enders, brzydko cuchnęło.

Oprócz tego na pracę po godzinach - detektywów i laborantów - muszą wyrazić zgodę przełożeni, dlatego Enders z pewnością nie prowadził prywatnego śledztwa.

Waterbury był większym idiotą, niż sądziłem, jeśli to w ogóle możliwe. Jego idiotyczne

węszenie mogło sprowokować coś, czego on i ludzie, dla których pracował, w najmniejszym stopniu nie pragnęli ani nie potrzebowali - publiczne dochodzenie w sprawie śmierci Daniela.

- Zbyt wiele się w tym doszukujesz - zapewniłem go.

- Wiem, co mówię.

- W porządku... Chcesz całej prawdy?

- Jasne. - Roześmiał się. - Właśnie dlatego zadzwoniłem do CIA.

- Nie musisz mi wierzyć na słowo. Sprawdź „Washington Post” sprzed dwóch tygodni.

- W jakim celu?

- Dowiesz się, że za tydzień Cliff Daniels miał złożyć zeznania przed podkomisją Kongresu.

- Co z tego?

- Co z tego? Powiedzmy, że z konta operacyjnego zginęły pieniądze. Dużo forsy. Nie dowiedziałeś się tego ode mnie, jasne? Poważnie mówiąc, jest to sprawa z rodzaju „gdybyś się o tym dowiedział, musiałbym cię zabić”. Sam znam ledwie połowę historii i powiem szczerze, wcale nie mam ochoty poznać drugiej.

- W porządku. Podziel się ze mną tą połową, o której wiesz. Wiedział, że zignoruję jego pytanie.

- Chodzi o to, że... wpływowi ludzie na Kapitolu dobrali się do tyłka tych z Pentagonu. - Po krótkiej przerwie dodałem: - Teraz do gry włączyli się chłopcy z Białego Domu, dlatego Waterbury nie daje ci spokoju.

- To prawda?

- Coś ci powiem. Za chwilę na głowę Clifforda Daniela spadnie dziesięć ton gówna.

Zrobił coś bardzo złego. Został przyłapany. Wyobrażasz sobie pewnie, jaki czuł się wzburzony i przygnębiony. Rozmawialiśmy z jego współpracownikami. Potwierdzili, że w ostatnich dniach dziwnie się zachowywał i...

- Chciałbym przesłuchać tych świadków.

- Barry... ile ci zostało do emerytury? Odchrząknął.

- Nie lubię gróźb.

- Nikt za nimi nie przepada, Barry. Rząd federalny liczy na to, że ty i twój wydział

będziecie prowadzili tę sprawę... z profesjonalną dyskrecją, na jaką zasługuje. Jeśli utracą tę wiarę, cała armia sztywniaków w niebieskich garniturach spadnie ci na kark i przewróci do góry nogami twój świat. Czy to jasne?

- Powiedz to jeszcze wyraźniej.

- Samobójstwo, Barry. Facet wiedział, że jest skończony. Postanowił oszczędzić sobie i rodzinie wstydu oraz upodlenia, które wiązałyby się z publicznym ujawnieniem przestępstwa. - W tym miejscu przerwałem. - Nie komplikuj sytuacji.

- Może gość...

- Muszę kończyć. Mam Biały Dom na drugiej linii.

Kiedy się rozłączyłem, słuchająca naszej rozmowy Bian zauważyła:

- Ostro się z nim obszedłeś.

- Bzdura. Wyświadczyłem mu przysługę.

- W takim razie nie chcę od ciebie żadnych przysług.

- Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. W tej sprawie niewiedza jest błogosławieństwem.

- Myślisz, że ci uwierzył? - zapytała.

- Nie. To inteligentny facet. W każdym razie zbada wszystko bardzo dokładnie, zanim wypowie słowo na M.

- Zatem chcesz zyskać na czasie.

- A masz lepszy pomysł? Najwyraźniej go nie miała, bo zapytała:

- O co chodziło z tą peruką?

- Zapomnij o peruce.

- Żartujesz. To niezwykle ważny dowód. Spojrzałem na nią.

- Nie rozumiemy się.

- W jakiej sprawie?

- Pomyśl, Bian. Wszystko wskazuje na to, że morderstwo zostało starannie zaplanowane. Nie dokonano go spontanicznie. Zabójca użył peruki, aby ukryć swój wygląd i nie pozostawić śladów DNA. Umieścił nawet odrobinę krwi Cliffa i cząstki prochu na ręce, w której rzekomo trzymał pistolet. O czym to świadczy?

Przez chwilę zastanawiała się nad pytaniem, a następnie wyciągnęła, moim zdaniem słuszny wniosek.

- Zabójca... był zawodowcem. Skinąłem głową.

- Uważnie obserwował swój cel. Sądzę, że można postawić uzasadnioną hipotezę, iż morderstwo zostało zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach.

- Wyjaśnij to.

- Ta kobieta wiedziała, że Daniels trzyma pistolet w mieszkaniu. Żona Cliffa powiedziała nam, jak wielkie miał dla niego znaczenie. Być może przechwalał się nim przed zabójczynią. Może pokazywał go jako symbol swojej męskości i znaczenia. *Ergo*, zabójczym była w jego mieszkaniu już wcześniej, przed ostatnią nocą, co podejrzewaliśmy. Być może, pokazując pistolet, podsunął jej pomysł użycia jego broni do dokonania morderstwa. Łączyło się z tym kilka oczywistych korzyści, na przykład potwierdzało hipotezę samobójstwa. Co więcej, wiemy, że Daniels był kobieciarzem - zgodnie ze słowami jego żony spał z każdą, która nie mogła przed nim uciec. Na dodatek był alkoholikiem. Zabójczym znała dwie obsesje ofiary, alkohol i kobitki, i wykorzystała je do zaaranżowania morderstwa. Zadbała o to, aby pił przed powrotem do mieszkania - w ten sposób na szklankach nie pozostały żadne ślady śliny czy odciski palców. Po dokonaniu eliminacji pozostały nam dwa lub trzy niezidentyfikowane odciski palców. Chcesz się założyć, że któreś z nich należą do zabójcy?

- W porządku... zrozumiałam. - Bian sprawiała wrażenie rozdrażnionej. Zdałem sobie sprawę, że moja postawa była zbyt nachalna lub, co gorsza, protekcyjna. Oficerowie żandarmerii wojskowej nie są łebskimi gliniarzami ani detektywami. Są nadzorcami i przełożonymi gliniarzy. Z drugiej strony zwykle znają się na policyjnych technikach, chociaż nie myślą jak policjanci, a sprawa taka jak ta byłaby wyzwaniem nawet dla najlepszego funkcjonariusza wojskowego wydziału dochodzeń kryminalnych.

Na dodatek odczuwałem wyrzuty sumienia z powodu surowego potraktowania Barry'ego i mogłem odreagowywać je na Bian. Kiedy człowiek zbyt długo przebywa z typami z Agencji, zaczyna zachowywać się jak oni.

- Przepraszam - powiedziałem jak najbardziej szczerze. - To trudna sprawa.

- To ty jesteś trudny.

- W porządku. Myślę, że zabójca zna się dobrze na policyjnej robocie i metodach kryminalistycznych. Morderczyni po mistrzowsku wykorzystała tę wiedzę. Zgadzasz się ze mną? Danielsa zamordowano z zimną krwią. Nie była to zbrodnia w afekcie. Mamy do czynienia z egzekucją. To niemal zbrodnia doskonała.

- Niemal? No tak... słusznie. Zbrodnia doskonała wyglądałaby na prawdziwe samobójstwo. Żadnych wątpliwości.

- Właśnie. - Nagle uderzyła mnie nowa myśl. - Dlaczego zamordowano go tutaj... w jego łóżku?

Na dodatek w taki sposób.

- Nie jestem pewna, o co ci chodzi. Upozorowano samobójstwo, aby wprowadzić nas w błąd.

Czy już o tym nie rozmawialiśmy?

- Zastanówmy się raz jeszcze.

- Pogubiłam się.

- Myślę, że oboje się pogubiliśmy. Czy gdybym kazał ci sprzątnąć faceta lub gdybyś sama chciała to zrobić, zainscenizowałybyś to w taki sposób?

- Skąd mam wiedzieć? Nie potrafię myśleć w taki sposób.

- Właśnie o to mi chodzi. Zawodowi zabójcy nie zbliżają się do ofiary. Pakują jej kulkę w tył głowy lub mordują z odległości. Używają karabinu wyborowego lub aranżują wypadek samochodowy. Mniejsze ryzyko wpadki, mniejsza możliwość pozostawienia obciążających dowodów.

- Może zabójca był zbyt pewny siebie.

- Może. A teraz, gdy wiemy już to wszystko, zastanówmy się nad inną ewentualnością: zabójstwa wcale nie dokonano z zimną krwią.

- Przed chwilą powiedziałeś coś innego. Nie sądzę, aby zebrane dowody potwierdzały tę hipotezę.

- W tej sprawie las i drzewa mogą nam opowiadać zupełnie inną historię, Bian.

Pomyśl o poniżających... żalonych okolicznościach śmierci tego mężczyzny. Oboje śmialiśmy się na jego widok. Pomyśl o żartach, które krążą teraz po całym posterunku policji w Arlington.

Zastanawiała się nad moimi słowami.

- Może dokładnie taki był jej zamiar. Nie można wykluczyć, że właśnie taką intencję miała zabójczym. Jeśli ten fakt przedostanie się do prasy, Cliff Daniels stanie się obiektem żartów i zostanie napiętnowany na wieczność.

- Sądzisz, że zabójca to zaplanował? - spytała.

- Nie mam pojęcia. Zaczynam sądzić, że nasza morderczyni lub ten, kto zlecił jej tę robotę, celowo zaaranżowała... scenę przedstawiającą moralny upadek. W pewnych społecznościach, na przykład u Etiopczyków, jeńców kastruje się i odsyła do domu. Jako eunuchowie nie mogą spłodzić dzieci, które by ich pomściły, prawda?

- Znam faceta, którego chciałabym wykastrować - zauważyła, patrząc na mnie dziwnym wzrokiem.

- Miało to również wymiar praktyczny. Faceci zastanowili się dwa razy, zanim wyruszyli na wojnę z Etiopczykami. To lepsze od strategii atomowego odstraszenia, nie uważasz? Na bardziej podstawowym poziomie chodziło o upokorzenie i pozbawienie godności wojowników, którzy się poddali, którzy złamali starożytny kodeks wojowników i -

jeśli brak ci odwagi, zostaniesz pozbawiony męskości. Kastrowali wziętych do niewoli, a następnie okrytych hańbą odsyłali żonom i dziewczynom. - Spojrzałam na Bian. - Jak sądzisz, kto dokonywał zabiegu kastracji?

- Niech zgadnę... ich kobiety?

- Powiem więcej, ta kara została wymyślona przez Etiopki. Wybacz, jeśli zabrzmiało to nieco seksistowsko, lecz kobiety są bardziej twórcze, gdy w grę wchodzi zemsta.

- Słuszna uwaga. Zapamiętam to sobie. - Uśmiechała się przez chwilę. - Sądzisz, że to wyjaśnia, dlaczego robotę zlecono kobiecie? A przynajmniej sugeruje, dlaczego ta kobieta właśnie tak zaaranżowała morderstwo?

- Uważam, że podjęła ogromne ryzyko i zadała sobie dużo trudu, aby zainscenizować morderstwo w wyjątkowy sposób. Ustaliliśmy, że przypuszczalnie spotykała się z nim wcześniej - częściowo w celu przeprowadzenia rekonesansu, częściowo, aby go ocenić i zaplanować morderstwo. W podręcznikach nazywa się to zainscenizowaniem zbrodni. Inaczej mówiąc, motywy mogły być znacznie bardziej osobiste, znacznie bardziej skomplikowane, niż początkowo zakładaliśmy.

- W porządku... nie można tego wykluczyć. Być może jest to jakiś ślad. - Pomyślała nad tym przez chwilę. - Powinniśmy przeanalizować rachunki zapłacone jego kartą. Zbadać, w jakich miejscach bywał w ciągu kilku ostatnich tygodni. Sprawdzić kina, teatry i tym podobne. Może ktoś widział ich razem.

- Masz rację, z całą pewnością.

- Wyczuwam w twoich słowach pewne „ale”. Skinąłem głową.

- Byłoby to bardzo lekkomyślne z jej strony. Zbyt oczywiste. Mam przecucie, że ta dama jest bardzo schludna i staranna.

- Sugerujesz, że sama płaciła? Albo że chodzili w miejsca, gdzie nie trzeba wydawać pieniędzy?

- To coś nowego. Kobieta, która nie oczekuje wystawnego obiadu przed *amore*.

Szturchnęła mnie palcem w ramię.

- Przecież chciała go zamordować. Uśmiechnąłem się.

- Jak wcześniej wspomniałem, metoda popełnienia samobójstwa często kryje przesłanie. To spostrzeżenie stosuje się także do morderstwa. Na przykład seryjni zabójcy zwykle w jakiś sposób podpisują się pod swoimi dziełami. Jeśli poznasz metodę, zrozumiesz patologiczną osobowość sprawcy.

- Czytałam o tym w podręcznikach.

- Znakomicie. Jakie jest przesłanie zabójczym? Potrafisz je zrekonstruować?

- Już ci powiedziałam, że nie umiem myśleć w taki sposób.

- Twoją bronią jest perwersja, okrucieństwo i pożądanie. Postaraj się myśleć jak wkurzona kobieta, Bian. Ten facet zrobił coś, co zraniło cię do żywego lub ogromnie rozgniewało twój zleceniodawcę. Zwyczajna śmierć cię nie zadowoli. Potrzeba czegoś więcej. Wiecznego pohańbienia.

Patrzyła na mnie przez chwilę.

- Musiała naprawdę go nienawidzić. Odczuwać ogromną, niepokonowaną wściekłość.

- Mów dalej.

- Okej. Powiem ci, co myślę. Nie sądzę, aby została przez kogoś nasłana. Myślę, że była to jej prywatna wendeta. Od początku to ona go uwodziła, a nie na odwrót. Uwiedzenie było fazą wstępną, koniecznym elementem aktu zemsty. Chociaż darzyła go nienawiścią i czuła odrazę, w pełni panowała nad sytuacją - akt cudzołóstwa miał dla niej przymusowy, symboliczny charakter, był swego rodzaju gratyfikacją. Kiedy sądził, że uprawiają miłość, ona po prostu go pieprzyła.

- Taki rodzaj zdrady?

- Być może właśnie tak to sobie wyobrażała. Jakie stworzenie... po akcie kopulacji...

no wiesz... - Bian wzruszyła ramionami.

- Czarna wdowa.

- Tak, czarna wdowa. Po kopulacji samica pożera samca.

- To prawda. Eliminuje go z puli genów, aby zapewnić, że nigdy jej nie oszuka i nie spłodzi potomstwa, które rywalizowałoby z jej młodymi.

- Z drugiej strony są wyraźne różnice. U czarnej wdowy seks jest narzędziem genetycznego przetrwania. Seks bywa też instrumentem walki o dominację.

Bian milczała przez chwilę, a następnie zasugerowała:

- Założę się, że go sprowokowała. Zmusiła, aby błagał o zbliżenie, czołgał się przed nią.

- Tak sądzisz?

- Czemu nie? Niektóre kobiety postępują tak z mężczyznami, których kochają.

- W jakim celu?

- Chcą zaspokoić pierwotne pragnienie władzy. Mężczyźni są od nich silniejsi, lecz kobiety mają własną broń - waginę i przyzwolenie. Błaganie i poniżenie przywraca równowagę. To jin-jang seksu. W rezultacie ona, nie on, sprawuje kontrolę nad sytuacją.

- Cholera.

- Chciałeś się dowiedzieć, w jaki sposób myśli kobieta. Zapewniam cię, że niektóre kobiety myślą i postępują w taki sposób. Nie mówię, że to aprobuję... osobiście jestem temu przeciwna... jednak zjawisko to wcale nie należy do rzadkości. Czy można je uznać za coś nienormalnego, wypaczonego? Czy w sferze seksu w ogóle można mówić o tym, co jest normalne i zdrowe?

Chociaż miałem silną pokusę, aby coś powiedzieć, opanowałem się.

- Dostrzegłaś coś więcej, prawda?

- Cóż... daj mi pomyśleć. - Po chwili zastanowienia kontynuowała: - W porządku.

Przejdźmy do ostatniego aktu. Doprowadziła go do stanu podniecenia... erekcji, a następnie zamordowała. Ciało ułożyła tak, jakby dokonywał masturbacji. Być może w tym fakcie kryje się jakieś przesłanie.

- Kolejny akt dominacji?

- Nie... nie sądzę. Myślę, że potrzebę dominacji zaspokoili podczas pierwszego stosunku. To było raczej... myślę, że zainscenizowała to wszystko, by go upokorzyć. Może zmusiła go do błagania, lecz tym razem nie zrobiła tego dla własnej przyjemności, dla spełnienia swoich fantazji. Wykorzystała jego żądzę, tak jak rzeźbiarz nadaje kształt kawałkowi gliny przed przystąpieniem do tworzenia. - Spojrzała na mnie. - Nie mam pojęcia, co jej zrobił, jednak w jej świadomości temu czynowi odpowiadała końcowa scena śmierci.

- Nagość... erekcja... śmierć na łóżku... kula w głowie... co jeszcze?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem, czym sobie na to zasłużył. - Uznałem za interesujące, że powiedziała: „czym sobie na to zasłużył”, jednak ten fakt stanowił istotę motywu sprawcy i musieliśmy się na nim skoncentrować. Jego zabójczym lub ten, który ją wynajął, dokonali aktu zemsty. Podobnie jak etiopska kobieta trzebiąca swoich wrogów, zabójczym dokonała specyficznego rozumianego aktu kastracji. Bian popatrzyła na mnie. - Nie sposób to stwierdzić, prawda? Jak sądzisz, gdzie ona teraz jest?

Było to dobre pytanie, dlatego zastanowiłem się przez chwilę.

- Pewnie opuściła kraj po zamordowaniu Cliffa. Może wyleciała z lotniska Dullesa?

Może pojechała do Baltimore lub Philly, aby zgubić ślad.

- W takim razie nigdy jej nie znajdziemy - doszła do wniosku Bian.

- Wszyscy przestępcy popełniają błędy, Bian. Trzeba je tylko znaleźć.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Ja to wiem.

Rozdział szesnasty

Kiedy wróciliśmy do gabinetu, Elegancki Don rozmawiał z Phyllis o podróży do Paryża i restauracji przy alei Kogo-to-u-licha-obchodzi, w której jadł wyborną potrawę o nazwie *fwa grass*.

Najwyraźniej nie miało to nic wspólnego z rośliną, którą się kosi, lecz było czymś do jedzenia. Dlaczego nie lubiłem faceta? Podałem Donowi kubek, mówiąc:

- Pomyślałem, że możesz mieć ochotę na łyk kawy. Przyjął go wyraźnie poruszony moją dobroduszością.

- Jasne... ma się rozumieć.

Zanim Bian zdążyła go ostrzec, pociągnął duży łyk i z okrzykiem: „Cholera! Co za świństwo!”, wypluł czarny płyn na stół. Odstawił kubek i spojrzał na mnie twardym wzrokiem.

- Nie jesteś taki zabawny, za jakiego się uważasz, Drummond. Chcesz się założyć?

W krtani Phyllis uwiązł dziwny dźwięk przypominający czkawkę lub stłumiony chichot. Najwyraźniej ona również nie lubiła Dona. Dobrze wiedzieć.

- Do Drummonda trzeba się przyzwyczaić - wyjaśniła Donowi Phyllis.

Uznałem, że było to niedopowiedzenie dnia.

Bian rzuciła mi spojrzenie z rodzaju „kiedy wreszcie dorośniesz”. Wiedzie, starałem się bronić jej cnoty, pokazać, jakim nadętym dupkiem jest ten Donny Boy, zanim zacznie obmacywać jej nogę.

Uśmiechnąłem się do niej, lecz odwróciła wrok.

Z kolei Don doszedł do wniosku, że Sean Drummond jest błaznem pierwszej klasy, do czego zresztą usiłowałem go przekonać. Zawsze postępuję tak z przesłuchiwanymi świadkami. Nigdy nie przestanie mnie zadziwiać, jakie głupie rzeczy wygadują, gdy sądzą, że przebywają w towarzystwie idioty.

Próbując przywrócić atmosferę powagi, Bian zagadnęła Dona:

- Co wyczytałeś z korespondencji Danielsa i Charabiego jako specjalista od Iraku?

Don kilka razy przełknął ślinę, aby odzyskać równowagę. Odwrócił się do Bian.

- Możesz zadać bardziej konkretne pytanie? - Dupek.

- Czy wiedziałeś, że Daniels zdradził Charabiemu tajemnicę?

- Nie.

- Czy uzyskał na to... oficjalną zgodę?

- Dlaczego mnie o to pytasz? Sądziłem, że ty i Drummond macie to...

- Nie było zgody - przerwała Phyllis. - Mógłby ją wydać jedynie dyrektor.

- Jesteś pewna, że tego nie uczynił? - zapytałem.

- Powiem więcej, on jest tego pewien.

- Kto wiedział o tym, że złamaliśmy szyfr Irańczyków? - zapytała Bian. - W końcu informacja o tak dużym znaczeniu wywiadowczym... Czy nie wiedziało o tym jedynie wąskie grono osób?

- Oczywiście. Tylko członkowie małego zespołu szyfrantów z NSA, a w Agencji garstka starannie wybranych pracowników, którzy wykorzystywali zdobyte informacje.

- Rozszyfrowane depesze dostarczano do specjalnej komórki w Iraku za pośrednictwem kuriera Agencji. Jeśli pominąć ludzi ze wspomnianej komórki, wojskowi nie wiedzieli, w jaki sposób weszliśmy w posiadanie tajnych danych. Aby wykorzystać otrzymane informacje, nie musieli wiedzieć, skąd pochodzą.

Uprzedzając kolejne pytanie, oznajmił:

- Nie... Daniels nie należał do ich grona. Nie uczestniczył we wspomnianej operacji, nie miał też uprawnień, które dawałyby mu dostęp do takich tajemnic.

Zastanowiłem się nad tym przez chwilę.

- Czy jesteś pewien, że Charabi przekazał tę informację Irańczykom? - spytałem.

Don przyglądał mi się przez chwilę.

- Rozumiesz jak prawnik. Zastanawiasz się, czy odbezpieczony pistolet faktycznie wypalił, czy

są ofiary i czy doszło do popełnienia przestępstwa.

Popatrzył na Phyllis, która skinęła przyzwalająco głową.

- Trzy miesiące temu pojawiły się... wyraźne sygnały wskazujące na przeciek... na to, że Irańczycy znają nasze zamiary. Szczerze mówiąc, nie mogliśmy w to uwierzyć.

Przynajmniej początkowo. Nie mieliśmy pojęcia, jak mogłoby do tego dojść.

- Teraz już wiecie. Możesz opisać te sygnały.

- Proszę o kolejne pytanie.

- Dobrze. Czy te sygnały... były pewne?

- Tak - odpowiedział po chwili zastanowienia.

- Jak? Dlaczego?

- Wkraczasz na teren, który... Do prowadzenia śledztwa te informacje nie są konieczne. Czy to jasne? Ponieśliśmy ogromną stratę i porzestańmy na tym.

- Zrozumiałem.

- Dobrze. Chodzi o to...

- Dlaczego była to ogromna strata?

- Nie dasz za wygraną, prawda? - Don spojrział na Phyllis, która ponownie skinęła przyzwalająco głową. - Dobrze, powiem ci. Irańczycy byli i nadal są głęboko zaangażowani w Irak. Mają długą, dziurawą granicę z tym krajem, przez którą od tysiący lat przenikają przemytnicy. Irańczycy wysyłają wiele pieniędzy, broni i ludzi różnym stronnictwom i odłamom szyitów. Do upilnowania tej granicy nie starczyłyby dwie dywizje. Ruchów na granicy nie można powstrzymać fizycznymi środkami, jedynie elektronicznymi.

- Dzięki rozszyfrowanym depeszom mogliście śledzić wszystkie ruchy?

- Tak... mogliśmy. Kiedy dowiedzieli się, że złamaliśmy szyfr, podjęli odpowiednie kroki i opracowali nową metodę porozumiewania się, której do tej pory nie udało nam się złamać. - Spojrział na Bian. - Widzę, że masz odznaki bojowe. Byłaś tam, prawda? Mogłaś się osobiście przekonać, jak bezcenne pod względem militarnym i politycznym są takie informacje.

Bian odchyliła się na krześle i zamyśliła nad jego słowami.

- Zastanawiam się nad czasem... - powiedziała, aby po krótkiej przerwie dodać: - Do ujawnienia tej informacji doszło na początku powstania szyitów, prawda?

Don skinął głową.

- Żadna z notatek Daniela nie jest datowana. Nie muszę ci tego przypominać.

Wspomniana wiadomość znalazła się pomiędzy e-mailami, które umieszczają kilka tygodni, a może dni przed powstaniem szyitów pod wodzą Muåtada as-Sadra. Faktycznie...

- Nie trzeba rozwijać tego wątku - przerwała Phyllis.

Don i Phyllis wymienili szybkie spojrzenia. Ważna część historii została okryta tajemnicą i byłem ciekaw, czego mogła dotyczyć. Co ważniejsze, intrygowało mnie, dlaczego Bian i mnie wykluczono z kręgu wtajemniczonych.

Można oszaleć, zadając tym ludziom tego rodzaju pytania - tacy nie powiedzą nawet własnym dzieciom, gdzie schowali pisanki wielkanocne.

W każdym razie Don zmienił taktykę i zaczął spontanicznie opowiadać, bez pytań i zachęt z naszej strony, co było na swój sposób odświeżające. Nie miałem wątpliwości, że jest prawdziwym ekspertem w swojej dziedzinie. W krótkim czasie dostarczył nam szerokiego i pouczającego wprowadzenia w kulisy niepewnej sytuacji panującej w Iraku.

Krótko mówiąc, rok po inwazji kraj pogrążył się w wojnie domowej, a dokładniej, w kilku wojnach, które toczyły się równocześnie: wojnie szyitów z szyitami, szyitów z sunnitami, sunnitów

pragnących powrotu partii Baas z sunnitami o innych poglądach oraz wojnie pomiędzy trzema lub czterema odłamami, których nie rozumieli nawet ich wyznawcy.

Na dodatek przez nieszczelne granice do kraju przybywali cudzoziemcy, bo słyszeli o otwarciu strzelnicy, w której można było walić do amerykańskich żołnierzy. Wuj Sam próbował poskładać układankę z kawałków, które do siebie nie pasowały i pozostawały w ciągłym ruchu.

W pewnym momencie przerwałem mu.

- Co jest przyczyną konfliktu pomiędzy szyitami i sunnitami? Przecież jedni i drudzy są muzułmanami, prawda? Czy mają inne wierzenia?

Don spojrział na mnie, jakby nie mógł uwierzyć, że o to pytam.

- Tak, jedni i drudzy są muzułmanami. Różnice teologiczne są drobne, prawie nieistotne. Wszyscy muzułmanie wierzą, że Mahomet jest prorokiem, który otrzymał słowo boże za pośrednictwem anioła Gabriela, aby przekazać je swojemu ludowi. Główne różnice zarysowały się po śmierci Mahometa. Chodziło o to, kto odziedziczy władzę proroka: jego kuzyn, Ali, czy najlepszy przyjaciel, Abu Bakr. Szyici wierzą, że kalifami mogą być jedynie fizyczni potomkowie Mahometa, sunnici z kolei utrzymują, że prorok przekazał władzę Abu Bakrowi. Ta sprawa spowodowała, że muzułmanie podzielili się na dwa wrogie odłamy oskarżające się wzajemnie o odstępstwo i wypaczenie nauki islamu. Pierwszy przywódca szyitów, Husajn, został wraz ze swoimi zwolennikami zamordowany przez sunnitów w bitwie na terenie Iraku. Czy to jasne?

- Nie.

- Szyici wierzą, że dwunasty, ostatni imam zmartwychwstanie, aby objąć panowanie nad doskonałym, pobożnym społeczeństwem. Świętym miastem sunnitów jest Mekka w Arabii Saudyjskiej. Dla szyitów najświętszym miejscem są świątynie w Nadżafie i Karbali w Iraku. Kiedy w siódmym wieku Husajn i jego szyiccy zwolennicy zostali wycięci przez sunnitów, schizma przekształciła się w krwawe waśnie rodowe. Szyici stanowią jedynie dziesięć procent wyznawców islamu. W ich wierzeniach jest dużo gniewu typowego dla mniejszości - poczucie, że zawsze byli tłamszeni przez sunnitów oraz że są religią, która powstała w odpowiedzi na niesprawiedliwość. Tak pozostało do dziś.

Spojrzałem na niego.

- Wszystko to przypomina krwawe waśnie rodowe o dziedzictwo po dawnym przodku.

Don, który najwyraźniej nie uległ czarowi tego inteligentnego uproszczenia, udzielił mi pouczenia:

- Podobnie jak waśnie, które podzieliły chrześcijaństwo i doprowadziły do niezliczonych wojen w Europie. Władza papieża, prawo do rozwodu, różne interpretacje teologiczne - wiele kwestii podzieliło także naszą wiarę. Z jednym wyjątkiem: w islamie schizma nigdy nie osłabła, nie przybrała łagodniejszej postaci, nie uległa zaleczeniu.

Po tych słowach przeszedł ponownie do rozważań ogólniejszej natury. Swój wywód podsumował słowami:

- Powiedziałem o tym, abyś w pełni zrozumiał... znaczenie informacji, którą Daniels przekazał Charabiemu, oraz tego, co w zamian otrzymał do Irańczyków. Zgodnie z oczekiwaniami wywiad irański bacznie śledzi poczynania irackich sunnitów. Pamiętaj, że za panowania Saddama, który był sunnitą, Iran i Irak toczyły ze sobą krwawą, niemal ośmioletnią wojnę. Irańczycy nie chcą, aby do władzy doszedł kolejny sunnita.

Przerwał, czekając na nasze pytania, my jednak nie mieliśmy żadnych.

- Należy też pamiętać, że wywiad irański ma świetne rozeznanie w sytuacji wewnętrznej Iraku. To główny cel ich zainteresowań, najbliżsi sąsiedzi. Irańczycy lepiej od nas znają kulturę tego kraju,

na dodatek poświęcili dziesiątki lat na pozyskiwanie i prowadzenie informatorów, szczególnie wśród swoich szybkich współwyznawców. A zatem nie tylko nic nie wiemy o działalności irańskich agentów w Iraku, lecz nie mamy też informacji o sytuacji w kraju, który znają lepiej od nas. - Dał nam czas na przetrwanie tych słów, po czym dodał: - Utrata tego okna była... i nadal jest katastrofą dla naszego wywiadu.

- To jak utrata miejsca obok najbardziej inteligentnej dziewczyny na zajęciach z algebry. Człowiek nie wie, w jaki sposób zda egzamin końcowy, prawda?

Don spojrział na mnie z poczuciem wyższości.

- Można to uznać za... trafną analogię.

Ponieważ odniosłem wrażenie, że wróciliśmy do pytań i odpowiedzi, spojrzałem na Dona i zagałem:

- Jaka była dokładnie treść umowy pomiędzy Danielssem i Charabim?

- Nie zostałem w nią wtajemniczony.

- Jasne. A jak sądzisz?

- W porządku. Powiem, co o tym sądzę. Jak pewnie wiesz z mediów, jeszcze przed inwazją Pentagon i Biały Dom szykowały Charabiego na przyszłego premiera demokratycznego Iraku. Czytałeś o tym, prawda? Ojcem chrzestnym Charabiego był jego agent prowadzący Daniels oraz przełożeni tego ostatniego, Tigerman i Hirschfield, którzy od dawna utrzymywali z nim kontakt. Panowie przekonali Biały Dom, aby uczynić Charabiego naszym człowiekiem w Bagdadzie.

- Rozumiem.

- W połowie inwazji Charabi i wybrani członkowie jego Irackiej Konferencji Narodowej zostali przewiezieni do Kuwejtu. Chodziło o to, aby wprowadzić ich na scenę zaraz po upadku Bagdadu, żeby utworzyli nowy rząd.

- Co się później stało?

- Opowiem wam. W dniu zdobycia Bagdadu Charabi został przewieziony black hawkiem do Iraku, gdzie z wielką pompą i ceremonią został powitany przez orkiestrę wojskową. Natychmiast podjęliśmy przygotowania do przekazania mu władzy. W kraju panował wielki chaos, a nasza administracja miała zastrzeżenia do pierwszego zespołu amerykańskiego, więc wysłano kolejny, który spowodował jeszcze więcej zamieszania.

Bian, która była w tym okresie w Iraku, skomentowała:

- Na dodatek rząd Saddama upadł i poszedł w rozsypkę. Przestało istnieć ciało, nad którym można by umieścić Charabiego. Przez kilka miesięcy panował zupełny chaos.

Don uśmiechnął się i nagrodził ją skinieniem głowy niczym zdolnego ucznia.

- Charabiego umieszczono w okolicy Bagdadu, aby czekał bez końca, aż sytuacja się unormuje. W tym czasie okazało się, że dane wywiadowcze, które on i jego ludzie przekazali nam przed wojną, są fałszywe. Zespoły poszukiwawcze bezskutecznie przeczesywały cały kraj, sprawdzając miejsca wskazane przez Charabiego i jego towarzyszy - ani śladu broni jądrowej i biologicznej, żadnych dużych zapasów broni chemicznej. Dla Białego Domu i Departamentu Obrony było to bardziej niż kłopotliwe - oznaczało strategiczną porażkę.

- Wyrzuty sumienia kupującego - zasugerowałem. - Czy właśnie wtedy zaczęli mieć podejrzenia wobec Charabiego?

- Zaczęli myśleć o tym, o czym powinni byli pomyśleć na początku - rzekł Don z typową dla siebie arogancją.

- Wszyscy z wyjątkiem Daniela - zauważyła inteligentnie Bian.

- Masz rację - odparł zgodnie Don. - W końcu to on wykreował Mahmuda Charabiego. Od lat

był jego wiernym agentem prowadzącym, a później kanałem łączącym go z Białym Domem. Mógł się rozwieść i zostawić żonę, lecz nie Charabiego.

Don pochylił się nad stołem i spojrzał na mnie.

- W ten sposób dochodzimy do pytania... dlaczego? Zapytałeś, czy panowie zawarli ze sobą jakąś umowę. Teraz zastanawiasz się pewnie, dlaczego Cliff Daniels, były żołnierz i zawodowy urzędnik, postanowił zdradzić swój kraj. W końcu był ekspertem od tego regionu.

Nie zakładaj, że nie rozumiał, ile szkody mogą spowodować jego działania. Zdawał sobie z tego sprawę. - Przysunął się jeszcze bliżej i powtórzył: - Pytanie, dlaczego to zrobił.

Sytuacja skojarzyła mi się z kulminacyjnym punktem opowiadania o Sherlocku Holmesie, w którym słynny detektyw pyta: „Czy nie jest to elementarny fakt, drogi Watsonie?”. Już miałem to powiedzieć, gdy Phyllis spojrzała na mnie znacząco, tak jakby czytała w moich myślach, więc ograniczyłem się do uwagi:

- Tak, oto jest pytanie.

- Daniels był urzędnikiem publicznym średniego szczebla, któremu nie udało się zrobić błyskotliwej kariery. Zbliżał się do emerytury, a jego bliskie kontakty z Charabim miały już wkrótce stać się gwoździem do trumny jego urzędniczej kariery. Była to dla niego jedyna szansa, jedyne wyjście: Charabi musiał zostać premierem. Gdyby tak się stało, jako jego najbliższy amerykański powiernik Daniels rozpocząłby nowe życie. Przypuszczalnie otrzymałby stanowisko w Białym Domu i prestiżowy tytuł, który mógłby zachować do emerytury. - Don rozejrzał się wokół, aby mieć pewność, że wszyscy zrozumieliśmy jego błyskotliwe odkrycie. - W sposób bezpośredni lub pośredni między tymi dwoma zawsze istniał układ. Sukces jednego oznaczał sukces obu. Także za niepowodzenie odpowiedzialiby wspólnie.

Chociaż nie lubiłem Dona, jego słowa miały głęboki sens. Potwierdziła to Theresa i sam Charabi, który za pomocą banałów w rodzaju „przyjacielu” i „bracie” przypominał

swojemu współnikowi, że ich los jest ze sobą tak nierozzerwalnie związany, że jeśli on otrzyma wielką nagrodę, Daniels będzie miał w niej swój udział.

Ponieważ snuliśmy hipotezy, zapytałem:

- Czy ten sunnicki finansista lub jego irańscy przyjaciele zaoferowali Danielsowi autentyczny towar?

- Ja... - Don spojrzał na Phyllis i nagle zrobił taką minę, jakby cierpiał na zaparcie. -

Nie mogę... Phyllis nie pokazała mi tej strony.

Wszyscy spojrzeliśmy na Phyllis, która skinęła współczująco głową, jakby Don miał na myśli kogoś innego. Szybko jednak odzyskał pewność siebie.

- Tak czy siak to dobre pytanie. Czy Irańczycy mogli podsunąć Charabiemu i nam temat zastępczy? Oczywiście to niewykluczone. Byłby to kolejny amatorski błąd popełniony przez Danielsa. Chodzi o elementarną wiedzę z dziedziny sztuki negocjacji handlowych. O

właściwą staranność, nieprawdaż? Przed zawarciem transakcji zawsze należy nakłonić źródło do zweryfikowania informacji. Teraz się tego nie dowiemy, prawda?

Skinąłem głową.

- Charabi mógł cały czas karmić Danielsa kłamstwami. Don mrugnął do Bian.

- Wybacz porównanie... ale mógł być to tak zwany pocałunek po pieprzeniu. Z drugiej strony Irańczycy mieli żywotny interes w tym, aby wskazać nam tych ludzi. Przyszłość Iraku ma ogromne znaczenie dla jego sąsiadów. Wszyscy potajemnie popierają jakieś stronnictwa.

Na przykład Irańczycy byliby szczęśliwi, gdybyśmy usunęli przywódców najbardziej radykalnych grup sunnitów. - Po krótkiej przerwie dodał tytułem porównania: - Można odwrócić

sytuację. Wyobraź sobie, że Irak znajduje się w miejscu Meksyku. Czy powstrzymalibyśmy się od ingerowania w jego sprawę?

- Skąd sunnici mają pieniądze? - zapytała Bian.

- To pytanie za miliard dolarów, prawda?

Dał nam chwilę do zastanowienia, a następnie ciągnął dalej:

- Sunniccy sąsiedzi Iraku - Arabia Saudyjska, Jordania i Syria - nie chcą mieć szyickiego kalifatu u swoich granic. Należy pamiętać, że od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku, kiedy rewolucja irańska wyniosła do władzy ajatollahów, Teheran zaczął szerzyć poglądy szyitów w całym regionie. Dla sunitów mieszkających w tej części świata Irak pod rządami Saddama stanowił bezcenną barierę, strefę buforową, jeśli można tak powiedzieć. Z wyjątkiem Iranu, Iraku i Libanu sunnici mają przewagę we wszystkich krajach regionu - wszystkie są rządzone przez sunitów. Żyje w nich jednak spora mniejszość szyicka, która często czuje się zepchnięta na polityczny i religijny margines, jeśli nie wręcz uciskana. Ta grupa to istna beczka prochu, która może wysadzić w powietrze i zdestabilizować cały region. Weźmy Liban - sytuacja w tym kraju, podobnie jak w Iraku, jest bardzo delikatna, przypomina kipiący kocioł z wrogo nastawioną szyicką mniejszością popieraną przez Iran i Syrię, która wywiera na nią wpływ od dwóch dziesięcioleci. Jeśli sytuacja w Libanie ulegnie zaognieniu, konflikt rozszerzy się na Syrię, Izrael i Jordanię. Gdyby władzę w Iraku przejęli szyici... - spojrzał na mnie - ...mielibyśmy niezłe gówno.

Krótko mówiąc, Don nie miał pojęcia, skąd sunnici mają pieniądze.

- Jakie motywy kierują działaniami Charabiego? - zapytała Bian. - Czy udzielaliśmy mu wsparcia, a przynajmniej czy mógł liczyć na przychylność Waszyngtonu? Dlaczego miałby zaryzykować zdradzenie nas i nawiązanie bliższej relacji z Irańczykami?

- Czytaliśmy te same notatki, prawda? Bian skinęła głową.

Osobiście nie byłem tego pewny, aby jednak posunąć sprawę naprzód, skinąłem potakująco głową.

- Postawcie się na miejscu Charabiego - powiedział Don. - Jesteście w Iraku, sunnici wyznaczyli cenę za waszą głowę, toczycie śmiertelne zmagania z innymi odłamami irackich szyitów... a ten facet... wasz agent prowadzący... nagle zaczyna grozić, że pozbawi was wsparcia. - Przerwał na chwilę. - Jak byście zareagowali?

- Przyleciałbym tutaj i porachował mu kości. Don uśmiechnął się szyderczo.

- Nie wątpię. - Po chwili zaczął kontynuować swój wywód: - Daniels był analitykiem, a nie agentem operacyjnym. Prowadzenie informatora działającego w terenie to skomplikowana, trudna sztuka. Ci ludzie doświadczają ogromnego stresu, wielu przeżywa dramatyczne konflikty wewnętrzne, większość cierpi na rozmaite fobie. Podejrzewam, że Daniels sam popchnął swojego człowieka w ramiona Irańczyków.

Bian, która najwyraźniej już o tym myślała, zasugerowała:

- Charabi mógł się obawiać, że straci nasze wsparcie i uznać, iż Irańczycy są jego polisą ubezpieczeniową. Przekazał informację, którą otrzymał od Daniela, i teraz, na zasadzie wzajemności Irańczycy są mu winni przysługę. W każdym razie nie będą aktywnie występować przeciwko jego kandydaturze na przywódcę szyitów. Teraz, gdy Daniels nie żyje, nigdy się tego nie dowiemy.

- Właśnie to można wyczytać w notatkach, z którymi się zapoznaliśmy - odpowiedział

Don. - Charabi zaczął grać na dwie strony. Używał nas jako argumentu w rozmowach z Irańczykami. Było to dla niego najlepsze rozwiązanie.

- Ten sposób postępowania był skuteczny, dopóki nie byliśmy świadomi jego układu z Danielsem. W końcu facet nas zdradził - zauważyła przytomnie Bian.

Uznałem, że to dobry moment na zadanie pytania.

- Sądźcie, że to Charabi wydał polecenie zamordowania Danielsa?

- Byłby moim głównym podejrzanym - odparł bez wahania Don. - Jak powiedziała Bian, Daniels mógł zabrać tajemnicę Charabiego do grobu. Z drugiej strony nie można wykluczyć Hirschfielda i/lub Tigermana. Mogli być wtajemniczeni w układ pomiędzy Charabim i Danielsem - mogli nawet za nim stać - i bać się tego, co Daniels mógłby powiedzieć przed podkomisją Kongresu. - Jakby trzeba było o tym przypominać, dodał: - To bardzo ambitni ludzie. Mogli się daleko posunąć, aby zamknąć mu usta.

Po raz kolejny Don i ja byliśmy podobnego zdania. Szczerze mówiąc, miałem ochotę zadać kolejne pytanie, lecz Phyllis wstała i wyszła zza biurka. Zbliżyła się do Dona i oznajmiła nieco szorstko:

- Dziękuję, że wpadłeś. Powiem dyrektorowi, że byłeś bardzo pomocny.

Don sprawiał wrażenie lekko zaskoczonego tą nagłą odprawą. Spojrzał na zegarek.

- Zostało mi jeszcze trochę czasu. Jeśli macie więcej pytań...

- To nie jest konieczne.

Na twarzy Dona pojawiła się mieszanina konsternacji i frustracji, aby po chwili ustąpić miejsca niechęci.

- Chciałbym, abyście informowali mnie o wynikach dochodzenia. Szczerze mówiąc...

muszę o tym wiedzieć. To dla nas... dla mnie bardzo ważne. Wiesz o tym.

- Powiem ci we właściwym momencie - odparła nieco okrutnie Phyllis.

Odniosłem wrażenie, że Dona opuściła pewność siebie. Przez dłuższą chwilę utrzymywał kontakt wzrokowy z Phyllis. W końcu otworzył usta, aby coś powiedzieć, lecz po namyśle odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Bian i ja siedzieliśmy w milczeniu, gdy głośno zamykał za sobą drzwi. Phyllis wróciła za biurko, złożyła ręce przed sobą i zaczęła studiować blat z miną sfinksa.

W końcu zdecydowała się zabrać głos:

- Czy ktoś z was podjąłby próbę odgadnięcia, o co w tym wszystkim chodzi?

Rozdział siedemnasty

Bian postanowiła przyjąć wyzwanie.

- Don jest... przepraszam, był... szefem komórki zajmującej się wykorzystaniem informacji przechwyconych od Irańczyków.

- Tak, masz rację. - Phyllis skinęła głową, po czym spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała z lekkim rozdrażnieniem: - Nie powinieneś drwić i upokarzać go w taki sposób.

Zamieniliśmy w piekło trzy ostatnie miesiące jego życia. Biedak łąził z wykrywaczem kłamstw przyczepionym do ogona.

- Rozmawiałem z nim tak, jak rozmawiam z każdym świadkiem, który może kłamać, mataczyć i ukrywać ważne informacje. - Po krótkiej przerwie dodałem: - Ludzie bez nazwiska po prostu mnie denerwują.

- Wiem, dlaczego to zrobiłeś. Właśnie z tego powodu mam zastrzeżenia pod twoim adresem. To nie jest sprawa kryminalna i nie zostanie rozwiązana środkami prawnymi.

Naprawdę...

- Proszę wybaczyć, prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa.

Spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby chciała zasugerować, że stąпам po kruchym lodzie.

- Posłuchaj mnie, Drummond. Nasz kraj prowadzi wojnę. Podczas wojny ludzie robią różne głupstwa, bywa, że dopuszczają się korupcji, nawet gdy prowadzi to do wielu ofiar śmiertelnych.

Linia oddzielająca głupotę, nieudolność, łatwowierność od przestępczej intrygi staje się bardzo płynna. Czy dostrzegasz różnicę?

- Może.

- A może nie. - Przez chwilę wpatrywała się we mnie badawczo, zupełnie jakby zamierzała mnie udusić. - Jesteś żołnierzem i z różnych powodów chcę, abyś to ty prowadził śledztwo. Teraz jednak ogarnęły mnie wątpliwości. Czy rozumiesz, o czym mówię?

- Niezupełnie... - Mam to gdzieś.

Phyllis odwróciła się w stronę Bian, którą uznała za winną z powodu związku z moją osobą.

- A pani, majorze?

- Jestem pewna, że dokładniejsze wyjaśnienie usunie wszelkie nieporozumienia - odpowiedziała wymijająco Bian.

- W porządku. - Szefowa przyglądała się nam przez chwilę. Zauważyłem, że jej palce są zaciśnięte i drżące, co u Phyllis oznaczało atak hysterii.

Domyślałem się przyczyny i wiedziałem, że najlepiej będzie wysłuchać tego, co ma do powiedzenia.

- Przeżyłam w tej Agencji i jej poprzednicze siedem lub osiem wojen. Drugą wojnę światową, wojnę w Korei, Wietnamie, na Grenadzie, w Panamie, dwie wojny w Zatoce Perskiej i wszystko, co wydarzyło się pomiędzy nimi. Gdybyście uważnie przeanalizowali ich przebieg, zajrzeli pod fotografie barwy sepia i przewrócili każdy kamień w tym mieście, odkrylibyście zdumiewający wachlarz błędnych decyzji, pomyłek, mylnych wyobrażeń, niekompetencji, a w kilku wypadkach jawnego obłądzenia. W tych konfliktach zginęły dziesiątki tysięcy ludzi. Historycy wiedzą zaledwie o jednej czwartej z nich. Chociaż tu byłam i wszystko widziałam, wątpię, czy znam połowę historii. Podczas wojny dzieją się złe rzeczy i gdyby ujawniono je w trakcie trwania działań, nasze podręczniki do historii mogłyby...

wyglądałyby całkiem inaczej.

- Nadal nie rozumiem.

- W tym świecie nic nie jest czarne i białe.

- Jestem prawnikiem, Phyllis. To my wymyśliliśmy moralny relatywizm. Nie potrzebuję tego wykładu.

- A ja nie potrzebuję prawnika rewolwerowca - prychnęła. - Agencja nie zajmuje się egzekwowaniem przestrzegania prawa, lecz działalnością wywiadowczą. Zalecam odrobinę...

moralnej cierpliwości.

- O tym również nie musisz mi przypominać.

- Czego zatem potrzebujesz? Pomyślałem, że wiem, w jakim kierunku zmierza nasza rozmowa, więc odpowiedziałem:

- Cliff Daniels popełnił bardzo odrażającą pomyłkę, jedną z tych, które można zakwalifikować jako przestępstwo, a może nawet kilka przestępstw, między innymi szpiegostwa na rzecz obcego kraju i zdrady. Mamy dokumenty będące świadectwem jego występków, a także dwóch urzędników wysokiego szczebla, Alberta Tigermana i Thomasa Hirschfielda, którzy mogli wiedzieć o przestępstwie, nakazać jego popełnienie lub je umożliwić. Mogli działać w zмовie z Danielsem, a przynajmniej osłaniać jego działania. Nie należy również zapominać, że doszło do popełnienia morderstwa, a oni znajdują się w kręgu podejrzanych. Mam nadzieję, że nie jest to dla ciebie nowina - każdy z tych czynów ma oddzielne paragrafy i nazwy w przepisach federalnych.

Uśmiechnęła się cierpliwie, jakby przyznawała mi rację.

- Mamy wiele możliwości. Co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

- To, czego wymaga prawo. Zadzwonił do FBI. Poproś, aby pogadali z sędzią federalnym i uczynili wszystko, co w ich mocy - odczytali ludziom ich prawa, grozili, dali kopa w jaja, wyważyli drzwi, poszli na ugodę - aby ktoś puścił farbę. Może będzie to dla ciebie zaskoczeniem, lecz jeśli chodzi o przestępstwa federalne, istnieją przepisy i wypróbowane procedury, które zwykle przynoszą pożądane rezultaty.

Mój sarkazm najwyraźniej uderzył w jej czuły punkt.

- Sądzę, że mam pewne doświadczenie w tych sprawach... - odrzekła. - Miałam z nimi do czynienia ze trzy lub cztery tuziny razy.

- Wiem, że Agencja może się poszczycić chlubnym dorobkiem spraw, które załatwiono jak należy.

Phyllis zmrużyła oczy i wzięła głęboki oddech.

-
Jesteś
prawnikiem.
Wykorzystaj
swoje
zdolności
krytyczne.

Jak
scharakteryzowałbyś dowody, które zebraliśmy?

- Nie rozumiem pytania.

- Myślę, że rozumiesz je aż za dobrze.

- W takim razie dlaczego mnie pytasz?

- Słabe i nieprzekonujące, prawda?

- Cóż... tak, na dodatek...

- Jestem pewna, że brak dowodów materialnych skompensujesz długą listą wiarygodnych świadków, którzy są gotowi zeznawać.

- Przecież wiesz, że...

- Powinieneś wiedzieć, że w chwili, gdy skontaktujemy się z FBI, administracja osłoni urzędniczymi przywilejami wszystko, co może mieć związek z tą sprawą. Oczywiście będziemy próbowali je podważyć, lecz sąd przyzna im rację - w końcu nasz kraj jest w stanie wojny. Po dwudziestu pięciu lub pięćdziesięciu latach klauzula tajności wygaśnie, a wtedy będziemy mogli dotrzeć do sedna sprawy.

- Niewykluczone - odpowiedziałem. Phyllis spojrzała na mnie poirytowana.

- A to czemu? Bian, która przysłuchiwała się naszej sprzeczce i dyskusji o ważkich zagadnieniach dobra i zła, a także procedurze prawnej, postanowiła włączyć się do rozmowy:

- Myślę, że ona ma rację. Te słowa, wypowiedziane w kluczowym momencie, bardzo mnie wkurzyły. Na dodatek padły z ust oficera żandarmerii wojskowej, towarzysza broni i, co nie jest bez znaczenia, mojej domniemanej partnerki.

Partnerzy powinni się wspierać, prawda? Byłem naprawdę wściekły, dlatego spojrzałem na Bian i powiedziałem:

- Nie przypominam sobie, abyś została poproszona o wyrażenie swojej opinii.

- Nie mów do mnie takim tonem - prychnęła. - Już ci to mówiłam. Nie lubię protekcyjnego traktowania.

Przyglądałem się jej przez chwilę. Teraz także ona była wkurzona. Nie miałem co do tego

wątpliwości.

- Przepraszam.

- Spróbuj jeszcze raz, a dopiero zaczniesz przeproszać. Dobry Boże. Phyllis szybko spadła na swojego nowego sprzymierzeńca.

- Dlaczego sądzisz, że mam rację? - spytała. Bian spojrzała na mnie i odpowiedziała:

- Nawet gdyby przyjąć najbardziej optymistyczny scenariusz, moglibyśmy postawić zarzut popełnienia przestępstwa tylko jednej osobie. Niestety, ten człowiek nie żyje. Oprócz tego dysponujemy jedynie podejrzeniami, które wydałyby się zuchwałe każdej trzeźwo myślącej osobie.

Phyllis nagrodziła swojego ucznia skinieniem głowy.

- Czy uważasz, że te podejrzenia... są uzasadnione? Bian popatrzyła jej w oczy.

- To ważne - kontynuowała Phyllis. - Na przykład, kiedy Clifford Daniels i Charabi nawiązali kontakt?

- Jakies dziesięć lat temu - odpowiedziała Bian. - Don podał rok... tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty trzeci lub czwarty.

- Piętnastego grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku, zgodnie z raportem sporządzonym po tym spotkaniu. Jednak przed dojściem do władzy tej administracji ich związek był pozbawiony znaczenia. Mówiąc prawdę, był niedorzeczny i głupi.

Poprzedni prezydent nie snuł planów inwazji na Irak. Ten pomysł pojawił się dopiero po jedenastym wrześniu, a wtedy Hirschfield i Tigerman już z powrotem siedzieli w Pentagonie.

Phyllis wstała i zaczęła energicznie chodzić po pokoju.

- Informacje i źródła, którymi karmił nas Charabi, odegrały ważną rolę w nakłonieniu prezydenta do rozpoczęcia wojny. Oczywiście podano je w publicznym uzasadnieniu decyzji o inwazji. Zapewniam was, że tak było. Gdyby nie one...

Przerwała, a ja skinąłem głową. Wiedziałem o tym z mediów, a Phyllis, która знаła sprawę od środka i dysponowała informacjami z pierwszej ręki, potwierdziła jej prawdziwość.

- Don uważa, że Daniels pchnął Charabiego w ramiona irańskiego wywiadu -

kontynuowała Phyllis. - Co o tym sądzisz? - zapytała, patrząc w moją stronę.

- *Inter canem et lupum* - odparłem.

- Między psem a wilkiem lub mówiąc bardziej współczesnym językiem, między młotem a kowadłem - przetłumaczyła Bian łacińską sentencję. Spojrzała na nią i zapytała: - A ty w to wierzysz? Czy to jedyne wyjaśnienie?

Bian bawiła się przez chwilę długopisem.

- Sama nie wiem... Hipoteza ta opiera się na niesprawdzonym założeniu, prawda?

Phyllis przestała chodzić z kąta w kąt i pochyliła się nad stołem, świdrując nas badawczym wzrokiem.

- Zakładamy, że to Daniels pchnął Charabiego w ramiona Irańczyków. Czy istnieje inna możliwość? - Miałem wrażenie, że słyszę tykanie stopera.

Ponieważ wykluczyłem coś takiego, pomyślałem przez chwilę i... Jasna cholera.

Kiedy człowiek wyeliminuje jakieś założenie, może wpaść na trop całkiem nowej teorii. Może Charabi nie potrzebował zachęty, kuksańca lub pustej groźby, ponieważ od początku pracował dla Iranu. Stąd dzielił nas tylko krok od nieco śmielszej hipotezy, że Charabi od samego początku współpracował lub był agentem irańskiego wywiadu. Bian także połączyła te fakty, bo spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Być może Mahmud Charabi był... - zaczęła Phyllis. - W naszym leksykonie takiego człowieka określa się mianem agenta wpływu. Być może Irańczycy użyli go, aby celowo wprowadzić nas w

błąd. - Chciała powiedzieć coś jeszcze, lecz na jej twarzy pojawiła się nadąsana mina. - Jestem zdumiona, że wcześniej o tym nie pomyśleliśmy. To najstarszy chwyt w naszym fachu.

Sądziłem, że wszystko już w życiu widziałem, lecz hipoteza, pomysł lub podejrzenie - jakkolwiek by to nazwać - że Iran poprzez swojego agenta Charabiego pozyskał najpierw Tigermana, następnie Danielsa i cały Pentagon, a na koniec Biały Dom, niemal przekraczało granice mego pojmowania. Niemal.

Phyllis to rozumiała.

- Trudno się z tym pogodzić, prawda? - zapytała. Skwitowałem milczeniem to niedopowiedzenie. Nadal rozmyślałem o tym, że do wojny mogła doprowadzić chytra intryga Irańczyków pragnących odsunąć Saddama od władzy - Irańczyków, którzy skłonili Wuja Sama do odwołania za nich brudnej roboty. Z jednej strony miało to sens, z drugiej - było go pozbawione.

- Źle się czuję - powiedziała Bian, wstając od stołu. Spojrzałem na nią. Pobladła i chwiała się na nogach. Oparła dłonie na blacie i zaczęła głęboko oddychać.

Nigdy nie należy brać rzeczy zbyt osobiście - to złota zasada - jednak Bian, z powodu osobistego udziału w tej wojnie, była bardziej wzburzona tym podejrzeniem niż Phyllis i ja.

Podejrzenie, że inwazja mogła być wynikiem jakiejś globalnej intrygi, wyraźnie wyprowadziła ją z równowagi. A może zareagowała na tę szokującą teorię jak każdy normalny człowiek. Może byłem bardziej podobny do Phyllis, niż sądziłem - zblazowany i beznamiętny. Naprawdę przerażająca myśl.

Kilka razy przeanalizowałem ją od początku do końca. Charabi i Irańczycy mieli wspólny cel - obalenie Saddama i zaprowadzenie rządów szyitów - lub, co było jeszcze lepsze z punktu widzenia Iranu, rządów uległego szyity, który byłby im winien wielką przysługę. Co więcej, czy można by sobie wyobrazić lepszy scenariusz od tego, w którym Stany Zjednoczone ponoszą ofiary wojny wyprzedzającej, którą większość świata i coraz większa część amerykańskich obywateli uważa za nieuzasadnioną, niepotrzebną i groźną ze strategicznego punktu widzenia? Nadawało to nowy sens przysłowiu o upieczeniu dwóch pieczeni na jednym ogniu.

Teherańscy mułlowie mogli to uznać za wyrafinowaną zemstę na Ameryce za to, że ustanowiła w ich kraju rządy szacha i je popierała. Wiedziałem, że większość Irańczyków wierzy do dziś, że Stany Zjednoczone w jakiś sposób doprowadziły do wojny iracko-irańskiej, a następnie sztucznie ją przedłużały, co w ciągu ośmiu lat przypląciło życiem niemal pół miliona ich rodaków. Chociaż nie było to do końca prawdą, narody mają prawo wymyślać własne wersje wydarzeń. Nie muszą być sprawiedliwe ani trzymać się prawdy, mają jedynie poprawić samopoczucie obywateli - nawet Amerykanie tworzą własne straszidła.

Wszystko to zyskiwało niemal biblijny wymiar - oko za oko, ząb za ząb - czemu zatem nie mielibyśmy mieć wojny za wojnę? Szczególnie jeśli ofiara nawet nie wiedziała o tym, że została wykołowana?

Dokonaliśmy jednak dużego uproszczenia w naszym rozumowaniu. Hipoteza ta wydawała się zgodna ze znanymi faktami, lecz prawda, tak jak życie, zależy od tego, przez który koniec teleskopu spoglądamy.

Phyllis dała nam chwilę na uporządkowanie myśli, a następnie oznajmiła:

- Tylko nasza trójka poskładała fakty. Jest jeszcze dyrektor... którego poinformowałam jakieś dwie godziny temu. Omal nie dostał ataku serca.

Nie była to do końca prawda.

- Jeśli tak faktycznie jest, Charabi i Irańczycy o tym wiedzą - powiedziałem.

- Oznacza to, że... trzymają w szachu prezydenta Stanów Zjednoczonych - zauważyła Bian

przytomnie.

Phyllis przyjęła do wiadomości jej słowa.

- Tak, masz rację. Gdyby ujawnili te fakty, nie potrzebowalibyśmy wyborów w następnym tygodniu. Wystarczyłaby uroczystość koronacji.

To sprowokowało pytanie, które zawsze działało na moją wyobraźnię. Spojrzałem na Phyllis i zapytałem:

- Dlaczego my?

- Uznałam, że muszę oddelegować do tej sprawy swojego najlepszego człowieka.

- Gdzie on jest?

- To ty - odpowiedziała z uśmiechem.

Była to tak piramidalna bzdura, że musiałem odpowiedzieć uśmiechem.

- Mam swoje powody - rzekła.

- Nie mam co do tego wątpliwości. Chciałbym je poznać. Nie była to jednak moja gra, lecz gra Phyllis, dlatego powiedziała.

- Powiedz mi, co o tym sądzisz.

- Powiem ci, co wiem. Martwisz się o przyszłość swojej Agencji.

- To także twoja Agencja. Chcesz się założyć?

- Nie ufasz własnym ludziom. Mogą ujawnić tę informację, aby zniszczyć prezydenta lub wykorzystać ją do zastraszenia lub zaszantażowania Białego Domu.

- Nie twierdzę, że obecny prezydent jest tu darzony szczególną miłością. To prawda, że w Agencji panuje... duża niechęć do obecnej administracji - przyznała. - Wydaje mi się, że masz złe wyobrażenia na temat pracowników Agencji.

- Uważam, że są wspaniali. Nie żartuję. Jesteś jedyną osobą, która ma problem z obdarzeniem ich zaufaniem. Dlatego wybrałaś nas, prawda? Ludzie w mundurach wykonują rozkazy.

- Nie zaprzeczam, że o tym pomyślałam.

- W rzeczywistości ty i twój szef chcecie rozdawać karty - kontynuowałam. -

Kontrolujecie informacje, przebieg śledztwa i jego rezultatami.

Nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła. Nie musiała. Wiedza to potęga, w Waszyngtonie bardziej niż gdziekolwiek indziej, a ta wiedza była odpowiednikiem stumegatowej bomby wodorowej ukrytej w kieszeni.

Wyobraziłem sobie dyrektora CIA siedzącego obok uroczego marmurowego kominka w Gabinetach Owalnych, uśmiechającego się uprzejmie i mówiącego: „Panie prezydencie, nasza Agencja potrzebuje największego budżetu w historii... tak... wiem, wiem...”. W tym momencie przerywa, aby potrząsnąć głową. „Żyjemy w trudnych czasach... dług publiczny narasta... tak, tak, wiem, że trudno będzie to usprawiedliwić... mam tutaj teczkę... niech pan przejrzy jej zawartość. Może zechce pan wesprzeć mnie w tej sprawie”.

Phyllis podniosła kartkę i wręczyła ją Bian, która następnie przekazała ją mnie. Była to kolejna z brakujących notatek, które Charabi przesłał Danielsowi.

Cliffordzie, mój najwierniejszy, najdroższy przyjacielu. Przepraszam, że musiałeś tak długo czekać na obiecaną informację. Powinienem był zaufać staremu arabskiemu przysłowiu: „Obdarzyć zaufaniem Persa to tak, jakby zaufać wężowi”. Ludzie ci to najnikczemniejsza rasa naśladowców Allaha, plugawi żebracy, pomiot Ali Baby, oszukańcze łotry. Upierają się, o czym kilkakrotnie cię informowałem, że zgubili trop tego łotra i musieli go ponownie odnaleźć. Zgodnie z obietnicą moich perskich przyjaciół to prawdziwa gruba ryba, skarbnik Abu Musaba az-Zarkawiego, który zabił wielu waszych żołnierzy i spowodował

mnóstwo zamętu w kraju. Człowiek, o którym ci wspominałem, to Ali Ibn Pasza, Saudyjczyk mieszkający w Falludży w białym domu przy końcu alei Alego, w centrum miasta. Mówią, że można go łatwo rozpoznać po braku lewej nogi. Radzą, aby działać szybko, ponieważ jest cenny i tak sprytny, że nigdzie nie zagrzeje dłużej miejsca. Jak widzisz, przyjacielu, nie jestem nędznym dupkiem, jak nazywałeś mnie w swoich ostatnich listach.

- To ostatnia notatka w tym katalogu - poinformowała nas Phyllis. - Wysłano ją zaledwie dwa dni temu.

Bian spojrzała na mnie.

- Ten człowiek... Ali Ibn Pasza...

- Tak jest. - Phyllis dokończyła jej myśl. - Przypuszczalnie nadal przebywa na wolności w Falludży. Wciąż możemy go aresztować. Ciekawa jestem, jak długo tam pozostanie...? - Wzruszyła ramionami.

Nic nie odpowiedziałem. Miałem nadzieję, że nie pomyślała o tym, o czym zdawała się myśleć.

Kiedy nie zabrałem głosu na ochotnika, zapytała:

- Co ty na to, Drummond?

A zatem o tym myślała. Czy chciałbym uczestniczyć w tej operacji? Nie, absolutnie nie - to był zwariowany pomysł albo jeszcze gorzej.

W końcu Ali Ibn Pasza mógł zostać przeniesiony w inne miejsce lub wszystko mogło się okazać jeszcze jedną intrygą Charabiego i jego irańskich kumpli.

Po drugie, Phyllis miała przede mną sekrety, a taka operacja jest z natury niebezpieczna, nawet jeśli wiesz, co się dzieje za twoimi plecami.

Nie bez znaczenia było także to, że teraz, gdy dowiedzieliśmy się o popełnieniu przestępstwa, nie przekazując informacji FBI, łamaliśmy prawo.

Nie zawsze skrupulatnie przestrzegam reguł i przepisów, szczególnie gdy myślę, że nie zostanę przyłapany.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Bian pochyliła się w jej stronę.

- Wchodzę w to - oznajmiła. - Jeśli się nad tym zastanowisz, uznasz, że świetnie się do tego nadaję.

- A to czemu? - zapytała Phyllis, nie odrywając ode mnie wzroku.

- Byłam w Iraku przez jedną zmianę. Znam kraj i jego kulturę. Płynnie władam miejscowym językiem i mam świeże doświadczenie operacyjne.

Spojrzałem na Bian.

- Czy kiedykolwiek uczestniczyłaś w takiej operacji?

- Przez sześć miesięcy patrolowałam najbardziej niebezpieczne rejony Bagdadu.

- Odpowiedz na moje pytanie.

- Dokonywałam zatrzymań podejrzanych. Planowałam akcje na kryjówki rebeliantów.

- Najwyraźniej nie wyglądałam na przekonanego, bo dodała: - Nie widzę w tym żadnej różnicy.

Różnica była ogromna, a nieświadomość tego faktu była pierwszą wskazówką, że nie nadawała się do tej misji.

- Hrara... nie wiem, jak to powiedzieć. Chodzi o...

- Lepiej nic nie mów - prychnęła. - Służę w żandarmerii. Ty jesteś prawnikiem. Z powodu odbytego szkolenia, doświadczenia i chęci poradzę sobie lepiej od ciebie.

Phyllis odchrząknęła.

- Drummond brał udział w operacjach specjalnych, zanim został prawnikiem. -

Uśmiechnęła się. - Przez pięć lat służył w jednostce wykonującej niemal identyczne operacje jak

ta, którą mam na myśli. Może trochę zardzewiał... powiedziano mi jednak, że z tym jest jak z jazdą na rowerze.

Była w tym cząstka prawdy - słowa Phyllis odsłoniły jej sposób myślenia, intencje i mój ulubiony temat: moją osobę.

Natomiast nie były prawdą jej zapewnienia o łatwym powrocie do służby. Może Sean Drummond był kiedyś szczupłą, sprawną maszyną do zabijania, która spadała z nieba, niosąc śmierć - ważącym osiemdziesiąt kilogramów seksownym facetem. Nowy Drummond ważył

kilka kilogramów więcej, cechował się nową postawą i był bywalcem sal rozpraw, cokolwiek mogłoby to oznaczać.

Szczerze mówiąc, nie pamiętam, kiedy ostami raz byłem na poligonie i od lat nie przebiegłem dystansu większego niż piętnaście kilometrów. Jeśli zapytasz weteranów, potwierdzą, że czynnikiem decydującym o przeżyciu jest szybkość poruszania się - w zależności od dnia, w stronę nieprzyjaciela lub w przeciwną. Do dziś pamiętałem radę, którą wbijano rekrutom do twardego łba: „Na polu bitwy są tylko dwa rodzaje żołnierzy - szybcy i martwi”.

Obecnie byłem szybki w języku, lecz moja praca nóg i instynkt przetrwania wymagały odrobiny pracy. A może całego mnóstwa.

Bian, która potrzebowała chwili, aby przyswoić sobie nowe fakty na temat mojego zawodowego doświadczenia, w końcu wyjąkała:

- Aha!

- Jak widzisz, Drummond ma idealny życiorys - kontynuowała Phyllis.

- To nie ma żadnego znaczenia. Ja się zgłaszam, a on nie - bez najmniejszych kompleksów odparła Bian.

Na chwilę zapanowało milczenie.

Co miałem powiedzieć? Wiedziałem, że Phyllis napuszcza mnie na Bian, wykorzystuje moje rozbuchane szowinistyczne instynkty, a jednocześnie stosuje delikatny szantaż emocjonalny. Ponieważ Phyllis była manipulatorem pierwszej klasy, świetnie wiedziała, jak mną sterować... lecz nie tym razem. Jeśli Bian chciała wziąć udział w operacji, proszę bardzo, jest dużą dziewczynką. Jej życie, jej decyzja. Witamy w świecie wyzwolonym

- równość płci to równe ryzyko powrotu do domu w sosnowej skrzyni.

Zaciekawiony, spojrzałem na Bian, a następnie na Phyllis.

- Co masz zamiar zrobić? - spytałem.

- Sądziłam, że to oczywiste - odrzekła Phyllis. - Chwycić nisko wiszący owoc, czyli pana Ibn Paszę. Bardziej skomplikowane jest to, co zrobimy z Charabim. Na szczęście ten nigdzie nie wyjeżdża, podczas gdy Ibn Pasza w każdej chwili może rozpląnąć się w powietrzu. - Spojrzała na mnie. - Charabi będzie musiał poczekać.

Nie mogłem uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszałem:

- Odnoszę wrażenie, że mamy całkiem odmienną definicję owocu wiszącego na niskiej gałęzi. Ali Ibn Pasza jest w Falludży.

- Masz rację. O ile pamiętam, Charabi wspomina o tym w liście.

- Może nie czytasz gazet. Sześć miesięcy temu armia ogłosiła, że Falludża to ziemia niczyja i wycofała stamtąd wszystkie siły. Falludża jest ekskluzywnym ośrodkiem bojowników dżihadu.

- Potwierdzają to nasze źródła. Bardzo nieprzyjemne miejsce.

- Nieprzyjemne? W Falludży zabito czterech najemników, a ich ciała powieszono na moście.

- Wiem, wiem... mieszkają tam okropni ludzie. To kolejny powód, aby ich powstrzymać, niezależnie od tego, jaką cenę trzeba będzie zapłacić.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że prawdopodobieństwo schwytania tego gościa i wywiezienia go z Falludży jest bliskie zeru?

- Będziemy musieli bardzo starannie zaplanować akcję.

- Zdajesz sobie sprawę, że mogli zastawić na nas pułapkę?

- Tak, należy to wziąć pod uwagę. Z pewnością trzeba będzie uwzględnić ten element w naszych planach.

- To ważna postać. Rebelianci z pewnością zapewnią mu silną ochronę.

- Tak... z pewnością. - Spojrzała na mnie. - Jeśli jednak Charabi powiedział nam prawdę...

- Lub jeśli Irańczycy powiedzieli mu prawdę...

- W porządku... to kolejny czynnik ryzyka. - Phyllis, coraz bardziej poirytowana moimi uzasadnionymi wątpliwościami, dodała: - Jeśli Ibn Pasza jest rzeczywiście skarbnikiem Az-Zarkawiego, jego pochwylenie będzie oznaczało ogromną stratę dla rebeliantów. Duża nagroda jest warta dużego ryzyka.

- Podsunę ci rozwiązanie, które jest pozbawione tego elementu. Wrzucmy mu bombę do komina. Pozbędziemy się Ibn Paszy, a wszyscy będziemy żyli i mogli o tym rozmawiać.

Czy tak nie byłoby lepiej?

- Dlaczego nad tym debatujemy? - wtrąciła się Bian. - Chwilowe pozbawienie Zarkawiego funduszy niczego nam nie da. Miejsce Ibn Paszy zajmie jego zastępca lub pomocnik. Ci ludzie nie są głupcami - nie działają niedbale. Wiem o tym. Byłam w Iraku.

- Gdybyśmy...

- Gdybyśmy schwytali Ibn Paszę, mógłby nam zdradzić wiele cennych tajemnic. -

Spojrzała na mnie. - Nie rozumiesz charakteru tej wojny. Jej celem nie jest zdobycie miast lub utrzymanie terytorium. Chodzi o coś innego - o ludzi, ważnych ludzi, którzy ogrywają kluczową rolę w operacjach nieprzyjaciela. Skarbników, strategów, pirotechników produkujących bomby. Jeśli ich schwytamy i zmusimy do podzielenia się swoją wiedzą, zadamy śmiertelny cios rebeliantom.

Popatrzyła na mnie uważnie, aby upewnić się, że zrozumiałem.

- Nigdy się nie dowiemy, skąd ma pieniądze lub gdzie przebywa Zarkawi, jeśli Ibn Pasza zginie. Przecież na tym nam najbardziej zależy, prawda? Na schwytaniu Zarkawiego.

Na ustaleniu, kto dostarcza mu środków finansowych, i zlikwidowaniu wsparcia.

- A jeśli sami zostaniemy zlikwidowani?

- To nie twój problem. Przecież zostajesz - odpowiedziała.

- Słuszna uwaga.

Popatrzyła na Phyllis i tonem, który uznałem za obraźliwie lekceważący, zasugerowała:

- Nie potrzebujemy go. Sama sobie poradzę. Phyllis wyraźnie unikała mojego spojrzenia.

- Masz rację. Sean, możesz już iść. Nie musisz wiedzieć, o czym będziemy rozmawiały. Chyba nie trzeba ci przypominać...

- Wiem. Jeśli wiadomość o tej akcji wycieknie na zewnątrz, zawieszysz moje jaja na ścianie.

- W tym miejscu - odpowiedziała, wskazując wolną przestrzeń. - O tej operacji wiedzą jedynie trzy osoby. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że źródło przecieku będzie łatwe do zlokalizowania.

- Znam swoje obowiązki, Phyllis, i je wykonam.

Wstałem. Przeniosłem spojrzenie z jak zawsze nieprzeniknionej Phyllis na Bian, która wyraźnie unikała kontaktu wzrokowego.

Ktoś musiał coś powiedzieć, więc po niezręcznej pauzie Bian oznajmiła:

- Miło było z tobą współpracować, Sean. Jeśli kiedykolwiek... - Uśmiechnęła się słabo. - Jeśli kiedykolwiek będę potrzebowała prawnika, mam nadzieję, że zgodzisz się mnie reprezentować.

- Jeśli weźmiesz udział w tej operacji, z pewnością będziesz go potrzebowała.

Nie odpowiedziała.

Zrobiłem dwa kroki w stronę drzwi i przystanąłem. Nie lubię takiego zakończenia.

Wiedziałem, że nie będą mnie słuchały, musiałem jednak podjąć ostatnią próbę. Domyślałem się, dlaczego Phyllis uważa tę akcję za dobry pomysł - dla takich ludzi jak ona spisek, podstęp i oszustwo są jak tlen. Ale Bian? Byłem ciekaw, o czym myślała.

Odwrociłem się.

- Waterbury ci na to nie pozwoli - powiedziałem Bian. - Przecież wiesz.

- Zostaw go mnie - rzekła zamiast niej Phyllis. - Z pewnością zdołam go przekonać. W interesie Pentagonu leży wypożyczenie nam Bian.

- Zaszantażujesz go.

- Uczynię, co będzie trzeba.

- Robisz to z powodu Marka? - zapytałem Bian.

- Co?

- Przecież słyszałaś.

- Jego w to nie mieszaj.

Przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie. Rzuciła mi spojrzenie kobiety, która obudziła się w łóżku obok zupełnie nieznanego mężczyzny.

- Zgadłem. Z jakiegoś powodu uważasz, że jesteś mu to winna.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Zakończyłaś swoją zmianę, Bian. Teraz kolej na niego. Gdyby był tutaj, z pewnością powiedziałby ci to samo.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Gdyby choć w połowie był takim facetem, za jakiego go uważam... - Szczerze powiedziawszy, nawet ja nie potrafiłem dokończyć tego komunału. Pochyliłem się nad stołem i przysunąłem głowę na odległość pięciu centymetrów od jej twarzy. - Już wykonałaś swoje zadanie.

- Nie wiedziałam, że istnieje granica obowiązku wobec kraju.

- Obowiązku, nie, ale głupoty, owszem. - Wskazałem na Phyllis. - Ona tobą manipuluje.

- Zdaję sobie sprawę, co się tutaj dzieje.

- Nie sądzę.

- Zapewniam cię, że tak... Lepiej od ciebie.

- W takim razie wiedziałabyś, że istnieją inne sposoby załatwienia tej sprawy. Coś ci powiem, niektóre z nich są naprawdę sensowne.

- To nie wchodzi w grę - odparła. - Jeśli opinia publiczna dowie się o głupocie Daniela, prawda o tej wojnie ujrzy światło dzienne. Staniemy się pośmiewiskiem w oczach świata. Nasi koalicjanci wycofają wojska z Iraku. Ofiara życia okaże się daremna... nie chcę mieć tego na sumieniu.

Phyllis wstała i podeszła do mnie. Wskazała palcem na zegarek.

- Miałaś szansę się wypowiedzieć. Czeka nas dużo pracy, a czasu zostało niewiele.

Proszę, abyś nas zostawił.

Odwrociłem się i ruszyłem w stronę drzwi. Nie ma mowy, abym wziął w tym udział.

Wyraziłem swoją opinię i miałem czyste sumienie. Moje postępowanie z pewnością nie wzbudzi zastrzeżeń komisji, która będzie badała okoliczności tej głupiej sprawy.

Ponownie odwróciłem się na pięcie i usiadłem.

Bian przyglądała mi się przez chwilę.

- Nie potrzebuję twojej rycerskości.

- A mojej głupoty?

- Nie żartuję, Sean. Nie jestem bezradną damą w opałach, która potrzebuje pomocy błędnego rycerza.

- Nie chodzi o ciebie.

- W takim razie...

Wskazałem na Phyllis i powiedziałem:

- Będę miał ją na oku.

Phyllis uśmiechnęła się. Wiedziałem, że spodziewała się takiego obrotu sprawy.

Nienawidzę tego, że jestem taki przewidywalny, lecz postanowiłem, że nie dam jej satysfakcji i nie okażę, jak bardzo mnie wkurzyła. Uśmiechnąłem się.

Najwyraźniej i to przewidziała, bo powiedziała:

- Powiem ci, jak to załatwimy, Drummond. Wyciągniesz tego faceta z Falludży, a ty, Bian, wykorzystasz swoje umiejętności śledcze i znajomość języka, aby wydobyć z niego informacje.

Spojrzałem na Phyllis.

- A ty czym będziesz się zajmować?

- Ktoś musi wykombinować, co zrobić z Charabim.

- A więc to jest nasza marchewka?

- Jeśli się przyłączysz, będziemy mogli upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Rozdział osiemnasty

Wyprawa do strefy bezpośrednich działań wojennych bywa zwykle poprzedzona długimi i rozległymi przygotowaniem, miesiącami wyczerpującego szkolenia, zabezpieczeniem sprzętu i ludzi, poznaniem sytuacji panującej w kraju, ponownym potwierdzeniem podjętej decyzji i tak dalej.

Zacznijmy od plusów. Dzięki temu człowiek zdobywa wiedzę, odpowiednie przygotowanie psychiczne i wyszkolenie, co pomoże mu przeżyć. Taka sytuacja stwarza również okazję do zapięcia wszystkiego na ostatni guzik i opracowania scenariuszy awaryjnych. Po stronie minusów można wymienić całe miesiące bezsennych nocy pełnych niepokoju i lęku wywołującego lodowaty dreszcz.

Właśnie dlatego byłem rad, że od rozpoczęcia akcji dzieli nas zaledwie siedem godzin.

Z drugiej strony każde uprzedzenie o akcji wzbudziłoby moje niezadowolenie. Wiedziałem, że kluczem do sukcesu jest szybkość działania. Pan Ibn Pasza mógł być paranoikiem, który co noc zmienia miejsce pobytu, lecz z drugiej strony mógł czuć się bezpiecznie w Falludży i zapomnieć o bezpieczeństwie. Liczyliśmy na jego niedbalstwo i byliśmy dobrej myśli.

Phyllis wyraziła zgodę, abym na pięć godzin wrócił do swojego mieszkania, odpoczął, wziął prysznic, zapakował kilka mundurów polowych i innych drobiazgów, a następnie zameldował się w biurze na szybką, dwugodzinną odprawę. Mieliśmy się zapoznać ze wstępnym zarysem planu, który, mówiąc słowami Phyllis, „ewoluował i był ciągle udoskonalany”, z zastrzeżeniem, że „poznamy aktualną wersję, gdy znajdziemy się na miejscu”.

Zastanowiłem się nad tym, co powiedziała.

- Inaczej mówiąc, mam wyskoczyć z samolotu bez spadochronu, mając nadzieję, że zanim wyląduję, przesunie się ziemia.

- Nie przejmuj się. Tylko dobrzy ludzie umierają młodo.

- Będziesz żyła wiecznie.

Na jej twarzy pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

- Kiedy wylądujecie w Iraku, nie będziemy ryzykować kontaktu telefonicznego -

pouczyła. - Na terytorium tego kraju działa kilka systemów nasłuchu. Oczywiście, to dla nas

obszar o strategicznym znaczeniu, a przyjaciele z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego przypuszczalnie przechwycą wasze rozmowy jako komunikaty nieprzyjaciela. W Iraku będziecie zdani na własne siły.

Już teraz mogłem liczyć wyłącznie na siebie, lecz zachowałem to spostrzeżenie dla siebie.

Powiniennem wspomnieć o tym, że Bian nie pojawiła się na odprawie, nie pozostawiła mi też karteczki z życzeniami udanych łowów, przyjemnej podróży lub czegoś w tym rodzaju.

W sumie nie miało to większego znaczenia, ponieważ za dzień lub dwa miała się do mnie przyłączyć w Iraku, chyba że szybko odzyska zdrowy rozsądek.

Starszy lekarz CIA o dziwacznych manierach zrobił mi trzy zastrzyki ze szczepionką na choroby, o których nigdy wcześniej nie słyszałem, po czym wręczył buteleczkę z pigułkami na malarię, ostrzegając, abym unikał miejscowego jedzenia. Uznałem, że nie będę miał z tym większego problemu, ponieważ, jak wcześniej wspomniałem, pikle w hamburgerach były dla mnie najlepszą potrawą.

Doktor wcisnął mi do ręki pudełko ze środkami profilaktycznymi, w którym ze zdumieniem odkryłem dwadzieścia cztery prezerwatywy. Tak jak każdy byłem nadmiernie pewny siebie, ale miałem przebywać w Iraku nie więcej niż dwa, najwyżej trzy dni.

- To największy rozmiar, jaki macie? - zapytałem. Roześmiał się, udając, że słyszy ten dowcip po raz pierwszy.

Pomyślałem, że to idiotyczny żart, lecz ludzie wyruszający w samobójczą misję mają skłonność do wisielczego humoru.

- Mylisz się - poinformował. - W Iraku nie ma szans na miłość. Żołnierze używają prezerwatyw, aby do lufy nie dostał się pył i nie pokryła jej rdza. Ha, ha!

Ha, ha! Facet był bardzo zabawny. Mówię poważnie.

Później Phyllis wzięła mnie na stronę i powiedziała kilka słów na pożegnanie, które były krótkie, a jednocześnie tak serdeczne i poruszające, że trochę się wzruszyłem.

- Jeśli spieprzysz sprawę, dobiore ci się do tyłka.

Kolejnym przystankiem był parking, na którym czekał już black hawk. Wspiąłem się na pokład i po niecałej godzinie dotarliśmy do Delaware.

Lecieliśmy na niskim pułapie i zamiast rozmyślać o ponurej przyszłości, zająłem się obserwowaniem okolicy. Ameryka to naprawdę wspaniały, inspirujący kraj. Krajobraz urozmaicały okazałe rezydencje z dużymi basenami. Przybudówki i budynki gospodarcze były przypuszczalnie kabinami plażowymi, pracowniami artystów lub drugimi domami, w których trzymano zwariowane ciotki i starzejących się rodziców.

Nasze społeczeństwo, podobnie jak każde inne, stanowi przyprawiającą o zawrót głowy mieszankę biednych i bogatych. Myślę, że wyróżnia je to, że u nas biedni mogą stać się bogatymi, a bogaci jeszcze bogatszymi... ewentualnie wszystko stracą i skończą jako czyściciele wspomnianych basenów. Pewnie dlatego przeżyliśmy tylko jedną rewolucję.

Przyjmujemy to za rzecz oczywistą, ponieważ Ameryka przetrwała ponad dwieście lat i będzie istnieć kolejnych dwieście, bez końca. Fundamenty naszego kraju nie są już jednak tak silne i niewzruszone, jak kiedyś sądziliśmy, czego dowiodło dziewiętnastu maniakałnych samobójców pamiętnego jedenastego września. Przypominało to telefoniczne budzenie -

ostrzegawczy klakson, że są wśród nas źli ludzie, którzy objęli w posiadanie noc, dlatego musimy zdobyć się na odwagę, aby siłą woli i zbrojnego ramienia odzyskać ją dla siebie.

Chociaż od tamtego ataku minęły zaledwie trzy lata, kolejki w komendach uzupełnień zmalowały, a smutna i bezsensowna historia gwiazdy muzyki pop oskarżonej o molestowanie chłopców zepchnęła

na dalszy plan to, co dzielni mężczyźni i kobiety robili w Iraku i Afganistanie.

Uderzyło mnie to, że obecna wojna nie wydała wielkich bohaterów, a przynajmniej nie dowiedziała się o nich amerykańska opinia publiczna. Nie mieliśmy nowego Audiego Murphy'ego, Doolittle'a czy Schwarzkopfa. Jako naród przestaliśmy gloryfikować wojnę, co było przypuszczalnie zdrowe i dobre dla społeczeństwa. Dziwiła mnie natomiast utrata szacunku dla naszych żołnierzy.

Nie oznacza to, że Sean Drummond rozmyślał o tym, by wrócić z wojny w glorii chwały. Kiedy pierwszy raz wyruszałem na wojnę, ojciec udzielił mi dobrej rady: „Martwy bohater pozostaje martwy. Wracaj do domu, synku”.

Do tej pory brałem udział w trzech wojnach, a z ostatniej przywiozłem kilka paskudnych ran, które były ostrzeżeniem lub świadectwem wskrzeszenia do nowego życia.

Zawsze gdy je widzę, zastanawiam się, czy los nie myśli sobie: „Ten błazen sądzi, że może ze mną igrać. Przykręcę mu śrubę”.

Oczywiście nie musiałem przechodzić przez normalną kontrolę paszportową lub celną, nie musiałem też uaktualnić wizy ani paszportu. Kartą pokładową był wojskowy identyfikator oraz zestaw świeżo wydrukowanych, chociaż fałszywych, rozkazów. Miałem polecieć z bazy lotniczej w Dover lśniącem boeingiem 747 zakontraktowanym przez siły powietrzne Wujka Sama.

Na pokładzie samolotu było około dwustu żołnierzy i kilku marines, w większości mężczyzn. Dostrzegłem zaledwie garstkę młodych kobiet, które przeżyły sześć miesięcy w Iraku i wracały z dwutygodniowego urlopu przeznaczonego na odpoczynek i pobyt w kraju.

Wystarczy wyobrazić sobie dwieście osób, które właśnie spędziły dwa tygodnie na pieprzeniu i picciu, aby odgadnąć, że w tym samolocie nie panowała szczęśliwa atmosfera.

Zająłem miejsce obok kapitana, który miał na kołnierzyku skrzyżowane karabiny piechoty oraz plakietkę z nazwiskiem „Howser”. Przez pierwszą godzinę nie odezwał się ani słowem. Na kolanach trzymał gruby album ze zdjęciami, który ciągle wertował, spoglądając z rozmarzeniem na zdjęcia pięknej młodej żony i dwójki małych bliźniaczek, uroczych niczym szczeniaki.

Nie mając nic lepszego do roboty, oglądałem zdjęcia przez ramię. Najwyraźniej mu to nie przeszkadzało, jednak w końcu spojrzał na mnie i zapytał:

- Nie jest pan żonaty, sir?

- Nie.

- Może tak jest lepiej.

- Niewykluczone.

- Nie musi się pan o nikogo martwić.

- Chciał pan powiedzieć, że nikt nie musi się martwi o mnie.

- Taak... - Po tych słowach kapitan Howser rozpoczął rozwlekłą opowieść o swojej żonie, Sarze, dziewczynkach, Lindley i Annie, oraz o tym, jak spokojnie spędzili dwa ostatnie tygodnie urlopu. Bardzo krzepiące. Dwaj faceci siedzący obok siebie podczas długiego międzynarodowego lotu, zabijający czas sentymentalnymi wspomnieniami i głupimi anegdotami: opowieścią o pierwszych krokach Lindley, pierwszej wyprawie Anny do nocnika (udanej), o tym, że Sara nie skarżyła się na jego nieobecność, nie lamentowała, że czuje się samotna, nie wspominała o niepokojach, który przeżywała, słysząc dzwonek u drzwi i myśląc, że przyniesiono jej złą wiadomość.

Pasażerowie tego niezwykłego lotu różnili się od pół miliona innych ludzi przemierzających oceany świata. Żaden nie chciał znajdować się na pokładzie, żaden nie chciał pamiętać o miejscu, do którego leci, żaden nie miał też zagwarantowanego biletu powrotnego.

Czasami zazdroszczę takim facetom jak Howser - mają do kogo wrócić, kogoś, kto chce, aby byli w domu. Z jakiegoś dziwnego powodu pomyślałem o Bian i jej ukochanym, majorze Marku

Kemble'u.

Czułem, że pozornie nielogiczny entuzjazm, z którym Bian odniosła się do tej misji, miał coś wspólnego z jego osobą, z poczuciem niesprawiedliwości, jaka spotkała jej ojca i Wietnam, z wojną przegraną dlatego, że Ameryka utraciła wiarę w tę sprawę. Były to potężne namiętności serca i umysłu - miłość i upiory, żywi i umarli, mężczyzna, którego kochała, i wojna, która pozbawiła ją okazji wyrażenia miłości ojcu.

Mówiąc słowami Tennessee Williamsa, serce jest najbardziej upartym z ludzkich narządów. Jeśli chodzi o kobiety, wydaje się to niemal słuszne. U mężczyzn nie uwzględnia innego, jeszcze bardziej upartego narządu.

Rozmyślania te skłoniły mnie do pytania o motywy, które sprawiły, że znalazłem się na pokładzie tego samolotu, gotowy wziąć udział w operacji, którą mój instynkt uważał za brawurową, moja wiedza prawna - za nielegalną, a doświadczenie zawodowe - za graniczącą z misją samobójczą.

Przypomniałem sobie ulubioną radę ojca: nigdy nie podpisuj czeków własnym fiutem.

Dobra rada, tato, podobnie jednak jak w wypadku większości innych rad diabeł tkwi w szczegółach.

Musiałem przyznać, że Bian wywarła na mnie silne wrażenie. Jeśli mam być całkiem szczery, byłem nią lekko oczarowany i zapewne ciut zazdrosny o majora Marka Kemble'a.

Bian była naprawdę wyjątkowa i urocza, istne ucieleśnienie amerykańskiego marzenia.

Przybyła do naszego kraju jako mała dziewczynka, uboga, zagubiona, przepełniona tęsknotą za ojczyzną, przedwcześnie pozbawiona ojca. Mimo to nauczyła się nowego języka, przyswoiła sobie obcą kulturę, ciężko pracowała i spędziła cztery lata w specyficznej amerykańskiej instytucji, jaką jest West Point. Podejrzywałem, że gdybym zajrzał do jej teczki, okazałoby się, że ma doskonałą opinię jako oficer.

Krótko mówiąc, była to obdarzona niezwykle zdolnościami intelektualnymi, energiczna i zdeterminowana dama. Doświadczenia z innymi dziećmi imigrantów podpowiadały mi, że Bian Tran z nieco przesadnym patriotyzmem odnosiła się do ideałów nowej ojczyzny, upojona poczuciem obowiązku i przypuszczalnie gotowością do złożenia w ofierze tych, których kochała.

Ci z nas, którzy przyszli na świat jako obywatele tego kraju, są przekonani, że na nie zasługują, a szczególnie na owoce trudów tego kraju. Nie sądziłem jednak, aby Bian była bezmyślną fanatyczką. Szczerze powiedziawszy, byłem pewny, że jej działaniami kierowało coś innego, większego - być może miłość, poczucie winy lub jedno i drugie. Postanowiłem, że zwrócę na to baczną uwagę.

Dodam, że nie ufałem Phyllis i CIA. Po kilku miesiącach pracy w tej instytucji odkryłem, że byli w niej dobrzy ludzie pełni patriotyzmu, odwagi i niezwykłych talentów, którzy prawie zawsze robili to, co uważali za najlepsze dla republiki. Problem w tym, że czynili to za zasłoną dymu i luster, a to prawie zawsze utrudnia osąd i, co gorsza, osiągnięcie dobrych rezultatów.

W pewnej chwili kapitan Howser rozpoznał kogoś siedzącego w przedniej części samolotu i opuścił mnie. Najwyraźniej manewr ten łączył się z zamianą miejscami, gdyż po chwili w przejściu obok stanął rosły, przysadzisty mężczyzna z paskami i rombem sierżanta sztabowego na kołnierzyku i plaketką z nazwiskiem „Jackson”. Spojrzał na mnie i zapytał:

- Mogę się przysiąc, pułkowniku?

- Jeśli masz album ze zdjęciami. Zaśmiał się.

- Jestem rozwiedziony. Dwukrotnie. A co jeśli powiem, że one wszystkie to cholerne suki? - Po tych słowach rozparł się wygodnie w fotelu.

Na lewym ramieniu sierżanta Jacksona zauważyłem odznakę Pierwszej Dywizji Piechoty, w

której pełnił służbę, a na prawym, znak Trzeciej Dywizji Pancerniej, w której walczył podczas poprzedniej wojny lub poprzedniej zmiany. Był weteranem tej nużącej, pozbawionej romantyzmu wojny, kimś, kto „tam był i to robił”, a teraz czuł się zbyt zmęczony, aby o tym mówić.

- Widzę, że jest pan z Wojskowego Biura Śledczego - zauważył, patrząc na moje ramię. -
Oddelegowali pana do Iraku?

- Nie.

- W takim razie dlaczego...

- Jestem turystą. Możesz mi polecić jakiś dobry hotel? Z basenem i klubem odnowy.

Przydałby się też dobrze zaopatrzony bar.

- Chyba panu odbiło. - Zaśmiał się.

- Mnie? A kto tam wraca po raz drugi? To krótka misja. Załatwię sprawę i wracam.

- Aha... - Przez chwilę myślałem, że znokautuje mnie swoimi potężnymi pięściami i przebierze się w mój mundur.

- Jadę na spotkanie z klientem - wyjaśniłem. Rzeczywiście, taka była moja oficjalna przykrywka. Gdyby kto pytał, napisano o tym w sfałszowanym rozkazie, który miałem w kieszeni na piersi. Dobra przykrywka jest zawsze oparta na faktach i rzeczywiście w Iraku był więzień, któremu postawiono zarzuty, chociaż nie przydzielono mu jeszcze prawnika.

Pobieżnie przejrzałem teczkę z aktami jego sprawy, aby uczynić swoją przykrywkę bardziej wiarygodną. Facet nie miał najmniejszych szans.

- Za co go zapuszkowali? - zapytał Jackson.

Uznałem to za dobrą okazję do przeciwiczenia swojej przykrywki, więc odpowiedziałem:

- Za złe traktowanie irackiego jeńca.

- W ostatnim czasie ludzie stali się dziwnie wrażliwi.

- Trudno zaprzeczyć.

- Od czasu Abu Ghraib.

- Taak.

- Tamci byli bandą szurniętych idiotów. O czym, do cholery, myśleli?

- Nie myśleli.

- Pański facet brał w tym udział? - zapytał po chwili Jackson.

- Nawet nie dotknął tamtego.

- Uhm...

- Niestety, siedmiu świadków i szczęka ofiary złamana kolbą karabinu utrudni nam trochę sprawę w sądzie.

Jackson się roześmiał.

- Faktycznie, dostrzegam w tym pewien problem. Ponieważ moja wiedza na temat wspomnianej sprawy uległa wyczerpaniu, zmieniłem temat i zapytałem:

- Jak tam jest?

Przez chwilę zastanawiał się, co odpowiedzieć.

- Do dupy.

Każdy żołnierz, który odczuwa zadowolenie, przebywając w strefie działań wojennych, potrzebuje badania psychiatrycznego.

- Czy ta wojna jest tego warta? Zrozumiał, o co pytam, i odpowiedział:

- Teraz, tak.

- Dlaczego dopiero teraz?

- Zna pan Tennysona? - Po chwili dodał tytułem wyjaśnienia: - Alfreda... angielskiego poetę.

„Nie wolno im pytać, dlaczego mają iść i ginąć”.

- *Szarża lekkiej brygady* - odpowiedziałem.

- Te słowa mówią wszystko.

- Pierdoły. Zaśmiał się.

- Kompletne pierdoły. - Odwrócił się w moją stronę. - Miesiąc temu odesłałem dwóch chłopaków w workach do domu. Ich śmierć nie jest mi obojętna. - Przez chwilę zastanawiał się nad losem swoich towarzyszy. - Lepiej, aby ta wojna była tego warta.

Wyrząłem przez okno na bezkresne błękitne niebo i chmury przypominające piankę.

W oddali dostrzegłem odrzutowiec lecący w kierunku, z którego wystartowaliśmy. Może jego smukły srebrny kadłub był wypełniony żołnierzami, którzy wracali do domu po roku spędzonym na wojnie, pełni wspomnień o długich, męczących dniach, rannych, poturbowanych lub martwych kolegach.

Uderzyła mnie trafność obserwacji Bian - mogliśmy wydobyć na światło dzienne prawdę o tej wojnie. Niektórzy z lecących tym samolotem uznaliby mnie za człowieka roku, lecz w większości wzbudziłbym nienawiść.

Sierżant Jackson zamknął oczy. Żołnierze służący na froncie potrafią zasnąć snem niemowlaka. Nie minęło trzydzieści sekund, a mój rozmówca zapadł w śpiączkę i zaczął

głośno chrapać. Uznałem, że pora zabrać się do roboty. Otworzyłem teczkę, wyciągnąłem gruby plik dokumentów, pomyślałem przez chwilę i zacząłem w nich grzebać.

Przypominałem sobie stare wojskowe porzekadło - plan istnieje do chwili, w której zacznie być wcielany w życie. W zasadzie jest to zgodne z prawdą, chociaż plan stanowi ważny punkt odniesienia, a jeśli człowiek naprawdę odrobi pracę domową, będzie miał do dyspozycji rozsądne możliwości, gdy w powietrzu zacznie fruwać gówno. W tym wypadku mieliśmy coś, co można by streścić słowami: „kieruj się własnym przeczuciem, gnojku”.

Wszystko sprowadzało się do tego, co w wojsku określa się mianem brania jeńców.

Oczywiście słowo „branie” sugeruje, że goście, o których mowa, nie mają na to najmniejszej ochoty. Takie operacje są bardzo ryzykowne, źli faceci przebywają bowiem zwykle na własnym terenie w towarzystwie kompanów, a ty musisz działać szybko, w przeciwnym razie sam znajdziesz się w opałach. Czasami role ulegają odwróceniu, jednak rozmyślanie o tym przynosi pecha. Z kolei trudno tego uniknąć.

W celu zapewnienia ścisłej tajemnicy kluczowa część operacji miała zostać przeprowadzona przez prywatne osoby zatrudnione przez Phyllis, która postanowiła użyć ich zamiast pracowników Agencji lub wojskowych, bo ci mogliby okazać się wścibscy i wypytywać, kim jest Sean Drummond lub Ali Ibn Pasza.

Faceci, o których mowa, pracowali dla Agencji już wcześniej i pomyślnie przeszli próbę - przeżyli i byli gotowi do kolejnego zadania. Jeśli jesteście tego ciekawi, nie byli najemnikami i z pewnością podkreśliliby ten fakt. Byli amerykańskimi patriotami, głównie dawnymi żołnierzami i członkami oddziałów specjalnych marynarki wojennej, którzy w dalszym ciągu służyli krajowi, lecz tym razem robili to za trochę większe pieniądze.

Czemu nie? Dostawali śmieszne sto lub dwieście tysięcy rocznie, odszczekiwali się przełożonym, a gdy mieli wszystkiego dość, brali kasę i odchodzili. Uznałem, że byłby to niezły pomysł na drugą karierę Drummonda.

Byli jednak zawodowcami, zwykle starannie wybranymi, o dużym doświadczeniu i nie dostawali kasy, jeśli nie narobili sporo huków.

Z faktem zatrudnienia ludzi z zewnątrz łączył się mój niepokojący brak zaufania do szefowej.

Chociaż nie cierpiałem na paranoję, zdawałem sobie sprawę z poważnej korzyści związanej z wzięciem prywatnych wykonawców. Ci ludzie odpowiadali wyłącznie przed osobą, która wystawiała im czek, i nie zadawali żadnych pytań. Chociaż nie spodziewałem się, że wpakują mi kulę w głowę, musiałem pamiętać o tym fakcie.

Oczywiście, Phyllis nigdy by mi tego nie zrobiła. Byliśmy przyjaciółmi, prawda?

Tak czy owak przed odlotem otrzymałem nazwisko swojego kontaktu w Iraku - Erica Findera (przypuszczalnie był to pseudonim, który przyjął na czas akcji) - miejsce spotkania oraz hasło, które mieliśmy wymienić, aby potwierdzić swoje *bona fide*. Nieźle, prawda?

W mojej teczce z prawniczymi dokumentami znajdowała się mapa i zdjęcia satelitarne Falludży, w której przebywał Ali Ibn Pasza oraz kilka grubych plików z informacjami na temat wspomnianego miasta i oceną zagrożenia związanego z osobą niejakiego Ahmada Fadila Nazzala al-Chalaję - Jordańczyka będącego *nom de guerre* Az-Zarkawiego - dokonaną przez agentów CIA pracujących w Iraku. Nawiasem mówiąc, w dokumentach ani razu nie padło nazwisko pana Alego Ibn Paszy.

Sytuacja była następująca: Az-Zarkawi stał na czele bliżej nieokreślonej organizacji.

Nie znaleźliśmy jej dokładnej liczebności, nie wiedzieliśmy, jacy ludzie do niej należą, nie dysponowaliśmy też listą jej członków. Zakładaliśmy, że żołnierze Zarkawiego to mała garstka zaufanych twardzieli, kilkuset bojowników i samobójców oraz kilka tysięcy sympatyków zapewniających im schronienie, transport, dorywczą pracę, wsparcie logistyczne, gromadzenie informacji wywiadowczych i tak dalej.

Ludzie ci byli mieszanką Irakijczyków i wszechstronnie utalentowanych cudzoziemców. Za znamienne uznałem to, że miejscowa ludność sunnicka w przeważającej części opowiadała się po ich, a nie naszej stronie. Rzeczywiście, okoliczni mieszkańcy uważali Zarkawiego za kogoś w rodzaju Robin Hooda, chociaż zabierał pieniądze bogatym, a biednym niósł jedynie śmierć. Wraz z upływem czasu zabijanie Amerykanów stało się zbyt trudne i ryzykowne, dlatego Zarkawi przerzucił się na mordowanie Irakijczyków, często zupełnie na ślepo, co spowodowało zaostrzenie stosunków z miejscowymi.

Wiedzieliśmy, że jego organizacja składa się z małych odrębnych komórek -

niewielkich grup tworzących pionową, a nie poziomą strukturę, co powodowało, że prawica nie wiedziała, co czyni lewica. Zlikwidowaliśmy kilka z nich lub przeniknęliśmy w ich szeregi, lecz do tej pory nikomu nie udało się dotrzeć do przywódcy, co uznałem za interesujące.

Za głowę Zarkawiego wyznaczono nagrodę - dwadzieścia pięć milionów dolarów. W

tej części świata, gdzie dwa tysiące wystarczały, aby człowiek sprzedał uroczą ukochaną córkę cuchnącemu handlarzowi wielbłądów. Oznaczało to, że Az-Zarkawi był bardzo sprytny, wzbudzał wielkie przerażenie i miał ogromne szczęście lub był bardzo bezlitosny, przy czym jedno nie wykluczało drugiego.

Oczywiście to, co przeczytałem, nie było dla mnie nowością. Podobnie jak inni świadomi przedstawiciele amerykańskiej opinii publicznej, wiedziałem, kim jest pan Az-Zarkawi, znałem również jego najbardziej ekstrawaganckie dziwactwa. Facet lubił pokazywać swoją zamaskowaną twarz w telewizji i jak mawiają nasi przyjaciele z mediów, wiedział, jak podnieść wskaźnik oglądalności Nielsona. Do jego charakterystycznych zachowań nakierowanych na zwrócenie na siebie uwagi było kręcenie filmów wideo domowej roboty, pokazujących, jak ścina bezbronne ofiary, co wskazywało, że w kilku ważnych kwestiach nie zgadza się z zachodnią cywilizacją. Gdyby Sean Drummond wpadł w jego ręce, mógłby zrobić bardzo dramatyczną karierę teatralną, niestety ograniczoną do jednego aktu.

Tak czy inaczej po dwóch godzinach lektury przypomniałem sobie, że poprzedniej nocy spałem

zaledwie trzy godziny. Przeciągnąłem się, odłożyłem papiery, zamknąłem teczkę i po kilku sekundach zapadłem w głęboki sen.

Chciałbym powiedzieć, że odpocząłem i miałem przyjemne sny, jednak po przebudzeniu pamiętałem jedynie następujący: Klęczałem na małej czarnej macie, za mną stały trzy wysokie postacie z czarnymi maskami na głowie. Usta zaklejono mi taśmą. Chwilę później jakaś dłoń pociągnęła głowę do tyłu i nad moim gardłem zawisło duże, lśniące ostrze... przysuwające się coraz bliżej i bliżej, aż...

Rozdział dziewiętnasty

Ze snu wyrwało mnie szarpnięcie kół wielkiego boeinga 747, podskakującego i kołyszącego się na twardym pasie startowym. Otworzyłem oczy, wyjrzałem przez okno i od razu wiedziałem, że coś jest nie w porządku - wylądowaliśmy na innym lotnisku. Mimo wszystko miejsce to wydało mi się znajome - czułem, że byłem tu już wcześniej. Przetarłem oczy i już wiedziałem, gdzie jestem - wylądowaliśmy w Kuwejcie.

Drugą wskazówką był komunikat pilota, który spokojnym tonem, sugerującym, że „wszystko jest w pieprzonym porządku”, oznajmił:

- Panie i panowie, dziękujemy za wybranie linii United. Ze względów bezpieczeństwa zostaliśmy zawróceni znad Bagdadu, gdyż tam obecnie groziłby nam atak pocisków ziemia-powietrze. Przepraszam za niedogodność. Po opuszczeniu pokładu żołnierze skierują państwa do konwojów jadących na północ.

Takiego komunikatu nie można usłyszeć na trasach krajowych, lecz facet zrobił to tak zręcznie, że przez ułamek sekundy myślałem, iż jestem na pokładzie zwyczajnego samolotu i za chwilę powiadomią nas o darmowych voucherach na jedzenie lub czymś w tym rodzaju, aby załagodzić nasze niezadowolenie.

Niestety, po chwili ton głosu pilota nabrał grobowej powagi:

- Uważamy za wielki zaszczyt, że mogliśmy gościć was na pokładzie... z całego serca... w imieniu całej załogi... życzę, aby Bóg wam błogosławił.

Odniosłem wrażenie, że słyszę, jak pasażerowie nerwowo przełykają ślinę.

Wystarczyłoby zwyczajne życzenie powodzenia. Piękne dzięki.

Pilot ustawił ogromną maszynę pośrodku dużego pustego zjazdu z prawej strony pasa, gdzie nie było innych samolotów ani budynków terminalu. Chociaż panowała ciemna noc, lotnisko było dobrze oświetlone. Dostrzegłem krzątające się wokół pojazdy - wyłącznie amerykańskie samochody wojskowe.

Spojrzałem na zegarek, który przestawiłem na miejscowy czas. Była czwarta rano. Do kadłuba przytoczono schodki. Wysiedliśmy i ustawiliśmy się w dużej gromadzie, podczas gdy nasze marynarskie worki i rzeczy osobiste wylądowywano na taśmociąg i układano w długi szereg.

Kilku nadgorliwych facetów z opaskami żandarmerii wojskowej, podkładkami do pisania i latarkami zaczęło zaganiać żołnierzy, kierując ich w wyznaczone punkty zborne w zależności od jednostki, w której służyli, i części Iraku, do której się udawali. Armia cieszy się reputacją sprawnej instytucji, na którą rzadko zasługuje. Chyba właśnie dlatego nieoficjalnym motto naszego wojska jest „szybciej i poczekać”. Lecz jeśli skuteczność leży w jego interesie, w wojsku zwykle wszystko idzie jak należy.

Wymieniliśmy uścisk dłoni z sierżantem sztabowym Jacksonem, życząc sobie szczęścia. Cicho odłączyłem się od grupy, pewny, że Phyllis dowiedziała się o nieoczekiwanej zmianie i dokonała niezbędnych modyfikacji.

Nie powierzyłbym Phyllis swojego życia, byłem jednak pewny, że dowiezie mnie tam, gdzie

chce, abym się znajdował.

Nawiasem mówiąc, w Kuwejcie panowała przyjemna pogoda. Temperatura wynosiła dwadzieścia cztery stopnie. Ani śladu deszczu, niemal kojąco. Z pewnością przyjemniej niż w Waszyngtonie w październikowy dzień. Na Bermudach jednak było jeszcze przyjemniej.

Po krótkim czasie kręcenia się w kółko dostrzegłem żołnierza, który podświetlał latarką kartkę z napisem: „Płk Drummond”.

Podszedłem do niego i powiedziałem, że czeka na mnie. W odpowiedzi niedbale zsalutował, informując, że nazywa się „Carl Smith... starszy szeregowy Smith, Osiemnasty Batalion Transportowy”, i że będzie moim szoferem podczas drogi do Bagdadu.

Przez krótką chwilę odgrywałem rolę starszego oficera, zadając Smithowi kilka płytkich niewinnych pytań, a on z szacunkiem grał rolę podwładnego, udzielając zdawkowych odpowiedzi. Starszy oficer powinien okazać osobiste zainteresowanie swoim podwładnym, niezależnie od tego, jak przelotna lub efemeryczna jest łącząca ich relacja. Na zewnątrz takie zachowanie wyraża troskę i pomaga w nawiązaniu dobrych stosunków. Nie uszło mojej uwagi to, że charakter pytań - o stan cywilny, rodzinne miasto, rodzinę -

dokładnie odpowiada temu, co oficer powinien wiedzieć, aby napisać list z kondolencjami do najbliższych krewnych żołnierza.

Facet nazywał się Carl Smith. Miał czarne włosy i ciemną karnację. Poinformował

mnie, że liczy trzydzieści dwa lata, jest trochę za stary jak na swój stopień, rozwiódł się i jest cholernie szczęśliwy z tego powodu. Pochodzi z południa Alabamy, co napawa go dumą i, jak wielu kolegów, w przypiływie gniewnego idealistycznego impulsu zgłosił się do komendy uzupełnień po jedenastym wrześniu - decyzję tę obecnie uważał za nieco zbyt impulsywną.

Idealnie pasował na kierowcę i przypuszczalnie miał mnóstwo wolnego czasu, który spędzał na siłowni. Żołnierze przebywający w strefie działań wojennych nie mogą pić alkoholu, a arabskie kobiety nie leczą na chrześcijan. Kiedy wszystko inne zawiedzie, człowiek sięga po najgorsze - ćwiczenia fizyczne.

Carl poprowadził mnie do zakurzonego hunwee. Rzuciłem worek na tylne siedzenie, usiadłem z przodu i dziarsko ruszyliśmy przed siebie. Muszę dodać, że wojskowe hummery nie są jarmarcznymi benzynowymi brykami, które cieszą się tak dużą popularnością wśród hollywoodzkich zepsutych i pięknych. Po pierwsze, mają silnik Diesla, są też bardziej prymitywne od nich i całkowicie pozbawione takich luksusów, jak wyciszenie kabiny, klimatyzacja lub sprzęt stereo. Ich fotele to istne ergonomiczne monstrum. Ale jak mawiają nasi chińscy przyjaciele, jedna wielka cnota potrafi skompensować tysiąc grzechów.

Odetchnąłem z ulgą, widząc wyposażenie, które ma ogromne znaczenie w tej części świata - pancierz najnowszej generacji.

Wyjechaliśmy z lotniska - Smith mignął swoją legitymacją wojskową na punkcie kontrolnym - i przez godzinę gnaliśmy z dużą prędkością czarną asfaltową drogą, aby dołączyć do poruszającego się na północ konwoju wojskowego, który podążał do Iraku niesławną autostradą numer osiem.

W skład konwoju wchodziła zbieranina cystern, dużych ciężarówek wyładowanych ogromnymi zielonymi kanistrami i ciągników z platformą, wiozących wozy bojowe Bradley.

Pomiędzy wspomnianymi pojazdami umieszczono pozbawione osłony wozy cywilne. Na straży tego wszystkiego stała kawaleria pancerna z czołgami i wozami bojowymi piechoty M-2 Bradley, gotowa w każdej chwili ruszyć w pościg za Indianami.

- Będziemy się trzymać z tyłu kolumny - poinformował mnie Carl. - To najlepsze miejsce.

- Nie wygłupiaj się. Będziemy jechali w spalinach i pyłe.

- Taak... ludzie, którzy podkładają bomby domowej roboty, zwykle koncentrują się na początkowej lub środkowej części konwoju. Po wybuchu powstaje korek i stajesz się nieruchomym celem. Woli pan spaliny czy szrapnele? Przecież to pan jest pułkownikiem.

- Co jest gorsze?

Uśmiechnął się życzliwie, podając gogle na oczy i zieloną szmatę, którą owinałem sobie nos i usta.

Na szczęście Carl Smith nie okazał się zbyt rozmowy, chociaż - co uznałem za mniej fortunate - nie był milczkiem. Przez całą drogę gwizdał piosenki country, tak jak to ma w zwyczaju wielu facetów z południa. Wydawał głośny, przenikliwy świst, a ja na przemian przysypiałem, studiowałem zawartość mojej teczki, wkładałem palce do uszu i żałowałem, że nie mam broni, aby go uciszyć.

Wczesnym popołudniem podał mi lunch. Ponieważ przespałem posiłek na pokładzie samolotu, z głodu zacząłem odczuwać zawroty głowy. Posiłkiem okazało się coś, co armia nazywa jedzeniem gotowym do spożycia - dowodzi to, że wbrew krążącym pogłoskom wojsko ma poczucie humoru.

Wystarczył jeden kęs, abym przypomniał sobie, że nie żałuję tego, iż nie jestem na froncie.

Wracając do tematu, podróż trwała trzynaście godzin i jeśli pominąć przejazd przez jedno duże miasto na samym początku, jechaliśmy przez obszar, który można by oględnie nazwać monotonnym i brzydkim - płaskie połacie pustyni znajdujące się na granicy piękna i okrucieństwa - aż dotarliśmy w głąb terytorium właściwego Iraku, gdzie pojawiło się więcej oznak życia: palmy, nędzne chatki, wydrążone w skalnym podłożu ziemianki, rozbite i porzucone samochody, a czasami, w oddali, wioski zbudowane wokół studni, oazy lub restauracji sieci Taco Bell. Oczywiście, Taco Bell to żart. Po co człowiek miałby mieszkać w takim miejscu?

Przypomniałem sobie opuszczone amerykańskie miasteczka na środku pustyni Mojave. Kiedyś ich istnienie w odległym niegościnnym miejscu miało sens - kopalnia złota lub boraksu, przystanek firmy przewozowej „Pony Express” - dzisiaj jednak od dawna stały porzucone, przemienione w duszne składowisko rupieci. Niektóre zamieniły się w malownicze miasteczka duchów z kłębami szarlatu na ulicach, nieliczne były w dalszym ciągu zamieszkałe przez różnych ekscentryków - samotników, dziwaków i pustelników -

którzy postanowili uciec od zgiełku współczesnego amerykańskiego życia ewentualnie ukrywali się przed policją. Byłem ciekaw, jacy ludzie mieszkali w odizolowanych od świata małych wioskach Iraku.

Nie wyobrażałem sobie różnicy dzielącej życie ich typowego mieszkańca od życia młodego amerykańskiego żołnierza, który dostawał szau, gdy pozbawiano go PlayStation, telefonu komórkowego, telewizji kablowej i barów szybkiej obsługi. Szczerze mówiąc, wspomniane rzeczy były już tu dostępne, w bazach wojskowych, a żołnierze wracający po całodziennej walce z rebeliantami spędzali wieczory, pisząc e-maile do rodziny i ukochanych, bawiąc się grami wideo i przeglądając strony z pornografią, co jak sądzę, stanowi równie zdrową mieszankę jak każda inna, która pomaga człowiekowi nie zwariować.

Żołnierze służący w Wietnamie za czasów mojego ojca także utrzymywali łączność z dawnym życiem, z amerykańskim stylem życia, który armia określa eufemistycznie jako

„wygodną egzystencję”. Podczas gdy nieprzyjaciel gnieździł się w dżungli i podziemnych tunelach, wystawiony na działanie sił natury, odżywiając się ryżem i surową rybą, helikoptery zaopatrywały amerykańskie bazy w chłodnego budweisera, najnowsze numery „Playboya”, pizzę i Boba Hope'a występującego w towarzystwie ponętnych pań w minispódniczkach, aby przypomnieć naszym, o co walczą.

Jedną z metod pokonania rebeliantów jest stopienie się ze środowiskiem i miejscową kulturą -

stanie się tubylcem - i pobicie miejscowych ich bronią. Oczywiście Amerykanie nigdy nie działali w taki sposób. Zawsze zmienialiśmy kulturę i środowisko, tak aby nam odpowiadały.

Pomyślałem, że nadejdzie dzień, gdy przy tej autostradzie staną bary szybkiej obsługi, małe centra handlowe i motele dla zgłodniałych umęczonych wędrowców z obowiązkowym egzemplarzem Koranu na stoliku nocnym, modlitewnym dywanikiem w nogach łóżka i wyrzeźbioną na progu strzałką wskazującą Mekkę. Przypuszczam, że właśnie przeciwko temu walczyli rebelianci, podobnie jak wcześniej Hitler, Tojo, Mao i Stalin. Kombinatorzy z północy już tu byli, a zmiany czaiły się tuż za progiem. Pewnego dnia ich wnuki spojrzą za siebie i zapytają, po co było całe to zamieszanie.

Co jakiś czas mijaliśmy poruszające się ospale amerykańskie pojazdy wojskowe zmierzające tam, skąd wyruszyliśmy, ciągnąc za sobą długi, niecierpliwy korowód irackich samochodów, autobusów i ciężarówek, których pasażerowie bez wątpienia snuli brzydkie myśli na temat okupantów. W tym kraju mijanie wojskowego konwoju jest niemal tak niebezpieczne jak nieuważne przechodzenie przez jezdnię w Nowym Jorku.

Abstrahując od nieustannego pogwizdywania, Smith zachowywał niemal nadprzyrodzoną czujność, machinalnie przeczesując pobocze w poszukiwaniu wszystkiego, co było nie na miejscu lub wydawało się choćby w najmniejszym stopniu podejrzane -

martwych zwierząt, porzuconych zbiorników lub zepsutych samochodów, w których zwykle umieszczano bomby. Kiedy spostrzegł coś, co mu się nie podobało, zjeżdżał z drogi na bezpieczną odległość i jechał kilkaset metrów, podskakując i grzęznąc w piasku.

Wraz z upływem czasu coraz częściej przejeżdżaliśmy przez zniszczone wioski, w których obdarte dzieci stały przy drodze z wyciągniętymi rękami - żebrząc o jedzenie, pieniądze lub świecidełka. Kilka najwyraźniej nauczyło się czegoś od naszych żołnierzy.

Kiedy konwój zaczynał się oddalać, ciągnąc na końcu Carla i mnie, dzieciaki pokazywały na pożegnanie środkowy palec.

Może był to miejscowy gest oznaczający życzenie szczęścia i zdrowia. A może nie.

Myślę, że wystarczy już tych informacji dla turystów. Późnym popołudniem zaczęliśmy mijać większe miasteczka i małe miasta, a wczesnym wieczorem wjechaliśmy na przedmieścia rozległej metropolii z charakterystycznymi znakami orientacyjnymi, które zapamiętałem z wiadomości telewizyjnych. Spojrzałem na Smitha.

- To Bagdad? - spytałem.

Odchylił się do tyłu i rozprostował kości.

- Mam nadzieję.

- Jestem umówiony w zielonej strefie - wspomniałem. - Znasz drogę, prawda?

Skinął głową.

Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że na rendez-vous z Erichem Finderem spóźniłem się szesnaście godzin. Pomyślałem, że skoro Phyllis wysłała po mnie samochód do Kuwejtu, z pewnością je przełożyła.

- Pojedziemy w inne miejsce - oznajmił Carl. Po chwili, widząc moje pytające spojrzenie, dodał: - „Rozlewa się krwawy potop”.

Po chwili, gdy opanowałem zdumienie, odrzekłem:

- „Tonie święta radość z niewinności”.

Jeśli jesteście ciekawi, co to takiego, powiem, że Phyllis wpadła na ekscentryczny pomysł zaczerpnięcia hasła z wiersza Yeatsa *The Second Coming*. Pomyślałem, że wspomniane słowa mogą stanowić coś w rodzaju poetyckiej metafory naszej misji, ale złotą zasadą obowiązującą podczas takich akcji jest KISS, czyli *keep it simple, stupid*. * jak najprościej, głupku Wiecie, Carl mógł

powiedzieć „dwa”, a ja na to „trzy”. I byłoby dobrze.

Najwyraźniej nadawaliśmy na tej samej fali, bo zapytał:

- Kto wymyślił te cholerne brednie?

- Moja szefowa.

Spojrzał na mnie, zastanawiając się, czy to zaraźliwe. Popatrzyłem na niego i zapytałem:

- To ty jesteś Erie Finder?

- Nie. W dalszym ciągu nazywam się Carl Smith. Zawiozę cię do Findera.

- Jestem pewien, że miałaś dobry powód, aby mnie okłamać i nie przedstawić się jak należy.

- Faktycznie.

- Chciałbym go usłyszeć.

- Gdybym to zrobił, przez całą drogę zadawałbyś mi idiotyczne pytania. - Spojrzał przed siebie! - Nie lubię pieprzyć bez sensu.

Chcąc potwierdzić jego podejrzenia, poprosiłem:

- Opowiedz mi o waszej grupie.

- Co chciałbyś wiedzieć?

- Ilu was jest?

- Piętnastu. W tej operacji będzie uczestniczyło dziesięciu. Otrzymaliśmy rozkaz, aby grupa była możliwie najmniejsza i jak najbardziej zwarta.

Nie wątpię. Im mniej świadków, tym lepiej.

- Co to za ludzie?

- Głównie byli rangersi i żołnierze oddziału Delta. Mamy dwóch, którzy służyli w Fokach, i jednego, który pracował w brygadzie antyterrorystycznej nowojorskiej policji. Facet ma gadane. - Spojrzał na mnie i powiedział, najwyraźniej mając na myśli własne doświadczenia: - Oddział Delta. Pięć lat.

- Czy ta organizacja ma jakąś nazwę?

- Nie. Szczerze mówiąc, nie zależy nam na sławie. Nie ochraniaimy osób i obiektów jak inne grupy.

- Czym się zajmujecie?

- Mokłą robotą.

Powiedział to rzeczowym tonem, jakby oczekiwał, że będę wiedział, iż specjalnością tego zespołu jest eliminowanie ludzkich celów. Szczerze mówiąc, byłem lekko zakłopotany, że wziąłem Carla Smitha za prostego kierowcę.

Abstrahując od jego sprawności fizycznej, Carl był niezwykle zdystansowanym, chłodnym introwertykiem. Ludzie małomówni często mało myślą, nie można było jednak wykluczyć, że Carl postanowił zachować swoje myśli dla siebie.

Kiedyś potrafiłem rozpoznać niebezpiecznego faceta - dzięki temu przeżyłem trzy wojny, chociaż ostatnim razem źli faceci zdobyli kilka punktów, umieszczając dwie kulki w moim ciele. Niestety, Sean Drummond utracił dawną świetność, dlatego jeśli chciał przeżyć obecny konflikt, musiał o tym pamiętać.

- Ile wiesz o tej operacji? - zapytałem Smitha. Uśmiechnął się.

- Tyle, ile potrzebuję. Czemu pytasz?

- Wiesz, co jest jej celem? Pokręcił głową.

- Płacą nam dużo, abyśmy nie wiedzieli.

- Ile?

- Pięćdziesiąt tysięcy na głowę plus zwrot wydatków. Gwizdnąłem z podziwu.

Spojrzał na mnie i rzekł z naciskiem:

- Słuchaj, nie jesteśmy najemnikami.

- W takim razie jak sobie poradzicie? Nie uznał mojej uwagi za zabawną.

- Co wiesz o Falludży? - zapytał po chwili. Wskazałem trzy grube pliki papieru leżące na moich kolanach.

- Przeczytałem i zapamiętałem każdą informację zawartą w materiałach Agencji.

- Co w nich jest? - zapytał z lekkim powątpiewaniem.

- Ze będę idiotą, jeśli wybiorę się w tę okolice. Skinął głową, jakby uznał, że to trafna obserwacja.

- Faktycznie tyle powinienes wiedzieć. W tym wypadku niewielka wiedza może być niebezpieczna. Rób wszystko, co ci każemy. Niech ci nie przyjdzie do głowy, że wiesz, o co w tym wszystkim chodzi. - Spojrzał na mnie i powiedział w zaufaniu: - Często bywamy w Falludży.

- Żartujesz. Gdzie mogę kupić widokówki? Zignorował moją nerwową, sarkastyczną uwagę.

- Agencja zleca nam znakowanie budynków.

- Co?

- Łazimy po mieście, szukając hadżich*. Kiedy zauważymy jakiegoś, idziemy za nim do jego kryjówki, a następnie oznaczamy budynek elektronicznym markerem, powiadamy kogo trzeba i czekamy w pobliżu, aby upewnić się, że dupek nigdzie się nie ruszył. * muzułmanin, który odbył pielgrzymką do Mekki

- A później?

- Później... po jakiejś godzinie nadlatuje F-16, zrzuca duży pocisk namierzony na marker i słychać głośnie bum. Żegnajcie, dupki.

Pomyślałem, że to interesująca robota i chciałem dowiedzieć się o niej czegoś więcej, lecz Carl kontynuował:

- Falludża to główny ośrodek tych zasańców. Są sunnitami, prawda?... To wahabici, podobnie jak Saudyjczycy. Cholerni fanatycy. Rozumiesz? Nie potrafią się dogadać nawet z innymi sunnitami. Saddam też miał z nimi problem. W końcu zrezygnował. Problem okazał się zbyt trudny do rozwiązania. Facet się poddał.

Skinąłem głową. Chociaż ta charakterystyka była zwięzła i barwna, zgadzała się z historyczną i socjologiczną analizą zawartą w przewodniku turystycznym CIA. Nawet w Ameryce różne miasta i regiony mają własne dziwactwa i osobliwości. Jeśli człowiek działa na danym terenie, musi je znać i szanować, w przeciwnym razie będzie widoczny jak pryszcz na nosie królowej balu maturalnego. Pewnego razu, będąc w Bostonie, włożyłem czapkę Jankesów i koszulkę z napisem „Tylko Nixon”, i omal nie przypląciłem tego życiem.

O ile dobrze zrozumiałem, mieszkańcy Falludży byli ludźmi wrednymi, posępnymi i wybuchowymi. Nie lubili obcych wpływów, a szczególnie tego, by chrześcijanie wściubiali nos w ich sprawy. Pamiętam, że gdy siedem miesięcy temu oddział piechoty morskiej przypuścił zmasowany szturm na miasto, walki stały się tak zajadłe, że zarządzono pospieszny odwrót. Marines twierdzili, że chodziło im o uniknięcie cywilnych ofiar, lecz bojownicy dżihadu utrzymywali, że uczyniono to w celu ochrony marines. Wybierzcie wersję, która się wam podoba.

Ponieważ miałem kilku przyjaciół w piechocie morskiej, wiedziałem, że nie jest to najlepsza pora na inwestowanie w nieruchomości w Falludży lub zakładanie tam centrów handlowych. Widoki na zysk rokowała raczej kostnica.

- Obecnie Falludżą rządzą bojownicy dżihadu - ciągnął dalej Smith. - Mają własne oddziały milicji, ich obserwatorzy i informatorzy są wszędzie. Utworzyli oddziały szybkiego reagowania,

które są w gotowości w ciągu ułamka sekundy.

- Rozumiem. - Zauważyłem, że odłączyliśmy się od konwoju i zjechaliśmy z drogi.

Ominęliśmy centrum miasta i ruszyliśmy bocznymi uliczkami przez dzielnicę, którą w tej części świata można by uznać za miejsce zamieszkania warstwy średniej.

Sądząc po pozycji słońca, przemieszczaliśmy się na zachód. Z lektury materiałów informacyjnych CIA wiedziałem, że jedziemy w kierunku oka cyklonu - terytorium sunnitów, ogniska wrogości i innych brzydkich uczuć wobec Amerykanów.

Ponieważ oglądałem telewizyjne wiadomości, pamiętałem, że przez centrum miasta przebiegają szerokie piękne bulwary, wzdłuż których rosną palmy i daktylowce, wznoszą się dostojne luksusowe hotele, wspaniałe budynki rządowe i bogate pałace - zgodnie ze wzniosłą wizją Saddama, w której Bagdad miał być Paryżem Bliskiego Wschodu, chociaż w efekcie miejsce to bardziej przypominało babilońskie Las Vegas.

Poza obrębem efekciarsko-pompatycznego centrum miasta, przez które jechaliśmy, ulice były klaustrofobicznie wąskie, brudne i zaniedbane. Budynki i domy mieszkalne wydawały się ściśnięte, nigdzie nie dostrzegłem drzew, trawy ani krzewów, co dowodzi, że iraccy właściciele domów mają więcej zdrowego rozsądku od Amerykanów - oprócz ludzi nie było tam niczego, co wymagało nawadniania, nawożenia lub pielęgnowania.

Skoro mowa o nawozie, moją uwagę zwrócił okropny smród. Najwyraźniej system kanalizacyjny miasta nie został zmodernizowany, a przecież mieliśmy wietrzny jesienny dzień. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jaki odór musiał tam panować w bezwietrzne letnie popołudnie. Gdybym dowodził wojskami okupacyjnymi, nie dawałaby mi spokoju myśl, że ludzie kojarzą obecność Amerykanów z wonią fekaliiów.

Na ulicach dostrzegłem wielu pieszych i dużo małych ciężarówek obładowanych towarami i warzywami - różnych modeli japońskich i europejskich wozów w większości wyglądających na stare, chociaż trudno to osądzić w części świata, gdzie słońce i piasek powodują przedwczesne starzenie lakieru i ludzi.

Zaczęliśmy zwalniać i po kilku sekundach zapytałem Smitha:

- Dokąd mnie wiesz?

Wskazał dom stojący na końcu ulicy - wąski, parterowy ciężki budynek, o jasnobrązowej brudnej barwie, wzniesiony z betonu i cementu, z kratami na oknach, pokryty pomarańczową dachówką. Na dachu dostrzegłem dużą antenę satelitarną wystającą z boku niczym ogromna brodawka. W Stanach określono by go mianem rancza utrzymanego w stylu śródziemnomorskim podobnie jak sąsiednie zabudowania, które nie różniły się od niego pod względem stylu i architektury. W tej dzielnicy rodzina Ahmada nie miałaby najmniejszego problemu z dorównaniem rodzinie Baszira. Zwykle jest to źródłem sąsiedzkiej harmonii, chociaż tym razem najwyraźniej tak nie było.

- To bezpieczny dom - oznajmił Carl.

Chwilę później podjechał do garażu na dwa samochody, którego drzwi przezornie otwarto. Wydedukowałem, że ktoś czekał na nasz przyjazd. Z prawej strony zaparkowano ciężkiego, brzydkiego żółtozielonego peugeota z lat osiemdziesiątych na irackich numerach.

Wiedziałem, że niewiele domów w Iraku ma garaż, a garaż na dwa samochody to doprawdy rzadki luksus. Przypuszczalnie właśnie ten fakt zdecydował o wyborze wspomnianego lokum. Hunwee jest potwornie szeroki, więc Smith musiał podjąć kilka prób ostrożnego wprowadzenia go do garażu, aby nie uszkodzić boku peugeota.

Zaparkował wóz i wyłączył silnik.

- Wysiadaj - powiedział.

Gdy wygramoliłem się na zewnątrz, Carl poszedł do tyłu i szybko zamknął garaż.

Następnie wrócił do peugeota, otworzył tylne drzwiczki, wyciągnął kilka ubrań i zaczął je przeglądać.

Po chwili znalazł czarny czarczaf oraz abaję i cisnął je w moją stronę.

Bez słowa zaczął zdejmować amerykański mundur, naciągając na siebie czarne dżinsy, czarny podkoszulek i znoszone adidas. Kruczoczarne włosy i ciemna karnacja w połączeniu z nowym strojem spowodowały, że wyglądał jak Arab. Podniosłem ubranie i uważnie się mu przyjrzałem.

- Taki ubiór znakomicie ukrywa piękny typowo amerykański wygląd - zauważył. - Na dodatek... mówisz po arabsku?

Pokręciłem głową.

- To w sam raz dla ciebie. Tu nikt nie rozmawia z kobietami, chyba że chce się chajtnąć.

Pomyślałem, że moi nowi koledzy starannie przemyśleli każdy szczegół. Carl Smith wydał mi się kompetentnym, skrupulatnym facetem, znakomicie znającym miejscową kulturę. Wrażenie, które ja na nim wywarłem, to całkiem inna historia.

Naciągnąłem abaję przez głowę i zacząłem się zastanawiać, co zrobić z czarczafem. W końcu Smith miał dość mojego guzdrania i powiedział:

- To się tak robi. - Kilkoma zwinnymi ruchami poprawił zasłonę i poklepał mnie po ramieniu. - Zapamiętaj.

Kiedy wkładał mój worek i teczkę do bagażnika, przejrzałem się w bocznym lusterku peugeota. Smith wyglądał jak miejscowy, problem stanowiłem ja - nawet zasłona nie ukrywała w pełni mojej białej rasy. W każdym razie obserwator musiał podejść bliżej, aby dostrzec niebieskie oczy i niewyrównane brwi, wówczas jednak i tak wszystko by się wydało.

Carl włożył do ucha słuchawkę, z którą połączony był mikrofon, i przez chwilę regulował pokrętła.

- Tu Smith. Jesteśmy gotowi - powiedział. Nie miałem zielonego pojęcia, z kim rozmawia, chociaż brak zbędnych wstępów wskazywał, że na niego czekano i że ktoś miał

nas na oku. Słuchał przez chwilę, odpowiadając co jakiś czas: - Uhm... w porządku. Taak, postaram się to ominąć.

- Co? - zapytałem.

- Nie twój interes.

- Jeśli chcesz odebrać swoje pięćdziesiąt kawałków, lepiej, aby był mój.

Przez chwilę przyglądał mi się uważnie.

- Co postarasz się ominąć? Spojrzał na mnie lodowatym wzrokiem.

- Zamachowiec-samobójca wysadził się na planowanej trasie naszego przejazdu, zabijając kilka osób. Wojsko zablokowało drogę. Nie chcemy się w to wpakować.

- Słusznie.

W dalszym ciągu na mnie patrzył.

- Od tej chwili rozpoczynamy operację. Najmniejsze potknięcie, najmniejszy błąd... i jesteśmy martwi.

- Nie ma problemu. - Obszedłem peugeota, otworzyłem przednie drzwi i zacząłem wsiadać do środka.

Popatrzył na mnie.

- Słuchaj, kolego... arabskie kobiety nie siadają z przodu.

- Słusznie.

Zająłem miejsce z tyłu, podczas gdy Carl otwierał drzwi garażu. Po chwili usiadł za kierownicą i szybko wyjechał na obskurne ulice Bagdadu.

Rozdział dwudziesty

Panowała zupełna ciemność.

Ruszyliśmy na północ podmiejskimi ulicami, aby w końcu skręcić na zachód autostradą numer dziesięć łączącą Bagdad z Falludżą.

Smith cały czas miał słuchawkę w uchu i od czasu do czasu rozmawiał ze swoimi kolegami - wymieniając krótkie, rzeczowe uwagi. Odniosłem wrażenie, że przodem jedzie samochód śledzący sytuację, a inny, podążający za nami, ubezpiecza nas z tyłu.

Umocniło mnie to w przekonaniu, że ci ludzie stanowią zgraną paczkę. Świetnie ze sobą współpracowali.

Chociaż Falludża znajduje się w odległości niecałych pięćdziesięciu kilometrów od Bagdadu, na drodze panował spory ruch, głównie z powodu ślamazarnie poruszających się amerykańskich konwojów wojskowych, które kompletnie ją blokowały.

- Dzisiejszej nocy są duże ruchy wojsk - zauważył Smith. - To dziwne. Większość Irakijczyków i naszych chłopaków woli siedzieć w domu, gdy zapalają się światła. O tej porze wylazą upiory.

Kilka sekund później wskazał budynek z prawej strony drogi.

- Więzienie Abu Ghraib. Tam... widzisz?

Spojrzałem we wskazanym kierunku, lecz dostrzegłem jedynie słabe światła budynków przemysłowych. Pomyślałem, że może wrócę za dnia, aby obejrzeć to najśłynniejsze miejsce w Iraku w całym jego splendorze. A może nie.

Kiedy wyjechaliśmy poza granice Bagdadu, zauważyłem, że miasta i miasteczka stały się uboższe, podupadłe, przypominające slumsy. Według przewodnika CIA podróżowaliśmy przez najbardziej zamożną i rozwiniętą część Iraku - trójkąt sunnicki - w który Saddam pompował pieniądze i przywileje dla swoich ziomków z Tikritu. Pomyślałem, jak strasznie muszą wyglądać miasta i miasteczka w rejonach zamieszkałych przez szyitów.

Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że dochodzi dziewiąta.

- Kiedy rozpoczniemy akcję?

Zauważyłem, że obserwuje mnie w lusterku wstecznym.

- Sądziłem, że wiesz.

Ponieważ nie chciałem, aby się domyślił, jak pospiesznie zaplanowano tę operację, odpowiedziałem:

- Jakie są najnowsze rozkazy?

- Dzisiejszej nocy. Dzisiejszej nocy?

- Chodziło mi o... godzinę.

- Zwykle najlepszą porą jest druga rano.

- Dlaczego? - zapytałem, chociaż domyślałem się powodu.

- Większość bojowników dżihadu śpi o tej porze. Nie są zdolni do jakiegokolwiek działania. Daje nam to po godzinie na dostanie się do środka, schwytanie gościa i wydostanie się z miasta. Oprócz tego jakieś trzydzieści minut zapasu, jeśli sprawy przybiorą zły obrót.

Rozumiesz?

- A jeśli przeprowadzenie akcji zajmie nam więcej czasu?

- Jeśli pozostaniemy tam do piątej, lepiej będzie przeczekać do kolejnej nocy. Hadzi ustawiają posterunki, wypatrując amerykańskich szpiegów. Nie martw się. Mamy bezpieczną kryjówkę w Falludży. - Nasz obiekt może w każdej chwili zmienić miejsce pobytu - dodał po krótkiej przerwie. -

Niektórzy z nich nigdy nie śpią w tym samym miejscu. - Popatrzył mi w oczy w lusterku. - Spodziewaliśmy się ciebie piętnaście godzin temu. Powinieneś od dawna być na miejscu. To dla ciebie nie kłopot?

- A mam wybór? - Po krótkiej przerwie zasugerowałem: - Może facet wczoraj się przeprowadził.

- Może.

- Jadąc tu, miałem nadzieję, że dozna nagłego olśnienia i odkryje, co jest grane.

Carl uśmiechnął się lekko.

- Nigdy nie wiadomo. Dwaj nasi ludzie obserwują dom, w którym przebywa obiekt.

- Co zauważyli?

- Wszystko w porządku. Są w nim bojownicy dżihadu. Pięciu, może więcej. Nie obozują w dużych grupach. Ktoś znakuje ich kryjówki i posyła drani do piekła, dlatego się maksymalnie rozproszyli. Nie ma sposobu, aby stwierdzić, że duppek, o którego nam chodzi, jest w środku.

Kilka minut później Smith skręcił z autostrady w prawo i przez kolejnych pięć minut jechał boczną drogą, a następnie wyłączył światła i jakiś czas poruszał się w całkowitej ciemności. Później skręcił w lewo na drogę gruntową i przejechał kilkaset metrów po wybojach, zanim stanął i wyłączył silnik.

Odwrócił się w fotelu i spojrzał na mnie.

- Pozostali zjawią się tu za kilka godzin. Powinieneś się zdrzemnąć. - Założył gogle noktowizyjne i wysiadł z samochodu, a następnie powoli się obrócił, obserwując okolicę.

Potrzebowałem kilku chwil, aby przyzwycząić się do ciemności. Otaczała nas płaska otwarta przestrzeń bez żadnych drzew, zarośli lub traw, chociaż w odległości od trzech do pięciu kilometrów spostrzegłem małe, słabo oświetlone wioski. W sumie dobre miejsce na spotkanie. Smith dostrzegłby każdego, kto podszedłby na odległość półtora kilometra, co przekracza zasięg rażenia większości karabinów wyborowych. Zawsze warto zadbać o takie szczegóły.

Zamknąłem oczy i przez chwilę zastanawiałem się nad tym, co nas czeka. Zakładając, że bezpiecznie dotrzemy do Falludży i że Ibn Pasza znajduje się we wskazanym budynku - co moim skromnym zdaniem wymagało trzykrotnego złamania starej wojskowej zasady głoszącej, że założenia mogą spowodować, iż człowiek wyjdzie na dupka - nadal do rozwiązania pozostała paląca kwestia, co zrobić z tym gościem, kiedy dostaniemy go w swoje ręce. Pewnie Smith i jego ludzie przetransportują nas do Bagdadu na spotkanie z Bian, która jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, miała czekać na nas w specjalnie wycarterowanym samolocie stojącym na płycie lotniska.

Bian miał towarzyszyć pracujący dla Agencji lekarz, co zgodnie z zapewnieniem Phyllis było zbędnym zabezpieczeniem, ale nigdy nie zaszkodzi przygotować się na najgorsze. Znajac Phyllis, byłem pewny, że medyk ten nazywa się Mengele, a w jego walizeczce znajduje się serum prawdy, urządzenie do elektrowstrząsów, szczypce, wykałaczki do wbijania pod paznokcie i tym podobny asortyment. A może powinienem już lepiej poznać Phyllis.

W każdym razie, jak wspominałem sierżantowi sztabowemu Jacksonowi na pokładzie samolotu, Bian wylądowała w Bagdadzie, aby zabrać do kraju amerykańskiego więźnia wojskowego wraz z jego prawnikiem. Oczywiście naszym pasażerem miał być Ibn Pasza potrzebujący parasola ochronnego amerykańskiego prawa - zamierzaliśmy go jednak przewieźć w miejsce, w którym nie przysługiwałyby mu żadne prawa z wyjątkiem prawa wydania kolegów i zdradzenia własnej sprawy.

Co wówczas zrobimy? Nie oczekiwałem, że Ibn Pasza jest typem faceta, który zdradzi nam chętnie wszystkie tajemnice. Gość należał to zatwardziały terrorystów, którzy gotowi byli z entuzjazmem wjechać w tłum cywilów lub konwój ciężarówką wyladowaną materiałem

wybuchowym.

Wspomniana sprawa nie była jednak moim problemem - miałem jedynie dostarczyć faceta Bian. Jej zadanie polegało na skłonieniu go do mówienia. Miałem nadzieję, że ona i Phyllis obmyślą kilka lepszych pomysłów od tych, które usłyszałem przed odlotem.

Pocieszając się tą myślą, zapadłem w drzemkę.

Następną rzeczą, którą usłyszałem, był dźwięk metalu uderzającego w szybę samochodu. Musiałem zareagować nerwowo, bo Smith oznajmił:

- Wyluzuj, to Finder.

Otworzono tylne drzwi i wygramoliłem się z pojazdu. Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że jest pierwsza piętnaście. Trochę się przespałem. Chociaż nie widziałem jego oczu, czułem, że Finder badawczo lustruje mnie w ciemności.

- Witaj w Iraku, pułkowniku - powiedział. - Przebył pan długą drogę.

- Wybrałeś sobie paskudny sposób zarabiania na życie.

- Nie zalewaj. Mamy z tego niezłą forszę.

- Oczywiście, nie jest to powód, dla którego tym się zajmujesz. Roześmiał się.

- Pieprzenie. Co innego mógłbym robić?

Chociaż wokół panowały ciemności, widziałem go wyraźnie. Facet był niski, miał nie więcej niż metr sześćdziesiąt pięć, i dobiegał czterdziestki. Czarnoskóry, drobnej budowy ciała, o nieprawdopodobnie delikatnych i subtelnych rysach twarzy. Oczywiście na polu bitwy nie liczy się wielkość człowieka, lecz jego broni. Ten niepozorny mężczyzna przemawiał głębokim barytonem i miał rozkazujący ton.

- Twój partner cię prześcignął. Dotarł tutaj pięć godzin temu.

- Partner?

- Taak, Tran. Major Bian Tran. Jest twoim partnerem, prawda? Czeka w moim wozie.

Może kiedyś w nim była, bo usłyszałem jej głos dolatujący w ciemności:

- Zmiana planów, Sean. Będę ci towarzyszyła. Spojrzałem w jej stronę.

- Nie, wrócisz do samolotu.

- Miło cię widzieć.

- Będzie jeszcze milej, gdy zobaczę cię za siedem lub osiem godzin w Bagdadzie, kiedy znajdziemy się na pokładzie samolotu.

- Rozmawiałam z Phyllis po twoim odlocie. Postanowiłyśmy...

- Czy nadal dowodzę akcją? - zapytałem.

- No... tak. To nie zostało...

- Znakomicie. - Spojrzałem na Findera. - Ta pani chce wrócić do Bagdadu.

Natychmiast.

Popatrzyła na Erica Findera i rzekła z naciskiem:

- Pani nie ma takiego zamiaru. - Spojrzała na mnie - Powinniśmy przedyskutować to na osobności - zasugerowała jeszcze bardziej stanowczym i nieprzyjemnym tonem.

Chociaż w panujących ciemnościach nie widziałem wyrazu twarzy Findera, wiedziałem, co myśli: Czeka mnie trudna i niebezpieczna misja, a ci idioci z Waszyngtonu przysłali mi tu tę parkę.

Ująłem Bian pod ramię i oddaliłem się na odległość piętnastu metrów od Findera.

Odwróciłem ją i powiedziałem:

- Takie chwytaki na mnie nie działają.

- Masz rację. To przez abaję. Śmiesznie wyglądasz. Powinienem dodać, że ona również nosiła abaję i czarczaf, w których prezentowała się całkiem niezłe. Właściwie wyglądała wspaniale. Miała

naprawdę piękne oczy. Bardzo tajemnicze.

- Bian, nie jestem w nastroju. Rozumiesz? Powiem..

- Jak wyglądam? - przerwała.

- Powiem Finderowi...

- Nie wiem, jak kobiety mogą nosić coś takiego przez cały dzień. To ciepły, ciężki i nieatrakcyjny ubiór. Z kolei nie trzeba golić nóg, wkładać skarpet lub przejmować się fryzurą.

Na dodatek nikt nie zauważy, że masz kilka kilogramów nadwagi. Może one są mądrzejsze od nas.

- Przestań mnie ignorować.

- Zaczynij się kulturalnie zachowywać. Może wówczas się nad tym zastanowię.

Odetchnąłem głębiej kilka razy, próbując odzyskać typową dla siebie postawę nacechowaną nonszalancką uprzejmością. Uśmiechnąłem się uprzejmie.

- To idealny strój dla ciebie.

- Dzięki. - Zaszleściła abają.

- Jak minęła podróż? - zapytałem.

- Lepiej niż tobie. Podróż powrotna sprawi ci przyjemność. Mamy duży prywatny odrzutowiec, wygodne fotele, prawdziwe łóżka i dobrze zaopatrzoną kuchnię. - Uśmiechnęła się i dodała: - Przeszmuglowałam na pokład sześciopak molosa. Dla ciebie. Na drogę do domu.

Nic nie odpowiedziałem.

- Czeka w lodówce - kontynuowała. - Chłodny i przyjemny. Pomyśl o mnie, gdy będziesz je pił.

- W tej chwili mam ochotę cię udusić.

- Sam widzisz, jak mi podziękowano.

- Przestań.

- Jak twoja podróż?

- Jadłem gotowe racje przyprawione piaskiem, a mój kierowca przez całą drogę gwizdał piosenki country.

- Miałeś szczęście. Facet mógł być raperem.

- Faktycznie... masz rację. W takim razie miałem cudowną podróż.

- Kilka razy jechałam w głąb kraju autostradą numer osiem. Za pierwszym hałas mi nie przeszkadzał. Ludzie do nas strzelali.

O ile pamiętam, podróż nie trwała czternastu godzin, lecz dwadzieścia trzy dni.

Wiedziałem, co robi - przypomina mi, że jest żołnierzem, weteranem, który poznał smak walki.

- Będę miał dość kłopotów, pilnując własnego tyłka - poinformowałem panią major.

- Czy to kolejne wygłupy w stylu macho?

- Nie jedź tam, Bian. Niestety, już tu była.

- Jesteś... Okej, może w przeszłości brałeś udział w takich akcjach i sądzisz, że to nie miejsce dla kobiety. Czasy się zmieniły, kolego. Powinieneś nadrobić zaległości.

- Kulka w głowie jest ponadczasowa.

- W twojej nie narobiłaby już większych szkód. Suka.

- Posłuchaj, Bian. To nie jest robota dla żandarma - mężczyzny, kobiety lub kogokolwiek w tym rodzaju. Byłem do tego szkolony i kilkanaście razy uczestniczyłem w podobnych akcjach. To nie jest moja liga. Na dodatek Finder i jego ludzie stanowią zespół.

Zasada numer jeden mówi, że zespół troszczy się przede wszystkim o własnych członków.

- W takim razie powinieneś być rad, że z tobą pójdę. Obiecuję, że będę cię ubezpieczała. - Nie

odpowiedziałem, więc dodała: - Może powinnam cię osłaniać. Nawet nie pomyślałam o nadużyciu stanowiska. Phyllis to zaaprobowała.

- Naprawdę? - Spojrzałem na nią. - Dlaczego? Co się zmieniło?

- Właściwie to nic. Będiesz potrzebował tłumacza.

- Mam tłumacza. Niektórzy ludzie Findera płynnie znają arabski i...

- Właśnie. Przecież nie chcemy, aby dowiedzieli się, o co chodzi.

- Nie bądź śmieszna. Nawet jeśli rozpoznają Ibn Paszę, nie zdołają go powiązać z Charabim i Danielsem.

- A jeśli dowiedzą się, kto wpadł nam w ręce? Nie mają odpowiednich certyfikatów bezpieczeństwa, nie zostali sprawdzeni, przed nikim nie odpowiadają. Pomyśl, za głowę Zarkawiego wyznaczono dwadzieścia pięć milionów dolarów nagrody. Jeśli odkryją, kim jest Ibn Pasza, mogą wybrać nagrodę zamiast ciebie. - Po chwili dodała: - Jedziesz do Falludży.

To idealne miejsce na morderstwo doskonałe.

- Gadasz jak Phyllis. Wkurzają ją ludzie, których nie może kontrolować.

- Przyznaję, że to był jej pomysł. Ale ini dłużej informacja o schwytaniu Ibn Paszy zostanie utrzymana w tajemnicy, tym lepiej będziemy mogli poznać ich sieć powiązań finansowych. Czas odgrywa tutaj wielką rolę. Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

Wiedziałem, co ma na myśli. Gdyby wiadomość o uprowadzeniu Ibn Paszy przedostała się do wiadomości opinii publicznej, współpracujący z nim rebelianci zmieniliby adresy, a ci, co dostarczają mu funduszy, przeprowadzili się w góry lub zatarli ślady.

- Pojadę z wami, jeśli nie masz lepszego rozwiązania - poinformowała. - Wiesz co, Sean, w przeciwieństwie do ciebie, ja muszę tam być.

- Nie zamierzam się wycofywać - oznajmiłem.

- Czemu? Nie widzę powodu, dla którego miałbyś się narażać na niepotrzebne ryzyko.

Byłem podobnego zdania, lecz nie odbyłem tak długiej podróży, aby teraz beczynnienie siedzieć. Nie był to uzasadniony powód, dla mnie jednak wystarczająco dobry.

- Muszę tam być.

- Wcale nie. Pomyśl o tym przez chwilę.

Pomyślałem. Nawet jeśli akcja nie zostanie przeprowadzona po mojemu, zniszczenie źródeł finansowania Zarkawiego może skrócić tę wojnę, ocalić życie amerykańskich żołnierzy, a przynajmniej zlikwidować jednego dupka więcej. Nieważne, jaki znak nosisz na kołnierzyku - liczą się słowa wypisane na piersi: „US Anny”. Zadaniem żołnierza jest zabijanie złych facetów.

Wiedziałem jednak, że istnieje odpowiedź znacznie bardziej skomplikowana i przypuszczalnie mniej szlachetna. Odpowiedź składająca się z dwóch słów - Bian Tran.

Przypatrywała mi się przez chwilę w ciemności. Nie potrafiłem czytać w jej myślach, lecz wcale tego nie potrzebowałem, aby wiedzieć, co jej chodzi po głowie. Dlaczego ten ćwok nie skorzysta z wymówki, aby wysiąść z pociągu, nad którym utraciliśmy kontrolę.

Później zrobiła coś, co całkowicie mnie zaskoczyło. Pochyliła się i pocałowała mnie.

Kiedy się cofnęła, spojrzeliśmy sobie w oczy.

- Jesteś świrem.

- Faktycznie nim byłem. Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do Findera, naradzającego się z dwoma innymi mężczyznami, którzy wyłonili się z mroku.

Smith, który w dalszym ciągu stał na czatach obok samochodu, obracał się wokół, obserwując otoczenie. Jeszcze jeden paranoik.

Finder przedstawił mi nowo przybyłych i wymieniliśmy uścisk dłoni na powitanie.

Panowie nazywali się Ted i Chris i przypominali napompowane balony z programu World Wrestling Entertainment - byli ogromni i bezwstydnie umięśnieni. W przeciwieństwie do swojego szefa wyglądali, jakby zostali stworzeni do takiej akcji. Także oni mieli na sobie czarne cywilne ciuchy umożliwiające stopienie się z miejscowymi. Dodam, że wspomniany strój świetnie nadawał się do nocnej operacji.

Chris uśmiechnął się i powiedział:

- Miło cię poznać.

Ted mruknął coś pod nosem.

- Wyjaśniliscie... różnicę zdań? - zapytał Finder, zwracając się do Bian.

Pani major pozwoliła mi zabrać głos.

- To było drobne nieporozumienie - powiedziałem. - Pójdziemy razem, panie Finder.

- Nie ma problemu.

- Major Tran zna płynnie arabski. Tylko ona będzie rozmawiała z jeńcami. Proszę przekazać to swoim ludziom.

Uśmiechnął się.

- Możemy im powiedzieć, aby rzucili broń, bo zginą?

- Czy to poskutkuje?

- Kilka razy ostrzegawczo strzelimy im w głowę... to zwykle działa - odpowiedział ze śmiechem.

- Pułkownik miał na myśli przesłuchanie w celu ustalenia tożsamości - sprostowała Bian. - Kiedy mieszkańcy domu zostaną obezwładnieni, zostawicie nas samych z jeńcami.

Przeprowadzę krótkie przesłuchanie w celu ich zidentyfikowania. Poradzę sobie bez waszej pomocy.

Zastanowił się nad tym przez chwilę.

- Powiem chłopakom. - Po krótkiej przerwie dodał: - Teraz moja kolej. - Spojrzał na mnie. - Naprawdę jesteś prawnikiem?

- A ty naprawdę dobrowolnie zgłosiłeś się do tej akcji? Potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia, co tu robicie i nie będę pytał. Prawnik i oficer żandarmerii!

Powinni nam dopłacić po sto patyków za każde z was.

- Sami potrafimy o siebie zadbać - poinformowała go Bian. Finder skwitował uśmiechem absurdalność tego twierdzenia.

- Powiem wprost. Najważniejsi są dla mnie moi ludzie. Nie pozwolę, abyście narazili ich na niebezpieczeństwo. Jeśli zajdzie potrzeba, zastrzelę lub zostawię was w Falludży, co jest jeszcze gorszym rozwiązaniem. Czy wyrażam się jasno?

Wypowiedział te słowa spokojnym tonem, co sprawiło, że ich wymowa stała się trochę przerażająca. Mówił poważnie. W zasadzie zacząłem go lubić. Był inteligentny i rzeczowy. Nie miałem wątpliwości, co o tym sądzi, zauważyłem też, że jego ludzie odnoszą się do niego z szacunkiem, jeśli nie serdecznie. Najlepsi przywódcy są lojalni zarówno wobec tych, którzy są nad, jak i pod nimi, za najważniejsze uważając zawsze troszczenie się o swoich. Szkoda, że nie jesteśmy członkami tego zespołu.

Pozwolił nam zastanowić się przez chwilę nad tym, co powiedział.

- Nie musicie wiedzieć, w jaki sposób to zrobimy, dlatego nie będę tracił czasu na wyjaśnienia. Powiem wam, co musicie wiedzieć. Jeśli się od nas odłączycie, będziecie zdani na siebie. Budynek stanowiący cel znajduje się w przemysłowej dzielnicy miasta, po zachodniej stronie. - Spojrzał na mnie. - Carl powiedział, że masz mapy. Weź je z sobą. To małe miasto. Jeśli zwrócisz się na wschód

i będziesz szedł szybkim krokiem, w dwadzieścia minut dotrzesz do przedmieść. Do tego czasu nie zdejmujcie przebrania. Kiedy znajdziecie się na zewnątrz, ściągnijcie arabskie ciuchy. Miasto jest otoczone przez żołnierzy piechoty morskiej. Ci chłopcy stracili wielu ludzi i wprawili ich to w paskudny nastrój. Najpierw strzelają, a później zadają pytania. Byłoby dobrze, aby zobaczyli was w amerykańskich mundurach. Czy to jasne?

Popatrzyłem na Bian, która skinęła głową.

- Poinformowałem Agencję, że musicie mieć ze sobą kompas i po tysiąc dolarów w każdej kieszeni - kontynuował. - Pokażcie mi. - Wykonaliśmy jego polecenie. - Pieniądze to polisa ubezpieczeniowa. Mieszkańcy Falludży są mniej przekupni od większości Irakijczyków, lecz nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi. Jeśli staniecie oko w oko z terrorystą, pieniądze nie pomogą - dacie napiwek własnemu zabójcy. Jeśli jednak będzie to zwykły człowiek, za pięćset dolców kupicie kilka minut jego milczenia. Powiedzcie, że jesteście reporterami - wszyscy znają to słowo - i wciśnijcie im pieniądze tak szybko, jak się da.

- Czy kiedykolwiek przyniosło to efekt? - zapytała Bian. Finder zastanowił się chwilę.

- Nie słyszałem o takim przypadku.

Roześmiał się, po czym wręczył nam amerykańskie flagi wielkości chusteczki.

- Jeśli zobaczycie amerykańskie wojska, pomachajcie tym. To pomaga. - Moi ludzie zajmą się atakiem i zatrzymaniem. Będziecie nas osłaniać. Czy to problem?

Zwykle nie lubię, gdy inni mówią mi, co mam robić, jednak człowiek powinien podjąć próbę wyświadczenia grzeczności swojemu gospodarzowi. Dodam również, w bardziej szlachetnym tonie, że atak to najbardziej ryzykowna część operacji.

- Nie ma problemu - oznajmiłem.

- Powiedziano nam, abyśmy wzięli ich żywcem i próbujemy to uczynić -

kontynuował. - Nie dajemy jednak żadnych gwarancji. Jeśli wszyscy będą spali, mamy szansę.

Jeżeli wystawią jednego lub dwóch strażników... będziemy musieli ich zlikwidować.

Jeśli wasz klient to gruba ryba - a gdyby nią nie był, nie przysłaliby was tutaj, prawda? -

przypuszczalnie nie będzie stał na czatach. Arabowie mają duże poszanowanie dla hierarchii.

Przywództwo przez osobisty przykład oznacza dla nich więcej odpoczynku, lepsze jedzenie i podejmowanie mniejszego ryzyka od szeregowych żołnierzy.

Odwrócił się do Carla Smitha.

- Bagażnik mojego samochodu - rozkazał. - Przynieś im broń, zestaw pierwszej pomocy, kamizelki kuloodporne i gogle noktowizyjne. - Po tych słowach odwrócił się do mnie i Bian. - Gogle i zestaw pierwszej pomocy to standardowe wyposażenie armii.

Zakładam, że wiecie, jak się tym posługiwać. - Ponieważ nie zaprzeczyliśmy, zapytał: -

Potraficie używać M szesnaście?

Skinęliśmy głowami.

- Dobrze. Skorzystajcie z nich dopiero wtedy, gdy wam powiem. Podkreślam, gdy dam znak. Nie chcę, abyście przypadkowo postrzelili jednego z moich ludzi... lub siebie.

Najwyraźniej Bian i ja mieliśmy kilka ważnych pytań.

- Carl wspomniał, że macie kryjówkę w Falludży. Możesz pokazać mi to miejsce na mapie?

- Jeśli będzie trzeba, moi ludzie was tam zaprowadzą. Innymi słowy, Finder zadbał o to, abyśmy nie mogli narazić na szwank jego ludzi, gdyby któreś z nas odłączyło się od grupy, zostało ranne lub dostało się do niewoli. Ostrzegałem Bian, że drużyna jest najważniejsza.

Drummond i Tran byli na drugim, to jest ostatnim miejscu.

Uznałem, że pora podkreślić swoją władzę i oznajmiłem:

- Teraz niech pan posłucha, panie Finder. Jeśli major Tran lub mnie nie uda się przejąć więźnia, nie dostaniecie żadnej forsy. Zrozumiano? Więzień i my oboje żywi - taki jest układ.

Macie nas chronić, w przeciwnym razie cała akcja okaże się stratą czasu.

Finder uśmiechnął się.

- Myślę, że wasz problem jest nieco poważniejszy do mojego.

- Nie, jeśli jedno z nas przeżyje. Rozumiesz, co mam na myśli? Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

- Sądzę, że tak - odpowiedział.

- Po drugie, wejście i atak to wasze przedstawienie. Major Tran i ja nie będziemy się w to mieszać. Kiedy dojdzie do pojmania jeńca, zaczną obowiązywać inne reguły. Chętnie poznam twoją opinię, lecz to ja będę dowodził, a ty będziesz wykonywał moje rozkazy.

- Jeśli nie będą głupie ani samobójcze.

- Nie będą.

Spojrzał na mnie bez przekonania.

- Coś jeszcze?

- Major i ja wjedziemy i wyjedziemy razem. Kto będzie naszym kierowcą?

- Ja. Mam jeszcze do przekazania kilka informacji na temat miejsc zbiórki, na wypadek gdybyśmy się rozdzielili, oraz co zrobić z rannymi i zabitymi. Wyjaśnię to podczas drogi.

W ten sposób ustaliliśmy podstawowe zasady. Finder zaczął mówić do mikrofonu, instruując swoich ludzi, którzy ruszyli do samochodów. Spojrzałem na zegarek - była pierwsza trzydzieści.

Pomyślałem, że jeśli za kolejnych trzydzieści minut coś się nieszczęśliwie zacznie lub zakończy, wrócę do domu w worku.

Bian ścisnęła mnie za rękę.

- Dziękuję - szepnęła.

Smith wręczył nam cywilne kamizelki kuloodporne, broń, sześć magazynków amunicji, latarki, zestaw pierwszej pomocy i gogle noktowizyjne.

Oboje zdjęliśmy abaje, włożyliśmy kamizelki przez głowę, przypięliśmy zestaw pierwszej pomocy do pasa, poupychaliśmy magazynki w kieszeniach spodni i ponownie przywdzialiśmy arabski strój.

- A co jeśli faceta tam nie ma? - zapytałem Bian.

- Bądź optymistą.

- Spróbuję.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Jechaliśmy czerwoną toyotą corollą - Bian i ja z tyłu, Finder i muskularny Ted z przodu.

Żołnierze, którzy nigdy nie uczestniczyli w walce, zachowują się podobnie jak dziewice. U żołnierza pojawia się naturalny niepokój i odpowiadający mu przyływ adrenaliny, uzewnętrzniający się w postaci młodzieńczej brawury, głupkowatych żartów i nadmiernego rozbawienia wypowiedzianymi dowcipami. Dziewczyny zadają głupie pytania w rodzaju: „Czy naprawdę mnie kochasz?”. W naszym samochodzie najwyraźniej nie było dziewic - nikt nie opowiadał kiepskich dowcipów - za to dało się wyraźnie wyczuć lęk i niepokój.

Ponieważ o tej porze nie było ruchu, Finder prowadził z wyłączonymi światłami, w goglach noktowizyjnych na oczach. Droga była prosta, a nasz kierowca jechał szybko i pewnie. Niestety, dziury w nawierzchni sprawiły, że przejażdżka okazała się męcząca i niewygodna.

Dziesięć minut później Finder zaczął hamować i po chwili nasz samochód oświetliły cztery snopy reflektorów. Zatrzymał wóz i zamarł nieruchomo.

W odległości około trzydziestu metrów przed nami drogę blokowały dwa humvee.

Jakiś facet zawołał po angielsku, wyraźnie zdenerwowanym tonem:

- Kierowca... wysiadaj z samochodu. Ręce uniesione. Ale już!

- To nocna blokada drogi - szepnęła mi do ucha Bian. - Są zdenerwowani. Nawet nie oddychaj.

Nie poruszyłem się, chociaż odetchnąłem głęboko. Finder odwrócił się do nas i oznajmił:

- To piechota morska. Załatwię sprawę. - Otworzył drzwi, wysiadł na zewnątrz i stanął wyprostowany, gorączkowo wymachując rękami nad głową.

- Mówisz po angielsku?! - zawołał tamten.

- Idiotyczne pytanie! Czy w przeciwnym razie wykonałbym twoje polecenie?

Nazywam się Finder. Sprowadź kapitana Yuknisa.

Od czasu drugiej wojny światowej sytuacja uległa zmianie - wówczas wystarczyło, aby marines zapytał: „Kto wygrał mistrzostwa w baseballu w czterdziestym drugim roku?”, aby Japonec zdradził się brakiem znajomości amerykańskiej kultury i zginął na miejscu.

Dzisiaj człowiek, który nie zna hasła, musi improwizować, a odrobina przekleństw jest tak amerykańska jak placek jabłkowy. Minęła dłuższa chwila, zanim tamten odkrzyknął:

- Kapitan śpi!

- To go obudź, chłopcze. Powiedz mu, że przyjechał Finder. Usłyszałem głosy kilku młodych ludzi, naradzających się, czy zawracać głowę kapitanowi. Odniosłem wrażenie, że żołnierze, którzy nas zatrzymali, należeli do kompanii piechoty morskiej - jednostki składającej się z około stu osiemdziesięciu facetów ostrzyżonych na zero - którą zwykle dowodzi oficer w randze kapitana. Chociaż gość mógł nie wydawać rozkazów Panu Bogu, ten musiał uważnie słuchać, co ma do powiedzenia.

Po chwili Finder krzyknął:

- Na rany Chrystusa! Szybciej, bo dobiore ci się do tyłka! Sekundę później dostrzegłem wysokiego szczupłego mężczyznę krocącego w kierunku smugi światła. Kiedy podszedł bliżej, zauważyłem hełm i mundur polowy marines.

- Niech cię diabli, Erie - usłyszałem, jak mówi do Findera. - Przerwałeś pierwszy kosmaty sen, który miałem od czasu, gdy trafiłem do tego kraju. Fiut mi stanął jak Mount Everest. Lepiej, abyś miał dobry powód.

- Mount Everest? U białasa? Akurat... chrzanisz. - Finder się roześmiał. - Lepiej, aby dama, która ci się śniła, była twoją żoną.

- Jasne, że była. - Roześmiał się. - Śniły mi się też jej siostry. Szczególnie ta z dużymi cyckami, Elizabeth.

- Świnie - szepnęła Bian.

- Bzdura. Zwyczajna męska gadka. Ktoś walnął mnie w żebra.

- Mam robotę dziś wieczorem - poinformował Finder. - Wracamy pomiędzy czwartą i piątą. Będę wdzięczny, jeśli szepniesz słówko swoim chłopakom.

Zamiast odpowiedzieć, kapitan Yuknis wrzasnął w kierunku swoich ludzi stojących obok humvee:

- Sierzancie Goins, bądźcie tak mili i wyłączcie te pieprzone reflektory, zanim jakiś Abdullah z karabinem snajperskim mnie przedziurawi.

Kiedy światła zgasły, Yuknis podszedł do naszego wozu, bacznie przypatrując się pasażerom. Obserwowałem, jak przygląda nam się przez okno.

- Kim są te irackie damy? - zapytał.

- Wolałbyś tego nie wiedzieć.

Yuknis miał przy sobie latarkę. Skierował jej snop w naszą stronę i zlustrował nas jeszcze uważniej.

- Ta z lewej to niezła laska - rzucił do Findera. - Druga... kurczę, już mi zmiękł.

Obaj się roześmiali.

- Miałaś rację. To świnię - szepnąłem do Bian. Yuknis odwrócił się i spojrzał na Findera.

- Dzisiejszej nocy... powinniście sobie odpuścić.

- Nie możemy. Nie da się tego odwołać. Nie ma mowy nawet o przełożeniu akcji.

- Dobrze się zastanów, Erie. Zaufaj mi.

Słowa Yuknisa brzmiały jak złowieszcze, choć niejasne ostrzeżenie, dlatego Finder pomyślał nad nimi przez chwilę.

- Możesz mi wyjaśnić, co jest grane?

- Nie wolno mi o tym mówić, rozumiesz? Już i tak...

- Powiedz mi tylko kiedy, Chris.

- Wcześniej.

- Jak wcześniej? Podpowiedz koledze. Yuknis odpowiedział, starannie dobierając słowa:

- Nie usłyszałeś tego ode mnie. Okej? Na twoim miejscu o czwartej unikałbym Falludży. - Po chwili poprawił się: - O trzeciej trzydzieści nawet nie próbowałbym wyjechać z miasta. Kapujesz? - Na koniec dodał: - Szykuje się większa zadyma.

Finder spojrzał w naszą stronę i powiedział:

- Zostaw nas na chwilę samych.

Kapitan Yuknis cofnął się kilka kroków. Bian opuściła szybę, a Finder wetknął głowę do środka i niskim głosem zapytał:

- Zrozumieliście, co powiedział?

- Tak - odparłem. - Szykują atak. - Artyleria otworzy ogień zaporowy około trzeciej trzydzieści.

- Taak. O trzeciej całe miasto zostanie otoczone i odcięte od świata. Moi ludzie przez cały dzień donosili o wzmożonych ruchach wojsk. Wiemy już dlaczego, prawda? Marines są wkurzeni tym, co spotkało czterech naszych kilka miesięcy temu. Znam ich. To porządni goście. Wyrządzono im ogromne świństwo. Nadszedł czas zapłaty. Spojrzałem na Bian, która bez chwili wahania oznajmiła:

- Zaczynam dopiero o trzeciej trzydzieści. Mamy półtorej godziny. Wystarczy.

Finder pomyślał chwilę, najwyraźniej zastanawiając się, czy ta babka pragnie zginąć.

- Ryzyko operacji bardzo wzrosło. Muszę zapytać powtórnie, dlaczego tak wam na tym zależy.

Ponieważ jesteśmy półgłówkami.

- Nie możemy stracić tego faceta - odparłem.

- Jest taki ważny?

- Mówiąc wprost, tak. Spojrzał na Bian.

- Zatrudniliście cywilów. Z drugiej strony jesteśmy amerykańskimi weteranami.

Wierzmy w to, co robimy. - Pochylił się bliżej, przysuwając twarz na odległość kilku centymetrów do Bian. - Zapytam raz jeszcze i lepiej, abym usłyszał prawdę. Czy ten gość jest naprawdę taki ważny?

- Nie wyobrażasz sobie jak bardzo. Popatrzył na mnie. Skinąłem głową.

- W porządku. O trzeciej wracamy, niezależnie od tego, czy uda się nam go dostać, czy nie. To nie podlega dyskusji. Rozumiecie? Jeśli chcecie zostać, decyzja należy do was.

Odwrócił się na pięcie i podszedł do kapitana Yuknisa, z którym odbył krótką cichą rozmowę. Przypuszczalnie powiedział mu, jacy z nas cholerni idioci, co w dużym stopniu nie odbiegało od prawdy.

Po chwili Finder wskoczył do samochodu, nie odzywając się do nas ani słowem.

Mówiąc szczerze, musiał wykonać więcej od tego, na co wyraził zgodę. Przekraczało to również to, na co ja sam się zgodziłem lub, ściśle mówiąc, na co rzekomo miałem się zgodzić.

Nie ominie cię kara za żaden z dobrych uczynków.

Finder nasunął na głowę gogle z noktowizorem i wcisnął gaz. Podczas drogi mówił przez mikrofon, powiadamiając swoich ludzi o zaistniałej sytuacji. Słyszałem tylko jego słowa, lecz nie odniosłem wrażenia, aby tamci choć jednym słowem poskarżyli się z tego powodu.

- Za nami jadą dwa samochody - poinformował nas. - Są trzy minuty z tyłu. Yuknis obiecał, że przepuści ich bez zbędnych ceregieli.

Dziesięć minut później w świetle księżycy dostrzegłem majaczące zarysy miasta, przypuszczalnie Falludży, spojrzałem na zegarek - była druga rano - i przypomniałem Bian:

- O trzeciej zmykamy. To rozkaz, majorze.

Poklepała mnie po ramieniu. Miły gest, chociaż trudno go uznać za odpowiedź twierdzącą.

Przypomniałem sobie, że podczas krótkiej odprawy Erie powiedział, że wjedziemy do miasta od zachodu, gdzie według lokalnych map znajdowała się dzielnica przemysłowa. Po kilku minutach mknęliśmy już wąskimi ulicami pomiędzy dużymi magazynami i opustoszałymi fabrykami. Falludża przypominała wymarłe miasto duchów, jednak pozory bywają zwodnicze i tak też było w tym wypadku. Nasz wywiad szacował, że w jej granicach znajdowało się od pięciu do dziesięciu tysięcy uzbrojonych rebeliantów. Ponury nastrój wzmacniał wszechobecny nastrój grozy i brak oświetlenia, jeśli pominąć rzadkie migoczące świeczki i ogniska. Z raportów CIA, które otrzymałem, wynikało, że w mieście od dawna nie było elektryczności i systemu kanalizacyjnego.

Pomyślałem, że za kilka godzin to miejsce zostanie za darmo oświetlone, dzięki uprzejmości Korpusu Piechoty Morskiej i oddziałów artylerii armii Stanów Zjednoczonych, a w powietrzu zacnie fruwać gównem.

Technicznie taki ostrzał określa się ogniem pośrednim, ponieważ pociski moździerzy i dział poruszają się po torze zakrzywionym w przeciwieństwie do zwyczajnych kul lecących po torze prostym z punktu A do punktu B. Artylerzyści nie widzą swojego celu, a jedynie manipulują gałkami i dźwigniami, aby ustawić kąt i nachylenie lufy, a następnie oddać strzał.

W rezultacie często zadają ciosy na ślepo, w sposób wręcz amoralny. Na przykład działa 155-milimetrowe sieją spustoszenie w promieniu stu metrów i nie ma żadnego znaczenia, czy w polu rażenia znajdują się żołnierze nieprzyjaciela, czy niewinne dzieci lub łatwowierni idioci wysłani przez swoich szefów z CIA.

Erie odwrócił się w naszą stronę.

- Minuta do punktu wysiadki - poinformował nas. Byłem ciekaw, czy Phyllis знаła datę szturmu na miasto, gdy nas wysyłała. Człowiek nigdy nie wie, ile ta babka wie, co stanowi część jej uroku i dostarcza dreszczyku emocji, z którym łączy się praca dla niej. Przez chwilę marzyłem, że zaciskam ręce na jej gardle, powodując, że zaczyna się dusić i błagać o przebaczenie, i...

- Sean - przerwała mi Bian. - Powiedziałam, że czas najwyższy, abyś nałożył gogle.

- Och... - Naciągnąłem na oczy gogle z noktowizorem i świat przybrał różne odcienie zieleni. Spojrzałem na Bian, która także miała je na oczach, co w połączeniu z czarczafem nadawało jej upiorny wygląd. Najwyraźniej miała takie samo słowo.

- Czy nie poznaliśmy się w kinie na jakimś horrorze? Odpowiedziałem śmiechem.

- Jestem potworem z czarnej laguny, a ty obcym z *Wojny światów*. Erie odwrócił się w naszą stronę i powiedział:

- Przerazacie mnie jak cholera - powiedział. - Załadujcie broń, lecz nie strzelajcie. I pamiętajcie, dostaliście ją na wszelki wypadek.

Skręcił ostro w lewo i wjechał w długą aleję pomiędzy dwoma dużymi magazynami i wyłączył silnik.

- Idziemy - rzucił.

Bian i ja ruszyliśmy za nim tą samą aleją, którą przed chwilą jechaliśmy, radzi, że nie było na niej nikogo. Ted został w wozie - najwyraźniej jego zadaniem było zabezpieczenie środka transportu, który miał nam umożliwić wydostanie się z miasta, co wskazywało na zadbanie o każdy szczegół operacji.

Zaczęliśmy biec truchtem za Erikiem, który poruszał się tak, jakby wiedział, dokąd zmierza. Całe szczęście, bo ja nie miałem pojęcia, gdzie się znajduję. Analizowałem mapy Falludży, lecz w nocy wszystko wygląda zupełnie inaczej, na dodatek bojownicy dżihadu pozdejmowali tablice z nazwami ulic, co wskazywało, że spodziewali się ataku naszej piechoty morskiej i nie chcieli ułatwiać jej zadania.

Biegliśmy przez pół kilometra, co w długiej szacie krępującej ruchy i powodującej, że co chwila się potykałem, wcale nie było takie łatwe. Zastanawiałem się, jak kobietom udało się przeżyć w tym kraju. Chociaż ulice były puste, miałem dziwne wrażenie, że jesteśmy obserwowani. Właściwie nawet pewność. Ciekawe przez kogo.

Nagle Erie skręcił raptownie w stronę wejścia do dużego piętrowego magazynu. Była to boczna część budynku, który jak poinformował Erie, stał zwrócony przodem do domu będącego naszym celem. Jego drzwi przypominały wrota prowadzące do garażu -

przypuszczalnie była to rampa załadownicza. Przebiegliśmy przez mroczną pustą przestrzeń i po wąskich metalowych schodach dotarliśmy na piętro.

Kiedy weszliśmy do sali, przyjrzałem się pomieszczeniu przez gogle i dostrzegłem dwie duże zielone postacie idące w naszą stronę.

- To moi ludzie - wyjaśnił Erie. - Wyluzujcie.

Gdy dwaj mężczyźni podeszli bliżej, Erie podał im nasze nazwiska i przedstawił tamtych jako Jacka i Lany'ego.

Wszyscy mówiliśmy szeptem, co było zupełnie zbędne, zauważyłem jednak, że w takich chwilach człowiek instynktownie ścisza głos. Nawet cholerne gnojki.

Po wymienieniu uprzejmości Larry, z charakterystycznym akcentem z Queens, powiedział:

- Chodźcie za mną.

Podeszliśmy do wybitego okna, z którego rozciągał się doskonały widok na ulicę poniżej i dom po przeciwnej stronie, który stanowił nasz cel. Na podłodze pod oknem zauważyłem puste konserwy po gruszkach, duży stos opakowań po batonach, sześć opróżnionych butelek po napojach i inne resztki opakowań po żywności. Uznałem, że nasi nowi znajomi wchodzili w skład zespołu obserwacyjnego, o którym wspomniał Carl. Z tego, co ujrzałem, wynikało, że byli na posterunku przez cały dzień, a może nawet przez poprzednią noc i mieli duży nadmiar cukru w organizmie.

Lany, który najwyraźniej dowodził, wskazał coś przez okno i rzucił do Erica:

- Tam, w tym domu jest obiekt.

Wszyscy spojrzeliśmy na piętrowy, prostokątny magazyn stojący na rogu ulicy, zwrócony krótszym bokiem w naszą stronę. Dłuższy bok biegł wzdłuż poprzecznej ulicy.

- Jeden gnojek jest na dachu... Widzicie? - Wskazał lekko w lewo. - Tam. Drugi sukinsyn stoi przy wejściu. Prawie go nie widać, prawda? Na szczęście czasami wychodzi na papierosa. - Zachichotał. - Palenie rzeczywiście bywa groźne dla zdrowia. Facet jest mój.

Erie przez chwilę lustrował budynek, a następnie rzekł przez mikrofon do swojego zespołu:

- Budynek, który jest naszym celem, ma jedno piętro. Typowa konstrukcja. Pustaki pokryte tynkiem, pewnie stalowe dźwigary stanowiące szkielet... - Kontynuował wyjaśnienia, zdradzając dużą znajomość terminów budowlanych. Zastanawiałem się, czy w cywilu był

budowlańcem, zanim wstąpił do armii i został niszczycielem. Na koniec zwrócił się do Larry'ego i zapytał: - Są inne wejścia?

- Taak... zwyczajne drzwi po przeciwnej stronie. Donny sprzątnie każdego, kto się w nich pojawi.

- W porządku. - Do mikrofonu rzucił: - Jest dodatkowe wejście po przeciwnej stronie.

Zajmiesz się nim, Donny. Jeśli ktoś przez nie wyjdzie, strzelaj w nogi. - Po chwili przekazał instrukcje Carlowi, mojemu byłemu kierowcy. - Na wschód od celu jest dwupiętrowy budynek. Zajmij pozycję na dachu. Kiedy dam sygnał do rozpoczęcia akcji, będziesz nas ubezpieczał. Powtórz. Słuchał go przez chwilę, a następnie odpowiedział:

- Uhm. - Po krótkiej przerwie dodał: - Zaczynamy za dwie minuty. Synchronizujemy zegarki. Jest druga piętnaście.

Przez chwilę patrzył na mnie i na Bian, jakby chciał nam przypomnieć, że jesteśmy tu obcy. Nie mogliśmy uczynić niczego bez wyraźnego rozkazu.

Nowojorczyk Lany przyciągnął trójnog, którego nie zauważyłem z powodu panujących ciemności. Okazało się, że umieszcza się na nim karabin snajperski. Na uchwycie zamocowano europejski karabin wyborowy, którego marki nie rozpoznałem, z tłumikiem i nowoczesnym celownikiem teleskopowym pozwalającym widzieć w nocy. Ci faceci mieli wszystkie niezbędne rekwizyty. Ktoś sięgnął głęboko do kieszeni Agencji.

Erie spojrzał na zegarek.

- Pora zaczynać - rzucił w stronę Jacka. Ten popatrzył na Larry'ego.

- Nie spuszczaaj tej dwójki z oczu, dopóki nie dam ci znać - polecił. Lany skinął głową, a Eric i Jack zbiegli po schodach. Spojrzał na nas.

- Chcecie sobie popatrzeć? - zapytał.

Powodowani chorobliwą ciekawością, podeszliśmy do okna, podczas gdy Lany pochylił się nad karabinem i zaczął regulować pokrętkę, ustawiając odpowiednią jasność obrazu w celowniku.

Chwilę później na ulicy pojawił się srebrny czterodrzwiowy sedan poruszający się z prędkością nieprzekraczającą trzydziestu kilometrów na godzinę. Zatrzymał się przed wejściem. Ze środka wysiadł mężczyzna i przez chwilę obserwował otoczenie. Okna w drzwiach były przyciemniane, dlatego nie można było rozpoznać, kto znajduje się w środku.

Skoncentrowany na swojej robocie Lany szepnął:

- To Tommy Barzani. Amerykanin kurdyjskiego pochodzenia. Posługuje się lokalną gwara, dlatego zawsze przypada mu najgorsza robota.

Facet wyglądał jak Arab. Miał na sobie typowy iracki strój, brązowe spodnie i czarną koszulę z czymś dyndającym na prawym ramieniu, co wyglądem przypominało AK-47.

Podszedł pewnym krokiem do drzwi i zapukał, wołając coś głośno po arabsku.

- Powiedział, że ma pilną wiadomość i prosi o otworenie drzwi - przetłumaczyła Bian.

Przyglądający się wszystkiemu przez celownik teleskopowy Larry wyjaśnił:

- Bojownicy dżihadu przestali używać telefonów komórkowych i radia wiele miesięcy temu. Wiedzą, że ich podsłuchujemy i potrafimy zlokalizować. I że w ten sposób mogą ściągnąć na siebie atak raketowy. Przeszli na prymitywne środki łączności. Poczta przynoszą kurierzy. - Zaczerpnął powietrza i wstrzymał oddech.

Po chwili drzwi się otworzyły i jakiś mężczyzna wytknął głowę na zewnątrz.

Usłyszałem stłumiony strzał karabinka Larry'ego i ujrzałem rozerwaną głowę oraz ciało osuwające się na próg, w ramiona Tommy'ego Barzaniego.

Niemal natychmiast dwaj mężczyźni - jeden z czymś, co wyglądało na uzi, drugi z taranem używanym przez SWAT - wyskoczyli z samochodu, podnieśli zwłoki i wtargali je do środka.

Larry wskazał palcem na słuchawkę w uchu i wyjaśnił:

- Carl potwierdził przed chwilą, że zdjął strażnika na dachu. Dobry Boże, ci faceci byli naprawdę dobrzy.

Zauważyłem dwie postacie - Erica i Jacka - biegnące jakby od niechcienia przez ulicę, aby zniknąć w drzwiach, których nikt nie pilnował.

- Co robią? - zapytała Bian.

- To pierwszy zespół wchodzący - wyjaśniłem. - Oczyszczą parter. Eric i Jack pobiegną na górę i zaczną zabezpieczać pokoje. - Odwróciłem się do Larry'ego. - Mam rację?

- Taak... coś w tym rodzaju. Przypuszczalnie zlikwidowałem jedynego gnojka, który był na parterze. Pozostała piątka powinna siedzieć na górze.

- Nauczyłeś się tak strzelać w nowojorskiej policji? - zapytałem.

- Raczej to ja ich tego nauczyłem. Pracowałem jako instruktor SWAT. Dziesięć lat.

- Jak się tu znalazłeś?

Spojrzał na nas i odpowiedział bardzo wolno i dosadnie:

- Rozpieprzyli moje miasto, więc ja rozpieprzę ich. Interesujący punkt widzenia.

Ciekawy facet. Przyłożył rękę do ucha.

- Co? Taak, taak... w porządku. Spojrzał na mnie.

- Erie mówi, że powinniście natychmiast tam iść. Zostanę tutaj, aby was osłaniać.

Minutę później Bian i ja przebiegliśmy ulicę i zatrzymaliśmy się przy wejściu do magazynu. Stałem oparty plecami o ścianę z jednej strony drzwi, a Bian z drugiej.

- Odbezpiecz broń - szepnąłem.

- Erie powiedział...

- Kogo to obchodzi?

- Racja.

- Osłaniaj mnie - powiedziałem. Bian przycupnęła w przysiadzie.

- Wchodzimy - rzuciła.

Wturlałem się do środka, a następnie klęknąłem, badając otoczenie. Zauważyłem dużo maszyn. W środku musiała się znajdować fabryka, nie magazyn, a rodzaj urządzeń wskazywał, że kiedyś wytwarzano tu narzędzia. Spostrzegłem również trzydzieści lub czterdzieści dużych łusek po pociskach artyleryjskich, ustawionych w schludnych, równych rzędach. Zwykle nie używa się pocisków do produkcji samochodów, chyba że szykowano je do podróży w jedną stronę.

Przeczesałem wzrokiem teren. Cały parter miał zostać oczyszczony przez ludzi Erica, a więc teoretycznie być bezpieczny. Z drugiej strony znałem gości, którzy weszli do „oczyszczonego” pomieszczenia i zostali z niego wyniesieni.

Oprócz ciężkich maszyn, pocisków artyleryjskich i zwłok z oderwaną połową głowy nie zauważyłem nic ciekawego. Podszedłem do podstawy schodów i szepnąłem Bian:

- Jest czysto.

Chwilę później była już za mną i ruszyliśmy na górę, cicho stawiając stopy i mierząc z broni. Z góry doleciał głos:

- To ty, Drummond?

Wyczułem, że ktoś mierzy do mnie z karabinu. Powstrzymałem dziwne pragnienie zawołania *Allah Akbań* - co nie byłoby pewnie najmądrzejszym i zabawnym pomysłem.

- Gdzie jest Erie? - spytałem.

- Chodź za mną.

Ruszyliśmy w kierunku wąskiego, mrocznego holu z czterema lub pięcioma drzwiami z każdej strony. Wszystkie były otwarte. Kilka rozbito w kawałki, przypuszczalnie przy użyciu tarana SWAT, który zabrał jeden z ludzi Erica. Na końcu korytarza znajdowało się biuro, do którego weszliśmy.

Erie siedział rozparty na biurku, machając nogami, co wszakże nie usuwało atmosfery napięcia. Za nim stało dwóch ludzi z uzi wymierzonymi w sześciu Arabów ustawionych pod ścianą.

Sądząc po ich ubraniu lub jego braku, zostali wzięci z zaskoczenia, przypuszczalnie we śnie. Jeden był całkiem nagi, drugi miał na sobie bieliznę - bokserki w małe czerwone różyczki - a czterech pozostali, spodnie i podkoszulki. Żaden nie miał butów, co uznałem za dziwny zbieg okoliczności. Pomyślałem, że ludzie Erica zdjęli je, aby zniechęcić tamtych do prób ucieczki.

Zdjąłem arabskie nakrycie głowy i gogle noktowizyjne, a następnie wyciągnąłem latarkę z kieszeni spodni.

- Oprócz dwóch strażników na zewnątrz zabiliśmy tylko jednego - poinformował nas Erie z wyraźnym żalem. - Zaczął coś majstrować przy broni... i... no cóż... - Po krótkiej przerwie zdał nam krótką relację: - Wszyscy mieli broń w pokoju, jeśli was to ciekawi. Nie wyglądali tak, jak w tej chwili. To źli faceci. Zauważyliście łuski artyleryjskie na dole.

Zabraliśmy także dwa laptopy. Pomyślałem, że chcielibyście, abyśmy je zabezpieczyli.

- Dobra robota.

Po tych słowach wskazał róg pokoju, w którym dostrzegłem ciało faceta leżącego na plecach z rękami schludnie splecionymi na klatce piersiowej. Jego dwa palce wskazujące zostały ułożone w mały krzyżyk. Ktoś miał poczucie humoru.

Podszedłem i zbadałem ciało. Pośrodku czoła denata widniał niewielki otwór. Krew wypływająca na zewnątrz raną wylotową z tyłu głowy tworzyła małe bajoro.

- Dzielił pokój z tym facetem - poinformował Erie, wskazując na starszego mężczyznę stojącego na końcu szeregu jeńców.

Zmarły spoglądał wzrokiem człowieka, którego nie obchodzą doczesne troski - a przynajmniej nie troski tego świata. Jeśli ten facet był Alim Ibn Paszą, mieliśmy poważny problem.

Aby przejść do następnego punktu, zapytałem Erica:

- Jesteście pewni, że nikt nie uciekł drugim wejściem?

- Nikogo więcej tu nie było.

Podszedłem do więźniów, przystając na krótko przed każdym z nich i oświetlając jego twarz latarką. Reakcja niedawno schwytych więźniów bywa bardzo pouczająca. Sześciu facetów położyło się spać w poczuciu całkowitego bezpieczeństwa w mieście rządzone przez ich towarzyszy z dżihadu, a tu nagle zostali brutalnie obudzeni przez Amerykanów mierzących do nich z broni.

Po takim dramatycznym przebudzeniu następuje zwykle krótki okres dezorientacji, zagubienia i lęku. Liczyłem na to, ponieważ przyjmuje się, że w tym krótkim czasie więźniowie są najbardziej skorzy do rozmowy, przekazania cennych informacji lub uczynienia czegoś niewiarygodnie rozpaczliwego, a często wręcz głupiego.

Na twarzach czterech zatrzymanych faktycznie malowało się przerażenie, niepokój, zagubienie, a nawet poczucie beznadziei.

Inaczej było w przypadku drugiego od końca - krępego i muskularnego, mającego metr

osiemdziesiąt wzrostu faceta o szerokiej twarzy, który patrzył na mnie z wściekłości i pogardą. Twardy dupek. W jego oczach dostrzegłem iskierkę fanatyzmu, co nigdy nie jest dobrym znakiem. Uznałem, że musimy mieć na niego oko.

Ostami był nieco starszy od pozostałych, którzy liczyli sobie po dwadzieścia kilka lat.

Miał pociągłą twarz, przez chwilę przyglądałem mu się w świetle latarki. Zobaczyłem policzki pokryte bliznami i oko o dziwnej mlecznobiałej barwie. Pomyślałem, że to całkiem przystojny mężczyzna, chociaż w świetle latarki szramy i sztuczne oko wywoływały upiorne wrażenie. Wyczułem, że nie stronił od przemocy.

Uśmiechał się do mnie jak piękna dziewczyna do gliniarza, który przed chwilą zatrzymał ją za przekroczenie prędkości, pewna, że jest mądrzejsza i przebieglejsza od niego, i jeśli wszystko inne zawiedzie, ma wystarczająco duże cycki, aby rozwiązać problem.

Przypatrywałem się jego twarzy, a on lustrował moją z nonszalancją. Spoko facet.

Pomyślałem, że to kolejny gość, na którego trzeba uważać.

Nie byli to jednak wyszkoleni żołnierze i nie nauczono ich, jak postępować w takich sytuacjach. Nie wiedzieli nawet, jak nad sobą zapanować. Jeśli mieliśmy szczęście, w nasze ręce wpadł Ibn Pasza i jego obstawa. Jeśli szczęście nam nie dopisało, mieliśmy przed sobą sześciu zamachowców-samobójców, całkowicie obojętnych na to, czy będą żyli, czy umrą.

Liczyło się tylko to, czy my będziemy żywi, czy martwi.

Tuż za mną podążała Bian, spoglądając przez ramię i przypatrując się uważnie twarzom zatrzymanych. Czuję, że bada ich postawę i dokonuje szybkiej oceny niezbędnej w takiej sytuacji.

- Poczekaj ze swoimi ludźmi na dole - powiedziałem do Erica.

- Nie możemy wywieźć z miasta całej szóstki - przypomniał.

- Ilu możemy zabrać?

- Jednego.

Spojrzałem na niego badawczo.

- Najwyżej dwóch - odpowiedział.

Podczas przesłuchania zawsze warto mieć kilku więźniów, aby móc zwrócić ich przeciwko sobie. Dwóch wystarczy. Erie wskazał na zegarek.

- Dziesięć minut. Mam nadzieję, że znacie magiczny sekret, który pomoże wam zidentyfikować faceta.

- Marnujesz cenny czas.

- Jeszcze jedno... - powiedział Erie. - Przeszukaliśmy wszystkich, lepiej jednak trzymaj ich na muszce, chyba że chcesz, abyśmy ich skuli.

Bian potrząsnęła głową. Nie wiedziałem dlaczego i byłem odmiennego zdania niż ona, lecz nie był to czas ani miejsce na spory. Jeńcy szukają oznak słabości lub różnicy zdań u swoich oprawców, a ja nie zamierzałem ich zachęcać do popełnienia głupiego błędu.

Oprócz tego to Bian odpowiadała za przesłuchanie, o czym kilkakrotnie mnie zapewniała, i miała w tym duże doświadczenie. Było trochę za późno na to, aby zapytać, czy do tej pory osiągała sukcesy w trakcie przesłuchań.

W każdym razie sześciu świadków z ogromną uwagą przysłuchiwało się naszej rozmowie, bacznie śledząc nasze twarze. Typowe zachowanie.

Byłem pewny, że zadawali sobie trzy pytania: Kim są ci tajemniczy ludzie, którzy pojawili się w środku nocy przebrani za Arabów, mierząc do nich z broni? Dlaczego wybrali akurat ich? Nie mieli na sobie amerykańskich mundurów, więc kim byli i czy postępowali zgodnie z jakimiś zasadami?

Gdy Erie i jego ludzie wyszli z pokoju, zamykając za sobą drzwi, Bian odwróciła się do mnie, wskazała kilka świec i poleciła:

- Zapal je. Teraz.

Wypowiedziała te słowa władczy, a nawet surowym tonem, chociaż wiedziałem, że nie uczyniła tego przez wzgląd na mnie. Grała dla publiczności stojącej pod ścianą.

Zauważyłem ogromne zaskoczenie i niezadowolenie, gdy usłyszeli głos Bian i odkryli, że zostali zatrzymani przez kobietę. Najwyraźniej nie byli przyzwyczajeni do tego, co muszą znosić amerykańscy mężczyźni.

Kiedy zapalałem świeczki, Bian zdjęła zasłonę i abaję, a następnie poprawiła włosy.

Jak mawiał pewien angielski dżentelmen, róża pozostaje różą, choćby nosiła inne imię, a piękna kobieta roztacza czar, nawet jeśli mierzy do człowieka z pistoletu. Może wówczas jest on szczególnie silny.

Cała szóstka utkwiała w niej wzrok. Dwóch przyglądało włosy i wyprostowało się, a nagi natychmiast zasłonił krocze. Chociaż przestrzeganie zasad przyzwoitości było najmniejszym z ich problemów, z rozbawieniem obserwowałem, w jaki sposób myślą i reagują w sytuacji największego stresu.

Bian stanęła pośrodku, w lekkim rozkroku, opierając dłonie na biodrach, wysuwając je do przodu i unosząc brodę. Nagła metamorfoza skromnej niewiasty w wyniosłą dominatrix była nieco teatralna, ale też bardzo przekonująca - nawet ja połapałem się w tym dopiero po chwili. Skuteczne przesłuchanie musi uwzględniać miejscowe zwyczaje i wierzenia oraz wspólne lęki. Najwyraźniej Bian o tym wiedziała.

Mieliśmy przed sobą sześciu Arabów wychowanych w kulturze, w której kobieta jest poniżana, chowa twarz za zasłoną, nie może prowadzić samochodu, a głos zabiera jako druga.

Hańbę, jaką było dostanie się do niewoli, dodatkowo powiększał fakt, że przesłuchiwała ich Amerykanka - niewierna suka. Bian zdawała sobie sprawę z tego zagubienia i zawstydzenia, celowo wykorzystując ich upokorzenie.

Pozwoliła, aby upłynęło kilka pełnych napięcia sekund wystarczających do zrozumienia, że teraz ona tu rządzi. W końcu bardzo surowym tonem zapytała:

- Który z was mówi po angielsku? Żadnej odpowiedzi.

Przyjrzała się ich twarzom i powtórzyła:

- Żądam odpowiedzi. Ponownie brak reakcji.

- Wiem, że przynajmniej jeden z was mówi po angielsku. Jesteśmy tego pewni. Wyjdź do przodu... natychmiast.

Potrzebowałem chwili, aby zrozumieć, dlaczego była taka pewna, że któryś z nich rozumie po angielsku. Łuski artyleryjskie, które znaleźliśmy na parterze, oznaczały, że panowie zajmowali się konstruowaniem bomb umieszczanych w samochodach-pułapkach lub przydrożnych min, *ergo* jeden z nich musiał zdobyć wiedzę fachową, która była do tego niezbędna. Wynikało stąd, że ma wyższe wykształcenie, przypuszczalnie zdobyte na zagranicznym uniwersytecie, a zatem zna angielski. W kolejności dziobania obowiązującej w społeczności terrorystów konstruktorzy bomb zajmują wysoką pozycję zaraz po finansistach, dlatego schwywanie kogoś takiego oznaczało tyle co wygranie drugiego losu na loterii.

I tym razem żaden nie zareagował.

Bian spojrzała na mnie. Wskazała na Nagiego Sammy'ego i Kapitana Slipy, a następnie chłodnym głosem poleciła:

- Zabierz tych dwóch. Patrzyłem na nią przez chwilę.

- Nie słyszałeś?! - warknęła. - Natychmiast!

Ruszyłem do przodu, a Bian wycelowała karabin w jeńców, aby mnie osłaniać.

Chwyciłem nagiego faceta za ramię i pociągnąłem do przodu, a następnie zrobiłem to samo z gościem w slipach.

Obaj stali teraz na środku pokoju, sprawiając wrażenie jeszcze bardziej oszołomionych, nieszczęśliwych i zagubionych, zastanawiając się, dlaczego zostali wyróżnieni, i żałując tego faktu.

- Zaprowadź ich na dół. Powiedz Finderowi, aby ich zlikwidował. Powiedziała to w taki sposób, jakby naprawdę miała taki zamiar. Najwyraźniej wyczuła wahanie w moim spojrzeniu, ponieważ nie odwracając lufy od mężczyzn stojących przy ścianie, mrugnęła porozumiewawczo w moją stronę.

Ponownie zwróciła się w stronę jeńców i zaczęła mówić po arabsku, przypuszczalnie oznajmiając, że ich towarzysze z džihadu za kilka minut zamienią się w kompost.

Użyłem lufy M16, aby wyprowadzić obu panów z pokoju, a następnie długim ciemnym korytarzem skierować na schody. Oczywiście nie wolno grozić jeńcom śmiercią lub uszkodzeniem ciała, ale nie wolno też wysyłać zamachowców-samobójców na ulice, aby mordowali cywilów. Z punktu widzenia filozofii zen, jeśli faceci nie znali angielskiego, nie rozumieli groźby, a zatem nikt im nie groził. Miałem nadzieję, że ta pokrętna logika wywrze równie dobre wrażenie na sali sądowej. Kiedy stanęliśmy przy schodach, na wszelki wypadek zawołałam:

- To ja, Drummond! Schodzę z dwoma więźniami. Puściłem obu przodem. Szli jak owce, bierni i niczego nierozumiejący. Żaden z tych gnojków nie miał najmniejszego pojęcia, co jest grane.

Finder stanął u dołu i zapytał:

- Co to za jedni?

- Mają dostarczyć lekcji pogładowej pozostałym. Przyjrzał mi się uważnie.

- Czego?

- Pani major chce ich wykorzystać, aby zaszokować pozostałych. Dziel i rządź.

Wytypowała tych dwóch do rozstrzelania.

- Naprawdę?

- Nie... na żarty.

- Jesteś pewny? Zrobimy to bez dodatkowej opłaty. Spojrzałem mu w oczy.

Zaśmiał się.

- Żartowałem, Drummond. Wyluzuj się.

Zostawiłem jeńców pod jego opieką i wróciłem na górę. Kiedy dotarłem do pokoju, Bian w dalszym ciągu głośno przemawiała do jeńców w ich języku. Nie odrywali od niej wzroku, zupełnie ignorując moją obecność.

Przerwała swój monolog i spojrzała na mnie pytająco.

- Drugi facet, ten bez ubrania, dostał trzy kule. Naprawdę trudno było go zabić. - Po chwili dodałem: - Cały czas krzyczał po arabsku, błagając, aby uwolnić go z niedoli.

Była to subtelna zagrywka, lecz z wyrazu jej twarzy zrozumiałem, że odebrała przesłanie - żaden z nich nie rozumiał po angielsku. Ponownie spojrzała na swoich jeńców i rzuciła w moją stronę:

- Za chwilę dostaniesz jednego lub dwóch kolejnych.

- Nie ma pośpiechu. - Oparłem się swobodnie o ścianę. - Chłopcy Findera są zajęci kastrowaniem tamtych i szukaniem miejsca, w którym ich ciała będą zwrócone na zachód.

Dobra kryjówka. Nikt nie będzie ich tam szukał. - Roześmiałem się.

Bian zareagowała podobnie.

Oczywiście, moja szorstka aluzja nawiązywała do faktu, że muzułmanie i ich terroryści wierzą,

iz ciało zmarłego musi zostać umyte i pogrzebane twarzą na wschód, aby dusza trafiła do nieba. Na tych, którzy zginęli męczeńską śmiercią, oczekiwała gromadka pięknych dziewczyc, lecz facet pozbawiony akcesoriów nic by na tym nie skorzystał.

Kątem oka spostrzegłem, że na twarzy drugiego z lewej pojawiły się trudno skrywane oznaki wściekłości. Najwyraźniej usłyszał i, co ważniejsze, zrozumiał, o czym rozmawialiśmy.

Także Bian to dostrzegła. Wskazała na niego i powiedziała:

- Ty... wystąp.

Facet patrzył przed siebie, jakby mówiła do kogoś innego.

Bian podeszła i stanęła w odległości mniej więcej pół metra od niego. Po jego prawej stronie stał Wyluzowany Joe, którego zadowolenie i obojętność dodatkowo podkreślały niepokój pierwszego. Nerwowy Nellie.

Pani major spojrzała w oczy Nelliego.

- No więc...?

Wzruszył ramionami, jakby nie wiedział, o co chodzi. Wtedy jej karabin nieoczekiwanie wystrzelił. Na małej przestrzeni huk wystrzału przypominał salwę armatnią.

Wszyscy byliśmy zaskoczeni i ogłuszeni.

Zrobiłem krok w jej stronę, lecz odwróciła się i powiedziała:

- Cholera! To był przypadek!

- Przypadek.

- Mój karabin... odbezpieczyłam go i... niechący naciśnęłam spust... niech to szlag!

Nerwowy Nellie runął na podłogę, trzymając się kurczowo za lewe kolano, skręcając z bólu, krwawiąc i jęcząc coś po arabsku. Zrobiłem krok w jego stronę.

- Proszę cię, Sean - rzekła Bian. - Co się stało, to się nie odstanie. Pozwól, że sama to załatwię.

Spojrzałem na nią. Sprawiała wrażenie zaskoczonej i zaszokowanej tym, że postrzeliła człowieka. Zwróciła się w jego kierunku i powiedziała coś po arabsku, jednak ton jej głosu wydał mi się zbyt surowy na przeprosiny. Szczerze mówiąc, wyglądało to raczej na groźbę.

Facet szybko wymamrotał coś w odpowiedzi głosem przypominającym jęk rannego zwierzęcia.

- Przestań... niezależnie od tego, co zamierzasz zrobić - poprosiłem.

Zignorowała moje słowa, przyciskając tamtego butem do podłogi. Powiedziała coś po arabsku ostrym tonem.

- Okej... tak, tak... mówię po angielsku. Bardzo słabo. Błagam, nie strzelaj więcej - wymamrotał.

Bian przystąpiła do niego i zapytała:

- Który z nich to Ali Ibn Pasza?

- Och! Rozwaliłaś mi kolano... strasznie boli...

- Odpowiadaj. Który z nich to Ibn Pasza?

- Co? Jak brzmiało to nazwisko?

- Ali Ibn Pasza. Pokaż go.

Facet zakołysał się, trzymając kurczowo kolano i kontemplując ból, który musiał być bardzo silny. W końcu powiedział:

- To ja. To ja jestem człowiekiem, którego szukacie... Ali Ibn Pasza.

- Kłamiesz.

- Nie, proszę pani. Mówię prawdę. Błagam, niech pani do mnie nie strzela. Proszę...

- Nie jesteś Ibn Paszą. Jeśli go nie wskażesz, rozwalę ci łeb. Z jednej strony wiedziałem, że powinienem wywlec ją z pokoju, z drugiej - chciałem usłyszeć odpowiedź.

Być może postrzeliła go przypadkowo. Chociaż było to bardzo niefortunne, czasami zło prowadzi do dobrego. A jeśli nie był to przypadek? Czy naprawdę zamierzała rozwalić mu łeb?

Silnie uderzyła lufą w zranione kolano tamtego. Facet skulił się i zawył z bólu.

Uznałem, że Bian przebrała miarę i ruszyłem, aby odebrać jej broń.

Niestety, na podobny pomysł wpadł Odważny Hardy. Skoczył na Bian, która go zignorowała, lekkomyślnie podchodząc do więźniów.

Zanim zdążyłem zareagować, oplótł ją ramionami, przyciskając jej M16 do gardła.

Szarpnął karabin, wrzeszcząc *Allahu Akbar! Allahu Akbar!* Poderwał Bian w górę, chociaż wrywała się i kopała z całej siły. Facet był duży i silny, a ona wyglądała jak szmaciana lalka w paszczy wściekłego psa.

Cofnąłem swój M16, a następnie pchnąłem do przodu, uderzając faceta w środek czoła. Usłyszałem nieprzyjemny odgłos miażdżonej kości i głowa tamtego odskoczyła w tył.

Mimo to nie zwolnił uścisku. Z ust Bian zaczęło dochodzić potworne bulgotanie. Ponownie cofnąłem broń i uderzyłem jeszcze silniej. Wiedziałem, że tym razem trafiłem w czuły punkt, bo z jego krtani wydobyło się głośne stęknienie. Puścił Bian i opadł na kolana, głośno jęcząc.

Pani major także osunęła się na kolana, ciężko dysząc i kaszląc.

Pomyślałem, że również Sean Drummond zapomniał o zagrożeniu czyhającym na skrzydłach. Zatoczyłem łuk, kierując broń w stronę dwóch pozostałych, którzy ruszyli spod ściany w moją stronę.

- Stać!

Najwyraźniej zrozumieli moje słowa lub groźną wymowę karabinu automatycznego, bo zamarli w pół kroku.

Bian podniosła się z podłogi i wyprostowała. Sięgnęła po broń i spojrzała na Odważnego Hardy'ego, który był zajęty własnymi problemami, próbując zatamować strugę krwi spływającą mu z czoła. Powiedziała coś krótko i ostro po arabsku. Tamten powoli wstał i cofnął się do ściany.

- Nic ci nie jest? - zapytałem Bian.

- Ja... - Przerwała w pół zdania, spoglądając tępo przed siebie.

- Nic ci nie jest?

- Nie. Wszystko porządku. Jestem lekko oszołomiona... straciłam oddech...

Zanim zdążyłem powiedzieć słowo, wykonała zwrot w prawo i oddała trzy strzały. Na podłodze wili się z bólu dwaj kolejni jeńcy. Spojrzałem na nią, a następnie na nich. Dwaj faceci leżeli na podłodze i, jak Nerwowy Nellie, trzymali się za lewe kolano, wijąc i jęcząc z bólu. Trzeci, Chłodny Joe, osunął się na podłogę, patrząc na Bian tak, jakby nie odczuwał bólu, a jedynie był lekko zaskoczony.

Popatrzyłem na Bian, która wyraźnie unikała mojego wzroku.

- Wiesz, co zrobiłaś?

Ponieważ nie odpowiedziała, wyjaśniłem:

- Przed chwilą postrzeliłaś nieuzbrojonych jeńców. Spojrzała na mnie takim wzrokiem, że przez ułamek sekundy myślałem, iż będę następnym.

- Oddaj mi broń, Bian.

Nie zrobiła tego, lecz odpowiedziała:

- Nie zabiłam ich.

- Oddaj mi broń! Natychmiast!

Wyprostowała się i zrobiła taką minę, jakby zastanawiała się nad tym, co zrobiła. Nie spodobało mi się to, co ujrzałem na jej twarzy. Powinna być zaszokowana lub wściekła, ona jednak sprawiała wrażenie całkowicie opanowanej. Właściwie odniosłem wrażenie, że podchodziła z

dystansem do tego, co się stało. W końcu odezwała się zaskakująco spokojnym głosem:

- Sean, proszę, zejdź na dół. Powiedz Ericowi, że on i jego ludzie muszą natychmiast tu przyjść.
- Sama zejdź. Nie zostawię cię z nimi. Zamiast zareagować na moje słowa, powiedziała:
- Podaj mi swój czarczaf.

Pomyślałem, że Bian chce zatamować krew wypływającą z rany któregoś z postrzelonych. Podałem go, nie spuszczać wzroku z jej dłoni. Zamiast zatamować krew, pochyliła się i zakneblowała Nerwowego Nelliego, który głośno jęczał i wyglądał tak, jakby za chwilę zamierzał narobić w gacie.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem, zapobiegając kłótni o to, które z nas powinno zejść na dół. Do środka wpadł Erie i dwóch jego ludzi, mierząc do nas z broni.

- Nic się nie stało! - zawołałem, aby pod wpływem zdenerwowania ktoś nie popełnił błędu. - Panujemy nad sytuacją.

Erie opuścił broń i obejrzał ciała leżące na podłodze.

- Co się dzieje, do jasnej cholery?

Najwyraźniej nie spodziewał się odpowiedzi, bo kontynuował wściekłym tonem:

- Mielicie zabezpieczyć broń. Strzały było słyhać w odległości dziesięciu przecznic.

Spojrzałem na niego, a następnie na Bian i nagle zrozumiałem co - i dlaczego - zrobiła. W swoim liście do Daniela Charabi napisał, że Ali Ibn Pasza stracił lewą nogę. Bian postrzeliła wszystkich w kolano, stosując bojową metodę ustalenia, który ma sztuczną nogę.

Odwrociłem się do Erica.

- Opatrzcie im rany, skujcie ich i zakneblujcie.

- Do diabła z tym. Wasze strzały postawiły na nogi wszystkich bojowników dżihadu w tej dzielnicy. Musimy się zwijać. Natychmiast.

- Wykonać rozkaz. - Wskazałem na Nerwowego Nellie, a następnie Wyluzowanego Joe - *alias* Alego Ibn Paszę - który obserwował mnie z podłogi, chłodno coś kalkulując. - Ci dwaj szczęśliwcy wylosowali darmową podróż.

- Oszalałeś? Posłuchaj, za dwie minuty będziemy mieli na karku całe miasto.

Spojrzałem na niego, a on na mnie.

Potrząsnął głową i odwrócił się do swoich ludzi.

- W porządku. Pospieszcie się.

Najwyraźniej Ali Ibn Pasza miał inny pomysł. Nagle zerwał się na nogi i skoczył na Bian, która zwracała zbyt dużą uwagę na naszą rozmowę i zbyt małą na faceta znajdującego się za jej plecami.

Wyrwał jej M16 i odwrócił się w moją stronę. Wszystko stało się tak szybko, że nim zdążyłem się poruszyć, ujrzałem przed sobą lufę karabinu.

Facet celował mi w twarz. W ułamku sekundy spostrzegłem jego oczy - wyraz obojętności ustąpiła miejsca złośliwemu uśmiechowi, a ciemne oczy zabłysły nienawiścią.

Zacisnąłem powieki i usłyszałem strzał, jednak ze zdumieniem stwierdziłem, że mózg nie wyleciał mi tylną stroną czaszki.

Kiedy otworzyłem oczy, Ibn Pasza stał z bronią skierowaną ku podłodze i patrzył na mnie z równym zdumieniem. Chwilę później osunął się na kolana, wypuszczając z rąk M16.

- Nie zastrzel go! Cholera... nie zastrzel go! - zawołałem, lecz Erie już to zrobił.

Podszedłem i odsunąłem M16. Ibn Pasza chwiał się na kolanach. Spojrzał na mnie, a później na własny brzuch i ciemną krew sączącą się z małego otworu w koszulce. Wyglądał na lekko zaskoczonego i bardzo poirytowanego.

Położyłem go na plecach i uklęknałem, z całej siły naciskając ranę prawą ręką.

- Dajcie mi mundur polowy! - zawołałem. Bian podała mi kurtkę.

- To poważna sprawa?

- Nie wiem. Krew nie tryska, prawda? Nie uszkodziliśmy tętnicy. To dobry znak. Ale mógł zostać uszkodzony jakiś ważny narząd wewnętrzny. - Rozdarłem koszulkę i zbadałem położenie rany. Ibn Pasza był w szoku, mamrotał nieskładnie, być może wypowiadając przekleństwa lub słowa modlitwy.

Rana wlotowa znajdowała się w odległości około ośmiu centymetrów na lewo od pępka. Próbowałem sobie przypomnieć zajęcia z biologii w ogólniaku, na których uczyliśmy się o narządach wewnętrznych zlokalizowanych w tym rejonie. Nerki? Śledziona? Pewnie jelita, a to oznaczało duże prawdopodobieństwo zakażenia. Z osobistego doświadczenia wiedziałem, że tego rodzaju rany są bardzo bolesne.

Sięgnąłem pod niego i pomacałem wokoło. Brak rany wylotowej. To dobra nowina -

facet miał tylko jedną ranę zewnętrzną, przez którą mógł się wykrwawić na śmierć. Złą wiadomością było to, że niemal na pewno wykrwawi się do wewnątrz.

Umieściłem kurtkę polową na ranie i zawiązałem mocny supeł na plecach.

W tym samym czasie Erie i jego ludzie kneblowali pozostałych zielonymi szmatami, opatrywali im rany i krępowali dłonie plastikowymi policyjnymi kajdankami. Nie minęła minuta, a wszystko było gotowe. Opatrywanie ran dałoby mi kolejny punkt przed sądem badającym zbrodnie wojenne.

Spojrzałem na Bian, lecz ta odwróciła się, kiwając głową. Choć nie był to czas ani miejsce na rozmowę, oboje wiedzieliśmy, że stosunki między nami uległy zmianie.

Ludzie Erica zarzucili Nerwowego Nelliego i Alego Ibn Paszę na ramię i wynieśli z pomieszczenia. Ruszyliśmy tuż za nimi, pozostawiając po sobie jednego zabitego, dwóch rannych i złe wspomnienia.

Najwyraźniej Erie powiadomił swoich, że czas się wycofać, bo dwa samochody - srebrny sedan i czerwona corolla - czekały przy wejściu z pracującym silnikiem.

Nerwowy Nellie został brutalnie wrzucony do bagażnika srebrnego auta, a ja pomogłem umieścić Ibn Paszę na tylnym siedzeniu corolli, gdzie mogłem obserwować, czy jeszcze żyje.

Kiedy wszyscy znaleźliśmy się w środku, Erie ruszył z piskiem opon.

Miał na głowie gogle noktowizyjne i jechał, nie włączając świateł. Pędził z prędkością co najmniej pięćdziesięciu kilometrów na godzinę wąskimi, krętymi uliczkami, gdzie niebezpiecznie było jechać czterdziestką. Nie wiedziałem, co było groźniejsze - wkurzeni bojownicy dżihadu czy ciężka noga Erica. Później przypomniałem sobie, jak muzułmańscy terroryści traktują więźniów i powiedziałem Ericowi:

- Szybciej.

Ali Ibn Pasza siedział pomiędzy mną i Bian, na ostrych zakrętach przechylając się to w jedną, to w drugą stronę jak stara szmaciana lalka.

Po niecałych trzech minutach zabudowania się przerzedziły i znaleźliśmy się na przedmieściach. Zwykle świetnie pamiętam miejsca, w których byłem, nie dostrzegłem jednak żadnych znaków charakterystycznych, więc wyjeżdżaliśmy z Falludży inną drogą -

najwyraźniej Erie przestrzegwał zasad swojego rzemiosła, zmieniając trasę przejazdu.

Podśledzałem, jak rozmawia ze swoimi ludźmi, i odniosłem wrażenie, że jeden lub dwa zespoły przecierały szlak przed nami i pilnowały tyłów, abyśmy mogli opuścić miasto z cennym ładunkiem.

Bian nie mówiła ani słowa. Nie odczuwałem potrzeby zakomunikowania jej, jak się czuję. Byłem wkurzony i doskonale to wiedziała. Nie tylko postrzeliła jeńców, lecz powiększyła swoje przewinienia niewybaczalną lekkomyślnością, dwukrotnie pozwalając się podejść złym facetom. Za

drugim razem omal nie rozwalono mi głowy. Takie rzeczy odbieram w bardzo osobisty sposób. Na dodatek nasz cenny więzień mógł nie dożyć przesłuchania, a wówczas cała wyprawa okazałaby się stratą czasu. Phyllis i mnie czekałaby długa, raczej jednostronna rozmowa.

W każdym razie opuściliśmy teren zabudowany, podskakując na tej samej piaszczystej drodze, którą wjechaliśmy do miasta. Zrozumiałem, że Erie znał sposób, aby dowieźć nas do posterunków kompanii kapitana Yuknisa. Spojrzałem na zegarek - była 3.20 rano.

Rozluźniłem się. Ali Ibn Pasza mógł umrzeć, zanim dotrzemy do Bagdadu, lecz najgorsze mieliśmy już za sobą. Czy coś jeszcze mogło pójść nie tak?

Cóż, nie należy kusić losu, ponieważ nagle zostaliśmy oświetleni mnóstwem reflektorów. Erie nacisnął hamulec tak gwałtownie, że Ibn Pasza poleciał do przodu, uderzając głową w przedni fotel.

Światła zgasły niemal tak szybko, jak się pojawiły.

- Kierowca, wysiadaj z samochodu! Ręce nad głowę! - zawołał ktoś z amerykańskim akcentem.

Erie wysiadł i tym razem. Niestety, zamiast wysokiej i szczupłej sylwetki kapitana Yuknisa z ciemności wyłonił się niski krępy facet poruszający się chodem Johna Wayne'a.

Towarzyszyło mu dwóch rosyjskich marines, mierzących do Erica z M16.

Opuściłem okno i usłyszałem rozmowę, a właściwie kłótnię Erica ze wspomnianym oficerem. Po minucie sytuacja nie uległa poprawie. Erie mówił jeszcze głośniej i odniosłem wrażenie, że sprawy przybrały zły obrót.

Wspaniale. Znalazłem się tu, przechytrzony przez dwulicową szefową, moja partnerka popełniła zbrodnię wojenną, więzień przypuszczalnie wykrwawi się na śmierć... cóż, macie już pełny obraz sytuacji.

Musiałem się na kimś wyładować, a ta sytuacja - i ten facet - znakomicie się do tego nadawały.

Silnym ruchem otworzyłem drzwi.

- Sean, nie rób tego... - poprosiła Bian. - Proszę, zostaw to Ericowi.

- Zamknij się.

Wyszedłem z samochodu i zacząłem iść w kierunku Erica. Usłyszałem szcęk odbezpieczanych M16 i po niewczasie przypomniałem sobie, że mam na sobie arabskie ciuchy. Zatrzymałem się, sięgnąłem do kieszeni, wyciągnąłem moją małą amerykańską flagę i zacząłem nią wymachiwać jak oszalały, jednocześnie wolno i ostrożnie ściągając abaję przez głowę i kładąc ją na ziemi.

Oficer krzychał do Erica:

- Gównu mnie obchodzi, co mówisz i z kim rzekomo to uzgodniłeś!

- Z kapitanem Yuknisem. Już panu mówiłem.

- Yuknis został wezwany na spotkanie w Centrum Operacji Taktycznych. Teraz ja dowodzę. Zatrzymam was i samochód. Zostaniecie przeszukani. Opowiesz swoją historijkę przesłuchującemu oficerowi, kiedy jakiś będzie wolny.

- Ten samochód nie może zostać przeszukany. I tak bez końca.

Podszedłem do oficera i skierowałem snop latarki najpierw na jego pierś, a następnie kołnierzyk. Na tabliczce z nazwiskiem widniało słowo „Berry”, spostrzegłem też czarną belkę podporucznika, co oznaczało, że facet był zastępcą Yuknisa.

Oświetliłem jego twarz snopem światła, ze zdumieniem stwierdzając, że jest młodzieńcza, niemal dziecinna. Im dłużej mu się przyglądałem, tym młodszy się wydawał.

Młodszy oficerowie to interesujące stworzenia, obdarzone władzą i obowiązkami znacznie przekraczającymi ich życiowe doświadczenie i mądrość. Niektórzy przyjmują tę dysproporcję z inteligentną pokorą, inni z autodestrukcyjną niepewnością, jeszcze inni z głupią iluzją, że na to zasługują. Gdybym nie odgadł, w jakim miejscu wspomnianego spektrum znajduje się porucznik

Berry, jego słowa rozwiałyby wszelkie wątpliwości.

- Zabierz to cholerne światło z moich oczu - warknął.
- Dzień dobry, poruczniku Berry. Ładny mamy dzień, prawda - odparłem przyjacielskim tonem.
- Coś za jeden? - zapytał niegrzecznie.
- Pan dowodzi tą kompanią, prawda?
- Kim jesteś, do cholery?
- Nie sądzisz, że sam bym to powiedział, gdyby była to twoja sprawa?

- Jakiś przemądrzały dupek - rzekł Berry, wykazując się zdumiewającą spostrzegawczością. Po chwili wydał polecenie: - Podnieś ręce nad głowę.

- Dlaczego miałbym to zrobić?
- Ponieważ wydałem taki rozkaz.
- Głupi powód.
- Doprawdy? W takim razie będę musiał cię zastrzelić. Czy to też jest głupie?

Kiedy nie podniosłem rąk, obejrzał się przez ramię i powiedział do dwóch marines:

- Przeszukajcie i skujcie tego dupka. Jeśli będzie stawiał opór, użyjcie siły.

Zanim żołnierze zdążyli zrobić krok, powiedziałem porucznikowi Berry'emu:

- Chcę, abyś stuknął piętami.
- Co... do jasnej...
- Piętami. Małymi guzami w tylnej części stopy. Chcę, abyś stanął na baczność.
- Wiem, co to pięta.

- Czasami wam z piechoty morskiej trzeba to tłumaczyć. - Usłyszałem chichot jego żołnierzy, którzy zbliżali się, mierząc do mnie z M16. Skierowałem promień latarki na lewy kołnierzyk i powiedziałem do Berry'ego, a pośrednio także do jego ludzi: - Powiedz tym palantom, aby się cofnęli, bo aresztuję za obrazę starszego oficera.

Zauważyłem, że jego pewność siebie zmalała, gdy spostrzegł czarny liść podpułkownika. Przez chwilę wydawał się podenerwowany, najwyraźniej nie wiedząc, co zrobić, a następnie jak nędzny służbista, którym najwyraźniej był, poddał się wojskowemu instynktowi, stanął na baczność i przytomnie zasalutował.

Nie zasalutowałem mu w odpowiedzi.

- Poruczniku, obraził pan starszego oficera i groził pozbawieniem go życia. -

Odwróciłem się do Erica. - Byłeś tego świadkiem, prawda?

- Jasne. Wymyślał panu. Używał wyzwisk. Groził nawet, że pana zabije.

- Tak, prawdziwy smarkacz. Dobry oskarżyciel załatwiłby mu od dziesięciu do piętnastu lat w Leavenworth.

- Sir, nie wiedziałem, kim pan jest... nie zauważyłem...

- Ja cię rozpoznałem. Staliśmy w odległości zaledwie pół metra od siebie. Nie widzę powodu, dla którego miałbyś nie rozpoznać mojego stopnia. - Dałem mu kilka sekund na rozważenie, jaki ze mnie kutas, a następnie dodałem: - Nie, obawiam się, że to nie tłumaczy waszego zachowania.

- A przeprosiny żołnierza marines, sir?

- Nie ma o czym mówić.

- No więc...

- Poruczniku, czy zna pan treść paragrafu osiemset trzydziestego czwartego?

Spojrzał na mnie, a następnie na Erica.

- Paragraf osiemset trzydziesty czwarty mówi o przeszkadzaniu, utrudnianiu i/lub narażaniu na szwank ważnej operacji wojskowej. W kodeksie wojskowym poważniejszą zbrodnią jest jedynie

zdrada. Można dostać za to dożywocie.

- Sir... nie miałem pojęcia...
- Niewiedza nie jest wymówką, poruczniku.
- Nie jest, sir.
- Odpowiada się: „Tak jest, sir”.
- Uhm... tak jest, sir. Chodziło mi... no, zamierzałem...
- Proszę zabierać głos, gdy o to poproszę. Macie radio?
- Tak, sir.
- Gdzie?
- W wozie dowodzenia, sir.

Teraz jego głos wyraźnie drżał. Porucznik Berry zrozumiał, że oprócz kul na polu walki czai się inne śmiertelne zagrożenie.

- Zawiadomcie waszych ludzi o przejeździe trzech cywilnych samochodów. Niech ich nie zatrzymują ani nie utrudniają przejazdu. - Po krótkiej pauzie dodałem: - Chcę, aby salutowali, gdy będziemy przejeżdżać.

- Ale, sir... nie wiem nawet, kim pan jest.

- Synku - rzekłem, przybierając groźny wyraz twarzy. - Jestem facetem, który może zrujnować twoje życie. Masz dwie sekundy. Decyzja należy do ciebie.

Porucznik Berry wykorzystał przysługujące mu dwie sekundy, a następnie popędził do swojego pojazdu, aby powiadomić marines, podczas gdy ja i Erie wróciliśmy do naszego wozu i wsiedliśmy do środka. Erie ruszył i szybko przejechaliśmy przez posterunek.

Zauważyłem, że żołnierze trzymają broń w takiej pozycji, jakby oddawali nam honory.

Erie zachichotał i powiedział:

- Od razu wiedziałam, że to dupek.
- To cholerna oferma, która szcza do łóżka.
- Naprawdę jesteś prawnikiem?
- Czemu pytasz?

- Ten paragraf osiemset trzydziesty czwarty. Nie ma żadnego pieprzonego paragrafu osiemset trzydziestego czwartego.

- Jesteś pewien?

- Taak, jestem... daj spokój... - Obaj roześmialiśmy się. Kilka minut później Bian poinformowała Erica:

- Pospiesz się. Jego oddech staje się coraz płytszy.

Chwilę po tych słowach z tyłu doleciał huk głośnych eksplozji i całe niebo rozświetliły smugi wybuchów niczym burza z błyskawicami zesłana przez gniewnego Boga, Boga pozbawionego miłosierdzia, chociaż był to zaledwie przedsmak tego, co miało nastąpić.

Odwróciłem się i spojrzałem przez tylną szybę. W Falludży rozpoczęła się właśnie pierwsza faza programu przebudowy pod kierunkiem piechoty morskiej. Chociaż może się to wydać idiotyczne, stare przysłowie kryje w sobie tragiczną prawdę: Trzeba zniszczyć wioskę, aby ją ocalić.

Rozdział dwudziesty drugi

Dotarcie do lotniska zajęło nam czterdzieści minut, podczas których Ibn Pasza stracił przytomność i zaczął nierówno oddychać. Minęliśmy tylko jeden punkt kontrolny przy bramie obsługiwany przez podenerwowanych cywilów, którzy przepuścili nas bez zbędnych ceregieli.

Bian zaprowadziła Erica do krytego hangaru, w którym stał duży, lśniący boeing używany przez biznesmenów. Opuszczona drabinka i otwarte drzwi wskazywały, że przypuszczalnie ktoś był w

środku. Wszedłem po stopniach na pokład, aby znaleźć lekarza.

We wnętrzu było gorąco i duszno. Odniosłem wrażenie, że załoga zrobiła sobie przerwę na odpoczynek, bo nie zastałem nikogo.

Skręciłem w prawo i wszedłem do pomieszczenia, które pełniło funkcję dużego salonu

- ściany były obite boazerią, a na podłodze leżał gruby dywan. Dostrzegłem również ogromny ekran wideo, szklany stół konferencyjny, kilka foteli oraz dużą okrągłą pluszową kanapę.

Ruszyłem w kierunku ogona i dotarłem do równie ekstrawagancko urządzonej jadalni z długim mahoniowym stołem, przy którym stały mahoniowe krzesła. Nad stołem wisiał

imponujący żyrandol, który wyglądał na kryształowy, chociaż został wykonany z plastiku. Za jadalnią znajdował się prywatny gabinet - boks z dużym biurkiem, na którym stały wszelkiego rodzaju cuda nowoczesnej techniki.

Nie miałem pojęcia, po co Agencji była ta latająca „Queen Mary”, a tym bardziej jak zdołano przekonać Kongres do zapłacenia za to cacko. Właściwie przychodził mi do głowy pewien pomysł - zawarło umowę *sotto voce* z pewnymi członkami Podkomisji Nadzoru Wywiadu, obiecując, że będą mogli wypożyczać go podczas długich podróży zamorskich odbywanych, oczywiście, w sprawach bezpieczeństwa narodowego.

W każdym razie samolot sprawiał wrażenie pustego. Została mi tylko para drzwi w tylnej części maszyny.

Wszedłem do pomieszczenia z prawej strony, które okazało się głównym apartamentem - jarmarczną klatką o ścianach pokrytych tapetą w stylu rokoko, dużych lustrach i małym barku, który ku mojemu rozczarowaniu okazał się pusty. Na podwójnym łóżku spał facet w bieliźnie. Pociągnąłem go za nogę.

Otworzył oczy i spojrzał na mnie, mrugając powiekami.

Gość sprawiał wrażenie inteligentnego - miał grube okulary, myślące oczy i tak dalej.

- Czy jest pan lekarzem tego domu? - zapytałem.

- To samolot - zauważył. - Tak... - przytaknął, przecierając oczy i wyciągając rękę w moją stronę. - Bob Enzenauer.

- Jaką ma pan specjalność, doktorze?

- No, cóż... a jakiego pacjenta pan przyprowadził?

- Gość otrzymał postrzał w brzuch.

- Kiepska sprawa. - Usiadł na łóżku. - Proszę dać mi chwilę. Za moment przyjdę.

Zostawiłem go i wróciłem przez labirynt lotniczych pomieszczeń do hangaru.

Ibn Pasza leżał na cementowej posadzce, a Erie i Bian pochylali się nad nim.

Zauważyłem również srebrnego sedana i Nerwowego Nelliego siedzącego nieopodal. Facet wyglądał na jeszcze bardziej nieszczęśliwego i rozdartego uczuciowo niż przedtem, chyba z powodu ogromnego pistoletu Erica wycelowanego w jego głowę.

Bian klęczała, badając puls Ibn Paszy. Z madame de Sade przekształciła się w Ma Barker i Florence Nightingale - ta dama zmieniała wcielenia szybciej niż ja bieliznę.

Spojrzała na mnie i oznajmiła zatroskanym tonem:

- Jego puls słabnie. Kiepska sprawa. Pewnie ma krwotok wewnętrzny.

Erie spojrzał na nią, a następnie na mnie.

- Powinniśmy jak najszybciej sfinalizować naszą transakcję - oznajmił.

- Facet miał być żywy. - Oddałem mu dwa M16 i zauważyłem dwa laptopy, moją teczkę i marynarski worek ułożone starannie na podłodze obok Ibn Paszy.

Erie popatrzył na Ibn Paszę.

- Jak dla rządu facet jest wystarczająco żywy. Moim zdaniem wszystko jest w porządku. A twoim?

Zważywszy na paskudną alternatywę - Ibn Paszę w idealnym zdrowiu i ścianę w Falludży udekorowaną moim mózgiem - nie chciałem okazać niewdzięczności człowiekowi, który ocalił mi życie.

- W porządku. - Spojrzałem na niego. - Proszę przekazać wyrazy najwyższego uznania pańskim ludziom.

- Uczynię to.

- Odwaliliście kawał dobrej roboty - powiedziałem zupełnie serio, ściskając mu dłoń. - Podwajam wasze wynagrodzenie.

- Możesz to zrobić? Wiedziałem, że Phyllis dostanie szału.

- Właśnie to zrobiłem.

Uśmiechnął się i poklepał mnie po ramieniu.

- Nawiasem mówiąc, czy wiesz, że Phyllis... dysponuje nieograniczonym budżetem?

- Nie... nie sądziłem...

- To czarna forsa. Nie muszą się z niej rozliczać. Może szastać pieniędzmi jak pijany marynarz.

- Poważnie?

- Mówię o tym, ponieważ... przed naszym przyjazdem powiedziała mi... właściwie się przechwalała... że inni wykonawcy otrzymują dwukrotnie więcej od was.

- Naprawdę?

- Nie powtarzaj nikomu. Do następnego razu.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie. Miałem wrażenie, że facet chce coś powiedzieć.

- Kiedy będziesz miał tego dosyć, wracaj do domu, Erie - dodałem na koniec.

- Dobra rada. - Odwrócił się, po czym on i jego ludzie wsiedli do samochodów i odjechali.

W tym samym czasie doktor Enzenauer pochylał się nad Ibn Paszą, podłączając mu kroplówkę. Spojrzał na mnie i zapytał, wskazując na Nerwowego Nelliego:

- Co jest drugiemu?

- Zwykły postrzał w kolano. - Wskazałem na Ibn Paszę. - Ten jest najważniejszy. Nie pozwól mu umrzeć. Zrób wszystko, co w twojej mocy.

Spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem.

- Czyżbym wspomniał o czymś zbyt oczywistym?

- W pomieszczeniu załogi jest składane łóżko. Pierwsze drzwi z prawej strony.

Przynieś je, jeśli chcesz pomóc.

Bian ruszyła za mną i gdy tylko znaleźliśmy się na pokładzie, pociągnęła mnie za ramię i odwróciła.

- Musimy pogadać - rzekła z naciskiem.

- Nie teraz.

- Od czasu, gdy opuściliśmy fabrykę, nie powiedziałeś do mnie ani słowa.

- Nieprawda. Powiedziałem, abys się zamknęła. Ten rozkaz obowiązuje, dopóki go nie odwołam. - Popatrzyłem jej prosto w oczy. - Nie jestem w nastroju do rozmowy.

Najwyraźniej się tym nie przejęła.

- Nie chcesz zapytać, dlaczego to zrobiłam?

- Postrzeliłaś nieuzbrojonych jeńców. Dlaczego miałbym cię pytać? Dlaczego w ogóle powinno mnie obchodzić, z jakiego powodu to zrobiłaś? To, co powiesz w tej chwili, może i przypuszczalnie zostanie użyte przeciwko tobie podczas rozprawy.

- Zasluguję na lepsze traktowanie z twojej strony.

- Doprawdy?

- Chcę, abyś wiedział dlaczego. To dla mnie ważne, Sean. Prawda... chcesz posłuchać?

Kiedy nie odpowiedziałem, kontynuowała:

- Zostały nam dwie minuty. Wiedziałałam, że Ibn Pasza nie ma lewej nogi. Założyłam, że ma protezę. Pamiętasz list, prawda? Dlatego... dlatego postrzeliłam wszystkich w lewe kolano. Poskutkowało, prawda?

Już to wykombinowałam.

- Nigdy nie przyszło ci do głowy, że wystarczyło im podciągnąć nogawki?

- Tak, ale...

- Łatwiej było ich postrzelić.

- Nie, ja... to była... najtrudniejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłam.

- Zadbaliśmy, aby wyglądało, że zrobiłaś to bez najmniejszego trudu.

- Wiedziałałam, że jeśli ich nie zranię, będą mogli walczyć z piechotą morską. To groźni ludzie, fanatyczni terroryści, zabójcy.

- Skończyłaś?

- Jeszcze nie. Nie twierdzę, że to, co zrobiłam, było zgodne z prawem. Nie było.

Wiem o tym. Mimo to jestem przekonana, że postąpiłam słusznie. Jeśli ocalałam w ten sposób życie choćby jednemu marines...

- Właśnie dlatego armia ma sądy wojskowe, w których ławnikami są weterani.

- O czym ty mówisz?

- Ci ludzie rozumieją stres i napięcie towarzyszące walce, ocenę sytuacji i wymówki usprawiedliwiające wątpliwe postępowanie, okoliczności łagodzące... - Otworzyłem drzwi, lecz pomieszczenie okazało się toaletą. - Zachowaj to dla nich.

- Mówię prawdę, Sean. Dlaczego twoim zdaniem to zrobiłam?

- Może straciłaś nad sobą kontrolę. Może masz złe wspomnienia z okresu służby w Iraku, może żywisz irracjonalną nienawiść do Arabów lub cierpisz na nerwicę frontową.

Może to ukryte skłonności socjopatyczne lub zespół napięcia przedmiesiączkowego. Istnieje całe mnóstwo możliwości. Naprawdę nie mam pojęcia i nic mnie to nie obchodzi.

Ruszyłem w kierunku kabiny pilota i zatrzymałem się przy pierwszych drzwiach z prawej strony.

- Wiesz, co sobie myślę? - zapytała Bian.

Wlazała za mną do pomieszczenia, które wydawało się kabiną załogi.

- To nie jest twoja wojna. Pamiętasz, jak ją nazwałeś? Popraw mnie, jeśli źle cię zacytuje. To dla ciebie wydarzenie medialne - okrucieństwo informacji wtłoczony pomiędzy prognozę pogody i wiadomości sportowe. Nie opisywałeś postawy amerykańskiej opinii publicznej, lecz własną.

Nie dostrzegłem żadnego składanego łóżka, lecz drzwi, które mogły prowadzić do szafy.

- Przypatrujesz się jej jak bezstronny obserwator, turysta, który niechcący znalazł się w jej rejonie, pozbawiony emocjonalnego stosunku do tego, czego jest świadkiem. Ja nie jestem obojętna, podobnie jak sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, którzy walczą w tym kraju.

To sprawa życia i śmierci i tak trzeba ją traktować.

- Bzdura.

- Naprawdę? Przecież nawet nie chciałeś tu przyjechać. Znalazłeś się tutaj tylko dlatego, że zawstydziliśmy cię z Phyllis i zmusiliśmy do udziału w akcji.

Fakt. Może właśnie dlatego, chociaż nie bez pewnych trudności, znacznie łatwiej było mi ją osądzać. Miałem własne wojny, własne bitwy - wojnę w Panamie, pierwszą wojnę w Zatoce

Perskiej i wojnę w Mogadiszu - i podobnie jak mój ojciec lubiłem podkreślać, że były one ostatnimi prawdziwymi wojnami. Rzeczywiście nie miałem emocjonalnego stosunku do wojny w Iraku - nie odczuwałem żadnej empatii ani sympatii. Rozumiałem jej przyczyny, lecz nie dałem się ponieść egzaltacji. Unikając wzroku Bian, otworzyłem drzwi i dostrzegłem składane łóżko.

- Spójrz na mnie, Sean - powiedziała. Spojrzałem.

- Nie byłeś taki skłonny do potępienia, gdy groziliśmy im egzekucją. To także stanowi pogwałcenie prawa wojennego. Udawanie prawego i sprawiedliwego nie pasuje do ciebie.

Uznałem, że nie ma potrzeby wskazywania jej różnicy pomiędzy groźbą i czynem.

Wiedziałem, że wystarczająco dobrze ją rozumie. To prawda, że przekroczyłem dopuszczalną granicę, lecz ona przekroczyła ją o kilka galaktyk.

- Gdybym czuła się wypalona albo cierpiała na hiperwentylację, pozabijałabym ich wszystkich. Nie mogłam... i nie uczyniłam tego. Celowo ich zraniłam. Potrafisz to zrozumieć?

Nie potrafiłem. Gdyby wpadła w bitewny szal lub kipiała nienawiścią rasową, ci faceci nie zostaliby okaleczeni, lecz zamienili się w żer dla robaków.

Z punktu widzenia prawa nie miało znaczenia, co nią kierowało - czy chciała oddzielić ziarno - czyli Ibn Paszę - od plew, czy, jak później sobie tłumaczyła, zamierzała wyeliminować tych ludzi z walki. Postrzelenie nieuzbrojonego jeńca jest w najlepszym razie nadużyciem, w najgorszym - rodzajem tortur.

- Nie bądź na mnie zły.

- Jestem tobą rozczarowany. To co innego.

- To znacznie gorsze. - Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. - Myślałam, że coś nas łączy... i... ja...

Chwyciłem łóżko, próbując wynieść je z kabiny. Było zbyt duże i nieporęczne, więc poprosiłem:

- Chwyć je z tamtej strony.

- Co masz zamiar zrobić.

- Napiszę raport w tej sprawie.

- Do kogo?

- Kiedy zdecyduję, pierwsza się o tym dowiesz.

- Czy jestem aresztowana?

- Jeszcze nie. Pogódź się jednak z myślą, że czeka cię areszt wojskowy.

- Chcę zakończyć tę sprawę... muszę ją zakończyć.

- Nie mogę powierzyć ci jeńców, Bian. Jestem pewien, że nie musisz ci wyjaśniać dlaczego.

- Nie myślisz logicznie. Beze mnie nie zdołasz dokończyć operacji. Wiesz o tym.

- Doprawdy?

- Tak. Ile istnień ludzkich zdołamy uratować, jeśli skłonimy Ibn Paszę do mówienia?

Powiedziałeś... to dla mnie bardzo ważne. Daj spokój. Dotarliśmy tak daleko.

Zdobyła punkt. Rozumiała sytuację i знаła arabski, podczas gdy ja nie potrafiłem nawet zapytać: „Komu przekazywałeś forszę, Ibn Pasza?”.

Z drugiej strony nie mogłem zapomnieć o tych mężczyznach osuwających się na podłogę. Wyczuła moje wahanie.

- Uspokoisz swoje sumienie, kiedy skończymy, dobrze? Najpierw zakończymy naszą misję, zgoda? Co mówią o dziecku i kąpeli? Czy mogę spowodować jeszcze więcej szkód?

- Jeszcze nie wyczerpały ci się te frazesy?

- Przecież dobrze wiesz, że nie. Spojrzałem na nią i wbrew sobie powiedziałem:

- Obiecuję, że nikogo więcej nie postrzelisz. Uśmiechnęła się i oznajmiła uroczyście:
- Obiecuję.
- Żadnego znęcania się nad więźniami.
- Bez twojej zgody nie zabiję nawet moskita.
- Bez mojej zgody nie zrobisz siusiu.
- Właśnie to miałam na myśli.
- Pomóż mi z tym łóżkiem.

Wspólnie zanieśliśmy wspomniany sprzęt do doktora Enzenauera, który zdążył już podłączyć kroplówkę Nerwowemu Nelliemu, a teraz pochylał się nad Ibn Paszą. Słyszając nasze kroki, podniósł głowę i powiedział:

- Jego stan jest stabilny. Bez otwarcia jamy brzusznej nie mogę ocenić, jak poważna jest rana. Powinien znaleźć się natychmiast na stole operacyjnym.

Podnieśliśmy Ibn Paszę za ramiona i nogi i delikatnie ułożyliśmy na łóżku.

- To Ali Ibn Pasza - wyjaśniła Bian.
- Domyślałem się.
- Zatem wiesz, jaki jest dla nas ważny i jakie komplikacje to powoduje. W okolicy jest kilka szpitali polowych. Rozumiesz, co by się stało, gdybyśmy ujawnili jego tożsamość?
- Dam mu środek uspokajający, który spowoduje, że straci przytomność. Substancję, która nie wejdzie w interakcję z tym, co mu poda anestezjolog. Nie mogę zagwarantować, że będzie mówił.

Bian spojrzała na mnie:

- Co robimy? - spytała.
- Musimy go przenieść. Nie chcę, aby załoga karetki skojarzyła go z tym samolotem.
- Nie pomyślałam o tym.

Enzenauer i ja chwyciliśmy łóżko polowe i wynieśliśmy Ibn Paszę z hangaru, podczas gdy Bian udała się na poszukiwania funkcjonariusza żandarmerii wojskowej, aby przez radio sprowadzić karetkę z najbliższego punktu medycznego.

- Pójdę z tobą - powiedziałem Enzenauerowi. - Kiedy go przyjmą, zostaniesz sam.

Miałem długą noc. Muszę się przespać.

- No cóż... właśnie po to tu jestem. - Po chwili zadał mi trafne pytanie: - Jak go przedstawić? Zakładam, że nie chcesz, aby wracał do zdrowia w amerykańskim szpitalu wojskowym. Trzeba wymyślić coś, co uzasadni jego wypisanie po zabiegu.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- Powiedz im, że jest członkiem saudyjskiej rodziny królewskiej. Został postrzelony przez terrorystów. Podkreśl związek łączący go z królem Arabii Saudyjskiej i dopilnuj, aby otrzymał jak najlepszą opiekę. - Odwróciłem się w stronę Enzenauera. - A jak wyjaśnimy twoją obecność?

- To znacznie łatwiejsze. Wielu bogatych Saudyjczyków zatrudnia własnego lekarza z Zachodu.

Omam mu nie powiedziałem, że mam własnego proktologa o imieniu Phyllis, jednak odniosłem wrażenie, że facet jest pozbawiony poczucia humoru.

- Mój przyjaciel zatrudnia lekarza. Mieszka w ogromnej rezydencji na przedmieściach Great Falls. Płaci mu kupę szmalu.

Enzenauer zachichotał.

- Żona ciągle mi powtarza, abym znalazł sobie własnego króla.
- Teraz już go masz. Twój klient, Ali as-Saud, przyjechał tu w interesach. Nie wyjaśnił ci dokładnie celu swojej podróży, ponieważ to nie twoja sprawa. Tak? Zabrał cię ze sobą i zapytał, czy chcesz odwiedzić razem z nim kilka miejsc w okolicy. Szedł ulicą, aż tu nagle zastąpił

mu drogę jakiś nieznajomy w ciemnym ubraniu. Chwilę później padł strzał. Zupełnie przypadkowa ofiara. Historia powinna być jak najprostsza. Jeśli zapytają cię o to, kim jesteś, powiedz prawdę, pomijając część związaną z CIA. Naciąganie prawdy to najlepsze kłamstwo.

Skinął głową.

- Zapakowałeś swojego pacjenta do taksówki i przywiozłeś do amerykańskiej bazy powietrznej, prosząc o pomoc. Przy bramie natknąłeś się na mnie... złapałem jakiegoś sanitariusza... kogoś z jednostki stacjonującej na lotnisku... a on podłączył Alego do kroplówki i podał krew. Zgoda?

- Właśnie tak to zapamiętałem.

- Nie popłacz się w tym, doktoru. Wydostanie faceta z Iraku to problem Phyllis.

Usiedliśmy przy łóżku, a w trzy minuty później nadbiegła Bian.

- Helikopter sanitarny jest w drodze. Są w odległości zaledwie pięciu kilometrów.

Przedstawiłem jej naszą wersję, którą uznała za wiarygodną. Powiedziałem, aby została w samolocie, opiekowała się Nerwowym Nelliem i pamiętała, że nie wolno go zastrzelić. Obiecałem, że wrócę za dwie godziny i poleciłem, aby zadzwoniła do Phyllis z samolotu, powiadamiając ją o aktualnej sytuacji.

Po chwili usłyszeliśmy hałas lądującej maszyny.

Rozdział dwudziesty trzeci

Dobre i złe wieści.

W centrum miasta doszło do zamachu bombowego i nasze przybycie zbiegło się w czasie z przywiezieniem do szpitala połowego wielu poranionych, znajdujących się w szoku ludzi. Niektórzy poruszali się o własnych siłach, jednak większość transportowano na noszach. Pielęgniarki przyjmujące pacjentów miały huk roboty i biegały od jednego poszkodowanego do drugiego, oddzielając ciężko rannych i tych, którzy odnieśli lekkie obrażenia, od ludzi, którym nie można już było pomóc. Zwyczajna selekcja rannych.

Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Oczywiście widziałem zabitych i rannych żołnierzy, tutaj byli jednak wyłącznie ranni cywile, w większości kobiety i dzieci, zakrwawieni i oszołomieni, błagający o pomoc i uwagę. Widziałem płaczących ojców niosących małe ranne dzieci i małe dzieci stojące z wyrazem rozpaczyny obok ciężko poturbowanych rodziców.

Co terroryści chcieli osiągnąć, zadając ciosy na oślep i masakrując ludność cywilną?

Co gorsza, usłyszałem, że to zaledwie połowa wszystkich ofiar - resztę przewieziono do szpitali cywilnych, które już i tak były przepełnione i podsyłały chorych amerykańskim szpitalom wojskowym.

W pewnej chwili moje spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Enzenauera. Potworna ironia faktu, że akurat dzisiaj przywieźliśmy tu Ibn Paszę, zaskoczyła nas i sprawiła, że poczuliśmy ciężar winy.

W tyglu nieszczęść i zamętu pielęgniarka przyjmująca pacjentów zadała jedynie kilka pobieżnych pytań, nie okazując żadnego zainteresowania ani wątpliwości przed wysłaniem Ibn Paszy na pilny zabieg. W Iraku każdy ma niezbywalne prawo do odniesienia ran bez konieczności wyjaśniania, jak do tego doszło.

Doktor Enzenauer wspomniął o dyplomatycznym znaczeniu swojego pacjenta, a kilka minut później powtórzył to samo wojskowemu lekarzowi, dodając nieco informacji na temat swojego wykształcenia, które okazało się całkiem imponujące - facet ukończył John Hopkins Medical School i odbył staż w Georgetown Hospital, jako specjalizację wybierając psychiatrię i choroby serca. W rezultacie pozwolono mu wejść do sali zabiegowej w charakterze prywatnego lekarza pacjenta.

Nalałem sobie kubek kawy i przez dwie godziny siedziałem w poczekalni, zanim wsiadłem do

wojskowego ambulansu wiozącego dwóch rannych na lotnisko w celu dostarczenia ich do szpitala w niemieckim Landstuhl. Obaj leżeli na noszach, jeden nieprzytomny, drugi co chwila tracący i odzyskujący przytomność, tak silnie otumaniony lekami, że jego stan właściwie nie odbiegał od stanu pierwszego pacjenta.

Wraz ze mną z tyłu karetki jechała sympatyczna, atrakcyjna pielęgniarka o lekko latynoskich rysach. Na tabliczce z nazwiskiem widniało słowo „Foster”.

- Jak ma pani na imię?

- Claudia.

Ponieważ nie zauważyłem obrączki ani pierścionka zaręczynowego, zadałem pytanie, które zadaję wszystkim atrakcyjnym kobietom:

- Jest pani zamężna?

- Od pięciu lat. Mąż mieszka w Nowym Jorku. Stamtąd pochodzę. Wielkie Jabłko, prawda?

- Czy to gdzieś na przedmieściach New Jersey? - Odniosłem wrażenie, że moja uwaga nie przypadła jej do gustu, bo uśmiechnęła się oschle. - Tęskni pani za swoim miastem?

- Wiele bym dała za prawdziwe ceviche z tuńczyka. Jadł pan to kiedyś? To danie z Hondurasu podawane w skorupie kokosa. *Muy delicioso*. Jest tam restauracja Patria, w której podają prawdziwe latynoskie jedzenie. - Zaśmiała się. - Do zakończenia zmiany zostały mi cztery miesiące. Mój zwariowany mąż już zrobił rezerwację na dzień mojego powrotu.

Pewnie mu odbiło.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Claudia kochała swojego męża, tęskniła za nim i nie mogła się doczekać, aby wrócić i urodzić mu gromadkę dzieci.

Służyła na pół etatu w Wojskowej Gwardii Narodowej i ostatnią rzeczą, której się spodziewali, było powołanie jej do udziału w operacji wojskowej. W końcu zapytałem:

- Co się stało tym dwóm? Wskazała na nieprzytomnego mężczyznę:

- Sierżant Elby był kierowcą ciężarówki. Służył w Gwardii Narodowej jak ja. -

Wyciągnęła rękę i ostrożnie poprawiła jego pled, wykonując zbędny, lecz wymowny gest. -

Wybuch bomby przy drodze jakiś miesiąc temu. Stracił obie nogi i lewe biodro. Jego nerki nie funkcjonują, więc dwa razy dziennie musimy mu robić dializę. Szkody wyrządzone przez te bomby są... - Na chwilę odwróciła wzrok. - Na dodatek, kiedy skończymy, może stracić rękę.

Nie kiedy skończą lub kiedy skończy, lecz kiedy skończymy.

Spojrzałem na sierżanta Elby'ego - mężczyznę liczącego około dwudziestu pięciu lat, o szczelnie zabandażowanej twarzy, widać było jedynie posiniaczony, pokryty strupami i najwyraźniej złamany nos. Lewa ręka, także pokryta strupami, wystawała spod pledu. Na palcu dostrzegłem złotą obrączkę. Nie potrafiłem sobie wyobrazić szkód wyrządzonych jego ciału. Szczerze mówiąc, nawet nie chciałem o tym myśleć.

Claudia przyglądała włosy drugiego pacjenta i powiedziała:

- To porucznik Donnie Workman. Ukończył West Point zaledwie dwa lata temu.

Postrzelony przez snajpera podczas ataku na Karbałę. Kula trafiła w klatkę piersiową i rykoszetowała, czyniąc prawdziwe spustoszenie. Uszkodziła zastawkę serca, przedziurawiła płuca i żołądek. Jeśli chodzi o niego, na dwoje babka wróżyła.

Obserwowałem jej twarz, gdy spoglądała na tych poranionych chłopców.

- Widzę, że bardzo przejmujesz się ich losem. Pojedziesz z nimi do Niemiec?

- Nie... ja... - Po chwili z wyraźną niechęcią dodała: - Przekażę ich... personelowi pokładowemu. To samolot medyczny... porządni ludzie, bardzo kompetentni... nie tracą wielu pasażerów.

Westchnęła ciężko i spojrzała na zmasakrowane ciała.

- Wiem, że nie powinniśmy nawiązywać emocjonalnej więzi z pacjentami, lecz nie można tego uniknąć. Wielu w ogóle nie mówi, bo nie może. Mimo to człowiek dużo się o nich dowiaduje. Często odwiedzają ich przyjaciele i opowiadają, jacy ci chłopcy, są wyjątkowi, tłumaczą dlaczego i wyliczają powody, dla których powinniśmy ich uratować...

Nie mija wiele czasu, a wiesz już o nich prawie wszystko.

Pomyślałem, że przeżywa niepokój związany z rozstaniem i chce o nich porozmawiać, dlatego zapytałem:

- Na przykład co?

- No cóż... Andy Elby... ma dwoje dzieci. Sześcioletnią Elois i siedmioletniego Elberta. Jego żona nazywa się Elma. - Uśmiechnęła się i powiedziała: - W Arkansas, skąd pochodzą, nadają dzieciakom śmieszne imiona. Człowiek dowiaduje się takich rzeczy, gdy ma do czynienia z pacjentami. W każdym razie... w cywilu też pracował jako kierowca. To prosty człowiek. Wiesz, jak to jest, prawda? Biedak tyrał na pełny etat i wstąpił do Gwardii Narodowej, aby zapłacić za letni obóz i aparaty korekcyjne dla dzieci. Nie spodziewał się, że zostanie powołany. Nigdy nie przyszło mu to do głowy.

Spojrzała ponownie na Andy'ego Elby. Jeśli przeżyje podróż do szpitala Waltera Reeda, Elma i dzieciaki przyłączą się do niego, zamieszkają w tymczasowych kwaterach.

Ponieważ sam miałem kilku przyjaciół, którzy stracili kończyny, wiedziałem, co go czeka - znałem potworną opowieść o lekarzach walczących z zakażeniem i starających się usunąć chorą tkankę, zanim jak rak zniszczy cały organizm. Elma przeżyje szok, gdy go zobaczy.

Ona i dzieciaki przejdą przez istne piekło, gdy lekarze będą próbowali doprowadzić Andy'ego do stanu, w którym będzie mógł samodzielnie funkcjonować. A później... życie stanie się zupełnie inne. Smutne.

- Donnie... - kontynuowała Claudia. - Wiem... wiem, że powinnam mówić o nim

„porucznik Workman”. Donnie był gwiazdą drużyny hokeja na trawie w West Point.

Odwiedziło go kilku dawnych kolegów. Powiedzieli, że był jednym z najbardziej lubianych kadetów. Zaliczał się do najlepszych słuchaczy na roku. Koledzy byli przekonani, że jako pierwszy dosłuży się stopnia generała. Prawda, że to coś? Utalentowany młody człowiek. -

Przerwała, aby po chwili zwierzyć się szeptem: - Nie sądzę, aby mu się udało.

Ująłem ją za rękę.

- Jesteś prawdziwym aniołem. Zrobiłaś wszystko, co mogłaś. Ze łzami w oczach Claudia Foster oznajmiła mi lub komuś stojącemu nade mną:

- Będę za nimi tęskniła. Boże, mam nadzieję, że zdołają przeżyć.

- Większości się to udaje.

- Niektórym nie.

Pozostałą część drogi przebyliśmy w milczeniu. Trzymałem rękę Claudii, myśląc o wspaniałych, obiecujących młodych mężczyznach, o ofiarach zamachu bombowego w szpitalu polowym, o Nerwowym Nelliem, który konstruował bomby rozrywające ludzi na strzępy, o Alim Ibn Paszy, który zbierał fundusze i wystawiał czeki, by finansować samobójcze zamachy i masakry na ulicach, o Cliffie Danielsie, który przyczynił się do tego swoją wybujałą ambicją, oraz o Tigermanie i Hirschfieldzie, którzy otworzyli drzwi psom wojny.

Claudia nic nie mówiła, troskliwie obserwując swoich pacjentów. Pogrzyżyła się w refleksjach i miałem wrażenie, że jej myśli, podobnie jak moje, koncentrują się wokół

konsekwencji zła i niekompetencji, głupoty i fanatyzmu. Nie знаła dokładnie przyczyn tej wojny,

lecz codziennie oglądała rezultaty. Każdego dnia ona i jej pacjenci żyli lub umierali z ich powodu. Ja je znałem i pragnąłem zemsty.

Kierowca zatrzymał się, gdy przejechaliśmy punkt kontrolny na lotnisku. Wsiadłem z ambulansu, zrobiłem dwa kroki, a następnie odwróciłem się i powiedziałem Claudii:

- Gdyby ci mężczyźni mogli mówić, powiedzieliby „dziękuję”. Uśmiechnęła się słabo.
- Nie zrozum mnie źle, ale mam nadzieję, że nigdy więcej się nie spotkamy.

Posłałem jej całusa i odszedłem.

Rozdział dwudziesty czwarty

Bian czekała na mnie w salonie samolotu. Gdy wszedłem, podniosła głowę.

- Jak wam poszło? - spytała.
- Nie pytaj. Czemu nie śpisz?
- Kto to mówi. Wyglądasz fatalnie. - Przyjrzała się mojej twarzy. - Stało się coś złego?
- Nie, jestem... gdzie nasz więzień?
- W pokoju gościnnym, przywiązany do łóżka. Kula musnęła mu łydkę. Ma powierzchowną ranę.

Zdezynfekowałam ją i założyłam świeży opatrunek. - Po krótkiej przerwie dodała: - Facet źle znosi ból.

- Przesłuchiwałaś go?
- Przecież obiecałam, że tego nie zrobię. - Spojrzała na mnie i wyjaśniła: - Jestem grzeczna.
- Zadzwońska do Phyllis i powiadomiłaś ją, jaka jest sytuacja?
- Oczywiście. Sprawiała wrażenie zadowolonej. Nawiasem mówiąc, już do nas leci.
- Na swojej miotle? Bian uśmiechnęła się.
- Mówię poważnie. Jest w drodze. Połączono nas za pośrednictwem centrali. - Popatrzyła na zegarek. - Wystartowała pięć godzin temu. Ma być na miejscu za siedem godzin.
- Czy wyjaśniła dlaczego?
- No cóż... nie. Kiedy zapytałam, podała jakąś wymówkę. Jest bardzo podejrzliwa, prawda? - Zrobiła kwaśną minę. - Jeśli jesteś ciekaw, to była dobra wiadomość.

Poczułem, że wraca mi ból głowy.

- Nie mam ochoty na złą. Nie powstrzymało jej to.
- Jest z nią Waterbury.

Osunąłem się na wygodny fotel, przez chwilę rozmyślając nad tym faktem. Jedną z zalet pracy dla Phyllis Carney - być może jedyną - było to, że babka należała do starej szkoły.

Oznaczało to, że gdy zleciła człowiekowi robotę, zwykle się nie wtrącała, a jeśli odniosłeś sukces, traktowała to jak coś oczywistego. Ot, nic wielkiego. Natomiast jeśli ci się nie udało, była gotowa zadać sobie dodatkowy trud i zniszczyć twoją karierę.

Nie była mściwa - wymagałoby to przeżywania silnych uczuć, których nie znała.

Phyllis była reliktem przeszłości, żywą kapsułą czasu kryjącą nawyki, instynkty i metody, które dzisiaj można znaleźć jedynie w książkach poświęconych historii. Ludzie mojego pokolenia - przedstawiciele fali wyżu demograficznego - wychowani w duchu bezwarunkowej miłości oraz beztroskiego i agnostycznego podejścia do osobistej odpowiedzialności, są nieco zdezorientowani, gdy mają szefową o takich kalwińskich skłonnościach. Ze zdziwieniem odkryłem, że Phyllis zdaje sobie sprawę, iż nie pasuje do nowego pokolenia. Właściwie podejrzewałem, że czerpała z tego faktu sadystyczną przyjemność. W biurze nazywano ją Smoczycą, co osobiście uważałem za obraźliwe, odrażające, seksistowskie i puste.

Jej przylot do Iraku stanowił intrygujące odstępstwo od typowego *modus operandi*, a towarzystwo Herr Waterbury'ego sugerowało inne problemy i kwestie. Ciekawe jakie? Może władza

zwierzchnia, na przykład faceci z Białego Domu wreszcie się połapali i zrozumieli, że dzieciaki z Agencji bawią się zapałkami w pobliżu sprawy, która przypomina polityczny dynamit. Być może nie wiedzieli wszystkiego, lecz w tym wypadku brak wiedzy mógł

oznaczać zmianę stanowiska w Gabinetcie Ovalnym.

Phyllis, nasz dyrektor lub jedno i drugie mogli zostać wezwani na Pennsylvania Avenue, postawieni na czerwonym dywaniku i przywołani do porządku.

Wyjaśniałoby to obecność Waterbury'ego. Mark Waterbury na nią donosił - pełnił funkcję nadzorcy mającego obserwować lub kontrolować każde jej posunięcie i powiadamiać o nim przełożonych.

Moje przypuszczenia mogły być jednak całkowicie błędne. Schwytanie Alego Ibn Paszy było tak wielkim zwycięstwem, że mogło wywindować człowieka kilka szczebli wyżej.

Oboje mogli uznać, że powinni być na miejscu, aby dopilnować, by ich zdjęcia zostały dołączone do fotografii zwycięzców. Pasowało mi to do Waterbury'ego, a i Phyllis nie zaszkodziłoby zdobycie kilku dodatkowych punktów.

Czy zatem sytuacja była tak prosta i niewinna? Może tak, a może nie.

Ta sprawa z każdym dniem sięgała głębiej i stawała się coraz bardziej skomplikowana. Zaczęło się od zwłok w budynku mieszkalnym, a teraz mieliśmy w sypialni zamachowca, a bankiera terrorystów na stole operacyjnym. Jeśli jeden lub obaj puszczą farbę, nie wiadomo, kto jeszcze wyląduje na talerzu. Często wyobrażamy sobie przesłuchanie jako uporządkowany, logiczny ciąg kroków prowadzący od punktu wyjścia do namacalnego zakończenia, a gwiazdą przewodnią śledczego jest iluzja, że wszystko wydarzyło się z jakiegoś wyraźnego powodu.

W rzeczywistości przesłuchanie bywa podróżą odbywaną z dnia na dzień, bez mapy i rozwiązania zagadki rysującej się na horyzoncie. W pewnym sensie nasza sprawa stała się miniaturowym odbiciem tej wojny - początkowo wydawała się bardzo prosta, a teraz nasi żołnierze pogrążali się coraz bardziej w zgiełku plemiennych, religijnych i politycznych waśni wstrząsających regionem.

Popatrzyłem na Bian, która przeglądała magazyn „Time”, i zapytałem:

- Wspomniałaś o czymkolwiek Waterbury'emu?

- Sean, proszę. - Podniosła wzrok. - Nie jestem idiotką.

- Wiem. - Pochyliłem się, rozwiązałem wojskowe buty i odsunąłem stopą. - Może facet za tobą tęskni.

- Założę się, że bardziej tęskni za tobą - odparła i wróciła do czytania. - Jestem pewna, że nie chce cię widzieć. - Bian ponownie podniosła wzrok. - Słuchaj... co to za wstrętny zapach?

- Ty też nie pachniesz jak petunia. Roześmiała się.

- Paskudnie się czuję. Czy w tym samolocie jest prysznic? Albo dwa? - Wstała i zaczęła rozpinąć kurtkę.

- Czy może czegoś nie być na pokładzie tego samolotu?

- No cóż... barek jest pusty. Pewnie to zauważyłeś. - Pochyliła się i zaczęła rozwiązywać buty. - Skoro o tym mowa, może masz ochotę na zimne piwo?

Nie czekała na odpowiedź, której nie dostała, lecz udała się do przedniej części samolotu. Wróciła chwilę później w skąpym sportowym staniku i majtkach. Z jednej strony -

przede wszystkim - nie mogłem ukryć podziwu, że jest dobrym żołnierzem dbającym o figurę i formę, z drugiej uświadomiłem sobie, że patrzę oto na dziewiąty cud świata - półnągą kobietę z sześciopakami.

Rzuciła mi zimne piwo, wzięła jedno dla siebie i po chwili rozległ się wspaniały dźwięk dwóch

jednocześnie otwieranych puszek. Pociągnąłem duży łyk i westchnąłem.

- Och...

- Mam nadzieję, że nie będę wścibska. Dlaczego się nie ożeniłeś? - zapytała nieoczekiwanie.

- Po co kupować krowę, skoro można kupić mleko?

- Kiedy zaczniesz się poprawnie zachowywać? Pytałam poważnie. - Przyjrzała mi się uważnie zaciekawiona. - Jesteś przystojny. Odrobinę nieokrzesany, lecz wiele kobiet uznałoby cię za atrakcyjnego.

Pomyślałem, że jestem jej winien szczerą i uczciwą odpowiedź.

- Nie twój interes.

Roześmiała się i pociągnęła duży łyk.

- Nie mów mi, że masz lęk przed nawiązywaniem trwałych relacji. Że kiedy pada słowo na „M”, natychmiast prosisz o przeniesienie.

- Pora wziąć prysznic.

Podniosłem się i ruszyłem do sypialni w tylnej części samolotu. Obok niej zauważyłem inne drzwi. Otworzyłem je i zajrzałem do środka. Była to duża kabina, a właściwie zielona klatka pokryta materiałem imitującym marmur, z sześcioma lub dziesięcioma prysznicami zaprojektowanymi przez sadystę i sprzedawanymi jako produkt luksusowy nieodzowny dla yuppie. Nie zauważyłem szafek, więc zdjąłem ubranie w korytarzu i wszedłem do środka.

Odkręciłem wodę i zsunąłem slipy. Pociągnąłem łyk piwa i oparłem się o ścianę.

Woda była chłodna jak piwo i nie była przyjemna, chociaż po chwili okazała się rześka i pobudzająca. Znalazłem francuskie mydło, które pachniało damskim buduaem - osobiście wolę woń zwierzęcego potu - i zeszkrobałem brud, umyłem włosy, a następnie przystąpiłem do płukania, gdy usłyszałem zdecydowane pukanie do drzwi.

Głos Bian był tak przytłumiony, że nie miałem pojęcia, o co jej chodzi. Zauważyłem dwa grube ręczniki na wieszaku. Przepasałem się jednym i otworzyłem drzwi.

Przede mną stała owinięta ręcznikiem Bian. Miała mokre włosy i wyglądała jak zmokła kura.

- Odkręciłam wodę... jest lodowata.

- Może silnik musi pracować, aby grzejnik działał. Masz kluczyki do tego cacka?

- U ciebie... też leci zimna?

- Tak... - Zanim zdążyłem się zorientować, jej ręcznik opadł na posadzkę i weszła do mojej łazienki. Płynnym ruchem zsunęła mój ręcznik i odwróciła mnie za ramię, jednocześnie zamykając drzwi. Była niesłychanie zwinna.

Znaleźliśmy się sami... mężczyzna i kobieta, twarzą w twarz, całkiem nago.

Właściwie pępek w pępek.

- Jesteś zaszokowany? - zapytała ze śmiechem. Postanowiłem zrobić użytek z mojego legendarnego opanowania i odwróciłem oczy.

Oczywiście... spoglądałem na nią ukradkiem. Była piękna, rozkoszna i szybka, szczupła i umięśniona. Szeroka w ramionach, bez odrobiny tłuszczu. Jej skóra miała cudowny kawowy odcień, Bian dysponowała też odpowiednimi rekwizytami i kobiecym czarem.

- Bian... co robisz?

- Co my robimy? - Wzięła do ręki kostkę mydła i zaczęła mydlić moją klatkę piersiową. - Zapobiegam hipotermii. Piszą o tym w podręczniku wojskowym, w rozdziale poświęconym postępowaniu w chłodnym klimacie. - Roześmiała się. - Doktora nie ma.

Załoga udała się na obowiązkowy odpoczynek i... no cóż... w podręczniku piszą, że można się ogrzać o każde ciało.

Jej dłoń zsunęła się na mój brzuch i zmierzała na południe. Nie przypominam sobie, aby w podręczniku pisano o tej technice, okazała się jednak skuteczną improwizacją, bo zacząłem się rozgrzewać.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł - poinformowałem ją.

- Mam wrażenie, że twój mały przyjaciel jest odmiennego zdania - zauważyła całkiem słusznie.

- Mały?

- No wiesz... szczęściara ze mnie... Od małego żołędzia do potężnego dębu... Kurczę...

podlej go wodą, a zobaczymy, co się stanie.

Roześmiałem się. Lubię wygłupy przed stosunkiem.

Chwyliła mnie za ramię, odwróciła i zaczęła mydlić plecy. Wspaniałe uczucie.

Ugniatała i masowała moje mięśnie. Zrobiło mi się jeszcze przyjemniej. Po kilku chwilach zauważyła:

- Masz dużo blizn.

- Wiesz... nie byłem szczególnie lubiany w dzieciństwie.

- Te wyglądają na całkiem świeże.

- Owszem. Nie jesteś aby zajęta?

Wypowiedziała magiczne słowa: „Dlaczego mi o tym przypominasz?”, po czym odwróciła mnie i oznajmiła:

- Teraz ja.

Co miałem począć? Mogłem odmówić, lecz odwzajemnienie przysługi jest cechą dżentelmena, więc odwróciłem ją, a następnie namydliłem i wyszorowałem jej plecy.

Wygięła się jak kotka. Miała cudownie gładką i śliską skórę.

Przez chwilę żadne z nas nie mówiło ani słowa. Słychać było jedynie szum wody spływającej po ciałach. Odniosłem wrażenie, że jedno z nas ciężko dyszy.

Odwróciła się i przysunęła w moją stronę.

- Teraz z przodu.

Popatrzyłem na mydło, a następnie spojrzałem w jej ciemne oczy. Wiecie, istnieje duża różnica między przodem i tyłem. Jeśli zaczniemy, to...

W rzeczywistości już dawno przekroczyliśmy granicę. Jakaś cząstka mnie przekonywała: „Daj spokój, Drummond. Zapomnij o mięczakach, którzy moczą łóżko. Spójrz na linię mety! Zrób to, Drummond. Możesz... wiesz, że możesz”.

Dругa cząstka bez większego przekonania naciskała na hamulec.

Od czasu do czasu.

Bian wyczuła moje wahanie i przysunęła się bliżej, ocierając się o moje ciało.

- Nic się nie stanie. Naprawdę.

Odpowiedziała uśmiechem na mój uśmiech. Przytuliła się do mnie jeszcze bardziej.

Znaleźliśmy się w miejscu, z którego nie ma odwrotu.

Wtedy... no cóż... zrobiłem to, czego nie powinien robić żaden facet. Zadałem sobie zupełnie bezsensowne pytanie: Dlaczego?

Wiem, że psychiatra uznałby takie zachowanie za naturalne, za przewidywalną reakcję po trudnej i niebezpiecznej misji. Ludzka psychika przeżywa wstrząs, a śmierć i przemoc rodzą myśl o prokreacji, która ma coś wspólnego z seksem. To coś w rodzaju freudowskiej, a może francuskiej metody osiągnięcia wewnętrznego spokoju za pomocą orgazmu.

Z drugiej strony, pomijając kilka pomniejszych dziwactw - szowinizmu, oślego uporu i mojej kariery zawodowej, która utkwiała w martwym punkcie - trudno mi się oprzeć. W

końcu kobiety gotowe są przeoczyć wiele spraw. Nawet mój brat - egoistyczny, apodyktyczny drań - zawsze miał przy boku jakąś ślicznotkę. Bardzo go lubię, lecz nie wiem, dlaczego cieszy się takimi względami.

Oczywiście jest paskudnie bogaty - ma ogromny dom ze wspaniałym widokiem na Ocean Spokojny. Takie rzeczy działają na kobiety.

Bian przytuliła się do mnie raz jeszcze i powiedziała:

- Chyba wystarczająco jasno wyraziłam swoje intencje. Pora na twój ruch.

Może była zwyczajnie napalona? Niewykluczone. Taka impulsywność wydawała się nie pasować do damy, której życie i kariera zawodowa były ucieleśnieniem samodyscypliny.

Nie... tego zwyczajnie nie można było zmyć. Wybaczcie ten kiepski dowcip.

Zatem istniały dwie możliwości. Albo próbowała mną manipulować, używając w tym celu swojego ciała, albo popełniła poważny błąd, który mógł stać się także moim błędem.

Z doświadczenia wiem, że seks pojawia się na początku - a wówczas stosunek ma takie znaczenie jak uścisk dłoni, pod warunkiem że nikt nie obudzi się rano i nie będzie tego żałował - albo jest owocem dojrzałej relacji, potwierdzeniem głębokiego przywiązania, miłości i oddania. Bian i ja ledwie się znaleźliśmy, nie byliśmy też w sobie zakochani. W miłości i na wojnie decydującą rolę odgrywa czynnik czasu. Jeśli czas nie zostanie właściwie dobrany, konsekwencje zwykle bywają bolesne.

Wzięłam głęboki oddech, cofnąłem się i delikatnie owinąłem ją rękami.

- To jakiś żart? - zapytała zaskoczona. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

- Czy uwierzyłabyś, gdybym powiedział, że kontynuowałbym tę grę, gdyby mi na tobie nie zależało?

- To... najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam.

- Słusznie.

Na chwilę odwróciła oczy.

- Czuję się upokorzona. Rzuciłam się w twoje ramiona. Sądzę, że jesteś mi winien lepsze wyjaśnienie.

- Zgoda. Jestem ci to winien - przytaknąłem, starając się wymyślić coś naprędce.

- Słucham.

- Nie sądzą, aby to było właściwe. Nie tutaj i nie teraz. Jesteś zaręczona, a mnie nie odpowiada pomysł spania z dziewczyną żołnierza. Sądzę, że jesteś emocjonalnie zagubiona.

Nie rozwiążesz w ten sposób swojego problemu. Jestem jego częścią.

- Zbyt to przeintelektualizowałaś.

To coś nowego - zwykle mam skłonność do upraszczania.

- Być może.

- Ja...

Położyłem jej palec na ustach.

- Bian, nic nie mów. Posłuchaj. Oboje czujemy się dezorientowani. Jesteś piękna i zmysłowa. Bardzo mnie podniecasz... Kiedy to się skończy, będziesz musiała porozmawiać z narzeczonym. Zobaczymy, na czym stoimy. Co o tym sądzisz? - Przerwałem na moment, po czym dodałem, rozważając sprawę: - Wrócimy do tego, gdy oprzytomniejemy, lub zapomnimy o całej sprawie. Cisnęła we mnie rękami.

- Na pasuje ci poza szlachetnego dupka.

- Już tego żałuję.

Przez moment milczała, a następnie zakomunikowała:

- Muszę się opłukać. Skoro jesteś takim dżentelmenem, mógłbyś wyjść?
- Jeśli usłyszysz strzał, będzie to oznaczało, że palnąłem sobie w łeb.
- Nie rób tego - powiedziała z uśmiechem. Odpowiedziałem uśmiechem.
- Pozwól, że sama pociągnę za spust - oznajmiła z kamienną twarzą.

Rozdział dwudziesty piąty

Otworzyłem marynarski worek, ogoliłem się i włożyłem świeży mundur. Kiedy wyszedłem z eleganckiej sypialni, stwierdziłem, że Bian wróciła do salonu i ponownie przegląda „Time'a”.

Zawsze po tym, gdy człowiek jest z kimś nago, sytuacja jest delikatna, szczególnie jeśli chemia okazała się niewłaściwa i to z jego winy. Potrzebowałem chwili, aby zdecydować, jaki sposób podejścia przyjąć.

Właściwe byłoby przeprowadzenie szczerzej rozmowy o tym, co się stało, ujawnienie uczuć i porozumienie się na płaszczyźnie emocjonalnym. Faceci nie są w tym szczególnie dobrzy. W sferze uczuć poruszamy się niezdarnie, wydajemy się płytki. Stać mnie na coś więcej, dlatego postanowiłem spróbować.

- Pora przesłuchać więźnia. Chodźmy - powiedziałem do Bian. Zignorowała moje słowa, w dalszym ciągu przeglądając magazyn.

- Musimy to zrobić teraz, Bian. Zanim zjawi się Phyllis i Waterbury.

- W porządku - odparła, nie przerywając czytania.

- Facet musi znać Ibn Paszę. Odrobina dodatkowych informacji pomoże nam podczas jego przesłuchiwania. Zgadzasz się?

- Jak sobie życzysz.

- Spróbuj wydobyć z niego wszystko, co wie na temat planowanych zamachów bombowych, i ustal, kto przekazuje mu materiały wybuchowe. Znasz się na tym lepiej ode mnie.

- W porządku. - Nadal trzymała nos w tym głupim magazynie.

- Będziemy udawali dobrego i złego glinę. Ty będziesz złym.

- Naturalnie.

Podszedłem bliżej i pochyliłem się nad nią, tak że nasze twarze znalazły się w odległości kilku centymetrów.

- Sprawy osobiste muszą zejść na drugi plan. Najważniejsza jest misja, majorze.

Spokojnie odłożyła magazyn i wstała.

- Nie jestem na ciebie zła, rozumiesz? Przemysślałam to. Wiesz, co ci powiem? Miałaś rację. Popełnilibyśmy wielki błąd.

Byłem szczęśliwy, że odbyliśmy tę rozmowę i wyjaśniliśmy sobie sytuację.

- Chodź ze mną - poleciłem.

Poszliśmy do pomieszczenia dla gości. Kiedy otworzyłem drzwi, Nerwowy Nellie podniósł się na łóżku i spojrzał na nas. Podszedłem i wyjąłem mu knebel.

Chciał zwilżyć sobie usta, lecz ponieważ ręce miał przytwierdzone kajdankami do kolumn łóżka, musiał się zadowolić ich oblizaniem.

Chociaż ochrzciłem go Nerwowy Nellie, zapytałem:

- Jak się nazywasz?

- Błagam... sir... noga strasznie mnie boli. Umieram z bólu. Powtórzyłem pytanie.

- Proszę... może ma pan... sam nie wiem, aspirynę? Bian popatrzyła na niego i rzuciła w moją stronę:

- Martwi nie potrzebują aspiryny.

Oczywiście nie było to groźenie śmiercią, stanowiłoby to bowiem poważne pogwałcenie

konwencji genewskich. Bian po prostu stwierdziła fakt. Ale jej słowa można było opatrzenie zrozumieć.

Najwyraźniej właśnie tak się stało, ponieważ gość z widocznym entuzjazmem oznajmił:

- Abdul Almiri.

- Skąd pochodzisz? - zapytała Bian.

- Błagam... umieram z głodu, sir. Przez cały dzień nie miałem nic w ustach. Prawo nakazuje, abyście dali jeść Abdulowi, prawda?

Skinąłem Bian, która poszła poszukać czegoś do jedzenia. Głodzenie więźnia to kolejne naruszenie konwencji genewskich, a Abdul najwyraźniej o tym wiedział. Jak na ironię, facet należał do ugrupowania, którego członkowie przypominali sobie o prawach człowieka dopiero wówczas, gdy zostali schwytani.

W jego oczach oprócz lęku i niepokoju dostrzegłem błysk inteligencji. Abdul próbował wy badać, jak daleko może się posunąć.

Przysunąłem krzesło i usiadłem obok niego.

- Udzielę ci darmowej rady - zwierzyłem się. - Uważaj na tę kobietę.

- Tak... ja...

- Posłuchaj, Abdul. To, co powiem, może ocalić ci życie. Ona jest trochę stuknięta.

- Ja... ja nie rozumiem tego słowa...

- Zwariowana, szurnięta, kopnięta, socjopatyczna. Wystarczy pstryknąć palcami, aby wyprowadzić ją z równowagi. Widziałeś, co zrobiła ostatniej nocy w Falludży, prawda?

Wydaje się całkiem normalna i opanowana... a chwilę później... - Pstryknięcie palcami spowodowało, że na jego twarzy pojawił się grymas.

Abdul spoglądał na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Jesteście żołnierzami, prawda? Nosicie amerykańskie mundury. - Przypomniał mi zgodnie z prawdą: - Konwencje genewskie nie pozwalają na takie traktowanie jeńców.

- Rozejrzyj się wokół, Abdul. - Facet i tak odwracał wzrok, lecz zauważyłem, że teraz badawczo wszystko obserwował. - Czy ta maszyna wygląda na wojskowy samolot? -

zapytałem. - Spójrz na ten mundur. Nie widzisz, że nie jest prawdziwy?

- Nie rozumiem, sir.

- Pracuję dla CIA. Ona jest z Mosadu, izraelskiej agencji wywiadowczej. To Żydówka z Wietnamu. - Mają przed nimi pietra nawet ich kumple z Mosadu. Są bardzo przewrażliwieni, zawsze chcą udowodnić, że są prawdziwymi Żydami. - Widząc, że próbuje dopasować te egzotyczne informacje do swoich wyobrażeń, dodałem: - Czy muszę ci tłumaczyć, czym jest Mosad? Oni nie przestrzegają żadnych reguł. Rozwali cię z najbliższego powodu.

Oczywiście żadne prawo nie zabrania okłamywania jeńców wojennych, a w tym wypadku Arabowie sami stworzyli upiora. Opowiadają sobie takie brednie o Mosadzie, że gotowi są uwierzyć we wszystko.

Abdul sprawiał wrażenie zagubionego.

- Rozwali? Abdul nie zna tego słowa, sir.

- Zabije. - Kiedy skinął głową, dodałem: - To dla niej rozrywka. Bawi się w chorą grę polegającą na tym, aby wpakować w gościa jak najwięcej kul, zanim ten umrze. - Dałem mu chwilę na pomyślenie o tym interesującym hobby. - W jednego gościa władowała dwieście osiem.

- Ja... ile?

- To jej rekord. W każdym razie tak utrzymuje. Osobiście uważam, że to wierutna bzdura. Widziałem, jak raz wpakowała siedemdziesiąt kulek naprawdę wysokiemu i korpulentnemu facetowi.

Więcej nie wytrzymał. Utrata krwi... ból, którego nie wytrzymało serce... kto wie? Ale dwieście osiem kul? To brednie. Nie sądzisz?

- Ja... sir, Abdul nie wie.

Pomyślałem, że wie, lecz pomogłem mu lepiej zrozumieć, o co chodzi.

- Widziałeś, co zrobiła ostatniej nocy. Pamiętasz? Postrzeliła każdego w lewą nogę, prawda? Pomyśl o sobie - posłała ci kulkę. Nazywa to szybką zagrywką. Nawet nie pytaj, w co lubi celować... to najgorsza rzecz, jaka może się przytrafić facetowi.

Abdul oblizwał wargi i spojrzał na mnie nerwowo.

- Pan jest porządnym, honorowym człowiekiem. Pamiętam, że... nie pozwolił pan, aby nam to zrobiła. - Wykrzywił twarz w szczerbatym uśmiechu, ujawniając, że w dzieciństwie nie był szczególnie lubiany. - Jestem panu za to bardzo wdzięczny, sir.

- No cóż... - Spojrzałem mu prosto w oczy. - Mamy niewiele czasu, Abdul. - Mógłbym nic nie mówić, jednak kiedy ona zacznie... - Odchyliłem się na krześle i poinformowałem go chłodnym głosem: - Konstruujesz bomby. Już to potwierdziliśmy.

- Ależ skąd... nie znam ludzi... których zatrzymaliście...

- Nie znasz ich?

- Właśnie. Ja... jak to powiedzieć... szukałem noclegu. Mamy zwyczaj... jestem muzułmaninem. Koran nakazuje udzielać gościny współwyznawcom.

Bian wróciła z tacą, na której leżała kanapka z masłem orzechowym i dżemem oraz cztery lub pięć małych opakowań z żywnością.

Abdul rzucił okiem na tacę, aby po chwili ponownie utkwic we mnie wzrok, próbując odgadnąć, czy okazałem się wystarczającym idiotą, aby uwierzyć w jego słowa.

- Panie Almiri... mamy dwa problemy. Po pierwsze, znaleźliśmy artyleryjskie pociski na parterze. Po drugie, Ali Ibn Pasza powiedział nam co innego na pana temat podczas przejażdżki do szpitala.

- To kłamstwo. Ja... nie mam pojęcia, co wam nakłamał.

- Powiedział, że potrafisz po mistrzowsku konstruować bomby z pocisków armatnich.

- Nie znam tego człowieka.

- On zna cię doskonale.

- Abdul nie wie, jak konstruować te... bomby. Przysięgam. Bian zrozumiała, do czego zmierzam.

- Pobraliśmy odciski palców z narzędzi w fabryce - powiedziała - - Za chwilę otrzymam odpowiedź. Zdejmę mu odciski. Jeśli będą pasowały, facet jest mój.

Jako człowiek, który wychował się w kraju Trzeciego Świata, Abdul najwyraźniej nie oczekiwał takiego obrotu sprawy, bo na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Tam, skąd pochodził, nowoczesne metody kryminalistyczne polegały na rzucaniu podejrzanym o podłogę tak długo, aż wszystko wyśpiewa. Spojrzałem na Bian, udając, że jestem wkurzony.

- Słuchaj... może w Mosadzie tak to załatwicie. My z CIA wolimy pozostawić więźniów przy życiu... przynajmniej tak długo, aby móc z nimi porozmawiać. Nie możesz tak po prostu likwidować kolejnych więźniów.

Zrobiła znużoną minę.

- Nie przejmowałeś się losem tamtych.

- Byli inni. Ten może nam przekazać jakieś cenne informacje.

- Ten? Spójrz na niego. To głupek. Schwytaliśmy płótkę. Co masz zamiar zrobić?

Jestem zmęczona i potrzebuję snu. Załatwmy to szybko.

- Słuchaj... daj mu przynajmniej szansę wykazania, że się mylisz. Może coś wie, a może nie.

Mam już dość pozbywania się ciała.

- Oszczędź mi tego. Zostaw go tam, gdzie inne zwłoki, na miejskim wysypisku śmieci.

Pomyślą, że to robota terrorystów. Zawsze tak mówią.

Zauważyłem, że Abdulowi nie przypadł do gustu kierunek, w którym zmierza nasza rozmowa, bo postanowił się do niej przyłączyć.

- Jordania - oznajmił. - Amman w Jordanii. Abdul pochodzi z tego miasta.

- Jak długo Abdul... przebywa w Iraku? - zapytałem, naśladując jego sposób mówienia w trzeciej osobie.

- Rok lub nieco dłużej, sir.

- Co robiłeś wcześniej? - zapytała Bian.

- Byłem... - zawahał się w połowie zdania i spojrzał na mnie. - Błagam, sir... jeśli...

jeśli to zdradzę... ci ludzie zabiją Abdula. Nie wyobraża pan sobie, co oni robią ze zdrajcami.

- A widzisz - powiedziała Bian. - Czy teraz oddasz go mnie?

- Nie, poczekaj... - przerwałem i po chwili zapytałem Abdula: - Słyszałeś o programie ochrony świadków?

- Ach... tak, oglądałem to na filmach z Hollywood.

- Właśnie. Damy ci fałszywą tożsamość i przeniesiemy w inne miejsce. Otrzymasz zupełnie nowe życie. Pewnie chciałbyś zamieszkać w jakimś ciepłym miejscu, prawda? W

południowej Kalifornii lub na Florydzie. Laski, plaże i meczety. - Uśmiechnąłem się zachęcająco. - Kupimy ci ładny duży dom na wybrzeżu, damy milion dolców i będziemy co miesiąc przekazywali okazałą sumkę na pokrycie bieżących wydatków. Jestem pewny, że ci się spodoba.

Abdul okazał odrobinę entuzjazmu i zainteresowania tym tematem, zadając dodatkowe pytania, na które udzieliłem odpowiedzi, chociaż w pewnych sprawach mogłem lekko przesadzić. W końcu zapewniłem go:

- Faceci z mafii uwielbiają ten program. Przysięgają, że gdyby wcześniej o nim wiedzieli, nie byłiby oszustami, lecz ukrytymi świadkami. Byłeś kiedyś w Ameryce, Abdul?

- Tak... spędziłem tam rok. Chodziłem do ogólniaka. W Michigan... Abdulowi nie bardzo się tam podobało. Bardzo zimno, sir.

- Zrozumiałem. Znajdziemy ci coś w ciepłym klimacie. A teraz posłuchaj uważnie, bo zaproponuję to tylko raz. Żadnych kłamstw, żadnego mataczenia czy przesadzania.

Rozumiesz? Sprawdzimy wszystko, co nam powiesz. Później przebadamy cię na wykrywaczu kłamstw. Żadnego kręcenia, Abdul.

- Zostanę objęty tym programem?

Uśmiechnąłem się do pana Abdula Amiriego i oznajmiłem uroczyście:

- Masz na to słowo CIA. Odpowiedział uśmiechem.

Bian pozwoliła mu pławić się przez chwilę w szczęściu, a następnie zapytała:

- Gdzie byłeś, zanim trafiłeś do Iraku?

- W Afganistanie. Mieszkałem w obozie. Nauczałem. Wymieniłem krótkie spojrzenie z Bian.

Oboje rozumieliśmy, co to oznacza.

- Czego?

- Musi pan zrozumieć, byłem... prostym nauczycielem, sir.

- Rozumiem. - Faktycznie rozumiałem.

- Byłem w...

- Czego nauczałeś, Abdul?

- Wyjaśniałem... wyjaśniałem studentom... jak konstruować bomby.

- Jesteś inżynierem.

- Nie... przez dwa lata studiowałem na uniwersytecie. W Jordanii. Popełniłem straszny błąd, zadając się ze złymi ludźmi. Tymi stukniętymi fundamentalistami. - Spojrzał niepewnie na Bian, żądnię krwi zabój czynię z Mosadu. - Proszę zrozumieć, nie jestem szczególnie religijny. Nie żywię nienawiści do Izraela, lecz policja jordańska oskarżyła mnie... jak to się mówi po amerykańsku... - przerwał, aby po chwili dokończyć - ...o współudział. Tak?

Wyraził się dość precyzyjnie, więc skinąłem głową.

- Z tego powodu... musiałem odejść z uniwersytetu.

- Później wstąpiłeś do Al-Kaidy? - zapytała Bian.

- Byłem... wściekły. Zrozumcie to. I...

- I wstąpiłeś do Al-Kaidy?

- I zagubiony... Moja rodzina chciała...

- Tak czy nie? - przerwałem.

- Tak.

Po kilku kolejnych pytaniach dowiedzieliśmy się, jak doceniono jego talent w dziedzinie konstruowania bomb, jak uczył innych zamieniania ludzi w krwawe konfetti i jak uciekł po zajęciu obozu przez afgańskie klany z północy, aby trafić do Iraku, przyłączyć się do dawnych towarzyszy z Al-Kaidy i otworzyć warsztat w tym kraju.

Jego historia była interesująca, ale momentami rozczarowująca, banalna i zniechęcająca. Facet został terrorystą nie z powodu jakiegoś tragicznego wydarzenia, z neodpartej potrzeby wewnętrznej lub sprzeciwu wobec biedy i niesprawiedliwości. Był

nie lubianym przez rówieśników uzdolnionym dzieciakiem z klasy średniej, otumanionym przez religijnych fanatyków. Jego kontakty z fundamentalistami doprowadziły do kłopotów z władzami, a później Abdul konstruował już bomby dla stowarzyszenia o nazwie Al-Kaida.

W jego słowach wyczułem poczucie dumy z siebie połączone ze społecznym wyobcowaniem, znudzeniem i lekkim kryzysem własnej tożsamości. W gruncie rzeczy jego sposób rozumowania i droga do działalności terrorystycznej nie były bardziej tajemnicze od tych, które z powodu presji rówieśników, potrzeby przynależności i akceptacji uczyniła narkomanem przeciętnego amerykańskiego dzieciaka. Z jedną wielką różnicą: Abdul nie rozwalił własnego łba, lecz wysadzał w powietrze innych.

- Od jak dawna znasz Alego Ibn Paszę?

- No cóż... niezbyt długo, sir. Ibn Pasza nie był w Afganistanie. Nie należy do Al-Kaidy. Jego obowiązki sprawiają, że... bardzo często musi wyjeżdżać z Iraku. Nawet w Falludży są ludzie... tacy jak wy... którzy na nas polują...

Nie miał pojęcia, że w Falludży trwają łowy, które położą kres wszelkim polowaniom, a ja nie widziałem powodu, by go o tym powiadomić.

- Opowiedz nam o nim - poleciała Bian.

Przez chwilę zastanawiał się, co powiedzieć. Ponownie spojrzał w moją stronę.

- Ali Ibn Pasza to twardy człowiek, wielki fanatyk. Widział pan jego oczy, prawda?

Nie jest... nie chciałbym, aby uważał mnie za swojego wroga. On nie odczuwa lęku... ani żalu. Dobrze to ująłem, sir?

- Jest żonaty? Ma dzieci? - zapytała Bian.

- Nic o tym nie wiem. Nie rozmawiamy o takich sprawach. Niektórzy mężczyźni o tym wspominają. Ali nie powiedział ani słowa.

- Jak stracił nogę?

- Myślę, że w Mogadiszu, dziesięć lat temu. Jeden z waszych ogromnych helikopterów wystrzelił raketę. Ali bardzo nienawidzi Ameryki.

Jak już wspomniałem, ja również służyłem w Mogadiszu, dlatego z zaciekawieniem przyjąłem, że byliśmy tam razem. Przypomniałem sobie doniesienia wywiadu, że wśród Afrykańczyków byli bojownicy arabscy - między innymi pewien dupek nazywający się Osama Bin Laden - wspierający, a niekiedy nawet walczący u boku Muhammada Ajdiala, somalijskiego władcy wojny. Pomagali mu doprowadzić do klęski głodu, ta z kolei zabiła kilka milionów jego rodaków, którzy później przetrzucili się na zabijanie żołnierzy sił

pokojowych i Amerykanów.

Jednym z tych ludzi był Ali Ibn Pasza, mieliśmy więc do czynienia z człowiekiem, który całe dorosłe życie poświęcił zabijaniu Amerykanów.

- Jest Saudyjczykiem, prawda? - zapytałem.

- Tak, sir. Pochodzi z zamożnej rodziny... - Odwrócił się do Bian i powiedział coś po arabsku.

- Mającej koneksje - przetłumaczyła Bian. - Wpływowej finansowo.

Abdul skinął głową i przez chwilę zastanawiał się, co jeszcze może nam zaoferować.

- Ali jest bardzo wykształconym człowiekiem... - powiedział. - Nie wiem, gdzie studiował, przypominam sobie jednak, że wspominał coś o Oksfordzie. Bardzo dużo czyta.

- Mówi po angielsku?

- Tak, lepiej niż Abdul.

- Jakiego rodzaju książki czytuje?

- Ma wiele amerykańskich podręczników wojskowych. Jest bardzo inteligentny i pilnie je studiuje. Czyta też grube książki z dziedziny finansów.

- A Koran? - zapytała Bian.

- Och... nie... chociaż w odróżnieniu ode mnie Ali jest bardzo pobożny. Z drugiej strony... dżihad to dla niego rozgrywka polityczna. - Przerwał i po chwili zastanowienia poprawił się: - To jego osobisty dżihad nienawiści.

Odwróciłem się do Bian.

- Abdul chciałby powiedzieć ci coś o bombach. Daj mi znać, gdy skończycie. -

Przerwałem, aby po chwili dodać: - Byłoby miło, gdyby nadal żył i znajdował się w jednym kawałku.

- Nie mogę ci niczego obiecać.

Ali wyglądał na bardzo rozgoryczonego perspektywą zostania sam na sam z izraelską maniaczką o morderczych skłonnościach, byłem jednak bardzo głodny. Poszedłem do kuchni, gdzie znalazłem słoiki z masłem orzechowym i dżemem truskawkowym, pieczywo i chłodną colę. Posmarowałem grubo cztery pajdy, usiadłem i zabrałem się do jedzenia.

Z doświadczenia wiedziałem, że gdy świadek przekroczy granicę i zacznie sypać, zazwyczaj przechodzi od rzeczy nieistotnych do naprawdę ważnych, próbując pokazać, jaki jest lojalny. W każdym razie nie słyszałem żadnych jęków ani odgłosów uderzeń, więc uznałem, że Abdul jest grzeczny i wszystko wyśpiewa. Nie słyszałem też strzałów, więc wywnioskowałem, że także Bian jest grzeczna.

W trakcie jedzenia zastanawiałem się nad tym, co robimy i do czego to wszystko zmierza.

Już wcześniej prowadziłem sprawy, które komplikowały się z upływem czasu i w których jeden fakt prowadził do drugiego, pewne zdarzenia były ze sobą powiązane, a inne nie. Ludzie stojący na straży prawa są przekonani, że gość, który popełnił jedno poważne przestępstwo, zwykle odnosi się z pogardą do wszystkich praw. W miarę postępów śledztwa człowiek często odkrywa cały ciąg

przestępczych zachowań, inne zbrodnie i współników. W

takim wypadku trzeba kierować pług przed siebie, stawiając jedną stopę za drugą i - jeśli nie odwróci się głowy - w końcu wszystko nabierze sensu lub przerodzi w kompletny nonsens, co samo w sobie może być objawieniem.

Ta sprawa przypominała mi raczej rosyjską matryoszkę - jeden wątek prowadził do drugiego i człowiek wpadał w pułapkę niekończących się objawień. Czy te wszystkie sprawy były ze sobą powiązane? Czy w ogóle łączyły się ze sobą?

Udało się nam zatrzymać Abdula Almiriego i Alego Ibn Paszę, ludzi pozornie niezwiązanych z naszą sprawą - mówiąc słowami Phyllis, zerwać nisko wiszący owoc, który teraz należało wycisnąć. Oddalało nas to jednak od pierwotnego śledztwa i trzeba było zastanowić się, czy był to przypadek, czy celowe działanie. Musiałem rozważyć ewentualność, że Phyllis nie zdradziła wszystkich powodów, dla których wysłała nas do Iraku.

Podkreślała poufność i konieczność zapewnienia bezpieczeństwa.

Oczywiście, rozumiałem, że Bian i ja dobrze nadajemy się do wykonania tego zadania

- byliśmy zawodowymi żołnierzami, potrafiliśmy zachować dyskrecję i okazać posłuszeństwo, można się też było nas wyprzeć, co w Waszyngtonie ma ogromną wartość. Na dodatek można nas było poświęcić - nikt nie zwróciłby większej uwagi na dwóch kolejnych wojskowych poległych w Iraku.

Była też inna kwestia. Gdyby Phyllis i jej szef byli jedynymi strażnikami tajemnicy, otrzymaliby własną sypialnię w Kennebunkport i miejsce na trybunie honorowej podczas inauguracyjnej defilady. Wybraliby wówczas ludzi, których wiąże przysięga. Brzmiało to całkiem przekonująco. Gdybym był na miejscu Phyllis, także wybrałbym Seana Drummonda i Bian Tran.

Spoglądając na sytuację z innego punktu widzenia, być może Phyllis próbowała nas w ten sposób odsunąć od sprawy. A jeśli tak, to dlaczego? Jednym z powodów mogło być zyskanie na czasie. Tylko po co?

Może stałem się nadmiernie podejrzliwy? Kiedy człowiek pracuje dla ludzi, którym płaci się za pokrętne postępowanie, przebiegłość i zwodniczość, chcąc nie chcąc, staje się paranoikiem. Nagle okazuje się, że za każdymi drzwiami czai się tygrys, każdy rozkaz kryje kłamstwo, a pozornie niewinna misja kończy się kulą w potylicy. Niewykluczone, że moja wyobraźnia sięgała zbyt daleko, lecz wiedziałem, że Phyllis rozumuje w taki sposób.

Po dziesięciu minutach w kuchni zjawiła się Bian.

- Facet zajmował się wyłącznie logistyką. Nie planował ani nie organizował zamachów. Konstruował bomby i przekazywał je innym.

- Co za ulga! Wcale nie jest taki zły.

- On też użył tego argumentu. Podkreślał, że nigdy osobiście nikogo nie zabił ani nie skrzywdził.

- Przekazał ci coś cennego?

- Nie. Gość, którego zabili ludzie Erica, był jego przełożonym. To on wiedział, kto odbiera bomby, i znał kanały zaopatrzenia. - Sięgnęła po kanapkę i zaczęła jeść. -

Powinniśmy jak najszybciej przekazać Abdula wojskowym. Przypuszczalnie zna informacje, które przydadzą się armii. Na przykład techniczne szczegóły konstrukcji bomb. Takie dane zawsze się przydają saperom. Im szybciej to zrobimy, tym lepiej.

Ponieważ była w Iraku i znała sytuację lepiej ode mnie, skinąłem głową. Odłożyłem talerz i wróciliśmy do kabiny sypialnej. Kiedy weszliśmy do środka, zauważyłem, że Bian umieściła kanapkę Abdula w odległości około piętnastu centymetrów od jego ręki. Facet wygiął się jak precel, próbując jej dosięgnąć. Sprawiał wrażenie bardzo poirytowanego.

- Centralna Agencja Wywiadowcza dziękuje ci za współpracę - powiedział pan Almiriemu.

Na chwilę zapomniał o głupiej kanapce, podniósł wzrok i spojrzał na mnie z szerokim, wyrażającym wdzięczność uśmiechem.

- Jeśli chodzi o program ochrony świadków, po dłuższym zastanowieniu podjąłem decyzję, gdzie zostanie pan wysłany.

- Och... jestem pewien, że dokonał pan dobrego wyboru. Abdul będzie szczęśliwy nawet w miejscu, w którym panuje chłodny klimat.

- Obiecałem, że znajdę miejsce, gdzie jest ciepło. Dotrzymam obietnicy. - Spojrzał na mnie wyczekująco, więc postanowiłem mu to wyjawić. - Pojedzie pan do Abu Ghraib, Almiri.

Przekażemy pana armii amerykańskiej. Będzie pan z nimi współpracował, w przeciwnym razie ogłosimy w całym więzieniu, że wydał pan bojowników dżihadu. Czy to jasne?

Abdul wyglądał jak facet, któremu przerwano, gdy dochodził do orgazmu.

- Jak to, sir?... Przecież obiecał pan Abdulowi...

- Kłamałem.

Przez chwilę myślałem, że się rozplącze. Spojrzałem mu prosto w oczy.

- Godzinę temu byłem w amerykańskim szpitalu wojskowym, do którego przywieziono dziesiątki kobiet i dzieci rannych w zamachu bombowym. Mogła to być jedna z pańskich zabaweczek lub dzieło pana uczniów. Usmaż się w piekle.

Po tych słowach wyszedłem. Bian ruszyła za mną, cicho zamykając drzwi. Poszedłem wprost do salonu, zdjąłem buty i wyciągnąłem się na wygodnej sofie, by po trzech sekundach zasnąć głębokim snem.

Rozdział dwudziesty szósty

Budzik zadzwonił o czternastej trzydzieści. Wyrwał mnie z drzemki, poszedłem więc na tył samolotu, aby obudzić Bian śpiącą na wielkim łożu.

Później oboje udaliśmy się do łazienki, aby opłukać twarz zimną wodą i umyć zęby, a następnie spotkać ponownie w kuchni. Zaparzyliśmy duży dzbanek kawy, wysypaliśmy fistaszki do dużej miski, a następnie przeszliśmy do sali konferencyjnej, aby poczekać na przybycie Phyllis i Adolfa Waterbury'ego.

Kilka godzin snu wyraźnie poprawiło wygląd i nastrój Bian, chociaż w dalszym ciągu odnosiła się do mnie z pewną rezerwą. Przez jakiś czas prowadziliśmy płytką, bezsensowną rozmowę dwojga ludzi, którzy niedawno się poznali, zanim zmieniła temat:

- Podobał mi się sposób, w jaki przesłuchiwałeś Abdula Al-miriego.

Skinąłem głową.

- Widziałeś ofiary zamachu w szpitalu polowym? - zapytała.

- Tak.

- O czym pomyślałeś?

- A o czym można pomyśleć?

- Obchodzi mnie to, co ty o tym sądzisz. Odstawiłem kawę.

- Ci ludzie to dzikusy. Nie prowadzą działań wojennych. Dopuszczają się zbrodni ludobójstwa na niewinnych cywilach pod pretekstem walki o swoją sprawę.

- To wszystko? Nic więcej?

- Powiedz mi, co powinienem o tym sądzić. Wypiła łyk kawy i przyglądała mi się przez chwilę.

- Nie wyobrażasz sobie, ile takich scen widziałam podczas swojej zmiany w Iraku -

powiedziała. - Służyłam w żandarmerii. Często byliśmy na miejscu pierwsi. Do dziś mam koszmary.

- Sny czy wspomnienia?
- Jedno miesza się z drugim.
- Opowiedz mi jakiś.

- Pamiętam... jak pierwszy raz zobaczyłam coś takiego. Oczywiście, każda tragedia odciska ślad, lecz ta była pierwsza... - Wypiła spory łyk kawy. - Wtedy jeszcze zamachy nie zdarzały się na porządku dziennym. Jechałam hunwee, aby odwiedzić jedną z naszych blokad drogowych, kiedy otrzymałam radiową wiadomość z centrum dowodzenia, abym natychmiast udała się do Sadr, dzielnicy nędzy w północnej części Bagdadu, zamieszkaney przez szyitów.

Poleciłam kierowcy, aby zawrócił.

Skinąłem głową na znak, że słucham.

- Po dziesięciu minutach dotarliśmy na miejsce... skręciliśmy w tę ulicę i... musisz wiedzieć, Sean, że ci z centrum dowodzenia w żaden sposób mnie nie uprzedzili... ujrzałam wysadzony w powietrze płonący samochód, z którego buchał dym... w jezdni widniała ogromna wyrwa i czarna blizna po wybuchu... Wokół walały się rozrzucone kawałki ciał... jak konfetti... jak śmieci. Kończyny, fragmenty tułowi, głowy... wiele bardzo małych... wtedy zrozumiałam, że były to... części ciał dzieci. - Przez chwilę milczała. - W pobliżu siedziało około pięćdziesięciu rannych i poturbowanych ludzi, czekając na pomoc. - Martwi to martwi, prawda? Nie czują bólu ani cierpienia, ale ranni... ich obrażenia były tak... tak okropne. - Po krótkiej pauzie dodała: - Widziałeś to dziś rano.

- Widziałem.

- W takim razie... Czy zmieniłeś pogląd na tę wojnę?

- Byłem wkurzony, Bian. Nie próbuj mnie zmusić do głębszego zastanowienia lub pełniejszego zwerbalizowania tego, co czuję. Sam nie wiem.

- Rozumiem. - Odwróciła wzrok i rzekła z wyczuwalnym lekceważeniem: -

Przynajmniej szczerą odpowiedź.

Ścisnąłem ją za rękę.

- Nie wiem, co chciałaś usłyszeć. Tak, był to straszny widok. Tak potworny i niegodziwy, że niemal surrealistyczny. Coś tak makabrycznego nigdy nie powinno się zdarzyć, a jednak się wydarzyło. - Spojrzałem jej w oczy i kontynuowałem: - Miałaś dość czasu, aby to doświadczenie w tobie okrzepło i przybrało inną postać. To wymaga czasu.

Weterani mają tłumione wspomnienia i obrazy z wojny. Nikt nie może tego zapomnieć. Ale nikt nie oczekuje, że w samym środku rzezi w pełni pojmą sens tego, co się stało.

Wydawała się rozumieć, co mam na myśli, i odczuwać rozczarowanie.

- Miałam nadzieję, że zrozumiesz, dlaczego nie mogę traktować obojętnie tej wojny.

Nie mogę pozostawać obojętna wobec tych ludzi po tym, co zrobili...

Domyślałem się o co jej chodzi. Myśl o przegraniu wojny jest militarnym i politycznym przekleństwem - dla żołnierzy znakiem wstydu i hańby, dla narodu - strategiczną przegraną, a dla pozostałych obywateli wstydliwą raną pozostawioną w psychice.

Podobnie było z wojną w Wietnamie. Chociaż od czasu, gdy ostatni helikopter odleciał z dachu amerykańskiej ambasady, minęło wiele lat, nadal mamy z tym problem. W

sensie militarnym nie była to nawet porażka, lecz odwrót po uprzednich negocjacjach. To tak jakby zakrwawiony bokser odmówił walki do końca, chociaż rywal dostał jeszcze większe lanie.

Niektórzy wrogowie są gorsi od innych, dlatego powinniśmy długo i poważnie się zastanowić, zanim pozwolimy wygrać ludziom popełniającym ludobójstwo i oddamy cały naród w ich splamione krwią ręce.

Nasze rozmyślania przerwały głosy dochodzące z przedniej części samolotu i po chwili do sali

konferencyjnej weszła Phyllis i Waterbury w towarzystwie trzeciego agenta - człowieka o arabskiej urodzie, ubranego w połyskującą białą szatę z bogatymi złotymi zdobieniami.

Phyllis miała na sobie elegancką niebieską letnią sukienkę, a Waterbury - tropikalny brązowy garnitur, białe mokasyny i pasek, które dowodziły brak gustu nawet dwadzieścia lat temu, gdy były w modzie.

Po krótkim powitaniu Phyllis powiedziała do Bian i do mnie:

- Wykonaliście dobrą robotę.

- Dziękujemy.

Później spojrzała w moją stronę i dodała wymownie:

- Wolalabym, aby Ibn Pasza nie został ranny. Smszerowaliście sprawę. Teraz musimy czekać, aż wyzdrowieje, zanim będzie można rozpocząć przesłuchania. Jeśli wiedział, gdzie przebywa Zarkawi, informacja ta może być już nieaktualna.

Chociaż oczekiwałem, że to powie, czułem poirytowanie i się nie odzywałem.

Phyllis przypomniała sobie o dobrych manierach i oznajmiła:

- Nasz gość to szejek Turki Al-Fajef z saudyjskiego wywiadu. Jest tu nieoficjalnie, aby doradzać nam w sprawie pana Ibn Paszy.

Bian i ja spojrzeliśmy na siebie ze zdumieniem. Podczas naszej nieobecności w Waszyngtonie musiało się wydarzyć wiele rzeczy.

W każdym razie szejek nie wyciągnął ręki w naszą stronę i zachowywał się tak, jakby w ogóle nie dostrzegł naszego istnienia. Przybrał znudzony wyraz twarzy, przyglądając się wnętrzu samolotu, jakby czekał na pojawienie się handlowca.

Waterbury uznał, że upłynęło zbyt wiele czasu bez zaznaczenia jego obecności, bo wreszcie zabrał głos:

- Usiądźmy. Tran i Drummond, jesteście nam winni złożenie raportu po akcji.

Nie mówiąc ani słowa, szejek ruszył w stronę szczytu stołu, wyraźnie sugerując, jakie jest jego miejsce w kolejności dziobania.

Waterbury usiadł na krześle naprzeciw niego.

Phyllis zajęła miejsce pośrodku, obok Bian.

Trzeba zwracać uwagę na takie szczegóły. Najwyraźniej Phyllis nie kierowała już dłużej tym przedstawieniem, przekazała pałeczkę Waterbury'emu.

Oczywiście Waterbury nie mógł się doczekać, aby to podkreślić. Spojrzał na mnie i rozkazującym tonem, który bardzo mnie zirytował, powiedział:

- Drummond, ty pierwszy. Zaczynaj od krótkiego opisu akcji dla szejka Al-Fajefa.

Później chciałbym usłyszeć wszystko, czego się dowiedziałeś.

Zanim zdążyłem powiedzieć „goń się”, Phyllis wtrąciła:

- Jak najkrócej... Sean. Mieliśmy długą i męczącą podróż. Co oznaczało: „Udawaj, że się zgadzasz z tym kretynem, i uważaj na to, co mówisz w obecności naszego odzianego w arabską szatę przyjaciela. Skoro nie zapytałeś, dodam, że pokonanie ośmiu tysięcy kilometrów w towarzystwie Marka Waterbury'ego to prawdziwy koszmar”.

Skoro prosił, przedstawiłem krótką, bardzo okrojoną relację z mojej podróży i operacji pochwylenia Ibn Paszy oraz wyjaśniłem, dlaczego facet zajmujący się konstruowaniem bomb pożywia się w jednej z sypialni. Potraktowałem to jak sądowe podsumowanie przed ogłoszeniem werdyktu, co oznaczało, że publiczność usłyszała wybiórczą wersję prawdy, podporządkowaną moim interesom. Jestem w tym naprawdę dobry. Nie mając pojęcia, ile wie nasz nowy saudyjski

przyjaciół - i ile powinien wiedzieć - całkowicie pominąłem Clifforda Daniela, Charabiego i to, w jaki sposób dowiedzieliśmy się o miejscu pobytu Ibn Paszy.

Kilka razy poprosiłem Bian, aby coś dodała - wiecie, coś w stylu kukiełkowego przedstawienia o tym, jak Punch i Judy spędzili letnie wakacje.

Nie wspominałem o tym, że Bian postrzeliła więźniów, a ona również uznała to za szczegół pozbawiony znaczenia.

Nie powiedziałem też o tym, co wydarzyło się pod prysznicem. Dlaczego miałbym umacniać arabskiego szejka w stereotypowym przeświadczeniu, że wszystkie amerykańskie kobiety to zdzirzy? Oczywiście Bian słuchała tego, co mówię, a ja chciałem wrócić cało z tej misji.

Nie nadmieniłem również, że podwoiłem stawkę Ericowi. Chciałem w całej pełni rozkoszować się widokiem twarzy Phyllis, gdy przekażę jej tę wiadomość.

Waterbury słuchał. Ku mojemu zaskoczeniu zachowywał się w sposób całkowicie sobie obcy. Uważnie przysłuchiwał się moim słowom i ani razu nie przerwał, chociaż wiercił się, jakby mu dokuczały hemoroidy. Pomyślałem, że próbuje zrobić na kimś dobre wrażenie.

Z pewnością nie chodziło mu o mnie, Bian lub Phyllis. Najwyraźniej nasz szejek nie był byle kim. Byłem też pewien, że nie znalazł się tu, aby nam „doradzać”.

Phyllis zadała kilka pytań, głównie na temat obecnej sytuacji w Falludży. Odniosłem wrażenie, że żadne nie ma związku ze śledztwem - przypuszczalnie dotyczyły innych spraw, które miała na głowie. Ta dama trzymała zawsze dziesięć asów w rękawie i trzy kolejne pod sukienką.

Szejek Turki Al-Fajef sprawiał wrażenie człowieka, który wolałby się znajdować w dowolnym miejscu byle nie tutaj. Co jakiś czas ziewał i przewracał oczami lub bębnił palcami po stole. Wypalił jednego po drugim pięć lub sześć cuchnących francuskich papierosów, zadymiając całe pomieszczenie.

Ponieważ znajdowaliśmy się na pokładzie samolotu rządowego, wyobrażałem sobie, ile gniewu musi w sobie tłumić ten służbista Waterbury. Chociaż nie palę, odczuwałem pokusę, by poprosić szejka o papierosa.

Kiedy Bian zabrała głos, przyjrzałem się uważnie naszemu egzotycznemu przyjacielowi. Był to pulchniutki, dobiegający pięćdziesiątki mężczyzna o ruchliwych ciemnych oczach i spiczastej kocznej bródce. Z jakiegoś powodu pomyślałem, że jest

„diabelnie przystojny”, co uznałem za zabawne. Wiecie, facet naprawdę przypominał diabła.

Pomyślałem, że pierwsi chrześcijanie musieli wyobrażać sobie diabła jako arabskiego mężczyznę. Ciekawe, jak wyglądały arabskie czarty? Pewnie jak jakiś pucołowaty biały facet z klasy średniej w eleganckich ciuchach z Connecticut. Ich piekło przypominało pewnie New Jersey, co szczerze powiedziawszy, nie odbiega znacznie od naszego wyobrażenia.

Pomyślałem, że jego nieśmiałość była grą. Pod zewnętrzną powłoką chłodnej apatii krył się znakomity aktor o wyrafinowanym dwunastocylindrowym intelekcie. Znałem starszych oficerów, którzy posługiwali się identyczną techniką. Chodzi w niej o władzę, władzę pozwalającą udawać znudzonego i okazywać złe maniery w obecności podwładnych.

Rzecz jasna wszystko to jest iluzją, podobnie jak sama władza.

- Uważamy, że Abdul Almiri powinien zostać jak najszybciej przekazany władzom wojskowym - zakończyłem swoją relację. Po tych słowach odwróciłem się do Phyllis. -

Komórka w Bagdadzie może to załatwić bez ujawniania naszych odcisków palców.

Waterbury odpowiedział zamiast niej.

- Sam się tym zajmę.

- W jaki sposób? - zapytałem.

- Nie twój interes.

- Mark, to jest nasz interes - wtrąciła się Phyllis.

- W porządku, powiem... powiem im, że aresztował go jeden z moich ludzi.

Wymieniliśmy spojrzenia z Phyllis, która zrećcznie zasugerowała Waterbury'emu:

- Nie sądzisz, że zaciekawia ich, co tu robią ludzie z jednostki specjalnej Pentagonu?

Możesz schrzanić całą operację.

- Pomyślę... - Wszyscy odnieśliśmy wrażenie, że wyrazi zgodę, jeśli oficjalnie przypiszemy mu zasługę schwywania zamachowca. Wyobraziłem sobie, jak siedzi z kumplami w Stanach, pali duże cygaro i obracając lampkę koniaku w palcach, mówi: „A - teraz opowiem wam, jak zapuszkowałem największego i najgroźniejszego zamachowca w Bagdadzie...”.

Gdyby ten facet był jeszcze odrobinę głupszy, trzeba by go było podlewać dwa razy w tygodniu. Phyllis zmieniła temat.

- Doktor Enzenauer zadzwonił godzinę temu. Rana Ibn Paszy została oczyszczona i zaszyta. Wraca do siebie po zabiegu.

- Wyjdzie z tego? - zapytała Bian.

- Istnieje niebezpieczeństwo zakażenia wewnętrznego. Trzeba będzie uważnie śledzić jego stan. Zdaniem Enzenauera powinien zostać wypisany za dwa dni.

Odniosłem wrażenie, że jej ulżyło. Uznałem to za zrozumiałe.

Gdyby Ibn Pasza umarł na stole operacyjnym, musiałyby wyjaśnić kilka spraw.

Ponieważ wszyscy radośnie się uśmiechali, postanowiłem zepsuć im humor.

- Nie sądzę, aby udało się nam go złamać.

- Co to ma znaczyć? - zapytała Phyllis.

Poświęciłem kilka chwil, aby opowiedzieć jej i pozostałym, czego dowiedzieliśmy się o Alim Ibn Paszy od Abdula Almiriego, kończąc interesującą obserwacją osobistą, którą poczyniłem, gdy mierzył w moją głowę z karabinu.

- Przez krótką chwilę, jedną mikrosekundę... patrzyliśmy sobie w oczy - powiedziałem. - Możecie to uznać za melodramatyczne, lecz... czułem się tak, jakbyśmy zaglądali sobie w duszę. Ujrzałem w nich nienawiść i... wściekłość graniczącą z obłędem.

Bian uśmiechnęła się.

- Jestem ciekawa, co on dostrzegł w twoich.

- Oczekiwałeś, że się uśmiechnie, Drummond? - zakpił Waterbury. - Jego towarzysze zostali zabici lub postrzeleni. Kilka minut wcześniej został pojmany.

Przypomniałem sobie, że Ibn Pasza faktycznie się uśmiechnął.

- Skąd wiesz? Nie pamiętam, abyś tam był. Rzucił mi wrogie spojrzenie.

Na szczęście do rozmowy wtrąciła się Phyllis, bo sprawy zaczęły przybierać zły obrót.

- Do czego zmierzasz, Sean? - zapytała.

- Złamanie Ibn Paszy będzie wymagało pomysłowości, szczęścia i czasu. Miesiące, a może lat. Nie wystarczą zwykłe sztuczki i chwytosy stosowane podczas przesłuchania. Nie popełni takich błędów jak pospolici przestępcy.

- Sugerujesz, że Ibn Pasza ma kompleks męczennika? - zaciekawiała się Phyllis.

- No cóż... - Co ja właściwie sugerowałem? - Ten facet jest jak stal. Lubi żar.

Przypiekanie nadaje mu twardości i czyni go mocniejszym.

Waterbury przyglądał mi się przez chwilę.

- Utrzymujesz, że dobrze go znasz, a mimo to przyznajesz, iż nigdy z nim nie rozmawiałeś - powiedział. - To jakiś... absurd.

Uśmiechnąłem się.

- Mam dobrą intuicję. Na przykład potrzebowałem trzech sekund, aby dojść do wniosku, że cię nie lubię.

- Tak, ale rozmawialiśmy ze sobą jakiś czas - odpowiedział, jakby moje słowa zasługiwały na poważną reakcję.

Po co marnuję czas na tego faceta?

Zignorowałem go i spojrzałem na pozostałych. Uznałem, że powinienem wygłosić coś w rodzaju mowy sądowej.

- Podsumujmy, co wiemy o Alim Ibn Paszy. Przez całe dorosłe życie był terrorystą.

Zdołał przeżyć dekadę, chociaż robiliśmy co w naszej mocy, aby mu się to nie udało. Został wybrany przez Az-Zarkawiego, aby reprezentował jego organizację przed zewnętrznymi inwestorami. To daje do myślenia. Ali Ibn Pasza został wybrany na reprezentanta jego siatki.

Wierzono, że będzie chronił tajemnice grupy. Co więcej, że zachęci potencjalnych inwestorów, będzie ucieleśnieniem wyglądu i sposobu działania terrorystów. Wniosek: Ibn Pasza nie był lekceważony przez swoich towarzyszy, dlatego my również nie powinniśmy go lekceważyć.

Wszyscy przez chwilę dumali nad moimi słowami.

Bian skinęła głową na znak, że zgadza się z moją oceną.

Szejk nie powiedział ani słowa. Odchylił się do tyłu, wpatrując uporczywie w płonący koniuszek papierosa. Może źle oceniłem tego gościa - może miał grejpfrut zamiast mózgu.

Ciszę przerwał Waterbury.

- Z doświadczenia wiem, że każdego można złamać. - Kiedy nikt nie podchwycił tego wątku, dodał: - Trzeba tylko znaleźć właściwy sposób.

Ciekawe, o czym jego zdaniem rozmawialiśmy? W końcu szejk podniósł wzrok i zaskakująco dobrą angielszczyzną oznajmił:

- Pułkownik doskonale ocenił tego człowieka. Wskazał papierosem Waterbury'ego i dodał:

- Ali Ibn Pasza wywodzi się z długiej linii beduińskich wojowników. Nie jest taki jak Arabowie z Jordanii, Pakistanu lub Syrii. Ci ludzie, tak jak wasz jordański więzień, to wieśniacy udający żołnierzy. Ali Ibn Pasza został inaczej wychowany.

- Naprawdę? - zapytał Waterbury.

- Takich jak on nazywamy *lakfiri*. Słyszeliście to określenie? Ci ludzie są gorsi od bojowników Al-Kaidy. To wielcy fanatycy.

- Domyślałem się, że pan o nich wie - odpowiedział Waterbury.

- Faktycznie - potwierdził, co uznałem za interesujące, jeśli nie odkrywczę. - Pewnie zainteresuje was, że mam rozwiązanie.

Pochyliliśmy się w jego stronę, oczekując, co ma do powiedzenia.

- Oddajcie Alego Ibn Paszę mnie - zaproponował. - To jeden z naszych. Świetnie się rozumiemy.

- Chodzi panu o przekazanie więźnia?

- Tak. Nie jestem pewien, czy użyłem właściwego określenia, lecz wiem, iż robiono to już wcześniej. - Spojrzał na nas i dodał: - Oczywiście, przekazemy wam wszystko, czego się dowiemy.

Pochyliłem się do przodu.

- Słucham? - powiedziałem. Waterbury zignorował moje pytanie.

- To świetny pomysł - ocenił. Przez chwilę się namyślał, co upodobiło go do uczestniczki konkursu piękności oznajmiającej, że marzy o pokoju na świecie. Nawet jeśli mówi szczerze, głębia tej myśli jest porażająca. - Ludzie szejka Al-Fajefa są specjalistami i dysponują odpowiednimi

środkami... oprócz tego... odważmy się to powiedzieć: - Saudowie mają pewne... specjalne prerogatywy.

Przez specjalne prerogatywy miał pewnie na myśli to, że mogliby Ibn Paszy przypalać prądem gonady, dopóki nie uświadomiłby sobie, że chociaż prawda przypuszczalnie go nie wyzwoli, z pewnością pomoże mu ocalić jaja.

Szejk wydawał się poirytowany tą insynuacją.

- To prawda, że dysponujemy pewnymi... środkami, odważmy się też powiedzieć... że mamy pewne ludzkie i kulturowe cechy, których brak amerykańskim śledczym. Mimo to nie jesteśmy barbarzyńcami. Nie stosujemy tortur. Przrzekam wam, że nie będziemy się nad nim znęcać.

Odwróciłem się do szejka.

- Amerykańskie prawo wymaga złożenia pisemnej gwarancji humanitarnego traktowania więźnia przed jego przekazaniem - oznajmiłem.

- Doprawdy?

- Tak.

- Nie wiedziałem.

- Byłem zdziwiony, gdy pan o tym wspomniał.

- Rozumiem - skwitował. - To przypadek. Najwyraźniej jego angielski nie był wcale taki dobry - chciał powiedzieć, że to było zamierzone.

Spojrzałem na Phyllis, która bawiła się długopisem, jakby ta rozmowa nie miała z nianie wspólnego. Pomyślałem, że już o wszystkim wiedziała. Kusiło mnie, aby obejść stół i sprawdzić, jak bardzo zdołam wykręcić jej rękę. Lubię rozmowy, podczas których wszyscy odczytują tekst z kartki.

Popatrzyłem na Bian. Uniosła brwi i spojrzała na mnie. Poniewczasie oboje zrozumieliśmy, że przełożeni w Waszyngtonie doszli do wniosku, że Ibn Pasza jest gorącym ziemniakiem, który najlepiej będzie podrzucić naszym saudyjskim przyjaciółom.

Nie miałem czasu, aby to wszystko przeanalizować, jednak pewne wątki wydawały się całkiem proste. Ibn Pasza mógł wszystkim narobić kłopotów. Bian i ja nie byliśmy wystarczająco dorośli, aby zrozumieć lub połapać się we wszystkich subtelnościach sprawy, a Turki Al-Fajef nie przybył tu w charakterze doradcy.

W każdym razie Waterbury parł do przodu z właściwą sobie finezją.

- Zatem sprawa załatwiona - oznajmił. Po tych słowach wstał i zakładając, że spotkanie dobiegło końca, powiedział do swojego przyjaciela szejka: - Przekażę więźnia, gdy tylko podeślesz samolot. Jakies pytania?

Phyllis nie zgłosiła żadnych zastrzeżeń, więc aby jej pomóc, przypomniałem:

- Nie możesz dać mu czegoś, czego nie masz.

- O czym ty mówisz? - zapytał Waterbury.

- O kim cały czas rozmawiamy, Waterbury? O Alim Ibn Paszy. Nie oddam go.

- Wiesz co, Drummond? Jesteś głupszy, niż sądziłem - odparł Waterbury. - Pracujesz dla rządu Stanów Zjednoczonych.

- Czy mam przypominać byłemu oficerowi żandarmerii prawną definicję funkcjonariusza, który dokonał zatrzymania, i definicję tymczasowego aresztu? Pełnię funkcję urzędnika sądowego i dopóki nie podpiszę rozkazu przeniesienia, Ali Ibn Pasza pozostanie moim więźniem.

Bian otworzyła usta, lecz ponieważ tylko jeden idiota musiał skoczyć z tego urwiska, dyskretnie trąciłem ją w goleń pod stołem.

- Wykonasz rozkaz, Drummond.

- Czyj?

- Mój.

- Powtórzę moje ulubione zdanie. Nie pracuję dla ciebie, Waterbury. - Spojrzałem mu prosto w oczy. - Powiedz mi, kto wydał ci rozkaz, a może zmienię zdanie. - Oczywiście wypowiedziałem te słowa, krzyżując palce.

Tak jak podejrzewałem, zignorował moje słowa.

- Każ mu przekazać więźnia - zwrócił się do Phyllis. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, że oglądam film *Dzień świstaka*.

Znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. Waterbury kazał Phyllis, aby poleciała mi przekazanie komputera Daniela. Tym razem nie miałem pewności, że Phyllis postąpi jak należy. Zanim zdążyła wyrazić zgodę, pouczyłem ich oboje:

- Nie pracuję już dla pani Carnes. Na te słowa także jej opadła szczęka.

Wyciągnąłem z kieszeni kartkę z rozkazem i pokazałem tak, aby wszyscy mogli ją zobaczyć.

- Moim zwierzchnikiem jest szef Wojskowego Biura Śledczego. Zadzwońcie do niego i poproście, aby wydał mi rozkaz przekazania jeńca.

Waterbury przez chwilę jak osłupiały gapił się na dokument.

- To niedorzeczne. Chryste... wszyscy wiemy, że ten rozkaz został sfałszowany.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Wkurzasz mnie, Drummond.

O to chodzi. W taki sposób przekomarzaliśmy się przez pewien czas.

Szejk przesuwiał wzrok z Waterbury'ego na mnie, targał brodę i próbował sprawiać wrażenie, jakby rozumiał tę utarczkę wysokiego urzędnika z funkcjonariuszem niskiego szczebla. Powiem dyplomatycznie, że moje doświadczenia z urzędnikami z krajów o nieco mniej zaawansowanej demokracji wskazują, iż nie mają oni zielonego pojęcia o sprawach, których nie da się załatwić groźbą lub nocnym najściem. W każdym razie facet nie wyglądał już na znużonego lub niezainteresowanego.

Pomyślałem, że najwyższy czas zmusić Waterbury'ego do pokazania kart. Na nieszczęście był w samym środku wygłaszania rozwlekłej homilii o moich obowiązkach jako oficera wykonującego mandat, o konstytucyjnej podległości władzy cywilnej i lada chwila mógł nawiązać do Ojca, Syna i Ducha Świętego.

Kiedy zrobił pauzę na oddech, przerwałem mu i powiedziałem:

- Sytuacja prawna jest całkiem inna. Przekazanie jeńca wymaga dokumentu podpisanego przez Departament Sprawiedliwości.

- To śmieszne.

- Zgoda, niestety takie jest prawo - odpowiedziałem z logiką typową dla prawnika.

Waterbury rzucił mi zdumione spojrzenie.

Ten facet nie miał zielonego pojęcia o prawnych aspektach przekazania więźnia, co zrodziło pytanie: kto właściwie wpadł na taki pomysł. Istniały trzy możliwości. Możliwość A: z niewiadomego powodu ktoś w Waszyngtonie chciał, aby Ibn Pasza został na wieki pogrzebany w saudyjskiej krypcie. Możliwość B: komuś w Dystrykcie Columbii przypadł do gustu pomysł, że Saudyjczycy zmuszą gościa, aby wszystko wyśpiewał, co chociaż całkiem częste w ostatnim czasie, naruszało konwencję ONZ zakazującą stosowania tortur, którą nawiasem mówiąc, podpisały Stany Zjednoczone. Możliwość C: Saudyjczycy chcieli mieć Alego Ibn Paszy i dali nam wybór - albo przekażecie nam faceta, albo nie będziecie musieli dłużej płacić za korzystanie z autostrad.

Pomyślałem przez chwilę. Wariant A lub B, lub C wyglądał na całkiem prawdopodobny. Równie prawdopodobny był jednak wariant A i B, i C.

Wszystko sprowadzało się do następującej kwestii: Jeśli rozkaz pochodził z Białego Domu, powinienem poszukać sobie innego przydziału lub innej roboty - a może zupełnie innego życia. Szczerze powiedziawszy, przestało mnie to obchodzić, co zawsze bywa niebezpieczne dla kogoś, kto mnie wkurzy. Wiedziałem też, że dysponuję pewnymi atutami.

Na moją korzyść przemawiała złota zasada obowiązująca w Waszyngtonie - strona, która ma najwięcej do ukrycia, zawsze ma najgorsze karty.

Wiedziałem o tym ja i wiedział Waterbury.

Kilka razy westchnął głęboko i uznał, że sytuacja dojrzała do nowego podejścia.

Zrezygnował z odgrywania króla Leara i uśmiechnął się do mnie przyjacielsko.

- Sean... nie robię tego z własnej inicjatywy... nie powinienes... mam silne poparcie...

w Waszyngtonie.

- Gdzie w Waszyngtonie?

- Na wysokich szczyblach. Niech tak to zostanie. Chciałbyś.

- W porządku. Pokaż mi zgodę podpisaną przez prokuratora generalnego.

- Nie mam... - Przez chwilę patrzył na mnie zagubiony. - Jestem pewien, że prokurator generalny wydałby taką zgodę.

- Nigdy nie wiadomo. Zadzwońmy i zapytajmy go? Wszyscy zamilkli. Po kilku sekundach szejk spojrział na mnie i zapytał:

- Czego trzeba, aby pana zadowolić, pułkowniku?

Byłem pewny, że słyszał wszystkie moje słowa, i pomyślałem, iż jego pytanie oznacza łapówkę. Miałem pokusę, aby sprawdzić szczerłość jego intencji. Wicie, w jego kraju butelki zamieszkują dżinny i dopóki człowiek kilka razy jej nie potrze, nie wiadomo, co jest w środku. Z kolei ludzie, którzy chcą cię przekupić, często są skłonni do zrobienia innych rzeczy.

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, poinformowałem go:

- Powiem panu, na czym polega mój problem. Nie dzielcie się zdobytymi informacjami.

Spojrzał na mnie i z lodowatym uśmiechem doradził:

- Nie powinien pan wierzyć we wszystkie oszczerstwa, które wasze gazety wypisują o moim kraju.

- Jak długo pracuje pan dla wywiadu Arabii Saudyjskiej?

- Ponad dwadzieścia lat. To mój zawód. Dlaczego pan pyta? Popatrzyłem mu prosto w oczy i powiedziałem:

- W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku uczestniczyłem w śledztwie w sprawie Khobar Towers.

Z jego spojrzenia wyczytałem, że zrozumiał, o co mi chodzi. Kiedy arabscy terroryści wysadzili amerykańskie koszary wojskowe w Khobar Towers w Arabii Saudyjskiej, zginęło dziewiętnastu wojskowych, a setki innych zostało rannych. Saudyjczycy szybko aresztowali podejrzanych i ścieli wszystkich, nie pozwalając naszym śledczym na przeprowadzenie choćby jednego przesłuchania.

Jak wspominałem, uczestniczyłem w tym dochodzeniu. Wyczuwaliśmy w tym rękę Al-Kaidy, lecz wszystkim, co nam pozostało, był swąd spalenizny. Często zastanawiałem się, jak potoczyłyby się wypadki, gdybyśmy wtedy przesłuchali podejrzanych i uzyskali informacje na temat tej organizacji oraz jej intryg i planów. Nie trzeba dodawać, że byłoby to dobre dla nas i dla Saudyjczyków.

Saudyjczycy prowadzili własną grę w regionie - grę, którą można by opisać w następujący sposób: będziemy pilnowali własnego tyłka, nie przejmując się tym, kto pakuje petardy do waszego. Najwyraźniej zawarli jakieś nieoficjalne porozumienie z Al-Kaidą i przekazali potajemną zapłatę. W

zamian Al-Kaida miała się trzymać z daleka od ich piaskownicy i robić bałagan u innych, na przykład u nas.

Oczywiście nikt nie mógł tego udowodnić. Ale ścięcie podejrzanych o wysadzenie Khobar Towers sprawiło, że nie można było niczego udowodnić z wyjątkiem śmierci dziewiętnastu amerykańskich żołnierzy, za którą nikt nie został ukarany. Saudyjczycy sądzili, że w ten sposób pogrzebię własne kłopoty, a my po cichu pogrzebiemy własne.

Tak jak oczekiwałem, Waterbury był rozwścieczony moją impertynencją.

- Przekroczyłeś dopuszczalną granicę, Drummond. Natychmiast przeproś szejka.

- Jeśli mnie przekonasz, uczynię to.

- Wkurzasz mnie. Szejk jest naszym gościem honorowym i wspaniałomyślnie zaproponował nam cenną pomoc.

Może źle osądziłem Waterbury'ego. Może facet nie był taki zły, tylko po prostu głupi.

Phyllis odchrząknęła i przypomniała:

- Wskazywanie palcem w niczym nam nie pomoże. Zastanówmy się, jak wyjść z impasu.

Jeśli Waterbury odgrywał rolę złego gliny, Phyllis wcieliła się w dobrego, bo spojrzała na szejka i na mnie, a następnie zasugerowała:

- Może uda się nam dojść do porozumienia, które zaspokoi potrzeby i pragnienia każdego.

Waterbury, najwyraźniej niezadowolony z tego, że traci kontrolę nad sytuacją, zaczął się sprzeciwiać, lecz szejk podniósł rękę.

- Proszę. - Spojrzał na Phyllis. - Na czym... miałyby polegać to inne porozumienie?

Uznałem, że to ja rozdaję karty, bo szefowa skierowała to pytanie do mnie.

- Jakie środki bezpieczeństwa by cię zadowolily? - spytał. Szczerze powiedziawszy, od początku wiedziałem, że nie mam szans na zwycięstwo w tej grze. Mogłem zgłaszać wątpliwości i zastrzeżenia, przeciągać procedurę i czynić ją bardziej bolesną dla wszystkich zaangażowanych. Oczywiście sprawiłoby mi to pewną przyjemność. W końcu nie miałem zamiaru skłaniać ich do wejrzenia we własną duszę, bo ludzie, którzy wydali taki rozkaz, nie mieli duszy, a jedynie władzę.

Najwyraźniej grube ryby z Waszyngtonu chciały uniknąć przekazania tej sprawy naszemu Departamentowi Sprawiedliwości i prokuratorowi generalnemu, ponieważ dochodzenie zajęłoby mnóstwo czasu, a dane wywiadowcze uzyskane w wyniku tego rodzaju przesłuchania mają z natury krótką przydatność, poza tym im mniej ludzi będzie o tym wiedziało, tym mniejszej liczbie trzeba będzie zafundować amnezję.

Do rozmowy wtrąciła się Bian, chociaż ostrzegłem ją, by tego nie robiła.

- Dlaczego procedura przekazania musi przebiegać zgodnie z prawem?

- Zamknij się - uciszył ją Waterbury.

- Ale...

- Powiedziałem, zamknij się. - Tyle o prawach kobiet. Waterbury otworzył usta i przestąpił z nogi na nogę. Szejk podniósł dłoń.

- Chciałbym usłyszeć tę sugestię - oznajmił. Wiedziałem, co Bian chce powiedzieć. W naszej sytuacji był to bardzo sprytny pomysł. Żałowałem, że sam na niego nie wpadłem.

- Sugeruję, że Ibn Pasza nie musi zostać przekazany. Musi być jedynie przekonany, że do tego doszło.

- Jak to zrobimy?

- Naszprycujemy go narkotykami. Obudzi się w saudyjskiej celi, będzie miał saudyjskich strażników i saudyjskich śledczych. Wcześniej przygotuję go na to razem z Seanem. Poinformujemy Ibn Paszę, że zostanie przekazany Arabii Saudyjskiej. Nie obchodzi mnie, jakim jest

twardzielem. Napędzimy mu porządnego pietra.

Szejk przeoczył zawołany komplement na temat metod przesłuchań stosowanych w jego kraju i w zamyśleniu skinął głową.

Obudziła się we mnie prawnicza natura i szybko wtrąciłem:

- Będzie pozostawał pod wspólnym aresztem. Pod naszym bezpośrednim nadzorem.

Przez całą dobę będziemy mieli nadzór nad przesłuchaniami i dostarczymy połowę wszystkich pytań.

Szejk Al-Fajef zaczął targać brodę.

- A co ja będę z tego miał?

- Będzie pan wiedział to co my - poinformowała go Bian.

- Niech pan to potraktuje jako sposób uniknięcia przykrewj alternatywy - dodałem.

- Jakiej alternatywy?

Jakiej alternatywy? - spojrzał na mnie.

- Spojrzał na mnie.

- Może pan przeczytać o tym na pierwszej stronie „New York Timesa”. Nie wiem, dlaczego Ibn Pacha budzi w panu lęk, nie wiem, czy pan sam to wie. Po jedenastym września pański kraj ma w Ameryce poważny problem z wizerunkiem. Niech pan się nad tym zastanowi.

Pomyślał i po chwili udzielił zwięzłej odpowiedzi:

- Dostaniecie dwadzieścia pięć procent pytań.

Rozdział dwudziesty siódmy

Turki Al-Fajef opuścił pokład samolotu, aby powiadomić swoich przełożonych w Rijadzie, że w miejsce starego miał obowiązywać nowy układ.

Phyllis chciała zamienić ze mną słowo na osobności, więc porzuciliśmy Bian z jej szefem, który sprawiał wrażenie lekko sfrustrowanego i wyglądał tak, jakby miał ochotę zastraszyć podwładnego.

Jak powiedziałem, we wnętrzu samolotu było jak w saunie i mundur przylepił mi się do ciała. Nawet na górnej wardze Phyllis, która miała fizjologię jaszczurki, pojawiła się cienka warstwa potu.

Opuściliśmy maszynę bez słowa, nie powiedzieliśmy też niczego w środku hangaru.

Na zewnątrz silnie wiało - powietrze było ciepłe, lecz odświeżające.

W końcu, gdy znaleźliśmy się wystarczająco daleko, oznajmiłem tonem, który trudno uznać za delikatny:

- Oszukałaś i zdradziłaś nas.

- Ostre słowa. Sprawiasz wrażenie zmęczonego. Jak się czujesz?

- Czy nie obiecałaś, że będziesz mnie ubezpieczać?

- Bian to bardzo atrakcyjna kobieta, nie sądzisz?

- Jest dobrym żołnierzem.

- Na dodatek bardzo pięknym. Czyżbym wyczuła, że między wami coś jest?

- Dopóki nie wszedłem do damskiej latryny, nie wiedziałem, że jest kobietą. - Nie chciałem pozwolić, aby zmieniła temat. - Dlaczego, Phyllis? Dlaczego im ustąpiłaś?

- Nawiasem mówiąc, znakomicie załatwiłaś Turkiego. To twardy negocjator. Dobry błąd, chociaż mało brakowało, a mielibyśmy katastrofę. - Rzuciła mi przeciągłe spojrzenie i dodała: - Mimo to uzyskałaś od niego więcej niż my.

- Może za mało naciskaliście. Co to za „my”? Odwróciła wzrok.

- To wpływowi ludzie. Nie musisz znać ich nazwisk. I tak bym ci ich nie podała.

- Tigerman? Hirschfield? Czy te nazwiska pasują? Nie odpowiedziała wprost.

- Jeszcze trzy lata temu Agencja zdołałaby przeciwstawić się większości z nich.

Niestety, po jedenastym września straciliśmy dużo prestiżu, wpływu i siły przebicia. Czy wiesz, że prezydent myśli o wyborze nowego dyrektora?

- Co z tego? Stary znajdzie sobie miejsce w kilku radach nadzorczych, będzie wygłaszał odczyty i pisał książki. Nowy szybko odkryje, że potrzebuje cię bardziej niż ty jego. Biurokracja jest wieczna, a biurokraci zawsze biorą górę.

- Nie jestem tego pewna. Waszyngton się zmienia. Zmienia się też Agencja. Musi stać się bardziej... może nie jest to wcale taki zły pomysł...

- Kim jest Turki Al-Fajef? - zapytałem.

- Numerem dwa lub trzy w saudyjskim wywiadzie.

- Kto jest numerem jeden?

- Wszystko zależy od tego, ilu książąt chce się bawić w szpiegów. Znam go od wielu lat. Kiedy zaczyna działać Turki, pozostaje im jedynie zabawa. Całkiem nieszkodliwa.

- Ten człowiek nie jest nieszkodliwy.

- Nie obwiniaj go. Turki dba o interes swojego kraju, tak jak my dbamy o interes naszego.

- Powinnaś go zatrudnić. Jest lepszy od nas.

- Przestań udawać naiwnego, Sean. Kiepsko ci to wychodzi.

- Przepraszam, że myślałem, że przyjechaliśmy tu, by robić to, co słuszne.

- Skąd wiesz, że nie robimy tego, co słuszne?

Phyllis nie jest bezwstydną, cierpi jednak na irytujący „zespół Waszyngtonu” - zdumiewającą niezdolność do zarumienienia się niezależnie od tego, jak jawne kłamstwa wypowiada lub w jak kłopotliwym położeniu się znajduje.

- Co takiego wie Ibn Pasza, że wszyscy są tacy przerażeni? - zapytałem.

- Może nic, a może bardzo wiele. Jest Saudyjczykiem, dlatego jego rodacy dowiedzą się tego szybciej od nas.

- Wiem, że sama w to nie wierzysz.

Phyllis coś odpowiedziała, lecz wojskowy samolot C-130 zaczął pędzić po pasie i jej słowa zagłuszył ryk silników. Staliśmy przez chwilę w milczeniu, obserwując, jak wielka maszyna unosi się w powietrze. Nie odrywaliśmy wzroku od samolotu, gdy pilot zaczął

wykonywać serię manewrów, aby uniknąć pocisków ziemia-powietrze. To miejsce było do dupy.

Pasażerowie siedzący z tyłu przypuszczalnie zwymiotowali lunch. Ogarnęła mnie fala mdłości.

- Co z Charabim?

- Z kim? Spojrzałem na nią.

- Nie możesz na to pozwolić.

- Wykonuję rozkazy. Chyba nie muszę dodawać, że ty również musisz to robić.

- Zdradził nas.

- Jesteś pewien? Masz podejrzenia oparte na słabych dowodach poszlakowych. Kilka e-maili na dysku komputera, należącego do przeżywającego trudności, godnego pogardy człowieka, który być może popełnił samobójstwo. Czy dopuściłbyś taki materiał jako dowód, gdybyś był adwokatem obrony? Nie sądzę. - Nie musiała dodawać oczywistego - tego, że jej pytanie było równie abstrakcyjne jak pokrętne, ponieważ nie dopuszczono by mnie na odległość piętnastu kilometrów do wspomnianego komputera czy obciążających e-maili. - Nie masz żadnego dowodu, że Charabi zdradził jakieś tajemnice Irańczykom. Nie jest nawet obywatelem Stanów Zjednoczonych. To warunek, aby oskarżyć kogoś o zdradę, prawda?

- Jest podejrzany o zamordowanie Clifforda Daniela. Takie przestępstwo pozwala na

wszczęć procedury ekstradycji.

- Powiedziałeś, że zabójczynią była kobieta.

- Powiedziałem również, że moim zdaniem była wynajętym zabójcą. Była morderczym narzędziem, nie mordercą.

- Kolejna możliwość. Sądziłam, że prawo zajmuje się faktami, że obowiązuje domniemanie niewinności.

Te pokrętne słowa miały w sobie coś prawniczego, jakby Phyllis powtarzała niczym papuga głupie uzasadnienie podane przez bezimiennych przełożonych z Waszyngtonu.

Musicie sobie wyobrazić, jak bardzo lubiłem słuchać wykładów z prawa.

- Śledztwo zawsze rozpoczyna się od niejasnych i niesprawdzonych podejrzeń.

Przyglądasz się im dokładniej i decydujesz, które warto zbadać ponownie. Jeśli cię to interesuje, zasadą domniemania niewinności kierują się sędziowie, a nie śledczy. Dla gliniarza każdy jest podejrzany, dopóki nie dowiedzie swojej niewinności Nie odpowiedziała.

- Facet jest podejrzany i musi zostać przesłuchany.

- To obywatel Iraku. Jesteśmy na terytorium obcego państwa. Nie masz podstaw prawnych ani władzy. Nie masz możliwości przepytania go.

- Nie ma problemu. Odwiedzę go w biurze i po prostu zadam kilka pytań. Żadnego zagrożenia. W cztery oczy. Zobaczę, do czego to doprowadzi.

- Polecono mi przekazać ci trzy słowa: Zapomnij o nim. Przez chwilę spoglądaliśmy na siebie.

- W styczniu Irakijczycy będą mieli pierwsze wolne wybory. To ważny krok do wygrania tej wojny i sprowadzenia naszych chłopców do domu. Być może czytałeś w gazetach, że Mahmud Charabi jest głównym kandydatem na urząd premiera.

- Właśnie dlatego należy przeprowadzić śledztwo. A jeśli po jego wyborze wyjdzie na jaw, że pracuje dla Iranu i stoi za zabójstwem Cliffa Daniela? To nie będzie dobre dla Ameryki. Nie po to walczą i umierają moi towarzysze.

- To nie ma najmniejszego znaczenia. Posłuchaj, co mówię. Ani tobie, ani mnie nie pozwolą dalej prowadzić tej sprawy. - Wskazała moje ramię palcem przypominającym sztylet i wypowiedziała święte słowa: - To rozkaz.

- Co jest grane?

Na chwilę zapanowało milczenie.

- Dwa słowa: Martin Lebrowski - wydusiła w końcu Phyllis.

- Kto?

- Ten, który przedstawił się jako Don.

- Czy będę go darzył taką samą niechęcią jak Dona?

- Większą. Do przecieku w sprawie operacji irańskiej doszło za jego urzędowania.

Odpowiadał za wszystkie elementy. Szczególnie za zapewnienie bezpieczeństwa. W karierze zawodowej Lebrowskiego nastąpił poważny kryzys.

- Zaczniemy od tego, że Lebrowski nigdy nie powinien był zrobić kariery.

- Być może. Facet ma więcej rozumu, niż sądziłam. Zaraz po naszym spotkaniu zadzwonił do kilku przyjaciół z Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Departamentu Obrony.

Przekazał im wszystko, co wiedział. Oczywiście informacje szczegółowe były już nieaktualne, lecz nie miało to żadnego znaczenia.

- Co się później stało?

- A jak sądzisz?

Jej odpowiedź była równie retoryczna jak moje pytanie. Zorganizowano spotkanie w

Waszyngtonie. Bystre chłopaki zebrały się wokół długiego mahoniowego stołu ustawionego w wyściełanym grubymi dywanami pomieszczeniu na zapleczu i wspólnie uradzili, że w obliczu niepewnego wyniku nadciągających wyborów opozycja zacznie wyciągać pseudonimy agentów tajnych służb i kontaktować się z ich informatorami. Jedno spotkanie zawsze prowadzi do drugiego, na które zaproszono Phyllis i jej przełożonego, oczywiście nie w charakterze gości, lecz ludzi do wszystkiego, którzy mieli odebrać rozkazy.

- W jaki sposób go nagrodzono?

- Wiesz... pracuje teraz w Białym Domu. W Radzie Bezpieczeństwa Narodowego. Jest specjalnym doradcą prezydenta.

- Uwielbiam patrzeć, jak zwyciężają dobrzy faceci.

- Martin nas przechytrzył...

- Martin przechytrzył ciebie. Ja zawsze miałem go za dupka.

- W porządku... mnie. Teraz nie można w tej sprawie nic zrobić. Rzecz jasna, miała rację. Właściwie, czułem wyrzuty sumienia za to, że dowaliłem jej tym szczeniackim „a nie mówiłem”. Potrafię wznieść się ponad mściwość i małoduszność. Ona jednak tego nie uczyniła, dlatego zatem powinienem zdobywać się na takie gesty? Przez moment przyglądałem się jej uważnie.

- Chciałbym się upewnić, że dobrze wszystko zrozumiałem. Podsumujmy: Ali Ibn Pasza zostanie przesłuchany przez swoich rodaków, Lebrowski dostał nowe biurko w bezpieczeństwie, Charabi ma papieską dyspensę i... czy o czymś zapomniałem?

- O kilku szczegółach. Nic ważnego.

Szczerze powiedziawszy, nie wspominałem o kimś ważnym - o sobie.

- W jakiej sytuacji stawia to Bian i mnie? - zapytałem.

- Ach... no tak. Zakończycie tę część dochodzenia. Prawdę powiedziawszy, ludzie, którzy nadali śledztwu nowy kierunek, byli pod dużym wrażeniem waszej pracy.

- Czy to oznacza, że mój samolot nie eksploduje przypadkiem w drodze do domu.

Zignorowała moją paranoiczną uwagę.

- Schwytaliście ważnego terrorystę, Sean. Jeśli facet zacznie mówić, być może uda się nam odwrócić koleje tej wojny. Wszyscy jesteśmy bardzo zainteresowani tym, co może ujawnić.

- Odnoszę wrażenie, że Waszyngton jest zainteresowany utajnieniem tego, co może wyjawić.

- W tej branży człowiek rzadko dostaje wszystko, czego chce. - Odwróciła wzrok i powiedziała: - Bardzo możliwe, że zostaniesz nagrodzony za to imponujące osiągnięcie.

- Nie wyobrażasz sobie, jaki jestem szczęśliwy.

- Jak zapewne wiesz, twoje osobiste uczucia są zupełnie bez znaczenia.

- Właśnie to miałem na myśli.

- Poproszono mnie również, abym przypomniiała ci o podpisanym zobowiązaniu do zachowania tajemnicy. Wiesz, co to oznacza. Pewnie domyślasz się, że Waterbury rozmawia teraz o tym z major Tran w samolocie.

Rzuciłem jej przeciągłe spojrzenie:

- Chcą nam zamknąć usta. Tobie również, Phyllis. Czy to ci nie przeszkadza?

Zaskoczyła mnie rzadkim u niej przejawem emocji.

- Nawet nie wiesz jak.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu, aż przyszło mi coś do głowy.

- Poczekaj... - przerwałem. - Jak Saudyjczycy dowiedzieli się o Alim Ibn Paszy? Don wyszedł, zanim poruszyliśmy ten temat.

- To wielkie pytanie, prawda? Spojrzałem na nią.

- Mówię prawdę. Wczoraj do Białego Domu nieoczekiwanie zadzwonił saudyjski ambasador. Zrobił straszną aferę.

- Czy nikt w Agencji nie potrafi dochować tajemnicy? Najwyraźniej moja uwaga była zabawna, bo Phyllis się roześmiała.

- O tej operacji wiedział bardzo mały krąg osób, Phyllis. Jak Saudyjczycy się o niej dowiedzieli?

- Nie znam odpowiedzi na to pytanie, lecz ambasador ją zna. Chociaż tego nie zdradzi, od początku o wszystkim wiedział. Dyrektor i ja otrzymaliśmy polecenie wypracowania porozumienia z Turkim.

- Wczoraj? Zanim schwytaliśmy Ibn Paszę?

- Tak. Można by nawet powiedzieć, że był to kluczowy czynnik, który przesądził o naszej decyzji.

- Nie sędzę, abyś podjęła jakąkolwiek decyzję. Zignorowała moją sarkastyczną uwagę i kontynuowała:

- Wiedzieliśmy, że saudyjski wywiad może dać cynk organizacji Ibn Paszy. Turki dyskretnie nam o tym przypomniał, na wypadek gdybyśmy sami na to nie wpadli.

Nie odpowiedziałem ani słowa.

- Stanęliśmy wobec dylematu, Sean. Mogliśmy schwycić Ibn Paszę i zmusić go do mówienia lub na zawsze go stracić.

Przez pewien czas szliśmy w milczeniu. Po lewej stronie, wokół budynku stojącego przy pasie, ćwiczył samotny żołnierz w polowym mundurze i brązowych butach pustynnych.

Jego brązowy wojskowy podkoszulek przesiąkł potem, a klatka piersiowa ciężko falowała, gdy stawiał jedną stopę za drugą, wykonując niekończące się okrążenia. Pomyślałem, że on i ja mamy ze sobą wiele wspólnego, jednak jeszcze więcej łączyło nieszczęśnika z tą wojną.

Phyllis wytarła górną wargę chusteczką do nosa.

- To niemiłosiernie gorące i skomplikowane miejsce na wojnę, nie uważasz?

- Nie przypominam sobie żadnego miejsca, które byłoby dobre na prowadzenie wojny

- odparłem.

- Pamiętam lepsze wojny. Mniej zawile. - W rzadkiej chwili filozoficznej zadumy dodała ze smutkiem: - Wszystkie wojny mają paskudne podbrzusze. Ludzie, którzy toczą potajemne zmagania, nigdy nie uczestniczą w uroczystych paradach, a po zakończeniu wojny nie krążą przy barze w salonach weteranów wojennych, przechwalając się swoimi zwycięstwami.

Wracając do tematu, zauważyłem:

- Przynajmniej będziemy wiedzieli, co Ibn Pasza powie Saudyjczykom.

- I tak byśmy wiedzieli - rzekła z uśmiechem.

- O czym ty mówisz?

- Myślisz, że tylko ty jesteś inteligentny? Przed zaszyciem rany Ibn Paszy Enzenauer umieścił mu nadajnik pod skórą. Pan Ibn Pasza jest już w eterze i nadaje.

Powinienem być zaskoczony tym objawieniem, lecz z jakiegoś powodu nie byłem.

W oddali dostrzegłem szejka przemierzającego płytę lotniska w powiewających szatach. Wszedł do hangaru i wspinał się po stopniach do wnętrza maszyny, nie mając zielonego pojęcia, jakim jest amatorem.

Ująłem Phyllis pod łokieć i odprowadziłem do hangaru. Weszliśmy po stopniach do środka i w chwili, gdy przekraczaliśmy drzwi, wspomniałem:

- Nawiasem mówiąc, podwoiłem wynagrodzenie dla Erica i jego drużyny.

Nawet gdyby tego dnia nie wydarzyło się nic innego, do końca życia zapamiętałbym wyraz jej twarzy.

Rozdział dwudziesty ósmy

Pospiesznie omówiliśmy kwestie logistyczne oraz szczegóły przesłuchania Alego Ibn Paszy. Nasza rozmowa miała w sobie coś pospiesznego i surrealistycznego, wywołanego najwyraźniej poczuciem winy.

Bian i ja czuliśmy się tak, jakby przypiekano nas na różnie.

W zamian za „wyświadczenie drobnej przysługi” Turki obiecał nam „teczkę pełną bardzo pouczających informacji”, które jego służba zebrała na temat Alego Ibn Paszy.

Wynikało stąd, że Ibn Pasza był od dawna przedmiotem zainteresowania Saudyjczyków.

Niestety, teczka, którą otrzymaliśmy, wyglądała jak stara książeczka z kuponami po długim dniu zakupów w centrum handlowym - postrzępiona i brakowało w niej wielu stron - nędzne wspomnienie teczki, którą niegdyś była. Turki tego nie powiedział, bo i nie musiał.

Phyllis zasugerowała, że skoro Ibn Pasza ma pozostawać pod naszym wspólnym nadzorem, nie ma potrzeby przewożenia go do Arabii Saudyjskiej, bo CIA ma obiekt na południe od Bagdadu, który nadaje się idealnie do tego typu operacji. Zasugerowała, że „nasz stary przyjaciel, Turki” powinien wysłać do Iraku strażników i śledczych, aby zmylić Ibn Paszę.

Jej przyjaciel Turki przystał na tę propozycję bez żadnego wahania. Szczerze mówiąc, odniosłem wrażenie, że poczuł ulgę.

Może trudno mu było wyobrazić sobie agentów CIA spacerujących po saudyjskim więzieniu o zaostrzonym rygorze. Kto wie, może w jednej z cel mogliśmy się natknąć na ich rodaka, Osamę Bin Ladena?

Skoro sugerowaliśmy sobie, co należy zrobić, zabrałem głos: - Zanim Ibn Pasza się złamie, może upłynąć dużo czasu. Wiem, że jesteście bardzo zajętymi ludźmi. Pozwólcie, że zajmę się tym razem z Bian. Zawiadomimy was, gdy się czegoś dowiemy.

Chociaż wszyscy byli pod wrażeniem mojej rozwagi, nikt nie uznał tej propozycji za dobry pomysł.

Moja uwaga poruszyła problem, którego każdy unikał. Mieliśmy poważny problem z wzajemnym zaufaniem: szejek nie ufał nikomu, ja nie ufałem Phyllis, a ta nie darzyła zaufaniem Waterbury'ego. Z kolei Waterbury nie potrafił wypowiedzieć słowa „zaufanie”, a Bian chowała asa w rękawie. Nie zaprzeczam, że padło wiele fałszywych uśmiechów i zapewnień, lecz gdybyśmy siedzieli przy pokerowym stoliku, każdy trzymałby na kolanach odbezpieczony pistolet i z pewnością doszłoby do rozlewu krwi przed zgarnięciem puli.

Odniosłem wrażenie, że Phyllis i Turki Al-Fajef czują się lekko skrępowani obecnością Bian i mnie. Kto mógłby mieć im to za złe? Gwałciciele nie lubią prowadzić pogaduszek ze swoimi ofiarami.

Waterbury zachowywał się, jak na niego przystało - facet nie miał najmniejszych wątpliwości natury moralnej, w swoich regulaminach nie wyczytał też, że powinno być inaczej. Oczywiście nie czyniło go to złym facetem, lecz było przerażające.

Phyllis wyszła najwcześniej, jak to było możliwe, twierdząc, że musi odwiedzić szefa placówki w Bagdadzie, aby omówić z nim jakieś „ważne kwestie”.

Szejek opuścił nas zaraz po niej, przypuszczalnie w celu znalezienia pięciogwiazdkowego hotelu z lepszą klimatyzacją i obsługą.

Na koniec zostawił nas Waterbury, nie informując, dokąd się udaje. W raporcie, który otrzymałem od CIA, ostrzegano przed porwaniami w Bagdadzie, więc... skrzyżowałem palce i

czekałem w nadziei.

Bian i ja otrzymaliśmy rozkaz pozostania na pokładzie samolotu i pilnowania Abdula do czasu przyjazdu żandarmerii wojskowej i przetransportowania go do więzienia Abu Ghraib.

Postanowiliśmy przejść do kuchni, gdzie w lodówce znaleźliśmy duży zapas świeżej bologna. Oboje ze zdumieniem stwierdziliśmy, że idealnie nadaje się na tę okazję - wiecie, indyk na Święto Dziękczynienia, gotowane ziemniaki na świętego Patryka, bologna po tym, jak zostałeś okłamany i wydupczony. Zrobiliśmy sobie kilka kanapek - ja posmarowałem swoją majonezem, ona musztardą - a następnie zasiedliśmy do obiadu przy dużym stole konferencyjnym.

Zabraliśmy ze sobą cztery ostatnie piwa. Oczywiście, taka ilość nie wystarczyła do tego, aby się upić, lecz byliśmy już lekko zamroczeni własną bezzadnością.

W ten sposób zostaliśmy sami i mieliśmy pierwszą okazję, aby porównać wrażenia.

Zaczęła Bian.

- Musiałeś wysłuchać kazania, co?

- Założę się, że twoje było gorsze.

- Gadanie Waterbury'ego mnie nie wzrusza - odpowiedziała z uśmiechem. - To wielki chwalipięta. Wystarczy trzymać go na dystans. Rób to, co ja - po prostu go wyłącz.

- Kiedy mówiłem, abys nikogo nie zastrzeliła, nie miałem na myśli jego.

Uniosła palec wskazujący, udała, że naciska spust, i roześmiała się.

- Wyciągnęli nam dywan spod nóg, Bian.

- Jesteś zaskoczony? Czyżbyś wierzył, że pozwolą nam doprowadzić tę sprawę do końca?

- Tak, oczywiście wyłącznie z niewłaściwych powodów.

- No cóż... wstydz się.

- Co ty wygadujesz?

- Wiesz, jestem zdenerwowana. Czuję się rozczarowana. Nie kryję tego. Chcę tylko powiedzieć... słuchaj, teraz kiedy zrozumieliśmy, co się dzieje, kiedy poznaliśmy wagę i zasięg tej sprawy... mam nadzieję, że to, co powiem, nie zabrzmii cynicznie... nie sądzę, aby pozwolili nam poznać całą prawdę.

- Czy nie znaleźliśmy się tu z powodu twojego nalegania?

- A mieliśmy wybór? Odkryłeś, że główne uzasadnienie tej wojny może być wielkim kłamstwem, że nasz kandydat na kolejnego króla tego kraju mógł zdradzić naszym wrogom bezcenną tajemnicę. Miałaś okazję, aby poznać prawdę i być może uczynić coś w tej sprawie.

Czy w takiej sytuacji mogłeś powiedzieć „nie”? - Ścisnęła moją rękę i dodała: - Nie mieliśmy wyboru. Od chwili, gdy weszliśmy do mieszkania Cliffa Danielsa, musieliśmy zrobić to, co zrobiliśmy, z powodu tego, kim jesteśmy. Musieliśmy też usłyszeć rozkaz, aby na tym poprzestać.

- Nie masz z tym problemu?

- Jestem żołnierzem. Wykonuję rozkazy.

- Nie o to cię zapytałem. Nie masz z tym problemu?

- W porządku... Mam depresję. Czuję się sfrustrowana. Odczuwam odrazę do własnego rządu. - Po chwili zwierzyła się: - Dam sobie z tym radę. Musisz znaleźć własny sposób, aby sobie poradzić.

Uległe gładzenie było ostatnią rzeczą, której oczekiwałem od panny Chojrackiej. W

końcu znaleźliśmy się tutaj z powodu jej uporu. Cóż, w ciągu ostatnich dni popełniłem wiele błędów. Na dodatek, podobnie jak trzy miliardy innych samców żyjących na tej planecie, nie znałem się szczególnie dobrze na kobietach.

Po dłuższej przerwie wypełnionej rozmyślaniami zapytała:

- Jakie polecenia dotyczące Charabiego przekazała ci Phyllis?

- Charabi nie istnieje. Był jedynie tworem mojej wyobraźni. Co powiedział ci Waterbury?
- Coś w tym rodzaju. A przeciek w wywiadzie?
- Jedna sprawa nie istnieje bez drugiej. Oprócz tego Phyllis zachowała wszystkie ważne e-maile.

- Słusznie. Wspomniała o zamknięciu dochodzenia w sprawie zamordowania Cliffa Danielsa? Spojrzałem na nią.

Odwróciła wzrok, robiąc niewinną minę.

- Zapytałam, bo Waterbury nic na ten temat nie powiedział. Sączyliśmy piwo, gdy nagle jak grom z jasnego nieba rozległ się dźwięk głośnej eksplozji. Żyrandol zadrżał i zakołysał się - walnęło bardzo blisko domu. Autostrada łącząca Bagdad z lotniskiem była słusznie nazywana Aleją Samobójców i wyglądało na to, że zamachowiec-samobójca właśnie kogoś załatwił. Może Waterbury'ego. Mielibyśmy wielkie szczęście.

Bian bez słowa ustawiła telefon głośno mówiący na środku stołu konferencyjnego.

Wykręciłem numer Waszyngtonu, podałem numer sympatycznej operatorce i po kilku sygnałach usłyszałem znajomy pomruk detektywa Barry'ego Endersa.

- Chryste... co za pieprzony miesiąc. Jeśli nie dzwonią w sprawie morderstwa, z pewnością za chwilę to zrobią.

Przedstawiłem się i poinformowałem Endersa, że obok mnie jest Bian i przysłuchuje się naszej rozmowie przez głośniki.

- Chcielibyśmy zapytać o postępy śledztwa. Po chwili milczenia Enders zapytał:

- Jakiego śledztwa?

- Barry, to ja - odparła lekko poirytowana Bian. - Nie zbywaj nas byle czym.

- Kto tu kogo olewa? Wczoraj miałem na karku całą gromadę federalnych. Zabrali wszystko... nadzór nad sprawą... dziennik miejsca popełnienia przestępstwa... moje notatki...

próbki z laboratorium. Nawet wydarli mi strony z notatnika. Nie mów mi, że o tym nie wiedzieliście.

Wymieniliśmy ze sobą zatroskane spojrzenia. Nic dziwnego, że Phyllis i Waterbury nie odczuwali potrzeby, aby uprzedzić nas o tej operacji. Dranie. Inteligentni dranie.

- Dzwonicie o tej porze, aby załagodzić sytuację? O co chodzi? To jakaś podpucha, aby sprawdzić, czy...

- Barry - przerwałem. - O niczym nie wiedzieliśmy.

- Taak... akurat.

- Kto podpisał rozkaz?

- Departament Sprawiedliwości. Kazano mi o wszystkim zapomnieć. Ci faceci to prawdziwe dupki.

- Z twojego punktu widzenia sprawa nadal pozostaje otwarta, prawda? Śmierć człowieka w obrębie twojej jurysdykcji... czy twoim obowiązkiem nie jest ustalenie przyczyny zgonu?

- To nie tak, Drummond. Federalni podyktowali mi raport końcowy i koniec pieśni.

Oczywiście znałem procedury i oboje wiedzieliśmy, że sonduję sprawę. Odpowiedź brzmiała - odpieprz się.

- Czemu się tym przejmujesz? - zapytał. - Przecież sam nalegałeś, że to było samobójstwo. Wiesz co, mam przecucie, że federalni dojdą do podobnego wniosku. -

Zaśmiał się.

Bian zrozumiała, że mam problem z zachowaniem wiarygodności, więc powiedziała:

- Przekonałam go, aby zmienił zdanie. Widzę, że ty postąpiłeś podobnie. Teraz on...

oboje uważamy, że było inaczej. To było morderstwo.

- Słuchaj, myślę, że sprawa jest zamknięta...

- A gdybym ci podpowiedział, dlaczego ktoś zamordował Cliffa Danielsa? - zapytałem.

- Super. Dam ci numer agenta specjalnego Barneya Stanowitza. To potworny dupek o złych manierach. Mam jego wizytówkę w biurze. - Po krótkiej przerwie zdradził mi w zaufaniu: - Powiedział, że powinienem go natychmiast zawiadomić, gdyby ktoś wypytywał o tę sprawę.

- Daj mi minutę, Barry. Jedną minutę - powiedziałem idąc za głosem przeczucia co do osoby Barry'ego Endersa. - Później podejmiesz decyzję, co z tym zrobić.

Zawahał się, co było złym znakiem.

Skinąłem Bian, która potrafi być znacznie bardziej przekonująca ode mnie.

- Barry, jesteś inteligentnym facetem. Myślę, że wiesz, co jest grane. Zacierają ślady.

Spiskują. Nie wiesz, dlaczego i może wcale nie zależy ci na tym, aby się dowiedzieć. Z drugiej strony podejrzewam, że nie jest ci to obojętne.

Spojrzelismy na siebie. Żadnej odpowiedzi.

- Proszę, Barry - powiedziała Bian.

- W porządku... dam wam jedną minutę. Drummond, gadaj, o co chodzi.

Było to coś mniejszego od zobowiązania, lecz większego od odłożenia słuchawki.

- Mogłem wprowadzić cię w błąd w sprawie kłopotów, w których znalazł się Daniels.

- To poważna sprawa. Nie uczyli cię na prawie, że nie można okłamywać gliniarzy?

- Daruj mi te teksty, Barry. Jedna minuta. Obiecałeś.

- Jeśli chcesz minutę, musisz wyrażać się jaśniej.

- W porządku. Być może Cliff Daniels dopuścił się zdrady, przekazał ważne informacje złym ludziom w Iraku i naraził na szwank bardzo ważną operację. Byłeś ciekaw, co w jego mieszkaniu robi CIA i żandarmeria wojskowa. Teraz już wiesz. Szpiegostwo.

Zapanowała długa cisza.

- Mój najstarszy syn, Elton, służy w piechocie morskiej. W Pierwszej Dywizji Piechoty Morskiej. Już wcześniej był w Iraku na jednej zmianie. - Po chwili wspomniiał: -

Zanim zostałem gliną, przez cztery lata służyłem w marines. *Semper Fi*.

- Nie mogłeś zostać w wojsku?

- Próbowałem. Powiedzieli, że uniemożliwiają to dwie rzeczy: moi rodzice zawarli związek małżeński i nie wyglądam wystarczająco głupio.

- To dziwne. Jak dla mnie wyglądasz na tęgiego głupka. Obaj roześmialiśmy się.

- W porządku. Dam ci więcej niż minutę.

Przedstawiłem mu fragment historii: Danielsowi odbiło i przekazał obcemu agentowi pewne informacje, chociaż nie wiemy jakie, ponieważ wiadomość została zaszyfrowana i nie udało się nam złamać zabezpieczeń. Nie wyjaśniłem mu też, jak się tego dowiedzieliśmy.

Enders był jednak bystrym gościem. Wiedział, że od urzędnika federalnego nie dowie się więcej niż jednej trzeciej prawdy, kolejna jedna trzecia to fakty pomieszane z fikcją, a ostatnia - kompletne bzdury. Dostarczyłem mu jednak wystarczającej ilości faktów, aby dopowiedział sobie resztę. Swoją wypowiedź zakończyłem słowami:

- Brakuje najważniejszego elementu. Motywu. Dlaczego ktoś chciał zamordować Cliffa Danielsa. Szczerze powiedziawszy, listę tych, którzy nie chcieli jego śmierci, można by zmieścić w pudełku zapalek. W Waszyngtonie i Bagdadzie są ludzie, którzy odnieśli by wielką korzyść z jego śmierci. Jesteśmy pewni, że zabójcą była kobieta. Być może ktoś zlecił

jej to zadanie, chociaż nie można wykluczyć, że działała samodzielnie.

Przez chwilę Barry nie powiedział ani słowa. Potrzebował czasu, aby przemyśleć te wskazówki i objawienia.

- Czego ode mnie oczekujecie?

Najwyraźniej Bian już to przemyślała, bo natychmiast odpowiedziała:

- Teraz wiesz, że popełniono morderstwo. To upraszcza sprawę. Skoncentruj się na poszukiwaniu zabójcy.

Kiedy nie odpowiedział, dodała:

- Pułkownik Drummond uważa, że wszyscy mordercy popełniają błędy. Jesteś podobnego zdania?

- Taak, większość. Ale mamy też gruby plik nierozwiązanych spraw sięgających tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Ciekawe, czy uda ci się go przekonać, by się nimi zajął. Z chęcią dowiedziałbym się, jakie błędy popełnili ich sprawcy.

- Zabójca mógł pozostawić jakieś ślady - nalegała Bian. - Pomyśl o drogiej peruce.

Była pewnie jej własnością. Peruki nie są już w modzie. Ile sklepów w Dystrybucji Columbii sprzedaje drogie peruki? A taśma z filmem pornograficznym... założyliśmy, że był jego własnością, lecz mogliśmy się mylić. Ile sklepów w okolicy sprzedaje pornosy? - Spojrzałem na Bian. - Czy nie mówię o sprawach oczywistych?

- Taak. Robię takie rzeczy, aby zarobić na życie. Zapomniałaś, że w dzisiejszych czasach ludzie kupują peruki i filmy porno za pośrednictwem Internetu. Sprawdziłem wszystko.

Bian popatrzyła na mnie, aby się przekonać, czy nie mam czegoś do dodania.

- Musieli spotkać się wcześniej raz lub dwa - zasugerowałem. - Iść na randkę, uprawiać seks, cokolwiek. Sprawdź, za co płacił kartą. Gdzie ostatnio się bawił? Może ktoś ją zapamiętał.

- Strzał w ciemno. Wiemy, że facet miał wiele znajomych, prawda? Skąd będziemy wiedzieli, o którą chodzi?

- W tej sprawie są same strzały w ciemno, Barry.

- Czyżby wyczerpały ci się dobre pomysły? Przedstawiłem mu moją nową teorię, że morderstwo było bardziej wyrafinowane, niż początkowo sądziliśmy. Podsunąłem kilka symbolicznych znaczeń kryjących się w takim zainscenizowaniu jego śmierci.

- Mógłbyś pomyśleć, co morderca chciał w ten sposób zakomunikować. Jeśli jakiś specjalista od wizerunku psychologicznego jest ci winien przysługę, zadzwoń do niego. Gdy dowiemy się, jak został zabity, być może odkrywamy, dlaczego i przez kogo.

- Zdajesz sobie sprawę, że muszę to wszystko robić w prywatnym czasie?

- Lepiej, aby właśnie tak było. Uważaj na siebie.

- Już to wykombinowałem. Jeśli coś znajdę, jak mam się z wami skontaktować?

- Nie rób tego. Sam zadzwonię.

- Zrozumiałem. Co wy dwoje robicie w Bagdadzie?

- Wyjechaliśmy na wakacje.

- Daj spokój! To ma coś wspólnego ze śmiercią Danielsa, prawda?

- To najwspanialsza rzecz w turystyce przygodowej. Reklamują imprezę jako safari, a na miejscu okazuje się, że jesteś zwierzyną. Bardzo ekscytujące.

Zaśmiał się.

- Mój chłopak, Elton, powiedział, że w Iraku jest do dupy.

- Twój chłopak ma głowę na karku.

- Powiem wam, że kiedyś był dupkiem. Nie wszystkie dzieciaki gliniarzy to anioły.

Armia wskazała mu właściwą drogę. - Zachichotał. - Kiedy po raz pierwszy pościelił swoje łóżko, jego matka była ciekawa, kto wyprodukował robota, który wygląda jak jej dziecko.

- Posłuchaj, Barry. Jeśli nie chcesz, aby Elton spędził tam resztę służby, znajdź coś.

- Będziemy w kontakcie - powiedział i odłożył słuchawkę. Bian uniosła puszkę w geście cichego toastu.

- Zapomnieli zamknąć tylne drzwi - rzekła.

- Nie zapomnieli. Ci ludzie nie są głupi, Bian. Nie zapomnieliby o czymś takim.

- Wiem. Co się stanie, jeśli go przyłapią?

- Nic mu nie będzie. To duży chłopiec. Wie, co ryzykuje.

- Jesteś tego pewien?

- Nie jest pracownikiem federalnym, więc nie mogą go pozbawić wypłaty lub... przenieść w inne miejsce. Natomiast ty i ja możemy mieć poważny problem.

- Chrzanić ich.

- Dlaczego to robisz, Bian? - Zadałem to pytanie całkiem nieoczekiwanie, uważnie obserwując, jak zareaguje.

Nawet nie mrugnęła.

- Obowiązek, honor, ojczyzna. To proste.

- Wykonywanie rozkazów to ważny element obowiązku, a ojczyznę można rozumieć na wiele sposobów. Coś przede mną ukrywasz, Bian. Chciałbym wiedzieć co.

- Czy nie jest to oczywiste?

- U ciebie nic takie nie jest.

- Czy to krytyka pod moim adresem? Ująłem ją za rękę i powiedziałem:

- Nie, to nie krytyka. Jesteś bardzo fascynującą, nieprzewidywalną i interesującą kobietą. W ciągu trzech ostatnich dni, mimo wszystkich trudności, świetnie się bawiłem.

Mówię serio. Ale od chwili, gdy cię poznałem, czułem, że masz w tym jakiś cel.

- Wspominasz o tym po raz drugi. Stajesz się nudny. Dlaczego twoim zdaniem to robię?

- Chodzi o coś więcej od prawdy, sprawiedliwości lub amerykańskiego stylu życia. To dla ciebie sprawa osobista. Nie wiem tylko, dlaczego to robisz.

Pociągnęła łyk piwa i spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

- To czysta obłuda. Towarzyszyłeś mi przez cały czas. Czy ktoś przystawił ci pistolet do głowy?

- No cóż... choćby Ali Ibn Pasza.

- Daj spokój. Dlaczego walczysz z systemem? Wiem, że nie robisz tego, aby się ze mną przespać.

- Słuchaj, to był cios poniżej pasa.

Uśmiechnęła się z grzeczności, słysząc mój kiepski dowcip.

- Przecież ci powiedziałam - odparła. - Straciłam tu przyjaciół i żołnierzy. Chciałabym położyć kres tej wojnie, lecz wiem, że skandal mógłby zniszczyć wszystko, co udało się osiągnąć dzięki potowi i krwi naszych chłopców. Nie zamierzam tego zrobić. Mam nadzieję, że ty również. Z drugiej strony jestem gotowa zaryzykować własną karierę, aby zmusić tych drani do naprawienia tego, co zrobili. Ludzie tracą na tej wojnie życie i zdrowie.

- W porządku. Wierzę ci.

- Lepiej, aby tak było. Przestań poddawać mnie psychoanalizie. Źle się z tym czuję.

Wypiłem łyk piwa.

- Wiem, że jesteś typem cynicznego twardziela i nigdy nie przyznasz się do tego, że robisz coś z altruistycznych pobudek. Wiem też, że to tylko pozory, że w środku możesz być większym frajerem

ode mnie i podobnie jak mnie zależy ci na dojściu do prawdy.

Nagle, całkiem nieoczekiwanie, dodała:

- Wezmę jeszcze jeden prysznic. Kiedy byłam *tu* na poprzedniej zmianie, czasami przez kilka tygodni byliśmy pozbawieni tego luksusu. Nienawidziłam braku wody równie mocno jak myśli, że mogę zostać postrzelona. To miło, że teraz dla odmiany mogę czuć się czysta w tym kraju.

Kobiety mają prawdziwego bzika na punkcie higieny osobistej. Wiecie, dla faceta miesiąc bez prysznic i konieczności golenia się to niezłe wakacje. W jej słowach kryło się zaproszenie, nie byłem tego jednak do końca pewny. Popatrzyła na mnie odrobinę za długo, a następnie wstała i wyszła.

Otworzyłem drugą puszkę piwa i wyjrzałem przez okno samolotu. „To miło, że teraz dla odmiany mogę czuć się czysta w tym kraju”. Słowa Bian nie dawały mi spokoju.

Wypowiedziała je w sensie dosłownym i być może nie kryły w sobie drugiego dna, jednak po przepytaniu tysięcy przestępów i świadków wiedziałem, że dzięki umiejętności, szczęściu lub przypadkowi człowiek dostaje czasami freudowski prezent, dlatego należy zachowywać ustawiczną czujność. Bywa, że słowa nie kryją żadnych głębszych treści i kręcisz się w kółko.

Bywa też i tak, że przypominają włącznik, po którego naciśnięciu znika mrok, a przynajmniej w kącie pokoju zapala się światło.

No tak. „To miło, że teraz dla odmiany mogę czuć się czysta w tym kraju”. Co znaczyły te słowa? Przeżyła w Iraku coś traumatycznego i nie chce o tym rozmawiać. Coś, co budzi w niej żal i zapewne głęboki smutek.

Nie podejrzewałem Bian o nieuczciwość. Wręcz przeciwnie, byłem pewny, że kieruje się zasadami. Z osobistego doświadczenia wiedziałem, że gdy zderzy się ze sobą kilka zasad, jedna musi ustąpić miejsca drugiej.

Uderzyło mnie, że nie była naiwnym lub nadmiernie wojowniczym osieroconym dzieckiem, jakim się czasami wydawała. Z perspektywy czasu uznałem, że to, co uważałem za łatwowierność, uległość i przesadną chęć pomocy, mogło być czymś więcej.

Wszyscy, którzy wykonują tę robotę, mają jakiś cel - nacjonalistyczny lub instytucjonalny - a każdy cel kryje konkretny motyw: namiętność, głupotę, obsesję, cierpienie, intrygę, przygodę lub, w nielicznych sytuacjach, zwyczajną ambicję lub konieczność krycia własnego tyłka. U Bian - niezależnie od powodu - było to coś osobistego, a kiedy człowiek miesza sprawy osobiste z zawodowymi, pojawiają się poważne problemy.

Usłyszałem dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi do prysznic.

Nie była to moja wojna, lecz wojna Bian i to na długo przedtem, zanim się poznaliśmy. Wszyscy starzy żołnierze wiedzą, że wojna staje się sprawą osobistą nie z powodu wniesionych frazesów lub nakazów globalnych. Nie czyni tego nawet fakt, że do ciebie strzelają. Człowiek wyrusza na wojnę, ponieważ dostał taki rozkaz, lecz wkłada w nią serce i duszę z całkiem innego powodu. Z racji więzi, która go z kimś łączy - więzi z towarzyszem broni, człowiekiem, z którym wspólnie naraża życie i o którego się troszczy. Ma na dzieję, że jego uczucia zostaną odwzajemnione.

Wspólny prysznic z Bian pozostał złym pomysłem. Byłem pewny, że ona również to wiedziała. Z kolei jej poszukiwania stały się moimi.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Bian i ja siedzieliśmy na twardych szpitalnych krzesłach, obserwując naszego arabskiego pacjenta, który do tej pory nie odzyskał przytomności. Minęły trzy dni od czasu, gdy doktor Enzenauer zalecił, aby dać Ibn Paszy trochę czasu na powrót do zdrowia, zanim zaczniemy wyciskać mu mózg jak węgier. Zdaniem Enzenauera jego stan był raczej skutkiem podawanych leków i środków

przeciwbólowych niż pooperacyjnej traumy. W każdym razie przedstawił nam długie, szczegółowe wyjaśnienie przyczyn zaistniałej sytuacji. Nie proście, abym je tu przytoczył.

W każdym razie gdy oddział żandarmerii wojskowej przewiózł Abdula Almiriego do Abu Ghraib, Bian złapała okazję do Bagdadu i została tam przez dwa dni.

Nie mówiła nic na ten temat, a ja nie pytałem.

Założyłem, że pojechała na spotkanie z narzeczonym - Wspaniałym Markiem - i pewnie dlatego nie poprosiła, abym jej towarzyszył. Przypomniałem sobie, że kiedyś wspomniała, iż on i ja mamy wiele wspólnego. Wynikało stąd, że moglibyśmy zostać kumplami, nie byłem jednak tego pewny. Wicie, obaj widzieliśmy ją naga, co nie sprzyja rozwiązaniu przyjacielskiej więzi między facetami.

Jeśli was to ciekawi, spędziłem te dwa dni na pokładzie samolotu, utrzymując kontakt z centralą i oglądając reklamówki wyborcze nadawane w telewizji kablowej - czytaj, omal nie zanudziłem się na śmierć.

Podobnie jak wcześniej, sondaże poparcia wskazywały, że elektorat pogrzyżył się w typowej dla tej fazy wyborów przerażającej obojętności. Jeden z ekspertów ujął to w następujący sposób: w wyścigu biegło już tylko dwóch facetów - jeden był zbyt głupi, aby przeliterować słowo

„zasady”, chociaż utrzymywał, że ma ich wiele, a drugi zbyt obficie rzucał mięsem i przez całe życie nie zarobił ani dolara w sektorze prywatnym, a teraz ożenił się z miliarderką mówiącą z dziwnym akcentem, co nie przeszkadzało mu pozować na przywódcę zwykłych obywateli, ludzi uciśnionych, gatunków zagrożonych i innych, którzy nie mieli dość szczęścia, aby bogato się ożenić. Demokracja to wspaniała rzecz. Mają ją także w Iraku.

Poważnie.

Nie obejrzałem ani jednego materiału ani nawet krótkiej wzmianki o śmierci Clifforda Daniela. Mój zaprzyjaźniony biograf mawiał: „Kiedy umiera człowiek, historia jego życia przestaje być jego własnością”. Najwyraźniej opowieść o życiu tego smutnego, małego gnojka stała się własnością facetów, którzy siedzieli nad nią po godzinach z dużą gumką. To bardzo ironiczne, jeśli głębiej się nad tym zastanowić. Przez całe życie Cliff pragnął władzy i sławy. Gdy jego marzenie w końcu się spełniło, prawie nikt się o tym nie dowiedział.

Drugiego dnia pojawiła się załoga samolotu, aby włączyć silniki. Pragnąc przerwać bolesną monotonię mojej egzystencji, wyzwalałem ich na turniej szachowy. Na szczęście odmówili. Więcej szczęścia miałbym pewnie w pokerze, niestety tamtym lepiej szła karta i ograli mnie na dwieście dolców. Dranie oszukiwali. Ja też oszukiwałem, lecz oni byli lepsi.

Bian powróciła wczesnym rankiem trzeciego dnia, nie wspominając ani słowem o tym, gdzie i jak spędziła dwa dni w Bagdadzie. Wyczułem u niej nowy nastrój spokojnego zadowolenia połączony z postawą serdecznej rezerwy wobec mojej osoby. Pomyślałem, że widocznie rozwiązała konflikt wewnętrzny związany z wyborem pomiędzy Markiem i Seanem. Nie powiem, że byłem tym nadmiernie podekscytowany.

Teraz trąciła mnie łokciem i powiedziała:

- Sean, myślę, że on się budzi.

Spojrzałem na Alego Ibn Paszę i zauważyłem, że kilka razy zamrugał. Ponieważ sam dwukrotnie znajdowałem się w podobnym położeniu, wiedziałem, jakie myśli przychodzą mu do głowy.

Na początku człowiek przypomina sobie ostatnie chwile świadomości - obrazy i myśli powracają tak, jakby zostały utrwalone na taśmie wideo: dostałeś kulę, boli cię jak diabli, wiesz, że możesz umrzeć, czujesz ogarniającą cię falę mdłości, pograżasz się w mroku i myślisz, że... to koniec.

Jego zakończenia nerwowe i synapsy zaczęły przekazywać nieoczekiwane doznania.

Wyciągnął ręce i dotknął twarzy. Potarł trzydniowy zarost, przesunął ręką po nosie i oczach,

upewniając się, że nadal przebywa w swojej cielesnej powłoce, wciąż oddycha i żyje.

Spojrzał jedynym zdrowym okiem na kroplówkę przyczepioną do ramienia i rozejrzał się wkoło. Leżał na łóżku, jego ciało przykrywało białe prześcieradło, a ktoś nieznajomy -

Bian - bacznie go obserwował. Z wyrazu jego twarzy wyczytałem, że pojął, iż kobieta w wojskowym mundurze nie jest jedną z legendarnych hurys przybyłych, aby uczcić jego męczeńską śmierć.

Później jego wodzące po pokoju czarne oko dostrzegło mnie.

Odchrząknąłem.

- Znajdujesz się w amerykańskim szpitalu polowym w Bagdadzie - poinformowałem go. - Jestem pułkownik Drummond, a to major Tran.

Patrzył na nas, nie mówiąc ani słowa.

- Wiemy, że współpracujesz z Zarkawim, wiemy też, że jesteś... byłeś jego skarbnikiem. Jako taki nie jesteś jeńcem wojennym, lecz międzynarodowym terrorystą, któremu nie przysługuje ochrona konwencji genewskich. - Pochyliłem się niżej. -

Zrozumiałeś, co powiedziałem?

Jego twarz pozostała niewzruszona.

- Zrozumiałeś - poinformowała go Bian. - Wiemy, że znasz angielski. Wiemy o tobie bardzo dużo.

Tak też faktycznie było dzięki uprzejmości szejka Turkiego Al-Fajefa, który zgodnie z obietnicą dzień wcześniej dostarczył nam to, co pozostało z obszernej niegdyś teczki Alego.

W ten sposób dowiedzieliśmy się wiele na temat jego życia osobistego i nic na temat jego życia zawodowego, co było pomocne, lecz nie aż tak bardzo. Bian dała mu chwilę do zastanowienia, a następnie powiedziała:

- Wiemy, że pochodzisz z Dżuddy w Arabii Saudyjskiej. Twój ojciec nazywa się Fajd, a matka Ajda. Ojciec zajmuje się sprowadzaniem luksusowych samochodów i zbił na tym duży majątek. Masz sześciu braci i ani jednej siostry.

- W latach tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt-dziewięćdziesiąt jeden studiowałeś w Balliol College w Oksfordzie. Na egzaminie wstępnym twój angielski oceniono jako znakomity. Na egzaminie pisemnym po pierwszym roku wybrałeś poezję Johna Milтона.

Nie zareagował nawet na tę odkrywczą uwagę. Musiałem jakoś wstrząsnąć gościem, więc powiedziałem:

- Czytałem twój esej. Powiem szczerze: uznałem go za niedojrzały, napuszony i arogancki. Nie potrafisz odróżnić jambicznego pentametru od pizzy. Zupełnie nie zrozumiałeś intencji Milтона.

Oczekiwałem tego po niedouczonej, zacofanej handlarzu wielbłądów.

Byłem pewny, że moje prostackie oszczerstwa go zirytowały - taki też miałem zamiar

- lecz jego twarz pozostała niewzruszona. Przyszła kolej na Bian.

- Pułkownik stracił tu przyjaciół. Nie jest... trudno go uznać za miłośnika kultury arabskiej.

Kobiety mają szósty zmysł i świetnie wiedzą, co działa facetom na nerwy. Bian dawała mi w ten sposób do zrozumienia, abym kontynuował ten temat.

- Ludzie, którzy podcierają się ręką, są pozbawieni kultury. Potrafią produkować broń chemiczną i bomby, a nie wiedzą, jak wyprodukować papier toaletowy? - Spojrzałem pogardliwie na Alego Ibn Paszę i zapytałem: - Wiesz, jak Arabowie uprawiają bezpieczny seks? - Najwyraźniej tego nie wiedział, więc wyjaśniłem: - Oznaczają wielbłądy, które wierzgają.

Ibn Pasza wydał taki dźwięk, jakby się krztusił. Pomyślałem, że stara się odchrząknąć lub wydusić coś przez ściśnięte gardło. Bian pochyliła się.

- Och... pewnie zaschło ci w gardle. - Na stoliku obok łóżka znalazła szklankę i dzbanek z wodą, napełniła i przytknęła mu do ust. - Masz. Pij.

Pociągnął kilka małych łyków i zakaszał. Bian ponownie podsunęła mu szklankę do ust i wypił trochę więcej. Kiedy ją cofnęła, Ibn Pasza spojrział na mnie i odzyskał głos:

- Zgnijesz w piekle.

Wreszcie udało się nam coś ustalić.

- Żyjesz tylko dzięki łasce Allaha.

- Bredzisz. Za wolno naciskałeś spust, kolego. Każdy amerykański dzieciak zdołałby uciec.

- Jeśli otrzymam jeszcze jedną szansę, zabiję cię. Przymrużone oczy wyczytałem, że nie przypadło mu to do gustu.

- Nie daj się sprowokować - poradziła Ibn Paszy Bian. - Przeszedłeś poważną operację. Nie pozwól, aby cię zdenerwował.

Saudyjczyk zignorował ją i oznajmił:

- Nie rozmawiam z amerykańskimi dziwkami. Nie pozwól, aby mnie dotykała.

Powiedz tej niewiernej suce, aby zesłała mi z oczu.

Bian pochyliła się nad nim.

- Pieprz się. - Wzięła zamach, lecz chwyciłem ją za rękę, zanim zdążyła go uderzyć.

Gra w dobrego i złego gliniarza dobiegła końca. Teraz mieliśmy dwóch złych gliniarzy i jednego złego więźnia. Facet miał najwyraźniej problem z Amerykankami. Mogło mieć to związek z religijnymi lub kulturowymi uprzedzeniami, lub Ali Ibn Pasza miał brzydki freudowski kompleks związany z własną matką. Mógł też lubić chłopców albo dziewczęta nigdy nie odwzajemniły jego uczuć, został więc terrorystą i morderczym dupkiem.

- W amerykańskich więzieniach pracuje wiele strażniczek - poinformowałem Ibn Paszę. - Będą ci rozkazywać, obserwować, jak robisz siusiu, i co jakiś czas przeprowadzać rewizję osobistą, aby sprawdzić, czy nie ukryłeś czegoś w tyłku. Lepiej do tego przywyknij.

Spojrzał na mnie.

- Jesteś na ziemi Arabów. Powiem ci, jak należy się zachowywać, a ty będziesz przestrzegał moich obyczajów. Odeślij ją.

Pomyślałem, że trzeba facetowi przytrzeć nosa i wiedziałem, jak to zrobić.

Nachyliłem się nad nim.

- Wiesz co, Ali? Byliśmy razem w Mogadiszu. - Dostrzegłem w jego oczach iskierkę zainteresowania. - Słuchaj, moglibyśmy wstąpić do tej samej organizacji dla weteranów, nosić durne czapeczki i całymi dniami opowiadać zmyślane historyjki wojenne. Co ty na to?

Spojrzał na mnie w taki sposób, że pomyślałem, iż nie rozumiał części o śmiesznych czapczkach.

- Powiedziałem o tym... tylko dlatego... że mam ci do opowiedzenia wspaniałą historię

- kontynuowałem. - Jaki mały jest ten świat. Mój kumpel służył w Mogadiszu jako pilot helikoptera. Pamiętasz helikoptery Apache? Duże paskudne bestie uzbrojone w pociski raketowe i karabiny maszynowe, które psuły wam każdy dzień?

Ali Ibn Pasza przyglądał mi się z zainteresowaniem graniczącym z przejęciem.

- Pewnego dnia Mike... tak miał na imię mój kumpel... pewnego dnia Mike wrócił z akcji i przysiadł się do nas, gdy sączyliśmy piwo i żartowaliśmy ilu dupków sprzątnęliśmy.

Facet przysiągł, że widział Araba... twierdził, że... słuchaj, wiesz, jacy są piloci? No, możesz tego nie wiedzieć. Zaufaj mi, Ibn Pasza, ci faceci to tacy picerzy, że są gotowi popełnić ciężki grzech, aby móc o nim opowiadać swojemu księdzu... Na czym to skończyłem? A tak, Mike...

ten Mike przysięgał, że odpalił raketę, która oderwała nogę jakiemuś Arabowi.

Uśmiechnąłem się do Bian.

- Wszyscy gadali o tym przez okrągły tydzień. Arab Achab... Ali Baba i czterdziestu jednożonnych rozbójników... szejka „gdzie jest kurna moja noga”.

Bian roześmiała się.

Ibn Pasza wyglądał na lekko poirytowanego.

- Słuchaj... chyba to nie byłeś ty? - zapytałem. - Wiesz, Mike zrobił tamtemu amputację... a ty nie masz nogi... jakie jest prawdopodobieństwo, że to byłeś ty? -

Uśmiechnąłem się do niego.

Z typowo arabską nonszalancją odpowiedział:

- Allah kieruje naszym losem, jak mu się spodoba.

- Gadanie. To nie on cię okaleczył, kolego. Dokonała tego armia Stanów Zjednoczonych. Daj spokój, powinieneś okazać nam odrobinę uznania?

Przez chwilę przyglądał się mojej twarzy.

- Kiedy zostałem ranny w nogę, wiedziałem, że ją stracę. Poleciałem jednemu z moich, aby ją amputował bez żadnego znieczulenia. Posłuchaj, jankesie, chciałem poczuć ból, rozkoszować się tym uczuciem, aby nigdy go nie zapomnieć.

- Doskonale cię rozumiem. My musieliśmy tam pić ciepłe piwo. Cholernie nieprzyjemne.

Uśmiechnął się.

- Czy nie wygnaliśmy amerykańskich krzyżowców z Somalii? Czy nie zwiewaliście do domu, gdy zabiliśmy wielu waszych? Nie powinieneś się przechwalać Mogadiszu. - Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. - Osobiście zabiłem jednego amerykańskiego żołnierza i...

tak mi się to spodobało, że postanowiłem zabić ich więcej.

Dupek.

Odwrócił i spojrzał na Bian.

- Jesteś Wietnamką, prawda?

- Jestem amerykańskim żołnierzem.

- Nie, jesteś Wietnamką. Z Południa. Jestem pewien. Czyni cię to podwójną dziwką.

Oddajesz się amerykańskim mężczyznom i służysz w amerykańskiej armii, która zdradziła twój lud.

- Służę amerykańskiej konstytucji i nic ci do tego, z kim sypiam.

- Rozkładasz srośnie nogi przed białymi, którzy zabijali twoich rodaków. Nasze kobiety nigdy nie uczyniłyby czegoś takiego.

Poczułem, że w Bian wzbiera gniew, więc chwyciłem ją za rękę.

- Dokładnie przeanalizowałem wojnę w Wietnamie - kontynuował tonem aroganckiego profesora z college'u. - Zginęły miliony waszych. Kraj został zniszczony zmasowanymi bombardowaniami, lasy zatrute, pola ryżowe zaminowane, miasta starte z powierzchni ziemi. Kiedy Amerykanie ponieśli zbyt duże straty, uciekli jak tchorze, pozostawiając twój lud w cierpieniu i rozpacz. Podobnie będzie tutaj. *Inszallah*. Sama się przekonasz.

- Kiedy byłeś ostatnio w Wietnamie? - spytała po chwili Bian.

- Nie jestem zainteresowanym odwiedzaniem krajów niewiernych.

- To tłumaczy twoją ignorancję. Dzisiaj przy wietnamskich ulicach stoją bary McDonalda i luksusowe amerykańskie hotele. W kinach pokazują amerykańskie filmy. W

kraju działają amerykańskie firmy. Ostatecznie zawsze wygramy... za pomocą broni lub dolarów. - Uśmiechnęła się i powtórzyła: - Zawsze.

Nie wiem, co pomyślał, bo zachował to dla siebie. Odwrócił się w moją stronę.

- Widzę na twoim kołnierzyku znak prawnika.

- Bardzo dobrze. Jak rozumiem, studiujesz nasze podręczniki wojskowe. - Wskazałem na skrzyżowane pistolety pojedynkowe widniejące na kołnierzyku Bian i wyjaśniłem: - Skrzyżowane łyżki. Ona jest kucharzem.

Ktoś kopnął mnie w nogę.

- To ciekawe, że wasza armia wysyła kobiety i prawników do walki.

- Naprawdę? Czy nie ciekawsze jest to, że ruch, do którego należysz, wysługuje się jednookimi kalekami?

- Czytuję wasze gazety w Internecie. Wasza armia nie potrafi zachęcić młodych mężczyzn do tego, aby zostali żołnierzami. My nie mamy problemu ze znalezieniem mudzahedinów gotowych ponieść męczeńską śmierć dla dżihadu. Wasza młodzież jest zepsuta, dekadenska i tchórzliwa. Bawią się wojennymi gramami wideo i nie interesuje ich prawdziwa walka, w której mogą zginąć. - Po chwili dodał: - Wasz prezydent kłamał, a teraz nie może znaleźć nowych żołnierzy, którzy chcieliby przyjechać do Iraku.

- Nie wierz we wszystko, co wypisują w naszych gazetach - odpowiedziałem. - Może nie powinieneś wierzyć w nic, co tam piszą. Możemy wysłać przeciwko wam kucharzy i prawników. To dla nas pestka. Zastanów się, kto tu jest więźniem.

- Nie muszę. Wiem, że dokonali tego wasi najemnicy.

- Kto? Ach... oni... chór bezdomnych włóczęgów. Przyjechali tu na gościnne występy zorganizowane przez USO. Nudzili się, więc daliśmy im jedną noc wolnego, aby trochę się zabawili. - Mrugnąłem porozumiewawczo.

- Jesteś nędznym kłamcą.

- Nie, jestem prawnikiem.

Nie zrozumiał dowcipu zawartego w tych słowach.

- Analizuję wszystkie wasze poczynania. - Im dłużej pozostaniecie na naszych ziemiach, tym lepiej was poznamy i więcej zabijemy. W przeciwieństwie do was jesteśmy gotowi oddać życie za sprawę.

Spojrzelismy sobie w oczy.

- Właśnie dlatego tu jesteśmy. Aby pomóc wam umrzeć - powiedziałem.

- Tak, tymczasem sami giniecie. Wasz prezydent traci poparcie z każdą trumną odesłaną do domu. Macie na to urocze amerykańskie określenie - odgryźliście większy kawałek, niż możecie przełknąć...

Ta rozmowa zmierzała donikąd. Wypowiedzieliśmy nasze najlepsze kwestie, a teraz okazywaliśmy sobie jedynie wzajemną niechęć. Postanowiłem zmienić ton i temat tego dialogu.

- Przyszliśmy tu, aby zaproponować ci współpracę. Chcemy dostać Zarkawiego.

Pomożesz nam go znaleźć.

Roześmiał się.

Tak jak uzgodniliśmy wcześniej, Bian przypomniała mu:

- Za głowę Zarkawiego wyznaczono dwadzieścia pięć milionów dolarów. Oddałeś oko i nogę za sprawę. Nie uczynisz nic złego, jeśli to teraz spieniężysz. Zarkawi z pewnością spisał cię na straty i nie opłakuje twojego odejścia. Powinieneś się mu odwzajemnić.

- Powiedziałem ci, abyś się zamknęła, dziwko.

- Możemy to zrobić w przyjemny lub nieprzyjemny sposób - ostrzegłem go.

- Doprawdy? - Sprawiał wrażenie rozbawionego. - Jaki to nieprzyjemny sposób

przygotowaliście? Może więzienie Abu Ghraib, gdzie wasze dziwki będą wyładowywać na mnie swoje seksualne perwersje, a wasi żołnierze prowadzić w kapturze na głowie? A może odeślecie mnie do więzienia w Guantanamo i wrzucicie mój Koran do toalety?

- Masz jakieś preferencje?

- Nie. Świat wie o obrzydliwych rzeczach, które wasi żołnierze uczynili tam mudzahedinom. Nie sądzę, aby to rozwiązywanie wchodziło w grę.

- Nie wyobrażasz sobie, jak cenny jest wykład o moralności wygłoszony przez człowieka, który wysadza w powietrze niewinnych ludzi i podrzyna gardło bezbronnym więźniom.

- Myślę, że wiesz, co mam na myśli.

Rzeczywiście, wiedziałem. Ukradkiem pokręciłem gałką i do jego kroplówki zaczęła się sączyć zawartość małej fiolki z bezbarwnym płynem.

Zgodnie z ostrzeżeniem Abdula Ali Ibn Pasza okazał się nieprzejednanym fanatykiem.

Podobnie jak wielu ekstremistów był człowiekiem emocjonalnie ograniczonym - jego uczucia sprowadzały się do furii, nienawiści i chronicznego przekonania o własnej nieomyślności. Ale Ibn Pasza nie był głupcem i z pewnością zdawał sobie sprawę, że każdego torturami można skłonić do mówienia. Pamiętam jednego z moich klientów, który został zbity na miazgę przez tępego sadystycznego zastępcę szeryfa z południa i w rezultacie przyznał się, że rabuje banki, molestuje dzieci, jest seryjnym zabójcą i był drugim człowiekiem na wzgórzu, który strzelał do JFK.

Nawet szeryf, nieobdarzony szczególnie wysokim ilorazem inteligencji, miał problem, gdy dowiedział się, że rzekomy sprawca urodził się w 1973 roku. W rzeczywistości mój klient dopuścił się jedynie oszukania żony zastępcy szeryfa. Chociaż było to przejawem głupoty, nie kwalifikowało się jako zachowanie przestępcze. Wniosek: wymuszone zeznania rodzą problem wiarygodności. Chyba że masz do czynienia z człowiekiem, o którego winie wiesz, a wówczas można uzyskać wiarygodne i użyteczne informacje.

Oczywiście jako adwokat jestem przeciwny stosowaniu tortur w jakichkolwiek okolicznościach, chociaż ludzie w rodzaju Abdula Almiriego i Alego Ibn Paszy dostarczają mi silnej pokusy. Z praktycznego punktu widzenia przesłuchanie jest pewną formą negocjacji

- aby odnieść sukces, trzeba mieć kij i marchewkę. Ali Ibn Pasza wskazywał mi, gdzie mogę wetknąć kij.

- Moi towarzysze dowiedzą się, że zostałem pojmany przez waszą armię - oznajmił. -

Nie możecie tego ukryć ani zatuszować. Umieszczą wiadomość o moim schwytaniu w Internecie i powiadomią telewizję Al-Dżazira. W ten sposób usłyszy o tym cały świat. Myślę, że amerykańska prasa zainteresuje się moim losem.

- Do czego zmierzasz?

- Sądzę, że wiesz. Jeśli będziecie mnie źle traktować, pojawi się kolejny duży problem

- kolejna afera, której nie potrafi wyjaśnić wasz prezydent idiota.

W armii uczą, aby nigdy nie lekceważyć wroga, i sądzę, że właśnie tak było w tym wypadku. Ludzie Ibn Paszy przygotowali się na tę ewentualność - na schwytanie ich skarbnika - chcieli go ochronić przed środkami przymusu i byli przekonani, że wiedzą, jak tego dokonać.

W innych warunkach ich taktyka mogła się okazać skuteczna. Odwróciłem się do Bian i powiedziałem:

- Ci ludzie są sprytni, prawda?

- Sądzę, że tak.

- Wiesz... to jest... rozumiesz...

- Rozumiem. Wystarczy, aby facet dostał pryszczę, a cały świat zacznie wrzeszczeć, że jesteśmy nazistami.

- Właśnie.

- Bardzo sprytne.

- Czy chorowałaś na...?

- Nigdy. Nawet przez milion lat.

Uśmiech Ibn Paszy nieco zbladł. Facet stracił trochę pewności siebie. Bian chwyciła mnie za ramię.

- Facet leżał nieprzytomny przez trzy dni.

Ibn Pasza nie miał pojęcia, o czym rozmawiamy, lecz starał się odczytać naszą mowę ciała i wyczuł nutkę sarkazmu w naszych głosach. Spojrzałem na niego i zapytałem:

- Którą wiadomość chcesz usłyszeć najpierw, kolego, złą czy bardzo złą?

Przestał się uśmiechać. A może nie zrozumiał pytania.

- Cóż... w takim razie zaczniemy od łatwiejszej do przełknięcia - kontynuowałem. -

Najpierw zła wiadomość. Następnego dnia po twoim schwytaniu wojsko i piechota morska przypuściły wielki szturm na Falludżę. Z ostatniego raportu, jaki słyszałem, sprzed dwóch godzin, wynika, że zginęło około trzystu twoich towarzyszy, a wielu innych zostało pogrzebanych w zgliszczach. Nikt nie wie, ilu zamieniło się w mgiełkę lub miazgę w ogniu naszej artylerii i czołgów.

Na wypadek gdyby nie zrozumiał przesłania, Bian dodała:

- Twoi towarzysze nigdy nie będą wiedzieli, czy dostałeś się do niewoli, zostałeś rozerwany na strzępy czy pogrzebany w zgliszczach.

Ponieważ sam się prosił o to, aby mu dokopać, powiedziałem:

- Daję ci ostatnią szansę. Idziesz na współpracę czy nie?

- Usmaż się w piekle. Odwróciłem się do Bian.

- Nie mogą powiedzieć, że nie próbowaliśmy.

- Jasne. - Spojrzała na Ibn Paszę i dodała: - Biedak. Saudyjczyk sprawiał wrażenie bardzo zaintrygowanego tą wymianą zdań, mającą najwyraźniej związek z jego losem.

- Mogę spędzić resztę życia w waszym więzieniu - rzekł z naciskiem. - Jesteście głupcami, jeśli sądzicie, że się tego obawiam.

- Wiem. - Rzeczywiście, wiedziałem, że to prawda.

Bian znosiła zniewagi tego człowieka z godnym podziwu stoicyzmem - z jednym wyjątkiem, o którym nie warto wspominać - dlatego uznałem, że to ona powinna przekazać mu najgorszą wiadomość. Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że skinęła głową.

Zwróciła się do Alego Ibn Paszy.

- Zostaniesz przekazany saudyjskiemu wywiadowi. Jeszcze nigdy nie widziałam, aby z taką niecierpliwością oczekiwali na odbiór więźnia.

- Twoi rodacy kierują się innymi zasadami. Wiem, że jesteś tego świadomy - dodałem.

- Jeśli cię to ciekawi, aresztowali już członków twojej rodziny.

Lekko rozszerzyły mu się oczy, lecz nie wyglądał na tak zdenerwowanego, jak oczekiwałem. W rzeczywistości odniosłem wrażenie, że na jego twarzy pojawił się słaby uśmiech. Ten facet miał więcej odwagi od komandosa. To coś mówi.

- Na pożegnanie udzielę ci rady - powiedziała Bian. Mogła być niewierną dziwką, lecz teraz skoncentrował na niej uwagę. - Nie przeciągaj tego zbyt długo. Widziałam takich, którzy próbowali. Niektórzy potracili części ciała, inni członków rodziny. Wiesz, co ci powiem? Wszyscy zaczęli mówić.

- Ty też zaczniesz - zapewniłem go.

- Czy kilka godzin lub dni milczenia jest wartych tylu cierpień lub życia rodziców i braci?

Ali Ibn Pasza zamrugał. Widać było, że próbuje zachować świadomość i, że mikstura doktora Enzenauera z kroplówki przedostała się do jego żył i nikczemnego mózgu.

Chciał coś powiedzieć, lecz zdołał jedynie wybełkotać:

- Och... ja... ach...

Aby pożegnać go w odpowiedniej atmosferze, powiedziałem:

- Wracasz do domu, Ali. Zamknął oczy.

Rozdział trzydziesty

Drogę ze szpitala polowego do małej bazy wojskowej pokonaliśmy w godzinę, jadąc w konwoju eskortowanym przez pluton żandarmerii. Na bramie widniała metalowa tabliczka z napisem „Wysunięta baza operacyjna Alfa” - w żargonie wojskowym „FOB Alfa”.

Zabudowania bazy mieściły się za wysokim na trzy metry betonowym murem i zasiekami z drami kolczastego. Gdybym zapomniał, że znajduję się w strefie działań wojennych, ten złowrogi kompleks przypominałby mi o istnieniu dwóch światów - groźnego i niebezpiecznego za bramą i tego, który kryje się we wnętrzu silnie umocnionej bazy przypominającej fort kawalerii z czasów Dzikiego Zachodu.

Na drodze przed bramą umieszczono pięć olbrzymich progów zmuszających pojazdy do ograniczenia prędkości i cały szereg beczek po ropie wypełnionych piaskiem lub betonem, tworzących kręty labirynt zmuszający nadjeżdżający pojazd do zwolnienia i wykonania około dziesięciu ostrych zwrotów. Dostrzegłem również dwie betonowe wieże wysokości sześciu metrów, z których wystawały groźne lufy karabinów maszynowych kalibru pięćdziesiąt milimetrów.

Jak wspominałem, baza skojarzyła mi się ze starym fortem kawalerii, chociaż nie tak miała wyglądać okupacja Iraku. Przypomniałem sobie opowieści dziadka o okupacji Niemiec po zakończeniu drugiej wojny światowej - o krągłych Fräulein, piwnych libacjach w Gasthausach i fortunie, którą można było zbić na czarnorynkowym handlu papierosami i jedwabnymi pończochami. Była to typowo amerykańska wersja gwałtu, plądrowania i grabieży. Jakby tego było mało, miejscowi pogodzili się ze swoją porażką. Okupacja powinna być przyjemną częścią wojny, niestety podejrzewam, że wojny w Iraku nikt nie będzie wspominał z uczuciem nostalgii.

Dwóch żołnierzy podeszło ostrożnie do SUV-a jadącego na czele kolumny i Phyllis załatwiła formalności umożliwiające wjazd. Nie wiem, co im powiedziała, lecz obaj strażnicy stanęli na baczność i dziarsko zaszalutowali, co w zwykłych warunkach jest przejawem szacunku - nie jest nim jednak w strefie działań wojennych. To tak, jakby umieścić im na szyi fluorescencyjny znak dla snajperów nieprzyjaciela z napisem: „NIE CELUJ WE MNIE

IDIOTO - ZASTRZEL JEGO”.

Kiedy sam byłem na wojnie, celowo salutowaliśmy starszym oficerom, których nie lubiliśmy. Uważaliśmy, że było to bardzo zabawne - tamci wyglądali na bardzo wkurzonych.

Powinniście to zobaczyć.

W każdym razie, wartownicy dali znak i nasz konwój ruszył wolno przez progi zwalniające, a następnie zrywką pokonał labirynt z beczek po ropie, by w końcu przejechać przez bramę.

Siedziałem w tyle wojskowej sanitarki, towarzysząc nieprzytomnemu Ibn Paszy.

Kucający obok doktor Enzenauer obserwował, czy pacjent daje oznaki życia, sprawdzał kroplówkę i wykonywał inne lekarskie czynności.

Wyjrzałem przez boczne okno i stwierdziłem, że baza wygląda dokładnie tak, jak sugerowała jej nazwa - była małą prowizoryczną placówką położoną niedaleko linii wroga.

Oczywiście w Iraku każda baza, nad którą powiewał gwiazdzisty sztandar, taka była.

Karabiny umieszczone przed każdym z budynków i worki z piaskiem na dachach rozwiewały iluzję, że trafiłeś do ośrodka wypoczynkowego.

Dla większości cywilów wszyscy żołnierze wyglądają tak samo - jak obojnacze istoty w mundurach polowych, z krótko obciętymi włosami i stalowym gnatem na plecach.

Żołnierze w tej bazie sprawiali wrażenie nieco starszych, mieli najnowocześniejsze uzbrojenie i najlepsze gadzety, i paradowali dumnym krokiem w przeciwieństwie do typowego GI, który przypomina zagubionego dzieciaka ze szkoły średniej potykającego się w zbyt obszernym mundurze.

Była to baza wojowników biorących udział w operacjach specjalnych, co miało sens, ponieważ po jedenastym wrześniu CIA i oddziały specjalne stali się tak nierozłączni jak myśliwy i jego ulubiony pies.

Po przejechaniu prawie pół kilometra zatrzymaliśmy się przed małym kompleksem otoczonym zasiekami z drutu kolczastego, składającym się z pięciu niewielkich kwadratowych budynków wzniesionych z surowego, wzmocnionego szarego betonu, o brzydkim, czysto funkcjonalnym wyglądzie. Nie zauważyłem żadnych znaków i okien ani uśmiechniętych ludzi machających nam na powitanie.

Armia jest niemal „pępowinowo” uzależniona od znaków - nawet zwyczajny mundur przypomina billboard z informacjami - więc uznałem, że budynki te nie należały do wojska, a brak okien wskazywał, iż pozbawione powietrza pomieszczenia pełniły funkcję składu amunicji lub więzienia. Nawiasem mówiąc, tylko idiota umieściłby skład amunicji w środku bazy wojskowej.

Kiedy wysiadałem z sanitarki, Bian podeszła i powiedziała:

- Gdy stacjonowałam w Iraku, słyszałam wiele opowieści o tym miejscu.

- Opowiedz którąś.

- Jeśli udało się nam zatrzymać kogoś cennego HVD, powiadaliśmy o tym przełożonych. Bardzo często jeszcze tej samej nocy zjawiała się grupa poważnych facetów w cywilu. Pokazywali rozkaz przeniesienia i znikali z więźniem. Żartowaliśmy, że ci goście pracują w ministerstwie prawdy.

Słuchając Bian, kątem oka śledziłem Phyllis, która prowadziła szejka i Waterbury'ego przez zasieki do pierwszego budynku. Otworzyła drzwi i cała grupa zniknęła w środku.

Pomyślałem, że szefowa czuje się tu jak w domu. Także ruchy i gesty szejka wskazywały, że nie była to jego pierwsza wizyta w tym miejscu. Czemu nie byłem tym zaskoczony?

- To operacja CIA? - zapytałem Bian.

- Myślę, że uczestniczy w niej także FBI.

- W charakterze więźniów? Roześmiała się. Rozejrzałem się wokół.

- Założę się, że w jednym z tych budynków jest bar.

- Wiesz co, Sean? Przypominasz mi jednego z facetów, którzy zabłądzili na pustyni.

W strefie działań wojennych nie ma oazy ani pieprzonego alkoholu. Powinieneś się do tego przyzwyczać.

- Chcesz się założyć? - Chociaż była inteligentna, wolno się uczyła. Pracownicy Agencji kierują się własnymi zasadami, trudno też wyobrazić sobie, aby bez speluny zdołali przeżyć rok w dowolnym miejscu na świecie. - O pierwszą kolejkę? - zapytałem.

- Umowa stoi. - Uścisnęliśmy sobie dłonie, aby przypieczętować zakład.

Zlustrowałem otoczenie i zapytałem:

- Czy słyszałaś, aby jakiś więzień stąd wrócił?

- To część legendy. Ci, którzy się tu dostali, znikali w czarnej dziurze. Wszyscy oprócz

Saddama. Podobno przesłuchiwano go jakiś czas w bazie Alfa, zanim został przewieziony do Camp Cropper w Bagdadzie. Podejrzewam, że więźniowie, którzy tu trafiają, kończą w Gitmo lub zostają przekazani do kraju swojego pochodzenia.

Ponoć więźniowie zatrzymani na terenie Iraku nie podlegają ekstradycji. Przypadek Alego Ibn Paszy dowodził, że czasami robiono wyjątek, szczególnie gdy nikt nie patrzył.

Budynki nie wyglądały na wystarczająco duże, aby pomieścić więcej niż jednego lub dwóch więźniów. Nie zauważyłem więziennego dziedzińca ani dużej spalarni, więc Bian mogła mieć rację.

- Lepiej wejdźmy do środka, zanim Phyllis zawrze układ i oboje skończymy w celi - zaproponowałem.

Udaliśmy się za Phyllis, przez zasieki z drutu kolczastego i drzwi prowadzące do tego samego budynku, aby znaleźć się w środku ciasnego prostokątnego pomieszczenia z recepcjonistą siedzącym za szarym metalowym biurkiem. Nie zauważyłem żadnych mebli ani, co uznałem za jeszcze bardziej tajemnicze, Phyllis i jej kompanów. Rozejrzałem się za drugimi drzwiami. Nic. Pomyślałem, że trafiliśmy do kryjówki niktajemnego doktora No i za chwilę szcwany łotr siedzący za biurkiem zarechocze złośliwie, a następnie naciśnie guzik, otwierając zapadnię pod naszymi nogami i posyłając nas do dołu pełnego wygłodniałych aligatorów.

Recepcjonista nie sprawiał szczególnie demonicznego wrażenia, lecz nigdy nie wiadomo. Wyglądał na sympatycznego, uczciwego faceta w tej swojej białej koszuli z krótkimi rękawami.

- Czym mogę służyć? - zapytał uprzejmie.

Podaliśmy mu nasze nazwiska, pokazałem legitymację Agencji i poinformowałem, że przybyliśmy razem z panią Carney. Uśmiechnął się.

- Ach... racja. - Podłoga się nie zapadła. - Pani Carney poleciła, abyście na nią tutaj poczekali. Wyjdzie za minutę.

Oparliśmy się plecami o ścianę i zaczęliśmy czekać. Powietrze w pomieszczeniu było gorące i stęchłe, zalatywało ostrą nieprzyjemną wonią wilgotnej ziemi. Młodzieniec siedzący za biurkiem powiedział „wyjdzie”, zatem musiały gdzieś tu znajdować się schody lub winda prowadząca do podziemnych pomieszczeń. Facet miał pewnie przycisk pod biurkiem i z pewnością trzymał pod nim pistolet na wypadek pojawienia się nieproszonych gości.

Uśmiechnąłem się do niego, dając do zrozumienia, że nie jestem jednym z nich.

Wszystko zaczęło się łączyć w całość - byliśmy w podziemnym więzieniu. To miało sens. Żadnych śladów stóp, żadnego hałasu i podejrzanej aktywności. Podziemne pomieszczenia uniemożliwiają ucieczkę i wtargnięcie do środka, co więcej, są w dużym stopniu zabezpieczone przed atakiem bombowym. Jak na ironię, przebywający w nim więźniowie znajdowali się w najbezpieczniejszym miejscu kraju, który uczynili niewiarygodnie niebezpiecznym.

- Założę się, że w lampie jest ukryta kamera - powiedziałem Bian.

Poprawiła włosy.

- Uśmiechnij się do tych, którzy nas oglądają - odparła. Czemu nie? Uśmiechnąłem się szeroko. Produktem ubocznym mrocznej wojny z terrorystami były tajne obiekty, w których przetrzymywano i przesłuchiwano aresztowanych. Miałem do nich stosunek jak doktor Jekyll i zarazem pan Hyde. Jako prawnik uważałem te miejsca za zniewagę dla wszystkiego, co było mi drogie w amerykańskiej tradycji prawnej: jawności, prawa oskarżonego do obrony, reprezentacji prawnej i procesu, właściwej procedury i tak dalej. Z kolei jako żołnierz nie miałem z tym najmniejszego problemu.

Ludzie osadzeni w ukrytych więzieniach nie są zwyczajnymi przestępcami -

właściwie w ogóle nimi nie są. Według mnie nie są też jeńcami wojennymi, ponieważ terroryści nie prowadzą wojny, lecz mordują na oślep niewinnych ludzi. Ich lokatorzy stanowią zupełnie inną

grupę - są uczestnikami spisku zabójców i ludobójców, którzy nie przestrzegają żadnych reguł, nie mają poszanowania dla żadnych zasad moralnych ani granic geograficznych w świecie, gdzie dzięki nowoczesnej technologii można wysadzić w powietrze całe domy. Nowa gra, nowa stawka, nowe reguły.

Nikt nie protestował, kiedy wprowadzano nowe narzędzia prawne w celu zlikwidowania mafii, a przecież ta w porównaniu z terrorystami była gromadką ekscentrycznych otyłych facetów, do których nigdy nie dotarła wiadomość o złotych łańcuszkach i garniturach sportowych. Ci mieli przynajmniej jakiś kodeks postępowania i świadomość, że mogą grzmocić się do woli, lecz gdy zabiją gliniarza lub niewinną osobę, żarty się skończą. Dla terrorystów niewinni ludzie stanowili cel, a środki odstrasające rodziły jedynie potrzebę rozejrzenia się za łatwiejszym celem.

To nie my określiliśmy naturę tej wojny, lecz oni, a w konflikcie takim jak ten zwycięstwo lub porażka zależą od wywiadu. Jak wspomniała Bian, w Iraku nie chodziło o zdobycie stolicy nieprzyjaciela, opanowanie obszaru o znaczeniu strategicznym lub pojmanie przywódców - o rzeczy stanowiące miarę zwycięstwa w wojnach toczonych do tej pory.

Chodziło o zlokalizowanie i usunięcie z ulicy najgorszych dupków, a następnie przeniknięcie do ich myśli i dowiedzenie się, kim są ich przyjaciele i jakie knują intrygi, zanim dowiemy się o tym z wieczornych wiadomości.

Nie oznacza to, że naczelnicy więzienia mają wolną rękę, ale odrobina izolacji i tajemnicy w połączeniu z pomysłowymi środkami halucynogennymi może zdecydować o życiu wielu ludzi.

W każdym razie, odwołując się do swojej prawniczej natury, spojrzałem prosto w lampę i pomachałem środkowym palcem. Bian roześmiała się.

- Pan wybaczy, że pytam, czy w tym kompleksie jest bar? - zagailem sympatycznego młodzieńca. Podniósł wzrok i przekazał mi najlepszą wiadomość dnia.

- Tak.

Uśmiechnąłem się do Bian. Pokazała mi środkowy palec i odparła:

- Jestem zaszokowana.

- Chcę szkocką. - Odwróciłem się do recepcjonisty i zapytałem: - Gdzie?

- Trzeci budynek od tyłu.

- Jeśli o mnie chodzi, nie piję, lecz ta dama to prawdziwy opój - oznajmiłem.

Uśmiechnął się szeroko.

- Niestety, z baru nie może korzystać personel wojskowy. Kiepska sprawa, prawda?

Sympatyczny młodzieniec w białej koszuli wcale nie był taki sympatyczny, na jakiego wyglądał.

- Czy twoja mama wie, gdzie jesteś? - zapytałem. Patrzył na mnie przez chwilę.

- Mogę wpuścić was na dół, lecz wówczas nie będziecie mogli wrócić. - Roześmiał się.

Czasami uprzejmość popłaca, więc przyłączyłem się do niego.

- Co jest na dole? - zapytała Bian.

- Supernowoczesny ośrodek przetrzymywania i przesłuchiwania więźniów.

Zbudowaliśmy go zaraz po wojnie. Więźniowie nazywają go lochem, my - toaletą. - Zaśmiał się. - Zrozumieliście? Spuszczamy tam najgorsze gówna.

Zrozumiałem. Założę się, że co innego mówił delegacji Czerwonego Krzyża.

Zadzwonił telefon.

- Co? Taak... w porządku, są tutaj. - Przerwał na chwilę. -

Oczywiście, powiem im. - Nacisnął lewym palcem wskazującym przycisk pod biurkiem i po dłuższej chwili rozsunała się ściana, ukazując windę towarową. Niewiarygodne.

Spojrzał na mnie i powiedział:

- Niezłe, co? Pani Carney prosi, żebyście zjechali na dół. Powiadomię waszych ludzi, aby przyprawdzili zatrzymanego.

Weszliśmy z Bian do windy. Recepcjonista nacisnął przycisk i pomknęliśmy w dół.

Mniej więcej po dziesięciu sekundach drzwi otworzyły się ponownie i wkroczyliśmy do niewielkiego centrum operacyjnego podzielonego na małe boksy, w których około trzydziestu ludzi wykonywało rozmaite czynności, od siedzenia na tyłku poczynając, na zbijaniu bąków kończąc - wszystko to można by z łatwością robić w starych pocziwych Stanach.

Powitał nas agent w średnim wieku ubrany w cywilny strój khaki, przedstawił się jako Jim Tirey. Miał schludny, amerykański wygląd, poważne spojrzenie i twardy biznesowy uścisk dłoni.

- Mam nadzieję, że był to ostatni obsceniczny gest, który pokazałeś do naszej kamery.

Zrozumiano?

- Musisz być z FBI - doszedłem do wniosku.

- Muszę być - odparł chłodno. - Jestem agentem specjalnym nadzorującym operacje w tym kraju. Moi ludzie zajmują się przesłuchiwaniami więźniów. Proszę za mną.

Ruszyliśmy krótkim korytarzem, skręciliśmy w lewo, a następnie udaliśmy się dłuższym korytarzem, na którego końcu znajdowała się sala konferencyjna, gdzie nas wprowadzono. Wypełniała ją chłodne i wilgotne powietrze, a oświetlenie rozmieszczone zostało nieregularnie, jakby budowniczy przeoczył pewne części - pewnie prądu dostarczały generatory, dlatego oszczędzanie energii miało ogromne znaczenie. Oświetlenie wydawało się nieco upiorne, podobnie jak nasi gospodarze, jeśli wybaczycie mi ten żart.

Sala konferencyjna była mała i duszna, o wymiarach trzy na cztery metry, z porysowanym używanym stołem jadalnym z mahoni, twardymi metalowymi krzesłami i wiszącym na ścianie ogromnym ekranem plazmowym połączonym przypominającymi ośmiornicę przewodami z głośnikami systemu dźwięku przestrzennego. W pomieszczeniu czuć było zapach papierosów i stęchłego potu, frustracji i rozpacz. Wyznam, że sam to wszystko zmyśliłem. Pachniało cytryną. Na ekranie widać było z góry ciasną więzienną celę, w której znajdowała się jedynie metalowa koja bez koca lub prześcieradła i przysłowiowy nocnik pozwalający załatwić potrzebę.

Moi przyjaciele z CIA nazywali to pomieszczenie pokojem pod stałym nadzorem, a kumple z marynarki - tarasem widokowym. Niby ta sama rzecz, a całkiem inny sposób myślenia o niej.

Phyllis i szejk stali przed ekranem, popijając kawę z kubków. Waterbury opierał się o ścianę w przeciwległym końcu pokoju i w chwili, gdy weszliśmy, zabawiał ich opowieścią, jak to za czasów swojej służby w żandarmerii wojskowej w pojedynkę zrobił porządek w najpaskudniejszej bazie wojskowej w kraju.

Emerytowani żołnierze wytwarzają więcej łajna od krowy, lecz zważywszy na źródło, wszystko wydawało się okej.

Ponieważ Phyllis musiała znosić jego obecność w windzie, na jej twarzy pojawił się grymas, jaki zwykle przybierała w towarzystwie niemiłosiernego dupka, więc wskazałem na ekran i powiedziałem:

- Ładny pokój. Będzie mój? Uśmiechnęła się.

- Nie podsuwaj mi takich pomysłów. Tirey potraktował to jako zachętę i powiedział:

- To obraz z celi Ibn Paszy. Agenci Turkiego już tam byli i wszystko przygotowali. -

Po chwili dodał tytułem wyjaśnienia: - Ludzie obecni w tym pokoju i na bloku są jedynymi, którzy znają prawdziwą tożsamość więźnia. Na tym to polega. Odizolowane miejsce zatrzymania. Zastosowaliśmy identyczne środki ostrożności, gdy gościliśmy tu Saddama.

Zrobił krótką pauzę, aby odpowiedzieć na nasze pytania. Ponieważ żadne nie padło, wskazał na ekran i kontynuował:

- Cały blok jest odizolowany od reszty. Sala przesłuchań znajduje się w tym samym skrzydle. Dwie cele sąsiadujące z celą Ibn Paszy zajmują saudyjscy agenci udający współwięźniów. Będą próbowali się z nim zaprzyjaźnić, skłonić go do zwierzeń. To stara sztuczka, ale bardziej skuteczna, niż wam się zdaje. Wszyscy strażnicy w tym skrzydle pracują dla saudyjskiego wywiadu.

Spojrzał na szejka Al-Fajefa i dodał:

- Z uwagi na delikatny charakter prowadzonego dochodzenia materiał wideo z celi i całego bloku jest przesyłany wyłącznie do tego pokoju. Tylko stąd można obserwować przesłuchanie lub im się przysłuchiwać.

Przez jakiś czas kontynuował ten opis, informując, w jaki sposób więźniów będzie karmiony, jaką opieką medyczną go otoczymy, jak będzie się mył i tak dalej.

Można było odnieść wrażenie, że ci ludzie naprawdę wiedzą, co robią. Zastosowano niezawodne urządzenia, wprowadzono zastrzone środki bezpieczeństwa oraz wszelkiego rodzaju elektroniczne gadżety.

Wkrótce na scenie miał się pojawić główny bohater przedstawienia. Czy można było się do czegoś przyczepić? Przerwałem jego przemowę, zadając pytanie:

- Czy na bloku są jacyś Amerykanie?

- Nie. Dlaczego mieliby być?

- A dlaczego nie?

Tirey zachichotał, jakbym powiedział coś głupiego, co mnie nieco zirytowało.

- Kilku naszych ludzi mówi po arabsku, lecz żaden nie pochodzi z Arabii Saudyjskiej -

wyjaśnił. - Powiedziano mi, że miejscowi od razu rozpoznają dialekt... Nie trzeba się tym martwić. Z tego pokoju można widzieć i słyszeć wszystko, co się dzieje w całym skrzydle.

Usłyszę, jak mucha macha skrzydłami. Wszystko.

Szejk skinął aprobującą głową - wyglądał na zadowolonego, nie był jednak zaskoczony tym, co usłyszał. Trzymał w ustach francuskiego papierosa, a na jego białej szacie widniała duża plama od popiołu.

- Rozmawiał pan z Ibn Paszą w szpitalu?

- Tak. Przygotowaliśmy go razem z major Tran.

- Będzie przekonany, że obudził się w saudyjskim więzieniu - wtrąciła Bian.

- Tak, tak, to ważne. - Przez chwilę wpatrywał się w moje oczy. Pomimo, a może z powodu wcześniejszych nieprzyjemności uznał moją osobę za interesującą. - Co pan o nim sądzi po odbytej rozmowie?

- To twardy facet. Kocha to, co robi, nienawidzi Ameryki i nie lęka się, że spędzi resztę życia w więzieniu. Nie chciałbym, aby moja dalsza kariera zależała od tego, czy zacznie mówić.

- Nie wierzy pan, że zdradzi nam to, co wie?

- Nie. - Przez krótki czas patrzyliśmy sobie w oczy, lecz nie wiedziałem, co myśli.

Bian poinformowała go uprzejmie:

- Przez sześć miesięcy przesłuchiwałam podejrzanych i zatrzymanych mudżahedinów.

Ci, którzy zajmują wyższe szczeble w hierarchii, są znakomicie wyszkoleni i przygotowani do utrudniania przesłuchania. Wielu było bardzo trudno złamać. Niektórych się nie dało.

- Naprawdę?

- Nieliczni od razu wszystko wyśpiewali, inni, przetrzymywani w Guantanamo, wymagali ponad roku wyczerpującej pracy. Niektórzy się złamali, podejrzewamy jednak, że ich zeznania były celową

dezinformacją.

Uśmiechnął się blado.

- My nigdy nie mieliśmy tego rodzaju problemów.

- Już jest - oznajmił Waterbury. Wszyscy odwróciliśmy się w stronę ekranu. Doktor Enzenauer prowadził dwóch mężczyzn w cywilnych strojach khaki, którzy na noszach wnieśli Ibn Paszę do celi. Delikatnie ujęli go za stopy i ramiona i ułożyli na metalowej pryczy.

Enzenauer nachylił się i zręcznie odłączył kroplówkę od ramienia więźnia, aby uniemożliwić popełnienie samobójstwa.

Wyprostował się i spojrzał w kamerę, która podobnie jak ta na parterze została zamontowana w kręgu światła.

- Słyszycie mnie? - zapytał po chwili niepewnie. Ponieważ ustawiono pełną siłę dźwięku, jego głos zabrzmiał tak, jakby krzyczał przez megafon. Głos przekazywany był

tylko w jedną stronę, więc nie usłyszał odpowiedzi i po dłuższym wahaniu oznajmił:

- Będzie nieprzytomny przez kolejną godzinę. - Spoglądał dziwacznie w kamerę jak marzący o scenie aktor, który zastanawia się, czy jego rola dobiegła końca.

Później cała trójka wyszła z celi, zamykając za sobą drzwi. Przez chwilę wszyscy przyglądaliśmy się nieprzytomnemu więźniowi spoczywającemu na pryczy, rozważając tę samą niewypowiedzianą myśl. Wewnątrz głowy Ibn Pasza znajdowała się wiedza, która mogłaby zmienić koleje tej wojny, doprowadzić do człowieka stojącego za niezliczonymi zamachami, umożliwić poznanie nazwiska ludzi i grup, które udzielały finansowego wsparcia masowemu niszczeniu całego społeczeństwa. Jeśli zdołamy ujawnić te sekrety, posiadziemy bezcenną wiedzę.

- Czy wiesz, że sukces całej naszej misji zależy od tego, czy facet zacznie mówić? - szepnęła Bian.

- Przekonasz się, że było warto - odparłem przyciszonym głosem.

Skinęła głową. Oboje wiedzieliśmy, że wracamy do domu z pustymi rękami.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Phyllis i reszta towarzystwa udali się do jadalni, aby coś przekąsić, a ja i Bian zostaliśmy w pokoju, by obserwować Alego Ibn Paszę.

Przez chwilę rozmawialiśmy o niczym, aby zabić nudę, zanim niepostrzeżenie przeszedłem do tego, co mnie naprawdę interesowało.

- Jak było w Bagdadzie?

- Przecież ty też tam byłeś.

- Lotniska nie leżą na terytorium państw. Wszystkie znajdują się w strefie cienia.

Uśmiechnęła się.

- Było wspaniale. Bojownicy dżihadu dali nam chwilę wytchnienia. Doszło do zaledwie kilku zamachów bombowych i przez połowę czasu nie słyszałam żadnych wystrzałów.

Odpowiedziałem uśmiechem.

- Widziałaś się z Markiem?

- Czemu pytasz?

- To zbyt osobiste pytanie?

- To... - Po dłuższej przerwie oznajmiła: - Tak.

- „Tak, to zbyt osobiste pytanie” czy „Tak, widziałam Marka”?

- Tak... widzieliśmy się. Załatwiliśmy sobie pokój w oficerskich kwaterach gościnnych w zielonej strefie. Spędziliśmy razem dwa cudowne dni.

- To wspaniale... cieszę się... naprawdę... to... słuchaj, widziałaś ostatni mecz Redskins?

- Chcesz o tym rozmawiać, czy nie?

- Ja... - Nie. Spojrzała na mnie.

Chciałem coś powiedzieć, lecz mi nie pozwoliła.

- Z mojego powodu nasze stosunki stały się niezręczne, prawda? Gniewasz się, że chciałam cię uwieść? Nie odpowiadaj. Wiem, że to moja wina... i to do mnie należy...

oczyszczenie atmosfery. Powiem wprost: kocham i zawsze będę kochała Marka. Pamiętam chwilę, w której ujrzałam go po raz pierwszy. Przepraszam, że się zapomniałam. - I dodała cicho: - Bardzo mi przykro, że wprawiłam cię w zakłopotanie.

- Rozumiem.

- To dobrze, boja tego nie pojmuję. - Rzuciła mi smutny uśmiech

- Bian, to, co się stało... Jesteśmy w kraju objętym wojną, ogarnęły cię złe wspomnienia, ta sprawa wyczerpuje cię emocjonalnie...

- W porządku. Zrozumiałam. Tam... pod prysznicem... to była chwila zapomnienia, niewybaczalnej głupoty.

- No, wiesz...

- Wyszło beznadziejnie, prawda? Nie chciałam, aby tak się stało, Sean. Poważnie...

bardzo cię lubię. - Przerwała, szukając właściwych słów, i w końcu powiedziała: - Gdybym miała zdradzić Marka z kimkolwiek na świecie, byłbyś to ty.

- To...

- Wiem. Zrobiłam to ponownie. Nie znajduję słów. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyłam.

- Mam nadzieję. - Popatrzyłem na nią i zapytałem: - Powiedziałaś mu o nas?

- Nie. O czym tu mówić? Nic między nami nie zaszło, prawda? Wątpię, aby wielu mężczyzn zdobyło się na coś takiego... wiesz.

- Nie przypominaj mi. Uśmiechnęła się.

- Możesz mi wierzyć albo nie, lecz doceniam to, co zrobiłeś. Na szczęście nasza rozmowa została raptownie przerwana, ponieważ do pomieszczenia wkroczył Jim Tirey, nadzorujący agent specjalny FBI. Jak już wiecie, w swojej codziennej pracy potrafię i faktycznie prowadzę swobodne i inteligentne rozmowy z zatwardziałymi mordercami, wkurzającymi sędziami i sceptycznymi ławnikami... lecz jeśli chodzi o szczery dialog z kobietą...

Przez jakieś dziesięć sekund Tirey obserwował od niechcienia Ibn Paszę na ekranie, a następnie oznajmił:

- Za chwilę rozpoczniemy przesłuchania. Zaraz usłyszycie koncert powitalny, który puszczaamy wszystkim nowym internowanym. Pomyślałem, że powinienem was ostrzec.

Odwrócił się, spojrzał na nas i po namyśle zapytał:

- Mogę się do was przyłączyć?

- Bardzo proszę... uhm... - odpowiedziała Bian.

- Proszę... Jim.

Tirey podszedł do stołu, usiadł naprzeciw nas i odczekał chwilę, aby poczuć się wygodnie w nowej sytuacji.

- Powiedziano mi, że oboje pojechaliście do Falludży i dokonaliście zatrzymania.

Bian skinęła głową.

- To było... bardzo odważne - zauważył, kręcąc głową. - Tego ranka rozpoczął się atak, prawda?

- Ktoś zapomniał nas o tym uprzedzić - poinformowałem go zgodnie z prawdą.

- Dobrze, że mi to wyjaśniłeś. - Uśmiechnął się. - Już się martwiłem, że przysłali tu dwójkę

kompletnych idiotów.

Bian wskazała na mnie i zauważyła:

- Powiedział, że zabiera mnie do Vegas. Możesz sobie wyobrazić, jaka byłam zaskoczona, gdy...

Jim zachichotał. Wszyscy wybuchliśmy śmiechem. Cha, cha! Bagdadzkie poczucie humoru.

- Nawiasem mówiąc, było warto - powiedział. - W Falludży przebywa wielu przedstawicieli starego reżimu. Ich świadectwa i zeznania będą miały ogromną wartość, gdy Irakijczycy postawią w stan oskarżenia Saddama i jego ludzi. W tym momencie jednak ich informacje mają wyłącznie historyczne znaczenie. Dawne sprawy. Znacznie mniej jest tych, którzy uczestniczą w obecnej wojnie, dlatego ich informacje są o wiele bardziej interesujące.

Ponieważ nie miałem ochoty o tym rozmawiać, zmieniłem temat.

- Nie wiedziałem, że jest tu FBI.

- Amerykańska opinia publiczna nie ma o tym pojęcia. Machina propagandowa FBI ukazuje pracowników z Madison Avenue jako kutwy, więc to, co usłyszałem, zaskoczyło mnie.

- Dlaczego *tu* jesteście?

Zapalił papierosa i przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Trochę tego, trochę owego. Szkolimy iracką policję. Pomagamy w poważniejszych dochodzeniach - krwawych zamachach bombowych i zabójstwach VIP-ów. Wykonujemy trudniejszą robotę kryminologiczną, zbieramy dowody, przeprowadzamy analizy śladów i badania techniczne. Ponieważ w Iraku działa wiele amerykańskich firm, czasami prowadzimy śledztwo w ich sprawie. - Uśmiechnął się. - Wierzcie lub nie, lecz w Iraku łapownictwo jest powszechną plagą. Wuj Sam wydaje w tym kraju ponad miliard dolarów miesięcznie, a to wyzwala w każdym najszlachetniejsze instynkty. Przekupstwo, wystawianie zawyżonych faktur, łapówki - to mój chleb powszedni. - Przestał się uśmiechać. - Mój zespół nie jest zbyt duży, więc czasami współpracujemy z laboratorium w Quantico lub odsyłamy sprawy do biur w Stanach.

- Ta robota musi sprzyjać robieniu kariery.

Na twarzy Jima pojawił się wymuszony uśmiech.

- Jasne. Jeśli zdołasz przeżyć Biuro spogląda przychylnym okiem na trudne misje zagraniczne. Jeśli cię to interesuje, możesz się zgłosić. Wszyscy tutaj to ochotnicy. Tu coś się dzieje - mamy świetne szkolenie, świetne doświadczenia i świetne przywileje podatkowe.

Przypominało to typową mowę rekrutacyjną, lecz podobnie jak podczas wystąpień ludzi werbujących ochotników do armii brakowało w niej jednej rzeczy - wzmianki o dużym prawdopodobieństwie przedwczesnej śmierci.

Szczerze powiedziawszy, trudno mi było wyobrazić sobie chłopców i dziewczyny w niebieskich garniturach i wykrochmalonych białych koszulach biegających po Bagdadzie.

Tirey najwyraźniej czytał w moich myślach, bo zmarszczył brwi.

- Oczywiście, trzeba się przystosować do nowych okoliczności. Czasami wymaga to wielu godzin, a warunki pracy są prawie nie do opisanego. Tutejsi gliniarze są do niczego.

Leniwi, nieuczciwi, skorumpowani, przekupni, infiltrowani lub panicznie lękający się rebeliantów.

- Może ma to jakiś związek z tym, że do nich celują?

- Mnie to mówisz? Po prostu nie można im zaufać. Niszczą dowody, zacierają ślady na miejscu popełnienia przestępstwa i podsuwają fałszywe tropy. Kiedyś myślałem, że nasi gliniarze są do niczego... Coś ci powiem, nie mogę się doczekać ponownej pracy z nowojorską policją.

Mógłbym mu powiedzieć, że żołnierze armii cudzoziemskich, z którymi współpracowaliśmy, są jeszcze gorsi, lecz zamiast tego skinąłem głową.

- Biuro otworzyło wiele zagranicznych placówek w ciągu ostatnich dziesięciu lat. W dawnych czasach, jeśli człowiek chciał zrobić szybko karierę, musiał pojechać do Nowego Jorku. Teraz trzeba wyjechać na takie zadupie jak tu. - Potrząsnął głową.

Rzeczywiście, znajdowaliśmy się w nowym świecie i FBI, podobnie jak wojsko, próbowało znaleźć równowagę, a jej ludzie, przeszkoleni do zwalczania przestępczości w amerykańskich miastach, musieli się nauczyć nowych chwytów i sztuczek, a także nowych reguł gry.

- Może zaciekawili was to, że w naszym zespole są specjaliści od przestępczości gospodarczej. Jeśli Ibn Pasza puści cynk, podążą tym tropem.

Bian chciała coś powiedzieć, gdy nagle rozległ się przeraźliwy hałas - krzyki i jęki były naprawdę potworne. System dźwięku przestrzennego ustawiono na pełen regulator i wszystko to przypominało koncert z *Piekła* Dantego. Omal nie wyskoczyłem z portek, a Bian uniosła się na krześle i z całej siły chwyciła moje ramię.

- Spokojnie - rzekł Jim. Podniósł się, podszedł do ekranu, wziął pilot i wyłączył głos.

W pomieszczeniu zapanowała cisza. Uśmiechnął się do nas z wyraźnym rozbawieniem. -

Próbowałem was ostrzec. Nie obawiajcie się. To dźwięk z taśmy. Głośniki zostały zamontowane na zewnątrz celi Ibn Paszy. Odrobina nastrojowej muzyki wprawia nowych więźniów w odpowiedni nastrój.

Na ekranie ujrzeliśmy, że Ibn Pasza otworzył oczy, wyprostował się na łóżku i szybko rozejrzał dokoła. Doktor Enzenauer wspomniał, że skutki uboczne leków i środków znieczulających sprawiają, że będzie czuł się przymulony i przez dzień lub dwa miał

ograniczoną zdolność oceny. Na twarzy Ibn Paszy nie dostrzegłem jednak żadnej oznaki zagubienia lub dezorientacji. Facet wiedział, że znajduje się w najbardziej gównianym miejscu wszechświata.

Jim najwyraźniej oglądał już ten film i nie był zainteresowany powtórką. Zapalił kolejnego papierosa i przez obłok dymu przypatrywał się Bian i mnie.

- Skąd wiedzieliście, że Ibn Pasza jest w Falludży? I jak go znaleźć?

Wiecie, trudno było nie podziwiać podstępного sposobu, w jaki zadał to pytanie - ten gość był naprawdę sprytny. Oczywiście nie muszę chyba dodawać, że nie był to jego interes.

Ale jeśli powiesz coś takiego gliniarzowi, twój interes automatycznie stanie się też jego.

- Od informatora - odparła bez wahania Bian. - Członka jego własnej siatki.

- Kogoś ze środka? No! No!

- Wiem. Niebywała sprawa. - Po chwili dodała: - Możesz to uznać za cudowne zrzęczenie losu, lecz czasami podczas zamachów bombowych ludzie Zarkawiego przypadkowo zabijają członków własnych rodzin. To zemsta.

Dobry powód.

Niestety, Tirey odpowiedział:

- Jakie jest prawdopodobieństwo, że coś takiego się wydarzy? Przesuwałem wzrok z Tireya na Bian i ekran. Ibn Pasza odepchnął się od pryczy i wstał. Przez chwilę kołysał się niepewnie jak jednonogi pijak, lecz w końcu odzyskał równowagę i stanął nieruchomo.

Odwrócił raptownie głowę w stronę drzwi, a następnie potknął się, jakby ciągnął swoją sztuczną nogę po małej celi.

- Kiedy miałam zajęcia z rachunku prawdopodobieństwa i statystyki w West Point, analizowaliśmy podobne przypadki. Wiesz... jeśli w danym kraju żyją dwadzieścia trzy miliony ludzi i dziesięć tysięcy terrorystów, którzy mają pięćdziesiąt tysięcy najbliższych krewnych, a na dodatek przeprowadzają na oślep dwa tysiące zamachów bombowych... jakie jest prawdopodobieństwo, że

zabiją członka własnej rodziny?

Bian zbytnio się nad tym rozwodziła, co u gliny lub prawnika przypomina wkładanie ręki do zbiornika z rekinami.

- Interesujący punkt widzenia - zauważył Tirey, lecz nie uczynił tego szczerze.

Zaciągnął się papierosem. - Jest też inny ciekawy fakt. Powiedziano mi, że przylecieliście prosto ze Stanów, aby przeprowadzić tę operację. Dlaczego? Nie mógł tego zrobić ktoś stąd?

Ten facet był nie tylko gładki, lecz ostry.

Zauważyłem, że Ibn Pasza zaczął gestykulować. Ponieważ kamera pokazywała obraz z góry, nie widziałem jego ust, wyglądało to jednak tak, jakby prowadził z kimś rozmowę.

Pożałowałem, że nie słuchałem, gdy Enzenauer tłumaczył działanie uboczne leków i środków znieczulających. Może wspomniał coś o halucynacjach, gdy przestałem go słuchać, to znaczy przez większą część rozmowy. Nie płacą mi wystarczająco dużo, abym wysłuchiwał wykładów medycznych.

- Nie doszukuj się w tym zbyt wiele - powiedziała Bian. - Nasz informator nadal działa w ruchu oporu. Znasz mantrę - niezwykle źródła, niezwykle środki ostrożności.

Ibn Pasza przeszedł celę i oparł się o drzwi. Teraz byłem pewny, że z kimś rozmawia.

Przerwałem ich pogaduszki:

- Ali Ibn Pasza się obudził. Mam wrażenie, że do kogoś mówi. Może powinniśmy podkręcić dźwięk.

Tirey był tak zajęty wypytywaniem Bian, że uznał, iż próbuję odwrócić jego uwagę, co faktycznie robiłem. Najwyraźniej Bian nie doceniła tego faceta i pogrążyła się coraz bardziej w czymś, co na prawie określa się mianem „grobu kłamcy”.

Ale naprawdę chciałem wiedzieć, do kogo przemawia Ibn Pasza i co mówi. Kiedy wspomniałem o tym ponownie, Tirey odpowiedział:

- Za minutę. - Następnie wyjaśnił Bian: - Nie chcę się wtrącać w wasze sprawy. -

Oczywiście, facet dokładnie to robił. Przysunął się do niej. - Przyzwyczailem się do tego, że traktują mnie tu jak grzyb: okładają nawozem i trzymają w ciemnym miejscu. Pomyślałem, że warto poznać tło, zanim rozpoczniemy przesłuchania. Jak dokładnie dowiedzieliście się o miejscu jego pobytu?

- Dlaczego miałabym okłamywać cię w tej sprawie? - zapytała. Ibn Pasza zaczął wymachiwać rękami i gestykulować. Nie wiem, co mówił, lecz sprawiał wrażenie napiętego i podenerwowanego. Przyłożył głowę do drzwi, przysuwając ucho w kierunku otworu.

- Sam zadaję sobie to pytanie - kontynuował Tirey. - Dlaczego miałabyś... - Nagle na ekranie ujrzałem czerwoną mgiełkę w okolicy skroni Ibn Paszy. W tej samej chwili jego głowa odskoczyła w bok, pociągając za sobą ciało, które osunęło się na posadzkę.

- Jasna cholera! - krzyknąłem.

Tirey spojrział na mnie, a następnie na ekran. Podobnie uczyniła Bian, otwierając oczy ze zdumienia na widok leżącego nieruchomo Ibn Paszy oraz plamy krwi i szarej substancji na podłodze. Nawiasem mówiąc, obraz na ekranie był bardzo dobrej jakości - można było zobaczyć najdrobniejsze plamy krwi na przeciwległej ścianie.

- Jezul! - wrzasnął Tirey. - Co się, kurwa, dzieje...?

Nie było czasu na wyjaśnienia. Wstałem i podbiegłem do drzwi, wołając do Tireya:

- Gdzie jest jego cela?

Ruszył za mną, wyciągając broń. Za nim pobięła Bian. W dziesięć sekund pokonaliśmy długi korytarz i dotarliśmy do windy, która szczęśliwie znajdowała się na naszym poziomie. Weszliśmy do

środką, Tirey wcisnął przycisk i drzwi się zamknęły.

Zaczęliśmy zjeżdżać.

Tirey wykonał kilka głębszych oddechów, a następnie zapytał:

- Powiedz mi... co się tam, do cholery, stało?

- Rozmawiał z kimś. Pewnie przez drzwi. Przysunął ucho... musi tam być jakiś otwór, prawda... i rozerwało mu głowę.

- Cholera.

Nic nie można było na to poradzić i nikt nawet nie próbował. Agent specjalny Tirey po niewczasie zrozumiał, jak wielkim błędem było pozostawienie całego skrzydła pod kontrolą Saudyjczyków. Nie byłem pewny, czy to on był odpowiedzialny za to przedstawienie, czy Phyllis. Wiedziałem, że jeśli przypiszą mu winę, krótka scena, którą obejrzał na ekranie, oznacza kres jego kariery.

Kiedy drzwi windy się otworzyły, wybiegliśmy na zewnątrz, skręciliśmy w lewo i ruszyliśmy długim korytarzem. Po chwili wykonaliśmy kolejny skręt w lewo i dotarliśmy do krótkiego, słabo oświetlonego skrzydła z celami po obu stronach.

W końcu korytarza zebrało się pięciu uzbrojonych mężczyzn w saudyjskich mundurach. Stali jakby nigdy nic, rozmawiając i paląc papierosy. Tirey podniósł pistolet i powiedział:

- Odłóżcie broń. Ręce nad głowę.

Dzieliło nas około piętnastu metrów. Oni mieli pięć karabinów, my jeden pistolet.

Pomieszczenie było wąskie i zamknięte - gdyby była to strzelnica, nie mielibyśmy żadnych szans.

Żaden z Saudyjczyków nie zareagował, żaden nie uczynił też groźnego gestu, co przyjąłem z ulgą.

- Pozwól mi spróbować - powiedziała Bian i zagadała szybko po arabsku. Tamci nie odpowiedzieli. Bian powtórzyła to samo głośniejszym, wolniejszym i bardziej dobitnym głosem. Jeden z Saudyjczyków coś odpowiedział i wywiązała się krótka ostra wymiana zdań. W dalszym ciągu żaden nie odłożył broni ani nie podniósł rąk.

- Facet mówi, abyśmy się uspokoiли. Twierdzi, że są dobrymi facetami. Że walczymy po tej samej stronie.

- Nie jesteśmy po tej samej stronie - powiedziałem.

- Nie chrzań.

- Powiedz im, że są aresztowani.

- Nie - wtrącił się Tirey. - Nie są amerykańskimi obywatelami. Nie możemy ich aresztować. - Po chwili szepnął z wyraźnym przejęciem: - Na Boga, nie przypieraj ich do muru. Mają przewagę liczebną.

Słuszna uwaga. Nie lubię impasu, chyba że sam jestem jego autorem i czerpię z tego korzyści. Facet, który rozmawiał z Bian, wydawał się dowódcą, więc podszedłem do niego z wyciągniętymi rękami. Zamordowali mojego więźnia. Bian i ja narażaliśmy życie, aby go schwytać, a tu wszystko na nic. Byłem wkurzony, lecz nie miałem broni i jak słusznie zauważył Tirey, tamtych było więcej niż nas. Sytuacja wymagała zręcznej dyplomacji.

Obserwowałem, jak do niego podchodzę, i cofnął się kilka kroków w stronę swoich ludzi.

Zatrzymałem się w odległości metra od niego, na tyle blisko, aby wyczuć zapach mentolowych papierosów w jego oddechu i obezwładnić go, zanim zdąży nacisnąć spust.

Rzuciłem mu przyjazne spojrzenie. Odwzajemnił je. Położyłem mu przyjacielsko dłoń na ramieniu i delikatnie uścisnąłem. Facet się rozluźnił. Wtedy wymierzyłem silny cios w splot

słoneczny i gość wydał jęk, wypuszczając broń, osuwając się na kolana i ciężko dysząc.

Uznałem, że przed przejściem do zabiegów dyplomatycznych trzeba jasno określić, że nie jesteśmy po tej samej stronie.

Cofnąłem się o krok i spojrzałem na jego ludzi. Najwyraźniej byli podobnego zdania, bo skierowali we mnie broń. Tyle jeśli chodzi o dyplomację...

- Odłóżcie broń. Natychmiast - rozkazałem.

Coś takiego nazywają dramatyczną chwilą. Wystarczył jeden błąd, aby stało się coś złego, a wyczułem, że przynajmniej dwóch z nich miałoby ochotę go popełnić.

W tej samej chwili zza rogu wypadło pięciu Amerykanów z wyciągniętą bronią. Gdy biegliśmy w kierunku bloku, Tirey był na tyle przytomny, by uruchomić alarm.

- Powiedz im, że gra jest skończona - rzekł Tirey do Bian głosem, w którym wyczułem wyraźną ulgę. - Zwrócił się do swoich ludzi. - Odebrać im broń i skuć.

Bian powiedziała coś po arabsku. Saudyjscy strażnicy widząc, że jest już po wszystkim, zaczęli opuszczać broń i układać ją na posadzce. Uznałem, że to dobry znak, bo jeszcze przed chwilą mierzyli we mnie.

Hermetyczna zasłona otaczająca tę operację została podniesiona. W ciągu kilku minut wszyscy w bazie dowiedzą się o Alim Ibn Paszy, a jego śmierć będzie przez wiele tygodni *du jour*. Takie morderstwo może pokrzyżować nawet najlepsze plany.

- Gdzie jest cela Ibn Paszy? - zapytała Tireya Bian.

- Tam.

Pobiegliśmy w jej stronę, chociaż nie było powodu do pośpiechu. Tirey wcisnął przycisk, który elektronicznie odblokował drzwi, aby następnie otworzyć je na oścież.

Weszliśmy do pomieszczenia, które natychmiast wywołało w nas uczucie klaustrofobii. W drzwiach na wysokości głowy dostrzegłem otwór wielkości ośmiu centymetrów. Przez niego rozwalono głowę więźnia. Poczuliśmy gryzący zapach świeżej krwi.

W skroni Ibn Paszy zauważyłem czarny otwór. Gdy spostrzegłem tkankę i krew na posadzce, w pierwszej chwili miałem ochotę wezwać pomoc, chociaż bardziej na miejscu byłby sprzątac.

Bian pochyliła się nad ciałem i zbadała puls.

- Nie żyje. Ci dranie go zamordowali. Nie chcieli, abyśmy dowiedzieli się, co ma do powiedzenia.

Tirey gapi się tępo na zwłoki Ibn Paszy.

- Ta... ta umowa z Saudyjczykami... to był... wiesz, genialny pomysł CIA, powiedział, popatrzył na mnie i nagle zdał sobie sprawę, że jestem jednym z nich. - Wymyślili to wasi.

Ja... ja jedynie wykonywałem rozkazy... - Po tych słowach odszedł w róg celi.

Jego pierwszym odruchem była ochrona własnego tyłka, a jednocześnie uwolnienie od winy umiłowanego FBI. Ktoś musiał zostać pociągnięty do odpowiedzialności - CIA lub FBI

- a ten ranny ptaszek już znalazł swoją dżdżownicę.

Ale facet wyglądał na wstrząśniętego - nie obwinałem go. Podeszedłem, uściśnąłem mu ramię i przypomniałem:

- To miejsce zbrodni i potraktuję je odpowiednio.

- Uhm... - Rozejrzał się po celi, próbując ustalić następny krok.

- Czy morderstwo zostało sfilmowane? Spojrzał na mnie i nie udzielił odpowiedzi.

Powtórzyłem pytanie.

- Co?... Nie. Jak wspominałem, obraz z celi... nie był przekazywany do głównego pokoju nagrań. Chcieliśmy nagrywać jedynie... obraz z pokoju przesłuchań.

Wyznał to z nieszczęśliwą miną, a ja z jeszcze bardziej nieszczęśliwą miną przyjąłem jego wiadomość.

- W porządku - powiedziałem. - Strzelano z bliskiej odległości, prawda? Na broni muszą być ślady krwi, odciski palców na cynglu, ślady prochu na ręce zabójcy. - Ścisnąłem go za ramię.

- Jim... znajdź zabójcę.

Spojrzał na mnie i w typowy dla ludzi z FBI sposób.

- Ja... To będzie naprawdę delikatna sprawa. Nie mam władzy prawnej nad Saudyjczykami.

- Sądziś, że chcemy ich postawić przed amerykańskim sądem? Zapomnij o prawnych subtelnościach. - Wskazałem na ciało Ibn Paszy. - Oni to zrobili.

- W porządku. Taak. - Wrócił na korytarz i przyjął rutynową postawę, rozkazując swoim ludziom rozdzielić więźniów i wysyłając kogoś na górę po zestaw kryminalistyczny.

Bian chciała coś powiedzieć, lecz położyłem jej palec na ustach, wskazując oświetlenie.

Kiedy cofnąłem rękę, wzięła głęboki oddech.

- Wszystko na nic, Sean. Wszystko... stracone.

Rozdział trzydziesty drugi

W kraju, w którym gwałtowna śmierć jest zjawiskiem powszechnym, machina uruchamiana po tym tragicznym fakcie działa ze zdumiewającą skutecznością.

Ciało Ibn Paszy zostało umieszczone w worku, oznaczone i złożone w kostnicy na terenie bazy - na długiej metalowej półce wana z chłodnią wypożyczonego z kuchni. Broń Saudyjczyków starannie zebrano, odkurzone i sprawdzono na obecność śladów prochu.

Jednocześnie tłumacze przesłuchali pięciu saudyjskich strażników i dwóch agentów z sąsiednich cel, pobrano im odciski palców i sprawdzono ślady prochu, a następnie pozamykano w oddzielnych celach.

Standardowa procedura stosowana w razie podejrzenia spisku w tym wypadku oznaczała marnowanie energii, czasu i przestrzeni więziennej. Musieliśmy przyjąć, że był to skoordynowany spisek przeprowadzony przez zawodowców, *ergo* Saudyjczycy zostali przygotowani i wyszkoleni znacznie wcześniej. Mimo to, po wielkiej wpadce, każdy przywiązuje wagę do procedur, których powinien był wcześniej przestrzegać. Taka jest ludzka natura. Postępuję podobnie.

Ludzie Tirey'a przez niemal czterdzieści minut próbowali skłonić mnie do tego, abym przypomniiał sobie, co widziałem. Nawiasem mówiąc i to należy do standardowej procedury -

zmuszanie świadka do wielokrotnego powtarzania opowieści, aż pojawią się rozbieżności, różnice i luki - cokolwiek wskazującego na to, że świadek nie jest wiarygodny, że przeoczył jakiś ważny szczegół lub mataczy. W moich zeznaniach nie było jednak żadnych rozbieżności

- Ibn Pasza nie żył, zostaliśmy zaskoczeni, a teraz wszyscy szamotali się, aby znaleźć odpowiedź na pytanie, jak i dlaczego. W gruncie rzeczy chodziło nie o to, kto popełnił przestępstwo, lecz komu przypisać winę.

Rozwiązanie zagadki morderstwa popełnionego w zamkniętym pokoju - szczególnie w sytuacji, gdy istnieje wiele dowodów kryminalistycznych - stanowi wzywianie podobne do zawiązania katowskiego węzła. Z drugiej strony odkrycie nazwiska zabójcy wyglądałoby dobrze, przynajmniej na papierze. Wszyscy byli pełni żalu, zakłopotani i spięci. Ktoś sprzątnął nam cennego więźnia sprzed nosa w nowoczesnym więzieniu uważanym za bardzo bezpieczne.

Kiedy federalni mieli już dość wysłuchiwanie moich relacji, Tirey oznajmił, że Phyllis chce mnie widzieć w pokoju obserwacyjnym.

Gdy zamknąłem za sobą drzwi, zauważyłem, że Phyllis i Bian siedzą przy stole konferencyjnym, popijają ciekawą iracką herbatę i prowadzą przyjacielską pogawędkę, której tematem nie był

bynajmniej Ibn Pasza ani nawet Irak. W chwili gdy się pojawiłem, Phyllis mówiła do Bian:

- ...niesamowita wyprzedaż butów, dwa razy do roku w Nordstrom. Mają najlepsze marki za pół ceny.

- Będę jej pilnowała.

Człowiek zapomina, że ma do czynienia z kobietami, które poza prowadzeniem działalności szpiegowskiej i wojskowej mają babskie zainteresowania i zajmują się przyziemnymi sprawami w rodzaju zakupów, gotowania czy robienia na drutach. Niech ktoś mi poda pistolet.

- Przepraszam - powiedziałem dyskretnie, bo za chwilę moglibyśmy zacząć wymieniać przepisy kulinarne lub uwagi na temat najnowszej powieści Daniele Steel.

Phyllis spojrzała na mnie poirytowana.

- Za chwilę. - Po tych słowach podała Bian zdjęcie wielkości portfela. - Jestem wdzięczna, że mi je pokazałaś. To najprzystojniejszy młody oficer, jakiego widziałam.

Oczywiście, na zdjęciu był Wspaniały Mark. Obserwowałem, jak Bian ostrożnie wkłada zdjęcie do portfela. Uśmiechnęła się do Phyllis.

- To wspaniały facet. Prawdziwa ze mnie szczęściara. Odchrząknąłem.

- Przychodzę w nieodpowiednim momencie? Nasz więzień został przed chwilą zamordowany, cała akcja zaprzeczona. Chcę wrócić do domu.

Phyllis rozmasowała skronie.

- Wszyscy jesteśmy zdenerwowani, Sean. Gniew nic tu nie pomoże.

- A co pomoże? Nowe buty?

- Czekałyśmy na ciebie, więc Bian i ja postanowiłyśmy lepiej się poznać.

- To proste - dodała Bian. - Al-Fajef zrobił z nas idiotów.

- Jesteśmy idiotami.

Phyllis rzuciła mi twarde spojrzenie, najwyraźniej żałując swojej teorii zarządzania polegającej na doborze ludzi „niezależnych i nieprzystosowanych”. Chociaż straciliśmy najcenniejszego więźnia, którego udało się ująć w tej wojnie od czasu schwytania Saddama, wydawała się chłodna i opanowana. Wiecie, kolejny dzień w biurze, kolejna spaprana operacja. Agencja doświadczyła tylu porażek i tyle razy znalazła się w kłopotliwej sytuacji od dziesiątego września dwa tysiące pierwszego roku, że człowiek mógł odpowiedzieć wystudowaną obojętnością lub palnąć sobie w łeb. Spojrzała na mnie i powiedziała cicho:

- Nie jesteśmy idiotami. Może powinniśmy zachować większą czujność, kiedy Al-Fajef tak łatwo przystał na odmowę przekazania więźnia.

W tej sprawie nie ma żadnego może, moja pani. Spojrzała na mnie i kontynuowała:

- Jako jedyny zapytałeś, czy na terenie bloku są jacyś Amerykanie. Dlaczego?

Spodziewałeś się, że może do tego dojść?

Zapomniała dodać: „Wszyscy zapomnieliśmy o takiej możliwości, także niejaki Drummond”. Sprawa była jasna.

- Nie - przyznałem. - Kierował mną wrodzony brak zaufania do Saudyjczyków.

- Wszyscy zapomnieliśmy o bezpieczeństwie - skomentowała Bian. - Wszyscy daliśmy się wyprowadzić w pole... wszyscy za to odpowiadamy.

Racja. Niestety, komisja śledcza przyjmie odmienny punkt widzenia - kiedy trzeba znaleźć winnego, wybiera się tylko jednego dupka. W jakim celu miałbym o tym przypominać?

Na usprawiedliwienie Phyllis należy dodać, że powiedziała:

- To moja wina.

- Czy jesteś najwyższym stopniem oficerem w tej bazie? - zapytałem.

- Z technicznego punktu widzenia dowodzi Tiry. Jednak to ja nadzoruję całą operację.
- Sądziłem, że nadzoruje ją Waterbury. A skoro o nim mowa, gdzie jest nasze złote dziecko?
- Wyjechał. - Uśmiechnęła się. - Kilka minut po zamordowaniu Ibn Paszy. Nagle przypomniał sobie, że ma pilne spotkanie z kimś w Bagdadzie.

Odpowiedziałem uśmiechem. Inaczej mówiąc, w chwili gdy gówno trafiło w wentylator, on się zmywał. Byłem pewny, że zadzwonił do swoich kumpli w Waszyngtonie, wskazując palcem na Phyllis, która miała być wszystkiemu winna. Błądzenie jest rzeczą ludzką, lecz zrzucanie winy na innych jest znakiem wyróżniającym ludzi, których czeka obiecująca kariera polityczna.

Wszyscy wiedzieliśmy, że prawdziwymi winowajcami byli faceci rozdający karty w Dystrykcie Kolumbii, którzy polecieli Phyllis współdziałać z Saudyjczykami i *de facto* uruchomili cały ciąg zdarzeń. Jeśli sądzicie, że tych wielkich i wyniosłych kiedykolwiek obarczą winą, nigdy nie pracowaliście dla rządu federalnego.

Rzecz jasna najbardziej winny był ten, kto sprzedał Saudyjczykom wiadomość o aresztowaniu Ibn Paszy. Właśnie ten człowiek wydał na Alego wyrok śmierci i to jego najbardziej chciałem poznać.

- Co Al-Fajef chciał przed nami ukryć? Bian popatrzyła na Phyllis i zasugerowała:
- Może Ibn Pasza i/lub Zarkawi mieli umowę z ich wywiadem? Może chronił Zarkawiego?

Phyllis poświęciła kilka chwil na rozmyślanie o tej sprawie, a właściwie na szybkie rozprawienie się z nią, ponieważ Zarkawi związał się z Al-Kaidą, a Osama dodał członków królewskiej rodziny Saudów do listy swoich celów. Nie byłem co do tego przekonany.

- Może kiedyś Saudyjczycy sądzili, że zdołają się dogadać z Bin Ladenem, lecz dzisiaj wiedzą, że ten człowiek jest ich śmiertelnym wrogiem - powiedziała Phyllis. - Jestem pewna, że wiedzieli, iż po zakończeniu roboty w Iraku Zarkawi i jego kumple zawitają do nich.

Całkiem sensowne, lecz kto wie? W Iraku zaangażowanych było tylu graczy, że nie byłem pewny, czy wszyscy zdają sobie z tego sprawę. Podobnie jak podczas dużej orgii w ciemnym pokoju nie było wiadomo, kto kogo pieprzy, kto jest przez kogo pieprzony i kto, kogo chce wypieprzyć... w sumie jednak i tak nie miało to większego znaczenia, bo sytuacja zmieniała się z każdą minutą.

- Zidentyfikowaliście zabójcę? - spytałem.

- Tak. To sierżant z ochrony więzienia. Abu Habbibi. Działał w pojedynkę.

- Mierzyło do nas pięciu strażników. Facet nie był sam.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem, Sean.

- W tym problem. Nie wiem, czego nie wiesz. Uśmiechnęła się, lecz w wyrazie jej twarzy dostrzegłem coś twardego.

- Mam nadzieję, że doprowadziłaś do konfrontacji z Al-Fajefem w tej sprawie.

- Odbyliśmy rozmowę.

- I...?

- Był zaszokowany. Twierdził, że o niczym nie wiedział. Przysięgał, że nie miał pojęcia, że coś takiego może się wydarzyć.

- Kłamał.

- Wiem. Przynajmniej był na tyle dobrze wychowany, aby wymyślić przekonujące kłamstwo.

- To znaczy?

- Zadzwonił do centrali, aby sprawdzili sierżanta Habbibiego. Okazało się, że jego rodzice zginęli podczas ulicznego zamachu bombowego zorganizowanego przez Al-Kaidę jakieś sześć miesięcy temu. Zemsta to przekonujący motyw morderstwa.

Bian i ja wymieniliśmy zdumione spojrzenia. Tę samą historyjkę wymyśliła i wypróbowała na Tireu zaledwie godzinę wcześniej. Wtedy nie okazała się skuteczna, a teraz była jeszcze mniej przekonująca.

- Cóż za zbieg okoliczności - zauważyła Bian. Phyllis nie wyczuła ironii kryjącej się w jej słowach.

- Zadzwoiłam do szefa naszej placówki w Dżuddzie. Opisano tę historię w saudyjskich gazetach. Rodzina Habbibiego pojechała po zakupy. Zaparkowali samochód w niewłaściwym miejscu i czasie, a fragmenty ich ciał zostały rozrzucone w promieniu dwóch przecznic.

- Nawet jeśli to prawda, tłumaczy to jedynie, dlaczego został wybrany na wykonawcę egzekucji - zauważyła Bian.

Phyllis uśmiechnęła się.

- Widzę, że zrozumiałaś. - Spojrzała na mnie i dodała: - Opowiedz mi o wszystkim, co widziałeś. Wszystkim.

Zacząłem czuć się tak, jakbym oglądał powtórkę *M*A*S*H*. Opisałem wydarzenia, których byłem świadkiem od chwili przebudzenia Ibn Paszy po czerwony obłok, który pojawił się w okolicy jego głowy.

Kiedy skończyłem, Phyllis zamyśliła się na moment.

- Jesteś pewien, że to była rozmowa? Skinąłem głową.

- Tak. Oczywiście mógł mówić do siebie, lecz wyglądało tak, jakby z kimś rozmawiał.

Jak wiesz, dźwięk został wyłączony. Nie mamy nagrania.

Phyllis odwróciła się do Bian.

- Sprowadź Enzenauera - poleciła. - Znajdziesz go w karetce. Powiedz, aby zabrał ze sobą sprzęt.

Bian wyszła. Phyllis i ja siedzieliśmy w milczeniu przez kolejne pięć minut, udając, że się nie dostrzegamy. Nie byłem zadowolony z niej, a ona ze mnie. O czym mieliśmy gadać?

W końcu drzwi się otworzyły i do środka weszła Bian, a za nią Bob Enzenauer z bliżej nieokreślonym urządzeniem. Ustawił je na środku stołu konferencyjnego, gdzie dokładniej przyjrzałem się aparatowi. W pierwszej chwili pomyślałem, że Phyllis przeżyła atak serca, a przede mną stoi defibrylator. Później zauważyłem, że pręt, który wystaje ze skrzynki, nie był urządzeniem do aplikowania wstrząsów, lecz masywną anteną.

Całkiem zapomniałem o nadajniku umieszczonym pod skórą Ibn Paszy. Ta dziwna maszyna musiała być odbiornikiem, więc może nie wszystko było stracone. Może.

Phyllis uśmiechnęła się uprzejmie do Enzenauera.

- Usiądź, Bob.

Ten zajął miejsce i przez chwilę przyglądał się naszym twarzom, aby w końcu zapytać:

- Stało się coś złego?

- I to bardzo - odparła Phyllis. - Ali Ibn Pasza nie żyje.

- No... cóż... - Na twarzy Enzenauera pojawił się wyraz prawdziwego zatroskania, gdyż najwyraźniej uznał, że śmierć była wynikiem medycznego błędu.

Phyllis świadomie się nad nim pastwiła w sposób typowy dla swojego fachu.

Pozwoliła, aby biedak cierpiał przez jakieś dziesięć sekund, a następnie wyjaśniła:

- Został zamordowany. Przez saudyjskich strażników.

- Ach...

- Niestety nasi przyjaciele z FBI nie nagrali tego, co wydarzyło się w celi - kontynuowała. - Stąd pytanie: czy Ibn Pasza nadawał i czy został nagrany?

W sposób typowy dla swojego fachu Enzenauer milczał przez jakieś trzydzieści sekund, jakby głęboko nad czymś rozmyślał i jakby Phyllis poprosiła go o rozwiązanie zagadki wszechświata.

- No cóż... - zaczął. - Urządzenie uaktywnia się na dźwięk, więc... - Spojrzał na nasze twarze. - Jeśli facet wydawał jakieś dźwięki, to nadawał. Nie mam pojęcia, czy to zostało nagrane.

Wszyscy wpatrywaliśmy się z zapartym tchem w aparat spoczywający na biurku.

W końcu odchrząknąłem.

- Potrafisz to uruchomić? - zapytałem.

- Oczywiście. - Przycisnął kilka guzików i maszyna wydała obiecujący dźwięk przewijanej taśmy. Po raz pierwszy tego dnia wyglądało na to, że coś się nam udało.

Popatrzyliśmy na siebie z niedowierzaniem. Taśma zatrzymała się i Enzenauer wcisnął klawisz odtwarzania.

Zgodnie ze słowami Boba nadajnik uaktywniał się na dźwięk - pierwszy odgłos był czysty i wyraźny jak dzwon: Ali Ibn Pasza wydał długie i przeraźliwie głośne pierdnięcie.

Odgłos ten powtórzył się kilka razy, a po nim nastąpiło stęknienie wyrażające zadowolenie.

Nikt się nie roześmiał ani nawet nie uśmiechnął. W pokoju panował taki nastrój, że nawet ja oparłem się pokusie wypowiedzenia ordynarnej uwagi.

Enzenauer, najwyraźniej z potrzeby dostarczenia medycznej diagnozy, nacisnął przycisk pauzy i wyjaśnił:

- Więzień przez trzy dni był nieprzytomny, to normalne, że organizm się oczyszcza.

Ponownie czułem nieodparte pragnienie powiedzenia czegoś, lecz Bian spojrzała na mnie tak, jakby umiała czytać mi w myślach.

Doktor uruchomił taśmę. Usłyszeliśmy ludzi krzyczących i wyjących z bólu.

Spojrzałem na Phyllis i Enzenauera.

- To nagranie. Straszą w ten sposób nowych więźniów. Phyllis skinęła głową, jakby o wszystkim wiedziała. Kolejnym odgłosem był jęk i skrzypienie łóżka towarzyszące podnoszeniu się Ibn Paszy. Później usłyszeliśmy głosy - dwa różne głosy - układające się w dialog. Była to prowadzona po arabsku rozmowa więźnia z bliżej nieokreśloną osobą. Trwała nie dłużej niż minutę i zakończyła się głośnym wystrzałem.

Następnym dźwiękiem był głos Bian nagrany na taśmie. „Nie żyje. Ci dranie go zamordowali. Nie chcieli, abyśmy dowiedzieli się, co ma do powiedzenia”.

Tirey: „Ta... ta umowa z Saudyjczykami... to był... wiesz, genialny pomysł CIA.

Wymyślili to wasi. Ja... ja jedynie wykonywałem rozkazy...”.

Ja: „To miejsce zbrodni i potraktuję je odpowiednio”. „Uhm...”.

Ponownie ja: „Czy morderstwo zostało sfilmowane?”. Nacisnąłem przycisk stop.

- Tirey nie marnuje czasu, co? - zauważyła Phyllis.

- Poczekaj na oficjalne przesłuchanie. To była zaledwie pierwsza próba. - Spojrzałem na Bian i poprosiłem: - Przetłumacz.

- Muszę posłuchać jeszcze raz. Ten hałas z taśmy z torturami... to było... - Wzruszyła ramionami.

Doktor cofnął i kilka razy odtworzył żądany fragment nagrania, podczas gdy Bian w skupieniu coś notowała. Kilka fraz, a właściwie nazwisk, było rozpoznawalnych nawet dla mnie.

Podniosła wzrok znad notatnika i powiedziała do Enzenauera:

- Proszę, jeszcze raz... - Coś zapisała i wyjaśniła: - Mam już prawie wszystko.

Enzenauer ponownie odtworzył nagranie, a Bian śledziła dialog zanotowany na kartce.

- W porządku - oznajmiła. - Gdy Ibn Pasza... po oddaniu wiatrów... rozległ się głos strażnika.

Zawołał: „Już się obudziłeś?”. Ibn Pasza odpowiedział: „Tak”, a następnie zapytał

tamtego: „Po co puszczaacie to idiotyczne nagrania? Tylko głupiec da się nabrać na taką sztuczkę. Jedynie Amerykanie mogliby wymyślić coś tak idiotycznego”. Strażnik roześmiał się i krzyknął, że taśma może być fałszywa, lecz cierpienia Ibn Paszy już wkrótce okażą się prawdziwe.

Bian podniosła wzrok i wyjaśniła:

- Takie jest znaczenie słów. Język arabski ma inną strukturę niż angielski.

Charakteryzuje go bardziej formalny charakter. Inny jest szyk czasowników i rzeczowników.

Tłumaczę to na mowę potoczną.

- Świetnie ci idzie - skwitowałem. Spojrzała na notatnik i ciągnęła:

- Ibn Pasza pyta strażnika, jak się nazywa. Ten odpowiada, że Abu Habbibi. Wtedy Ibn Pasza ostrzega go: „Popelniasz wielki błąd, który zaszkodzi twojemu zdrowiu”. Habbibi ponownie się śmieje, a następnie pyta: „A to czemu?”.

Bian przerwała na chwilę, a następnie powiedziała:

- Ibn Pasza wyjaśnia mu, że w celu rozwiązania zagadki musi wykonać tylko dwa telefony... -

Popatrzyła na nas i wyjaśniła: - Ponieważ urządzenie reaguje na dźwięk, w rozmowie nie ma przerw. Myślę, że... ze zmiany tonu wynika, iż nastąpiła pauza.

Przypomniałem sobie to, co widziałem na ekranie, i zasugerowałem:

- Pewnie wtedy Ibn Pasza podszedł do drzwi celi. Bian skinęła głową.

- To ma sens. Później mówi do Habbibiego: „Wystarczy wykonać dwa telefony, a wszystko stanie się jasne. Jeśli tego nie uczynisz, ty i twoja rodzina zginiecie straszną śmiercią. Wiem, jak się nazywasz. Czeka cię jednak wielka nagroda, jeśli zadzwonisz i uczynisz to, co ci każę”. Habbibi odpowiada: „Kiepsko słyszę. Twoje słowa zagłuszają odgłosy z taśmy. Podejdź bliżej do otworu. Powiedz jeszcze raz, o co ci chodzi”.

- Wtedy... - Bian spojrzała na nasze twarze, a następnie ponownie na notatnik i kontynuowała: -

Wtedy Ibn Pasza powiedział: „Zadzwoń do księcia Fauda Ibn as-Sluka lub do księcia Aliego Ibn Abd as-Sajjeda. Powiedzą ci, co ze mną zrobić”. Habbibi odpowiedział:

„Nic nie słyszę...”.

- Jesteś tego pewna? - przerwała Phyllis.

- Tak.

- Chodzi mi o nazwiska. Wymienił nazwiska dwóch książąt?

- Wiem, o co pytasz. Sama przesłuchaj taśmę. Oba nazwiska są łatwo rozpoznawalne.

Phyllis skinęła głową.

- Mów dalej.

- Później nie dzieje się nic szczególnego. Ibn Pasza podaje numery telefonów Habbibiemu. Nie jestem pewna, czy dobrze je usłyszałam... Przynął się do drzwi, a dźwięk z głośników był ogłuszający.

- Spróbuj - zachęciłem ją.

- No cóż... Habbibi też miał problem z ich usłyszeniem albo udawał... ostatnie słowa, które wypowiedział do Ibn Paszy brzmiały: „Powtórz jeszcze raz. Podejdź bliżej. Przyłóż głowę do otworu” - Bian spojrzała na nas i dodała: - Wtedy padł strzał.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. W przeciwieństwie do pozostałych pamiętałem obrazy towarzyszące ścieżce dźwiękowej i mogłem odtworzyć w myślach całą scenę, łącząc słowa z czynami. Podstęp, na który odpowiedziano innym podstępem.

Ali Ibn Pasza myślał, że się z nami bawi. Przypomniałem sobie jego dziwny uśmiech na szpitalnym łóżku, kiedy Bian i ja oznajmiliśmy, że zostanie przekazany Saudyjczykom.

Uśmiech. Sądziłem, że przekazujemy mu najgorszą wiadomość, lecz dla niego był to głos zbawienia.

Niestety, okazał się wyrokiem śmierci. Ali Ibn Pasza ani my nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Ten człowiek, odpowiedzialny za wiele ofiar, sądził, że wyciągnęliśmy asa z jego rękawa, nawet gdy Habbibi ustawiał go niczym ogromną głupią rybę w idealnej pozycji do odstrzelenia mu łba. Bardzo zabawne, a jednocześnie bardzo smutne.

W końcu spojrzałem na Phyllis.

- Kim są ci książęta, których wymienił? - zapytałem. Potrząsnęła głową.

- W Arabii Saudyjskiej żyje pięć lub sześć tysięcy książąt. Mężczyźni z rodziny królewskiej poślubiają wiele kobiet i są niezwykle płodni. To narodowe przekleństwo.

Przeszedłem do kolejnego logicznego pytania bardziej sokratejskiej natury:

- Dlaczego Ibn Pasza zapamiętał numery ich telefonów? I dlaczego podał je Habbibiemu?

- Chciał zapewnić sobie ochronę. Najwyraźniej oczekiwał jakiejś interwencji z ich strony.

- Dlaczego mieliby go chronić?

Zamiast odpowiedzieć, Phyllis wstała i podeszła do telefonu. Podniosła słuchawkę, wprowadziła numer i po chwili wydała polecenie, aby odnaleźć szejka Al-Fajefa i sprowadzić go pod eskortą do sali konferencyjnej.

Rozłączyła się i powiedziała:

- Ja będę mówiła, a wy będziecie siedzieć cicho i zachowywać się uprzejmie. Nie prowokujcie go ani nie próbujcie zastraszyć.

- Przyrzekam - zapewniłem szefową. Mogłem oderwać mu głowę lub zmiażdżyć krtań, lecz nie miałem zamiaru go prowokować ani straszyć.

Phyllis spojrzała na Bian, która odpowiedziała z wyraźnym ociąganiem:

- Zrozumiałam. Zapadło milczenie.

Po kilku sekundach usłyszeliśmy pukanie do drzwi.

Rozdział trzydziesty trzeci

Szejk wszedł do pokoju. W ręce trzymał cienką walizeczkę z lśniącej skóry, która kosztowała pewnie więcej od mojego samochodu. Na jego twarzy malował się charakterystyczny wyraz lekceważącego znudzenia.

Trudno było dostrzec u niego choćby najmniejszy ślad żalu, smutku, winy lub zaniepokojenia. Trzeba przyznać, że facet miał klasę. Zwykle podziwiam tę cechę, lecz nie tym razem. Marzyłem, aby zacisnąć dłonie na jego szyi, tak by wyszły mu oczy z orbit.

Phyllis przez chwilę sprawiała wrażenie zagubionej, w końcu jednak podniosła wzrok i powiedziała:

- Usiądź. Powinieneś czegoś wysłuchać.

Spojrzał na nas, przez chwilę jego wzrok spoczął na aparacie, który później celowo ignorował. Byłem pewny, że wie, iż wszedł do jaskini lwów, bestie są głodne, a tajemnicze urządzenie stojące na stole ma dodać jadłu smaku. Spokojnie zapalił papierosa, postawił walizeczkę na stole i usiadł. Phyllis dała znak doktorowi Enzenauerowi, który włączył odtwarzanie.

Szejk zaciągnął się papierosem, słuchając nagrania. Trzeba przyznać, że był zawodowcem, bo nawet nie mrugnął, gdy rozległ się huk wystrzału, nie okazał też żadnych uczuć.

Enzenauer przytomnie wyłączył urządzenie, zanim Tirey wygłosił swój apologetyczny monolog. Wszystko było jasne.

Siedzieliśmy w milczeniu, niepewni, kto powinien wykonać następny ruch. Jeśli chodzi o Bian, doktora Enzenauera i mnie, nie mieliśmy żadnych wątpliwości. Ta sprawa znacznie wykraczała poza nasze kompetencje. Szefowie musieli rozegrać to między sobą.

Nagle szejek klasnął w dłonie i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Ha, ha! Phyllis... przechytrzyłaś mnie. W jaki sposób... nie, niech zgadnę... -

Zmarszczył brwi i z rozbawieniem pogładził kozią bródkę. - Miał nadajnik, prawda? Gdzie? Wszyłście mu w spodnie?

- Nosił go we własnym ciele - odpowiedziała Phyllis, podejmując grę.

Spojrzał na nią w zamyśleniu.

- Ach... no tak. - Popatrzył z podziwem na doktora Enzenauera. - Genialne. -

Roześmiał się. - Świetna robota, doktorze.

- Kim są ci książęta? - zapytała Al-Fajefa.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Tak. Powiedz mi.

- To ludzie pozbawieni większego znaczenia. Pomniejsi członkowie rodziny królewskiej.

Wiesz, jacy są nasi władcy. To duża ferma królików rozplodowych.

Phyllis przyglądała się mu przez dłuższą chwilę, a następnie zapytała:

- W takim razie, dlaczego Ibn Pasza oczekiwał od nich ochrony? Myślę, że do tego momentu Al-Fajef sondował sytuację, aby sprawdzić, czy Phyllis skojarzyła fakty. Cóż, najwyraźniej jej - i nam wszystkim - się to udało, bo z wyrazu jego inteligentnych czarnych oczu widać było, iż stara się wymyślić podstęp i blef. Zachichotał ponownie, próbując zyskać na czasie, i powiedział:

- Phyllis... Phyllis... jak długo się znamy? Nozdrza Phyllis rozszerzyły się.

- Lepiej mnie nie oszukuj, Turki - syknęła. - Wykorzystałaś moją gościnność i upokorzyłaś mnie.

Wszedłaś do bazy i zamordowałaś mojego więźnia...

- Proszę - przerwał jej. - Ja...

- Słuchaj, dopóki nie skończę - rzuciła z gniewem. Wzięła głęboki oddech i kontynuowała: - W tej chwili dyrektor jest w Białym Domu i próbuje wyjaśnić, co się stało.

Kiedy poinformuję go, że w swoich ostatnich słowach Ibn Pasza wymienił członków rodziny królewskiej, będziesz miał problemy, o jakich ci się nie śniło. Ta sprawa zamieni się w koszmar dla twojego kraju i dla ciebie... osobiście.

Spojrzał na nią lekko zaszokowany. Do tej chwili Phyllis i szejek działali zgodnie z protokołem obowiązującym między szpiegami - markowali ciosy i zasłaniaли się w pantomimie przypominającej dyplomację, w której prawdziwe znaczenia kryją się za zasłoną pełnych napięcia uśmiechów i wymijających słów. Teraz poczuł, że ziemia usuwa się mu spod nóg, bo sprawa wyszła na jaw i może mu coś grozić.

Phyllis przysunęła się bliżej niego i oznajmiła:

- Prowadzimy wojnę. Zginęło tysiąc pięciuset Amerykanów. Nadchodzą wybory.

Zapewniam cię, że nie chcesz, abyśmy źle odczytali stanowisko, które zajmuje twój kraj. - Po chwili dodała groźniej. - Jestem pewna, że nie chcesz, abym uważała cię za swojego osobistego wroga.

Słowa Phyllis podniosły o kilka stopni temperaturę w pokoju. Nawet ja - chociaż na szczęście tym razem nie byłem obiektem jej gniewu - poczułem, jak zimny dreszcz przechodzi mi po plecach. Była naprawdę wściekła i na miejscu szejka z pewnością wolałbym cieszyć się życiem pod zmienionym nazwiskiem gdzieś w Brazylii, oczywiście po krótkim zawitaniu do Szwecji na zabieg zmiany płci, ponieważ gdy ściga cię Phyllis, żadne środki ostrożności nie są nadmierne.

Al-Fajef starał się zachować zimną krew, lecz mu się to nie udało. Odwrócił oczy i zaczął gapić się w stół oraz - nie jestem pewien, czy sobie tego nie wyobraziłem - wypalił pół papierosa jednym pociągnięciem.

- Masz szansę wyjaśnienia, co jest na taśmie. Niepowtarzalną. Nie zmarnuj jej, Turki.

Pomyślałem, ile to razy Phyllis prawila mi kazania na temat taktu i dyplomacji.

Mogłem jej wytknąć obłudę, lecz przeżyłem tamtą noc w Falludzy i nie chciałem więcej kusić losu.

Jeśli chodzi o Turkiego, nie wyglądał już na znudzonego, nonszalanckiego lub czarującego - facet poważnie się zastanawiał. Najwyraźniej rozważał, czy lepiej zdradzić tajne operacje saudyjskiego wywiadu i narazić się na gniew władców, czy trzymać gębę na kłódkę i wkurzyć Phyllis.

Pomyślałem, że to dobra pora na małą poradę prawną, więc przerwałem jego gorączkowe rozmyślenia i oznajmiłem:

- Aresztowaliśmy siedmiu pracowników waszego wywiadu. Są oskarżeni o morderstwo i udział w spisku. Oskarżeń będzie więcej - szpiegostwo, utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości i inne.

- Musicie oddać ich mnie - odpowiedział. - Są Saudyjczykami. Staną przed saudyjskim wymiarem sprawiedliwości.

- Nie... przestępstwa dokonano na terenie amerykańskiej bazy wojskowej, a oni nie mają papierów dyplomatycznych, dlatego podlegają naszemu prawu i będą sądzeni przez nasz sąd. Rzecz jasna będą mieli prawo do publicznego procesu, a przyrzekam ci, że będzie to... niezwykle publiczny proces.

Oczywiście, szpiegostwo publicznie nie znoś publicznego dochodzenia, bo ujawnienie amerykańskiej opinii publicznej szczegółów zabójstwa mogło wyrządzić bardzo dużo złego.

Byłem pewny, że teraz żałował, iż nie nalegał na przekazanie więźnia, zaczął też pomału dochodzić do wniosku, że zamordowanie Ibn Paszy w amerykańskiej bazie wojskowej było ogromnym błędem - w dziedzinie public relations prawnym i profesjonalnym - którego przełożeni nigdy mu nie wybaczą.

Chciał się sprzeciwić, lecz mu przerwałem:

- Oczywiście postawimy cię w stan oskarżenia jako osobę biorącą udział w spisku.

- Nie możecie mnie aresztować. Mam paszport dyplomatyczny.

- Wiem. Masz prawo odmówić poddania się dobrowolnemu aresztowi. Zostaniesz wezwany w późniejszym terminie. Nasz kraj zażąda twojej ekstradycji. Jeśli nie pojawisz się w amerykańskim sądzie, zostaniesz osądzony *in absentia* i znajdziesz się na pierwszej stronie wszystkich amerykańskich gazet. Gdy zostaniesz skazany, zaczekamy, aż opuścisz Arabię Saudyjską. - Popatrzyliśmy sobie w oczy. - Jeśli nie dopadniemy cię dziś, dopadniemy jutro.

Myślę, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- Nie zrobicie tego.

- Czy mogę ci polecić dobrego prawnika? Powinieneś zatrudnić moją kuzynkę. Jest droga, złośliwa i warta każdego wydanego na nią centa.

- To jest... narazilibyście na poważny szwank... zniszczylibyście przyjaźń pomiędzy naszymi krajami.

- Nie sądzę - odparłem. - My musimy kupować ropę, a wy ją sprzedawać. Na tym polega niewidzialna ręka rynku, o której pisał Adam Smith - każdy, kto stanie jej na drodze, zostanie rozgnieciony jak mucha. - Ponownie spojrzeliśmy na siebie. - Naprawdę wierzysz w to, że rodzina

Saudów zrezygnuje z letnich wakacji w St. Moritz i wszystkich wspaniałych pałaców, aby cię chronić? Ja, nie.

Aby upewnić się, że dobrze zrozumiał, dodałem:

- Obu nas można zastąpić. Jest o tym mowa w kontrakcie. Zrozumiał, co mam na myśli, i spuścił wzrok. Po chwili spojrzał na Phyllis i powiedział:

- Dobrze wiesz, że byłoby to bardzo nieprofesjonalne. Popełniłbym... niewybaczalny błąd.

- Myślę, że powinienes zanotować sobie nazwisko kuzynki Drummonda - odparła, strząsając pyłek z ramienia.

Facet o takiej przeszłości i doświadczeniu jak Al-Fajef powinien wyczuć nasz mały duecik. Byłem pewny, że na pewnym poziomie rozumiał, co się dzieje. Z drugiej strony kiedy człowiek znajdzie się w niewygodnym położeniu, często robi rzeczy sprzeczne z intuicją.

Okazało się, że Al-Fajef ma silne opory pomimo gróźb Phyllis związanych z jego zdrowiem, moich gróźb pod adresem reputacji jego kraju i swojej wiedzy na temat rodziny królewskiej.

- Nie spodoba się wam prawda - warknął.

- Bardzo możliwe - odpowiedziała Phyllis. - Jeśli nam jej nie powiesz, nie spodobają ci się konsekwencje.

Szejk rozgniółł papierosa na podłodze i oznajmił:

- To, co się tu stało dzisiaj... to wina Ameryki. Postanowiłem, że potraktuję Al-Fajefa jak wrogiego świadka, którym faktycznie był, i odpowiedziałem:

- Owszem, zawiniliśmy, bo zaufaliśmy tobie. Dlaczego wydałeś rozkaz jego zabicia?

- Wręcz przeciwnie, to naszym błędem było zaufanie wam. Ameryce. - Spojrzał na mnie. - Czy wiesz, kto jest naszym głównym wrogiem?

- Wy sami?

Mimo napiętej atmosfery odzyskał odrobinę uroku osobistego i roześmiał się.

- Coś w tym jest. - Ponieważ nikt z obecnych nie zareagował, ponownie przybrał poważną minę. - W takim razie wam powiem. To szyici. Od tysiąca trzystu lat naszym największym problemem są szyici. Ludzie Zachodu uważają, że to staroświecki, irracjonalny spór. Cień historii, który zniknie, gdy zajaśnieje słońce demokracji. Skądże. Szyici to odstępcy kalający prawdziwą wiarę. Ilu Amerykanów wie, co odróżnia szyitów od sunnitów?

Spojrzał na nas, aby sprawdzić, jak zareagujemy, i po tym, co zobaczył, postanowił zacząć od początku.

- Przybyliście do naszego regionu, sądząc, że uda się wam zaprowadzić nowy ład.

Wszystko naprawić. Wymieszać wszystkich i przyrządzić wielki szczęśliwy arabski omlet.

- Tym razem przybyliśmy na zaproszenie. - Popatrzyłem mu prosto w oczy. - Zginęły trzy tysiące Amerykanów. Piętnastu zabójców było Saudyjczykami. Wasze nieszczęście stało się naszym.

Szejk nie chciał, aby przypominać mu o tej przykrej prawdzie.

- Wiecie, że studiowałem na Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona. Zrobiłem licencjat i magisterium. Wielu Saudyjczyków studiowało w waszym kraju. - Spojrzał na mnie znacząco:

- Chodziłeś do saudyjskiej szkoły?

- Nie.

- A wasz prezydent, wielki architekt przyszłości wszystkich Arabów?

To pytanie nie wymagało żadnej odpowiedzi.

- Ilu Amerykanów studiowało na saudyjskich uniwersytetach? - Zrobił teatralną pauzę, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią. - Nie znacie naszej kultury, naszego ludu i obyczajów. Nic was to nie obchodzi. Wolicie hollywoodzkie stereotypy od prawdziwej wiedzy. Mimo to uważacie, że

macie lekarstwo na nasze problemy, że wiecie, jak powinna wyglądać nasza przyszłość.

- Jeśli w twoim kraju chrześcijanin założy krzyż, zostanie uznany za przestępcę -

przypomniała Bian. - Jeśli kobieta będzie prowadziła samochód, nie zakryje twarzy lub odsłoni kawałek nogi, zostanie aresztowana przez religijnych fanatyków. Wasze szkoły i uniwersytety są znane jedynie z tego, iż uczą religijnej nietolerancji i szowinizmu. Jeśli chcecie, aby Amerykanie u was studiowali, przyjmijcie ich życzliwie.

- Kiedy mieszkałem w waszym kraju, nosiłem wasze ubrania, jadłem wasze jedzenie i posyłałem dzieci do waszych szkół.

- Pewnie piłeś na umór, rwałeś Amerykanki i robiłeś inne pasjonujące rzeczy, których nie śmiałeś robić w domu. Udawanie Amerykanina to niezły ubaw. Pewnie był to najlepszy okres w twoim życiu.

Mądrze nie wyznał nam swoich grzechów i słabości, lecz podkreślił:

- Jeśli chcecie żyć wśród nas, postępujcie jak my. Aby zrozumieć nasz sposób postępowania, przywdziejcie nasze buty. Czy Jezus Chrystus tego nie nauczał?

- Wspominał coś o sandałach. Do czego zmierzasz?

- Już mówię. Rozpoczęliście tę wojnę i wywołaliście chaos. Saddam był złym człowiekiem... tak, tak, wszyscy o tym wiemy. Przyznaję, że nie rozpaczamy z powodu jego odejścia. To barbarzyńca. Plama na honorze Arabów. Jest jednak coś gorszego niż on - Irak rządony przez szytę, marionetkę lub sprzymierzeńca Iranu.

- Mów dalej.

- Dzięki komu szyici doszli do władzy w Iranie?

- Dzięki szyitom?

- Nie, dzięki waszemu prezydentowi, Jimmy'emu Carterowi. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku przyczynił się do obalenia szacha Pahlawiego w Iranie, otwierając drogę Chomeiniemu, jego ajatollahom i rewolucji szyickiej. Wasz prezydent nazwał to aktem pryncypialnego moralizmu. Przysiągł, że Ameryka już nigdy więcej nie sprzymierzy się z żadnym despota. Dla własnej wygody moralnej i z ignoranckiej naiwności zdestabilizował cały region.

- Może uznał, że nie może zepsuć sytuacji bardziej niż wy - odparłem.

- Brak stabilności zawiniony przez nas to jedno, a chaos wywołany obcą interwencją to drugie.

Kontynuował, a ja próbowałem pojąć jego rozumowanie.

- Później wybuchła ośmioletnia wojna pomiędzy Iranem i Irakiem, rozpoczęły się szyickie rządy terroru w Libanie i irańska groźba objęcia rewolucją wszystkich krajów regionu. Miliony zmarnowanych istnień ludzkich z powodu waszego prezydenta. Z powodu Ameryki.

Uśmiechnął się w moim kierunku.

- Mówiąc twoim językiem, jest do dupy. - Jego uśmiech okazał się jednak nieprzyjemny i zaraz znikł. - Teraz Irańczycy prowadzą prace nad budową bomby atomowej.

Gdyby ich sprzymierzeńcy w Iraku zdobyli władzę, zagroziłoby nam śmiertelne niebezpieczeństwo. Rozumiecie to?

Przypomniałem sobie, czego dowiedziałem się o Cliffie Danielsie i Mahmudzie Charabim, i w mojej głowie rozbłysło światelko. Spojrzałem na Phyllis. Gdyby ten facet dowiedział się o naszych podejrzeniach na temat machlojek Charabiego z Ameryką i Iranem, mielibyśmy wielkie polityczne trzęsienie ziemi. Spojrzałem na Bian. Milcząco kiwnęła głową na znak, że rozumie.

- Możesz to dokładniej wyjaśnić? - zapytałem wymijająco.

- Dlaczego? Wy, Amerykanie, nigdy nie słuchacie. Jesteście najbardziej niewrażliwymi,

rozmiłowanymi w luksusie i zadufanymi w sobie ludźmi na ziemi.

- Cóż... trudno być wielkim.

Te słowa wyraźnie go poirytowały, co było moją intencją.

- Traktujecie świat jak swój wielki plac zabaw. Wasza ignorancja jest zdumiewająca.

Arabskie przysłowie powiada: Duży człowiek nie potrafi spojrzeć na świat oczami małego.

- Może duży człowiek więcej widzi.

Przypatrywał mi się przez dłuższą chwilę, a następnie powiedział do Bian:

- Jestem pewien, że pani rozumie. Proszę pomyśleć, ile szkód potęga i arogancja Amerykanów

wywrządziła pani narodowi i ojczyźnie.

- Proszę się trzymać tego, co tu i teraz - odparła przytomnie.

- Dobrze... jak pani sobie życzy. Saudyjczycy wyrazili zgodę, abyście założyli u nich bazy wojskowe. Udzielaliśmy wam politycznego wsparcia. Dzięki naszej taniej ropie przez wiele dziesięcioleci mogliście bez przeszkód folgować pragnieniu posiadania dużych samochodów i dużych domów. W ten sposób docieramy do chwili obecnej. Jak wasz prezydent odwzajemnia nasze dary, naszą hojność i przyjaźń?

Domyśliłem się, co za chwilę powie, i rzeczywiście tak się stało.

- Teraz otwarcie głosi, że nasz system rządzenia jest gorszy. Prawi kazania o zaprowadzeniu demokracji w naszym królestwie. Ponieważ w Iraku nie znaleziono broni atomowej i chemicznej, jako powód wojny podaje chęć szerzenia demokracji. Kogo zdaniem tego głupca ma zastąpić jego demokracja? Czy jest tak ślepy i głupi, że nie zdaje sobie sprawy z gróźb pod adresem naszej rodziny królewskiej, które wygłasza?

Phyllis miała wyraźnie dość tej politycznej dialektyki.

- Do rzeczy, Turki - przerwała mu. Przypatrywał się jej przez chwilę.

- Właśnie o to chodzi. W rodzinie królewskiej istnieją frakcje - z każdym dniem coraz silniejsze - przekonane, że przyjaźń z Ameryką była poważnym błędem. Uważają, że Ameryka spowodowała ogromną katastrofę w Iraku i że ten błąd stanie się przyczyną naszej zguby. Do władzy dochodzą szyici, a wy już macie dość tej wojny. Nie możecie się doczekać wycofania wojsk i opuszczenia tego kraju. Do kogo waszym zdaniem iraccy szyici zwrócą się wówczas o pomoc przed sunnitami?

Przemawiał jak w transie, wykorzystując szansę wygłoszenia wykładu głupim Amerykanom i ponownie odpowiadając na własne pytanie.

- Do Persów. Do Iranu. Wszystkie państwa rejonu zatoki - wszyscy wielcy producenci ropy - staną w obliczu zagłady. Wyobraźcie sobie ponad połowę światowych zasobów ropy w rękach mułłów z Teheranu. Ameryka popełnia ekonomiczne samobójstwo. - Przerwał, a po chwili dodał bardziej złowrogo: - Popełniacie samobójstwo za nas wszystkich.

Phyllis miała już dość tego komentarza, bo zapytała:

- Czy ci dwaj książęta, Ali i Faud, przekazują pieniądze i wsparcie Zarkawiemu?

Kilka razy odetchnął głębiej.

- Nie wiem tego na pewno.

- A co wiesz?

- To niewykluczone. Może pomagają im oni, może inni... zapewne uznali, że nie należy pozwolić, aby szyici przejęli władzę w Iraku.

Arabowie rzadko udzielają bezpośredniej odpowiedzi, szczególnie na kłopotliwe pytania. Trzeba ich uważnie słuchać, oddzielać ziarno od plew i stosować zasadę przeciwieństw, zgodnie z którą „nie” znaczy „tak”, „tak” - „być może”, a „być może” tyle co „nie twój interes”.

- A inni? - zapytała Phyllis.
- Mogą w tym uczestniczyć.
- Kim oni są?
- Nie mam pojęcia. - Znaczyło to tyle, że on wie, lecz my musimy się tego sami dowiedzieć.
- Kim są ci dwaj książęta?

Al-Fajef wyraźnie nie chciał usłyszeć tego pytania i chemie by na nie nie odpowiadał.

Ponieważ jednak znaleźliśmy już ich nazwiska, z pewnością byśmy się tego dowiedzieli z własnych źródeł. Szejek po raz pierwszy udzielił bezpośredniej i jednoznacznej odpowiedzi:

- Książę Faud jest trzecim synem ministra obrony. Książę Ali to drugi syn ministra przemysłu wydobywczego.

Spojrzał na nas uważnie, sprawdzając, jak zareagujemy. Wcześniej zaznaczył, że wspomniani książęta byli postaciami bez znaczenia - co mogło być prawdą lub nie - lecz ich ojcowie byli najbardziej potężnymi i wpływowymi obywatelami królestwa, a w kraju, gdzie pokrewieństwo oznacza los wygrany na loterii, ich synowie musieli odgrywać ważną rolę.

Ponieważ nie zareagowaliśmy ani słowem na to objawienie, zapewnił:

- Mogę i załatwię tę sprawę.

Już miałem zamiar zapytać, co przez to rozumie, gdy Bian pochyliła się w jego stronę.

- Mieliście teczkę z informacjami na temat Ibn Paszy - powiedziała. - Dlaczego?

Dlaczego Ibn Pasza był przedmiotem zainteresowania saudyjskiego wywiadu?

Al-Fajef potraktował jej pytanie tak, jakby było pozbawione większego znaczenia:

- Obserwujemy poczynania wszystkich powracających mudzahedinów, ludzi, którzy byli w Afganistanie, Somalii, Bośni i Czeczenii. Przywożą do kraju... dziwne idee...

Innymi słowy Saudyjczycy nie mieli problemu z tym, że eksportowali bojowników dżihadu, natomiast duży problem się pojawiał, gdy ci wracali do domu.

- Od jak dawna obserwowaliście Ibn Paszę? - zapytała Bian.

- Sądzę, że od czasu jego powrotu z dżihadu w Somalii. Bian zabębniła palcami o blat stołu i powiedziała sarkastycznym tonem:

- Tak sądzisz?

- Mój wydział zajmuje się sprawami bezpieczeństwa zewnętrznego, nie wewnętrznego... więc nie jestem tego pewny. Była to rutynowa sprawa.

- Która ciągnęła się przez dziesięć lat?

- Może. Śledztwo nie trwało nieprzerwanie i nie było szczególnie wnikliwe. Ibn Pasza był jednym z tysięcy mudzahedinów, którzy powrócili do ojczyzny. - Ironiczna wymowa tych słów wyraźnie mu umknęła, bo po chwili dodał: - Widzieliście teczkę. Jego postać nie wzbudziła naszego szczególnego zainteresowania ani nas nie zaalarmowała.

Ostatnia część zdania była tak jawnie kłamliwa, że musiałem się roześmiać.

Szejkowi nie przypadło to do gustu i rzucił mi niemiłe spojrzenie.

- Mimo to, gdy dowiedzieliście się, że ma zostać zatrzymany, wasz ambasador pognął do Białego Domu, by interweniować - rzekła Bian. - Jeśli ten... jeśli Ali Ibn Pasza był dla was nic nieznaczącą płótką, po co zadawaliście sobie tyle trudu?

Było to kolejne pytanie, którego Al-Fajef nie chciał usłyszeć. Szczerze mówiąc, nie zwróciłem na to uwagi, więc przenikliwość Bian wprawiła mnie w zaskoczenie - nie sam fakt, że Saudyjczycy chcieli ukryć sekrety Ibn Paszy, lecz coś innego. Szejek był w równym stopniu zaskoczony i wpatrywał się w Bian bez słowa.

Ponieważ nie udzielił odpowiedzi, Bian zrobiła to za niego:

- Wiedziałeś, że Ibn Pasza należał do terrorystycznej komórki i że bogaci Saudyjczycy przekazują mu pieniądze. Dopóki nie groziło mu pojmowanie, nic cię to nie obchodziło... a może obchodziło, lecz aprobowałeś jego działania.

- To spekulacja. Czysty absurd. Bian nie odrywała od niego wzroku.

Ja również przyglądałem się twarzy Al-Fajefa. Facet był zbyt doświadczony, aby popełnić jakieś głupstwo, przybrać minę winowajcy lub, co byłoby jeszcze poważniejszym błędem, przyznać się do winy. Kilka razy oblizał jednak wargi i drżącą ręką sięgnął po kolejnego papierosa, a następnie go zapalił.

Odwrócił się do Phyllis.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia. Teraz chcę usłyszeć, co macie zamiar zrobić.

W rzeczywistości powiedział nam tak mało, jak to możliwe, aby się wyłgać. Uraczył nas starannie dobraną mieszanką faktów, których sami moglibyśmy się domyślić i które każdy inteligentny znawca regionu mógłby wyczytać z posiadanych przez nas informacji.

Naszym i jego problemem było, że nie uczynił tego sam, lecz wszystko wywnioskowała Bian.

Jeśli chodzi o Phyllis, jej oczy wyrażały jedno uczucie, a wargi drugie, lecz żadne nie zdradzały tego, co miała w sercu lub głowie. Byłem pewny, że jest wściekła, sfrustrowana i zmartwiona. Chociaż u Phyllis emocje i logika bardzo rzadko pozostawały ze sobą w konflikcie. Nigdy nie przyszło jej pewnie do głowy, że rozum ma towarzysza lub że uczucia mogą rodzić jakieś działania. Oznajmiła jednoznacznie w sposób, który był do przewidzenia:

- Co się stało, to się nie odstanie. Pójdziemy naprzód.

- Co to oznacza? - zapytała Bian.

- To co oznacza.

- A sprawiedliwość?

- Dla kogo? - zapytała Phyllis.

- Dla naszych żołnierzy, którzy walczą w tym kraju. Dla tych, którzy polegli. Dla ich rodzin i tych, którzy ich kochali. Dla Ameryki.

- Nie ma sprawiedliwości dla poległych żołnierzy - odparła Phyllis z typową dla siebie chłodną logiką. - Nie padli ofiarą zabójstwa. Polegli w trakcie działań wojennych.

- Saudyjczycy dostarczają pieniędzy, ludzi i kto jeszcze wie czego ich zabójcom.

Znamy nazwiska dwóch książąt. - Bian spojrzała w kierunku Al-Fajefa i dodała: - Wygląda na to, że uczestniczy w tym więcej osób, być może członkowie saudyjskiego rządu. Nie możemy tego zignorować i przejść nad tym do porządku dziennego.

Błąd. Phyllis odwróciła się do Al-Fajefa i oznajmiła:

- Naszą intencją nie jest stawianie rodziny królewskiej... w kłopotliwej sytuacji.

Uśmiechnął się, chociaż nie dostrzegłem żadnego śladu zadowolenia w jego oczach.

Jedynie ulgę.

- Mądry wybór. Gdybyście to uczynili, byłaby to katastrofa dla obu naszych krajów. -

Rozejrzał się po pokoju i dodał życzliwie, spoglądając w oczy każdemu: - W końcu trwa wojna. Musimy pozostać przyjaciółmi. Dobrymi sojusznikami.

Po tym wszystkim, co powiedział o Ameryce, o naszej arogancji i niekompetencji, byłem zdumiony, że nie trafił go szlag. Najwyraźniej Bian i ja nie dostrzeżliśmy sygnałów, bo szejki i Phyllis zaczęli nucić nową pieśń zatytułowaną: „Panowie, wiosłujcie tą łodzią ostrożnie w dół strumienia”.

Phyllis chłodno skinęła swojemu przyjacielowi szejkowi, który odpowiedział:

- Zdaję sobie sprawę, że spowodowaliśmy pewne trudności. - Po tych słowach zaczął zataczać papierosem małe kręgi w powietrzu. - Kłopoty, niedogodności.

- Doceniam twoją wrażliwość.

Al-Fajef odchylił się na krzesło i wypuścił duży obłok dymu.

- Dwa nazwiska, Phyllis. Tylko tyle mogę wam przekazać. Phyllis wyciągnęła dłoń i odparła niezobowiązująco:

- Jeśli są właściwe.

- Tak, tak... oczywiście. - Spojrzał na nią uważnie. - Pewien człowiek w Syrii organizuje przerzuty broni i bojowników do Iraku. Zręczny i sprawny szmugler. - Phyllis wyglądała tak, jakby nie wywarło to na niej większego wrażenia, więc szybko podkreślił: - To bardzo wpływowy człowiek. Bardzo. Oceniam, że co trzeci mudżahedin przybywający do Iraku trafia tam jego kanałami.

Phyllis popatrzyła na niego i skinęła głową.

- No, to mamy jednego.

- Słyszałem o innym człowieku, ekspatriancie z Arabii Saudyjskiej, który rekrutuje bojowników dżihadu w Jordanii...

- Zapomnij o nim - przerwała mu Phyllis. - Rekrutujących bardzo łatwo zastąpić.

- Ach... - Na twarzy szejka pojawił się wyraz bólu. - Wiemy o innym człowieku, który typuje cele uderzeń mudżahedinów w Karbali.

Phyllis pochyliła się w jego stronę z wyraźnym zainteresowaniem.

- Nawiasem mówiąc, on też jest Saudyjczykiem. Pochodzi z wpływowej rodziny. Jego ojciec jest długoletnim bliskim przyjacielem... jego wydanie sprawi mi ogromny ból.

Ten człowiek był prawdziwym zawodowcem - przypuszczalnie wypowiedział te słowa, aby sprawić nam wszystkim przyjemność.

- Jak zapewne wiesz, nazwisko bez adresu jest pozbawione znaczenia - rzeka po chwili Phyllis.

- Zakładam, że moi ludzie będą mogli odejść wraz ze mną. Zabierzemy też tę piekielną maszynę - powiedział, wskazując na urządzenie z obciążającym nagraniem. - Tego z Jordanii dam wam za darmo. Nie przedstawia dla nas żadnej wartości.

- Zabierz urządzenie i strażników. Oni też są dla nas bezwartościowi.

Jak powiedziałem, Bian i ja nie mieliśmy pojęcia o regułach obowiązujących w tej grze, jednak główne negocjacje najwyraźniej dobiegły końca, bo szejk wstał i od niechcienia strzepnął popiół z białej szaty. Równie nonszalancko po raz ostatni zaciągnął się papierosem i zgasił butem niedopałek. Trzy sekundy później otworzył walizeczkę, sięgnął do środka i wyjął trzy szare teczki, które rzucił mało elegancko na stół.

- W środku są nazwiska i adresy. Są też informacje na temat ich przeszłości, które będziecie mogli wykorzystać podczas przesłuchań.

Phyllis otworzyła po kolei każdą z teczek, badając jej zawartość, podczas gdy szejk zabierał aparaturę i sprawdzał, czy w środku jest ta cholerna taśma.

- Przekaż moje najszczerze wyrazy ubolewania dyrektorowi - rzucił na odchodnym Phyllis. Po krótkiej, niezręcznej pauzie zwierzył się z wyrazem bólu na twarzy: - Nie miałem wyboru, Phyllis. Musiałem to zrobić, w przeciwnym razie straciłbym pracę.

Skinęła głową.

- Gdyby nie ja, zrobiłby to kto inny.

- Nie wątpię. Popatrzył na Bian.

- Miło było panią poznać. - Następnie odwrócił się w moją stronę, nie mogąc ukryć uśmiechu. - Życzę więcej szczęścia następnym razem, pułkowniku.

Odpowiedziałem uśmiechem.

- Może pan na to liczyć. Wiedziałem, co odpowie Bian.

- Idź do diabła. - Jej słowa precyzyjnie wyrażały to, co czułem. Szejek poprawił szaty i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Phyllis w milczeniu studiowała zawartość teczek, wymownie ignorując naszą obecność. Wyraźnie pragnęła uniknąć rozmowy, mając nadzieję, że problem sam się rozwiąże.

Ponieważ nie wyszliśmy, w końcu spojrzała na nas i zapytała:

- Czego oczekiwaliście?

- Nie oczekiwaliśmy niczego - odpowiedziałem. - Ale nie sądziłem, że tak się to wszystko zakończy. Czy ta farsa została wcześniej zaaranżowana?

- Co to ma znaczyć?

- Tyle że wszedł tutaj z przygotowanymi teczkami, a ty pozwoliłaś mu odejść ze wszystkim, czego chciał.

- Tak funkcjonuje nasz biznes. Turki jest profesjonalistą, a profesjonaliści przychodzą przygotowani. - Spojrzała na Bian. - Nie musi ci się to podobać, lecz tak trzeba to rozgrywać.

- Rzeczywiście, nie podoba mi się to - odparła Bian.

- Nie? Cóż... pomyśl o tym, co pozwoli ocalić najwięcej Amerykanów, co pomoże nam wygrać tę wojnę. Kompromis to zło konieczne.

- O czym jeszcze mogłabym pomyśleć? Phyllis przyjrzała się jej uważnie.

- Powiedział nam, kim są ci księżęta. Niezależnie od tego, co zrobili, są nietykalni.

Nie ma to większego znaczenia... i tak byśmy ich nie dostali. W naszym interesie nie leży zrażanie do siebie Saudyjczyków. Potrzebujemy ich z wielu oczywistych powodów.

- Nie wprowadziła mnie w zakłopotanie twoja kalkulacja. Pomyślałam, że to, co przed chwilą zrobiłaś... nie różni się niczym od umowy, którą Cliff Daniels zawarł z Charabim. W

tej sprawie też nic nie zrobimy. Winowajcy sana wolności, a wszyscy starają się uniknąć skandalu. Co do tego mam wątpliwości.

Phyllis zaczęła bębnić palcami po stole, co było więcej niż subtelnym ostrzeżeniem, że jej cierpliwość się skończyła. Bian nie była zniecierpliwiona, lecz powoli zaczął ją ogarniać szal. Zbesztanie za brak rozsądku nie tylko nie skłoniło jej do opanowania emocji, lecz podsycało ogień niczym afrodyzjak.

- Witaj w świecie, w którym każdy wybór jest skażony. Trzeba wybrać najmniej cuchnący. Straciliśmy Ibn Paszę. Nic tego nie zmieni. Przynajmniej mamy trzy nowe nazwiska, trzy nowe szanse schwytania czołowych postaci, dowiedzenia się, co wiedzą i kogo znają.

Słyszałem, co powiedziała Phyllis, i wiedziałem, że na pewnej płaszczyźnie jej argumentacja ma sens. Z drugiej strony rozumiałem, że Bian, żandarm wojskowy, została nauczona i wyszkolona do myślenia i działania na innej płaszczyźnie - tej, gdzie dobrzy faceci walczyli ze złymi. Jeśli popełnisz przestępstwo, przyjdzie na ciebie czas. Chociaż sposób myślenia gliniarza nie jest taki prosty, jak by się wydawało, jego zadanie z moralnego punktu widzenia wcale nie jest takie skomplikowane - człowiek jest winny lub nie, sprawa jest biała lub czarna. Nie ma żadnych etycznych subtelności. Z kolei dla prawnika wina i niewinność przybierają wiele odcieni, przestępstwo ma charakter subiektywny, a kara to nic innego jak umowa, którą negocjuje się z prokuratorem, sędzią lub członkami ławy przysięgłych.

Nazywamy to sprawiedliwością i powiadamy, że jest bezstronna. Jeśli stać cię na zatrudnienie adwokata, który bierze pięćset dolców za godzinę, możesz w to nawet uwierzyć. Mój zaprzyjaźniony prawnik powiada, że w Ameryce każdy może dostać taką sprawiedliwość, na jaką go stać.

Nie byłem zszokowany, że podobna zasada obowiązuje w szpiegostwie. Także Bian nie powinna była być tym zbulwersowana, a nawet zaskoczona. Mimo to była. Ku mojemu zdumieniu także Phyllis, która zwykle sprawnie radziła sobie z podwładnymi, tym razem wydawała się

zaskakująco milcząca i niezdarna.

Wiedziałem, że nic to nie da, lecz poradziłem Bian:

- Mnie też się to nie podoba, ale był to najlepszy układ, jaki mogliśmy wynegocjować.

- Ten człowiek kazał zamordować Ibn Paszę, abyśmy nie zdobyli informacji, które były bezcenne dla nas i kłopotliwe dla niego. Ten sam człowiek uchronił swój kraj przed kompromitacją, na którą zasługiwał. To źle i wszyscy o tym wiemy. Jeśli będziesz udawał, że jest inaczej, staniesz się tak samo zły jak ona. - Po tych słowach wstała i wyszła z pokoju.

Phyllis obserwowała, jak się oddala, a następnie odetchnęła głęboko. Spojrzała na mnie.

- Musisz mieć na nią oko.

Wstałem i podszedłem do drzwi, po czym zatrzymałem się i odwróciłem w jej stronę.

- Rozumiem twoją decyzję. Naprawdę, Phyllis. Wiesz co? Gdybym był na twoim miejscu, mógłbym pójść na identyczny układ.

- Dzięki.

Przez chwilę stałem w milczeniu.

- Nie czyni go to jednak słusznym ani nie usprawiedliwia moralnie. Bian jest zgorszona i rozczarowana. Powiem ci szczerze, gdybyśmy mieli duszę, czulibyśmy się podobnie.

Phyllis chciała coś powiedzieć, lecz kontynuowałem:

- Na tym polega problem. W początkowym okresie śledztwa mieliśmy wiele okazji uczynienia tego, co słuszne. Mogliśmy odkryć i ujawnić działalność Charabiego. Odślonić poczynania Daniela i jego przełożonych, ujawnić prawdę o wpadce wywiadu, o możliwej zdradzie i po drodze trafić na przekręty finansowe wskazujące, że rząd maczał w tym palce.

Zamiast tego zadowoliliśmy się garstką podrzędnych terrorystów. Myślę, że rozumiesz, dlaczego takie postępowanie może wkurzyć każdego dobrego żołnierza.

- Ona ma obsesję na punkcie honoru i sprawiedliwości. Robimy to, co najlepsze dla tego kraju.

- Nie będę się spierał o to, co jest najlepsze. Chyba już się na tym nie znam. Na dodatek przestało mnie to obchodzić. - Po dłuższej przerwie dodałem: - Zwolnij mnie lub przenieś. Mam to gdzieś. Mam dość tej roboty.

Phyllis nie wyglądała na zaskoczoną, nie sprawiała jednak wrażenia, że jest gotowa mnie wylać. Podniosła inną teczkę.

- Uznaję twoje słowa za wypowiedziane pod wpływem pośpiechu, gniewu lub frustracji. Nie masz powodu, aby czuć się winnym lub zawstydzonym. Ja również. Staramy się jak najlepiej grać kartami, które otrzymaliśmy. Jeśli dopuszczono się jakichś moralnych uchybień, obciążają innych.

Nie odpowiedziałem ani słowa.

- Prześpij się z tym. - Wetknęła nos w teczkę. - Odłóż decyzję na później, gdy się uspokoisz.

Kiedy zaczęła czytać, wyszedłem.

Rozdział trzydziesty czwarty

Gdy człowiek myśli, że wszystko już skończone, pojawia się kolejny problem.

Przed powrotem do Stanów trzeba było rozwiązać dwie sprawy, a Phyllis dała jasno do zrozumienia, że dopóki tego nie uczynimy, nikt nie wyjedzie. Uznałem, że po tym, co się stało, musi wyciąć sobie na pasku znak kilku zwycięstw, zanim wróci do kraju, gdzie znajdzie się w ogniu krytyki. Chociaż tysiąc sukcesów nie zdoła wymazać jednej paskudnej porażki, lepiej nie stawać przed komisją z pustymi rękami.

Sprawą numer jeden było aresztowanie człowieka, który szmuglował broń i bojowników dżihadu do Iraku. Ponieważ facet działał na granicy z Syrią, jego aresztowanie Phyllis określiła oględnie jako „delikatną misję dyplomatyczną z pozaprawnymi aspektami”.

Zgodnie ze standardową procedurą amerykański ambasador w Damaszku powinien wystąpić z oficjalną prośbą do syryjskiego rządu o aresztowanie podejrzanego, po której winien nastąpić szybki i sprawny proces ekstradycyjny. Z powodu wrogiej postawy Syrii wobec Ameryki tę ewentualność można by określić mianem „szczania pod wiatr”.

Kiedy Phyllis mówiła o „pozaprawnych aspektach”, miała na myśli nielegalne działania, a gdy wspominała o „misji dyplomatycznej”, chodziło jej o pogwałcenie suwerenności Syrii spowodowane porwaniem. Oczywiście przymiotnik „delikatna” oznaczał

potajemną akcję przeprowadzoną przez agentów operacyjnych.

Na szczęście wspomniana sprawa nie dotyczyła Seana Drummonda - nawet bez tego miałem dość zabaw, podróży i przygód.

Phyllis wykonała kilka telefonów, skoordynowała działania swoich podwładnych, a mnie oddelegowała do załatwienia sprawy numer dwa: pojmania terrorysty stojącego za zamachami w Karbali. Ponieważ facet działał na terenie Iraku, jego schwytanie nie wymagało szczególnej finezji ani machlojek, co oznaczało użycie brutalnej siły armii Stanów Zjednoczonych oraz to, że Drummond i Bian zostaną wyznaczeni do przekazania rozkazu.

Znalazłem Bian w kantynie, siedziała samotnie nad talerzem z wyraźnie przygnębioną miną. Zająłem miejsce naprzeciw niej, odchrząknąłem kilka razy i hałaśliwie przesunąłem krzesło.

Odkroiła kawałek steku i zaczęła przeżuwać.

Uśmiechnąłem się i zapytałem:

- Jakie tu mają żarcie, żołnierzu?

Musiała mieć pełne usta, bo nie odpowiedziała ani słowa. Tyle na temat słynnego uroku osobistego Drummonda. Postanowiłem od razu przejść do rzeczy:

- Masz do wykonania ostatnią misję.

- To rozkaz?

- Nie. Zgłoszono cię na ochotnika. Roześmiała się. Niezbyt przyjemnie.

- Armia ma się zająć aresztowaniem Saudyjczyka stojącego za zamachami w Karbali.

Pracowałeś w wywiadzie wojskowym, więc pewnie wiesz, do kogo się z tym zwrócić.

Nie przerwała jedzenia.

- Słuchaj... ty i ja mamy przekazać teczkę z jego aktami, a następnie udać się wprost na lotnisko i wrócić do domu.

- Idź do diabła.

- Spójrz na mnie, Bian.

Nie przestawała badawczo studiować steku.

- Kierujesz swój gniew na niewłaściwą osobę.

- Nie sądzę.

- Zamiast nienawidzić graczy, powinnaś nienawidzić gry.

- Ach... a więc teraz to gra.

- Wiesz, co mam na myśli.

Zachowywała się nierozsądnie i nie było tajemnicą dlaczego. Czowała wściekłość na przełożonych w Waszyngtonie, była rozczarowana ich decyzjami, machinacjami, przykrywkami i całym tym pieprzeniem, którym nas raczyli. Musiała się wyładować. Rzecz jasna Sean Drummond nie miał z tym nic wspólnego. Tyle że idioci z Waszyngtonu nie siedzieli naprzeciw niej, lecz znajdowali się w odległości ośmiu tysięcy kilometrów stąd i pewnie nie odebrali jej telefonu. Mimo to sytuacja, w której się znalazłem, zaczynała mnie wkurzać.

- Dokończ posiłek - powiedziałem ostrym tonem. - Pójdziemy do magazynu pojazdów i

weźmiemy wóz.

Odsunęła tacę i spojrzała na mnie po raz pierwszy.

- Masz rację. Nadal mam przyjaciół w wywiadzie wojskowym. Tak... wiem, komu przekazać tę sprawę. Prawdę mówiąc, takimi sprawami zajmowało się biuro, w którym pracowałam.

- Znakomicie. W takim razie wystarczy...

- Jeśli mam to zrobić, zrobię to sama.

- Błąd. Zrobimy to razem...

- Sama. I sama wrócę do domu - kontynuowała. - Szczerze mówiąc, wolę samolot wojskowy.

Poczuję się lepiej w towarzystwie prawdziwych żołnierzy.

Jej słowa mnie zraniły.

- Wracaj, jak chcesz. Nic mnie to nie obchodzi. Zapewniam cię jednak, że nie pojedziesz sama do Bagdadu.

- Czemu nie? Znam drogę.

- Obowiązuje system dwójkowy. To...

- Nie jesteś moim partnerem - przypomniała.

- ...to kinowa procedura. Nikt nie podróżuje przez ziemie Indian bez partnera. To bardzo delikatna i ważna misja. Wymaga zbrojnej eskorty.

Spojrzała na mnie i powiedziała:

- W takim razie... przebierz się.

- Zawsze to robię. Spojrzała na zegarek.

- Nie wiem, jaki będzie ruch, lecz może być to twoja ostatnia szansa na posiłek.

Śmiało. Żarcie było wspaniałe, skoro o to pytałeś. Umyję się i pójdę po rzeczy.

- W porządku. Parking pojazdów. Godzina pierwsza. - Stałem w kolejce do bufetu, nałożyłem jedzenie i wróciłem do stolika, lecz Bian już odeszła. Nawiasem mówiąc, kantyna była prowadzona przez cywilnego przedsiębiorcę, a kucharze i kelnerzy byli Irakijczykami, co z lekka przypominało czasy kolonialne - miejscowi czekali, gotowi służyć okupantowi i tak dalej. Wszyscy jednak wyglądali na zadowolonych z tego, że mają robotę. Może cywilni przedsiębiorcy cieszyli się złą sławą w Stanach, lecz jedzenie było wspaniałe, lepsze od tego, jakie jadłem w innych kantynach. Mówię poważnie. Rozluźniłem się, ciesząc pierwszym przyzwoitym posiłkiem od wielu dni. Dwa razy wróciłem po dodatkę i obżarłem się jak świnia.

Po raz pierwszy od wielu lat sięgnąłem nawet po gazetkę „Stars and Stripes” i natychmiast przypomniałem sobie, dlaczego przestałem ją czytać. W przeciwieństwie do

„New York Timesa”, którego motto brzmi „Wszystkie wiadomości nadają się do druku”, tutaj obowiązywała zasada „Nie ma złych wiadomości, które nadawałyby się do druku”.

Szczególnej frajdy sprawiła mi lektura artykułu zatytułowanego „Zamieszki wywołane naborem rekrutów w sześciu stanach: prezydent polecił wprowadzenie systemu loteryjnego, aby spośród milionów zdesperowanych kandydatów wytypować szczęśliwców, którzy otrzymają szansę służenia w Iraku”. No dobrze, sam to wymyśliłem.

W każdym razie pięćdziesiąt minut później z pełnym bagażem i brzuchem stanąłem przed biurkiem Phyllis, czekając na odbiór teczek. Szefowa rozmawiała przez telefon. Po pięciu minutach odłożyła słuchawkę.

- Słucham?

- Przyszedłem po teczkę.

- Czy nie komunikujecie się ze sobą?

- O czym ty mówisz?

- Bian ją zabrała. Jakieś czterdzieści minut temu. Powiedziała, że spotkacie się na parkingu pojazdów.

Musiałem wyglądać na zaskoczonego.

- Czy coś się stało? - zapytała Phyllis.

- Nie... wrócę za minutę.

Poczułem ból brzucha i jak najszybciej udałem się na parking pojazdów, gdzie moje złe przeczucia szybko przerodziły się w przerażenie. Tak, major Tran już tu była, poinformował mnie sierżant. Wzięła toyotę land cruisera - wypasiony model zarezerwowany dla operacji specjalnych, i wyjechała jakieś pół godziny temu. Zapytałem, czy w samochodzie jest radiostacja. Nie, nie ma radiostacji. Nie, nie posiada opancerzenia i co gorsza, na fotelu obok kierowcy nie siedzi Drummond.

Okazało się, że pani major zostawiła liścik, który sierżant wyciągnął z kieszeni ręką umazaną smarem, pozostawiając brudne smugi na papierze. Bian nakreśliła na niej następujące słowa:

Sean, nie bądź na mnie zły. Nie obwiniam cię o to, co się stało. Byłam straszną suką.

Przepraszam. Naprawdę. Muszę wszystko sobie przemyśleć, a ty z jakiegoś powodu mnie rozpraszasz. Zadzwoń, gdy znajdę się na miejscu. Nie martw się o mnie. Wiem, jak o siebie zadbać. Wiesz, że sobie poradzę. Bian.

Sierżant mnie obserwował.

- Stało się coś złego, sir? - spytał.

- Co? Nie... ja... Ile czasu zajmuje dojechanie do zielonej strefy?

- Jakąś godzinę. Półtorej, gdy są korki. O tej porze zwykle są.

Powinienem być na nią wściekły, lecz nie byłem. Prawdę powiedziawszy, zachowywała się dziwnie od dwudniowej wyprawy do Bagdadu. Po namyśle uznałem, że jeszcze wcześniej, od epizodu pod prysznicem. Wiedziałem, że zamordowanie Ibn Paszy doprowadziło ją do granicy wytrzymałości. Jeśli głowa nie jest na właściwym miejscu, zwykle podąża za nią ciało. Powinienem był mieć ją na oku.

Wróciłem do podziemnego więzienia i poinformowałem Phyllis, że Bian wyruszyła beze mnie i skontaktuje się z nami, gdy tylko dotrze na miejsce. Powiadomiłem ją również, że pojechała sama. Moja szefowa gniewnie zmarszczyła brwi i cierpkim tonem poleciła, abym zapanował nad sytuacją.

Poprosiłem mężczyznę siedzącego w recepcji, aby łączył wszystkie telefony od major Tran, a następnie znalazłem puste biurko i przysunąłem obok telefon. Po dwóch godzinach nerwowego i daremnego oczekiwania na wiadomość od Bian poprosiłem recepcjonistę o połączenie z oddziałem G2 - komórką wywiadu działającą na terenie zielonej strefy.

Telefon odebrał bardzo uprzejmy kapitan. Przedstawiłem skróconą wersję swojego problemu i bardzo grzecznie zapytałem, czy zameldowała się u nich niejaka major Tran.

- Wiem tyle co pan, sir. To duży kompleks z biurami na kilku poziomach. - Po chwili odpowiedział: - Może pani major się zgubiła? Albo wpadła w korytarzu na starą przyjaciółkę? Na terenie kompleksu wojskowego jest bazar, więc mogła pójść po zakupy.

Wie pan, jakie są kobiety. - Roześmiał się.

- Kapitanie, nie prosiłem, aby pan zgadywał - odparłem grzecznie.

- Uhm...

- Muszę wiedzieć, czy się u was pojawiła.

- Aha... wie pan, z kim miała się spotkać?

- Czy dzwoniłbym do pana, gdybym wiedział? W tym momencie nastąpiła dłuższa przerwa.

- Cóż, sir... to może zająć trochę czasu. Mamy tu ze trzy tuziny biur.

- Rozumiem. Proszę mnie powiadomić, gdy pan sprawdzi. Podałem mu numer, a on obiecał, że zadzwoni. Nie zrobił tego.

Nędzny dupek.

Po kolejnej godzinie wróciłem do prowizorycznego gabinetu Phyllis, zapukałem i wszedłem do środka. Przedstawiłem bieżącą sytuację i wyraziłem pogląd, że Bian jest zbyt dobrym oficerem, wiarygodnym i odpowiedzialnym człowiekiem, aby wyjaśnienie tej zagadki okazało się niewinne. Phyllis obiecała, że wykona kilka telefonów, co też uczyniła.

Bian nie pojawiła się na miejscu, lecz jeśli się zjawi, Phyllis zostanie o tym natychmiast powiadomiona.

Niestety, Bagdad to duże miasto, na dodatek zrobiło się ciemno i było za późno na podjęcie jakichś działań, nawet gdyby można było zrobić coś w tej sprawie. W stolicy Iraku codziennie dochodziło do zabójstw, zamachów bombowych i porwań, dlatego nikt nie przejmował się jakąś spóźniającą się kobietą.

W ten sposób przesiedziałem przy telefonie do rana, rozmyślając, czekając i martwiąc się. Pogrzeżyłem się w apatii i po trzydziestu minutach ludzie zaczęli mnie unikać, co przyjąłem z zadowoleniem. Wypiłem dwa dzbanki kawy i z każdą godziną byłem coraz bardziej przekonany, że wydarzyło się coś strasznego. W końcu znajdowaliśmy się w Iraku, toteż lista przerażających możliwości nie miała końca. Zacząłem analizować każdą z nich.

Wiadomość, której się obawiałem, dotarła o siódmej trzydzieści rano za pośrednictwem sierżanta jednego z batalionów żandarmerii wojskowej. Facet mówił

szorstkim głosem, zachowywał się jak przystało na profesjonalistę i miał dla mnie złe nowiny.

Patrol żandarmerii wojskowej odnalazł porzuconą toyotę land cruiser z wojskową rejestracją przy jednej z alei Sadr City w północno-wschodniej części Bagdadu.

W bagażniku żandarmi znaleźli worek wojskowy, na którym starannie wypisano nazwisko major Tran i numer ubezpieczenia społecznego. Na tej podstawie wywnioskowali, że służyła w wojskach okupacyjnych. Na przednim siedzeniu znajdowała się skórzana teczka, w której odnaleziono druk z bazy Alfa wraz z telefonem, co wyjaśniało, dlaczego zadzwonili właśnie do nas, aby ustalić, kim jest pani major.

Nie natrafiono na żaden ślad Tran, nie znaleziono też jej ciała.

W drzwiach po stronie kierowcy widniało sześć otworów po kulach oraz plamy krwi na siedzeniu i przedniej szybie.

Rozdział trzydziesty piąty

Wszyscy wyszliśmy na zewnątrz, gdy do bazy Alfa podjechał konwój żandarmerii.

Dwupółtonowy wojskowy ciągnik holował srebrnego land cruisera, co było konieczne, ponieważ przednie opony samochodu zostały przedziurawione kulami. Wołałem na to nie patrzeć, lecz na chwilę powstrzymałem się od domysłów.

Żandarmi zaczęli odpinać pojazd, a Jim Tirey w towarzystwie czterech agentów czekał, aż skończą, by podejść do toyoty. Przeprowadzili pobieżne oględziny, obchodząc samochód, a następnie weszli do środka, żeby pobrać odciski palców i próbki krwi z siedzenia. Zamiast stworzyć kryminalistyczny wizerunek sprawcy, od razu przystąpili do opracowania profilu ofiary. Podeszedłem do auta od strony kierowcy.

Z telefonu sierżanta wynikało, że w drzwiach są otwory po kulach, okazało się jednak, że było ich raczej dziesięć niż sześć, jak sądził. Okno po stronie kierowcy zostało rozbite, a fragmenty bezpiecznego szkła wpadły do środka. Zbadałem liczbę i rozstaw otworów. Nie było sposobu, aby kierowca wyszedł bez szwanku spod takiego ostrzału.

Sierżant żandarmerii stanął z prawej strony.

- Znaleźliśmy wóz około szóstej rano - rzekł. - Stał zaparkowany w alei. Jak pan pewnie wie, w tej części miasta nie ma zbyt wielu drogich samochodów.

Spojrzałem na niego i nie odpowiedziałem.

- Otrzymaliśmy anonimowy telefon od jednego z miejscowych. Tutaj nikt się nie przedstawia. Arabski współpracownik odebrał wiadomość i przekazał ją nam. Sądzimy, że samochód został unieruchomiony przez minę typu VED. Słyszał pan o czymś takim?

Skinąłem głową.

- Gdyby pan zapytał, odpowiedziałbym, że umieszczono ją przy drodze.

Kiedy nie skomentowałem tej hipotezy, dodał:

- W mieście działa dużo gangów. Nieprzerwanie wypatrują łatwych celów. Była w mundurze?

Ponownie skinąłem głową.

- Wszystko jasne - skomentował, marszcząc z dezaprobatą brwi. - Była sama, prawda?

- Tak, sama.

- Uhm... Jezu, czysta głupota. Gdyby pan zapytał, powiedziałbym, że sama się o to prosiła.

Odwrociłem się do niego.

- Jeśli powiesz jeszcze jedną głupią uwagę, trzeba będzie dziesięciu chłopów, by wyciągnąć ci mój but z tyłka.

Spojrzał na mnie przerażony i odszedł, a ja w dalszym ciągu przyglądałem się toyocie.

Nagle poczułem czyjaś dłoń na ramieniu, odwróciłem się - obok stała Phyllis i przypatrywała się dziurom po kulach.

- Sean, jest mi naprawdę bardzo przykro.

Nie ufałem sobie na tyle, aby odpowiedzieć, więc ruszyłem w kierunku tylnej części pojazdu. Ludzie Tireya wyciągnęli worek Bian z bagażnika i razem z teczką ułożyli na ziemi.

Wyjęto jego zawartość, a dwaj agenci badali znajdujące się w nich dokumenty, zapasowe części umundurowania, zestaw do makijażu, czystą bieliznę i tak dalej. To, czego szukali, z pewnością nie znajdowało się w bagażu Bian.

Pracy agentów przypatrywał się oficer żandarmerii, sporządzając listę rzeczy Bian.

Wiedziałem, że to standardowa procedura stosowana w razie śmierci lub zaginięcia żołnierza w trakcie działań. Wiedziałem również, że od tego momentu tylko mały krok dzieli nas od odegrania na trąbce pożegnania nad cichym grobem.

- Co o tym sądzisz? - zapytał Tirey.

- Ona żyje - odparłem.

- Widziałeś otwory po kulach? A plamy krwi? - zapytał, ostrożnie wskazując dowody.

- Czego tu nie ma, Jim? Ciała. Zwłok. Bian. Gdyby nie żyła, pozostawiliby ją w samochodzie. Na co im ciało? - Zrobił taką minę, jakby się nad tym zastanawiał. Po chwili dodałem: - Przedziurawiono przednie opony. Gdyby wóz wjechał na minę, jak sugerują nasi przyjaciele z żandarmerii, w jakim celu strzelano by w opony.

W dodatku otwory po kulach tworzą linię prostą, a mimo to rozbito szybę. Zastanów się. Gdyby drzwi kierowcy były zablokowane, a napastnicy chcieli się dostać do środka, musieliby rozbić szybę, aby wyciągnąć ze środka.

Obaj wiedzieliśmy, że śmierć na miejscu byłaby lepsza od tego, co sugerowałem.

Tirey wolno skinął głową, zastanawiając się nad moim rozumowaniem.

- Pewnie słyszałeś o gangach porywaczy działających w Bagdadzie. Bardzo często dzwonią, domagając się okupu.

- Czy kiedykolwiek porwali amerykańskiego żołnierza?

- No cóż... nie słyszałem o czymś takim. Jednak każda działalność przestępcza podlega ewolucji. Na przykład, ostatnio porwano kilku zagranicznych przedsiębiorców.

- Co się z nimi stało? Milczał przez chwilę.

- Nie chcę dawać fałszywych podstaw do optymizmu lub pesymizmu.

- Powiedz mi. Odwrócił wzrok i wyjaśnił:

- Sprzedali ich terrorystom. - Po krótkiej przerwie dodał, patrząc w drugą stronę: -

Dwa razy ofiary wystąpiły w sfilmowanych egzekucjach Zarkawiego.

Chociaż przygotowywałem się do tego przez całą noc, to, co wcześniej sobie wyobrażałem, teraz rozgrywało się naprawdę. Poczułem ciężar na piersi, jakbym znajdował się na pokładzie spadającego samolotu.

Wpatrywałem się w dwóch agentów przeglądających rzeczy Bian i oficera żandarmerii sporządzającego listę jej rzeczy. Wyobraziłem sobie Bian leżącą w pomieszczeniu, być może gdzieś niedaleko nas, otoczoną przez ludzi Zarkawiego, ostrzących noże i obmyślających jej egzekucję. Major Tran była bardzo odważną i zaradną damą, lecz trudno ją uznać za osobę okłamującą samą siebie. Była realistką i z pewnością wzięłaby pod uwagę takie zakończenie tej historii.

Zostawiłem Tireya i podszedłem do drzwi wozu od strony kierowcy. Bez żadnego wyraźnego powodu wetknąłem głowę do środka - przypuszczalnie po to, aby nie musieć z nikim rozmawiać. Na pewno nie z Phyllis pełną okraszonego poczuciem winy współczucia lub sierżantem żandarmerii snującym idiotyczne domysły, a już z pewnością nie z Tireyem, który niczego nie owijał w bawełnę.

Spojrzałem na ślady zaschniętej krwi we wnętrzu samochodu. Krwi Bian. Było nią poplamione siedzenie kierowcy, kierownica, przednia szyba i tablica rozdzielcza. Musiała mocno krwawić. Chociaż byłem pewny, że żyła, gdy ją wyciągali, nie byłem przekonany, że jest tak nadal.

Szczerze mówiąc, to, co miałem przed oczami, było spełnieniem najgorszego koszmaru naszego wojska i największego marzenia terrorystów. Ścięcie majora armii amerykańskiej, kobiety żołnierza, absolwentki West Point, pięknej i młodej dziewczyny wywołałoby wielkie przerażenie amerykańskiej opinii publicznej.

Skuteczność działań terrorystów zależy od szoku i wrzawy w mediach, dlatego za chwilę mogła narodzić się gwiazda ich wykoślawionej wersji Hollywoodu.

- Widział pan to? - usłyszałem za sobą głos. Odwróciłem się. Kobieta w mundurze sierżanta żandarmerii wskazywała coś we wnętrzu toyoty.

- Co?

Podeszła bliżej.

- Litery - odpowiedziała. Pochyliła się i włożyła rękę do wnętrza samochodu. - Tutaj...

widzi pan? To wygląda jak litery... jakby coś pisała. Nie sądzi pan? - Cofnęła się i dodała: -

Własną krwią.

Podążyłem za jej palcem i na tablicy rozdzielczej ujrzałem coś, co w pierwszej chwili można by uznać za strużki zaschłej krwi, jednak po bliższej analizie nabrało wyraźnie określonego kształtu i formy.

- Początkowo też niczego nie zauważyłam - powiedziała. - Dopóki nie zaczęliśmy umieszczać samochodu na platformie - kontynuowała, mając na myśli wojskowy holownik, którym dostarczyli land cruisera. - Musiałam wejść do środka i wrzucić luz... aby można było go wciągnąć, sir - wyjaśniła. - Zabrało nam to piętnaście minut. Miałam dość czasu, aby się rozejrzeć.

Nachyliłem się, próbując odczytać litery.

- Pierwsza wygląda jak... jak „c”?

- Tak, sir. Druga... druga to „d” lub zniekształcone „h”.

- Po nim jest „a”, prawda?

- Lub niedbale napisane „o” - zgodziła się. - Albo „q”. Ostatnia litera jest zamazana.

Może wyciągali ją z samochodu. Powiedziałam porucznikowi, że mogła jeszcze żyć, a on spojrzał na ślady krwi i mruknął „uhm”. - Rozejrzała się trwożliwie. - Proszę mu nie mówić, że o tym wspomniałam. Dobrze? To dupek. Nie lubi, gdy inni mu się sprzeciwiają.

Czy była to wiadomość? Jakaś wskazówka? A może wyjaśnienie było bardziej banalne? Możliwe, że gdy Bian wiała się z bólu, konwulsyjnie przesuwała palcami po desce rozdzielczej.

Nachyliłem się i przyjrzałem znakom uważniej. Byłem pewny, że to, co widziałem, nie było dowolne ani przypadkowe. Zawołałem Tireya, który podbiegł i wetknął głowę do środka. Wskazałem deskę rozdzielczą, zapytałem, co widzi i, co ważniejsze, co o tym sądzi.

Wyciągnął okulary do czytania, a następnie odczytał C, H i A lub O.

- To wygląda na wiadomość - rzekł. - Z całą pewnością. Kiepska sprawa. Można odnieść wrażenie, że skończył się jej czas.

- Może to pierwsze litery tablicy rejestracyjnej - zasugerował sierżant żandarmerii. - Wiecie, samochodu tych, którzy ją zaatakowali.

Zacząłem analizować różne układy: CHO, CDO, CHA, CHQ, CDQ i ponownie CHA

- z jakiegoś powodu ta kombinacja stale powracała w mojej głowie. Dlaczego akurat CHA?

Zastanów się, Drummond. Czy chodzi o tablicę rejestracyjną, jak zasugerowała pani sierżant?

Być może. Nagle mnie olśniło: CHA, CHARabi.

- Jeśli to litery z tablicy rejestracyjnej... mamy kłopot - tłumaczył Tirey. - Mogli je ukraść, a następnie wyrzucić...

Gdy odchodziłem, nadal rozważali fałszywe możliwości. Ujrzałem Phyllis stojącą samotnie obok bramy bazy. Podeszedłem i przedstawiłem teorię, że Bian żyje, i wyjaśniłem dlaczego. Następnie ściszyłem głos i oznajmiłem:

- Nakreśliła na tablicy rozdzielczej trzy litery. C-H-A. Znasz kogoś o nazwisku, które się nimi rozpoczyna?

Zastanawiała się przez dłuższą chwilę:

- Nie jestem w nastroju do zabawy.

- Ani ja. Charabi - Mahmud Charabi. Z faktu, że napisała te litery, wynika, że została ranna, a nie zabita, a teraz wiemy, kto ją porwał.

- Doprawdy? Jesteś przekonany, że to te litery?

- Przekonany?... Nie.

- Masz pewność, że to ona je napisała?

- Potwierdzenie charakteru pisma jest trudne, gdy ofiara kreśli krwawe znaki koniuszkami palców. Z całą pewnością nie są to arabskie litery, lecz zachodnie.

- W porządku... to daje do myślenia.

- Nie powinnaś wysuwać tego rodzaju zastrzeżeń, Phyllis. Nie widzę innego wytłumaczenia.

- To jedyne wytłumaczenie, które przychodzi ci do głowy. Mimo to pozostaje spekulacją, prawda?

- Interpretacja dowodów jest zawsze spekulacją. Odciski butów, odciski palców, próbki DNA - dopóki nie ustalisz tożsamości przestępcy, zgadujesz ich znaczenie i związek z popełnionym przestępstwem - powiedziałem. - Bian napisała coś, co moglibyśmy zrozumieć.

Co zdołamy odczytać. Nie była przypadkową ofiarą. Tropiono ją i porwano.

- Wyjaśnij to.

Położyłem dłoń na jej ramieniu i powiedziałem:

- Ktoś powiadomił Charabiego o prowadzonym dochodzeniu. O Bian i o mnie. Nie jestem tym zaskoczony i ty też nie powinnaś. Od początku wszędzie były przecieki. - Skinęła smutno głową, akceptując ponurą rzeczywistość, a ja kontynuowałem: - Kiedy wczoraj wyjechała z bazy, jego ludzie już na nią czekali. Rozpoznali Bian i urządzili zasadzkę.

- Skąd wiedzieli, gdzie się znajduje? Skąd wiedzieli o bazie Alfa?

- A skąd wiedzieli, że prowadzi dochodzenie w sprawie Charabiego?

- Sugerujesz, że mają informatora? - zapytała sceptycznie. - Kogo?

- Nie mam pojęcia. - Oboje wiedzieliśmy, że kłamałem. Oboje wiedzieliśmy, kim byli główni kandydaci: Waterbury, a za jego pośrednictwem Tigerman i Hirschfield.

Przypomniałem sobie, jak dzień wcześniej Waterbury pośpiesznie opuścił bazę Alfa.

Uznałem wtedy, że to porażka sprawiła, iż uzyskał biurokratyczną przyczepność. Z drugiej strony istniało inne, dobre wyjaśnienie: Jako były glina wiedział, że nieobecność jest prawie zawsze równoznaczna z uwolnieniem od podejrzeń.

Clarior e tenebris - otaczające ciemności podkreślają światło. Waterbury i jego kumple byli poważnie zatroskani. Nie mieli pojęcia, ile dowiedziała się Bian i ja. Jaki problem stanowimy. Jak bliscy jesteśmy odkrycia prawdy. Potrzebowali Bian lub mnie -

żywych. Czemu nie? Było to jedyne miejsce na świecie, gdzie porwanie Amerykanina nie wzbudzało większych podejrzeń.

Żadne inne wyjaśnienie nie miało sensu. Gdybym jednak otwarcie powiedział o swoich przypuszczeniach, Phyllis mogłaby natychmiast przerwać rozmowę. Zignorowałem tę zagadkę i kontynuowałem:

- Ludzie Charabiego jechali za nią. Uderzyli, gdy znalazła się w dzielnicy szyitów.

- Rozumiem. Dlaczego Charabiemu miałoby na niej zależeć?

- A skąd mam wiedzieć?

- Aby postawić oskarżenie o takiej wadze i konsekwencjach, powinieneś. - Pomyślała przez chwilę, a następnie zapytała: - Chcesz wiedzieć, co o tym myślę?

Oczywiście, że chciałem.

- Masz poczucie winy, Sean. Wyjechała bez ciebie i czujesz się za nią odpowiedzialny. To naturalne, a z drugiej strony zupełnie błędne. Podjęła głupią, nieodpowiedzialną decyzję, która przypuszczalnie kosztowała ją życie. To nie była twoja wina. Powiem więcej, masz obsesję na punkcie Charabiego. Ostrzegałam cię przed tym kilkakrotnie. Martwiło mnie to od samego początku. Widzisz Charabiego, gdziekolwiek spojrzysz.

- Ujrzałem jego nazwisko wypisane krwią na desce rozdzielczej samochodu Bian. To nie obsesja, lecz dowód materialny. Zapewniam cię, że przekonałbym o tym każdą bezstronną ławę przysięgłych.

- Sugerujesz, że jestem stronnicza?

- Sama musisz sobie na to odpowiedzieć, Phyllis.

Nie zareagowała na moją insynuację, w zamyśleniu wpatrując się w toyotę. W końcu zapytała:

- Czy gdybyś przedstawił ten dowód sędziemu, uznałby go za wystarczający do wydania nakazu aresztowania?

- Jesteśmy w Iraku. Tutaj wojska okupacyjne dyktują reguły.

- Odpowiedz na moje pytanie.

- To zależy od sędziego i prawnika przedstawiającego argumentację.

Spojrzała na mnie i powiedziała:

- Sprowadź Tireya.

Przyprowadziłem agenta FBI i po chwili cała nasza trójka oddaliła się kilkadziesiąt metrów, żeby nikt nas nie podsłuchał. Phyllis popatrzyła na niego i oznajmiła:

- Jim, za chwilę usłyszysz wybuchową historię. To najbardziej niebezpieczna tajemnica, jaką słyszałeś, i musi taką pozostać. W sprawę są zamieszani bardzo wpływowi ludzie i jeśli ktoś się o tym dowie, nie będę musiała cię zlikwidować, ponieważ oni to zrobią.

Jim nie wyglądał na zaszokowanego takim wstępem co najwyżej zatroskanego. Po tych słowach Phyllis przedstawiła mu skróconą wersję opowieści o śmierci Clifforda Daniela, jego kontaktach z Mahmudem Charabim, prowadzonym przez nas dochodzeniu, a następnie wskazała na możliwe związki tej sprawy ze zniknięciem Bian Tran.

Kiedy skończyła, Tirey wyglądał na wstrząśniętego, zaskoczonego i lekko przerażonego.

- Dlaczego mi o tym powiedziałaś? - zapytał.

- Myślę, że wiesz.

- W porządku... może i wiem. - Spojrzał na nią, a następnie na mnie. - Zdajecie sobie sprawę, że Mahmud Charabi zostanie przypuszczalnie następnym premierem tego kraju? W najgorszym razie obejmie jedno z głównych ministerstw. Lepiej z nim nie zadzierać.

- Bardziej obawiałbym się prezydenta Stanów Zjednoczonych - doradziłem. - Teraz trzymasz go za jaja. Jeśli się o tym dowie, będzie chciał mieć twoje w kieszeni.

Phyllis spojrzała na niego i zapytała:

- Co sądzisz o podejrzeniach Drummonda dotyczących Charabiego?

- To interesująca hipoteza, usprawiedliwione podejrzenie. Gdybyśmy byli w Stanach, porozmawiałbym o tym z sędzią federalnym zamiast z wami.

- O czym?

- O uzasadnionym podejrzeniu. O nakazie rewizji. Oczywiście, nigdy nie wiadomo, jeśli jednak ofiara zostawia taki wyraźny trop...

Phyllis spojrzała na mnie i zadała pytanie dotyczące kwestii prawnych:

- Biuro Charabiego znajduje się w zielonej strefie. To obszar międzynarodowy, lecz jego pomieszczenia są własnością rządu Stanów Zjednoczonych. Kto może wydać nakaz przeszukania?

- Gdyby wojsko miało dokonać przeszukania, dowódca. Ponieważ FBI nie podlega dowództwu wojskowemu, sądzę, że Jim mógłby sam wydać sobie taki nakaz.

- To prawda. - Jim skinął głową. - Czy nie powinniśmy... słuchajcie... może powinniśmy skontaktować się z centralą. Uzyskać zezwolenie, a przynajmniej... powiadomić o wszystkim ambasadę. Dostaną szalu, jeśli zrobimy to, o co prosisz.

- To wykluczone - zaprzeczyła Phyllis. - Brak im odpowiednich uprawnień.

- Mamy do czynienia z działaniem *in extremis*, Jim. Oni mogą torturować Bian, gdy rozmawiamy. Oboje wiemy, że w takiej sytuacji prawo dopuszcza pewną swobodę.

- Rozumiem... ale...

- Pospiesz się, Jim. Dyplomaci wystosują w tej sprawie tysiąc pism i zwołają sto narad, a odpowiedź... jeśli w ogóle jej udzielą... będzie brzmiała tak, nie i być może.

- W takim razie pozostaje centrala FBI. To nie może być...

- Jesteś w błędzie. W Dystrykcie Columbii mogą być osoby zamieszane w spisek.

Niektóre mogły uczestniczyć w podjęciu tej decyzji. Nie wiemy, jak daleko to sięga. Jeśli Charabi o wszystkim się dowie, ciało Bian zostanie wyniesione razem z porannymi śmieciami.

Jimem Tireyem nagle zaczęły targać wewnętrzne sprzeczności. Pragnął uczynić to, co słuszne - wybawić amerykańskiego obywatela z opresji - ale chciał też uczynić to, co słuszne z

biurokratycznego punktu widzenia, czytaj: ocalić swój tyłek.

Phyllis ujęła go za ramię.

- Wiadomość o tym przeszukaniu na pewno nie przecieknie. Tak będzie najlepiej dla Charabiego i rządu Stanów Zjednoczonych. Charabi nie zostanie publicznie upokorzony i jestem pewna, że jeśli damy mu wybór, zdecyduje się zachować wszystko w tajemnicy.

Ambasada i Waszyngton nigdy się o tym nie dowiedzą. - Spojrzała na niego i powiedziała z naciskiem: - Sądzę, że tak będzie dla nas najlepiej. Jakie jest twoje zdanie?

Odniosłem wrażenie, że po jej zapewnieniach minęły jego zawodowe i osobiste dylematy, bo wspólnie z Phyllis zaczął obmyślać plan potajemnego najścia na biuro Charabiego po wymagający udziału czterech lub pięciu zaufanych agentów federalnych, którym pod groźbą wykastrowania należało zakazać wspomnienia o tym komukolwiek.

- Mam jeden warunek - rzekłem. - Dostanę dziesięć minut na rozmowę z Charabim.

Sam na sam. Znam najlepiej dowody zgromadzone przeciwko niemu, a zatem mam największą szansę skłonienia go do dobrowolnej odpowiedzi na kilka pytań. W ten sposób facet zapamięta tylko moje nazwisko.

Muszę przyznać, że Jimowi bardzo się to spodobało.

Oczywiście moje oświadczenie nie było do końca zgodne z prawdą, bo Phyllis wiedziała o Charabim więcej od niego samego. Nie poprawiła mnie jednak, lecz skinęła głową.

- To ma sens. - Po chwili dodała bardzo poważnie: - Pamiętaj, aby nie zostawić żadnych skaleczeń ani siniaków.

- Rozkaz. - Zabiłbym go, nie pozostawiając żadnych skaleczeń ani siniaków.

Rozdział trzydziesty szósty

Recepcjonista był krępy męczyzną ubranym w czarny zachodni garnitur i cienki czarny krawat. Spojrzał na nas z naiwnym miłym uśmiechem, gdy wspólnie z Tireyem wchodziliśmy do biura.

Przestał się uśmiechać, gdy w drzwiach pojawiło się pięciu kolejnych agentów i zaczęło przeszukiwać pomieszczenia. Dał nam do zrozumienia, że nie jesteśmy miłe widzianymi gośćmi.

- Czym mogę służyć? - zapytał z wyraźnym zaniepokojeniem. Tirey stanął w odległości pół metra od jego biurka, machnął jakimś sfałszowanym dokumentem i pokazał prawdziwą odznakę.

- Agent specjalny Tirey... FBI - oznajmił z naciskiem. - Podejrzewam, że jeden z obecnych w tym biurze jest zamieszany w porwanie. Mam nakaz zezwalający moim ludziom na dokonanie przeszukania.

Pomieszczenie, do którego weszliśmy, okazało się dużym, chaotycznie umeblowanym przedpokojem. Przed każdym z siedmiu biurk siedział mężczyzna podobnie jak recepcjonista ubrany w poważny biznesowy strój. W środku pachniało papierosami i starymi woreczkami po herbacie. W sumie wewnątrz przypominało połączenie tylnego pokoju okręgowego komitetu wyborczego z ruchliwą kostnicą.

- Proszę powiedzieć swoim ludziom, aby odeszli od biurk i stanęli przy ścianie - polecił recepcjoniście Tirey, wskazując ścianę. - Jeśli ktoś czegoś dotknie, zostanie skuty i aresztowany.

Najwyraźniej wszyscy rozumieli po angielsku lub wiedzieli, o co chodzi, bo zaczęli wstawać, odkładać telefony oraz długopisy i odchodzić od biurk.

- Czy Mahmud Charabi jest u siebie? - zapytałem.

Przed rozpoczęciem akcji ustaliliśmy, że rzeczywiście przebywa w biurze. Mimo to

powinniście zobaczyć tego biedaka. W przeciwieństwie do swojego szefa recepcjonista musiał przebywać w kraju za rządów Saddama, bo nagle pojawienie się uzbrojonych ludzi z dokumentami i groźbami sprawiło, że na jego twarzy pojawił się wyraz z troską.

- Ja... ja nie mam pojęcia. Wskazałem telefon stojący na biurku.

- Powiesz mu, że pułkownik Drummond z armii Stanów Zjednoczonych chce zamienić z nim słówko. Ale już!

Podniósł słuchawkę i wybrał numer. Mówił po arabsku, dlatego nie wiem, co powiedział, lecz zajęło mu to znacznie więcej czasu niż mnie. Z tego, co wiedziałem, biuro Charabiego miało drabinkę przeciwpożarową, więc facet pewnie mówił szefowi, aby tamtędy zwiewał.

Uznałem, że nadszedł czas na podjęcie energicznych działań. W przeciwległym końcu sali znajdowały się drzwi, do których szybko podszedłem. Otworzyłem pierwsze i zajrzałem do toalety. Za drugimi znajdowało się diabelskie leże, więc wszedłem do środka. Delikatnie zamknąłem drzwi i przekręciłem zasuwę, aby nikt nam nie przeszkadzał, a następnie odwróciłem się w stronę nieprzyjaciela.

Charabi siedział za drewnianym biurkiem średniej wielkości w pomieszczeniu, które nie było wcale przestronne ani szczególnie dobrze umeblowane. W środku znajdowało się jedynie wspomniane biurko, metalowa szafka na dokumenty i strasznie poplamiona wykładzina dywanowa. Mahmud Charabi popijał herbatę. Trudno byłoby uznać, że przez dziesiątki lat knuł i przadł misterną intrygę, aby skończyć w takim miejscu jak to i właśnie o to chodziło. Gdyby wszystko poszło dobrze, jego obecny gabinet byłby jedynie przystankiem na drodze do wykwintnych pałacowych pomieszczeń, z których rządziłby wojskiem i całym narodem.

Spojrzał na mnie, odłożył słuchawkę i zaczął wstawać, ale po chwili zmienił zdanie i ponownie opadł na fotel. Po chwili zagubienia zdobył się na wystarczającą przytomność umysłu, aby zapytać:

- Dlaczego chciał się pan ze mną widzieć? Nie mieliśmy umówionego spotkania.

Powinien pan stąd wyjść - zasugerował. Kiedy nie zareagowałem, oznajmił: - Zadzwoń do amerykańskiego ambasadora i złożę oficjalny protest. - Podniósł słuchawkę i zaczął wybierać cyfry gniewnymi lekkimi uderzeniami.

Ogólnie rzecz biorąc, istnieją dwa sposoby podejścia do tak delikatnej sytuacji -

zwykle zaleca się metodę dyplomatyczną, która ma rozmaite korzyści, na przykład pozwala uniknąć nieprzyjemnej konfrontacji, jest skuteczna i nie pozostawia przykrych uczuć. Trzeba przyznać, że Charabiego dzieliły zaledwie tygodnie od objęcia najważniejszego urzędu w tym kraju. Facet zasługiwał na szacunek i uprzejmość, jeśli nie ze względu na własną osobę, to z uwagi na stanowisko, które miał piastować. Dodam, że miał wpływowych przyjaciół w Waszyngtonie, którzy mogli znacznie uszczuplić moje pobory.

Ponieważ wspomniany sposób postępowania zawsze był mi obcy, powiedziałem:

- Odłóż słuchawkę.

W dalszym ciągu naciskał klawisze.

- Skoro tego chcesz, nie przerywaj. Przyłóż pistolet do własnej głowy.

Zatrzymał się. Odniosłem wrażenie, że udało mi się przyciągnąć jego uwagę.

- O czym ty mówisz? - zapytał.

- No cóż... zacznijmy od tego, kto zamordował Clifforda Danielsa. Kto przekazał

Irańczykom informację, że złamaliśmy ich szyfr. Na koniec, kto postrzelił i porwał majora armii Stanów Zjednoczonych. Jest jeszcze więcej rzeczy, lecz to, co powiedziałem, na początek w zupełności wystarczy, nie uważasz?

Moje słowa trafiły w czuły punkt, a może kilka. Twarz Charabiego pobladła.

- Nie mam... nie mam pojęcia, o czym mówisz - wyjąkał. - Kim jesteś... i kto cię przysłał?

Zignorowałem to pytanie.

- Zwykle w takiej sytuacji odczytałbym ci twoje prawa i poradził skorzystanie z usług prawnika.

Dzisiaj to ja nim jestem. Na dodatek nie masz żadnych praw, a jedynie możliwości.

- Przerwałem na chwilę, a następnie wyjaśniłem, dlaczego powinien głęboko je przemyśleć: -

Mogę cię zniszczyć jednym telefonem.

Nawiasem mówiąc, Mahmud Charabi dobiegał sześćdziesiątki, był średniego wzrostu, lekko pulchny - wypielęgowany i delikatny - co nie sprzyjało daremnym próbom podkreślenia, że jest twardym facetem. Łysinę na czubku głowy okalały siwiejące włosy.

Charabi miał woskową skórę i nalaną twarz. Wydał grube wargi i spoglądał na mnie z lekkim niedowierzaniem małymi brązowymi oczkami osadzonymi w pełnych policzkach. Ogólnie rzecz biorąc, miał krągły i obwisły wygląd, i być może właśnie dlatego ludzie go lekceważyli.

Posługiwał się dobrą angielszczyzną i budował poprawnie zdania, chociaż w sposobie jego mówienia wyczuwało się obcy akcent.

Zauważyłem, że lekko się jąka, co przypuszczalnie było tikiem nerwowym. Szczerze powiedziawszy, ten człowiek był pozbawiony wszelkich oznak siły, charyzmy, a nawet osobistego uroku. Bardziej przypominał otyłego rzeczoznawcę ubezpieczeniowego niż Jerzego Waszyngtona swojego kraju. Przypuszczalnie właśnie dlatego musiał kłamać, intrygować i zabijać, aby zdobyć władzę.

Miał też Nixonowski tik polegający na ściskaniu dłoni w chwili wielkiego napięcia. W tej chwili wyglądał tak, jakby uściskiem dłoni chciał zmienić grudkę węgla w diament.

Aby rozwiać jego wątpliwości, oznajmiłem:

- Mam laptop Clifforda Danielsa. - Otworzył szeroko oczy, więc potwierdziłem jego najgorsze obawy: - Jesteś Krzyżowcem Drugim. Clifford był leniwym głupcem. Nie zadał sobie trudu usunięcia waszych e-maili. Tak, panie Charabi, rozszyfrowaliśmy je i trzeba przyznać, że są bardzo... obciążające. Każdy list.

- Ależ...

Nie dałem mu dojść do słowa:

- Wyobraź sobie, jak będą wyglądały na pierwszej stronie „New York Timesa”.

Charabi zaczął kontemplować pustą kartkę leżącą na biurku. Postanowiłem przypomnieć mu, co napisał:

- Pomyśl o niepochlebnych opiniach na temat twoich przeciwników w Iraku. Skargi na amerykańską armię i ambasadora. „Głęb”, tak go nazwałeś?... Myślisz, że będzie rad z tego przydomku? Nie sądzę. Na koniec najlepsze: Ty i Cliff powiadomiliście Irańczyków, że złamaliśmy ich szyfr.

Kiedy nie zareagował, dodałem:

- Słuchaj, to prawdziwa sensacja. Pomyśl, jak to będzie wyglądało. Jeśli przed chwilą jego twarz była blada, teraz wyglądała tak, jakby miała się rozpuścić w rzadkim powietrzu.

Nie sądził, że kiedykolwiek usłyszy te słowa. Myślał, że Daniels nie żyje i zabrał tajemnicę do grobu.

- Ach... kim... kim jesteś?

- To nie ma znaczenia. Sprowadź tu natychmiast major Bian Tran. Masz dziesięć minut, w przeciwnym razie... - Pozwoliłem, aby się domyślił, co zrobię.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

- Ja... ja... Co takiego? Nigdy nie słyszałem o jakiejś... major... jak ona się nazywa?

Wstałem i pochyliłem się nad biurkiem.

- Kazałeś urządzić zasadzkę na jej samochód. Wczoraj wieczorem. Raniono ją i porwano. -

Spojrzelіśmy sobie w oczy. - Jeśli nie żyje, jesteś trupem. Zabiję cię osobiście. -

Wskazałem na zegarek. - Zostało ci dziewięć minut.

- Powiedziałem prawdę. Nie znam jej... i zapewniam... że jej nie porwałem. Ten, kto ci to powiedział... to wierutne kłamstwo.

Nie odrywając wzroku od jego twarzy, oznajmiłem:

- Major Tran napisała twoje nazwisko własną krwią na desce rozdzielczej, zanim wywleczono ją z samochodu.

- Ach. - Rozejrzał się wokół, próbując zapanować nad sobą. Jego twarz odzyskała odrobinę koloru. Ze zdumiewającym chłodem powiedział: - Proszę usiąść. Porozmawiajmy o tym bez gróźb.

- Mam lepszy pomysł. Podnieś słuchawkę i powiedz swoim ludziom, aby sprowadzili tu Tran. Natychmiast.

- Nie mogę. Jesteś w błędzie. - Odetchnął głębiej kilka razy. - Przeszedłeś do mojego - podkreśliłem mojego - biura, oskarżając mnie o zabójstwo i porwanie. Nie zmusisz mnie szantażem, abym przyznał się do takiego wierutnego kłamstwa. - Najwyraźniej odzyskał trochę pewności siebie, bo nakazał władczy tonem: - Siadać.

Facet zasłużył na fangę w nos. Kiedy nachylałem się, aby go walnąć, uczynił coś, co z lekka pokrzyżowało moje plany. Sięgnął prawą ręką pod biurko i wyciągnął glocka, z odległości piętnastu centymetrów mierzył w moje krocze.

- Siadaj - powtórzył z nieco większym naciskiem, sugestywnie celując w moją ulubioną część ciała.

Nie usiadłem, lecz cofnąłem się kilka kroków.

- Na zewnątrz jest pół tuzina agentów FBI. Posłuchaj uważnie... - Na chwilę zapadło milczenie, przysłuchiwaliśmy się, jak Tirey hałaśliwie przeszukuje biuro. - Oddaj mi pistolet, a obiecuję, że nie zrobię ci krzywdy.

- Nie mam zamiaru. Włamałeś się do mojego biura, groziłeś mi, wpadłeś w szal i rzuciłeś się na mnie. Działalem w samoobronie. Miałem prawo cię zabić.

W takich chwilach warto zadać sobie pytanie, czy drugi mówi poważnie, czy blefuje?

Cóż, zagroziłem wszystkiemu, co budował od dziesiątków lat. Wiedziałem, że to człowiek pozbawiony skrupułów, nie miałem również wątpliwości, że jest zdolny do popełnienia morderstwa. Na dodatek gość miał rację: jeśli jest tylko dwóch świadków morderstwa, ten, który przeżyje, ma monopol na prawdę.

Mimo to jeszcze nie strzelił, a to oznaczało, że mam coś, czego pragnie. Jedyнным powodem, dla którego ciągle żyłem, była jego ciekawość. Dopóki jej nie zaspokoje, mam szansę.

Chociaż w chwilach takich jak ta nigdy nie należy odrywać wzroku od oczu przeciwnika, spojrzałem na jego pistolet.

- Wiesz co? Cliff Daniels zginął od strzału z takiej samej broni. To glock siedemnaście pro, prawda?

- Tak? Cóż... nie wiedziałem.

- Pomyślałem, że to dziwne. Uderzająca zbieżność.

- Nie sądzę. Kupiłem jeden dla siebie, a drugi dla Cliffa. Dwa identyczne pistolety.

Braterstwo broni. - Uśmiechnął się. - Właściwy prezent za to, co zrobił dla mojego biednego nieszczęśliwego kraju.

- Przekazywałaś Ameryce nieprawdziwe dane wywiadowcze. Do dziś zginęło ponad tysiąc

naszych żołnierzy. Czy którykolwiek z twoich obdarowanych żyje?

Machnął pistoletem.

- Nie powtórzę po raz trzeci. Siadaj. Zauważyłem, że palec na spuście pobiełał.

Usiadłem. Przeszedł od razu do rzeczy.

- Gdzie jest komputer Cliffa?

Pomyślałem, że tylko z tego powodu jeszcze mnie nie zabił. Wiedziałem, że gdybym powiedział mu, że komputer jest w rękach CIA i że nie mam kluczy do jego politycznego przetrwania, byłbym trupem. Charabi potrzebował mnie tylko po to, aby dowiedzieć się, jak go odzyskać, a ja musiałem pozostać przy życiu po to, by zacisnąć mu dłonie na gardle.

Postanowiłem skłamać.

- Ukryliśmy go. Major Tran i ja... kiedy odkryliśmy, co jest na twardym dysku... nie mogliśmy się oprzeć.

- Dlaczego?

- W waszej korespondencji przewijają się dość wpływowych osób, abyśmy przeszli do cywila w stopniu generała.

Docenił moje wyrachowanie.

- A zatem ukryliście go?

- W bezpiecznym miejscu. Takim, o którym wie tylko ona i ja. Przypatrywał mi się przez chwilę.

- Kim jesteś?

- Przedstawiłem się.

Powtórzył pytanie, mierząc mi między oczy i dodając:

- Nie zadam tego pytania ponownie.

- Jestem partnerem major Tran. Wspólnie prowadziliśmy śledztwo w sprawie śmierci Clifforda Danielsa.

- Jestem zaskoczony... Poinformowano mnie, że mój stary przyjaciel odebrał sobie życie. A zatem, pułkowniku... - Najwyraźniej, w sposób typowy dla próżnych polityków, nie nosił okularów, nie potrafił jednak zapamiętać mojego nazwiska, bo musiał się pochylić, aby odczytać tabliczkę z nazwiskiem.

- Pułkowniku Drummond... to było samobójstwo czy morderstwo?

- Nie słyszał pan o mnie?

- Z jakiej racji? Czyżbyśmy się wcześniej spotkali? Wyglądało na to, że faktycznie nigdy nie słyszał mojego nazwiska i nie miał o niczym pojęcia. Gdyby ktoś z Waszyngtonu poinformował go o Bian Tran, z pewnością przekazałby mu również wiadomość o mnie.

Zaciekawiło mnie to, że odczuwa potrzebę prowadzenia tej gry - w końcu to on miał pistolet.

Ponieważ odpowiadał w sposób wybiórczy, postanowiłem przyjąć identyczny sposób podejścia i odpowiedziałem na pierwsze pytanie.

- Śmierć Cliffa wyglądała na samobójstwo. Z całą pewnością nie mógł się uskarżać na brak powodów. Rozwód, życiowe rozczarowanie i, jak wiesz, nakaz stawienia się przed komisją śledczą Kongresu. Jego kariera zawodowa była zrujnowana, czekała go publiczna kompromitacja.

- A zatem... było to samobójstwo?

- Morderstwo. Dokonane przez wynajętą zabójczynię. Zaaranżowano je tak, aby wyglądało na samobójstwo. Gdyby nie kilka głupich błędów i sprzeczności, moglibyśmy je za takie uznać.

Pokrótkie je opisałem. Słuchał, lecz odniosłem wrażenie, że myśli o czym innym. Nie sprawiał wrażenia skupionego lub zainteresowanego.

- Gdyby była moim pracownikiem, pozbawiłbym ją bożonarodzeniowej premii.

Charabi przybrał podejrzliwy wyraz twarzy. Przyglądał mi się przez chwilę, a następnie zapytał:

- Masz mikrofon? - Nie czekając na odpowiedź, polecił: - Wstań. Zdejmij koszulę.

Nie ruszyłem się. Miałem tego dość. Nie miałem zamiaru dogadzać mordercy, zdrajcy i porywaczowi rozbieraniem się w jego obecności.

- Ściągaj koszulę - warknął, ponownie mierząc w moje krocze. Ręka mu drżała, a palec pobieliał.

Właściwie czemu nie? Rozpiąłem i zrzuciłem bluzę munduru na podłogę. Wstałem i zsunąłem spodnie do kostek, a następnie wykonałem wolny obrót, aby mógł sprawdzić, że nie mam podsłuchu.

- Teraz podkoszulek. - Posłuchałem. Istnieje cudowne kurdyjskie przysłowie wyprzedzające nowoczesną elektronikę: „Nagi człowiek nie kłamie”.

- Jeśli myślisz, że zdejmę slipy, lepiej od razu mnie zastrzel.

Zaśmiał się i powiedział.

- Możesz się ubrać. - Zajęło mi to chwilę.

Wszyscy, którzy oglądają filmy o policjantach, zakładają, że gołym okiem można wykryć urządzenie podsłuchowe, co w dobie cudów miniaturyzacji wcale nie jest prawdą. Z

doświadczenia wiem, że kumple z Biura używają mikrofonu w kształcie czopka, co nadaje całkiem nowe znaczenie frazie „mam to w dupie”. Wyznam szczerze, że Drummond nie jest skłonny do takich poświęceń. Z drugiej strony gdybym miał mikrofon, ludzie Tireya już by tu byli, a ja mierzyłbym z pistoletu w głowę Charabiego, który odpowiadałby na moje pytania.

Po namyśle doszedłem do wniosku, że jednak powinienem mieć mikrofon.

Tymczasem włożyłem bluzę, usiadłem i zacząłem się zastanawiać nad swoimi możliwościami, podczas gdy on bawił się glockiem i rozmyślał o swoich. Puszczanie mnie wolno nie wchodziło w grę, z kolei zastrzelenie Drummonda i twierdzenie, że dokonał tego w samoobronie, najwyraźniej również nie nadawało się do zaakceptowania. Miałem coś, czego pragnął - informacje - a on coś, czego pragnąłem ja - pistolet. Nie było sposobu, abyśmy mogli się spotkać w połowie drogi.

- Posłuchaj. Nie zabiłem Cliffa - powiedział w końcu. - Był moim przyjacielem. Nie zleciłem jego zabójstwa. - Pochylił się bliżej i dodał: - Nie porwałem też major, o której mówiłeś.

Z mojej krtani mimowolnie wyrwały się jakieś dźwięki. Usłyszałem, jak ktoś mówi:

- Chrzanisz.

- To ja mam pistolet - przypomniał mi poirytowany. - Człowiek, który znajduje się w takim położeniu, nie musi kłamać.

- Wiesz co? Masz rację. Człowieku, cieszę się, że oczyściliśmy atmosferę i... cóż...

wiem, że jesteś bardzo zajęty. - Wstałem i zrobiłem dwa kroki w stronę drzwi.

- Siadaj! Bo zastrzelę.

- Kula w plecach nie pomoże ci dowieść, że zabiłeś mnie w samoobronie -

oznajmiłem, ale nie spodobał mi się ton jego głosu, więc się zatrzymałem.

- Prawdziwe pytanie, pułkowniku, brzmi, jaki wpływ na pana zdrowie będzie miała kulka w tyle głowy.

Słuszna obserwacja. Odwróciłem się i usiadłem. Machnął pistoletem.

- Nie sądzę, aby przysłała cię tu armia amerykańska. Dla kogo pracujesz?

Postanowiłem powiedzieć mu prawdę.

- Dla CIA. - Pomyślałem, że się tego domyślił, ponieważ nie sprawiał wrażenia zaskoczonego lub zaszokowanego. - Wspaniale. Wiem, że pracujesz dla Iranu, a ty, że pracuję dla CIA. - Uśmiechnąłem się i dodałem: - Nagi człowiek nie kłamie.

- Jesteś żołnierzem? - zapytał. - Ten mundur jest prawdziwy.

- Tak.

Wskazał pistoletem na moje ramię.

- Masz odznaki wojskowe. To znaczy, że byłeś na wojnie, prawda? Skinąłem głową.

- Zabijałeś dla swojego kraju? Nie odpowiedziałem.

- Ilu ludzi zabiłeś?

- Nie liczyłem.

- To znaczy, że straciłeś rachubę. Mam rację? Nie spodobało mi się to pytanie.

- Do czego zmierzasz?

- Uważasz się za patriotę?

- Jestem żołnierzem.

- I zabijałeś dla swojego kraju, dla swojego narodu. - Przyjrzał mi się uważnie i zapytał: - Czy wiesz, ilu szyitów zamordował Saddam Husajn?

- Wielu.

- Czy milion to wielu? A dwa miliony? - zapytał szyderczym tonem. - Zamordował, pułkownika. Gazem trującym, kulką w tył głowy, torturami, gwałtami, głodem. Mężczyzn, kobiety, dzieci i starców. Nie miał litości dla nikogo. Nie wspomnę o czterystu tysiącach szyitów, którzy polegli w jego idiotycznej wojnie z Iranem i Ameryką.

- Czytuję gazety.

- Kiedy podobna liczba Żydów zginęła z rąk nazistów, potępił ich cały świat. Nadano nawet nazwę tej zbrodni. Holokaust. Jakby zjawisko masowej eksterminacji ograniczało się do Żydów. Dlaczego nie określa się w podobny sposób ludobójstwa dokonanego na moim narodzie?

- Ludobójstwo dokonane na twoim narodzie to tragedia. Wiesz, że zrobiliśmy wszystko, aby temu zapobiec. Dostarczaliśmy żywność i pomoc medyczną. Wprowadziliśmy strefę zakazu lotów na południu Iraku, aby Saddam nie mógł używać samolotów do mordowania szyitów.

- Wszystko? Nie sądzę. Czy ludobójstwo ustało? Wiesz, że nie. W najlepszych latach ginęły dziesiątki tysięcy.

- To nie była nasza wojna.

Powiedział to, co zamierzał, i wrócił do poprzedniego tematu:

- Zatem zabijałeś dla swojej ojczyzny. Czy zdobyłbyś się na to, aby dla niej skłamać?

Jestem pewny, że kłamca ma mniej powodów do wstydu niż zabójca.

- Zabijanie w obronie ojczyzny nie jest grzechem.

Odchylił się na krześle i nieznacznie uśmiechnął lub wydał usta w złośliwym grymasie. Wiecie, miał grube wargi, więc trudno było ocenić.

- Ja również nie sądzę, aby kłamstwo w intencji ocalenia własnego narodu było grzechem. *Taqijja*... Słyszałeś to arabskie słowo? Tę koncepcję?

- Myślę, że wczoraj to zamówiłem. Chodzi ci o przypalone kozie mięso?

Zignorował mój sarkazm i wyjaśnił:

- To koncepcja szyitów. Zasada usprawiedliwiająca kłamstwo w obronie ubogich lub prześladowanych za wiarę. Jeśli przekazałem kilka nieprawdziwych informacji waszemu rządowi lub zgłosiłem kilka przesadnych roszczeń, nie mam wyrzutów sumienia ani nie czuję się winny z tego powodu.

- Kłamstwo na polecenie irańskich mocodawców, w intencji przejęcia władzy, nie czyni pana szlachetnym, Charabi. Raczej kłamcą i oszustem.

Na jego twarzy pojawił się grymas zdziwienia.

- Moich mocodawców? Jestem pewny, że nie wierzysz, iż pracuję dla Iranu.

Przyglądałem mu się przez chwilę, a następnie powiedziałem o kilku rzeczach, o których już wiedział.

- Spotykałeś się z pracownikami irańskiego wywiadu i przekazywałeś im ważne informacje. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że gdybyśmy dokładnie się temu przyjrzeni, okazałoby się, że byłeś zamieszany w dostarczanie do Iraku ludzi i irańskiej broni -

oznajmiłem. - Gdybyśmy zajrzeli jeszcze głębiej, podejrzewam, że dowiedzielibyśmy się, iż rozmawiałeś z Irańczykami długo przed wybuchem wojny.

- Możecie szukać, gdzie chcecie.

- Dziękuję za pozwolenie.

- Oszczędziłem wam kilku problemów. Tak, masz rację. - Przestał się uśmiechać. -

Częściowo masz rację. Rozmawiałem z przyjaciółmi... w Iranie. Tak, długo przed inwazją.

Tak, pomogłem im w wywarceniu wpływu na szyitów w Iraku. Domyślasz się dlaczego?

- Aby wynieść własną matkę na tron? Postanowił nie odpowiadać.

Wymierzyłem kolejny cios.

- Ponieważ chcieli mieć kontrolę nad tym, kto będzie rządził w Iraku, a ty zgłosiłeś się na ochotnika? - Spojrzałem mu w oczy i zapytałem: - Tak? Nie? Ciepło?

Wiedział, że chcę go zdenerwować. Spojrzał na mnie, mrużąc oczy. Był cwany i aby mnie wkurzyć, postanowił zignorować przynętę.

- Ponieważ było to dobre dla mnie... i dla mojego narodu. Ponieważ ci, którzy rywalizują ze mną o władzę nad irackimi szyitami... duchowni Sistani, Sadr i inni... od dawna utrzymują kontakty z Iranem.

Przerwał i spojrzał na mnie.

- Podobnie jak w waszym rządzie w Waszyngtonie, w Teheranie istnieje wiele punktów widzenia i frakcji. Nie wszyscy są zadowoleni z Sistaniego lub Sadra, dlatego przekazałem przyjaciołom w rządzie dar w postaci informacji wywiadowczych o ogromnym znaczeniu, a ci przekazali ją odpowiednim osobom i... *voilai* - uniósł pulchne dłonie, wykonując głupawą pantomimę przedstawiającą wyciąganie królika z cylindra - Mahmud Charabi ma wpływowych sojuszników w Teheranie i tu, w Iraku.

Zdumiewające. Zasadniczo rzecz biorąc, facet znalazł irańskich sobowtórów Cliffa Danielsa i tak jak jego wykorzystywał ich do wzmocnienia swoich wpływów w rządzie Iranu.

Ale chyba wcale nie powinno mnie to dziwić. Każdy kanciarz ma swoje ulubione sztuczki i jest przekonany, że skoro raz mu się udało, uda się kolejny. Powinienem powiadomić jego nowych przyjaciół z Iranu, jak to się skończyło dla Cliffa.

Nawiązując do tego wątku, powiedziałem:

- Kiedy człowiek gra na tyle stron, czasami zapomina, o co chodzi. Zrozumiał mnie dosłownie.

- Waszyngton leży ponad dziesięć tysięcy kilometrów stąd, a Iran jest tuż za miedzą. -

Uśmiechnął się nieznacznie. - Na dłuższą metę nie będzie to miało większego znaczenia.

Wiesz dlaczego?

- Mam wrażenie, że chcesz mi to powiedzieć.

- Ponieważ jest to kwestia pozbawiona znaczenia. Szczerze mówiąc, Irańczycy mają nade mną równie małą kontrolę jak Ameryka. Jestem Irakijczykiem, pułkownikiem. Osobiście nie przepadam za Irańczykami.

- To nie jest wystarczający powód, Charabi. Powiedz mi więcej.

- Obawiam się sunnitów, którzy, jak zapewne zauważyłeś, otrzymują duże poparcie od swoich

współwyznawców. Ci ludzie to barbarzyńcy i mordercy. Przez dziesiątki lat uciskali i zabijali mój lud, szyitów, jednocześnie bogacąc się na ropie, która należała się nam wszystkim... Jak to powiedział Churchill? O Stalinie? Coś o sypianiu z diabłem...?

- Myślę, panie Charabi, że to my przespaliśmy się z diabłem. Powinien pan się głęboko martwić tym, co się wydarzy, gdy Ameryka usłyszy o pana zdradzie, o tym, jakim jest pan dupkiem. Ponieśliśmy wiele ofiar w ludziach i wydaliśmy mnóstwo pieniędzy, aby wyzwolić wasz kraj.

- Zdradzie? Nie sądzę, pułkowniku. Ja jedynie przekazałem dar. Nie do mnie należał jego wybór, prawda? Czytał pan naszą korespondencję. Wie pan, że wyboru dokonał Clifford.

- Potrząsnął głową. - Myślę, że prawdziwym problemem nie jest Mahmud Charabi, lecz Cliff, który nawiasem mówiąc, znajduje się obecnie poza waszym zasięgiem.

Najwyraźniej ostatnia uwaga pobudziła go do refleksji, bo się poskarżył:

- Amerykanie są tacy niecierpliwi. Nie lubią długich wojen i zmagañ. Macie obsesję na punkcie natychmiastowej gratyfikacji.

Potarł dolną wargę i dodał:

- Jeśli wasze wojska wycofają się przedwcześnie, dojdzie do rzezi ludności cywilnej.

To, co było dla nas wielkim dylematem, dzięki moim irańskim przyjaciołom zamieni się w wasz wielki problem. Teraz nie wycofacie się z obawy, że Irańczycy wypełnią próżnię, którą pozostawicie, że w wyniku tej wojny jedynie oddacie Irak w ich ręce. Z drugiej strony, jeśli się wycofacie, wkroczy Iran i moi irańscy przyjaciele nas ocalą. A zatem, Drummond, wasi przywódcy dostali mata - szyici, mój lud, Allahowi niech będą dzięki, wygrają tak czy inaczej. Ocalą nas Amerykanie lub Irańczycy, lub jedni i drudzy. To korzystne położenie, nie sądzisz?

Patrząc na tego człowieka, pomyślałem, że wyprzedza o dziesięć kroków wszystkich strategów z Waszyngtonu. Miał rację, byliśmy narodem uzależnionym od natychmiastowej gratyfikacji - błyskawicznej żywności, błyskawicznego seksu i błyskawicznych zwycięstw.

Nigdy też nie wybiegaliśmy daleko w przyszłość. Charabi nie tylko zwabił nas do Iraku, lecz zorganizował pułapkę, aby nas w nim zatrzymać. Było to zdumiewające i zatrważające.

Zmieniłem temat.

- Kim był dla ciebie Clifford Daniels? - spytałem.

- Był przyjacielem, kiedy potrzebowałem przyjaciela.

- To interesujące, że opisałeś go w taki sposób. Jestem pewien, że on również byłby tym zdumiony, ponieważ ty jesteś tutaj, a on w kostnicy.

Faktycznie, byłem zaintrygowany. Mógłbym nazwać tego człowieka kłamcą, intrygantem, złodziejem, mordercą i zdrajcą, lecz oskarżenie go o to, że był złym przyjacielem, dotknęło go do żywego. Wdał się w długą emocjonalną tyradę o swoim

„najdroższym przyjacielem”, twierdząc, że Cliff był... tak, był zwyczajnym człowiekiem z pewnymi zaletami i wadami. Może i miał nienasyconą ambicję i pragnął zrobić karierę. Może niektórzy mieli mu za złe odpychającą butę. Ale był też szlachetny i pełen poświęcenia, istny święty z kilkoma drobnymi wadami. Arabowie mają prawdziwy dar do kwiecistego pieprzenia. Zanim namaścił Daniela na Lafayette'a Iraku, byłem gotów do lunchu.

Kiedy jednak gospodarz trzyma w ręku pistolet, słucham uważnie i jestem grzeszny. Z jakiegoś powodu Charabi odczuwał potrzebę odkupienia tego, co uczynił Danielsowi, więc zgodnie przytakiwałem, gdy mówił. Właściwie nawet pomogłem mu zakończyć tę przemowę, stwierdzając:

- Cliff Daniels był idiotą. Kiedy stało się to jasne... nawet dla niego samego...

zwyczajnie się załamał. Chwalipięta, pijak, kobieciarz, człowiek, który dostał świra na punkcie

własnej kariery.

- Nie, to nie tak...

- Był małym, słabym człowieczkiem o niezdrowych apetytach. Facetem o ambicji olbrzymia i talencie pigmeja, żałośnie walczącym o władzę i sławę. Niestety, wybrał niewłaściwy talon na jedzenie. Ciebie.

- Nie powiedziałem, że Cliff był doskonały.

- Rzeczywiście. Od początku tej rozmowy wskazywałeś, jaki był głupi, próżny i bezbronny. Przekonując go do wspierania ciebie i twoich kłamstw o Iraku, wystrychnąłeś go na dudka, a później, gdy runął jego świat, wykorzystałeś jego zniechęcenie i pchnąłeś do zdrady. Mając takiego przyjaciela jak ty, człowiek nie potrzebuje już wrogów.

- Cóż... - zaczął, jakby nagle poczuł się niezręcznie, jednak już po chwili odkrył jaśniejszą stronę i wyznał: - Odniosłem ogromną ulgę, że nie było to samobójstwo, lecz morderstwo. Czułem się... trochę winny.

- Nie zerwałeś się z haczyka. Zamordowanie Daniela było bezpośrednią konsekwencją kontaktów, które was łączyły.

- Lecz to nie ja go zabiłem. - Ten temat wyraźnie mu nie leżał, a ponieważ miał broń, postanowił go zmienić: - Opowiedz mi o tej major. Dlaczego uważasz, że to ja ją porwałem?

Przesunął glocka na biurku jakieś pół metra, tak że znajdował się około czterech metrów ode mnie. Zacząłem bezgłośnie przesuwając krzesło po dywanie.

Szczerze powiedziawszy, byłem zdumiony, że pan Charabi wyjawiał mi tak wiele.

Oczywiście nie oznaczało to, że mi ufa lub że moje towarzystwo sprawia mu przyjemność, a jedynie, że dla niego jestem już trupem.

- Czy Cliff wyznał ci kiedyś, jak dowiedział się, że złamaliśmy szyfr Irańczyków?

- Dlaczego pytasz?

- Był to ściśle tajny program prowadzony pod nadzorem CIA. Nie powinien był o nim wiedzieć. To dla nas... kłopotliwa sprawa.

Roześmiał się.

- Powiem prawdę. Mój kumpel miał poważne problemy z tego powodu - rzekłem, puszczając oko. - Jestem mu winien przysługę.

- Chcesz powiedzieć, że w dalszym ciągu nie wiecie, jak do tego doszło?

Kolejny szybki strzał.

- Dlaczego cię to dziwi? Przecież to ci sami ludzie, którzy nie zwrócili uwagi na lśniącego zielonego jaguara Aldricha Amesa zaparkowanego w Langley.

Sprawił wrażenie ubawionego tą analogią oraz ironiczną wymową faktu, że Cliff - a więc także i on - sięgnęli do kieszeni Agencji. Jeśli mam zgadywać, facet w dalszym ciągu chował urazę za to, że CIA odrzuciła jego wczesną propozycję współpracy, a później psuła mu reputację w Waszyngtonie i amerykańskiej prasie. Charabi miał wyraźnie wybudowane ego - zachowywał się zwyczajnie małostkowo.

- Dlaczego miałbym ci nie pomóc? Kurierem w tej komórce była kobieta.

- Ach... i... Skinął głową.

- Tak... właśnie tak. Nie była szczególnie atrakcyjna, lecz Cliff mawiał, że po ciemku wszystkie panie wyglądają tak samo. - Wzruszył ramionami. - Był to przelotny romans. -

Uśmiechnął się i dodał: - Odnosiłem wrażenie, że to, co mówiła przed zaśnięciem, było dla niego bardziej intrygujące od niej samej.

Zastanowiłem się nad jego słowami. Przed wojną krąg agentów wywiadu w Waszyngtonie

specjalizujących się w sprawach Iraku był bardzo wąski, nic więc dziwnego, że Cliff i kurierka się znali. Przypomniałem sobie, co powiedziała o nim jego była żona: ciągnął do łóżka każdą, która poruszała się wolniej niż on. A zatem, koniec końców, ta dama została zerznęta przez Cliffa. Pozostawało jednak ważne pytanie, dlaczego powiedziała Cliffowi o tajnym programie.

Być może rozwiązanie tej zagadki wcale nie było takie trudne. Mogła usprawiedliwiać w ten sposób swoje częste wyjazdy do Bagdadu lub przechwalać się przed kochankiem ważną pracą, którą wykonuje..Mogła też mamrotać o tym we śnie lub przez nieostrożność wypaplać tyle, że Cliff dopowiedział sobie resztę.

Wszystko to mogło wyjaśnić, jak doszło do przecieku, nie wyjaśniało jednak, w jaki sposób kurierka przeszła pomyślnie badanie na wykrywaczu kłamstw. Jeśli wierzyć Phyllis, pracownicy uczestniczący w tym nieudanym programie zostali tyle razy przebadani na wariografie, że Agencja znałaby nazwiska wszystkich, z którymi ta dama bawiła się w doktora w przedszkolu, i wszystkich, którzy później narobili jej kłopotów. Pieniądze, seks i narkotyki lub gorzała są główną przyczyną zdrady, dlatego inkwizytorzy z Agencji nigdy nie zapominają o to zapytać.

Oprócz wspomnianych czynników jest również ludzkie ego, ambicja i władza - wystarczy wspomnieć o Cliffie Danielsie i Donie alias Lebrowskim - gdyby jednak cechy te dyskwalifikowały, w całym Dystrykcie Columbii pozostaliby jedynie dozorczy. Być może.

Charabi wyrwał mnie z zamyślenia, nalegając:

- Odpowiedziałem na twoje pytanie. Teraz ty odpowiedz na moje.

- Dobrze. Major i ja prowadziliśmy drobiazgowe śledztwo w sprawie Cliffa Danielsa.

Zajmowaliśmy się jego przełożonymi i twoją osobą. Mieliśmy też komputer Cliffa, o którym dowiedziano się w Pentagonie. Dlatego Tigennan lub Hirschfield zadzwonił do ciebie i polecił, abys ustalił, ile wie major Tran i ja, i być może nas powstrzymał. Aby ograniczyć straty, rozumiesz?

Roześmiał się.

Przysunąłem się kilkanaście centymetrów do przodu. Odniosłem wrażenie, że jest rozbawiony logiką mojego rozumowania. Odchylił się w fotelu i powiedział:

- Nie, to nie tak. To bardzo głupie. Tigerman i Hirschfield przestali ze mną rozmawiać wiele miesięcy temu. W Waszyngtonie jestem prawdziwym pariasem. - Zarechotał ponownie.

- W porządku. Jeśli to nie ty porwałś major Tran, kto to zrobił?

- Wydaje mi się, że to pana problem, pułkowniku.

- Czyżby? Dlaczego zatem napisała pańskie nazwisko własną krwią? - Kolejna szybka prosta.

- Nie mam pojęcia - odparł. Przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie bez słowa.

Wiedziałem, że ten człowiek to kłamca i oszust, że nic powiniennem wierzyć w żadne z jego słów - w zaprzeczenie, że miał coś wspólnego z zabójstwem Cliffa Danielsa lub porwaniem Bian. A jednak mu wierzyłem. Trzeba było zatem znaleźć odpowiedź na pytanie, kto zabił Cliffa i porwał Bian, lecz jak wspomniał mój rozmówca, nie był to jego problem, tylko mój.

Wiecie, facet wyznał już, że był kłamcą, że zdradził swoich kumpli z Waszyngtonu i świadomie współpracował z Iranem, który był naszym wrogiem. Po namyśle doszedłem do wniosku, że słowo „wyznał” było niewłaściwe - on się przechwalał. Miał niezły ubaw, patrząc w oczy amerykańskiemu oficerowi i otwarcie chwaliąc się tym, jak nas przechytrzył, jak łatwo wyprowadził w pole potężne Stany Zjednoczone i swoich wrogów z CIA.

Czemu miałby tego nie robić? Sądził, że rozmawia z człowiekiem, który już wkrótce będzie trupem. Przypomniało mi to, aby przysunąć się o kolejnych kilka centymetrów do biurka i leżącego na nim pistolem. Niestety, Charabi szybko podniósł glocka i zapytał

chłodnym tonem:

- Naprawdę sądzisz, że jestem tak głupi, aby nie zauważyć, co robisz? Cofnij się!

Ojej! Odsunąłem krzesło do tyłu.

Odniosłem wrażenie, że nasza rozmowa zbliża się do końca, bo Charabi dokonał swego podsumowania sytuacji.

- Myślę, że znaleźliśmy się na rozdrożu. Nie wiem, gdzie jest ta pani major, której szukasz, a ty masz komputer, który bardzo mnie niepokoi.

- Ty z kolei masz pistolet.

- Tak, to też. - Pochylił się w moją stronę. - Gdybym cię zapytał, gdzie go ukryłeś, czy mógłbym zaufać, że powiesz prawdę?

- A mogę ci zaufać, że później mnie nie zastrzelisz? Zauważyłem, że jego palec ponownie znalazł się na spuście. Był zbyt zajęty własnymi myślami, aby odpowiedzieć na moje pytanie - nawiasem mówiąc, nie musiał. Pochylił się jeszcze bardziej i zaczął snuć na głos swoje przemyślenia.

- Oczywiście, tylko ty i ta zaginiona pani major wiecie, gdzie jest komputer Cliffa.

Ona została porwana, a przecież jesteśmy w Iraku. Wybacz, jeśli zabrzmiało to okrutnie, lecz przypuszczalnie już nie żyje. - Przerwał na moment. - A zatem... gdybyś i ty nie żył, nikt by go nie odnalazł.

Obawiałem się, że dojdzie do takiego wniosku. Z miną człowieka zadowolonego z własnej konkluzji wymierzył mi pistolet w pierś i zaczął naciskać spust.

- Słuchaj... nie byłem z tobą całkiem szczery w sprawie tego komputera - wyjąkałem pośpiesznie.

Opuścił pistolet, lecz nie odłożył go.

- Kiedy powiedziałem, że mam komputer, miałem na myśli, że ma go Agencja.

- A zatem skłamałeś. Nie... nie ukryłeś go?

- To zależy od tego, jak rozumiesz słowo „ukryć” - Wspomniany przedmiot ukryto przede mną, więc musiało paść słowo „ukryć”.

- A jak ty je rozumiesz? - zapytał.

- Komputer ma moja przełożona, która podlega bezpośrednio dyrektorowi. Tylko trzy lub cztery osoby czytały korespondencję lub wiedzą o jej istnieniu. Wśród nich jest szef.

Chociaż mówiłem prawdę, wyglądał na zaskoczony i pełnego wątpliwości.

- Jak mogę ci wierzyć, skoro raz mnie okłamałeś? - Po krótkiej chwili sam udzielił sobie odpowiedzi: - Myślę, że zaryzykuję i po prostu cię zabiję.

- Sądziłem, że jesteś inteligentniejszy. Przecież wasze listy były zaszyfrowane.

Naprawdę sądzisz, że kilku wojskowych złamało ten szyfr? Był nie do ruszenia. -

Próbowałem przypomnieć sobie techniczne terminy używane przez Johna. - VPN, protokoły ISP... kilka niezależnych systemów firewali...

Kiedy się nad tym zastanawiał, dodałem:

- Jeśli mnie zabijesz, nie zawrzemy umowy.

- Nigdy o niej nie wspomniałeś.

- Cóż... miałem nadzieję, że odbędziemy poufną rozmowę. Że cała sprawa zostanie utrzymana w sekrecie i nikt się o niczym nie dowie.

Spoglądał na mnie w napięciu, przesuując palec po cynglu.

- Jak sądzisz, dlaczego jesteśmy tu sami? Dlaczego zamknąłem drzwi? Pogadaj z agentami przeszukującymi biuro, a powiedzą ci, że prowadzą śledztwo w sprawie porwania.

Kropka. Wyjdę i powiem im, że jesteś czysty. Będziesz wolny, odejdiesz i przejmiesz władzę.

- Dlaczego CIA miałyby to uznać za dobry wynik?

- Uważamy to za bardzo zły wynik.

- A zatem...

- Pan nas przechytrzył, Charabi. Pogodziliśmy się z rzeczywistością.

Zauważyłem, że moje słowa go uradowały.

- Jaka jest ta... rzeczywistość? - zapytał.

- Zachowanie dyskrecji jest najlepsze dla pana, dla nas i dla Iraku. - Po chwili dodałem zgodnie

z prawdą: - Agencja i obecna administracja więcej niż często przymykały oko na to, co się dzieje w Iraku. Waszyngton nie pragnie kolejnego publicznego skandalu.

Tego skandalu w szczególności... Chyba że mnie zabijesz.

- Co wtedy?

- Dobrze pytanie. Wówczas... w takiej sytuacji... - Co wówczas? No cóż, Sean Drummond będzie trupem. Kogo obchodzi, co będzie potem? Oczywiście nie powiedziałem tego. Z całą siłą perswazji, na jaką potrafiłem się zdobyć, rzekłem: - CIA nie lubi, gdy zabija się jej ludzi. W tej chwili rozmawiamy o interesach. Zapewniam cię, że nie chcesz, aby przerodziło się to w sprawę osobistą.

Potrzebował chwili na przemyślenie sytuacji, która powstała po wprowadzeniu nowej zmiennej. Mahmud Charabi okazał się przebiegłym i bardziej skomplikowanym człowiekiem, niż sądziłem. Zgodnie z opinią Dona - alias Martina Lebrowskiego - ten facet był

zatwardziałym intrygantem, brutalnym i notorycznym manipulatorem, który bawił się prawdą, losem ludzi i narodów. Don nie dostrzegł - w sposób typowy dla egocentrycznego dupka i karierowicza - że Charabi usprawiedliwiał takie zachowanie, uważając, że to konieczny środek do osiągnięcia godnego i moralnego celu, realizacji sprawiedliwego zamierzenia.

Pomyślałem, że Charabi naprawdę wierzył w to, że został namaszczony na wybawiciela swojego narodu, że był szczerze przekonany, iż on i tylko on może poprowadzić go do Ziemi Obiecanej. Nie był pierwszym i ostatnim, który mylił altruistyczne dążenia z pragnieniem sławy i władzy. W zależności od tego, jak potoczą się wypadki, Mahmud Charabi pojawi się na stronach podręczników historii swojego kraju jako otaczany czcią bohater lub nędzny nieudacznik, który ściągnął na swój tak boleśnie doświadczony kraj jeszcze więcej niedoli.

Prosił o wojnę i ją otrzymał. Byłem jednak przekonany, że nie takiej wojny oczekiwał

lub pragnął. Kiedy obserwowałem, jak zastanawia się, co ze mną zrobić, uderzyło mnie, że podobnie jak Ameryka zakładał, iż będzie to wojna błyskawiczna, zakończona całkowitym zwycięstwem. Że dzięki poparciu Pentagonu już dawno zasiądzie na tronie. Powiadają, że Bóg śmieje się z ludzkich planów. Teraz Charabi miotał się chaotycznie, uwikłany w wojnę domową, którą po części sam wywołał, obracając jednych przeciwko drugim i igrając z potężnymi rządami. Teraz modlił się, aby go nie zmiądzono.

Ten przysadzisty, niepozornie wyglądający mężczyzna pochwycił wygłodniałego wilka za uszy. Wiedziałem, że nie muszę mu wyjaśniać, co by się stało, gdyby go wypuścił.

Z drugiej strony nie mogłem potępiać Mahmuda Charabiego za jego oszustwa, kłamstwa i intrygi, w przeciwieństwie do ludzkiej w Waszyngtonie, którzy dali się omotać i usprawiedliwić nimi przystąpienie do wojny, sprawiając, że machinacje Charabiego stały się naszymi.

Podniosłem wzrok i zauważyłem, że nadal mierzy do mnie z pistoletu. Niemal słyszałem jego myśli - zabić czy darować życie? Wiedziałem, że Charabi zastrzeliłby mnie bez najmniejszych wyrzutów sumienia, gdyby uznał to za najlepsze rozwiązanie dla swojego narodu i dla siebie. Ja również skrzyknąłbym mu kark, gdybym znalazł się wystarczająco blisko.

- Skąd mam wiedzieć, czy mogę ci zaufać? - zapytał w końcu. Nie zrobiłby tego, gdyby był mądry, dlatego postanowiłem użyć jego logiki.

- Ponieważ wszyscy mamy coś do ukrycia. Ponieważ obecna administracja obdarzyła cię zaufaniem, wykorzystała twoje kłamstwa do usprawiedliwienia tej wojny i odesłała do kraju, żebyś został następnym premierem. Ponieważ okazało się, że ich ograłeś jak łatwowiernych idiotów, ponieważ współpracowałeś i współpracujesz z Iranem i ponieważ nas zdradziłeś. Obecny rząd poniósł klęskę w kampanii wyborczej, gdyby opinia publiczna dowiedziała się, jak został wystrychnięty na dudka. Nasi partnerzy koalicyjni mogliby się wycofać, a amerykańska opinia publiczna mogłaby przestać popierać tę wojnę.

Przeegralibyśmy tak jak ty.

- W odróżnieniu od was jestem na to przygotowany. Uśmiechnąłem się.

- Nie byłbym tego taki pewny.

- Dlaczego?

- Może twoi irańscy przyjaciele wkroczą do Iraku i darują ci dzień, a może w kraju zapanuje takich chaos, że uznają, iż lepiej się w to nie mieszać. Wtedy wybuchnie krwawa wojna domowa, w której mogą zwyciężyć sunnici. Jeśli wybiorę kolejnego Saddama, nie chciałbym być w twojej skórze. - Pomyślałem, że nadszedł czas, aby przeforsować swój punkt widzenia, więc wstałem i oznajmiłem: - Wybór należy do ciebie.

To miało dla niego sens - powinno, ponieważ było prawdą. Odłożył pistolet i zaznaczył:

- Powiedz swoim przełożonym z CIA, że znam kilka kłopotliwych sekretów. Możemy sobie wzajemnie zaszkodzić.

- Rozumiem - zapewniłem go. - Oni też rozumieją. Zrobiłem kilka kroków w stronę drzwi, gdy powiedział coś dziwnego:

- Cliff był moim bliskim przyjacielem. Naprawdę go lubiłem. Odwróciłem się. Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

- Odnoszę wrażenie, że niszczy pan to, co lubi, Charabi. Doprowadził pan do śmierci Cliffa tak, jakby sam pociągnął za spust. Pana intrygi, kłamstwa i manipulacje doprowadziły do śmierci wielu Irakijczyków. Nadal są mordowani przez sunnitów, a pan nie jest człowiekiem, który ich ocali. A teraz życzę panu powodzenia.

Wyszedłem z gabinetu i cicho zamknąłem drzwi, a następnie poinformowałem Jima Tireya, że popełniliśmy błąd, że Charabi nie był zamieszany w porwanie Bian i zabójstwo Clifforda Danielsa i że czas najwyższy opuścić to miejsce. Spojrzał na mnie zaskoczony i zagubiony.

- Powiedziałeś, że to pewne - rzucił wyraźnie poirytowany.

- Pomyliłem się.

- Pomyliłeś się...?

- On nie ma nic wspólnego z porwaniem Bian i zamordowaniem Danielsa.

Przepraszam.

- Przepraszasz? Jak się o tym dowiedziałeś?

- Facet miał broń i idealną wymówkę, aby mnie zabić. Mimo to żyję.

Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę. W końcu wezwał swoich agentów.

- Otrzymaliśmy błędną informację. Wychodzimy. Otworzyliśmy drzwi i zaczęliśmy chyłkiem opuszczać pomieszczenia.

Ku naszemu zaskoczeniu okazało się, że w korytarzu czeka na nas atrakcyjna jasnowłosa reporterka w towarzystwie faceta z reflektorem i drugiego gościa z kamerą na ramieniu.

Patrzyła na mnie, chociaż byłem pewny, że nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

Mimo to w jej oczach dostrzegłem, że mnie rozpoznała, co wydało mi się dziwne. Jej uwagę zwrócił również Jim Tireya, który rzucił mi badawcze spojrzenie.

Kiedy zapalono reflektor, uroczą reporterka zignorowała mnie i podeszła wprost do Jima Tirey'a. Przysunęła mu mikrofon do twarzy i powiedziała:

- Uzyskaliśmy poufną informację, że Mahmud Charabi jest podejrzewany o przekazywanie ważnych tajemnic Irańczykom, i że złamaliśmy szyfr używany przez ich wywiad. Czy może pan powiedzieć, czym zakończyło się przeszukanie?

Kiedy Tirey spojrział na mnie, wiedziałem, że myślimy o tym samym. Niestety Jim bardzo niefortunnie to wyraził.

- Jasna cholera...

Reporterka podjęła kolejną próbę, aby uzyskać jakąś szerszą i bardziej przyjazną wypowiedź, ale Tirey rzucił w sposób typowy dla federalnych.

- Bez komentarza.

Odsunął mikrofon i zaczął szybko iść.

Ruszyliśmy za nim. Reporterka, w sposób typowy dla reporterów - wierząc nam dziurę w brzuchu - dreptała obok, obrzucając nas gradem ważnych pytań:

- Czy Charabi został aresztowany?... Czy znaleźliście dowody przestępstwa?... Kto wydał nakaz przeszukania?

Nikt nie odpowiedział ani słowa. Wszyscy wyglądaliśmy jak idioci.

Rozdział trzydziesty siódmy

Złe nowiny zawsze chodzą parami.

Pierwszą złą nowiną było to, że materiał o Mahmudzie Charabim, podejrzewanym o przekazanie amerykańskich tajemnic Irańczykom - z osobliwym debiutem telewizyjnym Jima Tireya - nie pojawił się na pierwszym miejscu w wiadomościach.

Niemal całkowicie przyćmiła ten materiał wiadomość numer dwa: szokująca opowieść o dwóch saudyjskich książętach, którzy finansowali działalność Az-Zarkawiego z interesującą sugestią, że saudyjski rząd może maczać w tym palce oraz co może to oznaczać dla naszych i tak już napiętych stosunków. Rzecz jasna doszło do kolejnego przecieku i bez wątpienia ludzie w Waszyngtonie byli bardzo niezadowoleni z tego powodu. Może nie była to bardzo zła wiadomość dla amerykańskiej opinii publicznej, lecz z pewnością miała fatalne konsekwencje dla wspomnianych książąt i Arabii Saudyjskiej oraz członków amerykańskiego rządu, którzy podejmowali działania w celu ukrycia tego faktu. Mogła się również okazać fatalna dla mojego ulubieńca - Seana Drummonda. Gdybym szukał źródła przecieku, wspomniany osobnik byłby podejrzany numer jeden.

Fragmenty drugiej wiadomości obejrzałem w oficerskiej kwaterze w jednym z okropnych programów nadawanych przez kanały informacyjne telewizji kablowej.

Prowadzący audycję rozmawiał z jakimś wkurzonym krzykliwym specjalistą od Bliskiego Wschodu, który obrzucał gromami wygadane go gosia wysłanego przez Departament Stanu w celu wyciszenia sprawy. Ekspert od Bliskiego Wschodu krzyczał:

- Saudyjczycy nie są naszymi przyjaciółmi! Nigdy nimi nie byli! My kupujemy ich ropę, a oni opłacają terrorystów.

- Nie przesadza pan?

- Moim zdaniem zdecydowanie tak - wtrącił się gość z Departamentu Stanu. - Nie pora na teatralne gesty. Nasze stosunki z Arabią Saudyjską są wystarczająco skomplikowane.

Bliskowschodni ekspert spojrział z niedowierzaniem w kamerę.

- Skomplikowane? Jeśli człowiek płaci dziwce, aby odgryzła mu... wie pan, co mam na myśli...

co w tym skomplikowanego? To czysta głupota!

Prowadzący program oznajmił pompatycznie:

- Proszę... o zachowanie powagi. Oglądają nas rodziny...

- Nie lekceważymy tego, co się stało - przerwał facet z Departamentu Stanu. -

Sekretarz rozmawiał o tym z saudyjskim ambasadorem. Zażądaliśmy natychmiastowej ekstradycji obu książąt.

Ekspert roześmiał się, słysząc te słowa.

- Bla, bla, bla. Dobrze pan wie, co sekretarz powinien im powiedzieć. „Zmieniliśmy zdanie.

Przeprowadziliśmy inwazję na niewłaściwy kraj. Zamienimy Dżiddę w wielki Wal-Mart”.

Po tych słowach obaj panowie zniknęli z ekranu, a prowadzący spojrział poważnym wzrokiem do kamery, krótko skomentował doniosłość tego, co się stało, zakończył

następującą uwagą:

- Pozostaje wielkie pytanie... jaki wpływ najnowsze wiadomości wywrą na notowania prezydenta w zaciętej walce o reelekcję.

W ten sposób docieramy do trzeciej złej wiadomości. Phyllis wyjechała, zniknęła bez śladu. Zostawiła mi krótką lakoniczną notatkę:

Zostałam wezwana do Waszyngtonu. Zamknij sprawy i wyleć do kraju pierwszym samolotem. Udaj się wprost do Langley do biura Marcusa Harleya z Biura Etyki Zawodowej, który powiadomi cię o twoich (nieistniejących) prawach, a następnie sprowadzi na dół na spotkanie z wykrywaczem kłamstw. Los grzeszników jest lepszy od losu kłamców.

Pomyślałem, że byłoby to doskonałe motto Agencji. Poniżej widniał podpis i krótki dopisek:

PS: Wyrazy szczerego współczucia z powodu Bian.

Jak już wcześniej wspomniałem, w tym fachu trzeba umieć czytać między wierszami.

Ponieważ ktoś zrobił przeciek i ujawnił rolę książąt, ktoś musiał zostać obarczony winą, a zatem trzeba było znaleźć kozła ofiarnego. Jako że Bian została porwana i była poza wszelkim podejrzeniem, Phyllis i Tirey nie puścili pary, Saudyjczycy zaś nie kablują na swoich, w wyniku procesu eliminacji pozostałem ja. Nie liczyło się to, czy zdołam dowieść swojej winy lub niewinności - byłem winny i już.

Jeśli w tej branży zdekonspirowanie się było kardynalnym grzechem, wyjawienie kłopotliwych sekretów prasie było grzechem śmiertelnym. Nie miałem pojęcia, jak załatwiają takie sprawy w Agencji, znałem jednak procedurę stosowaną w armii. Zjadasz to, czego nie możesz zabić. Może CIA miała inną politykę. Może ograniczała się do zabicia ofiary.

Złą wiadomością numer cztery było to, że nadal nie wiedziałem, jaki los spotkał Bian Tran. Uderzałem na oślep, nie mając żadnych uzasadnionych podejrzeń, tropów, a nawet idiotycznych domysłów. W końcu i tak nie miało to większego znaczenia. Phyllis zszargała moją reputację. Przeze mnie zdjęcie Jima Tireya znalazło się na tablicy poszukiwanych w Hoover City, a zmiana w Iraku, zamiast pomóc mu w zrobieniu kariery, położyła jej kres.

Ponieważ wyeliminowałem Charabiego z kręgu podejrzanych, pozostali mi zwyczajni dranie: terroryści, ludzie sprzedający jeńców terrorystom oraz rozmaita zbieranina dupków, którzy porywają i zabijają na oślep, dla czystej frajdy. Może pani sierżant z żandarmerii wojskowej miała słuszość. Może „CHA” oznaczały litery na tablicy rejestracyjnej. A może Bian z bólu i lęku nakreśliła bazgroły własną krwią.

Nigdy nie czułem się tak źle. Czegoś mi brakowało. Wskazówki. Błyskotliwego objawienia. Magicznego klucza, który rozwikłałby tajemnicę i ocalił jej życie. Mimo to, jakkolwiek irracjonalnie i przesądnie to zabrzmiało, miałem przeczucie, intuicję, pierwotne przeświadczenie, że Bian żyje.

Ponieważ nie mogłem jej uratować, pozostawała mi ostatnia rzecz, którą powinienem uczynić. Ktoś musiał powiadomić jej bliskich, a wiedziałem, że takie złe wiadomości najlepiej przekaże człowiek, który ją znał i komu na niej zależało. Tak więc udałem się do biura korpusu G1 - do działu personalnego - gdzie zastałem sierżanta sztabowego siedzącego przy krótkim biurku naprzeciw drzwi.

Pracownicy personalnego mają więcej siły w małym palcu od wszystkich generałów i pułkowników razem wziętych. Jednym uderzeniem w klawiaturę mogą przesłać twoje wynagrodzenie do Timbaktu albo wysłać tam ciebie samego. Mogą też zmienić ci wyznanie na muzułmańskie, co w ostatnim czasie nie jest najlepiej odbierane przez członków komisji decydujących o awansie. Tak więc uśmiechnąłem się uprzejmie i zagałem:

- Dobry wieczór, sierżancie. Szukam majora Marka Kemble'a z Pierwszej Dywizji Pancерnej. Może mi pan powiedzieć, jak się z nim skontaktować?

- To sprawa zawodowa czy osobista? - zapytał. - Przepraszam. Muszę zadać to pytanie.

- Taka i taka. Jego narzeczona została porwana.

- Już sprawdzam, sir - odpowiedział i zaczął wciskać klawisze, jednocześnie śledząc ekran komputera. Po kilku sekundach zapisał: - Kemble... Kimble? Przez „e” czy „i”?

- Jak sądzicie, w jakim celu armia umieściła tabliczkę z nazwiskiem na tym mundurze?

- Uhm...

- Abym wiedział, jak przeliterować nazwisko.

Sтары, na dodatek kiepski dowcip, lecz facet i tak się roześmiał.

- Spróbuję tak i tak - oznajmił, wcisnął kilka klawiszy i zapytał: - Jest pan pewny... stopnia i oddziału?

- Dlaczego pytasz?

- No... - nachylił się bliżej, omal przyciskając nos do ekranu. - Mam tu trzech Kemble'ów... nazwisko jednego pisze się przez „i”... wie pan... jak gościa, który ściągał

człowieka bez ręki w tym starym telewizyjnym serialu... proszę spojrzeć tutaj...

Pochyliłem się nad ekranem.

- Co?

- Też ma na imię Richard. Wie pan, że mamy tu dwóch Williamów Clintonów? Jest też George Bush. Chyba nie chciałby pan być w skórze tego biedaka? Założę się, że mu dokuczają i... - Spojrzał na mnie i powiedział: - Przepraszam. Zagalopowałem się. - Po chwili dodał: - Panowie Kemble i

Kimble to szeregowcy. Żaden nie ma na imię Mark i żaden nie jest majorem.

- Czy ten system obejmuje wszystkich?

- Jest bezpośrednio połączony z SIDPERS każdej jednostki - wyjaśnił, mając na myśli stosowany przez armię program zarządzania kadrami, który z tego, co wiedziałem, był

uaktualniany każdego dnia. - Może facet, o którego panu chodzi, jest DEROSed - wysunął przypuszczenie, sugerując, że Kemble został odesłany do Stanów. - A może uczestniczy w tajnej

operacji - powiedział, marszcząc brwi. - Przerabiałem to już kiedyś. Ci faceci z Delta Force, Task Force 160 i różni „zjadacze węży” uważają, że są zbyt dobrzy, aby figurować w wojskowej bazie danych.

Zauważyłem, że drażni to jego urzędniczą wrażliwość.

- Co możemy zrobić? - zapytałem.

- To co zawsze. - Zachichotał. - Podeślemy sprawę komuś innemu. - Podniósł słuchawkę i na kartce, którą trzymał na biurku, odszukał numer swojego kolegi z Pierwszej Dywizji Pancерnej. Wykręcił go i obaj pogrążyliśmy się w oczekiwaniu. Po chwili przedstawił się

temu, kto odebrał telefon, i oddał mi słuchawkę. Wyjaśniłem mojemu rozmówcy, kogo szukam.

- W naszej dywizji nie służy żaden Mark Kemble - usłyszałem po chwili.

- Chodzi o powiadomienie. Będę wdzięczny za pomoc.

- Pogadam z szefem. Proszę nie odkładać słuchawki.

Po chwili usłyszałem nowy głos należący do majora Hardy'ego:

- Mógłby mi pan wyjaśnić, o co chodzi, sir?

- Poinformowałem waszego sierżanta, że mam dla niego wiadomość. Wczoraj w Bagdadzie porwano narzeczoną Kemble'a.

Zapanowała dłuższa chwila milczenia. Wystarczy wypowiedzieć słowo

„powiadomienie”, aby nawet najbardziej bezduszny wojskowy biurokrata zamienił się w ludzką istotę. Jako wojskowi jesteśmy uwrażliwieni i rozumiemy potrzebę szybkiego powiadomienia bliskich, nie ze względu na żołnierza, na którego los nie mamy wpływu, lecz ze względu na rodzinę, którą pozostawił. Armia traktuje żywych żołnierzy jak pył - zaniża żołd, pozbawia odpowiedniej ochrony osobistej lub opancerzenia pojazdów, zmusza do przebywania w miejscu, w którym nie chcą się znajdować, pracy dla przełożonych, których nienawidzą, poniża ich rodziny zapłatą i warunkami lokalowymi, które są więcej niż śmieszne

- kiedy jednak polegną, zamienia się w najbardziej wrażliwą i troskliwą instytucję na świecie.

Często zastanawiałem się, co by było, gdyby armia postępowała dokładnie na odwrót -

dobrze traktowała żywych i źle poległych - jednak okazywanie szacunku zmarłym jest elementem naszej tradycji, na dodatek dostarcza upiornej pociechy żyjącym.

- Wie pan co... - odpowiedział w końcu. - Mam złą wiadomość.

- Słucham.

- Mark Kemble zginął w trakcie działań wojennych pięć miesięcy temu.

- To jakaś pomyłka.

- Nie sądzę. Straciliśmy tylko dwóch majorów w tym roku. Osobiście nadzorowałem transport zwłok. - Po chwili tytułem wyjaśnienia dodał: - Z Karbali. Właśnie tam został trafiony w serce.

Musiałem przeżyć szok, bo zapytał:

- Sir... sir... czy pan mnie słucha?

- Ach... tak. To jakaś administracyjna pomyłka... - Odłożyłem słuchawkę. Mogłem jedynie spoglądać tępo w podłogę. Mark Kemble... nie żył. Nie żył... od pięciu miesięcy.

Bian kłamała. Dlaczego? Jak spędziła dwa dni w Bagdadzie, skoro nie była w objęciach kochającego narzeczonego, jak twierdziła? Sierżant przypatrywał mi się ze zdziwieniem. Zebrałem się w sobie i zapytałem, gdzie jest kwatera korpusu G1, mając na myśli dowództwo wywiadu sił lądowych w Iraku.

Kiedy mi wyjaśnił, szybko wyszedłem. Opuściłem budynek i ruszyłem w kierunku, który wskazał. Był to zamknięty sektor z dzwonkiem przy drzwiach. Nacisnąłem go i uśmiechnąłem się do kamery umieszczonej nad wejściem.

Ktoś w środku otworzył drzwi za pomocą urządzenia elektronicznego i wszedłem do kwadratowego pomieszczenia, a właściwie skąpo umeblowanego przedpokoju.

Recepcjonistka w stopniu sierżanta z przejęciem kartkowała czasopismo fitness dla mężczyzn, najwyraźniej zainteresowana artykułami, które w nim umieszczono.

Przerwałem jej lekturę i oznajmiłem, że muszę mówić ze starszym oficerem, który jest tu co najmniej od sześciu miesięcy i pamięta major Tran. Powiedziała, że się rozejrzy, i wyszła.

Wróciła podwójnych minutach w towarzystwie przystojnego podpułkownika z odznaką wywiadu

wojskowego na kołnierzyku. Przedstawiłem się i wymieniliśmy uścisk dłoni na powitanie.

- Kemp Chester. Czym mogę służyć? - zapytał.

- Ma pan gabinet? Pokręcił głową.

- Gabinety mają generałowie. Mam własny boks. Czy to wystarczy?

- Nie. Przejdźmy się.

Spojrzał dziwnym wzrokiem, lecz poszedł za mną z grzeczności lub ciekawości.

Wyszliśmy poza ogrodzony teren i zaczęliśmy wolno okrążyć obszar zielonej strefy. Mogłem zrobić to na wiele sposobów, musiałem jednak zacierać za sobą ślady.

- Znał pan major Bian Tran? - zapytałem bez zbędnych wstępów.

- Taak. Pracowaliśmy razem. Wyjechała... dwa, trzy miesiące temu. Dlaczego pan pyta?

- Należę do zespołu prowadzącego śledztwo w sprawie piętnaście-sześć.

Zrozumiał, że chodzi o postępowanie przygotowawcze, które jest w armii odpowiednikiem wielkiej ławy przysięgłych. Ponieważ pytając uniósł brwi, zapewniłem:

- Proszę się nie denerwować. Nie jest o nic oskarżona. Skinął głową z wyraźną oznaką ulgi.

Kontynuowałem swoją kwestię najbardziej oficjalnym, prawniczym tonem, na jaki potrafiłem się zdobyć:

- Major Tran pracuje obecnie w biurze wywiadu w Pentagonie. Jest głównym świadkiem w sprawie, która przypuszczalnie znajdzie finał w sądzie. Pytania, które panu zadam, stanowią element wywiadu środowiskowego. - Przynajmniej ostatnia część była prawdziwa.

- Rozumiem. No cóż... pomoże panu garść ogólnych obserwacji?

- Z całą pewnością. Proszę mówić.

- Major Tran to bardzo dobry oficer. Jest błyskotliwa, kompetentna, uczciwa i pracowita.

Dodam...

- Wybacz... Kemp. Czytałem charakterystykę Tran. Co o niej sądzisz osobiście?

- Cóż... wszyscy ją tu lubili. Niech pan zapyta, kogo chce. Nikt nie powie o niej złego słowa. - Uśmiechnął się do mnie. - Jeśli ktoś będzie innego zdania, podaj mi jego nazwisko, dam facetowi wycisk.

W trakcie dochodzenia ludzie zwykle się denerwują, dlatego celowo nie odpowiedziałem. W ten sposób świadek staje się bardziej nerwowy i skłonny do wyznań.

- Nie wiem, czy ją widziałeś - rzekł po chwili. - To chodząca piękność. Cudowne ciało, piękna twarz i... - Przerwał w środku zdania, aby odchrząknąć. - Pewnie uznasz to, co powiedziałem, za seksistowskie, prawda? Chciałem jedynie powiedzieć...

Uśmiechnąłem się po męsku.

- Jest niezła. - Uśmiechnęliśmy się do siebie jak dwa samce. Udałem, że otworzyłem notatnik. - W rubryce „wygląd zewnętrzny” zapisuję: „Pułkownik bez wahania oświadczył, że ciało i kondycja major Tran odpowiadają najwyższemu standardom obowiązującym w armii”.

- Ha... a to dobre.

W ten sposób nawiązaliśmy bliższy kontakt.

- Jakimi sprawami zajmowała się major Tran?

- Pracowała w komórce do zadań specjalnych wchodzącej w skład G dwa - biura wywiadu wojsk lądowych. Moim zdaniem zajmowała się jednak czym innym.

- Tajnymi operacjami?

- Tak... bardzo tajnymi.

- Jak bardzo?

Spojrzał na mnie tak, jakbym przespał się z jego matką, a później przechwalał się o tym w

szkole.

- Nie twój interes.

- Chyba że mam prawo dostępu do informacji tajnych najwyższego znaczenia i że jest to ważne dla prowadzonego śledztwa. Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

Najwyraźniej podpułkownik Chester nie był w ciemną bitę, bo odparł:

- Dopiero gdy zobaczę to na piśmie i wpisze się pan do księgi. Nie jestem świeżo upieczonym porucznikiem, Drummond. Nie rób mi wody z mózgu. Nawiasem mówiąc, co to za sprawa piętnaście-sześć?

- Nie twój interes.

- Typowy prawnik. Bierze i nie daje nic w zamian. Najwyraźniej nie przypadliśmy sobie do gustu, więc przeszedłem do ciemnych spraw, które do końca nie były wcale takie ciemne.

- Komórka, o której pan wspomniał, zajmowała się wykorzystywaniem tajnych informacji. Major Tran odbierała od CIA informacje o działaniach Irańczyków na terenie Iraku. Jej zadanie polegało na poszukiwaniu sposobów ich wykorzystania.

Odwrócił się i patrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

- Dlaczego pan zapytał?

- Chodziło o potwierdzenie - odparłem, pewny, że je uzyskałem. - To stara sztuczka.

Często zadajemy od niechcienia różne pytania, aby sprawdzić wiarygodność świadka.

- Jak mi poszło?

- Nieszczęśliwie, Kemp. Szczerze powiedziawszy, kiepsko. Jak długo tam pracowała?

- Nie umiem odpowiedzieć. Kiedy przyjechałem do Iraku, już się tym zajmowała.

Bzdura.

- Pułkownik, mogę bez trudu uzyskać tę informację z jej akt osobowych.

- Znakomicie. Dlaczego pan tego nie zrobi? Zignorowałem jego pytanie.

- Proszę mnie poprawić, jeśli jestem w błędzie. Była oficerem liniowym w batalionie żandarmerii wojskowej podczas inwazji i pozostała na tym stanowisku kilka miesięcy po zdobyciu Bagdadu, a następnie została przeniesiona tutaj, do G dwa.

- W swoim batalionie służyła pięć miesięcy. Jeśli to pana interesuje, G dwa samo ją tu ściągnęło. - Po chwili wyjaśnił: - Generał Benson usłyszał, że płynnie włada arabskim, ma doświadczenie bojowe i wspaniałą opinię. Zaprowadziła porządek w kilku niebezpiecznych częściach Bagdadu, w okresie gdy reszta miasta pogrążała się w chaosie. Miała wspaniałe referencje.

- Jako oficer żandarmerii.

- Jej drugą specjalnością był wywiad. Niech pan posłucha... szczerze mówiąc... mam nadzieję, że to pana nie zaniepokoi... większość z nas to specjaliści od wywiadu, nie mieliśmy jednak większego pojęcia o tym miejscu i ludziach oraz wojnie, którą przyjdzie nam prowadzić. Jestem specjalistą od interpretacji danych satelitarnych, więc operacje na ziemi były dla mnie czymś zupełnie nowym. - Zachichotał, ubawiony własnym żartem. - Podczas pierwszych miesięcy w tym kraju czułem się tak, jakbym trafił do krainy Oz z tą różnicą, że nie było tu maleńkich wirujących munchkinów, a czarodziej okazał się morderczym dupkiem.

Jego słowa poruszyły coś w mojej głowie, bo zapytałem:

- Czy uznałby pan major Tran za osobę kompetentną?

- Powiedziałbym, że była niewiarygodnie... niezwykle kompetentna. Może pan użyć dowolnych superlatyw. Była gliną i specjalistką od wywiadu. Doskonale sprawdzała się w obydwu rolach.

- Czy pana ocena nie jest zabarwiona osobistą sympatią?

- Być może. - Po chwili zadumy powiedział: - Jeśli się nad tym zastanowić, terroryzm jest bliższy działalności przestępczej niż wojnie. Typowy oficer wywiadu może gadać godzinami o taktyce irackich dywizji, lecz gapi się jak głupi, jeśli zapytać go, jak komórki bojowników przenikają do miasta, wybierają cele i przypuszczają atak. Bian świetnie się na tym znała. Miała intuicję... wycucie sytuacji. Instynkt łowczy, chyba tak się to określa.

Każdego ranka przed jej boksem ustawiała się długa kolejka facetów, takich jak ja, szukających porady.

- W dodatku była niezłą laską.

- No cóż... tak... - Zaśmiał się. - Gość, który stał na końcu kolejki, docierał do niej o dziesiątej lub jedenastej.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu pomiędzy budynkami zielonej strefy. Coś się tu nie zgadzało. Właściwie to bardzo wiele, tylko co? Wszystko, co powiedział Kemp Chester, potwierdzało moją wysoką ocenę Bian Tran: znakomity oficer, inteligentna, zaradna, odważna i... zmysłowa. Z drugiej strony nic, co powiedziała, uczyniła lub doradziła w trakcie naszego śledztwa, nie było szczególnie odkrywcze, oświecające lub, by użyć najbardziej wzniosłego określenia Kempa Chestera, intuicyjne. Wcześniej składałem to na karb jej ograniczonego doświadczenia zawodowego jako oficera żandarmerii wojskowej, który jest raczej nadzorcą niż detektywem. Jeśli Kemp miał słuszość, trzeba było wziąć pod uwagę inną ewentualność. W rzadkich wypadkach myśliwy staje się zwierzyną, co prowadzi do poważnego konfliktu interesów.

Przypominałem sobie, jak bardzo jej zależało, aby przyjechać do Iraku w pościgu za Ibn Paszą i Charabim. Cóż, tłumaczyłem sobie, że była to jej wojna. Kierowała się raczej sercem niż głową. Faktycznie, mogło tak być, teraz jednak musiałem wziąć pod uwagę, że jej motywy mogły być bardziej mroczne i skomplikowane, niż początkowo sądziłem. Na dodatek przyjazd tutaj przeszkodził nam w odnalezieniu zabójcy Cliffa Danielsa.

To, co powiedział Kemp Chester, nie było sprzeczne z informacjami przekazanymi przez Bian, ale nie wspomniała o pewnych niepokojących rzeczach. Nie przyznała się, że należała do komórki G2, której zadanie polegało na wykorzystywaniu informacji wywiadowczych. Być może wiązało się to z przysięgą, którą musiała złożyć. Pracownicy wywiadu wojskowego mają fioła na punkcie różnego rodzaju tajemnic. Niezależnie od tego, jakim kredytem zaufania obdarzałem Bian, niepokoiło mnie to wszystko.

Oczywiście, pozostawał Mark Kemble. Nieszczęsny martwy Mark Kemble. Dlaczego Bian okłamała mnie w tej sprawie? Na dodatek, jeśli nie spędziła z nim dwóch dni w Bagdadzie, co tam robiła? I dlaczego skłamała? Musiałem pograć się w zbyt długiej zadumie, bo Kemp Chester zatopił się we własnych rozmyślaniach.

- Słuchaj, co to ma wspólnego ze sprawą piętnaście-sześć - zapytał wreszcie. - Czy nie powinno chodzić o ustalenie wiarygodności oficera i jego zdolności oceny sytuacji? Co tu jest grane?

Przetrzymałem go chwilę, jak zeznającego świadka. Chester był porządnym facetem, rozsądnym, wygadany i inteligentnym. Znajdował się jednak pod silnym urokiem Bian, co było dla mnie zrozumiałe, ponieważ kochał się w niej niemal każdy, kto ją poznał, i nawet ja byłem w połowie drogi do tego, by się w niej zadurzyć. Starał się ją chronić, co wzbudzało prowokujące pytanie, dlaczego jego zdaniem takiej ochrony potrzebowała. Jak mówią, nie ma dymu bez ognia. Chociaż nie zawsze tak jest. Kiedy dym idzie ci z tyłka, lepiej to sprawdzić.

Podziwiałem i ceniłem jego lojalność wobec Bian i nawet go za to lubiłem. Sytuacja wymagała jednak czego innego, więc spojrzałem na niego ostro i zapytałem:

- Czy mówiłem ci, jak masz wykonywać swoją robotę?

- Nie... ale...

- Byłoby cholernie miło, gdybyś odwzajemnił się podobną profesjonalną uprzejmością. - Dałem mu chwilę na oswojenie się ze zmianą tonu naszej konwersacji. -

Może prowadziłem tę rozmowę w zbyt przyjacielskim i nieformalnym tonie. Może powinienem był przeprowadzić ją w pokoju przesłuchań na posterunku żandarmerii wojskowej.

- W porządku. Wyluzuj...

Już wiedziałem, co mnie niepokoi.

- Zanim Bian została przeniesiona ze swojego batalionu, odsłużyła w nim cały rok, prawda?

- Nie mam pojęcia.

- Zaczynasz mnie naprawdę wkurzać.

- W porządku... okej, cały rok. Jej narzeczony właśnie rozpoczął roczną zmianę w Iraku. Bian chciała zostać tu przez cały czas jego służby.

- Przeniesiono ją jednak do Stanów, po ilu... sześciu, siedmiu, ośmiu miesiącach?

- Taak... coś takiego.

Rzuciłem mu kolejne chłodne spojrzenie i szybko się poprawił:

- Siedem i pół miesiąca... została odwołana przed upływem zmiany. Dlaczego jest to takie ważne?

- Czemu przeniesiono ją przed czasem?

Kemp sprawiał wrażenie zaniepokojonego i lekko niezadowolonego.

- Dlaczego nie zapytasz o to jej szefa? Bian i ja byliśmy przyjaciółmi... stawiasz mnie w bardzo niezręcznym położeniu.

- Dobrze wiesz, że osobisty komfort lub dyskomfort zawodowego oficera nie ma żadnego znaczenia. Zadałem ci pytanie, więc na nie odpowiedz.

- Ponieważ... no... przeniesiono ją z powodu trudnej sytuacji osobistej. Jej narzeczony zginął... tutaj... w Iraku. Bardzo przeżyła jego śmierć. - Generał okazał zrozumienie.

Osobiście interweniował, aby umożliwić przeniesienie do Stanów.

Po krótkiej chwili powiedziałem:

- Kemp, ponieważ jesteśmy w wojsku, nie muszę odbierać od ciebie przysięgi ani odczytywać ci praw, nie muszę też robić innych nonsensów. Jestem oficerem prowadzącym oficjalne postępowanie przygotowawcze. Okłamywanie, mataczenie lub wprowadzanie mnie w błąd może spowodować postawienie zarzutów. Nie pogarszaj swojego położenia.

Kemp chciał coś powiedzieć, lecz mu przerwałem:

- Nasza rozmowa jest nagrywana. Czy to jasne? Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę.

- Zgodnie z regulaminem przeniesienie z uwagi na trudną sytuację osobistą może być zastosowane jedynie w razie śmierci bezpośredniego członka rodziny. Przemyśl jeszcze raz swoją odpowiedź.

Facet wyglądał tak, jakby leczył sobie kanałowo ząb.

- To było... przeniesienie o charakterze sytuacyjnym. Po śmierci narzeczonego... ona... całkiem się załamała. Bardzo, bardzo ciężko to przeżyła.

W dalszym ciągu nie przypominało mi to armii, którą znam i kocham. Nieszczęśliwi lub pogrążeni w depresji żołnierze są zwykle odsyłani do kapelana jednostki lub, w czasach mody na zen, do wojskowego terapeuty. Dostają wilczy bilet i wracają na służbę. W skrajnej sytuacji żołnierz może dostać trzydziestodniowy urlop przeznaczony na psychiczną rekonwalescencję - aby mógł używać życia przez miesiąc - co poprawia nastrój większości.

Jeśli żadna z wymienionych metod nie pozwala uczynić żeń ponownie emocjonalnie

zrównoważonego żołnierza, gotowego zabijać bez mrugnięcia okiem, kolejnym krokiem jest zwolnienie ze służby - a nie przeniesienie - a wówczas jego sprawy stają się problemem organizacji weteranów.

Najwyraźniej moje groźby i pochlebstwa nie zadziałały. Ktoś powiedział, że głupota to ciągle próbowanie tego samego i obserwowanie, jak nie działa. Wyraźnie potrzebowałem nowego podejścia, większego kłamstwa.

- Nie rozumiem, dlaczego przyjąłeś taką wrogą postawę. Bian Tran zeznaje jako świadek armii. Nie jestem jej wrogiem.

Odniosłem wrażenie, że zastanawia się nad tym, co powiedziałem.

- W sądzie, gdzie przypuszczalnie sprawa znajdzie finał, będzie przepytwana przez bezwzględnie, podłego adwokata obrony. Oczywiście facet będzie miał wgląd w jej akta osobowe i medyczne. Poruszy kwestię jej równowagi emocjonalnej. To standardowa procedura. Jeśli, jak każesz mi podejrzewać, istnieją jakieś kłopotliwe fakty, adwokat obrony użyje ich do upokorzenia Tran na sali sądowej przed innymi oficerami. Nie możesz jej przed tym ochronić, Kemp. - Ująłem go za ramię. - Nawet tego nie próbuj.

Zastanowił się nad moimi słowami.

- W porządku.

- „W porządku, powiem ci prawdę” czy „W porządku, odwal się”?

- Jedno i drugie.

Wreszcie do czegoś doszliśmy. Dałem mu chwilę na uspokojenie, a następnie zapytałem:

- Co się stało z Bian Tran? Domyślam się, że miała jakieś traumatyczne przejście.

- Tak... bardzo traumatyczne. Została przeniesiona z powodu psychicznego załamania.

Bian czuła się odpowiedzialna za śmierć Marka. Była zdruzgotana. Cały czas płakała. Nie mogła w ogóle funkcjonować. Przeżyła głębokie załamanie nerwowe.

Nadal coś mi nie pasowało.

- Straciła ukochaną osobę. To smutne, lecz przecież mamy wojnę. Jako zawodowy żołnierz powinna być na to przygotowana. Ukończyła West Point. Była zaprawionym w bojach oficerem, prowadziła żołnierzy do walki i traciła ich. Inni opisali ją jako twardego, odpornego i chłodnego człowieka. Dlaczego tak mocno przeżyła tę śmierć, Kemp?

- Z powodu poczucia winy, Drummond. Zwyczajnej winy. Winy tak ciężkiej i nieznośnej, tak bolesnej, że zwyczajnie rozerwała ją na strzępy. - Odwrócił wzrok i po chwili dodał: - Wyobraź sobie, jak musi się czuć człowiek odpowiedzialny za śmierć ukochanej osoby. Jak czułbyś się na jej miejscu?

- Dlaczego czuła się odpowiedzialna za jego śmierć?

- Nie powiedziałem, że czuła się odpowiedzialna. Ona była odpowiedzialna.

- W jaki sposób? Dlaczego?

- Kurier CIA przywiózł depeszę z informacją o dużym transporcie ludzi i broni idącym z Iranu do Karbali. Wszystko działo się w połowie powstania szyitów... może pamiętasz... szyicka milicja Sadra zajęła miasto. Jego ludzie zabijali naszych i wszyscy wiedzieliśmy, że potrzebna będzie większa operacja, aby odzyskać kontrolę nad miastem.

Gdyby posiłki i broń z Iranu dotarły do Sadra... mogłoby dojść do zamachu stanu. Mniej broni oznaczało mniej zabitych Amerykanów.

- Czy Bian była odpowiedzialna za tę operację?

- To nie tak.

- Okej. Jak to się odbywa?

- Bian była analitykiem odpowiedzialnym za zasugerowanie rozwiązania. Jak wspomniałem, CIA nigdy nie informowała nas, skąd czerpie informacje, i nie zdradzała swoich źródeł. Poinformowano nas, że do Karbali zmierza transport broni i ochotników z Iranu. Do sektora, w którym stacjonowała Pierwsza Dywizja Pancerna. To Bian ich o tym zawiadomiła. Przekazała również informację, kiedy nadejdzie transport i jak go przejąć.

Wreszcie zaczynało mi coś świtać.

- Dowództwo dywizji zleciło przeprowadzenie tej misji batalio nowi jej narzeczonego... Marka Kemble'a.

Przez chwilę wpatrywał się w ziemię w milczeniu. Widziałem wyraźnie, że cierpi. W końcu wymamrotał:

- To był najbardziej fatalny zbieg okoliczności, o jakim słyszałem.

- Mark Kemble postanowił, że osobiście będzie nadzorował przebieg ważnej operacji.

Skinął głową.

- Mówiono mi, że był bardzo dobrym oficerem. Prawdziwym twardzielem, dowódcą, który kroczył na czele swoich ludzi. Był wielokrotnie odznaczany. Żołnierze go kochali...

wspaniały facet. Tym razem jednak coś poszło źle... fatalnie. Gówno trafiło w wentylator.

Zginęło trzech żołnierzy. Wśród nich był Mark.

- Co dokładnie poszło źle?

- Jeśli kiedykolwiek się tego dowiesz, daj mi znać. CIA nie informowała nas, skąd ma swoje dane wywiadowcze. Co tydzień lub dwa z DC przylatywała kurierka, zostawiała tajną pocztę i wracała do kraju, a my musieliśmy zrobić użytek z otrzymanych informacji. - Po krótkiej przerwie dodał: - Nie mam pojęcia.

Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że to, co powiedział, nie ma najmniejszego sensu. W końcu ci ludzie pracowali w wywiadzie wojskowym.

- Mieliście jakieś podejrzenia, prawda?

- Oczywiście. Wszyscy domyślaliśmy się, czym dysponuje Agencja. Mieli swoją wtyczkę w irańskim wywiadzie lub w ruchu oporu Sadra. Kogoś wysoko postawionego.

Ciepło, Kemp, lecz nie dość ciepło.

- Co podejrzewałeś? Co sądziła o tym Bian?

- Wszyscy byliśmy podobnego zdania. Materiały, które dostawaliśmy, były śmiertelnie niebezpieczne. Bezcenne.

- Tym razem okazało się inaczej.

- Taak. Tym razem nie było żadnego transportu broni ani irańskich bojowników.

Przerwałem, aby zastanowić się nad następnym pytaniem, lecz uznałem, że jego zadanie jest zbędne. Wszystko było jasne. Bian stała się narzędziem śmierci ukochanego.

Kemp nie znał wszystkich szczegółów, lecz był bardzo bliski prawdy. Daniels poinformował swojego kumpla, Charabiego, o złamaniu irańskiego szyfru, a ten przekazał wiadomość kolegom w Teheranie. Ci postanowili się zemścić i przesłali fałszywą depezę, wiedząc, że zostanie przechwycona, rozszyfrowana i odczytana. Podsunęli Amerykanom cel, który był zbyt kuszący, aby przeszli obok niego obojętnie. Zwabili amerykański oddział w zasadzkę.

Bian znalazła się na końcu długiego łańcucha, a jej narzeczonego wylądował w trumnie.

Wojna jest pełna przykrych zwrotów i gorzkiej ironii, lecz okrucieństwo tego zdarzenia było niemal niepojęte. Zanim zdążyłem pomyśleć, poczułem, że zaschło mi w gardle. Nieszczęsny Mark. Biedna Bian. Kilka razy przełknąłem ślinę, aby pozbyć się grudy w gardle, lecz jedynie pociemniało mi w oczach. Chester spojrział na mnie dziwnie.

- Słuchaj... nic ci nie jest?

- Nie... zrobiło mi się zimno. - Odkaszlnąłem kilka razy. - Mam jeszcze tylko jedno pytanie. Co twoim zdaniem poszło nie tak?

- Wiesz co? Wszyscy o tym myśleliśmy. Jednostka Marka wpadła w zasadzkę, którą można by porównać do strefy śmierci. Nie mam pojęcia... może informator CIA działał na dwa fronty. Może został schwytany przez Irańczyków, którzy użyli go w celu przekazania fałszywej informacji. Niezależnie od tego, co się stało... Sadr i Irańczycy wiedzieli, że się zbliżamy, i postanowili dać nam nauczkę.

Na ścieżce pojawiło się kilku oficerów sztabowych z teczkami, więc zamilkliśmy.

Kiedy się oddalili, Chester powiedział:

- Po akcji wszczęto dochodzenie. Przeprowadziło je CIA, a nie my. Wszystkich poddano badaniu na wykrywaczu kłamstw. Coś ci powiem, nawet jeśli doszło do przecieku, ci dranie nigdy nam o tym nie powiedzieli. - Zrobił przerwę i dodał bardzo smutnym tonem: -

Miesiąc po odejściu Bian rozwiązano całą komórkę.

- Jesteś inteligentnym facetem, Kemp. Jak sądzisz dlaczego?

- Jak sądzę? - Zatrzymał się. - W porządku, skoro chcesz wiedzieć. - Odwrócił się twarzą do mnie. - Nie jesteś tu z powodu jakiegoś pieprzonego śledztwa piętnaście-sześć.

Chciałem zaprzeczyć, lecz po namyśle zrezygnowałem.

- Nie mam pojęcia, dlaczego mnie okłamujesz, Drummond. Nie wiem, w jakich tarapatach znalazła się Bian, lecz obiecuję ci... - spojrzał mi prosto w oczy - że jeśli ją skrzywdzisz, odnajdę cię i skrzywdzę.

Patrzyliśmy sobie w oczy przez dłuższą chwilę. Wyciągnąłem rękę.

- Nie mam zamiaru jej skrzywdzić, Kemp. Obiecuję. Spojrzał na moją dłoń, lecz jej nie uścisnął.

- Zostaw ją w spokoju. Przeszła wystarczająco dużo.

Nie odpowiedziałem „nie masz pojęcia ile”, chociaż teraz wiedziałem o jej problemach więcej, niż pragnąłem. W mojej głowie rozległ się głośny dzwonek alarmowy.

Zostawiłem wściekłego Kempa Chestera na dziedzińcu i wróciłem do biura G1, gdzie poprosiłem tego samego urzędnika o osobny pokój z telefonem.

Zadzwoiłem na komórkę Phyllis, a gdy nie odebrała, zostawiłem wiadomość.

Nagrałem krótki, pozbawiony wyjaśnień komunikat, prosząc, aby natychmiast zapewniła ochronę osobistą Hirschfieldowi i Tigermanowi, wywiozła obu z miasta lub rozpoczęła przygotowania do dwóch pogrzebów.

Pomyślałem, że najwyższy czas wracać do domu.

Rozdział trzydziesty ósmy

Jim Tirey podwiózł mnie uprzejmie na lotnisko.

Chociaż droga łącząca zieloną strefę z portem lotniczym była najbardziej niebezpieczną arterią w Iraku, określaną ponurym mianem Alei Samobójców, przysługa Jima nie miała w sobie nic z wielkoduszności. Chciał wsadzić mnie do samolotu i mieć pewność, że znajdę się w odległości jedenastu tysięcy kilometrów od niego. Czy mogłem mieć do niego pretensję?

Kiedy podjechaliśmy do terminalu, Jim zaparkował SUV-a przy krawężniku.

Poszedłem do bagażnika, wyciągnąłem swój marynarski worek i rozejrzałem się dookoła.

Mimo późnej pory budynek był pełen żołnierzy. Sądząc po ich radosnych minach, wszyscy wracali do domu. Po raz pierwszy ujrzałem zadowolonych ludzi na tej nieszczęśliwej ziemi.

Zapewne było to jedynie miejsce na świecie, w którym ludzie byli pewni, że jutrzejszy dzień

będzie bardziej szczęśliwszy od obecnego. Tirey podszedł z drugiej strony i stanął na drodze, naprzeciw mnie.

- Miłego lotu - powiedział.

- Miłego pobytu w Iraku - odparłem.

- Już spakowałem manatki. W każdej chwili może mnie dosięgnąć długie ramię OPR, naszego gestapo, wsadzić do samolotu i odesłać do DC na długą rozmowę o tym, jak wszystko się wydało.

- W Dystrykcie Columbii jest pełno idiotów - rzekłem. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, więc wyjaśniłem: - Sądzą, że odwołanie cię będzie karą.

Zaśmiał się.

Podczas drogi prowadziliśmy płytką gadkę, która nie odwracała naszej uwagi od śledzenia potencjalnych zamachowców-samobójców, pragnących odesłać nas do domu w drewnianej skrzyni. Nawiasem mówiąc, w Iraku nie istnieje coś takiego jak beztraska przejażdżka. Jeśli o tym jeszcze nie wspominałem, spieszę dodać, że to miejsce jest do dupy.

Obaj wiedzieliśmy, że zostawiliśmy mnóstwo niedokończonych spraw.

- Dostałeś jakąś wiadomość z Biura? - zapytałem.

- Oficjalnie... ani słowa, ale mam kumpla w dyrekcji.

- I?

- Powiedział, że spodoba mi się w Omaha i że ten stan przyjmie mnie z otwartymi ramionami. Dużo wolnego czasu, cisza, praworządni obywatele. W takim miejscu nie można niczego spieprzyć.

- Słuchaj, może CIA ma placówkę w Omaha. Spotkamy się. Udowodnij im, że się mylą. - Ponieważ z jakiegoś powodu ten pomysł nie przypadł facetowi do gustu, zaoferowałem mu skróconą wersję prawa Drummonda. - Niebawem ktoś spieprzy inną operację i zapomną o tobie.

- Słuchaj, jestem dużym chłopcem. Nie potrzebuję...

- Poważnie. Zanim się obejrzysz, wyślą cię w jakieś miejsce, gdzie jest naprawdę beznadziejnie.

- Nie sądzę. - Po chwili dodał żałośnie: - Wideo z nagraniem mojej rozmowy z reporterką... wysłali je do Akademii FBI jako pomoc szkoleniową dla nowych agentów.

Stałem się sławny.

Uśmiechnąłem się do niego, a on do mnie. Kilka sekund za późno. Później nadeszła niezręczna chwila i obaj spojrzeliśmy sobie w oczy.

- Zrobiłeś to? - zapytał w końcu.

- A ty?

Popatrzył na mnie.

- Widziałem, jak spojrziała na ciebie reporterka. Powiedziałem o tym Phyllis.

- Słuchaj, przecieki nie są w moim stylu - rzekłem. Ponieważ sprawiał wrażenie sceptycznego, wyjaśniłem: - Zaraz po wylądowaniu mam umówione spotkanie z inkwizytorem. Wiesz, narzędzia do miażdżenia kciuków, łamania kołem, wykrywacz kłamstw i inne różności. Z pewnością przekażą ci wyniki.

- Będę czekał. - Uśmiechnął się. - Powiedz, aby zapytali, co o mnie sądzą.

- Daj spokój... przecież wcale nie chcesz tego wiedzieć.

- Racja... no cóż... - Wyciągnął dłoń na pożegnanie. Wymieniliśmy męski uścisk.

- Szukaj Bian.

- Zrobię coś lepszego. Zostawię notatkę temu, kogo przyślą w moje miejsce.

- Wpadnij, kiedy będziesz w mieście. Zaśmiał się.

- Wiesz co, Drummond? Lubię cię. Nie wiem dlaczego, lecz naprawdę cię lubię. Jeśli cię

jednak kiedy zobaczę, zastrzeżę.

Zostawiłem go przy krawężniku i z marynarskim workiem na plecach podszedłem wprost do stanowiska Military Air Transport, gdzie młoda dziewczyna z sił powietrznych, śliczna i radosna, polerowała sobie paznokcie.

- Dobry wieczór, szeregowca Johnson. Wyświadczy mi pani drobną przysługę?

Żołnierze sił powietrznych to umieszczeni w niewłaściwym miejscu cywile - ludzie wyluzowani, pełni humoru, o manierach bardziej pasujących do uniwersyteckiego bractwa niż formacji wojskowej. Ich towarzysze z innych formacji charakteryzują się typowo żołnierską mentalnością, mają bzika na punkcie każdego szczegółu i zapamiętane recytują formułkę: „tak jest, sir” lub nie, „sir”. Ponieważ wiem, jak drażnią ich koledzy z sił powietrznych, domyślam się, sami są przez nich postrzegani. W każdym razie młoda dama, o której mowa, przestała polerować paznokcie i rzuciła mi jeden ze sztucznych uśmiechów.

- Jasne.

- Mam się tu spotkać z przyjaciółką. Chyba się zgubiliśmy.

- Cóż... zdarza się.

- Nazywa się Bian Tran... T-R-A-N. Jestem ciekaw, czy dostała się na wcześniejszy lot.

- Proszę poczekać. - Spojrzała na monitor, a ja wstrzymałem oddech, gdy wpisywała imię Bian.

- Kurczę... Chyba się minęliście...

Gdyby wiedziała jak bardzo.

- Odleciała dzisiaj o jedenastej rano. Nie ma jej tu od dawna. Może odleciała, nie została jednak uprowadzona ani zabita. Nie została też zapomniana, przynajmniej przeze mnie. To, co przed chwilą było podejrzeniem i ponurą hipotezą, teraz stało się potwierdzonym faktem. Ale jakoś nie byłem zaskoczony.

Jedyną słuszną rzeczą było natychmiastowe powiadomienie Phyllis o moich podejrzeniach i odebranie jej poleceń. Sean Drummond nie miał na to jednak ochoty. Phyllis prowadziła własną grę, a ja w dalszym ciągu nie byłem pewny, na czym ona polega. Nie ufałem jej, a już z pewnością nie chciałem, aby odgrywała rolę sędziego i ławy przysięgłych.

Oprócz tego, co ona lub Agencja mogłyby zrobić, czego nie mógłby dokonać Sean Drummond?

Cóż, mogli rozpocząć wielkie polowanie. Przedstawiciele prawa nie zdecydowałiby się na takie posunięcie bez dostarczenia uzasadnionego powodu przez Agencję. Phyllis nigdy by tego nie uczyniła, ponieważ ujawnienie tego, czym zajmowała się Bian, oznaczałoby ujawnienie działań CIA. Byłoby to tym samym co pochwylenie płetwy grzbietowej rekina w celu uniknięcia pójścia na dno. Do domu szczęśliwy wróciłby jedynie rekin.

Pozostawało drugie rozwiązanie - likwidacja - co w tym wypadku oznacza utratę czegoś więcej od miejsca pracy. Toczyliśmy grę o wysoką stawkę. Na dodatek Bian figurowała już w rejestrach wojskowych jako osoba zaginiona w akcji, przypuszczalnie znajdowała się w rękach krwiożerczych terrorystów, co było dla wszystkich bardzo wygodne.

Czy Phyllis by się na to zdobyła? Ujmijmy to nieco inaczej: Czemu Phyllis miałyby się na to nie zdobyć? Czy mógłbym spojrzeć sobie w oczy, gdybym zaryzykował twierdzącą lub przeczącą odpowiedź na to pytanie?

Na dodatek zaangażowałem się osobiście. Chociaż w dalszym ciągu nie miałem pojęcia, co się dzieje, wiedziałem, że Phyllis i Bian wykorzystały mnie jak pionka we własnej grze. Obie nadal sądziły, że jestem Głupiutkiem Seanem, który stąpa po omacku w ciemności, chociaż zdążyłem się już przemienić w Seana Wkurzonego. Postanowiłem, że zbadam tę sprawę do końca, nawet gdyby miało mnie to kosztować życie - co wydawało się całkiem możliwe.

Pomyślałem o tym, co przed chwilą usłyszałem od młodej dziewczyny z sił powietrznych. Bian odleciała samolotem o jedenastej rano. Tirey, garstka jego zaufanych ludzi i ja wkroczyliśmy do biura Charabiego w zielonej strefie o dziewiątej, a trzydzieści minut później opuściliśmy je z podwiniętym ogonem. Półtorej godziny po naszym wyjściu Bian wsiadła na pokład samolotu i odleciała. Czy był to zbieg okoliczności? Zapytam inaczej: czy istniał związek pomiędzy naszym najściem na biuro Charabiego a decyzją Bian, by prysnąć z Iraku? Dodam, że nie należę do grona wierzących w przypadek.

Musiałem zrekonstruować jej działania, od końca do początku. Rozpocząć od punktu Z i dotrzeć do punktu A. Jediną szansą odnalezienia Bian i powstrzymania jej było zrozumienie tego, co uczyniła. Później, dzięki bujnej wyobraźni i odrobinie umysłowej gimnastyki, trzeba będzie odpowiedzieć na pytanie, jak" i „dlaczego".

A zatem co było punktem Z? Pomyślałem, że można za niego uznać dziwne spojrzenie jasnowłosej reporterki, którą ujrzelśmy w drzwiach biura Charabiego. Byłem pewny, że nigdy wcześniej jej nie spotkałem, więc z pewnością nie rozpoznała mojej twarzy.

Znała nazwisko Drummond umieszczone na mojej plakietce, ponieważ ten, kto powiadomił ją o naszym najściu na biuro Mahmuda Charabiego, potwierdził, że tam będę.

Byłbym gotów się założyć, że gdybym mógł zamienić z nią słówko - zmusić do złamania reporterskiej zasady *omertd* - przyznałaby, że otrzymała tę informację od Bian Tran.

Gdybym cofnął się o kilka następnych godzin, odkryłbym pewnie, że to do Bian należał tajemniczy przemawiający po arabsku głos, który anonimowo powiadomił centralę żandarmerii wojskowej o miejscu porzucenia zabrudzonej śladami krwi toyoty.

Wcześniej w kantine nalegała, że sama pojedzie do Bagdadu, lecz później wyruszyła beze mnie.

Fakt. Musiała być sama, aby zainscenizować zasadzkę i porwanie, a następnie rozplątać się w mieście, które tak dobrze znała. Pracowała w żandarmerii i wiedziała, jaka procedura zostanie zastosowana w razie znalezienia porzuconego pojazdu Stanów Zjednoczonych. Celowo pozostawiła dokumenty, które doprowadziły żołnierzy żandarmerii do bazy Alfa, nakreśliła też krwią na desce rozdzielczej wskazówkę mającą doprowadzić Seana Drummonda do Mahmuda Charabiego.

Byłem ciekaw, czy obserwowała z ukrycia, jak wchodziliśmy do biura tego ostatniego. Przypuszczalnie, tak. Na jej miejscu postąpiłbym podobnie.

Powodzenie jej planu i ucieczka zależały od stworzenia i utrzymania fałszywego wrażenia, że została porwana, mimo ogarniających nas wątpliwości. Wyjaśniało to, co faktycznie robiła w czasie, który rzekomo spędziła z Markiem w Bagdadzie - zdobyła karabin automatyczny AK-47, aby ostrzelać nim SUV-a, napełniła pojemnik medyczny własną krwią, którą później rozmasowała w kabinie samochodu, znalazła miejsce, w którym miało dojść do porwania, a następnie drobiazgowo opracowała swoje zniknięcie i logistyczne szczegóły ucieczki.

- Przepraszam pana... - powiedziała szeregowca. - Zapytałam, czy mogę zrobić dla pana coś jeszcze?

- Co?... Dokąd poleciała?

- Zaraz sprawdzę. - Ponownie spojrziała na ekran i po chwili oznajmiła: - Do bazy lotniczej w Dover.

- Dzięki. - Podniosłem bagaż i powlokłem się do wyjścia numer sześć, aby dostać się na pokład samolotu.

Bian nie tylko poleciała wojskowym rejssem, lecz ostentacyjnie posłużyła się własnym nazwiskiem. Postąpiła tak zuchwale, że powinienem być zdziwiony, a jednak nie byłem.

Sądziła, że wyprowadziła w pole nas wszystkich. Wiedziała, że nikt nie sprawdzi listy pasażerów w poszukiwaniu żołnierza, który tego ranka został uznany za zaginionego. Jej postępowanie wskazywało, że była pewna siebie, ale działała w pośpiechu.

Kiedy żandarm przy wyjściu z terminalu sprawdzał moje rozkazy, rzuciłem okiem na zegarek. Major Tran miała nade mną dziesięć godzin przewagi, wylądowała jednak w bazie sił powietrznych w Dover, w Delaware, skąd w sprzyjających okolicznościach trzeba było dwóch, a w normalnych warunkach trzech godzin jazdy samochodem, aby dotrzeć do DC.

Mój samolot miał wylądować w bazie lotniczej Andrews w Marylandzie, oddalonej od DC jedynie o trzydzieści minut drogi.

Odnajdę ją co najmniej po dwóch godzinach. Nie pomyślę się już co do Bian Tran, nie będę jej też lekceważył. Mimo to nadal miałem jedynie mgliste wyobrażenie o tym, co się stało. Nie byłem pewny, jakie będzie jej kolejne posunięcie, nie wiedziałem nawet, czy w ogóle ma jakiś plan.

Wiedziałem jednak, gdzie jej szukać.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Mój samolot wylądował bezpiecznie w bazie sił powietrznych w Andrews bez żadnych tajemniczych i niefortunnych niespodzianek. Nie zauważyłem żadnego komitetu powitalnego CIA, który odwiózłby mnie do Langley. Phyllis popełniła gafę.

Zdobycie taksówki, mimo zgrai dwustu niezdyscyplinowanych, rozpychających się łokciami żołnierzy, trwało krócej niż słowne znieważenie wyższego stopniem.

W chwili gdy pierwsza taryfa podjechała do terminalu przylotów, przeszedłem do przodu i ochrzaniłem nieszczęsnego szeregowca, każąc mu przejść do tyłu i pozostawiając za sobą dwustu buntowniczo nastawionych żołnierzy.

Podczas lotu usłużny steward naładował moją komórkę, więc wykonałem dwa szybkie telefony, pierwszy do osoby, która potwierdziła to, czego się domyślałem, drugi do faceta, który odpowiedział na kilka prostych pytań związanych z moją hipotezą. Następnie powiedziałem kierowcy, gdzie ma mnie zawieźć.

Kiedy tylko minęliśmy bramę bazy, opuściłem szyby z obu stron i wygodnie rozpietałem się na siedzeniu. Poczulem lodowaty powiew wiatru. Ubrany w pustynny mundur połowy czulem się tak, jakbym był nagi, a jednak sprawiało mi to nieopisaną przyjemność.

Mogłem oddychać świeżym amerykańskim powietrzem, które nie cuchnęło ludzkimi odchodami. Marzłem, zamiast się pocić, i jechałem, nie przejmując się strzelcami wyborowymi i bombami. Czy wspomniałem, że w Iraku jest do dupy?

Taksówkarz spojrział na moje odbicie w lusterku wstecznym.

- Wrócił pan z Iraku, prawda?

- Co mnie zdradziło?

- Wielu zachowuje się podobnie jak pan - odpowiedział, mając przypuszczalnie na myśli opuszczenie obu szyb.

Widziałem jedynie tył jego głowy. Był starszym mężczyzną z bliznami po ospie na szyi. Miał siwe włosy i był w wieku mojego ojca lub coś koło tego.

- W pierwszej chwili... mnie pan zmylił - kontynuował. - Większość facetów każe się wieźć do najbliższego baru.

- Trzymam się zasady: najpierw przyjemność, później interes.

- Może potrzebuje pan kobiety? - zasugerował delikatnie. - Znam pewne miejsce w Bethesda. Te babki są prawdziwymi patriotkami. Mają specjalny pakiet powitalny dla weteranów, który sprawi, że pana ptak stanie się czerwony, biały i niebieski. Co pan na to?

- Nie, dzięki.
- Jak pan chce.
- Byłem tam tylko kilka dni - poinformowałem go.
- Naprawdę?
- Omal nie przegrałem tej wojny - dodałem zgodnie z prawdą - więc odesłali mnie do domu.
- Szczęściarz. Nie jest pan szczególnie opalony.
- Biurowa robota. Miałem fart.
- Nie żartuje pan? - zapytał z lekkim rozczarowaniem.
- Nie było to do końca przyjemne. Musiałem zbierać brudne ścinki z podłogi i kilka razy spadłem z krzesła. Chcesz zobaczyć blizny?

Zachichotał.

- Naprawdę wierzymy w to, co tam robicie, chłopaki - powiedział.
- Właśnie dlatego to robimy.
- Taak. Pieprzenie. Sam byłem na wojnie. W Wietnamie, od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego do sześćdziesiątego dziewiątego.
- Zła wojna.
- A znasz pan dobrą?
- Dobra wojna to ta, z której udało ci się wrócić do domu.
- Niezłe. - Po tych słowach wykonał długie solo na temat swojej wojny, o której nie miałem ochoty gadać. W końcu przerwałem mu i zapytałem:

- Na którego idiotę zamierzasz głosować?

- Na żadnego. Jestem niezaangażowany. Mówiłem panu, że byłem w Wietnamie.

Politycy są do dupy. Wszyscy. - Roześmiał się.

Milczał przez chwilę, a ja robiłem, co w mojej mocy, aby nie podtrzymywać rozmowy.

Niestety, facet wyraźnie szukał partnera do rozmowy i nie miał zamiaru się zamknąć. Po chwili rzucił:

- To niewiarygodne, co powiedzieli o tych saudyjskich książętach. Wie pan, o co mi chodzi?

- Jasne - odparłem w zamyśleniu. Gdybym miał pistolet, zastrzeliłbym gościa lub palnął sobie w łeb.

- Powinniśmy założyć własne organizacje charytatywne i posyłać terrorystów, aby zabijali Saudyjczyków. „Co dobre dla gęsi, nie nadaje się dla gąsiora”. - Po chwili dodał: - To słowa lorda Limbaugha. Niezłe, co?

- Rzeczywiście - przytaknąłem zgodnie. Musiałem wykonać ważny telefon i pomyślałem, że czas najwyższy zakończyć tę pogawędkę. - Wybacz pan, muszę...

Przerwał mi.

- Wie pan... czy te saudyjskie dupki naprawdę sądzą, że uwierzymy, iż był to zbieg okoliczności?

- Jaki zbieg okoliczności?

- Ano tak... te ich rzekome wypadki.

- Wypadki?

- Nie słyszał pan? Pierwszy, książę Faud, miał wypadek samochodowy. Drugi... jak mu tam?...

Ali?... Abdul?... nieważne... tego samego dnia zginął na nartach w Szwajcarii.

Akurat! Ktoś udzielił mu darmowej lekcji spadania w przepaść.

Dobry Boże. Opadłem na fotel i zapytałem:

- Skąd się tego dowiedziałeś?

- Z radia. Prezenterzy nazywają to „saudyjską masakrą na okrągło”. - Przerwał, aby po chwili zapytać: - Słuchaj pan, może nasz rząd w końcu odzyskał jaja i załatwił gości?

- Jaja? Nasz rząd?

- Taak... gdzie ja mam głowę? - Roześmiał się.

- Obaj nie żyją? - zapytałem.

- Cóż, zwykle dochodzi do śmierci, gdy po gościu przejedzie szesnastoletnia ciężarówka lub nie zabierze spadochronu na lekcję jazdy na nartach. Cha, cha! Ci nędzni Saudyjczycy... twierdzą, że był to zwykły zbieg okoliczności. Pieprzenie. Mówię panu, zwyczajne pieprzenie.

Musiałem się nad tym zastanowić, więc zatopiłem się w fotelu, otworzyłem komórkę i udałem, że z kimś rozmawiam.

Od razu zwróciłem uwagę na to, jak bardzo wyprzedzał mnie bieg wydarzeń. Znaczną część lotu poświęciłem na poskładanie tego, co zrobiła Bian i co nią kierowało. Powinienem być to przewidzieć, lecz najwyraźniej tego nie zrobiłem.

Chociaż zbliżałem się do Bian w sensie geograficznym, nie miałem pojęcia, co planuje.

Kolejną rzeczą było odkrycie, kto przekazał mediom wiadomość o dwóch zdrajcach księżętach i dlaczego to uczynił. Saudyjczycy nigdy nie wydaliby ich Stanom Zjednoczonym.

Z drugiej strony nie chcieli ani nie potrzebowali dyplomatycznego skandalu i nadszarpnięcia wizerunku rodziny panującej, której członkowie finansowali ludzi zabijających amerykańskich żołnierzy i iraackich cywilów. W efekcie ujawnienie poczynań księżąt było równoznaczne z wydaniem na nich wyroku śmierci.

Pomyślałem, że Bian mogła maczać palce także w innym przecieku. Przypomniałem sobie scenę w samolocie na lotnisku w Bagdadzie, kiedy Phyllis, Waterbury i szejek poinformowali Bian i mnie, że ktoś powiadomił Saudyjczyków o planowanym porwaniu Alego Ibn Paszy.

Co ciekawe, wszyscy, także Sean Drummond, uznali, że przeciek był dziełem jakiejś anonimowej osoby w DC. Czemu mielibyśmy sądzić, że jest inaczej? Przecież właśnie tam na ogół dochodzi do zdrady i ujawnienia informacji wywiadowczych. Kamuflażem Bian były nasze własne cyniczne uprzedzenia związane w Waszyngtonem i jego kupczeniem tajemnicami - uprzedzenia, których nikt nie poznał w równie brutalny sposób jak ona. Jeśli się zastanowić, można by to uznać za przejaw ironii losu. Byłem pewny, że o tym pomyślała.

Czy saudyjski element był od początku, od punktu A, członem jej planu? Nie sądzę.

Pomyślałem, że Bian była naprawdę zaskoczona, podobnie jak my wszyscy, gdy dowiedziała się, co Charabi i jego irańscy koledzy zaoferowali Cliffowi Danielsowi w zamian za zdradę.

Dali mu Alego Ibn Paszę. Znająca mroczne powiązania polityczne arabskiego terroryzmu Bian bardzo szybko zrozumiała, jakie możliwości stwarza jego schwytanie - dla nas i dla niej.

W końcu jej prawdziwym celem był Daniels i Charabi, lecz kiedy los podarował jej nową obiecującą możliwość, postanowiła z niej skorzystać. Gdy wszyscy siedzieliśmy w gabinecie Phyllis, starając się rozwikłać i zrozumieć przyczyny zdrady Daniela, Bian myślała o czym innym, spontanicznie opracowując swój plan. Plan, który obmyśliła, był genialny i demoralizujący, ponieważ można było postąpić haniebnie lub... haniebnie.

Z jednej strony podejrzewała, że wywiad saudyjski wie, iż Saudyjszyk Ali - a zatem również jego szef, Az-Zarkawi - cieszy się poparciem i jest finansowany przez ważnych saudyjskich obywateli, co rozpaczliwie stara się ukryć. W końcu pracowała w wywiadzie wojskowym i miała dużą wiedzę na temat tego regionu. Pieniądze Saudyjczyków kryją się za wszystkimi ponurymi wydarzeniami w świecie islamu, zwykle też są ich motorem.

Przypomniałem sobie naszą prywatną rozmowę z Bian w samolocie po tym, jak Phyllis i

Waterbury dostarczyli nam nowych wytycznych z Waszyngtonu. Saudyjczycy mieli dostać Ibn Paszę, a my nadal byliśmy bardzo daleko do Charabiego. Byłem wściekły, gotowy rozpętać awanturę. Natomiast Bian ku mojemu zaskoczeniu, pogrążyła się w nastroju spokojnej akceptacji, pesymistycznej rezygnacji. Spodziewałem się gniewu i rozczarowania, a nie biernego poddania.

Teraz zrozumiałem jej reakcję. U Bian moment rozczarowania, początek podróży od idealizmu do cynizmu, nastąpił dawno temu w bocznej alei Sadr City.

Ten dramat nie miał jednak gotowego scenariusza. Wszyscy aktorzy mieli wolny wybór, ponieważ Bian tak to zaplanowała - każdy mógł zrobić to, co słuszne i honorowe, dążyć do prawdy i sprawiedliwości. Co ciekawe, nikt tego nie uczynił.

Jeszcze przed swoim wylotem do Bagdadu rzuciła kości i powiadomiła Saudyjczyków o planach pochycenia Alego Ibn Paszy. Może podczas swojej zmiany w Iraku nawiązała pewne kontakty z saudyjskim wywiadem, a może po prostu zadzwoniła do saudyjskiej ambasady w DC. To, jak zawiadomiła Saudyjczyków o Ibn Paszy, nie miało znaczenia wówczas i nie miało go teraz - była to jedynie przynęta, która zwabiła aktorów na scenę.

Wszystko to prowadziło do drugiego założenia: Bian uznała, że Waszyngton ulegnie naciskom Saudyjczyków i przyłączy się do tego, co moi włoscy przyjaciele prawnicy nazywają *insabbiatura* - do pogrzebania w ziemi niewygodnej sprawy. To Bian zasugerowała wspólne przesłuchanie Alego Ibn Paszy - rozwiązanie, które miało chronić interesy każdej ze stron.

Nie sądziłem, aby wiedziała lub nawet przypuszczała, iż Saudyjczycy zamordują Alego Ibn Paszę. Czy było to możliwe? Tak czy inaczej, nie miała nic przeciwko temu.

Po wyeliminowaniu Alego Ibn Paszy szejk i jego królewscy zwierzchnicy uznali, że problem został rozwiązany... zapomnieli jednak o pewnym przykrym szczególe, ukrytym nagraniu. Stanowiło ono poważny kłopot dla Saudyjczyków, ponieważ było niepodważalnym fizycznym dowodem zabójstwa i spisku. Także Phyllis uznała to nagranie za kłopotliwe, lecz z drugiej strony dostrzegła w nim szansę - argument pozwalający zmusić naszych saudyjskich przyjaciół do wydania kilku nowych terrorystów.

Szejk Turki Al-Fajef zawarł układ z Phyllis i wyszedł z sali konferencyjnej, przekonany, że kupił milczenie dla swojego kraju, i że rodzina panująca będzie mu niezwykle zobowiązana za ocalenie dwóch królewskich tyłków.

Wtedy też doszło do rozmyślnego ataku gniewu Bian - był to spektakl wściekłości, frustracji i rozczarowania, równie skuteczny, jak poruszający. Dała Phyllis ostatnią szansę -

ostatnią możliwość przedłożenia zasad ponad względy praktyczne, ostatnią okazję uczynienia tego, co słuszne.

Oczywiście podobny wybór otrzymał Sean Drummond.

Bian okazała się wspaniałą kusicielką, która wykorzystwała najgorsze instynkty każdego z nas - skłonność Saudyjczyków do wykupywania się z kłopotów lub grzebania niewygodnych spraw, amerykańską podatność do zawierania głupich układów w imię dyplomacji, ropy i politycznych interesów. Nie miałem pojęcia, jak zdołała utrzymać uśmiech na twarzy. Mnie by się to nie udało. Żadne z nas nie miało pojęcia, na jakich głupców wyszliśmy.

Później, przypuszczalnie przekazując jasnowłosej reporterce wiadomość o naszej wizycie u Charabiego, wspomniała o dwóch książkach. Tym razem Waszyngton nie miał wyboru - był zmuszony do publicznego zażądania ich ekstradycji.

Saudyjczycy mieli wybór, lecz już wykorzystali możliwości A - wykupienie się z kłopotów, więc pozostała im jedynie możliwość B - pogrzebanie problemu.

Dla Mahmuda Charabiego publiczne ujawnienie kłamstw i zdrady oznaczało znalezienie się w

kłopotliwej sytuacji i poważne komplikacje w dążeniu do zrealizowania wielkich politycznych ambicji. Dla dwóch saudyjskich książąt oznaczało to śmierć.

Przeszedłszy od punktu Z do punktu M, wiedziałem wystarczająco wiele, aby rozpocząć spekulacje na temat motywów Bian, jej *modus operandi* i intencji. Nadal brakowało mi jednak ważnego - być może kluczowego - elementu. Wybrałem numer na komórce i usłyszałem głos Barry'ego Endersa. Kiedy się przedstawiłem, powiedział

sarkastycznie:

- Drummond?... To ty? Przepraszam, że nie zadzwoniłem... nie mogłem cię zlokalizować.

- Byłem bardzo zajęty, Barry. Ktoś musiał wygrać tę wojnę.

- Och... czyżbyśmy wygrali? - Usłyszałem nieprzyjemny rechot. - Gdzie jesteś?

- Wróciłem. Masz coś nowego?

- Taak, kilka rzeczy. Nie rozłączaj się. Muszę przejść do innego pomieszczenia. -

Kilka sekund później zapytał: - O czym to ja mówiłem? - Po krótkiej przerwie odpowiedział

na własne pytanie: - A tak, chodzi o billingi Daniela. Facet wykupił abonament w firmie Sprint, więc zdobyłem numery i nazwiska jego ostatnich przyjaciółek, a następnie złożyłem im wizytę.

- I...?

- Zacznę od tego, że dwie z nich nie wyobrażają sobie seksu bez niego. Wiesz, co mam na myśli?

- Obdarzył je hojnie swoimi wdziękami.

- Nie możesz znaleźć celniejszego określenia? Trzecia dama, Joan Carruthers, podejrzewała, że Cliff ją zdradza. Przyznała, że zastanawiała się nad zerwaniem.

- Zazdrość. To możliwy motyw, prawda?

- Mam coś jeszcze... W mieszkaniu Daniela nie znaleźliśmy komórki, prawda? Jej numer nie widniał też na rachunku jego operatora, Sprinta, więc nigdy nie pomyśleliśmy o tym, że mógł ją mieć. Kojarzysz?

- Okej.

- Pomyślałem sobie: gość pracuje w ważnym biurze w Pentagonie... w naszych czasach... i nie ma komórki? Rozejrzałem się i wyszło na jaw, że korzystał z usług innego operatora. Cin-gular.

- I co odkryłeś?

- Jeszcze więcej telefonów do trzech wspomnianych pań i... telefony od innej damy.

Wiedziałem, do czego zmierza, toteż aby oszczędzić mu kłopotu, powiedziałem:

- Od Bian Tran. - Domyślałem się również, dlaczego w mieszkaniu Daniela nie znaleźliśmy komórki. W jej pamięci także zapisano nazwisko Bian Tran. Wiedząc, że dzwoniła pod jego numer, przypuszczalnie tuż przed śmiercią, zabrała telefon, aby nie pozostawić łatwego tropu. Bardzo chytre.

- Co się, do cholery, dzieje, Drummond? - zapytał.

Nie chciałem i nie zamierzałem pozwolić, aby Barry i policja dalej prowadzili to śledztwo. Z jednej strony osobiście się w nie zaangażowałem i pragnąłem sam to załatwić. Z

drugiej, gdyby moje podejrzania się sprawdziły, na ludzi biorących udział w tym śledztwie spadłyby tony gówna. Chociaż wiedziałem, że miałby w tej kwestii odmienne zdanie, postanowiłem wyświadczyć Barry'emu przysługę.

- To nie to, co myślisz - skłamałem. - Daniels był podejrzewany o szpiegostwo. Bian prowadziła dochodzenie. Tak, znała go. Tak, ludzie rozmawiają ze sobą przez telefon.

- O czymś tak delikatnym jak szpiegostwo? Na otwartej linii? Czy wyglądam na takiego głupka?

Szczerze mówiąc, Barry Enders w najmniejszym stopniu go nie przypominał. Był

najbardziej inteligentny i najbliższy odkrycia prawdy ze wszystkich ludzi, jakich poznałem w

trakcie prowadzenia tego śledztwa.

Po namyśle uznałem, że inteligentniejsza okazała się jedynie Bian, a Sean Drummond, który cały czas spoglądał jej przez ramię, wyszedł na największego półgłówka.

Także tutaj Bian cynicznie wykorzystwała najgorsze instynkty rządu - skłonność urzędników do ukrywania wpadek i kłopotliwych spraw. I tym razem władze celująco zdały egzamin: federalni zostali nasłani na Endersa, a Bian otrzymała coś, czego rozpaczliwie potrzebowała - czas. Czas na zbadanie nowych tropów, czas na dostanie się do Iraku i namierzenie celu.

- Skończyły ci się odpowiedzi, Drummond? Jeszcze nie.

- Jej zadaniem było nawiązanie kontaktu z podejrzanym - wyjaśniłem. - Stworzenie atmosfery zaufania, dzięki czemu miała poznać jego działania. - Po chwili dodałem: - Nie tylko rozmawiali na otwartej linii, lecz kilka razy spotkali się w miejscu publicznym.

- Nigdy nie wspomniała, że znała Danielsa. Mnie również, Barry.

- Co mam ci powiedzieć? To było ściśle tajne rządowe dochodzenie.

- Taak? - Po tych słowach nastąpiła długa pełna powątpiewania przerwa. Potwierdzając moją wysoką opinię na swój temat, dodał: - Sprawdziłem także jej billingi i jej kartę rozliczeniową.

- I co?

- Cóż... poszli na dwie randki. Dwudziestego września zjedli obfity obiad w restauracji Morton's. Ona zamówiła homara, on stek. Ktoś wypił pięć szkockich i dwie butelki bardzo drogiego czerwonego wina. Zapłacili trzysta dolców. Piętnastego października poszli na spektakl baletowy do Centrum Kennedy'ego. Dwieście dolców. Wiesz, co najbardziej mnie intryguje? W obydwu wypadkach to ona zrobiła telefoniczną rezerwację i zapłaciła. Gotówką, nie kartą.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem. Wpisała to do raportu wydatków.

- Jako podatnik czuję się wkurzony. Widziałem inne przyjaciółki Danielsa. Nie musiała wydać ani grosza, aby zdobyć faceta.

- Mamy teraz nową przyjazną politykę federalną. Wysyłamy ludzi w górę rzeki z miłymi wspomnieniami - powiedziałem. - Barry, ona nie jest podejrzana.

- To ja jestem gliną - odparł twardym tonem. - To ja decyduję, kto jest podejrzanym i mówię ci, że ona jest.

- Zapomnij o niej.

- Gdzie ona jest?

- Tam gdzie nie możesz jej tknąć...

- Do diabła z tobą. Uważaj.

- Jest w Iraku i...

- Ten problem rozwiąże wezwanie sądowe. Niech ładuje tyłek...

- Zamknij się... posłuchaj, Barry. - Zamilkł. - Bian została postrzelona i porwana przez terrorystów dwa dni temu.

Nie odpowiedział ani słowa.

- Oni nie przyjmują wezwań sądowych - przypomniałem mu. - Wszyscy jesteśmy tym przygnębieni, Barry. Bian jest upadłym bohaterem. Wyjdiesz na dupka pozbawionego patriotycznych uczuć, jeśli dalej będziesz drażył tę sprawę.

Odniosłem wrażenie, że nie to spodziewał się usłyszeć. Na kilka sekund zapanowało grobowe milczenie.

- Cóż, jestem... - Nie mam pojęcia, co chciał mi powiedzieć, bo nagle zmienił zdanie i oznajmił: - Wiesz co? Gdybym dostał dolca za każde kłamstwo, które mi wcisnąłeś, sam jadłbym teraz u Mortona.

- Zadzwoń do Biura Spraw Publicznych w Pentagonie, a potwierdzą, że została uznana za zaginioną w akcji.

Obiecał lub, zważywszy na okoliczności, zagroził, że to uczyni. Zakończyliśmy naszą rozmowę w tonie wzajemnej nieufności.

Pozostawała jeszcze tylko jedna nierozwiązana sprawa, na której końcu znajdowała się Phyllis. Podniosła słuchawkę po drugim dzwonku.

- Tu Drummond - zagaiłem.

- Co znaczy „tu”?

- Wróciłem do Stanów - odparłem uprzejmie. - Nawiasem mówiąc, dziękuję, że nie wysadziłaś mojego samolotu. To wiele dla mnie znaczy. Poważnie. Czy dostałaś wiadomość w sprawie Hirschfielda i Tigermana?

Nie zareagowała na moją paranoję, chociaż nie mogła się oprzeć, aby nie zganić mnie za drobne proceduralne uchybienie.

- Przecież wiesz, że nie należy pozostawiać wiadomości na sekretarce. Co by było, gdybym zapodziała gdzieś telefon lub nie sprawdziła poczty?

- Byliby martwi. Co z tego? Nigdy ich nie lubiłem, tak jak ciebie.

- Nie byłbyś takim chojrakiem, gdyby byli martwi.

- Nie byłbym? Tam, skąd pochodzą, jest wielu podobnych. Za dziesięć centów można kupić tuzin takich aroganckich jajogłowych.

- Nie sądzę, aby podobała mi się twoja postawa. - Właśnie o to mi chodziło. Phyllis doszła do wniosku, że nie chce, abym dowiedział się pewnych rzeczy, które uznałem za niezbędne. Jako prawnik oczekuję, że klienci będą wprowadzali mnie w błąd i zatajali ważne informacje, ponieważ są winni i chcą to ukryć. Pomyślałem, że najwyższy czas, aby dowiedzieć się, co tkwiło u źródeł poczucia winy Phyllis.

- Możesz mi przypomnieć, o co chodziło w tej wiadomości? Dlaczego Tigerman i Hirschfield są zagrożeni?

- Nie jestem w nastroju. - Postanowiłem zmienić temat. - Wiesz coś o dwóch zabitych księżętach? Twój przyjaciel szejk się wkurzył czy co?

- To bardzo... niefortunne zdarzenie. Turki w ogóle nie odbiera moich telefonów. W naszej branży takie układy są uważane za świętość. - Tonem sugerującym, że powinienem być bardzo zatrwożony, dodała: - Biały Dom zarządził przeprowadzenie pełnego śledztwa.

- Będziemy prowadzić śledztwo w sprawie własnego śledztwa? Czy zdajesz sobie sprawę, jak idiotycznie to brzmi? Powinnaś im przypomnieć, że dochodzenie nie zawsze daje takie rezultaty, jakich pragną. Jako przykład możesz podać to.

Phyllis wyczuła, że Sean Drummond jest stwarzającym kłopoty podwładnym, którego nieudolnie prowadziła, bo przyjaznym tonem rzekła:

- Sean, przyjedź prosto do Langley. Wszyscy na ciebie czekamy.

- Nie mam najmniejszego zamiaru. Teraz jestem jak szpieg w chłodzie. Czy tak to określacie? - Po krótkiej przerwie dodałem: - Przecież powiedziałem, abyś mnie zwolniła.

Trzeba było posłuchać.

- Nie bądź głupcem.

- Wiem o wszystkim, Phyllis. O przecieku, o zabitych żołnierzach i o tym, jak Agencja próbowała zatuszować sprawę. Nie jestem pewny, czy w ogóle trzeba było to ukrywać, lecz ta sprawa nie powinna pozostać w ukryciu.

Przez chwilę milczała. Zmieniłem płaszczyznę rozmowy z abstrakcyjnej na konkretną i Phyllis

potrzebowała chwili, aby się do tego przyzwyczaić. Wykorzystała ją.

- Czego chcesz? - zapytała. Bystra babka.

- Nazwiska. Nazwiska kurierki, która przekazywała pocztę waszej komórce.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Nie zareagowałem.

- Skąd wiesz, że kurier był kobietą?

- Tracisz czas na głupie pytania. Jestem w odległości trzech minut drogi od redakcji

„Washington Post”. Masz jeszcze dwie minuty na odpowiedź. Czy nadajemy na tej samej fali?

- Diane Andrews - odparła po dłuższej chwili.

- Co spotkało Diane Andrews?

- Dlaczego miało ją spotkać coś złego?

- Jak nazywa się twoja ulubiona reporterka „Washington Post”?

- Daruj mi to, Sean...

- Jestem wewnątrznie rozdarty, nie wiem, komu powinna przypaść Nagroda Pulitzera.

Komuś z redakcji bliskowschodniej czy krajowej? Jak sądzisz?

- Nie żyje.

- Jak umarła? Na atak serca? Kolejne sfingowane samobójstwo? A może miała wypadek na nartach? Czy to my zatrzymaliśmy jej zegar, Phyllis?

- Nie... to było zwykłe morderstwo.

- Opowiedz mi o nim.

- Jakies siedem tygodni temu biegła nocą w parku. Niedaleko stąd. Ktoś zadał jej cios siekierą w głowę. Żadnych odcisków palców, żadnych śladów kryminalistycznych.

Pozamiatano nawet odciski stop. Siniaki na rękach wskazywały, że wcześniej wywiązała się krótka walka. Jej zabójca był praworęczny.

- Oczywiście sprawca nie został złapany. Kim są podejrzani?

- Nie ma podejrzanych, są jedynie teorie.

Żadnych podejrzanych? Zastanowiłem się nad jej słowami.

- Mimo to uznaliście, że morderstwo zostało zaplanowane i popełnione z zimną krwią.

Zabójca wiedział wystarczająco wiele o policyjnej robocie, aby pozacierać ślady.

Wiedzieliście też, że ofiara nie była przypadkowa i że wybór miał przypuszczalnie związek z jej pracą.

- Tak, przyjęliśmy takie założenie.

Jeśli pominąć próbę upozorowania samobójstwa zamordowanie Andrews bardzo przypominało zabójstwo Cliffa Danielsa. Przed wyciągnięciem wniosków musiałem się jednak dowiedzieć czegoś więcej.

- Była torturowana? - zapytałem na ślepo.

- Tak... nie - odpowiedziała Phyllis. - Obcięto jej dwa palce. Mały i serdeczny u prawej ręki.

Być może ją torturowano. Ale mogła też zasłonić się ręką przed uderzeniem.

- Jak wyglądała? Mam na myśli wygląd zewnętrzny.

- Do niczego nas to nie doprowadzi.

- Ładny budynek. Dochodzę do siedziby „Washington Post”. Myślisz, że zamieszczą moje zdjęcie? Nie zdążyłem się ogolić.

- Przestań mi grozić.

- Zaczynaj mówić prawdę.

- W porządku... Andrews nie była... szczególnie atrakcyjna. Niska, z metr sześćdziesiąt pięć wzrostu. Korpulentna. Ciemne włosy... Na co ci to wszystko?

Ponieważ była to moja kolej na zadawanie pytań, zignorowałem jej słowa i kontynuowałem:

- Jej śmierć cię zaniepokoiła?

- Byliśmy nią... zatroskani. Zasmuceni. Diane była jedną z nas, Sean. Była sympatyczną i powszechnie lubianą osobą. Miała za sobą prawie dwadzieścia lat dobrej służby.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- Tak... rozważaliśmy tę hipotezę. To oczywiste. Nie opowiedzieliśmy się jednak za żadną z konkretnych teorii.

- Opowiedz mi o nich.

- Andrews zajmowała się także innymi sprawami. Uczestniczyła w wielu delikatnych operacjach. Potwory, które na nas polują, zwykle rzucają długi cień.

Od samego początku Phyllis wybiórczo przekazywała informacje. Gdyby powiedziała mi o Diane Andrews, wiedziałbym, że mamy do czynienia z dwoma wzajemnie powiązаныmi zabójstwami, i przyjąłbym inny sposób postępowania. Odwróciłbym inne kamienie i być może pod jednym z nich znalazł Bian. Niestety, Phyllis przedkładała dyskrecję ponad skuteczność i biurokratyczne krycie własnego tyłka ponad prawdę. Człowiek, który przyjmuje niewłaściwe priorytety, zwykle otrzymuje złe rezultaty i ma wkurzonych podwładnych.

Nie mogłem się oprzeć, aby nie zadać pytania:

- Skoro już o tym mowa, zgadnij, kto był jej kochasiem? Podpowiem ci - dodałem. -

Ona i jej kochanek są już razem na wieki. W niebie lub jakimś innym miejscu.

Zrozumiała.

- Nic na to nie wskazywało - powiedziała. - Zawsze sprawdzamy na wariografie zwyczajne godowe podejrzanych. Andrews nigdy nie wspomniała o Cliffie Danielsie.

Interesujące sformułowanie. Ponieważ zastanawiałem się nad tym podczas lotu, zapytałem:

- Czy zamordowano ją przed wszczęciem śledztwa w sprawie przecieku, czy po tym?

- Nie pamiętam dokładnej daty... pewnie w tym samym okresie. Dlaczego pytasz?

- Założę się, że do romansu doszło po ostatnim badaniu na wariografie. Nie zdążyła dożyć następnego. Możesz to sprawdzić.

- Kto ci o tym powiedział?

- Czy to ważne?

- Daj spokój z tą paranoją, Sean.

- Dać spokój? Powinienem postępować tak od samego początku. Przerwała, aby odchrząknąć lub wyłączyć dyktafon.

- Daj spokój, Sean. Teraz wszyscy pragniemy tego samego. Niezupełnie. Phyllis i jej szef chcieli zdjąć z Agencji winę za niedbałą robotę wywiadowczą przed wojną, uwikłać Pentagon i zachować wystarczające wpływy, aby pozostać pierwszym kandydatem w odwodzie, gdy Kongres będzie zakładał nową agencję wywiadowczą, która o kilka szczebli obniży rangę ich umiłowanej instytucji. W każdym razie na tym zależało im w pierwszej kolejności.

Później, kiedy poznali zasięg tej sprawy, ich apetyty wzrosły. Czemu nie? Gdyby właściwie wszystkim pokierować, prezydent i jego polityczni doradcy, którzy przez cztery lata traktowali Agencję jak biurokratyczne *pinata*, dopatrzyliby się błędów we własnym postępowaniu. W zamian za cztery kolejne lata urzędowania prezydent musiałby odprawić małą pokutę, a jego ludzie przychylniejszym okiem spojrzeć na Langley. W zamian dyrektor schowałby teczkę z aktami do sejfu w swoim gabinecie, umieszczając na niej napis „użyć jedynie w sytuacji alarmowej”.

Prezydent mógł jednak tak bardzo podpaść tym z Langley, że przedłużenie kontraktu nie wchodziło w grę - wówczas jego rywal zostałby obudzony w środku nocy przez mroczną postać w

trenczu i otrzymałby garść interesujących informacji. W tym wariacie Phyllis i nowy prezydent zatańczyliby walc zwycięstwa na jego balu inauguracyjnym.

Niezależnie od przyjętego wariantu Agencja nie mogła przegrać. Idealna sytuacja. Czy coś mogło pójść nie tak?

Niestety, Bian Tran mogła wszystko popsuć. Phyllis i jej szef nie uwzględnili jej w swoim równaniu. Pominęli czynnik, który zwykle pomijają ci z Waszyngtonu - czynnik ludzki. Mając to na uwadze, oznajmiłem:

- Gdybyśmy chcieli tego samego, nie znajdowalibyśmy się tu, gdzie obecnie jesteśmy.

- Ponieważ nie należy rzucać komórką, zadowolilem się przerwaniem połączenia.

Miałem teraz kolejny element układanki, nad którym trzeba było się zastanowić. Po śmierci Marka Bian wróciła z Iraku, oszalała z bólu, smutku i poczucia winy. Nie była wściekła emocjonalnie ani metafizycznie, lecz wściekła w sensie dosłownym. Jak to często bywa, ból zrodził gniew, wściekłość obudziła pragnienie zemsty, a zemsta doprowadziła do zbrodni.

Od czego zacząć? Takie pytanie musiała zadać sobie Bian.

Kemp Chester powiedział, że wszyscy z komórki G2 zajmującej się wykorzystaniem tajnych informacji uważali, że przyczyną śmierci Marka Kemble'a była zdrada - niezależnie od tego, jaką miała formę - kogoś z wywiadu. Chester scharakteryzował Bian jako myśliwego, zarówno z powodu wrodzonych cech, jak i otrzymanego wykształcenia.

Znalezienie zdrajcy było dla niej dziecinną igraszką, a w przeciwieństwie do bojowników dżihadu w Iraku zwierzyzna nie miała zielonego pojęcia, że jest obiektem łowów.

W ten sposób docieramy do Dianę Andrew. Bian знаła tylko jej nazwisko i od niego rozpoczęła poszukiwania.

Bian odnalazła pannę Andrews, podobnie jak później Cliffa Danielsa, poznała jej nawyki i niczym zwiastun śmierci zaplanowała zbrodnię, wykorzystując styl życia i słabe strony ofiary. Cliffa Danielsa podeszła, wykorzystując jego wady - słabość do alkoholu, kobiet i podatność na fatalne zauroczenie. Jak na ironię, dla Dianę przepustką na tamten świat stała się dbałość o kondycję i zdrowie.

Pewnej ciemnej nocy, gdy pulchna Dianę poszła biegać, aby zrzucić kilka zbędnych kilogramów, Bian zastąpiła jej drogę w mrocznym zakątku z siekierą. W naszych czasach nikt nie używa takiego narzędzia mordy. Jest zbyt prymitywne. Zbyt niechlujne. Na dodatek, przyjmując kryminalistyczny punkt widzenia, można pobrudzić się krwią i mózgiem ofiary.

Bian była gliniarzem i dobrze o tym wiedziała. Z drugiej strony, na innej płaszczyźnie, czy można wyobrazić sobie coś dającego więcej pierwotnego zadowolenia niż rozplątanie czaszki wroga? Siekiera jako narzędzie, dzięki któremu wyładowywała się wściekłość, była bronią doskonałą. Jeśli Bian w swoim zestawie mordercy umieściła miotłę, aby sprzątnąć miejsce zbrodni, z pewnością znajdowała się w nim latarka, świeże ubranie, wilgotne chusteczki i szpadel, aby zakopać rzeczy ze śladami DNA w pobliskim lesie.

Próbowałem to sobie wyobrazić. Były same na mrocznej ścieżce. Bian ją oskarżyła, a Dianę rozpaczliwie wszystkiemu zaprzeczyła. Silna, szybka i atletycznie zbudowana Bian powaliła ją na ziemię. Kiedy odrąbała Dianę jeden, a później drugi palec, ta, widząc nad sobą siekierę, wołała wyznanie od dalszego okaleczenia. Powiedziała jej o złamaniu szyfru używanego przez irański wywiad, o romansie z Danielsem i o tym, jak zdradziła tajemnicę swojemu kochankowi.

W ten sposób Bian poznała nazwisko swojej następnej ofiary, Cliffa Danielsa.

Nieszczęsna Dianę przyznała się do popełnienia przestępstwa, którego nie można było potraktować pobłaźliwie. Na dodatek, z punktu widzenia Bian, stała się zagrożeniem - mogła ją

spotkać podczas swoich podróży do Bagdadu, rozpoznać i zawiadomić policję o brutalnym ataku. Dzięki temu Cliff Daniels uniknąłby kary.

Do rozwiązania problemu wystarczył cios siekierą.

W ten sposób doszło do tego morderstwa.

Czy to rozumowanie było przekonujące? Tak. Czy byłem przekonany o jego prawdziwości? Nie. Niezupełnie. Chociaż z drugiej strony...

Szczególnie niepokoił mnie obraz Bian brutalnie torturującej podejrzanego. Urocza, rozkoszna Bian Tran? Czy za serdecznym, inteligentnym spojrzeniem mógł się ukrywać bezduszny potwór?

Sam byłem świadkiem, jak bez mrugnięcia okiem postrzeliła w kolano czterech terrorystów. Zaskoczyło mnie to i zaszokowało. Istnieje jednak różnica między pociągnięciem za spust w celu zranienia czterech mężczyzn a odrąbывaniem kolejnych części ciała ofiary.

Cóż, niewielka różnica. Być może.

Kierowca taksówki wygłaszał właśnie dłuższy monolog o pogodzie, swojej córce w college'u, czesnym za naukę, życiu i polityce. Przestałem go słuchać, podsumowując w myślach sądowy wizerunek Bian Tran, żołnierza, patrioty, kobiety, która o mały włos została moją kochanką i, być może, najbardziej zdecydowanego i sprytnego zabójcy, jakiego poznałem.

Musiałem głęboko się nad tym zamyślić, bo zanim się obejrzałem, kierowca zatrzymał wóz i oznajmił:

- Jesteśmy na miejscu.

Wyrzłem przez okno i moim oczom ukazał się majestatyczny łuk hali międzynarodowego lotniska Dullesa. Zapłaciłem sto dwadzieścia dolarów, dorzuciłem dwudziestaka napiwku i wysiadłem, zarzucając worek na ramię.

Nadszedł czas, aby spotkać się z Bian Tran i jej potworami.

Rozdział czterdziesty

Przeszedłem przez drzwi obrotowe i spojrzałem na najbliższy ekran, na którym widniał komunikat, że pasażerowie rejsu 837 linii United powinni zgłosić się do wyjścia 48 w hali B. Z drugiego telefonu, który wykonałem w taksówce, dowiedziałem się, że jest to ostatni bezpośredni lot do Azji. Pasażerowie mieli wylądować na lotnisku Incheon w Seulu. Gdyby ktoś miał taki zamiar, w Seulu mógłby przesiąść się do maszyny Asian Airlines lecącej do kolejnego celu podróży - Wietnamu.

Pierwszy telefon wykonałem do restauracji Happy Vietnamese Cuisine, której właścicielką była matka Bian. Nie byłem zaskoczony, gdy jakaś kobieta poinformowała mnie, że pani Tran nie ma, że nie będzie jej jutro ani nigdy więcej. W zaufaniu zdradziła, że pani Tran postanowiła zostać Viet Kieu - członkiem wietnamskiej diaspory, który zdecydował się na powrót do ojczyzny. Happy Vietnamese Cuisine miała teraz nowego szefa.

Nie byłem zaskoczony, bo dla Bian Wietnam byłby idealnym miejscem schronienia.

Podejrzewałem, że od początku to zaplanowała. Znała miejscowy język, jej matka tęskniła za ojczyzną i chciała dożyć w niej kresu swych dni, a Tran rozplęnęłaby się w liczącym osiemdziesiąt milionów narodzie, w którym co trzeci człowiek nosi nazwisko Tran. Dodam, że Ameryka nie ma umowy ekstradycyjnej z Wietnamem. Oprócz tego Bian lubiła ryby.

Podbiegłem do autobusu przewożącego pasażerów do hali B, gdzie strażnik uprzejmie poprosił o kartę pokładową, której nie miałem. Zamiast niej mignąłem mu przed oczami przepustką uprawniającą do wejścia na teren Langley i mruknąłem coś niezbyt niepokojącego o bezpieczeństwie narodowym i konieczności przejrzania listy pasażerów. Cywile dają się łatwo zastraszyć literami „CIA”, dlatego pozwolono mi przejść obok bramki z wykrywaczem metalu, na co w naszych czasach

nie wyraziliby zgody nawet ochroniarze w Langley.

Wskoczyłem do kolejnego autobusu, wcisnąłem się w ciżbę turystów, którzy należeli przypuszczalnie do jakiejś grupy zorganizowanej przybyłej z miejsca, gdzie wszyscy są niskiego wzrostu i cierpią na uzależnienie od robienia zdjęć wysokim facetom w brudnych, wymiętych mundurach.

Oparłem się o okno i spojrzałem na zegarek. Była siedemnasta dziesięć. Ponieważ planowy odlot miał nastąpić o siedemnastej pięćdziesiąt pięć, a rejs nie był opóźniony, wejście na pokład powinno rozpocząć się około siedemnastej trzydzieści.

Siedem minut później dotarliśmy na miejsce i zacząłem się przepychać przez tych karłów do hali B, aby dotrzeć do długiego biegnącego w obie strony korytarza. Znak wskazujący wyjście 48 znajdował się po lewej, więc zacząłem iść w tamtym kierunku, torując sobie drogę w ścisku.

Wiedziałem, że Bian tu będzie lub nie. Jeśli ją znajdę, będzie to pierwsze, jeśli nie - drugie. Nie miałem pojęcia, jak powinienem odczytać każdą z sytuacji, chociaż wiedziałem, że będzie to ważne.

Nigdy w życiu nie czułem się tak wewnętrznie rozdarty. Mimo wszystko prawie zakochałem się w Bian Tran i bardziej niż dotąd byłem zazdrosny o Marka Kemble'a.

Przypomniałem sobie, jak powiedziała, że czasownik „kochać” nie występuje w czasie przeszłym. Sean Drummond cynicznie odrzucił te słowa jako naiwne i ckliwe głędzenie. Dla Bian tak nie było. Poświęciła wszystko, co osiągnęła - karierę zawodową, obywatelstwo, a może nawet życie - mężczyźnie, który nie żył, aby móc to docenić. Każdy facet powinien być takim szczęściarzem. Każdy rząd powinien trząść się ze strachu.

Szczerze powiedziawszy, akceptowałem wiele posunięć Bian. Niektóre wręcz podziwiałem, a nawet ich jej zazdrościłem. Waszyngton pozbawił ją czegoś, co kochała, a ona odwzajemniła mu tym samym. Odarła rząd z fałszywej arogancji, która zwykle wyprowadza w pole większość ludzi.

Wiele jej czynów było jednak wątpliwych moralnie - jedni uznaliby je za zdradę, drudzy - za wymierzenie sprawiedliwości.

Linia graniczną było morderstwo. Zło nie naprawi wyrządzonego zła, nie przywróci do życia umarłych ani nie uleczy cierpienia. Mógłbym wybaczyć jej popełnienie zbrodni w afekcie - prawo dopuszcza okoliczności łagodzące, kiedy uczucia popadają w silny konflikt z rozumem. Bian działała z zimną krwią.

Przed sobą miałem znak wyjścia 48. Zwolniłem kroku i rozejrzałem się dookoła.

Pomyślałem, że Bian miałaby pewnie na sobie cywilne ubranie, podczas gdy ja byłem w mundurze, dzięki czemu zyskiwała dużą przewagę - mogła stopić się z tłumem i dostrzec mnie, zanim zdołam ją wyśledzić. Wielu małych ludzików zgromadziło się przy wyjściu 48, co spowodowało, że poczułem się nieco zażenowany, niczym Guliwer otoczony gromadką liliputów.

Stałem za rogiem pomieszczenia, w którym pasażerowie czekali na wejście, oparłem się o ścianę i wyrząłem zza załomu ściany. Mnóstwo ludzi zamierzało lecieć tym samolotem. Wszystkie miejsca w poczekalni zostały zajęte. Niektórzy rozłożyli się na podłodze, inni zbili w małe gromadki, prowadząc rozmowy lub czytając. Ani śladu Bian.

Pamiętając ojej słabości do posługiwania się przebraniem, ponownie zlustrowałem tłum, wyobrażając sobie Bian jako blondynkę, brunetkę, uczennicę lub powyginaną przez artretyzm babcie. Nadal nic. Pasażerowie byli w większości Azjatami, więc gdyby nosiła kostium, nie mógłbym jej przeoczyć.

Opuściłem kryjówkę i podszedłem do kontuaru, gdzie kilka osób zamieniało miejsca lub coś w tym rodzaju. W naszych czasach ludzie okazują szacunek mundurowi, więc wepchnąłem się przed

staruszkę, która prowadziła dyskusję z kobietą w ubraniu służbowym sprawiającą wrażenie lekko zabieganej i zmęczonej.

- Przepraszam - powiedziałem. - Mogłaby pani sprawdzić, czy wśród pasażerów znajduje się pani Bian Tran?

- To poufna informacja - odpowiedziała chłodno.

- Oczywiście. Byłaby pani uprzejma odejść na chwilę od kontuaru?

Nie wiedziała, co się dzieje, więc spojrzała znacząco na strażnika, który wałęsał się przy wejściu do korytarza prowadzącego na pokład. Uśmiechnąłem się uspokajająco i powiedziałem:

- To sprawa rządowa. Proszę. Zajmę pani tylko chwilę.

- Och... w porządku.

Stałem przy oknie. Wyciągnąłem moją legitymację CIA i pozwoliłem, aby przyjrzała się jej przez chwilę. Pracownicy linii lotniczych ze zrozumiałych powodów paranoicznie lękają się terrorystów, dlatego zanim zdążyła się przestraszyć, zapewniłem:

- Pani Tran pracuje dla nas.

- Mam nadzieję, że mogę to pani powiedzieć. Podejrzewamy, że pani Tran oszukuje w rozliczeniach finansowych. Obciążyła nas ceną bilem swojego przyjaciela, który ma polecieć tym samym rejsem. - Uśmiechnąłem się uprzejmie i dodałem: - Rząd może nas kantować, lecz nie lubi płacić, gdy go oszukujemy.

Uśmiechnęła się. Nie była ciekawa, dlaczego facet z Agencji nosi wojskowy mundur, co uznałem za szczęśliwy zbieg okoliczności, ponieważ nie zdążyłem wymyślić dobrego alibi.

- Czy mogłaby to pani dyskretnie sprawdzić... - Wskazałem komputer stojący na kontuarze.

Kiedy wróciliśmy, wpisała nazwisko Bian i oznajmiła:

- Tak... ma rezerwację. Miejsce trzydzieści cztery B.

- Kto ma trzydzieści cztery A? Spojrzała ponownie na ekran.

- Pan Arthur Clyde.

- A trzydzieści cztery C?

- Pani Lan Tran. Bingo.

- Czy pani Tran już przeszła przez odprawę? Rzuciła okiem na monitor i potrząsnęła głową.

- Ma bilet elektroniczny. Nie musiała. Mrugnąłem okiem i powiedziałem:

- Rząd jest pani ogromnie wdzięczny. Puściła do mnie oko.

- Niech to wyrazi ulgą podatkową, a będę wiedziała, że mówisz poważnie. Proszę wybaczyć... mam odprawę pasażerów.

Przeszedłem między ławkami do poczekalni przed wejściem 47 i stanąłem za grubym filarem, zza którego mogłem obserwować sytuację, sam nie będąc widziany. Starsza pani na wózku inwalidzkim, facet w średnim wieku poruszający się o kulach, elegancko ubrana para wyglądająca na zdrowych i bogatych - pewnie niecierpliwie dupki z pierwszej klasy. Ludzie zaczęli ustawiać się w kolejce, przesuając w palcach karty pokładowe i dokumenty tożsamości.

Chociaż Bian miała rezerwację, nadal byłem zatroskany, ponieważ wiedziałem już, jak działa jej umysł. Zdałem sobie sprawę, że była inteligenta, przebiegła i, co najważniejsze, wręcz diabolicznie nieuchwytna. W gruncie rzeczy, mógł być to jeszcze jeden podstęp.

Zastanawiałem się, czy ta rezerwacja nie była tropem mającym odciągnąć mnie od czegoś innego. Oczywiście takie rozumowanie wydawało się naciągane, lecz już nie lekceważyłem tej damy.

Pasażerowie pierwszej klasy ustawili się w kolejce - ciekawa zbieranina złożona w większości z Azjatów, ludzi w starszym wieku, przesadnie wystrojonych oraz kilku młodszych ubranych niewyobrażalnie źle - interesująca obserwacja na temat różnic kulturowych.

Przyszło mi do głowy, że gdyby Bian była kapitanem Ahabem dyszącym nienawiścią i obsesyjną chęcią mordy, na jej liście w dalszym ciągu znajdowałyby się dwa białe wieloryby, których nie upolowała - Tigerman i Hirschfield.

Chociaż Clifford Daniels był bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć Marka, Tigerman i Hirschfield pośrednio ponosili za nią odpowiedzialność. Gdyby się nad tym głębiej zastanowić, a byłem pewny, że Bian to uczyniła, to dwaj wspomniani urzędnicy doprowadzili do sytuacji, która spowodowała, iż Mark znalazł się na celowniku terrorystów, gdyż umieścili małego, słabego człowieczka na stanowisku, na którym mógł wyrządzić ogromne szkody. Pielęgnowali jego kontakty z Charabim, a później, gdy kłamstwa tego ostatniego wyszły na jaw i zrobiono z nich idiotów, zmusili Daniela do wykonania rozpaczliwego historycznego posunięcia, które miało odbudować ich nadszarpniętą reputację.

Miałem też wątpliwości w związku z wątkiem Dianę Andrews. Moja hipoteza wydawała się sensowna niemal pod każdym względem. Andrews z pewnością zasłużyła na to, aby znaleźć się na jednym z pierwszych miejsc na liście Bian. Istniały pewne podobieństwa między zabójstwami Andrews i Daniela. Nie identyczne, lecz podobne. Co więcej, jeśli nie od Dianę Andrews, od kogo Bian miałyby się dowiedzieć o Cliffie?

Dostrzegalem jednak pewne niepokojące różnice. Dłoń, która torturowała i zabiła Dianę Andrews, należała do osoby pełnej gniewu i brutalnej, sposób egzekucji - nagły i prymitywny. Zabójca Cliffa wydawał się chłodny i, moim zdaniem, mniej impulsywny, a zainscenizowanie zbrodni sugerowało namietności bardziej wyrafinowane od czystej wściekłości. Jakie mogło to mieć znaczenie? Dwie odmienne psychiki? A może jeden umysł

na tyle przenikliwy i znający metody prowadzenia policyjnego śledztwa, żeby nie powtarzać metody działania? Zawsze gdy zabójcą jest były gliniarz, człowiek ma poważny problem.

Jeśli dwa i dwa daje pięć, trzeba się cofnąć do początku i policzyć ponownie. Zadałem sobie pytanie, co pomyślałby Sean Drummond, gdyby znalazł się pierwszy na miejscu obu zbrodni? Jakie byłoby jego pierwsze wrażenie?

Uznałem, że pomyślałby, iż zabójca Dianę był mężczyzną - facetem o wybujałym kompleksie macho, niechęci wobec kobiet w ogólności i poważnym problemie w panowaniu nad gniewem. Żadnej finezji, zero subtelności - zwyczajny cios w głowę. Na dodatek zabójca posłużył się siekierą, co trudno uznać za kobiece narzędzie zbrodni. Odcięte palce mogły wskazywać na tortury, chociaż nie musiało tak być. Może, jak sugerowała Phyllis, dłoń Dianę znalazła się po prostu na linii śmiertelnego ciosu.

Tytułem porównania mógłbym zwrócić uwagę, że morderstwo Daniela było znacznie bardziej przebiegłe, złożone i dramatyczne, bardziej mściwe w specyficznym seksualnym sposobie. Potwierdziłoby to coś, o czym Sean Drummond już wiedział, a mianowicie, że w sprawach życia i śmierci mężczyźni są płytki. Kobiety myślą o drobiazgach - o prezencie urodzinowym zapakowanym w kolorowy papier, z pomysłową kokardą, lub nagich zwłokach z ręką zaciśniętą na przyrodzeniu - o szczegółach, które czynią życie, a w drugim wypadku śmierć, bardziej interesującymi.

Idąc krok dalej: gdyby Bian była zabójczynią Dianę, chciałyby wszystko albo nic.

Każdy, kto przyłożył rękę do śmierci Marka, musiał ponieść karę. Szczególnie Tigerman i Hirschfield.

Jeśli Bian była na lotnisku, nie zajmowała się dybaniem na życie Tigermana i Hirschfielda. Może zabiła Cliffa, lecz nie Dianę. Jakie to miało znaczenie? Z formalnego punktu widzenia żadnego. Morderstwo to morderstwo - określa to jednoznacznie kodeks wojskowy. Nie miało znaczenia, ilu zamordowała, a jedynie to, że popełniła morderstwo.

Sean Drummond, przedstawiciel prawa, powinien wykonać swój obowiązek i pomóc w ujęciu sprawcy. Prawda?

Do diabła, nie. Ta sprawa miała znaczenie.

Pani przy kontuarze wezwała pasażerów zajmujących miejsca od pięćdziesiątego do dwudziestego piątego. Ustawiła się następna kolejka. Straciłem dobry widok, więc opuściłem kryjówkę i stanąłem w przejściu.

Na dziesiątym miejscu w kolejce dostrzegłem starszą zgarbioną Wietnamkę, a tuż za nią, szczupłego młodego Wietnamczyka o szerokich ramionach. Miał krótko przycięte włosy, był ubrany w luźne czarne spodnie i białą koszulę nieokreślonego kształtu. Na lewym ramieniu nonszalancko zawiesił czerwony plecak. W tej samej chwili starsza pani odwróciła się i powiedziała coś do szczupłego chłopaka, który stał za nią. Rozpoznałem matkę Bian.

Gdyby nie to spojrzenie, nigdy nie zauważyłbym jej córki. Stała jak mężczyzna, wyprostowana, z uniesionymi ramionami, tak jak ją uczono podczas pierwszego miesiąca w West Point.

Od nowego życia dzieliło Bian Tran zaledwie kilku ludzi z przodu kolejki i ja.

Wzięłem głęboki oddech.

Polecieć z nią czy dokonać zatrzymania? Nikt się niczego nie dowie. Nikt nie odkryje, że nie wpadła w ręce porywaczy w Iraku. Nikt nie będzie wiedział, że żyje i ukrywa się w Wietnamie. Nikt nie odkryje, że Sean Drummond przedłożył uczucia ponad obowiązek.

Kolejne osoby zniknęły w korytarzu. Bian i jej matka wykonały trzy pospieszne kroki, zbliżając się do wolności.

Może z powodu własnego ego, po prostu nie potrafiłem uwierzyć, że Bian była bezlitosnym mordercą. Wiedziałem, co się stanie, jeśli ją zatrzymam - wyrok za morderstwo, być może za zdradę i kilka drobniejszych zarzutów wysuniętych przez nadgorliwego prokuratora. Chociaż nie sądziłem, aby została skazana na krzesło elektryczne, byłem pewny, że nigdy nie wyjdzie z Leavenworth i będzie żyła ze świadomością, iż to mnie zawdzięcza ten los.

Czy mogłem być za to odpowiedzialny? Co bym zrobił, gdyby moja ukochana zginęła, ponieważ kilku skorumpowanych biurokratów w Waszyngtonie prowadziło własne gierki, aby zrobić karierę? Nie byłem pewny i miałem nadzieję, że nigdy się tego nie dowiem.

Chciałbym wierzyć, że znalazłbym jakiś sprytny sposób, aby im odplącić.

Podjąłem decyzję. Pozwolę jej odejść, lecz najpierw zamienię z nią słowo. Chciałem jej powiedzieć, że wiem, co się stało. Pragnąłem wyrazić, jak bardzo współczuję jej w bólu.

Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, pragnąłem ją pożegnać.

Zrobiłem krok do przodu, gdy nagle poczułem na ramieniu czyjąś rękę. Odwróciłem się i ujrzałem mężczyznę w ciemnym garniturze.

- Przepraszam, sir - powiedział. - Jestem detektyw sierżant Jones. Byłby pan łaskaw pójść ze mną?

Garnitur sprawiał wrażenie eleganckiego i drogiego, a facet był mniej więcej mojego wzrostu, lecz tęższy i potężniejszy w barach.

- Dlaczego? - zapytałem.

- Jakaś pani powiedziała, że została napadnięta przez żołnierza w mundurze. Pasuje pan do opisu.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

- Wiesz co? - Uśmiechnął się i silniej zacisnął palce. - Oni nigdy nie mają pojęcia.

Przed Bian i jej matką stało teraz jedynie dwóch pasażerów.

- Proszę pokazać odznakę - powiedziałem.

- Jasne. Jak ze mną pójdziesz.

- Daj mi chwilę. Muszę się pożegnać z przyjacielem. Później ci wyjaśnię, dlaczego jesteś do dupy.

- Wolałbym dowiedzieć się tego teraz.

Facet był tak sarkastyczny jak ja, a zatem równie irytujący. Zauważyłem, że matka Bian podaje kartę pokładową pracownikowi lotniska. Próbowiałem wyrwać ramię, lecz tamten wzmocnił uścisk i powiedział:

- Nie chcę cię skuć. Daj spokój, kolego... wyświadczyć nam obu przysługę.

- Spadaj.

Wskazał korytarz i wyjaśnił:

- Mój partner jest razem z ofiarą. Rzuci na pana okiem. Jeśli to nie pan, będzie po sprawie.

Bian wręczyła kartę pokładową kobiecie przy wyjściu. Wykręciłem mu nadgarstek, wyrwałem mu się i powiedziałem:

- Nie zmuszaj mnie, abym zrobił ci krzywdę.

W tej samej chwili poczułem, jak coś okrągłego i twardego wbija się w moje plecy.

- Nie będę - odpowiedział. Docisnął mocniej lufę pistoletem i poradził: - Nie chciałbym, aby podróżnych zaniepokoił strzał. Idź wolno. Załatwimy sprawę i po kłopotcie.

Zobaczyłem, jak Bian znika w korytarzu i trapie wiodącym do samolotu. Rozpoczyna nowe życie i znika z mojego. Cholera.

Detektyw Jones poszedł za mną do wyjścia 20, gdzie pod szyldem restauracji Starbucks stał inny mężczyzna w czarnym garniturze, rozmawiając ze średnio atrakcyjną młodą damą w czarnym kostiumie. Sierżant Jones stanął z tyłu i zapytał:

- Czy to ten mężczyzna panią napastował? Proszę się uważnie przyjrzeć.

Przez chwilę przyglądała się mojej twarzy, aby rzucić z pewnym poirytowaniem:

- Nie, tamten był niski i miał lekką nadwagę. Przecież mówiłam. Poczulem, że pistolet zniknął.

Odwróciłem się do detektywa i zapytałem:

- Kto kazał wam to zrobić?

- Nie denerwuj się, kolego. Pomyłki się zdarzają. Przez kilka sekund patrzyliśmy sobie w oczy.

- Przecież mówiłam panu, że to nic poważnego - wtrąciła młoda dama. - Może ten żołnierz miał zły dzień. Zapomnijmy o wszystkim. Nie chcę wnosić oskarżenia.

Tak jak podejrzewałem, detektyw wzruszył ramionami, odwrócił się do swojego partnera i powiedział:

- Co robimy?

Kobieta odeszła w kierunku autobusu jadącego do głównego terminalu. Postanowiłem ich zdemaskować, więc zażądałem:

- Pokażcie odznaki. Złożę skargę w waszym posterunku.

Ten, który rozmawiał z kobietą, spojrzął na swojego kolegę z pistoletem, po czym uśmiechnął się kwaśno i odpowiedział za nich obu:

- Spadaj. Życzę miłego dnia.

Po tych słowach odwrócili się i odeszli, a ja stałem i przypatrywałem się ich plecom, dopóki nie zniknęli z pola widzenia. Zwykle potrafię wyczuć gliniarza, wiedziałem więc, że ci dwaj nimi nie byli. Wiedziałem też, że dama w czarnym kostiumie nie była przez nikogo napastowana.

Chociaż chciałem okazać wściekłość, na mojej twarzy pojawił się jedynie uśmiech.

Bian Tran po raz kolejny mnie wykiwała. Ostatni raz.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Przekręciłem zamek, otworzyłem drzwi i zapaliłem światło.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyłem, było to, że podczas mojej nieobecności nic się nie zmieniło. Wszędzie panował bałagan, więc najwyraźniej moja sprzątaczką nie przyszła i nie zrobiła porządku, co było całkiem zrozumiałe, skoro żadnej nie zatrudniłem.

Jeśli was to ciekawi, z natury jestem bardzo schludnym i porządnym facetem, co być może jest moją jedyną zaletą, jednak pospieszny wyjazd do Iraku sprawił, że mieszkanie przypominało Berlin splądrowany przez Armię Czerwoną. Jeśli jeszcze nie zaspokoilem waszej ciekawości, dodam, że moje mieszkanie jest małe, wypełnione podniszczonymi tanimi meblami, które kupiłem w sklepie z używanymi rzeczami, i ustawiłem wokół cholernie drogiego dużego telewizora plazmowego. Typowy kawalerski szyk. Chyba tak to nazywają.

Życie żołnierza to nieustanne migracje, a wojskowe firmy od przeprowadzek nie mają szacunku dla wojskowego mienia, dlatego tylko nieuleczalny optymista kupuje ładne lub drogie meble. Ja postanowiłem zaryzykować i sprawiłem sobie telewizor.

Drugą rzeczą, którą zauważyłem, była koperta wsunięta pod drzwi, którą trąciłem butem, a następnie podniosłem. Zwykła biała koperta bez znaczka lub adresu zwrotnego.

Moje imię zostało nakreślone małymi starannymi literami, więc wiedziałem, kto zaadresował list i jest jego nadawcą.

Położyłem go na kuchennym blacie, rzuciłem worek na kanapę, wyciągnąłem z lodówki trzy piwa i udałem się do łazienki, po drodze zdejmując cuchnący mundur.

Otworzyłem pierwszą butelkę i wszedłem pod prysznic, gdzie pozostałem, dopóki na podłodze nie znalazły się trzy puste opakowania oraz nie zmyłem z siebie ostatniego ziarenka irackiego piasku i brudu. Mam zasadę, aby zawsze zarastać brudem miejsce, w którym aktualnie się znajduję, nie zaś tym, w którym kiedyś przebywałem. Szkoda, że życie nie jest takie proste.

Wytarłem się, włożyłem czysty dres i wróciłem do kuchni. Nalałem sobie sporą szklaneczkę szkockiej, wrzuciłem kilka kostek lodu, a następnie usiadłem przy stole i otworzyłem białą kopertę. Moim oczom ukazało się sześć stron zapisanych odręcznym pismem. Zacząłem czytać:

Drogi Seanie.

Nie będę Cię przeproszać.

Jestem pewna, że już odkryłeś prawdę, a przynajmniej znaczną jej część.

Po śmierci Marka myślałam, że oszaleję. Szczerze mówiąc, przeżyłam załamanie, a jeśli człowiek był choć raz w tym mrocznym miejscu, nie wiem, czy potrafi całkowicie z niego powrócić. Pytałeś mnie kiedyś o moje sny. Opiszę ci sen, który prześladuje mnie każdej nocy: Mark umiera na nędznej ulicy, w nędznym mieście, podczas nędznej wojny, z powodu nędznego czynu, którego ktoś się dopuścił.

General Bentson sądził, że w kraju odzyskam zdrowie, otoczona wspomnieniami z dzieciństwa, obok matki, wykonując robotę, w której najbardziej stresującą rzeczą będzie ułożenie współpracy z jakimś napalonym starym pułkownikiem uganiającym się za sekretarką wokół biurka. Niestety, jego nadzieje okazały się płonne. Ale udało mi się przeżyć dzień bez jednej łzy. Z nocami to już inna historia.

Sześć miesięcy po powrocie skontaktowała się ze mną Dianę Andrews, która pracowała jako kurierka CIA. Ponieważ często przyjeżdżała do Bagdadu, zaprzyjaźniłyśmy się. Kiedy dowiedziała się o Marku, nie potrafiła zataić tego, co wiedziała, chociaż otrzymała takie polecenie. Zaprosiła mnie na obiad do swojego mieszkania i płacząc nad butelką chardonnay, wyznała mi prawdę o Cliffie. Nie miała pojęcia, dlaczego nawiązała z nim romans, dlaczego mu zaufała i dlaczego opowiedziała o komórce zajmującej się wykorzystywaniem danych wywiadowczych. Wiedziała, że

mężczyźni nie uważają jej za atrakcyjną. Rozpaczliwie pragnęła zrobić na nim wrażenie i popełniła głupstwo. Nie była pewna, że to Cliff zdradził, chociaż podpowiadał jej to instynkt.

Powiedziała, że wie, iż jej kariera jest skończona. Ze tak powinno być i że robi wszystko, o co poproszę. Zasugerowałam, aby doprowadziła do konfrontacji z Danielsem i wyraziła na to zgodę. Ponieważ nie odpowiadał na jej telefony, podeszła do niego pewnego wieczoru, gdy wychodził z Pentagonu. Zaprzeczył wszystkiemu. Wtedy zagroziła, że go wyda.

Wiedziała, że gdyby był niewinny, nie miałby nic przeciwko temu. Miała szczęście, że znajdowali się w miejscu publicznym, ponieważ zagroził, iż ją zabije. Była tak przerażona, że uciekła.

Powiedziała, abym wzięła sprawy we własne ręce. Poprosiłam o kilka dni do namysłu.

Nie miałam pojęcia, że już wkrótce stanę się odpowiedzialna za kolejną śmierć.

Następnego ranka, przeglądając poranną prasę, natrafiłam na wzmiankę o zamordowaniu Dianę poprzedniej nocy. Czekałam dwa tygodnie, mając nadzieję, że policja lub CIA znajdą zabójcę. Niestety, tak się nie stało. Daniels miał uniknąć odpowiedzialności za śmierć Marka i zamordowanie Dianę.

Nie mogłam na to pozwolić.

Pociągnąłem łyk szkockiej i sięgnąłem po następną kartkę. Z radością stwierdziłem, że miałem słuszną intuicję w sprawie śmierci Dianę. Patrząc wstecz, wydawało się czymś oczywistym

- przynajmniej teraz - że Dianę nawiązała kontakt z Bian i dobrowolnie wyznała prawdę o Cliffie Danielsie. Równie logiczne było to, że Cliff Daniels wiedział, kiedy i gdzie trenuje jego była kochanka. Ponieważ wcześniej zaprzedał duszę chorym ambicjom i zniżył się do zdrady, tylko krok dzielił go od kolejnego przestępstwa - zbrodni, i nie zawahał się go uczynić.

Sądził, że zabijając Dianę, zatrze za sobą ślady i będzie wolny. W rzeczywistości doprowadził do własnej śmierci.

Wróciłem do lektury. Na dwóch kolejnych stronach Bian opisała, jak poznała i uwiodła Cliffa Danielsa, najpierw odnajdując jego biuro w Pentagonie, a później, śledząc go do samochodu i mieszkania, dowiadując się, gdzie chodzi do fryzjera, robi sprawunki, kupuje gorzałę. Śledziła go nawet, jak szedł na randkę z jedną ze swoich kochanek. Po tygodniu przysiadła się do niego w jednej z kafejek w Pentagonie, nawiązała rozmowę i zaprosiła na randkę. Następnie opisała po kolei, gdzie chodzili i co robili. Nie byłem pewny, dlaczego uznała za konieczne zamieszczenie tylu szczegółów. Pomyślałem, że wyjaśnienie nadejdzie później. Co interesujące, nigdy nie napisała, że z nim spała - używała bardziej delikatnych określeń w rodzaju „wieczór zakończył się romantyczną nutą”. Zrozumiałem, o co chodzi.

Kiedy zdałem sobie sprawę, że ten wieprz uprawiał seks z Bian, sam miałem ochotę go zabić.

W ten sposób dotarliśmy do tamtej nocy:

Zaprosiłam go na obiad do baru w okolicy i zapłaciłam rachunek. Gotówką, tak jak zawsze. Był zadowolony, gdy płaciłam. Takie postępowanie odpowiadało jego próżności i egoistycznej naturze. Jak zwykle popił i zaczął mnie obmacywać, a ja musiałam udawać, że sprawia mi to przyjemność. Obiecałam mu noc, której nigdy nie zapomni, i wcale nie żartowałam. Dureń roześmiał się.

Czy wiesz, dlaczego wybrałam tę noc? Wiedziałam, że następnego ranka zjawi się jego służąca, a ja musiałam być na miejscu, gdy przyjedzie policja. Siedzieliśmy w barze do północy, dopóki większość mieszkańców nie znalazła się w łóżku i nie zasnęła. Nałożyłam jasną perukę i długie jedwabne rękawiczki, zanim wysiedliśmy z samochodu, tłumacząc, że to część niespodzianki, którą dla niego przygotowałam. Spodobało mu się. Miał dziwne upodobania, nie

sądzę jednak, abyś chciał znać szczegóły. Ja z pewnością nie chcę ich sobie przypominać.

Na górze poprosiłam, aby przyniósł mi szklankę wody. Kiedy poszedł do kuchni, wyjęłam pistolet ze stolika nocnego przy łóżku i nakręciłam tłumik, który wcześniej zamówiłam przez Internet. Gdy wrócił do sypialni, powiedziałam, aby się rozebrał i położył

na łóżku. Był tak napalony, że niemal zerwał z siebie ubranie. Włączyłam radio, znalazłam stację nadającą spokojną muzykę i zaczęłam wykonywać powolny striptiz, aby go podniecić.

Położył się, obmacując własne ciało i obserwując mnie. Naprawdę go nienawidziłam, Sean.

Wypowiadał obsceniczne uwagi, opowiadał, co mi robi, a ja myślałam jedynie o tym, co za chwilę zrobię jemu. Miałam na sobie tylko stanik, majtki, perukę i rękawiczki. Ten człowiek był bardziej odrażający, egoistyczny i zepsuty, niż ci mówiono. Nadal nie znałam wszystkich szczegółów tego, jak przyczynił się do śmierci Marka, byłam jednak pewna, że to uczynił.

Wiedziałam też, że zamordował Dianę - rozplatał jej głowę siekierą i pozostawił w lesie jak śmieć.

Kiedy usiadłam na nim okrakiem, powiedział, że mnie kocha. Odparłam, że jestem szczęśliwa z tego powodu, i sięgnęłam po glocka, którego wcześniej wsunęłam pod materac.

Nawet nie zauważył, gdy przyłożyłam mu go do głowy.

Nadeszła chwila prawdy. Pomyślałam, że nie zdołam tego zrobić, było jednak za późno, aby się wycofać. Chwila wahania była krótka. Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć mu wszystkiego. Obserwowanie jego twarzy, gdy usłyszy, dlaczego to robię, sprawiłoby mi wielką przyjemność.

W końcu zwyczajnie powiedziałam: „Umrzesz „i rozwalłam mu ten jego zły łeb.

Przez chwilę wpatrywałam się w ścianę. Byłam pewny, że Bian wcześniej nikogo nie zabiła, chociaż nie sprawiała wrażenia osoby przytłoczonej poczuciem winy, co wydawało się całkiem zrozumiałe. Z drugiej strony, niezależnie od tego, jak pogardzała tym człowiekiem, nie zdobyła się na to, aby torturować go psychicznie. Dobrzy ludzie robią czasami złe rzeczy, lecz nie sprawia im to przyjemności.

Krótko opisała, jak posprzątała, ubrała się, zabrała komórkę Daniela, a następnie sprawdziła zawartość jego komputera, aby ustalić, z kim się kontaktował. W ten sposób natrafiła na przeszkodę nie do przebycia - zaszyfrowane pliki. Włożyła komputer do teczki, którą umieściła w widocznym miejscu, tak aby jej róg wystawał spod łóżka. Czytałam dalej: *Poszłam do swojego mieszkania, wzięłam prysznic, nałożyłam mundur i wróciłam na miejsce. Siedziałam w samochodzie, czekając na przybycie służącej i policji. Zastanawiałam się nad tym, co zrobiłam i co mnie jeszcze czeka. Wiedziałam, że moja kariera jest skończona i nie czułam żalu z tego powodu. Moja kariera dobiegła końca, gdy serce Marka przeszła kula. Wiedziałam, co się stanie, gdy zostanę złapana, i tym również się nie martwiłam. Ale tyle było jeszcze pytań, na które nie znałam odpowiedzi, i tylu winnych. Nie chodziło mi wyłącznie o Marka. Już nie. Chodziło mi o wszystkich naszych żołnierzy w Iraku, którzy ufali, że władza robi to, co słuszne. Obmyśliłam plan. Postanowiłam wziąć udział w śledztwie, odkryć winowajców i wymierzyć im karę. Miałam stać się aniołem zemsty. Wiedziałam, że nikt ani nic mnie nie powstrzyma.*

W tym momencie na scenie pojawił się Sean Drummond. Muszę wyznać, że cię nie lubiłam. Przynajmniej na początku. Drażniłeś mnie i budziłeś przerażenie. Co gorsza, omal nie rozwiązałeś zagadki. Boże, byłeś naprawdę blisko. Później przyłapałam się na tym, że za bardzo cię lubię. Bardzo przypominałeś mi Marka. Czasami miałam wrażenie, że przebywam z duchem albo że przysłał cię duch Marka. Wiem, że to głupie. Problem w tym, że gdy człowiek popełni morderstwo, nie ma odwrotu. Kiedy dowiedziałam się więcej o tym, co uczynił Daniels, nie było odwrotu. Zakochałam się w Tobie, lecz było za późno - za późno dla mnie, a zatem także dla nas.

To cała prawda. Szczerze mówiąc, nie żałuję niczego, z wyjątkiem jednego - Ciebie.

Wiem, że możesz mieć problemy, ponieważ byłeś moim parterem, że mogą obciążyć Cię winą za niepowodzenie, oskarżyć o przeciek. Niech mój list będzie Twoim alibi i pomoże wyjaśnić wątpliwości w sprawie tego śledztwa. Opisałam wszystko w sposób, który łatwo będzie zweryfikować.

Nie marnuj czasu na szukanie mnie. Nigdy mnie nie odnajdziesz. Kocham Amerykę i będę za nią tęskniła, zawsze też będę żałowała, że nie przekonałam się, czyby się nam udało.

Muszę zacząć wszystko od nowa.

Z wyrazami miłości, Bian

Odłożyłem list i dołałem sobie szkockiej. Przyglądałem się przejeżdżającym samochodom, światłom i widokom północnej Wirginii.

Bian Tran nauczyła mnie czegoś o sobie samym. Wiedziałem, że nauczyła również czegoś tych z Waszyngtonu, jeśli uważnie słuchali.

Mówią, że wojna to przedłużenie polityki innymi środkami, jednak dla tych, którzy biorą w niej udział i ją kochają, staje się sprawą nie umysłu, lecz serca.

Zanim otworzysz bramy i wypuścisz psy wojny, powinieneś pamiętać, że zwierzaki mają własny rozum.

Bian nie rozpoczynała wszystkiego od nowa - ona wracała do początków.

Rozdział czterdziesty drugi

Musiałem zrobić jeszcze jedną rzecz, rozwiązać ostatnią zagadkę.

Otworzyłem szklane drzwi i wszedłem do restauracji. Phyllis, z którą umówiłem się na randkę, siedziała samotnie przy stole, popijając herbatę i studiując menu.

Miała na sobie skromny czerwony kostium z wełny, barwną apaszkę i lśniącą broszkę.

Ja byłem ubrany jeszcze swobodniej, w niebieską marynarkę naciągniętą na koszulę polo oraz wyblakłe dżinsy.

Usiadłem naprzeciw niej i zapytałem:

- Często tu bywasz?

Podniosła wzrok znad menu i powiedziała:

- Dobry Boże, Drummond, mam nadzieję, że nigdy wcześniej nie użyłeś tej kwestii.

- Nigdy - skłamałem.

Skinęła kelnerowi, okazał się tym samym łobuzerskim dzieciakiem, który obsługiwał

Bian i mnie. Phyllis powiedziała mu coś po wietnamsku, czym mnie zaskoczyła. Kolejny raz pomyślałem, jak mało o niej wiem.

Dzieciak wyglądał na równie zaskoczonego, lecz szybko doszedł do siebie.

Uśmiechnął się uprzejmie i rozmawiali ze sobą jakieś trzy minuty. Jeśli dobrze zrozumiałem, Phyllis chciała go zatrudnić, aby wrócił do Wietnamu i wyrzucił komuchów.

Przysłuchiwanie się niezrozumiałej rozmowie szybko mnie zmęczyło, więc skierowałem uwagę na menu - w dalszym ciągu nie mieli czerwonego mięsa i zimnego piwa.

Naprawdę miałem ochotę na hamburgera i butelkę piwa.

Wcześniej odbyłem krótką podróż na Cmentarz Narodowy w Arlington, gdzie odnalazłem grób majora Marka Kemble'a. Był wietrzny, deszczowy dzień. Zasalutowałem, a następnie uklęknąłem i odbyłem z nim długą przyjacielską pogawędkę. Może Bian zatrzymała się tu przed odlotem, a może nie. Powiedziałem mu, że powinien być dumny z Bian. Opowiedziałem o wszystkim, co zrobiła, i wyznałem, jak bardzo mu zazdrościłem.

Dzieciak zaśmiał się z czegoś, co powiedziała mu Phyllis, a następnie zniknął w kuchni.

- Poleca białą słodkowodną rybę - oznajmiła. - To specjalność zakładu. - Następnie przypomniała, jak dobrze mnie zna, dodając: - Ale ty przecież nie lubisz ryb, prawda?

- Od kiedy o tym wiesz? - zapytałem.

- O białej rybie?

- Mam dość ciągłych gier, Phyllis.

- Zamów rybę - odpowiedziała. - Próbowałam jej w Wietnamie. Czy wiesz, że spędziłam tam pięć lat? Podczas wojny. Kocham ten kraj, a szczególnie jego mieszkańców.

Phyllis nie była szczególnie wylewna, więc najwyraźniej do czegoś zmierzała i wkrótce miałem się tego dowiedzieć. Spojrzała na mnie.

- Żałuję, że nie mogę powiedzieć, iż czule wspominam tamte lata. Zgodnie z jej oczekiwaniem zapytałem dlaczego.

- Była to straszna, nieprzemyślana tragedia. Tak myślą o niej Amerykanie. Zginęło pięćdziesiąt osiem tysięcy naszych. Znałam niektórych z nich... właściwie bardzo wielu.

- Na murze z nazwiskami poległych jest nazwisko jednego z moich wujów, nazwiska ojców kilku przyjaciół.

- Nie ma tam wielu ojców. Ci, którzy polegli, w większości byli zbyt młodzi. - Na chwilę odwróciła wzrok. - Nam udało się przynajmniej zmieścić na murze nazwiska wszystkich poległych. Oni stracili dwa miliony ludzi. Po naszym odejściu wiele milionów tych z Południa spotkał straszny los. Co z nimi?

Zwykle ukryte przesłanie Phyllis było bardziej skomplikowane i subtelne. Wszystko sprowadzało się do wniosku, że dwoje ludzi siedzących przy stole wiedziało wystarczająco wiele, aby doprowadzić do przedwczesnego zakończenia wojny w Iraku. Nie zamierzała obrażać mojej inteligencji prawieniem morałów o honorze Ameryki, interesach globalnych czy moim zobowiązaniu do milczenia. Byłem jej za to wdzięczny. Wiem, jakie są moje obowiązki i je wykonuję - na ogół. Pewnie i tak powiedziałbym jej, aby się odczepiła.

Postanowiłem powiedzieć jej coś, o czym już wiedziała.

- Od początku wiedziałas o Bian.

- Wiedziałam więcej od ciebie.

- Dlaczego jej na to pozwoliłaś?

- Dlaczego dopuściłam ją do śledztwa? Dlaczego pozwoliłam, aby je kontynuowała?

Dlaczego ci nie powiedziałam? - Przerwała, aby po chwili zapytać: - Lub dlaczego pozwoliłam jej wyjechać?

Wypiła łyk herbaty, wyraźnie zadowolona, że tyle udało mi się odkryć. W końcu żaden szef nie lubi myśleć, że zatrudnił kompletnego idiotę - sam wyszedłby wówczas na głupca. Poza tym mnie sondowała.

- Zaczniemy od tego, jak się dowiedziałas?

- Cóż... podobnie jak ty byłam zdziwiona, co oficer żandarmerii robi na miejscu śmierci cywila. Kiedy zauważyłam, jak zależy jej na udziale w śledztwie... jeszcze bardziej podsyciło to moją ciekawość.

- W przeciwieństwie do mnie wiedziałas o innym morderstwie, które miało związek z zabójstwem Danielsa.

Nie odpowiedziała.

- Miałaś powody do podejrzliwości, prawda?

- Przynajmniej do tego, aby sięgnąć nieco głębiej - przyznała. - Z jej akt się dowiedziałam, że wcześniej służyła w Bagdadzie. Generał Bentson to mój znajomy. Kiedy zadzwoniłam, opowiedział

mi jej smutną historię.

- Czy już wówczas wiedziałaś, jak zginął jej narzeczony?
- Czyżbym zapomniała wspomnieć, że byłam odpowiedzialna za to śledztwo?
- Faktycznie, zapomniałaś.

- Cóż, w takim razie robię to teraz. Przez dwa miesiące dreptaliśmy w miejscu, Sean.

Mimo zaangażowania wszystkich sił i środków nie udało się ustalić, kto zdradził tę delikatną i ważną operację i kto zamordował Dianę. Bardzo frustrujące. Wprawiające w zakłopotanie.

- Później byłaś jednak całkiem pewna, że znalazłaś mordercę.

- Pomyślałam, że mam wiarygodnego podejrzanego.

- Dlaczego nie aresztowałaś Bian? Ja bym to zrobił.

- Miałam wyłącznie poszlaki. Żadne dowody nie łączyły jej z zabójstwem Danielsa, mogło się też okazać, że popełnił samobójstwo. - Podniosła coś ze stołu, może jakiś paproszek. - Sam powiedziałaś, że wyglądało to na samobójstwo.

W rzeczywistości powiedziałem, że mamy do czynienia z morderstwem upozorowanym na samobójstwo. Nawiasem mówiąc, Phyllis ma niezwykłą pamięć do szczegółów. Tak czy inaczej skinałem głową.

- Uznałam, że przedwczesne aresztowanie byłoby zbyt ryzykowne - powiedziała.

Uśmiechnęła się. - Dostałaby prawnika, a sam wiesz, jakiego oni potrafią narobić bałaganu.

Ponownie skinałem głową, chociaż nie była to do końca prawda. Najtrudniejszym elementem dochodzenia w sprawie morderstwa jest znalezienie podejrzanego i motywu. Nie ma zbrodni doskonałych, a jedynie nierozwiązane sprawy, czasami trzeba jednak znaleźć podejrzanego, aby odkryć niedoskonałości. Z drugiej strony detektyw Barry Enders, nie mając podejrzanego ani motywu, zebrał tyle dowodów, że kompetentny prokurator wsadziłby Bian na długo do pudła. Wie o tym każdy śledczy, a z pewnością wiedziała o tym Phyllis.

- Mimo to zlekceważyłaś niebezpieczeństwo włączenia osoby podejrzanej o popełnienie morderstwa do śledztwa, w którym mógł wystąpić konflikt interesów. W końcu była zabójcą.

- Odwróć tę logikę. Czy znasz lepsze miejsce dla podejrzanego od trzymania go przy sobie?

- Co powiesz na więzienie?

W tym momencie zjawił się chłopak z tacą pełną przystawek - kombinacją pozwijanych martwych zwierzątek i ryżowych kul. Phyllis powiedziała coś po wietnamsku, a chłopak roześmiał się i wycofał do kuchni. Najwyraźniej był nią oczarowany. Pomyślałem, że muszę z nim porozmawiać.

Phyllis nadziała ryżową kulkę na pałeczkę i podała mi przez stół.

- Spróbuj - powiedziała. - To ryż w occie i cukrze. Bardzo smaczne.

Spróbowałem. Nieźle. Interesujące połączenie kwaśnego i słodkiego, jin i jang, miękkiego i twardego... jak Phyllis.

Nadziała kolejną kulkę, wsunęła sobie do ust, pogryzła i połknęła.

- Włączenie Bian do śledztwa było kluczem, który pozwolił na rozwiązanie wszystkiego. Dowiedzieliśmy się, jak doszło do przecieku, kto był za to odpowiedzialny i dlaczego.

- A co ze stratami, które temu towarzyszyły?

- Tym się nie przejmuj. - Po krótkiej przerwie zauważyła: - Nasze społeczeństwo nie rozumie tej wojny. Odnoszę wrażenie, że nie przejmują się też jej wynikiem. Turki Al-Fajef miał rację. Wybacz mój cynizm, lecz Amerykanów bardziej interesują głupie żarciki Toma Cruise'a na kanapie Oprah, niż to, kto zdradził Iranowi nasze tajemnice. Po tygodniu nikt nie będzie pamiętał o saudyjskich księżętach, ludziach, którzy zginęli podczas huraganu, lub ponurej zbrodni, którą gdzieś

popelniono. Jeśli Mahmud Charabi kiedykolwiek przyleci do Waszyngtonu, zostanie powitany jak dygnitarz odwiedzający nasz kraj.

Smutne, ale prawdziwe. Wiedziałem jednak, że Amerykę obchodzi to, co się dzieje w Iraku. Gdyby nasze ustalenia znalazły się na czołówkach porannych gazet, przekonalibyśmy się o tym dobitnie jeszcze tego samego wieczoru. Właśnie dlatego siedzieliśmy przy stole i udawaliśmy, że sprawia nam to przyjemność. Phyllis miała dopilnować, abym zachował milczenie.

- Dlaczego mnie wybrałaś? - zapytałem.

- Wierzyłam, że uczynisz to, co słuszne. Nadal w to wierzę.

- Co jest słuszne, Phyllis? Nie odpowiedziała. Nie musiała.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o Bian?

- Chciałam, abyś ustalił źródło przecieku i dowiedział się o Mahmudzie Charabim.

- Zamiast odkryć, że moja partnerka jest mordercą.

- Tak. Naszym zadaniem jest działalność wywiadowcza, a nie egzekwowanie prawa.

Ostrzegłam cię o tym od samego początku, Sean. Powinieneś być słuchać. - Po chwili dodała bardziej życzliwie: - Możesz być rad z tego, co udało ci się osiągnąć. Jestem z ciebie dumna.

- Oszczędź mi frazesów. Jesteś tutaj, aby dopilnować, bym nie zaczął sypać, i ustalić, ile to będzie kosztowało.

Przyglądała się uważnie swoim pałeczkom, a następnie spojrzała mi w oczy.

- Ile to będzie kosztowało?

- Więcej, niż możesz zaoferować. Ważni ludzie dopuścili się niegodnych czynów.

Zasługują na karę. Powinni zostać ukarani.

Rozplatała kolejną kuleczkę ryżu i przyglądała się jej przez chwilę, co było pewnie łatwiejsze od studiowania mojej osoby.

- Przez całe popołudnie byłem z dyrektorem w Białym Domu. Prezydent i jego doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego zostali wyczerpująco poinformowani o wszystkim.

- Byli zaszokowani? - zapytałem sarkastycznym tonem. Odłożyła pałeczki, otarła usta serwetką i zrobiła taką minę, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Thomas Hirschfield otrzymał propozycję objęcia prestiżowej posady poza Departamentem Obrony. Ostrzeżono go, że propozycja wygaśnie jutro. Albert Tigerman tego popołudnia doszedł do wniosku, że powinien spędzać więcej czasu z rodziną. Powiedział

nam, że jego żona i dzieci czują się zaniedbywane. Jutro rano prezydent z żalem przyjmie rezygnację.

Chociaż byłem zaskoczony tym, co usłyszałem, nie byłem w pełni usatysfakcjonowany.

- To wszystko? - zapytałem.

- Głupota, niezależnie od tego jak ogromna, nie jest przestępstwem, Sean. Pomyśl o dobrych żołnierzach, którzy oddali życie, abyśmy zwyciężyli w Iraku. To, jak uwikłaliśmy się w tę wojnę, nie ma już znaczenia, nie ma też znaczenia, ile głupich rzeczy wydarzyło się później. Dziś liczy się jedynie to, jak wyjść z tego kraju i co się stanie, jeśli uczynimy to przedwcześnie.

W ten sposób dotarliśmy do sedna sprawy. Nie zamierzałem ustępować, a Phyllis nie miała zamiaru nic pospiesznie obiecywać.

- Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, wszystkie wojny są wynikiem politycznych błędów - stwierdziła. - Nie musiało dojść do ataku na Pearl Harbor. Atak na Koreę był

wynikiem ogromnej głupoty polityków z Waszyngtonu. Przyłączenie się Chin do wojny było kolejną pomyłką. Później mieliśmy Wietnam... - Ujęła mnie za ramię. - Czy naprawdę muszę ci to

wyjaśniać?

- Co będzie z tego miała Agencja?

- Dumę z dobrze wykonanej pracy.

- Możesz to powtórzyć?

- Nie zaszantażowaliśmy administracji, jeśli o to ci chodzi. Winni ponieśli karę. To wszystko, czego pragnęliśmy i o co prosiliśmy. Jesteśmy zadowoleni. Ty też powinienes.

- Nie jestem - mruknąłem. - Zapomniałaś o kimś.

- Czyżby?

- Nie udawaj. O Mahmudzie Charabim.

- A, o nim. W Iraku jest ze dwadzieścia tysięcy bojowników dżihadu, którzy co noc śnią o tym, że udało im się go zabić. W końcu któremuś dopisze szczęście. Zaufaj mi.

Tego rodzaju zapewnienia zwykle odczytuje się w znaczeniu dosłownym, lecz tym razem, zważywszy na źródło, z którego pochodziły, wcale nie musiało tak być. Wolałem nie wiedzieć.

Dzieciak pojawił się przy stole z białą rybą i ryżem dla Phyllis oraz oddzielnym talerzem z dwoma big macami, torebką frytek i dwoma zimnymi budweiserami dla mnie.

Phyllis roześmiała się.

- Zapamiętał cię. Wszyscy pracownicy cię zapamiętali.

Jedliśmy i prowadziliśmy rozmowę. Aby posiłek upłynął w przyjemnej atmosferze, gadaliśmy o innych sprawach, lecz nie o wyprzedaży butów w Nordstrom, więc nie musiałem sięgać przez stół, aby ją udusić. Phyllis przepowiedziała, że obecny prezydent wygra kolejne wybory. Jej zdaniem powinien posprzątać bałagan, który zrobił. I tak dalej.

Musiałem zadać pytanie, którego Phyllis zrećźnie unikała i na które nie udzieliła odpowiedzi: dlaczego pozwoliła Bian wyjechać? Nie miałem o to żalu. Właściwie sam to już wykombinowałem.

Kiedy opuściłem międzynarodowe lotnisko Dullesa i udałem się do swojego mieszkania, dodałem dwa do dwóch i w końcu otrzymałem cztery. „Detektyw” w drogim garniturze, jego partner i rzekoma ofiara nie pracowali dla Bian. Byli ludźmi Phyllis, którzy śledzili Bian od chwili, gdy wysiadła w bazie Delaware. Ich zadanie polegało na umożliwieniu Bian ucieczki. Kiedy zacząłem iść w jej stronę, tak jakbym chciał ją zatrzymać, podeszli i powstrzymali mnie.

Nie tłumaczyło to wszakże motywów tego działania. Phyllis nigdy by mi o tym nie powiedziała, nie wyznałaby prawdy. Chociaż za żadne skarby nie przyznałaby się do tego, nie jest tak zimną i bezduszną, jak udaje. Przecież nikt nie obawiałby się smoczycy pozbawionej zębów.

Byłem pewny, że podobnie jak ja darzy Bian sympatią. Może czuła się winna, że jej umiłowana Agencja przyłożyła rękę do śmierci Marka. Albo uznała, że nasz kraj jest winien Bian odrobinę sprawiedliwości i szansę rozpoczęcia nowego życia. Oczywiście pomocne okazało się to, że silne pragnienie zemsty Bian było na rękę Phyllis, która chciała rozwikłać sprawę.

Przypominałem sobie łzawe spojrzenie Phyllis, gdy wszedłem do sali konferencyjnej w bazie Alfa, w chwili kiedy Bian pokazywała jej zdjęcie Marka.

Kiedy zabrano talerze i podano kawę, swobodna rozmowa dobiegła końca. Phyllis przeszła do sedna.

- W Iraku powiedziałeś, że chcesz zrezygnować. Nadal masz taki zamiar?

- Podpowiem ci. Dziś po południu sprzątnąłem biurko. Pod suszką na twoim biurku znajdziesz krótki liścik.

Najwyraźniej już go przeczytała, bo zauważyła:

- Nigdy nie należy podejmować ważnych decyzji pod wpływem emocji.

- Wiedziałem, że to powiesz. Popatrzyła mi w oczy.

- Nie chciałabym cię stracić.
- Przyzwyczaisz się. Podniosła dzbanek z kawą.
- Jeszcze jedną filiżankę?
- Sprawiałaś, że znalazłem się w Miami, Phyllis. Ty i Brian. Zmusiałaś mnie do kroczenia po omacku, karmiłaś fałszywymi informacjami i wystrychnęłaś na dudka.
- Czyżby chodziło o zranione uczucia?
- Nie... tak.
- Może zdołam namówić cię do udziału w ostatniej misji? Ojczyzna cię potrzebuje.
- Daj szansę komuś innemu.
- Chodzi o kilka tygodni. Nie zajmie ci to więcej czasu. Jesteś mi winien jeszcze dwa lata. Jeśli to zrobisz, załatwię ci przeniesienie, o jakie poprosisz. Rzecz jasna, jeśli nadal będziesz tego chciał. Masz na to moje słowo.
- Pozwolisz mi odejść już dziś.
- W przeciwnym razie...?
- W przeciwnym razie obiecuję, że będą to dwa najgorsze lata twojego życia. Wiesz, do czego jestem zdolny.

Uśmiechnęła się, słysząc moją groźbę.

- Nie ciekawi cię, co to za misja?
- Ostatnim razem ciekawiło. Dają ją komuś, kto nadal ci ufa. Komuś, kto nie zna cię wystarczająco dobrze.
- To rozwiązanie nie wchodzi w grę, Sean.
- Nikt ci nie ufa?
- Nikt nie ma odpowiedniego przygotowania i kwalifikacji.
- Będziesz musiała zmienić wymagania.

Sięgnęła do torebki i wyciągnęła coś, co okazało się białą kopertą. Przyglądała się jej przez chwilę, a następnie przesunęła po stole w moim kierunku. Nie podniosłem jej.

- Boisz się zajrzeć do środka?
- To robota na Bermudach?
- Nie.
- W takim razie miejsce mi nie odpowiada. Zapomnij o wszystkim.
- To prosta misja rekrutacyjna. Chodzi o człowieka, którym jesteś bardzo zainteresowany.

Mamy powody przypuszczać, że sfinalizowanie transakcji nie będzie trudne.

Nie odpowiedziałem.

- O tej porze roku panuje tam wspaniała pogoda. Ciepły wiaterek, tropikalne zachody słońca, atrakcyjni tubylcy i cudowne plaże.
- To miejsce musi być naprawdę do niczego.
- Skądże. Jest urocze.
- Mówiłaś to samo, gdy wysyłałaś mnie do Iraku.
- No cóż... okej, w kraju, o którym mowa, panuje dyktatura. Fakt, jest trochę niebezpiecznie. Będziesz potrzebował dobrej przykrywki i silnego wsparcia ze strony pracowników naszej ambasady. Jeśli zostaniesz złapany, trafisz do okropnego więzienia.

Będziesz musiał być bardzo ostrożny.

- Przestań mnie kusić.
- To bardzo ważna misja. Tym miejscem interesują się amerykańskie korporacje i nasza marynarka. Jego przyszłe znaczenie strategiczne jest ogromne.

- Phyllis, nie słuchałaś uważnie. Daj tę robotę komu innemu. Najwyraźniej wyczerpałem jej cierpliwość, bo pochyliła się nad stołem i tonem nieznoszącym sprzeciwu rzekła.

- Drummond, otwórz tę cholerną kopertę. Ale już! Właściwie czemu nie? Otworzyłem i znalazłem bilet lotniczy pierwszej klasy oraz krótki opis i numer misji, a także nazwisko, aktualny adres i garść informacji na temat osoby, którą należało zwerbować.

Phyllis miała rację. Nie wyglądało na to, aby sfinalizowanie transakcji było trudne.

Dodam, że pozyskanie wspomnianej damy byłoby dla nas niezwykle korzystne.

Położyłem kopertę na stole i powiedziałem:

- Chcesz się mnie pozbyć z kraju na kilka tygodni, kiedy wybuchnie afera.

- Nie zaprzeczam.

- Nie przekupisz mnie.

- Nie bądź głupcem. Każdy ma swoją cenę.

- Jaką mam pewność, że adres jest właściwy?

- Zaufaj mi.

Spojrzałem na nią twardym wzrokiem.

- Jeden z pracowników naszej ambasady czekał w Sajgonie na Bian... dzisiaj nazywają to miasto Ho Chi Minh. Gdybyś chciał wiedzieć, to bardzo paskudna, niefortunna nazwa.

Zachowałam czułe wspomnienia z czasów, gdy mieszkałam w Sajgonie...

- Phyllis.

- Ten człowiek je śledził. - Po krótkiej przerwie dodała: - Są w przytułku prowadzonym przez ciotkę Bian, młodszą siostrę jej matki.

Włożyłem bilet wraz z informacją do kieszeni na piersi.